

JENS HENRIK JENSEN

II CZĘŚĆ
BESTSELLEROWEJ
SKANDYNAWSKIEJ
TRIOLOGII

OXEN

Mróczni ludzie

Zamknięty krąg władzy. Bezwzględni prześladowcy,
którzy nie cofną się przed niczym, by osiągnąć cel.
Czy Oxenowi uda się ich powstrzymać?

Jens Henrik Jensen

Mroczni ludzie

Spis treści

[Rozdział 1.](#)
[Rozdział 2.](#)
[Rozdział 3.](#)
[Rozdział 4.](#)
[Rozdział 5.](#)
[Rozdział 6.](#)
[Rozdział 7.](#)
[Rozdział 8.](#)
[Rozdział 9.](#)
[Rozdział 10.](#)
[Rozdział 11.](#)
[Rozdział 12.](#)
[Rozdział 13.](#)
[Rozdział 14.](#)
[Rozdział 15.](#)
[Rozdział 16.](#)
[Rozdział 17.](#)
[Rozdział 18.](#)
[Rozdział 19.](#)
[Rozdział 20.](#)
[Rozdział 21.](#)
[Rozdział 22.](#)
[Rozdział 23.](#)
[Rozdział 24.](#)
[Rozdział 25.](#)
[Rozdział 26.](#)
[Rozdział 27.](#)
[Rozdział 28.](#)
[Rozdział 29.](#)
[Rozdział 30.](#)
[Rozdział 31.](#)
[Rozdział 32.](#)
[Rozdział 33.](#)
[Rozdział 34.](#)
[Rozdział 35.](#)
[Rozdział 36.](#)

[Rozdział 37.](#)

[Rozdział 38.](#)

[Rozdział 39.](#)

[Rozdział 40.](#)

[Rozdział 41.](#)

[Rozdział 42.](#)

[Rozdział 43.](#)

[Rozdział 44.](#)

[Rozdział 45.](#)

[Rozdział 46.](#)

[Rozdział 47.](#)

[Rozdział 48.](#)

[Rozdział 49.](#)

[Rozdział 50.](#)

[Rozdział 51.](#)

[Rozdział 52.](#)

[Rozdział 53.](#)

[Rozdział 54.](#)

[Rozdział 55.](#)

[Rozdział 56.](#)

[Rozdział 57.](#)

[Rozdział 58.](#)

[Rozdział 59.](#)

[Rozdział 60.](#)

[Rozdział 61.](#)

[Rozdział 62.](#)

[Rozdział 63.](#)

[Rozdział 64.](#)

[Rozdział 65.](#)

[Rozdział 66.](#)

[Rozdział 67.](#)

[Rozdział 68.](#)

[Rozdział 69.](#)

[Rozdział 70.](#)

[Rozdział 71.](#)

[Rozdział 72.](#)

[Rozdział 73.](#)

[Rozdział 74.](#)

[Rozdział 75.](#)

[Rozdział 76.](#)

[Rozdział 77.](#)

[Rozdział 78.](#)

[Rozdział 79.](#)

[Rozdział 80.](#)

[Rozdział 81.](#)

[Rozdział 82.](#)

[Posłowie](#)

Rozdział 1.

Księżyc wisiał na niebie wielki i jasny, na jego tle, na krawędzi trwał nieruchomo szczur — tłusty i dumny. Zgarbiona sylwetka odcinała się ostro od bladego dysku. Kolumny okalające jego świat wyrastały czarne i poszarpane.

Tworzyły je ogromne daglezje, świerki ustawione w szeregu jak kampania reprezentacyjna wojska, a od wschodu rząd wiecznie zielonych modrzewi.

Zastygły, niczym oligarcha podziwiał z góry swoje imperium pod gwiazdami. Nędznej postaci leżącej poniżej nie zaszczyił choćby przelotnym spojrzeniem.

Z największym trudem rozchylił powieki. Dryfował — w czasie i miejscu. Osłabła jego zdolność do błyskawicznego wybudzania się z najgłębszego nawet snu, cenna, nierzadko ratująca życie umiejętność wytrenowana przez lata życia w ciągłym stanie zagrożenia.

Na razie leżał więc tylko nieruchomo. Pozwalał zmysłom chłonąć ciemność. Podniósł wzrok i zobaczył jego — szczurą.

Dopiero gdy się poruszył i zaszeleściła słoma pod nim, zwierzę nad jego głową obruszyło się i urażone, z ostentacyjną powolnością przeszło po belce stropowej, aż znikło z pola widzenia.

Na zewnątrz rozciągał się zalany srebrem pejzaż. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, sadzawki i fontanny. Znów był w carskim Peterhofie. Dziwne, że było tak...

Powieki zrobiły się ciężkie i ponownie się zasunęły.

Do podświadomości przebijała się ledwie uchwytna mgiełka zapachu. Jaśminu i porannego seksu...

Peterhof, rosyjski Wersal niedaleko Sankt Petersburga.

Sierpień. Słyszał jej dźwięczny śmiech. Obrączki połyskiwały na ich nieprzywykłych jeszcze palcach. Birgitte w cienkiej bawełnianej sukience nad Zatoką Fińską z twarzą rozświetloną słońcem. „Dopóki was śmierć nie rozłączy”.

Otworzył oczy i wsparł się na łokciu.

Rzeczywiście — płaski krajobraz przecinał kanał, było też mnóstwo zbiorników wodnych i co chwila fontanny tryskały świeżo stopionym srebrem. Ale...

Z powrotem ciężko opadł na ziemię. W nozdrza uderzył go słaby zapach fekaliów. Poza tym fontanny powinny być złote. Car nie potrafił zadowolić się srebrem.

Podarwał się na swojej wiązce słomy i w jednej chwili znalazł się w świecie rzeczywistym. W tylnej ścianie szopy brakowało kilku desek i w pomieszczeniu hulał wiatr. Nasunął na głowę kaptur śpiwora i zaciągnął sznurek. Było przenikliwie zimno, temperatura w okolicach zera. Chłód na szczęście nieco tłumiał fetor.

Na zewnątrz, w zaroślach po prawej stronie kanału, dostrzegł niewielkie stado owiec. Nie miał wątpliwości, że to one zapaskudziły mu posłanie. Poza tym legowisko było suche i całkiem wygodne. Spał już w gorszych miejscach. Znacznie gorszych. Znacznie bardziej niebezpiecznych.

Jakieś dwieście metrów dalej, po jego lewej, stał pobielony dom. W małych oknach paliło się światło, ale poza tym nie było widać żadnych śladów życia.

Sankt Petersburg należał do odległej przeszłości.

Raz jeszcze omiótł wzrokiem krajobraz na zewnątrz — teraz ukazujący mu się nagi, w pełnym świetle świadomości. Teraźniejszością były stawy hodowlane w niewielkiej niecce i jego posłanie pod dachem z blachy falistej. Stwierdził to bez żalu, bez jakichkolwiek emocji. Był w połowie Półwyspu Jutlandzkiego, gdzieś pomiędzy Brande a Sdr. Felding. Kanał nie wpadał do Zatoki Fińskiej, ale do rzeki Skjern.

Fontanny zaś nie tryskały srebrem, a jedynie filtrowały wodę dla pstrągów.

Wczoraj nocował w stodole niedaleko Nr. Snede i Bóg raczy wiedzieć, gdzie zanojuje jutro.

Dopiero teraz do niego dotarło: to nie była zwykła noc. To była noc podsumowań. Czas sporządzania bilansu życiowych osiągnięć, czas refleksji — dla królowej, premiera. Jego natomiast myśl o tym uderzyła niczym pocisk.

Nowy Rok.

Podświetlił wyświetlacz zegarka. Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt siedem. Zasadniczo nie miało większego znaczenia, czy przespał zmianę roku, niemniej było przed północą, a on nie spał. Za trzy minuty dzwony na wieży ratuszowej w Kopenhadze rozkołyszą się i wypełnią powietrze uroczystym dudnieniem. Ponownie rozejrzał się po okolicy. W ciszy, jaka tu panowała, usłyszałby kłaczek spadający z grzbietu którejś z tych owiec na zewnątrz.

W rodzinie Birgitte, w sylwestra, gdy wybijała północ, wszyscy podrywali się z krzesel i taboretów i padali sobie w ramiona. W jego rodzinie nikt nie miał dość wyobraźni ani ikry, by zdarzały się takie wybuchy radości. Razem z Birgitte mieli zwyczaj skakać wokół jak szaleni. Przez kilka lat udawało im się nawet skakać z Magnusem między nimi.

Tuż obok jego kryjówki w powietrzu przesunęło się coś dużego. Towarzyszył temu charakterystyczny szelest piór wiosłujących w powietrzu. Sowa wfrunęła w nowy rok. Może za chwilę również przysiadzie na jakiejś gałęzi i zwymiotuje, jak wielu ludzi tej nocy.

Za to na pewno chór dziewczęcy Duńskiego Radia zaśpiewa pieśń noworoczną. Szampan, brzęk kieliszków i marcepany. Pijaństwo, sztuczne ognie, a nad ranem napięte nerwy. Dobrze to znał. Aż za dobrze.

Północ. Z okolicznych gospodarstw w niebo wystrzelił rój

fajerwerków. Wybuchwały wysoko nad dachami, zasnuwały niebo kotarą złotego i srebrnego pyłu i przecinały ciemność pojedynczymi głośnymi hukami. Nienawidził sztucznych ogni.

Zdziwiło go nieco, że z białego domu nikt nie wyszedł. Nikt nie wystrzelił w powietrze ani jednej racy, nikt nie odpalił petardy. Biesiadnicy postanowili najwyraźniej zostać w cieple i tam wznosić toasty. A może oni też wchodzili w nowy rok w podskokach i trzymając się za ręce?

Znów opadł na miękką słomę i zamknął oczy.

Księżyc nie było już widać w całości. Częściowo przesłaniały go chmury i zrobiło się ciemniej niż o północy. Było to pierwsze, co stwierdził, gdy ponownie się przebudził i otworzył oczy. Tym razem natychmiast poczuł się w pełni przytomny. Sen miał płytki i niespokojny, znów dały o sobie znać stare lęki.

Odruchowo wcisnął guzik zegarka. Druga czterdzieści trzy. Nie przespał nawet trzech godzin.

Usłyszał jedynie dźwięk wyłączanego silnika i zobaczył, jak światła mijania rozświetliły pas rzadkich gałęzi, zanim zgasły. Musiał go obudzić odgłos nadjeżdżającego samochodu. Kto to mógł być o tej porze? W gospodarstwie wszyscy już spali. Dom stał pogrążony w ciemności.

Leżał, nasłuchując. Szczur wrócił na swoją grzędę. Teraz był jednak zaledwie niewyraźnym kształtem. Dwoje drzwi samochodowych zamknięto najciszej jak można. Ostrożne kroki na żwirze za jego szopą i wzdłuż stojących w rzędzie kolejnych kilku drewnianych bud.

Szczur, spłoszony, wycofał się w ciemność i stamtąd obserwował otoczenie. Jemu zaś serce zaczęło bić szybciej.

Po lewej ukazały się dwa czarne cienie. Wolno zbliżały się do domu. Jedynym źródłem światła była jarzeniówka zamontowana w połowie słupa telefonicznego.

Chmura przesunęła się i odsłoniła księżyc. Teraz widział sylwetki dwóch mężczyzn. Jeden wysoki, drugi niski. Poruszali się niepewnie, jakby byli tu po raz pierwszy.

Kiedy znaleźli się już całkiem blisko domu, ostatnie metry pokonali, skradając się bezgłośnie. Jeden ostrożnie sprawdzał drzwi, drugi zaglądał przez okna. W końcu obaj podeszli do okna najbliższej drzwi wejściowych. Rozległo się ciche skrzypnięcie. Najprawdopodobniej odsunęli zasuwki i ten większy podsadził niższego do otwartego okna. Chwilę później drzwi otwały się od środka i większy zniknął wewnątrz domu.

Zaklął pod nosem i na ułamek sekundy zatęsknił za noworocznym zgiełkiem placu ratuszowego w Kopenhadze.

Bo oto znalazł się w sytuacji wyjątkowo niezręcznej. Cholernie niezręcznej jak na kogoś, kto z wszystkich sił stara się być niewidzialny.

Rozpiął suwak śpiwora i wyczołgał się na słomę. Wstawał powoli, nie spuszczając oczu z białego domu. Wewnątrz dostrzegł słabe, ruchome światło — zapewne latarek włamywaczy.

Wciąż się wahał. Jeśli zostanie tu, gdzie jest, w swojej kryjówce pod wiatą, zagrożenie zniknie samo. Ci dwaj znajdą coś, co będą mogli ukraść, i spokojnie odjadą w noc ze swoim łupem.

Nic straszniego się nie stanie. On nadal będzie niewidoczny. Jeszcze przed świtem narzuci plecak na plecy i ruszy w drogę. Będzie tak, jakby w ogóle go tu nie było.

Samochód zostawili tuż obok jego kryjówki. Może mógłby... Wymknął się za wiatę i zakradł do czarnej furgonetki. Stary fiat ducato. Pod flagą Unii Europejskiej widniały litery RO. Zatem Rumuni. Nie pierwszy ani nie ostatni raz włamywacze okazują się pochodzić z Europy Wschodniej. Według statystyk włamania z ich udziałem

miewają czasem gwałtowny przebieg. Pamiętał doniesienia o pojedynczych ofiarach śmiertelnych. Miał szczerą nadzieję, że tym razem...

Zamarł wśród ciemności i próbował o tym nie myśleć. Oczywiście, że nic się nie stanie. Rumuni zabiorą telewizor, pogrzebią trochę w poszukiwaniu kosztowności, po czym wymkną się i znikną.

On zrobi podobnie. Właściwie to nie będzie nawet czekał do rana, tylko od razu spakuje się i ruszy w noc noworoczną.

Zamierzał właśnie wrócić do szopy, żeby zwinąć śpiwór, gdy w domu zapalono światło. Chwilę później ciszę rozdarło głośne wołanie. I następne — niemal krzyk. Ktoś krzyczał z bólu?

Rzucił się biegiem w tamtą stronę. W kilka sekund był przy domu. Przez najbliższe okno zajrzał do środka. Na podłodze leżał starszy mężczyzna o siwych włosach, ubrany w piżamę. Twarz zasłaniał rękoma. Nagle widok przesłoniła czarna postać stojąca do niego plecami, z ręką uniesioną do ciosu.

Szarpnięciem otworzył drzwi i wrzasnął. Paroma susami pokonał dystans dzielący go od pokoju, w którym byli napastnicy. Niższy zamarł w bezruchu, uniesiona ręka, w której trzymał łom, zawisała w pół drogi nad leżącym na podłodze staruszką. Ten wyższy stał obok przewróconego fotela.

Na twarzach obu malowało się zaskoczenie, ale zachowali spokój. Odwrócili się i wspólnie natarli na niespodziewanego gościa. Ten mniejszy ostrym tonem warknął koledze jakieś polecenie i zrobił krok w przód. Był krępej budowy ciała i nie było najmniejszej wątpliwości, że zamierza zrobić użytek z trzymanego w ręce łomu.

Zareagował instynktownie — efekt wieloletniego szkolenia i brutalnej rzeczywistości. *Risk assessment*, ocena ryzyka — a może po prostu wyćwiczona umiejętność błyskawicznego

rozpoznania sytuacji, identyfikacji bezpośredniego zagrożenia i wyeliminowania go w pierwszej kolejności.

Schylił się przed pierwszym ciosem zadany łomem i błyskawicznie podciął Rumunowi nogi kopnięciem okrężnym. Jeszcze nim ciało napastnika upadło na dywan, mocnym chwytem wykręcił mu rękę, wyjął z niej narzędzie i z całej siły uderzył go nim w rzepkę kolana. Wszystko to wykonał w jednej, płynnej sekwencji.

Nim pokój wypełnił ogłuszający wrzask bólu, poderwał się na nogi, w samą porę, by wykonać kolejny unik przed atakiem wysokiego. Ten nacierał na niego z pochyloną głową, niczym wściekły byk. Szybki unik i dłoń zaciśnięta na karku mężczyzny. Chwilę później uderzył głową Rumuna w ścianę obok framugi. Gdy mężczyzna zgiął się w pół, wbił mu kolano w podbrzusze — i wypuścił.

Mały i krępy wił się na podłodze, jęcząc i trzymając się za roztrzaskane kolano. Wysoki leżał półprzytomny i rzeził, nie mogąc złapać tchu.

Dopiero teraz mógł poświęcić uwagę starszemu mężczyźnie. Wciąż leżał na plecach. Krwawił z kącika ust, miał rozcięte czoło i trzymał się za lewy bark. Bez słowa, ostrożnie zaciągnął go w róg pokoju, z dala od pola walki.

Wtedy wrócił do tego wysokiego, który nadal próbował nabrać powietrza w płuca. Przeszukał mu kieszenie i w jednej, zamykanej na suwak, znalazł paszport. Podobnie zrobił z drugim napastnikiem. Choć ten skręcał się z bólu i wydawał się niezdolny do stawiania oporu, na wszelki wypadek lewą ręką dociskał mu gardło, gdy prawą przeszukiwał jego ubranie. Wreszcie w wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki znalazł drugi paszport.

Przejrzał obie książeczki, nim schował je do kieszeni własnej kurtki. Potem wskazał na drzwi.

Ten wyższy powoli stawał na nogi. Twarz miał zalaną krwią

z brwi rozciętej po zetknięciu ze ścianą. Nadal ciężko sapał, ale z wolna odzyskiwał kontrolę nad ciałem.

Bez słowa wskazał na drugiego Rumuna i dał olbrzymowi do zrozumienia, że ma pomóc koledze i obaj mają się stąd zawinąć. Stojąc na środku pokoju, w milczeniu przyglądał się nieszczęśnikom próbującym się pozbierać.

Ładnych kilka minut trwało, nim ten wyższy zdołał podnieść kolegę, by pokuścić z nim do samochodu.

Potem stał w drzwiach i patrzył za nimi. Dopiero po dłuższej chwili usłyszał dźwięk uruchamianego silnika i zobaczył światła mijania. Nawrócili za szeregiem bud i odjechali długą zwirową drogą.

Odwrócił się, gdy poczuł dłoń na ramieniu. Starszy mężczyzna w pasiastej piżamie stał za nim z szerokim uśmiechem.

— Dziękuję, przyjacielu. Nie mam pojęcia, kim jesteś ani skąd się tu, u licha, wzięłeś, ale uratowałeś mi życie. Wielkie dzięki!

Wyciągnął rękę do swojego wybawcy. On jednak jej nie uścisnął, tylko skinął krótko głową i uśmiechnął się lekko. Wciąż bez słowa. Właśnie znalazł się w sytuacji, jakiej za wszelką cenę wolałby uniknąć.

— Wejdz, proszę. — Starszy mężczyzna pociągnął go za rękaw. — Usiądź. Może się czegoś napijesz? W końcu to Nowy Rok. Może piwa? Piwa zawsze można się napić. Zaczekaj chwilę.

Mężczyzna gdzieś zniknął. Pewnie poszedł do kuchni. On tymczasem raz jeszcze obejrzał oba paszporty, po czym pośpiesznie schował je do kieszeni. Słyszał otwierane drzwi lodówki, a potem szum wody płynącej z odkręconego kranu. Za chwilę mężczyzna wrócił do pokoju. Zmył krew z twarzy. Na stoliku postawił dwa piwa.

— Tak w ogóle to jestem Johannes. Ale możesz mi mówić

Rybak. Tak mnie tu wołają.

Machnął głową w stronę stawów i raz jeszcze wyciągnął rękę.

— Powiesz mi, jak to się wszystko stało? Oraz jak masz na imię? I kim jesteś?

Stary właściciel stawów przytrzymał go wzrokiem, podsuwając w jego stronę butelkę piwa.

On wzruszył tylko ramionami i przepaszająco rozłożył dłonie.

— *Sorry, I don't... Dragos... My name is Dragos. Adrian Dragos.*

— Ach, tak. *And from where?*

W głosie mężczyzny usłyszał teraz cień ulgi. Może dlatego, że w końcu poznał przyczynę milczenia nieoczekiwanego gościa.

— *Romania. I am from Romania.*

— *Thank you very much* — powiedział z twardym akcentem. Po czym podniósł butelkę i z szerokim uśmiechem odsłaniającym komplet żółtych zębów dodał: — *And happy New Year, Mr Dragos.*

Rozdział 2.

Była pełnia lata, bezchmurne niebo i lekka bryza. Białą, przystrojoną kwiatami łódź wyniesiono z hangaru, gotową do wodowania.

Łódź nie miała wcale wypływać z Portu Śmierci, jak można by sądzić. Dużym nieporozumieniem byłoby nazywać tak to miejsce.

Kapitan od razu obierze kurs na południe, by pokonać krótki odcinek wzdłuż szerokości fiordu, potem służą w Hvide Sande wypłynie na Morze Północne i dalej, ku wielkim oceanom. Imię otrzymał po wielkim odkrywcy i pewnie zamierzał się porwać na wielką podróż w nieznane.

Ona z kolei pochodziła z rybackiej rodziny z Thyborøn. Być może dlatego lubiła wyobrazać sobie, że trumna jest statkiem, a śmierć nowym rejssem w nieznane.

Czas mijał niepostrzeżenie. To już trzy lata, odkąd zaczęła pracować w hospicjum Anker Fjord, zainspirowana serialem dokumentalnym, który obejrzała w telewizji, o dwóch mężczyznach u kresu życia. Trzy lata i wiele statków wypuszczonych na szerokie wody z Portu Życia. Cała filozofia i codzienna praca z umierającymi ludźmi bowiem zaowocowały u niej właśnie głębokim szacunkiem dla życia. Dla każdej przebytej mili morskiej. Wspieranie słabych w tej podróży dawało jej więcej satysfakcji niż jakiegokolwiek inne zajęcie.

*Spójrz, jak słońce z oceanu wynurza się łona,
Jak kulą ognia powietrze i woda rozpalona.
Jakaż radość ogromna, choć wokoło cisza,
Gdy światłość na brzegach świata zawisa.*

Psalm wybrał oczywiście sam zmarły. Vitus Sander chciał

obrać kurs ku słońcu. Nie mogła się nie uśmiechnąć na jego wspomnienie. Otrzymał imię po Vitusie Beringu, Duńczyku, od którego nazwę wzięła cieśnina łącząca Syberię i Alaskę.

Vitus Sander, majątny właściciel koncernu elektronicznego, był już bardzo słaby, lecz w ostatnim czasie nastąpiła wyraźna poprawa. Na nabrzeżu stanął wyprostowany i z nowymi siłami.

Miał sześćdziesiąt siedem lat. Urodził się i wychował w Hjørring. Większość życia spędził w Kopenhadze, gdzie mieści się główna siedziba koncernu. Zmarł na raka płuc. Żonę stracił trzy lata temu.

Przesunęła wzrokiem po ludziach stojących w rzędzie w holu. Syn i córka obok siebie. A tam wnuczka. Regularnie odwiedzała dziadka, czasem zdarzało jej się zostać na noc. Długie, jasne włosy. Piękna dziewczyna, studentka Uniwersytetu Kopenhaskiego.

Dziwne. Brakowało osoby, która ostatnio spędzała z Vitusem Sanderem najwięcej czasu. Sympatyczny młody człowiek, zawsze kolorowo ubrany i w nieodłącznych białych sportowych butach. Vitus nazywał go swoim dobrym przyjacielem. Z tym że dobrzy przyjaciele raczej przychodzą się pożegnać...

Z wielkim potentatem nawiązała relację bliższą niż z większością pacjentów. Dwa razy zaprosił ją nawet na spacer. Siedzieli na ławce i patrzyli na wody fiordu. Nie chciał mówić o sobie, wolał, żeby ona opowiadała o swoim życiu. O dorastaniu nad morzem. I o tym, jak wyobraża sobie ten ostatni rejs.

Nie trzeba było być córką rybaka z Thyborøn z wpisaną w DNA zdolnością odczytywania nastrojów nieba, aby dostrzec ciemne chmury, które od czasu do czasu zasnuwały spojrzenie Vitusa. To jednak było całkiem naturalne u kogoś, kto zbliża się do kresu ziemskiej wędrówki.

Pogodny chłopak w białych adidasach miał na niego dobry wpływ. Czasem po jego odwiedzinach Vitus był odmieniony. Jakby czaruś, zdaje się, że miał na imię Rasmus, był wędrownym pastorem, który wysłuchał spowiedzi starego i dał mu rozgrzeszenie.

*Spójrz, jak słońce nad morza lustrem powstaje,
Jak śmierci cieniom pola nic nie zostaje.*

Jakaż radość wielka, jak błogie przyjemności,

Gdy światło na brzegach życia ogarnia swe włości.

Będzie jej brakować tego spokojnego, silnego człowieka. Do jego pokoju już jutro ma się wprowadzić nowy lokator. Były cieśla z Randers.

Do tego czasu Vitus Sander będzie zapewne gdzieś w połowie drogi do Zatoki Biskajskiej.

Rozdział 3.

Strach, który ścisnął mu przepoń, zupełnie nie pasował do otaczającej go sielanki. Kto usiadłby na ławce na wysokich murach obronnych zamku, mógłby odnieść wrażenie, że Nyborg to całkiem przyjemne miejsce.

Była to jego ulubiona ławka w Bastionie Królowej, pomiędzy wieżą ciśnięć a czterema czerwonymi osiemnastofuntowymi armatami. Poniżej ciągnęła się szeroka, potężna fosa, na jej brzegu przycupnęły nieliczne ogródki działkowe. Gdyby obejrzał się za siebie, miałby najlepszy widok na miasto, które tak pokochał.

Wszystko wokół było zielone. Nie jasnozielone, jak wczesną wiosną — kolory były teraz ciemniejsze, typowe dla lipca, gdy przyroda utraciła już swoją świeżość.

Odchylił głowę i zamknął oczy. Słońce grzało go w twarz, lecz wcale tego nie czuł. Strach ziębił go od środka. Czy się bał? O tak, wiele razy w życiu zdarzyło mu się bać. Komu się nie zdarzyło? Nigdy jednak nie czuł czegoś takiego. Strachu totalnego, który lada moment przerodzi się w obezwładniające, paniczne przerażenie.

Nie znalazłby się jednak w tym położeniu, gdyby tylko potrafił lepiej przewidzieć konsekwencje swoich decyzji. A teraz było za późno. O wiele za późno, by zawrócić. Dlatego będzie po prostu siedział tu i cieszył się ładną pogodą.

Spuścił wzrok i uważnie przyglądał się czubkom swoich białych converse'ów ze znaczkiem All Star. Poruszał palcami u stóp, jakby chciał samego siebie przekonać, że wciąż kontroluje swój centralny układ nerwowy. Od czasów studenckich chodził tylko w converse'ach. Zawsze białych i zawsze nad kostkę. Jego ukochana ciocia, kompletnie nie

zważając na trzydzieści osiem lat, które miał na karku, i uniwersyteckie wykształcenie, niezmiennie mu to wypominała: „Mój drogi, czy nie pora już przesiąść się z tych cichobiegów?”.

Tyle było rzeczy, które scalały jego życie, pozwalały czuć, że mocno stąpa po ziemi. Białe converse'y były tylko jednym ze składników tej spoiny.

Lodowata powłoka strachu nie pasowała do tego miejsca. A może chłód brał się stąd, że całkiem niedawno znów poczuł bliskość śmierci? Może to ta bliskość uformowała pierwszą bryłę lodu w jego wnętrzu i uchyliła drzwi, by wpuścić do środka strach?

Ci wszyscy ludzie z ich różnymi życiorysami... zebrali się w jednym miejscu na brzegu fiordu, lecz tak naprawdę wszyscy oni są pasażerami czekającymi w hali terminalnego dworca, z którego odjeżdża tylko jeden pociąg, w tylko jednym kierunku.

Prawda była taka, że w tej chwili był zbyt przerażony, aby na chłodno ocenić swoje szanse. Jeśli ktokolwiek w tym mieście mógłby je oszacować, to tylko on, lecz w tej chwili umysł miał kompletnie sparaliżowany.

Wsunął rękę do kieszeni i pomacał. Zwinięty plik banknotów o wartości piętnastu tysięcy koron wciąż tam był i czekał.

Dziesięć kuponów z zakładami systemowymi na środowe losowanie skandynawskiego Lotto i mniej więcej tyle samo na sobotnie losowanie duńskiego. Do tego szereg zakładów bukmacherskich na mecze z tego tygodnia. Zawsze wysokie stawki. Zawsze trzy mecze z wynikiem bez jakiegokolwiek zabezpieczenia.

Piłka była jego wielką pasją, ale strach skutecznie tłumił przyjemność, jaką kiedyś znajdował w wyszukiwaniu odpowiednich meczów o odpowiednim czynniku ryzyka. Od

dawna już jej nie czuł.

Kolano bolało go całą drogę od fosy aż do supermarketu Kvickly.

Dziewczyna za ladą uśmiechnęła się nerwowo i porozumiewawczo skinęła głową, gdy podsunął jej plik kuponów.

Zakłady wysyłał z czterech różnych miejsc i w różnych dniach tygodnia — wszystko dla zachowania dyskrecji. Stąd planował pieszo iść na dworzec i tam pozostałe siedem tysięcy zainwestować w zakłady specjalne w Oddset i jeszcze trochę w Lotto.

Robił to po raz ostatni. Bogini Fortuna przestała mu sprzyjać. Teraz, gdy potrzebował jej bardziej niż kiedykolwiek.

Rozdział 4.

Potężny świerk przez chwilę chwiał się niezdecydowany, potrząsając poszarpaną czupryną hen na wysokościach. Ostatecznie musiał ulec. Runął jak pomnik, którego cokół wysadzono. Z początku upadał bardzo wolno, potem z narastającą prędkością. Uderzywszy o ziemię, wzbił chmurę pyłu.

Z satysfakcją stwierdził, że gruby pień spoczął dokładnie tam, gdzie przewidział. Zaraz poobcina gałęzie, ale najpierw zrobi sobie przerwę. Wyłączył piłę i zdjął kask.

Słoje pnia ujawniały imponujący rodowód drzewa. Każdy był opowieścią o minionych latach. Rok po roku. Wydawało się bezsensowne ścinać takie drzewo. Lecz jeśli czegokolwiek nauczyły go lata, które sam za sobą zostawił, to tego, że często próżno szukać sensu. Że padają nawet najpotężniejsi i najlepsi. Również najmniejszym i najbardziej niewinnym brutalnie przerywa się gromadzenie słoje życia.

Nie istnieją żadne starannie sporządzone obliczenia w księgach Wszechmocnego Rachmistrza. Istnieją tylko przypadki.

Usiadł i z małego plecaka, z którym codziennie wychodził do lasu, wyjął kanapki i termos. Wgryzł się w chleb z pasztetem i nalał do kubka gorącej kawy. Słońce ogrzewało mu twarz. Ciszę przerywały jedynie zduszone trele sójki.

Ponownie zapatrzył się na potężny pień. Czas stanowi wielkość przedziwną... Numer katastralny ich domu nie zawierał informacji o czasie. Za to w innych okolicznościach niedostatek czasu mógł stanowić poważne zagrożenie, a jego nadmiar — dekoncentrować, co było równie groźne.

W późniejszych latach czas był bez znaczenia. Stał się

wartością nieistniejącą, a mimo to, niepostrzeżenie, za każdy dwunastomiesięczny cykl, który upłynął, dokładał mu kolejny słój.

W tej chwili również nie miał żadnego wycucia czasu. Jakby ta funkcja w jego mózgu została wstrzymana. Bez znaczenia było, czy jest dziewiąta, czy piąta. Wszystko jedno, czy poniedziałek, czy sobota. Miesiąc również nic by dla niego nie znaczył, gdyby nie zmieniające się pory roku, do których przywiązywał wielką wagę. Dlatego wiedział jedynie, że jest lipiec, środek lata. Minęło ponad pół roku, odkąd ślepy los rzucił kośćmi i postawił na jego drodze Johanessa Ottesena. Albo po prostu Rybaka, jak kazał na siebie mówić, bo „tak go tu wołają”.

W nieskończoność można by dyskutować, czy znalazł się wtedy w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, czy wprost przeciwnie. Tak czy inaczej, idąc Johannesowi Ottesenowi na ratunek w pierwszą noc nowego roku, nieoczekiwanie otworzył przed sobą pewne drzwi. Właśnie dlatego nie ruszył wtedy dalej przed siebie wiejskimi drogami. I dlatego teraz siedział właśnie tu.

Rybak miał siedemdziesiąt cztery lata i był za stary, zbyt zmęczony i za bardzo dokuczał mu reumatyzm, aby mógł odpowiednio zadbać o swoje małe gospodarstwo rybne. Nie był jednak nauczony nie pracować.

Już tamtej nocy, łamaną angielszczyzną, zaproponował mu, żeby zatrzymał się u niego na kilka dni. Porządnie się najadł, wyspał w ciepłym łóżku i może trochę pomógł przy rybach. Zgodził się i tak już zostało.

Po dwóch tygodniach przeniósł się do rozpadającego się domu dla pracowników, uprzednio doprowadziwszy go do stanu jakiejś takiej używalności. Rybak twierdził, że dom stał pusty od trzynastu lat, kiedy to był zmuszony zwolnić swojego ostatniego pomocnika, bo zyski z gospodarstwa nie

wystarczały na dwie pensje.

Budynek stał przy zwirowej drodze, jakieś pół kilometra za gospodarstwem, na polanie z lasem liściastym od frontu i dużą plantacją drzew iglastych ciągnącą się na tyłach domu. Zbudował go przed wieloma laty sam Rybak, z wypolerowanych bloków keramzytowych. Na dole były salon, kuchnia i łazienka, a na górze — sypialnia i mały schowek. Dach był pokryty kruszącą się papą, porośniętą dużymi płachtami mchu.

Codziennie wstawał o szóstej i szedł do pracy przy pstrągach tęczowych. Resztę czasu poświęcał na robotę w lesie. Rybak od lat nie robił w nim nic. Pracy było na co najmniej rok. Sam nie wiedział, jak długo zostanie u sympatycznego staruszka, ale...

Ciąg myśli przerwał mu odgłos silnika dobiegający z drogi. Skupił wzrok na miejscu, w którym za moment między drzewami ukaze się samochód. Dłoń położył na broni — niezawodnym neuhausenie, którego zawsze miał pod ręką, z pełnym magazynkiem.

Oto i on. Stary czerwony pick-up Rybaka. Przez moment mimo wszystko zastanawiał się, co zrobić, bo w szoferce obok staruszka siedział jakiś mężczyzna. Ostatecznie schował pistolet do plecaka, ale prawą rękę trzymał w pobliżu kolby. Rybak zawsze jest sam.

— Tam siedzi, skubaniec. Widać zrobił sobie przerwę. I dobrze, zasłużył. Haruje jak wół. Właśnie okorował tamten stary, wielki świerk.

Rybak oderwał rękę od kierownicy, żeby pokazać swojemu pasażerowi samotną postać siedzącą na pieńku na skrawku ogołoczonego poszycia.

— Mówiłeś, że jak on się nazywa? — spytał mężczyzna.

— Dragos... O imię nie pytaj. Zapomniałem.

— Dragos. I mówisz, że jest z Rumunii?

— Dokładnie.

— Jak Drakula.

— Czemu akurat Drakula?

— Bo Drakula też był z Rumunii. Tyle akurat wiem. Dragos czy Drakula, jeden kit.

— Bette, mówię ci: Dragos jest w porządku.

— Kim on właściwie jest i co tutaj robi?

— Jest Rumunem z piłą mechaniczną — uciął Rybak, bo teraz musiał zwolnić i poprowadzić swój wóz zygzakiem pomiędzy pniakami. Dopiero po chwili powiedział z wahaniem w głosie:

— Bette Mathiessen, czy potrafisz dochować tajemnicy?

Korpulentny mężczyzna po jego prawej, który był niemal tak duży jak japońscy zapaśnicy, bijący się w białych pieluchach, których jedyną funkcją jest chyba trzymać klejnoty na miejscu, westchnął głęboko.

— Rybak, daj spokój. Wiesz, że tak.

— Dragos uratował mi życie. Ale o tym ani mru-mru. Nie chcę, żeby to się rozniosło. I on też tego nie chce.

Mathiessen pokręcił wolno głową.

— Wyobraź sobie, że w Nowy Rok... kiedy spałem w najlepsze — znasz mnie, jak zawsze w sylwestra normalnie siedziałem w domu...

Kiedy Johannes zakończył swoją dramatyczną opowieść, przekręcił kluczyk w stacyjce. Ostatni kawałek drogi musieli pokonać pieszo.

— O cholera — prychnął Mathiessen. — To dopiero historia. Miałeś cholerne szczęście. I mówisz, że zrobił to sam jeden? Porozwalał tych bandziorów po ścianach?

Rybak skinął głową i wysiadł.

— I od tamtej pory u ciebie jest?

Rybak ponownie skinął głową, a Mathiessen wygramolił się ze swojego fotela przy wtórze głośnych skrzypnięć

podwozia.

— A on nie ma jakiejś żony i dzieci? Nikt go nie odwiedza? I co robi, jak ma wolne? Rybak, niech to szlag, on nosi kucyk. — Mathiessen przyglądał się wnikliwie postaci na pieńku.

— Wolne? On nigdy nie ma wolnego — roześmiał się Rybak. — Pytałem go, czy nie chce się czasem zabrać ze mną do Brande albo Herning, ale zawsze odmawia. Nawet do Skarrild nie zachodzi... Woli po prostu być tutaj. To ja przywożę mu zakupy. Chociaż nie, jak teraz myślę, to odkąd tu jest, miał trzy wolne dni. Raz pożyczył mój samochód, bo musiał kupić jakieś rzeczy do domu. Pozostałe dwa razy zapakowaliśmy na pakę jedną z moich starych kanadyjek i podwoziłem go do Brande, a potem odebrałem z Sdr. Felding. Mówi, że uwielbia pływać po rzece. I wędkować. Ale nie, powiedział, że nie ma żony ani dzieci. Chodź, Bette, przedstawię cię. Śmiało, przecież cię nie ugryzie.

— *Hello, Dragos! How are you?* — Rybak stał i machał do niego ręką.

Mężczyzna, który człapał za Rybakiem, był tak wysoki i gruby, że przypominał zeppelin na nogach. I bynajmniej nie wyglądał, jakby ta krótka przechadzka po nierównym terenie sprawiła mu przyjemność.

Już chwilę temu odsunął rękę, którą trzymał na plecaku w pobliżu broni. Towarzysz Rybaka przy całej swojej potężnej sylwetce był całkiem nieszkodliwy. Mimo to niespecjalnie mu się podobało, że najwyraźniej będzie musiał się z tym człowiekiem zapoznać. Idealnie byłoby, gdyby mogli pozostać tylko we dwóch, z Rybakiem, i gdyby nikt poza nimi nie wiedział, że tu jest i zajmuje dawną kwaterę pracownika gospodarstwa. Tymczasem Rybak prowadzi do niego tę spoconą górę mięsa.

Uniósł rękę i odpowiedział na pozdrowienie Rybaka. Tak

cudownie cicho było tu jeszcze kilka minut temu. A teraz znów będzie musiał się silić na rumuński akcent. Nie żeby sprawiało mu to jakąś szczególną trudność. Jakoś udało mu się do tego przyzwyczaić. Wolałby po prostu, żeby go zostawić w spokoju.

— *Hello, Dragos, meet my good friend, Mathiessen.*

Uśmiechnął się i skinął olbrzymowi głową.

— *Beer?* — zaproponował gość i z kieszeni kurtki wyjął kilka puszek.

— *No, thanks.* — Pokręcił głową. Alkohol o tej porze dnia spowalniał zmysły i rozleniwił mięśnie.

Rybak dreptał w miejscu, co często mu się zdarzało, gdy szukał w pamięci odpowiednich zwrotów i brał rozpęd do bardziej wyszukanej rozmowy, którą rozpoczynał od dwóch albo trzech krótkich zdań.

— *You see, Dragos, I am going to Brugsen... To buy things... Do you want anything?*

Pokiwał wolno głową. Rzeczywiście brakowało mu paru rzeczy. I lepiej będzie, jeśli załatwią to teraz, niż gdyby Rybak miał go nachodzić w domu. Nie lubił, kiedy go odwiedzał. Bynajmniej nie podejrzewał, aby w dobrym sercu starego mogła się kryć choć odrobina zła. Po prostu zbyt wiele było spraw, do których wolałby, aby staruszek nie wtykał nosa. Z tego też powodu nigdy nie zaprosił go do środka.

Rozdział 5.

Groza. Tak chyba należy nazwać uczucie, które ogarniało go zawsze w pobliżu majestatycznych murów zamku.

Nie przez wzgląd na jego sięgające średniowiecza początki ani bryłę z przydającymi jej dramatyzmu otworami strzelniczymi, bramami, wieżami i iglicami. Kiedyś oczywiście zamek stanowił część umocnień, z których do dziś przetrwało tylko to jedno ogromne, kamienne skrzydło.

Tym, co naprawdę go poruszało, była historia zamku. A ponieważ urodził się tu, czuł dumę, że jego rodzinna miejscowość była w dawnych czasach miastem królewskim. Nyborg był kiedyś ośrodkiem władzy. Wielu kopenhązanom należałoby o tym przypomnieć. Mieszkańcom Jutlandii zresztą również. Większości z nich Nyborg kojarzył się wyłącznie z okrytym ponurą sławą więzieniem. A to wielka szkoda.

Mieszczący się w centrum miasta zamek odwiedził niezliczenie wiele razy. Najpierw jako dziecko bywał tu z rodzicami, potem sam, jako dorosły, a teraz przyprowadzał tu dwójkę własnych dzieci. Powinny znać wspaniałą przeszłość swojego miasta, dowiedzieć się o czasach, gdy mieszkał tu król Danii i gdy na zamku zbierał się Danehof, zgromadzenie najbogatszych i najbardziej wpływowych mężczyzn w kraju, by rozstrzygać o sprawach królestwa i kontrolować działania króla. Albo królowej. Małgorzata Pierwsza wywarła chyba największy wpływ na obecny kształt zamku, rozbudowała go i wprowadziła liczne zmiany.

Od matury ten okres historii Danii nie miał dla niego tajemnic, poruszał się po nim pewnie, ramię w ramię z monarchami.

Nigdy by nie przypuszczał, że to jemu przypadnie zaszczyt sprawowania nocami pieczy nad tym klejnotem kultury.

Zaparkował przy ratuszu. Dokładnie zamknął drzwi i ruszył do zamku, by zrobić obchód. Od czterech lat pracował w Nyborg Security. W fachowym języku czynności, które wykonywali w zamku, nazywały się ochroną prewencyjną. Chodziło o ochronę jedynie zewnętrznych fizycznych granic obiektu. Sprawdzanie wszystkich drzwi, obserwację okien i tym podobne. W praktyce oznaczało to, że skupiali się na budynku administracji, gdzie mieściły się biura pracowników muzeum i kawiarnia, oraz samym wejściu do zamku z szerokimi drzwiami i schodami. Bibliotekę, którą, przechodząc przez most, miał po swojej lewej, sprawdzał w drodze powrotnej.

Lipiec potrafi być zdradliwy. Późnym popołudniem przyszło załamanie pogody. Lało przez większą część wieczoru i teraz znów pokapywało. Nie było widać ani księżyca, ani gwiazd. Niebo nad jego głową przesłaniały zapewne ciężkie i czarne jak smoła chmury. Ale tu, w centrum miasta, nie było ich widać. Ulice były rozświetlone; wszystko przez latarnie i światła w oknach, za którymi ludzie siedzieli do późna, zamiast spać.

Drobne kamienie szurały pod podeszwami mocnych butów. Przed chwilą spojrzął na zegarek. Obchód przebiegał dokładnie tak, jak zaplanował — co do minuty. Zawsze tak było.

Dostrzegł to od razu, gdy tylko po raz pierwszy przystanął i podniósł głowę, by objąć wzrokiem cały ogromny budynek zamku. Coś tam w górze wyglądało nie tak, jak powinno.

Fasadę oświetlały dwa małe reflektory. Mimo to doskonale widział słabe światło dochodzące z jednego z wysokich okien w środkowej komnacie na drugiej kondygnacji. Sala obrad Danehofu. Czasem zdarzało się, że ktoś zapomniał zgasić

światło. Tyle że wówczas w pomieszczeniu byłoby całkiem jasno.

Może to latarka włamywacza?

Serce zaczęło mu bić szybciej i pośpiesznie ruszył w stronę budynku. W takiej chwili dobrze byłoby mieć psa, ale nigdy jeszcze nie pracował z psim stróżem. Wszedł na schody. Działo się tu coś bardzo złego. Drzwi były uchylone.

Pchnął je ostrożnie na tyle, by wślizgnąć się do środka. Mógł wprawdzie od razu wezwać swoich kolegów albo policję, lecz najpierw wolał sam zorientować się w sytuacji. Raz, kiedy pracował w branży od zaledwie trzech miesięcy, zdarzyło mu się wezwać policję podczas obchodu zakładów produkcyjnych. Kiedy włamywaczami okazali się dwaj chłopcy w wieku jedenastu i dwunastu lat, myślał, że spali się ze wstydu. Więcej nie popełnił podobnego błędu.

Znał rozkład budynku na tyle dobrze, że nie musiał włączać własnej latarki. Jej światło od razu by go zdemaskowało.

Nawet nie rzucił okiem na dwie lśniące zbroje po lewej od wejścia. I wyjątkowo nie spojrział na dramatyczne sceny rozgrywające się na ogromnych płótnach zdobiących ściany sali rycerskiej Chrystiana Trzeciego, pierwszej komnaty, do której wchodziło się prosto od drzwi.

Ostrożnie stawiając stopy na posadzce, przeszedł do kolejnej sali.

Światło dochodziło z komnaty Danehofu, tak jak przewidział. Wszedł do niej i natychmiast docisnął plecy do grubego muru. Na końcu sali, pod ścianą, stał tron z ciemnego drewna. W pomieszczeniu znajdowały się również stoły i krzesła, i małe tabliczki opowiadające historię tego miejsca.

Na ścianę ozdobioną jedynie czarno-białą kratką padała słaba wiązka światła. Ze swojego miejsca przy drzwiach

wciąż jednak nie widział, skąd dobiega. Zrobił kilka kroków w głąb komnaty. I wtedy się dowiedział.

Najpierw zobaczył białe trampki. Jego syn ganiał w takich całe lato.

Światło pochodziło z latarki leżącej kilka metrów dalej po prawej. Położona na nodze przewróconego krzesła, rzucała wiązkę po przekątnej. Oświetlała białe buty i fragment okna.

Bez wahania wyjął własną latarkę i ją włączył. Na podłodze leżał człowiek. Martwy. Leżał na plecach. Poświecił na twarz. Mężczyzna. Twarz zakrwawiona. Koszmarny widok. Na środku czoła okrągła, krwawa plama. Zamiast oka potworna miazga krwi i poszarpanych tkanek. Na podłodze połyskiwała duża, ciemna kałuża krwi.

Zwłoki. Mężczyzna. Nie został ot tak zastrzelony. O nie — został trafiony prosto w czoło i lewe oko. Takie strzały nie padają przypadkiem. To była egzekucja. W samym sercu zamku.

Krew pulsowała mu w żyłach jak szalona, z trudem łapał powietrze. Nerwy miał w strzępach, zorientował się, że od dłuższej chwili wstrzymuje oddech.

Co teraz? Starał się zachować jasny umysł. Przypomnieć sobie, czego się nauczył. Chorych lub rannych należało w pierwszej kolejności zbadać — sprawdzić, czy jest tętno, czy oddychają. Potem ułożyć na boku albo reanimować.

Ale zwłoki. Ofiara dokonanej z zimną krwią zbrodni. Poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła i wypycha ku górze gorzką zawartość. Cofnął się parę kroków, przełknął to, co miał w ustach, i wyjął telefon. Wystukał sto dwanaście.

Przekazał niezbędne informacje policjantowi dyżurnemu komendy w Odense i wsunął telefon do futerału przy pasku. Potem ostrożnie się wycofał. Każdy głupi wie, że nie wolno się szwendać po miejscu zbrodni. A to zdecydowanie było

miejsce zbrodni.

W najgorszych koszmarach nie wyśniłby, że stare mury zamku w Nyborgu mogą się stać scenografią mordu dokonanego współcześnie. A już na pewno, że on jako pierwszy znajdzie się na miejscu zdarzenia.

Ponownie przesunął światłem latarki po podłodze. Przemknęło mu przez myśl, że ta twarz wydaje się znajoma. Zebrał się na odwagę. Zrobił dwa kroki w stronę mężczyzny i raz jeszcze poświecił latarką w zmasakrowane oblicze.

Dobry boże... czy to nie inspektor muzeum? Kolejny skurcz żołądka wepchnął mu w gardło nową porcję żółci. Tak... teraz był tego pewien. Malte Bulbjerg. W porządku gość i znana postać w mieście. Zamordowany w najbardziej podniosłym miejscu zamku, nad którym sprawował pieczę. To jakaś paranoja.

Będą go teraz przesłuchiwać na policji. I to pewnie nie raz, nie dwa. W kółko od nowa. Zapowiada się kilka ciekawych godzin albo dni. Musi najpierw to wszystko opowiedzieć sobie samemu. Przypomnieć sobie każdy szczegół, żeby móc możliwie najdokładniej opisać sytuację. I czas. Czas jest zawsze ważny. Poświecił na swój zegarek. Była pierwsza dwadzieścia pięć.

Rozdział 6.

Alarm uruchomił się o pierwszej dwadzieścia pięć. Gwałtownie usiadł na łóżku. Podświetlił tarczę zegarka, zerwał się na równe nogi i szarpnął drzwi szafki.

Dwa duże, płaskie ekrany w starej garderobie lśniły czarno-biało. Oba były podzielone na sześć pól pokazujących obraz z każdej z dwunastu kamer monitoringu.

Syrena wypełniła pomieszczenie przenikliwym, ale stłumionym wyciem. Na wyświetlaczu widział, że alarm został uruchomiony przez kamerę numer siedem. Pojedynczym kliknięciem myszą podłączoną do komputera na dolnej półce szafy wyłączył alarm, teraz mógł się skoncentrować. Potarł oczy i uważnie przyjrzał się obrazowi z siódemki.

Kamera wisiała na wysokiej sośnie górskiej po zachodniej stronie domu, niedaleko ścieżki przecinającej całą plantację. Czarno-biały obraz nagrany w podczerwieni był wyraźny, choć o słabej głębi ostrości. Zobaczył go tuż przy prawej krawędzi monitora — zad sarny.

Nie było wątpliwości. Tył zwierzęcia z charakterystyczną białą plamą widział już nieraz. Bo nie pierwszy raz zdarzył mu się fałszywy alarm z siódemki. Mimo to nie mógł przenieść kamery gdzie indziej, ścieżka musiała być monitorowana. Pod osłoną nocy bez trudu można się nią było zakraść do jego domu.

On jednak mógł spać spokojnie. Nawet mrówka w stroju maskującym nie byłaby w stanie przemknąć niepostrzeżenie. Wokół domu zrobił sobie *full perimeter safety zone*.

Przez tyle lat tak często musiał w pracy posługiwać się angielskim, że nie pamiętał już, jak niektóre rzeczy

nazywają się po duńsku. To jednak było bardzo proste: obraz z dwunastu bezprzewodowych kamer przemysłowych zapewniał ciągłość monitoringu obszaru w promieniu od stu pięciu do stu dziesięciu metrów od domu. Dawało mu to wystarczający czas na reakcję.

Uważnie obejrzał obraz z każdej kamery, ale w mrokach nocy nie znalazł nic podejrzanego, a i sarna zdążyła się oddalić poza zasięg siódemki. Sprawdził jeszcze szybko komputer. Miał w nim ustawione automatyczne przypomnienie. Musiał pamiętać, że jutro jest osiemnasty. Przypomnienie było zbędne. Doskonale o tym wiedział. Zrobi to, co trzeba zrobić, kiedy tylko wstanie z łóżka.

Zapełniający całą szafę sprzęt do monitoringu kupił w specjalistycznym sklepie w Vejle. Po kilku tygodniach pracy u Rybaka wziął sobie wolny piątek i pożyczył od starego samochód, mówiąc, że musi kupić parę rzeczy do domu.

Zamknął drzwi szafy i usiadł na brzegu łóżka. Zastanawiał się, czy spróbować ponownie zasnąć, czy dać za wygraną i już się nie kłaść.

Siódemka powróciła. Jego własny miniseriał koszmarów, które nawiedzały go w podświadomości, by rozplatać mu czaszkę i zostawić mózg sępom na pożarcie. Chwilę przed tym, jak sarna uruchomiła alarm i go uratowała, Krowiarz bezlitośnie się nad nim znęcał.

Krowiarz zawsze wyłaniał się powoli z lodowatej mgły znad rzeki, ciągnąc za sobą na powrozie krowę i idąc wolno główną drogą wioski, z której zostały ruiny i zgliszcza. Starzec podchodził coraz bliżej, a on coraz wyraźniej widział jego dobrą, pomarszczoną twarz. Zmierzał wprost do jedyne go niezburzonego domu.

Pamiętał wszystko, jakby to było wczoraj. Jasnożółty dom ze skrzynkami kwiatów pod oknami i z zieloną furtką. Na ścianie domu, obok drzwi, ktoś namalował krzyż otoczony

czterema literami C w cyrylicy, oznaczającymi *Samo sloga Srbina spasava*, tylko jedność ocali Serbów. Mantra powtarzana w każdym zakątku ogarniętego wojną kraju.

Krowiarz stał się symbolem czystki etnicznej. Cztery C były jak krew baranka na drzwiach domów Izraelitów, by anioł Niszczyciel ominął je w poszukiwaniu ich pierworodnych.

Nocami porażała go atmosfera tamtej sceny — armia śmierci, zagłada, pustka i cisza w zimnej mgle. Zawsze budził się w tym samym momencie — w chwili gdy twarz starca ulegała przemianie. Gdy zrównał się z nimi na tamtej wiejskiej drodze, jego usta rozwarły się w wilczym uśmiechu, ukazując spróchniałe kikuty zębów. Oczy zrobiły się wąskie i żółte, a twarz ostra jak brzytwa.

Wtedy się budził. W prawdziwym życiu nigdy się nie dowiedział, czy Krowiarz tylko podstępnie się wtedy uśmiechnął, czy też najchętniej skoczyłby mu do gardła.

Widział go po raz trzeci w ciągu niespełna dziesięciu dni. Przez pewien czas wydawało mu się, że ma to już za sobą. Koszmary nawiedzały go coraz rzadziej. Teraz jednak tendencja się odwróciła. Kiedy to się skończy? Czy kiedykolwiek dadzą mu spokój?

Gdyby tylko mógł zabić baranka i wysmarować nadproża krwią, aby Siódemka omijała jego dom...

Położył się i nakrył kołdrą. Czy przypadkiem nie siedział dziś na pieńku i nie dowodził przed sobą samym, że czas jest bez znaczenia? Cóż, w jego płynącym poza czasem życiu istniała przynajmniej ta jedna data: osiemnasty dzień każdego miesiąca.

Osiemnasty był dniem, kiedy stawał w pogotowiu. Osiemnasty mógł oznaczać różnicę między życiem a śmiercią.

Tego jednego dnia logował się do serwera znajdującego się — o ile dobrze pamiętał — w Singapurze, miejscu tak

egzotycznym, jak tylko się dało. Procedura była bardzo prosta: musiał postawić krzyżyk w trzech małych kwadratach, wylogować się i czekać, aż znów będzie osiemnasty.

Niewykonanie tej procedury uruchomiłoby serię gwałtownych wydarzeń. Duński rząd w ciągu kilku godzin musiałby znaleźć nowego ministra sprawiedliwości. I jednocześnie rozpoczęto by zakrojone na szeroką skalę polowanie — na niego. A raczej na jego głowę.

Teraz wiedział już, że nie zaśnie. Doskonale znał scenariusz, kiedy zbliżał się osiemnasty. Przed oczami mimowolnie stawały mu obrazy z zeszłego roku. Film sam odtwarzał się w jego głowie, jakkolwiek by się przed tym wzbraniał.

Niespecjalnie mu zależało na podsumowaniach, ile zyskał, a ile stracił w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Postanowił zatrzymać się u Johannesesa Ottesena dokładnie po to, by stanąć w miejscu i pozwolić, aby czas płynął obok. I może przy okazji zaleczyć kilka ran, jeśli to prawda, co mówią, że czas jest w stanie dokonywać takich katolickich cudów.

Miał jednak przy tym na stałe wypaloną w świadomości tę jedną bolesną konstatację: stracił najlepszego przyjaciela i partnera. Ta strata kładła się cieniem na wszystkim, co w przeciwnym razie mogłoby się wydawać czymś pozytywnym.

Gdyby został w ciemnej, zawilgoconej piwnicznej izbie przy Rentemestervej w północno-zachodniej Kopenhadze, żywiąc się tym, co znalazł w kontenerach na tyłach Fakty, Mr. White żyłby nadal. Kochany, dobry samojed mógłby prychać z zadowoleniem i wciskać kufę we wnętrze dłoni. Dłoni, którą teraz wypełniał jedynie ból fantomowy.

Gdy wysiadł z Mr. White'em na stacji w Skørping, żeby spędzić wiosnę i lato w rozległych lasach Rold Skov na

północy Jutlandii — tego dnia przypieczętował los Whiteya.

Tamtego dnia zaprowadził siebie i swojego partnera w niewłaściwe miejsce o niewłaściwym czasie. Przez tamtą decyzję był zmuszony włączyć się w sprawę wieszanych psów. W arcyżłozone śledztwo w sprawie serii zbrodni na wpływowych mężczyznach — i ich psach.

Okrutny sposób, w jaki Mr. White zakończył ziemskie życie, stał mu przed oczami w najdrobniejszych szczegółach. Mimo że jego pan był jedynie wojennym weteranem, pozbawionym jakiegokolwiek władzy czy wpływów.

Kiedy odciął sznur, osunął się na ziemię i długo siedział, trzymając psa w ramionach. I odkąd pochował go w dolinie rzeki Lindenberg Å, wciąż był w żałobie.

Od tamtej pory nawet nie pogłaskał żadnego psa.

Z kuchni dobiegło go chrobotanie. Wstał, naciągnął koszulkę, włączył latarkę i boszo zszedł na dół wąskimi drewnianymi schodami.

Zasłona w kuchni nie była zaciągnięta. Gdyby zapalił światło, dla każdego, kto mógłby się znajdować na zewnątrz, stałby się podświetloną tarczą. Latarka wystarczy w zupełności i nie ma potrzeby zaciągać rolety, pierwszej rzeczy, którą zamontował po przeprowadzce. Dźwięki dochodziły oczywiście z pudełka w rogu małej kuchni. Poświecił do środka.

Małe, czarne pisklę skuliło się na słomie oślepienie nagłym światłem. Była to wrona, a właściwie czarnowron. Znalazł go kilka dni temu w lesie. Musiał wypaść z gniazda. W poszyciu nie przeżyłby doby, dlatego zabrał go do siebie. Jeśli okaże się wojownikiem, dopasuje się do nowej sytuacji, dobrze się naje i robi się silniejszy, a wtedy będzie mógł wyfrunąć na wolność. Alternatywa była jak zawsze logiczna.

Wrony, gawrony i rzadkie kruki nie były stworzeniami słynącymi z uroku czy wdzięku. Wypełniały jednak określoną

misję w świecie przyrody. A wrony zalicza się ponadto do najinteligentniejszych ptaków, więc jeśli maluch w kartonie ma łeb na karku, będzie umiał docenić pomocną dłoń.

Wyłączył latarkę i usiadł na rozchybotanym taborecie. Podświetlił tarczę zegarka. Druga jedenaście. O wiele za wcześnie, by wstawać. I za późno, by zrobić cokolwiek z tym, że był całkiem rozbudzony — i wykończony.

Przeraziło go spotkanie z Krowiarzem we mgle. Do tego sarna postawiła wszystkie zmysły w stan gotowości. Musiał poczekać, aż poziom adrenaliny się ustabilizuje.

Jednym z pozytywnych skutków pobytu u Rybaka było to, że Siódemka w ciągu tych pierwszych miesięcy odwiedzała go dość rzadko. Ukuł na ten temat własną teorię — uznał, że dobrze mu robiło wczesne wstawanie i wypełnianie dni ciężką, fizyczną pracą. Po takim wysiłku ciało — a tym samym głowa — było wycieńczone i potrzebowało regeneracji.

Nadal zdarzały mu się ostre jak brzytwa przebłyski wspomnień, które nachodziły go gdziekolwiek i kiedykolwiek, nie wiadomo czym wywołane. Lecz przytrafiały się coraz rzadziej. Może dlatego, że tu, u Rybaka, świat wydawał się tak nieskończenie prosty, zrozumiały i przewidywalny.

Napiął mięśnie prawej ręki. Biceps wyskoczył duży i twardy. W piwnicy przy Rentemestervej taki nie był. Nawet jeśli nie osiągnął nic innego, to z całą pewnością wypracował dobrą kondycję, harując przy pstrągach i wycince.

Johannes Ottesen nie krył zażenowania, gdy proponował mu dwadzieścia pięć koron za godzinę. Bardzo się napocił, aby po angielsku przeprosić swojego rumuńskiego wybawcę i wytłumaczyć mu, że stawy hodowlane to przestarzały i mało dochodowy biznes i że więcej nie może mu zaoferować.

Dwadzieścia pięć koron to faktycznie mało. Za to dostawał je prosto do ręki. I choć dużo się mówi o duńskich pracodawcach, którzy bez najmniejszych skrupułów wyzyskują robotników z Europy Wschodniej, nie miał wątpliwości, że Rybak naprawdę nie był w stanie płacić więcej, jeśli cokolwiek miało wystarczać na życie jemu samemu. A poza tym nie miało to żadnego znaczenia. I tak nie potrzebował tych pieniędzy.

Wrona przestała szeleścić w słomie. Może czuła, że on tu siedzi po ciemku i dotrzymuje jej towarzystwa.

Sprawa wieszanych psów właściwie roztrzaskała w drobny mak jego proste, skromne życie — dosłownie jakby ktoś wrzucił mu granat do domu. To zaś, co z niego pozostało, teraz poskładał na nowo, w całkiem innej całość.

Kiedyś, gdy poczuje się na siłach, będzie musiał wrócić na stare śmieci i pozbierać pozostałe resztki. Dokładając kolejne kawałki, zbudować podstawę dość mocną, by pewnie na niej stanąć. Ale na razie pozostanie w zawieszeniu, tu, u Rybaka. Na czas nieokreślony.

Margrethe Franck... Czasem o niej myślał. O jednonogiej policjantce z PET, Policyjnej Służby Wywiadowczej, z którą był zmuszony pracować. Gdyby go teraz widziała... w kalesonach i dziurawej koszulce, na rozchybotanym taborecie w zrujnowanej kuchni, gdzie za deskami pod zlewem regularnie rajcowały szczury, a cały dom chylił się ku ruinie — w towarzystwie pisklaka wrony. Taa... ciekawe, jak by to skomentowała Margrethe Franck.

Stwierdzenie, że myślał o niej czasem, było w istocie niedopowiedzeniem. Stanowiła jedyne przyjemne wspomnienie z minionego roku. A on w ostatniej chwili wystawił ją do wiatru. Pamiętał, jak potem starał się przelać na papier odpowiednie słowa. Trzykrotnie podejmował rozpaczliwe próby wyjaśnienia jej, dlaczego tak postąpił, ale

za każdym razem jego próby trafiały do kosza. Nie znajdował słów. A te, które przychodziły mu do głowy, nie brzmiały tak, jak powinny. Ostatecznie musiał się zadowolić prostym:

„Droga Margrethe. Wybacz mi”.

Wiadomość zostawił w pokoju hotelowym — i z plecakiem ruszył w drogę.

Tamtego dnia, gdy wymknął się z Rold Storkro i uciekł przed Margrethe Franck i pozostałymi, rozpoczęła się jego długa, pozbawiona celu i kierunku wędrówka, która zakończyła się na wiązce słomy w szopie Johanna Ottesena.

Jego najpotężniejszym przeciwnikiem były makabryczne koszmary, ale gdzieś tam na świecie istniało inne, bardziej konkretne zagrożenie. Stare gospodarstwo rybne dawało schronienie, lecz ktoś w jego położeniu nigdy nie mógł się czuć całkowicie bezpieczny.

Dlatego jutro rano będzie musiał się zalogować do serwera w Singapurze i postawić trzy krzyżyki. To jakby osiemnastego każdego miesiąca odnawiał sobie ubezpieczenie na życie. W ten sposób blokował działania tych, którzy na niego czyhali.

Jeśli nie wyda określonych poleceń komputerowi, nim data przeskoczy z osiemnastego na dziewiętnasty, rozpęta się piekło.

Serwer w Singapurze automatycznie roześle pocztą elektroniczną wiadomość do redakcji informacyjnych DR, duńskich mediów publicznych, radia i telewizji, oraz działów informacyjnych pięciu największych duńskich dzienników. Do e-maila dołączony będzie trwający dwadzieścia cztery sekundy plik wideo.

Film będzie przedstawiał Ulrika Rosborga. Człowieka, który według wszystkich mądrych głów jest obecnie

najpewniejszym kandydatem na premiera. Człowieka, który dla wielu stał się niemal ikoną uosabiającą trzy pozornie niemożliwe do połączenia wartości: zdrowie, moralność i politykę.

Ulrik Rosborg był ucieleśnieniem powiedzenia „w zdrowym ciele zdrowy duch”. Dbał o kondycję i ukończył hawajskiego Ironmana. Raz zaprosił cały naród do swojego domu na turboodżywcze, niskotłuszczowe śniadanie i przed kamerami przekomarzał się w kuchni z pięknymi jak z obrazka dziećmi i zadbaną żoną — architektką wewnątrz.

Tacy się okazali fotogeniczni i zdrowi, że z jednego programu zrodziła się cała seria, w której mieszkańcy idyllicznej wiejskiej posiadłości w Nødebo udzielali narodowi bogatych w błonnik porad. Sam Rosborg od tamtej pory bardzo chętnie pokazywał się na wszystkich wydarzeniach związanych z promocją zdrowego stylu życia.

Na filmie, który pochodzi z monitoringu na zamku Nørlund nieopodal Rold Skov, będzie można zobaczyć, jak minister sprawiedliwości z nieposkromioną wściekłością, brutalnie posuwa od tyłu kobietę, jednocześnie jak oszalały zaciskając obroź, którą ta ma na sobie. I zaciska ją dopóty, dopóki kobieta nie pada martwa na prześcieradło.

Na filmie widoczna jest pełna data. Nagraniu towarzyszyć będzie krótki tekst: „Minister sprawiedliwości Ulrik Rosborg i Virginija Zakalskyte (Wilno, Litwa) na zamku Nørlund”.

To powinno wystarczyć, aby utrzymać w ryzach potężne, budzące grozę siły, z jakimi razem z Margrethe zetknęli się przy okazji śledztwa. W tej sytuacji dla nich byłoby wręcz katastrofalne, gdyby cokolwiek mu się stało i w wyznaczonym dniu nie mógł się zalogować do serwera.

Nie miał wątpliwości, że podczas swojego śledztwa razem z Franck dotknęli samego rdzenia sfery wpływów o niewyobrażalnym zasięgu. Była to władza wywodząca się

wprost od średniowiecznego parlamentu, Danehofu, który zbierał się na zamku w Nyborgu. Przekazywana kolejnym pokoleniom i częściowo przekształcona, dziś funkcjonowała jako wysoce poważany think tank o nazwie Consilium.

Materiały, które ukradł z zamku Nørlund, zawierały listy z nazwiskami i kartki z dziennika. Z zimną, brutalną wręcz dokładnością opisano na nich, w porządku chronologicznym, szereg uruchomionych przez organizację procedur, które nie pozostawiały wątpliwości, że ludzie działający po ciemnej stronie władzy uciekali się również do likwidacji.

Niektóre z najbardziej kompromitujących dokumentów zachował dla siebie. Najpierw przesłał je na przechowanie swojemu przyjacielowi, L.T. Fritsenowi. A gdy je odzyskał, przebrnął przez nie niezliczenie wiele razy. Teraz spoczywały należycie ukryte — zakopane w plastikowym pudełku u stóp ogromnego modrzewia.

Resztę archiwum skopiował i wysłał pocztą do inspektora muzeum zamku Nyborg, którego Margrethe znalazła podczas ich śledztwa. Ten młody człowiek był ekspertem od Danehofu i pisał na jego temat pracę. Dokumenty wysłał anonimowo. Miał nadzieję, że pomogą zapalonemu muzealnikowi w jego badaniach.

Rozdział 7.

Dreszcz przeszedł mu po plecach. Próbując strząsnąć z siebie lodowate zimno, na zmianę kulił i unosił ramiona.

Miał pięćdziesiąt cztery lata, był zastępcą komendanta i szefem Wydziału do Walki z Przystępczością Przeciwko Życiu i Zdrowiu. Nie było to bynajmniej pierwsze zabójstwo w jego skądinąd długiej karierze w fiońskiej policji. Gwałtowną reakcję wywołały u niego przede wszystkim następujące dwie okoliczności.

Po pierwsze, sceneria... ofiara leżała na podłodze nie gdzie indziej, ale w samej komnacie Danehofu, skąd u zarania dziejów sprawowano rządy nad królestwem. Miał wrażenie, jakby się cofnął w czasie. Jakby w każdej chwili mogła tu wejść Małgorzata Pierwsza. I niby jak taki współczesny inspektor policji miałby się zachować, by okazać średniowiecznej monarchini należną jej cześć?

Po drugie, media... dziennikarze tylko czekają na podobne sensacje. Flesze aparatów policyjnych techników były złowieszczą zapowiedzią błysków, jakie wkrótce się posypią. Dokładnie tak jak on teraz fantazjował na temat podróży w czasie, dziennikarze będą snuć opowieści, których dramatyzm przechodzi ludzkie pojęcie. To, co tu się wydarzyło, było zbrodnią wręcz spektakularną. Pismaki z miejsca rzucą się na nią jak wygłodniałe hieny. A jeśli czegoś w swojej pracy nienawidził, to właśnie dziennikarzy, którzy zawsze, ale to zawsze przeszkadzają w postępowaniu.

Nazywał się Hans Peter Andersen, ale od zawsze nazywano go H.P. Andersenem. Tylko jedna głoska różniła zatem jego nazwisko od nazwiska baśniopisarza, najbardziej znanego człowieka, jaki kiedykolwiek urodził się w tym

kraju. Lecz poza nazwiskiem i faktem, że obaj wychowali się w Odense, różniło ich wszystko.

Praca policjanta w świecie przestępczości nie miała w sobie nic z baśni. H.P. interesowały wyłącznie fakty. Dlatego wiedział, że żadna królowa, żadni władarze ani rycerze nie wkroczą na arenę. Tamten drugi Andersen z kolei mógłby pewnie z tego, co tu widać, stworzyć całkiem zgrabną, poetycką opowieść. Trochę jak ta przeklęta prasa.

— Bromann? Jesteś *absolutnie* pewien, że *to on*?

Ze swojego miejsca przy drzwiach, gdzie stał z foliowymi workami na butach, raz jeszcze zażądał zapewnienia od mężczyzny w białym kombinezonie. Ten zaś słynął z nieskładania jakichkolwiek zapewnień na miejscu zdarzenia.

— Tak, jestem. Jezu, mam ci to dać na piśmie?

— Sam wiesz, jak jest. Muszę mieć całkowitą pewność. Będzie z tego jatka. Cholernie krwawa jatka.

Inspektor uniósł pojednawczo rękę i próbował się uśmiechnąć do klęczącego przy zwłokach medyka sądowego. Jednocześnie w swoich wciąż wzburzonych myślach dopisał do scenariusza punkt trzeci.

Leżąca w kałuży krwi ofiara, choć nie miała przy sobie żadnej legitymacji, bez wątpienia była dyrektorem zamku, inspektorem muzeum Maltem Bulbjergiem we własnej osobie. Bromann powinien to wiedzieć lepiej niż ktokolwiek. Sam mieszka w Nyborgu.

Wkrótce, gdy ciało zostanie odesłane do instytutu medycyny sądowej, a technicy na dobre przejmą stery, będzie mógł stąd odejść ze świadomością, że to dopiero początek.

Bo do swojego sprawozdania mógłby dodać jeszcze jeden sensacyjny punkt: inspektor muzeum nie został zwyczajnie zamordowany. Wszystko wskazywało na egzekucję. W jego czole tkwiła kula, która go zabiła, i dodatkowa w lewym oku.

To ostatnie mógł wytłumaczyć tylko tym, że sprawca chciał na zwłokach muzealnika pozostawić swoisty podpis. Bo po co inaczej strzelać komuś w oko?

H.P. bardzo cenił Bromanna, który był zdecydowanie najbardziej doświadczonym z wszystkich medyków sądowych, z jakimi zdarzyło mu się pracować. Rozumiał także powściągliwość Bromanna. Jak każdy lekarz, zanim będzie mógł choćby teoretycznie wypowiedzieć się na temat obu strzałów, musi szczegółowo obejrzeć ciało u siebie, na metalowym stole. Ale w praktyce... cóż, strzał w czoło na ogół bywa śmiertelny. Prasie jednak nie wolno przekazać żadnych szczegółów odnośnie do obu strzałów. Sam tego dopilnuje.

— A to co...?

Bromann, który wciąż klęczał przy zwłokach, pochylił się do przodu.

— Co takiego?

— To.

Dwoma palcami — kciukiem i palcem wskazującym patolog uniósł mały woreczek.

— Prawie go przeoczyłem. Leżał pod jego nogą.

— Cholera. Jeszcze tego brakowało.

— Naprawdę myślisz, że... — Bromann nie dokończył.

On sam mógł tylko wzruszyć ramionami. I dodać do scenariusza jeszcze jedną niesprzyjającą okoliczność.

— Nie mam pojęcia. Trzeba czekać na wyniki testów.

Role się odwróciły — teraz to on, policjant, wypowiadał się z rezerwą. Ale w praktyce tylko jeden typ ludzi nosił przy sobie małe zamykane woreczki — typ działający w branży narkotykowej. Tej informacji również prasa nie dostanie.

— Mieszkaś tu od lat, prawda?

Bromann pokiwał głową.

— Od dwudziestu pięciu.

— Jak byś go opisał?

— Czekaj. Już skończyłem. Zabierzmy wszystko naraz — odparł Bromann, z trudem wstając i prostując zastane kolana.

Przeszli do sali obok, gdzie technicy czekali, aż będą mieli pomieszczenie tylko dla siebie.

— Wielokrotnie z nim rozmawiałem. Przez jakiś czas byłem w komitecie kiermaszu średniowiecznego, zdarza mi się też działać w klubie piłkarskim. On z kolei udzielał się w obu tych miejscach. Myślę, że był tu znaną postacią. Powiedziałbym nawet, że powszechnie lubianą. Na poziomie czysto profesjonalnym, uwielbienie dla Nyborga i zamku oraz zachwalanie zalet tego miejsca było oczywiście częścią jego pracy i trzeba przyznać, że robił to fenomenalnie. Z tego, co wiem, liczba odwiedzających szła niezmiennie w jednym tylko kierunku: ku górze.

— Hm. A żona? Dzieci?

— Tylko żona.

— Więc na pierwszy rzut oka nie miał żadnych wrogów? — Inspektor uniósł pytająco brwi.

— Tak w każdym razie powiedziałaby mieszkaniarka miasta zagadnięty na ulicy. Ja natomiast pracuję w tej branży dość długo, by wiedzieć, że wielu rzeczy nie widać gołym okiem. Zgodzisz się ze mną, prawda? To chyba twoja domena. Mimo wszystko będę bardzo zaskoczony, jeśli okaże się, że faktycznie coś jest na rzeczy z tym woreczkiem.

— Rozumiem. Chciałem tylko... Możesz powiedzieć coś jeszcze? Czas zgonu, mniej więcej?

— Brak stężenia pośmiertnego. Również plamy pośmiertne nie są jeszcze w pełni uformowane. To pozwala nam określić przedział dwóch, góra trzech godzin. Przy założeniu, że nie wystąpiły żadne okoliczności szczególne.

— Stróż wszczął alarm dwadzieścia po pierwszej.

Niespełna dwie godziny temu. Czy to znaczy, że teoretycznie mógł umrzeć na kilka minut przed pojawieniem się strażnika?

— Tak, na to wygląda — przytaknął Bromann. — Mogę się nim zająć koło południa. Bo zakładam, że zależy ci na jak najszybszej sekcji, prawda?

— Byłoby świetnie. Wielkie dzięki.

Nie spodziewał się sekcji aż tak szybko, mimo że sprawa była pilna. Ważne, aby śledztwo od razu nabrało tempa.

Stał przy schodach prowadzących od leżącej poniżej ścieżki przy fosie w górę, na dziedziniec zamkowy. Stał samotnie w ciemności, paląc papierosa, by rozjaśnić umysł i przemyśleć kolejno wszystkie punkty.

Wyżej, przy wejściu do muzeum, widział Bromanna, jak schodził po schodach i kierował się do swojego samochodu. Nie zazdrościł mu. Rozcinanie całkiem obcych ludzi było wystarczająco upiorne, ale to, co czekało go teraz...

Od nowa przeanalizował ustalenia, jakie poczynił, i polecenia, które należało wydać. Jeszcze w drodze ze swojego domu w Kerteminde uruchomił rutynową w czasach nowych technologii procedurę: zebranie od operatorów komórkowych danych o ruchu w centrum Nyborga. Woreczek znaleziony na miejscu zdarzenia odesłano do ekspresowej analizy do Fredericii, podobnie jak telefon komórkowy, który miał przy sobie zmarły inspektor muzeum.

Najważniejszy był jednak woreczek. Jeżeli wynik analizy będzie pozytywny, sprawa jeszcze bardziej się skomplikuje. Jeśli się okaże, że młody muzealnik obracał się w szemranych kręgach gangów narkotykowych albo miał z nimi choćby najmniejszą styczność, to łatwo nie będzie. Z punktu widzenia samego śledztwa środowisko narkotykowe zawsze jest trudno dostępnym obszarem prowadzenia

działań.

Gdy za kilka godzin miasto się obudzi, trzeba będzie się przyjrzeć całej reszcie, zarzucić sieci możliwie najszerzej: banki, urzędy, miejsce pracy, rodzina i inne bliskie osoby. Liczył się czas. Jeśli od początku nadadzą sprawie odpowiednie tempo, to będą mogli kontrolować sytuację.

Czy sprawca i ofiara się znali? Pytanie za sto punktów — jak zwykle. Zabójstwa, w których nie było żadnych powiązań między ofiarą a sprawcą, zdarzały się wyjątkowo rzadko — i wyjątkowo trudno było je wyjaśniać.

Zdusił papierosa na murze i pstryknął niedopałek w powietrze. Choćby wypalił pół paczki, niczego to nie zmieni. Teraz czeka go najgorsze. Sam sobie wyznaczył ciężkie zadanie powiadomienia najbliższych — w tym wypadku żony. Dotąd nie zgłosiła zaginięcia, ale mogła mieć ku temu całą masę powodów.

Sam już nie pamiętał, ile razy odbywał tego typu rozmowy. I każda przebiegała inaczej, bo wszystko zależało po części od sytuacji i środowiska ofiary. Miał jednak silne przeczucie, że tym razem będzie naprawdę ciężko. Lecz jeśli zastępca komendanta miałby sobie nie poradzić, to kto?

Rozdział 8.

Migający na pomarańczowo kogut na dachu dźwigu ostrzegał, że trzeba będzie uzbroić się w cierpliwość. Rząd samochodów już teraz zdawał się nie mieć końca. Zamiast odbić wcześniej, przez poranne rozkojarzenie wpakowała się prosto w tę oto zasadzkę na obwodnicy Gladsaxe, gdzie zderzyły się dwa samochody i zablokowały jedyny pas. Teraz mogła tylko siedzieć w swoim mini cooperze, ściśniętym jak szynka w kanapce, i przeklinać ile wlezie.

Nie zdąży, nie ma szans. Usunięcie uszkodzonych pojazdów z drogi i zwolnienie pasa może potrwać jeszcze zarówno pięć, jak i dziesięć minut. Wybrała numer na komórcę.

— Mówi Margrethe Franck. Możesz powiedzieć Eriksenowi, że trochę się spóźnię? Utknęłam w korku.

Stała na wysokości cmentarza. Do kwatery głównej PET przy Klausdalsbrovej było stąd całkiem niedaleko — prosto do ronda, potem długie przyśpieszenie na Buddingevej, skręt w lewo i wjazd na parking. Niestety, nawet mini cooper nie miało jeszcze funkcji fruwania, a pomarańczowe światło wciąż migało w tym samym miejscu.

Bębniła palcami w kierownicę, jakby mogła w ten sposób usunąć przeszkodę. W końcu się poddała. Włączyła radio i osunęła się w fotelu. Właśnie szły wiadomości.

Wciąż wałkowali brakujące rozliczenie podróży zagranicznych premiera. Afera ciągnęła się tyle czasu, że zapomniała już, od czego się zaczęła. I czy nie mieli w kraju już wcześniej podobnych spraw? Czy aby stawiane zarzuty nie dotyczyły wszystkich premierów? Jak nie tu, to tam — wszędzie bagno.

Rosja wczoraj wieczorem znów odgrażała się Stanom i Europie Zachodniej, przez co odnotowano pewną nerwowość na azjatyckich giełdach.

A w Peru niedaleko jakichś słynnych inkaskich ruin osunęła się ziemia. Zginęło wielu zagranicznych turystów, w tym dwóch Szwedów. Może przy okazji również ucierpieli jacyś miejscowi? Ach, o nich nie mówimy. Jak wiadomo, zwłoki mają różny ciężar, gdy położyć je na wadze.

„...i wracamy do wiadomości z kraju. Zeszłej nocy w Nyborgu, na terenie tamtejszego średniowiecznego zamku został zamordowany młody mężczyzna. Ciało porzucone w tak zwanej komnacie Danehofu znalazł pracownik ochrony muzeum. Szczegóły na razie nie są znane. Zastępca komendanta policji regionu Fionii H.P. Andersen poinformował jedynie, że mężczyzna najprawdopodobniej zmarł od rany postrzałowej”.

Zamek w Nyborgu miejscem zbrodni? Strzały w komnacie Danehofu? Nie największej, lecz z historycznego punktu widzenia najbardziej znaczącej z zamkowych komnat? Brzmiało nieprawdopodobnie. Były takie miejsca, w których zbrodnia nawet policyjną głowę potrafiła wprawić w osłupienie.

Była w tym zamku rok temu. Stała w tamtej komnacie. Razem z Nielsem Oxenem, wysoko odznaczonym weteranem wojennym, wciągniętym nieoczekiwanie w gniazdo os, jakim stało się wyjaśnianie serii zabójstw.

Podczas ich przymusowej współpracy przy sprawie z wieszanymi psami poznali inspektora tamtejszego muzeum, którego nazwisko tymczasem jej uleciało. Był stosunkowo młody jak na pełnioną funkcję i okazał się bardzo pomocny w śledztwie. Jego zaraźliwy zachwyty nad przeszłością zamku zrobił wrażenie na nich obojgu.

Znów pokręciła głową z niedowierzaniem. Zabójstwo na

zamku? Sprawa zostanie mocno nagłośniona. Gość prowadzący śledztwo nie będzie w stanie zbyt długo utrzymać media na dystans swoim „brakiem dalszych komentarzy”. Kiedy tylko dziennikarze na dobre wygrzebią się z pieleszy, rozpocznie się współczesny najazd na Nyborg w poszukiwaniu nowych szczegółów. I zawsze znajdą się jakieś przecieki.

Wyglądało na to, że dwa pomarańczowe koguty na przodzie w końcu się ruszyły. Chwała Bogu, chociaż narada i tak już się zaczęła.

Dziwne, że nagle wczesnym rankiem pojawia się wzmianka o Nyborgu. Nie dalej jak wczoraj wieczorem myślała o Oxenie. Myślała o nim wiele razy, odkąd zamknęli śledztwo — z różnych powodów i w różnych okolicznościach. Poświęciła mu od tamtej pory całkiem sporo czasu.

Szef kazał jej go odnaleźć. Ale nawet gdyby nie kazał, to pewnie i tak by go szukała. Przeczesała cały kraj — w rozumieniu czynności śledczych — i nie natrafiła na najdrobniejszy choćby trop.

N.O. ponownie wybrał życie poza systemem społecznym.

N.O. zwyczajnie przestał istnieć.

W chwilach zwątpienia snuła czarne scenariusze — może nie żyje? Może choroba popchnęła go do przekroczenia granicy życia?

Z drugiej strony powód, dla którego nie była w stanie go namierzyć, mógł być całkiem banalny. Oxen mógł po prostu wyjechać z kraju.

W końcu... kolejka samochodów ruszyła żółtym tempem. Przy odrobinie szczęścia będzie uczestniczyć w większej części narady.

Naradę zwołano w celu omówienia implementacji nowej strategii PET w zakresie monitorowania i gromadzenia osobowych danych rozpoznawczych, inaczej HUMINT —

human intelligence, z kręgów duńskiej skrajnej prawicy. Bo że takowa istniała, nie ulegało wątpliwości, choć grupa stanowiąca jej trzon była stosunkowo nieliczna.

Do sali konferencyjnej weszła akurat w momencie, gdy zaczęło się robić ciekawie. A teraz wracała z lunchu i resztę dnia miał jej wypełnić stos papierów zalegających na biurku.

— Margrethe?

Oczywiście natychmiast rozpoznała głęboki głos, choć nieczęsto zagadywał do niej na korytarzu. Odwróciła się. Sam wierzchołek kierownictwa PET, Axel Mossman, zbliżał się do niej z trzema grubymi segregatorami pod pachą. Był tak potężnej postury, że miało się wrażenie, jakby brał zamach przed każdym krokiem. W tak dużym stworzeniu próżno szukać choćby śladu gibkości.

Spojrzała na niego pytająco.

— Wiem, że minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz o to pytałem, ale — Niels Oxen. Jest coś nowego na jego temat?

Chyba wyglądała na zaskoczoną, bo Mossman dodał:

— Prosiłem, żebyś go namierzyła. Zakładam, że o tym nie zapomniałaś. Nadal chciałbym z nim porozmawiać.

Lecz ją zaskoczyło nie jego pytanie, ale fakt, że zadał je akurat teraz. Sama właśnie o nim myślała, do tego zabójstwo w Nyborgu i teraz Mossman.

— Nie, nie zapomniałam. Przecież regularnie składałam ci raporty, prawda? Czy to ma jakiś związek z Nyborgiem?

Co za pytanie. Jaki niby miałyby być ów związek? Wyrwała się z tym pytaniem, nim zdążyła pomyśleć. Axel Mossman zresztą również uniósł brwi zdziwiony.

— Z Nyborgiem? Nie, pytam o Oxena, bo przypomniałem sobie, że miałem cię o to zagadnąć.

— Rozumiem. Ale nie, nic nowego. Zapadł się pod ziemię.

— Nawet najmniejszego...?

Pokręciła głową.

— Nic, najmniejszego śladu. Prześwietliłam cały system. Wszystkie urzędy, wojsko, stowarzyszenia weteranów, ośrodki dla weteranów, przyjaciół, rodzinę, byłą żonę... w każdym z tych miejsc zostawiłam wiadomość, że czekam na kontakt, jeśli ktokolwiek cokolwiek będzie wiedział. Również żadnych śladów elektronicznych. Sam uposażyłeś go w wystarczającą ilość gotówki, by nieprędko musiał użyć karty. Jeśli oczywiście takową posiada. Bo nie wydaje mi się, aby te rzeczy nadal go interesowały.

— Cóż, pracuj dalej, Margrethe, i nie zrażaj się. Kto wie, może niespodziewanie gdzieś się pojawi. A o co chodzi z tym Nyborgiem?

— A, nie, nic takiego. Byłam myślami gdzie indziej.

Axel Mossman uklonił się, odwrócił i teraz oddalał, taszcząc segregatory. Margrethe zaś poszła do swojego biura, zniechęcona perspektywą papierkowej roboty i poruszona nagłym pytaniem o Oxena.

Była na siebie zła. Często jej się to zdarzało w ostatnim roku. Jej dobre relacje z Axelem poważnie ucierpiały na sprawie z wieszanymi psami. Przed laty to on osobiście wciągnął ją do służby i uczynił kimś w rodzaju swojej prawej ręki. Teraz odsunął ją na długość ramienia — albo jeszcze dalej. Obecnie była głównie asystentką szefa operacyjnego, Ryttera.

Chociaż kto wie, może ochłodzenie relacji było obustronne. Bo musiała przyznać, że sama od czasu tamtej sprawy nie wiedziała, co o nim myśleć — o swoim szefie, człowieku kierującym całym PET, który być może czynnie utrudniał ich śledztwo. Możliwe, że po cichu uległ presji i bez sprzeciwów zgodził się, aby sprawę zamknięto. A możliwe — choć nigdy nie będzie można mu tego udowodnić — że sam był częścią sprawy.

Miał wiele dobrych cech, lecz ona zawsze najbardziej

podziwiała go za uczciwość i wysokie morale. Jak teraz, przy tych wszystkich podejrzaniach, miałyby nadal mieć go za autorytet?

Mossman wezwał ją wtedy na spotkanie w cztery oczy. Chciał jej wyjaśnić rozliczne okoliczności zewnętrzne, które tak bardzo komplikowały sprawę, ale również — albo przede wszystkim — wyjaśnić własne położenie. Jako szef nie musiał jej się tłumaczyć, a już na pewno nie jako szef służby wywiadowczej. Fakt, że to zrobił, oceniła więc pozytywnie. Lecz co, jeśli z jego strony było to jedynie sprytne zagranie?

Jakkolwiek analizowała całą sprawę i jej efekt finalny, jakkolwiek starała się być adwokatem diabła i argumentować na korzyść Mossmana, zawsze pozostawał cień podejrzania.

Czy próbował chronić swojego ministra sprawiedliwości? Czy próbował chronić siebie? A może tylko grał na czas, aby uderzyć w bardziej dogodnym momencie?

W głowie jej się kręciło od tych spekulacji. Właściwie dopiero teraz — po tak długim czasie — powoli zostawiała to wszystko za sobą. Zarówno tamtą sprawę, jak i Oxena z jego niezwykłą historią.

Aż nagle wiadomości w radiu przypomniały jej o zamku w Nyborgu, a niedługo po tym Mossman domagał się informacji o Oxenie.

Dzisiejszy dzień jest do dupy. Od chwili, gdy na obwodnicy zobaczyła dwa żółte światła, aż do teraz.

Przesunęła wzrok od okna bez widoku na sufit i z powrotem na monitor. Nyborg... Musiała sprawdzić, o co tam chodzi. Z czystej ciekawości.

Kilka kliknięć i nagłówek największego dziennika wykrzyczał jej prosto w twarz: „Inspektor muzeum zamordowany w sali rycerskiej”. Na żółtym pasku u góry strony czarnymi literami napisano: „Z ostatniej chwili”.

Gazeta, powołując się na wiarygodne źródło, podała, że ofiara to trzydziestoośmioletni inspektor muzeum zamku w Nyborgu Malte Bulbjerg. Został znaleziony około godziny pierwszej trzydzieści przez pracownika ochrony. Inspektor, który był również wiodącym ekspertem w kraju w zakresie średniowiecznego parlamentu, Danehofu, leżał w kałuży krwi na podłodze w komnacie, w której zbierali się jego członkowie. Najprawdopodobniej zginął od strzału w czoło — i oko.

— Bez komentarza — brzmiał nadal jedyny komentarz prowadzącego śledztwo H.P. Andersena.

Policja Fionii zapowiedziała na dziś konferencję prasową na komendzie w Odense.

Sam fakt zwołania konferencji wskazywał, że sprawie nadano wysoki priorytet.

I choć mogłaby sądzić, że po latach pracy w policji, z czego ośmiu spędzonych w Policyjnej Służbie Wywiadowczej, widziała już wszystko, ta wiadomość ją zaskoczyła. Bezpośredniość młodego muzealnika, jego serdeczność i zaraźliwy entuzjazm zupełnie nie zapowiadały, że mógłby paść ofiarą zbrodni ciemną nocą. Zbrodni, która — jeśli wierzyć doniesieniom prasowym — przypominała egzekucję.

Postanowiła, że będzie na bieżąco śledzić rozwój sprawy.

Tymczasem czekały papierzyska. Westchnęła głęboko i zajęła się segregowaniem i spisywaniem raportów z monitoringu w sprawie, w której asystowała szefowi operacyjnemu.

Sprawa dotyczyła nielicznej, jak się zdawało, grupy młodych mężczyzn, muzułmanów mających powiązania z pewnym meczetem w centrum Kopenhagi. Dwaj z nich z całą pewnością byli w Syrii bojownikami. Cała grupa znajdowała się pod ciągłą obserwacją, a PET zakładało, że właśnie w tym wąskim środowisku rekrutuje się nowych

bojowników.

Nie mogła się skupić. Jej myśli wciąż uciekały do bojownika zupełnie innego formatu: człowieka, który karierę w wojsku rozpoczął od udziału w duńskich misjach podczas wojny domowej na Bałkanach, a potem został komandosem i członkiem Jægerkorpset^[1]. W swojej wojskowej karierze Niels Oxen odbył łącznie osiem międzynarodowych misji. I jako pierwszy — i jedyiny dotąd — został odznaczony Krzyżem Waleczności.

Zagadką pozostawało, gdzie się obecnie podziewał ten wyjątkowy człowiek. Gdziekolwiek był, Margrethe była przekonana, że z taką przeszłością i dotknięty zespołem stresu pourazowego raczej nie funkcjonuje w ramach czegoś, co można by nazwać ustalonymi relacjami społecznymi.

Raz już przeprowadziła obszerne poszukiwanie jego osobistych kontaktów. A potem pisemnie raportowała Mossmanowi zerowy wynik, stwierdzając, że kontakty Oxena trudno nazwać faktycznymi, jako że już dawno temu odizolował się od społeczeństwa i znajomych, zamknąwszy się w pokoju w przyziemiu w północno-zachodniej Kopenhadze. Jest zatem mało prawdopodobne, aby dalsze zgłębianie jego dawnych relacji mogło przynieść jakiegokolwiek wyniki.

Być może szef PET przejrzał jej raport jedynie pobieżnie i nie dotarła do niego ta konkluzja. A może nie chciał jej zaakceptować.

Swoje prywatne śledztwo dotyczące burzliwych dziejów Nielsa Oxena kontynuowała jeszcze przez jakiś czas po jego zniknięciu. Potem je zarzuciła — jego zakres bowiem stale się powiększał, poza tym wymagało zbyt wielu środków.

Informacje, które udało jej się zebrać, przechowywała w swoim mieszkaniu w Østerbro. Był to obraz Nielsa Oxena —

na tyle pełny, na ile było to możliwe. Starannie posegregowane informacje w dwóch przezroczystych plastikowych skrzynkach — takich z kółkami, które można wtoczyć i ukryć w dowolnym miejscu swojego świata.

Ona ukryła Oxena pod łóżkiem. I teraz coś jej mówiło, że po raz Bóg wie który będzie musiała go stamtąd wytoczyć i raz jeszcze zbadać każdy szczegół zawarty w tych papierach. Inaczej nie zazna spokoju.

[1] Po polsku: Korpus Łowców. Elitarna jednostka wojsk specjalnych duńskiej armii, odpowiednik polskiego GROM-u, stacjonująca w Aalborgu — *przyp. tłum.*

Rozdział 9.

Trzy postacie siedziały na sofach wokół małego stolika, każda z filiżanką w ręce. Na stoliku stał srebrny półmisek. Na nim pozostałość po poczęstunku — samotna kanapka z serem i szynką. Na mniejszym półmisku leżały ciasteczka.

Postacie rozmawiały ściszymi głosami całkiem swobodnie, jak ludzie, którzy doskonale się znają i dla których długie przerwy w rozmowie nie są kłopotliwe.

Pokój, w którym się znajdowali, był niewielki. Pod jedną ścianą stał stolik na kółkach z dwoma dużymi termosami. Tuż obok zaczynał się krótki, niezabudowany korytarz prowadzący do dalszych dwóch pokoi.

Drzwi po prawej wiodły do dużego pokoju, w którym urządzono gabinet z biurkiem, regałami i jedną ścianą częściowo zajęta przez ekrany kamer z monitoringu.

Drzwi po lewej prowadziły do małego pomieszczenia, które było niemal puste. Nic poza półką przy drzwiach, na której leżało duże pudełko zapalek. Na środku pomieszczenia stał okrągły stół z ciężkiego, ciemnego drewna, otoczony trzema wysokimi krzesłami. Przez oparcie każdego z nich przewieszona była czarna peleryna. Na skraju stołu, z dala od drzwi, stał siedmioramienny srebrny świecznik. Świeczki się nie paliły.

W pokoju z kanapami i ze stolikiem najstarszy z przebywających tam ludzi, mężczyzna o zakolach i krótkich włosach mocno naznaczonych siwizną, dyskretnie uniósł lewą rękę, by sprawdzić, która godzina.

Ten nieznaczny gest sprawił, że mankiet koszuli nieco się odsunął, pozwalając mężczyźnie zerknąć na zegarek. Było za trzy ósma. Dokładność stanowiła w jego życiu wartość

niezmienną, a w tym szczególnym fragmencie świata, na który składały się owe trzy pomieszczenia, była oczywistym elementem rzeczywistości.

— Moi drodzy, wkrótce pora.

Wstał powoli. Pozostali poszli w jego ślady, odstawili filiżanki na stolik, obok termosów, i zaczęli się szykować. On sam podszedł do drzwi po lewej, otworzył je i zaprosił swoich gości do środka.

— Proszę — powiedział, przytrzymując drzwi, a jego goście weszli w ciemność i stanęli każdy za swoim krzesłem, jakby odtwarzali znaną wszystkim choreografię.

Zdjął z półki pudełko i długą zapalną zapalił każdą z siedmiu świec. Potem zamknął drzwi i zajął miejsce za własnym krzesłem. Stało zwrócone na wschód. Pozostałe wskazywały na północ i południe. Danehof Øst, Nord i Syd. Na zachód wskazywał świecznik. Tak było od zawsze.

Podobnie jak jego goście, narzucił na ramiona ciężką, czarną szatę, która leżała w wyłobieniu oparcia krzesła. Owinął się nią i spiął z przodu pozłacaną haftką. Sprawdził, czy jego goście są gotowi, po czym zaczął cichym głosem:

Ojczy nasz, któryś jest w niebie,

Święć się imię twoje,

Przyjdź królestwo twoje,

Bądź wola twoja

Jako w niebie tak i na ziemi...

Po modlitwie na minutę zapadła cisza. Pełniła szereg funkcji. Służyła uczczeniu czasu, który minął, i tych, którzy przeminęli wraz z nim. Jednocześnie wyrażała szacunek dla wielkiego zadania i odpowiedzialności, które przypadły im w udziale. Ponadto on sam zawsze czuł, że ta minuta milczenia oznacza wejście do innego świata i pozwala pełniej skupić się na pracy, do której mieli przystąpić.

Dyskretnie spoglądał na zegarek. W końcu usiadł, jego

goście zrobili to samo.

Spotykali się sześć razy w roku — tak nakazywała tradycja, którą przyjęli w ostatnich czasach — co drugi miesiąc. Pierwszego dnia miesiąca o dwudziestej — z wyjątkiem Nowego Roku, kiedy spotkanie zaczynali w południe, by podsumować miniony rok i omówić wyzwania czekające ich w roku następnym.

Od niemal trzydziestu lat kierował Wschodem, Danehofem Øst. Zgodnie z tradycją przewodził w związku z tym spotkaniom Najwyższego Zgromadzenia. Nie był jednak żadnym mistrzem ceremonii, arcymistrzem ani nikiem takim. Bo nie stanowili żadnej tajnej loży. Nie byli żadnym ekskluzywnym bractwem.

Stanowili *parlamentum*. Albo *hof*, od nazwy ich niemieckiego prekursora, oznaczającej po prostu dwór. Określano tym mianem dwór królewski, ale nazwa mogła oznaczać również coś, z czego wyrósł ich mały, zamknięty krąg, mianowicie spotkanie z królem.

Ich powstanie zapoczątkował przywilej Eryka Piątego Glippinga z 1282 roku. Zgodnie z nim król miał „każdego roku zwoływać parlament zwany »Hofem«”.

W 1354 roku Waldemar Atterdag powiedział: „Nasz parlament, który nazywa się Danehof, ma być zwoływany każdego roku w dniu Świętego Jana na zamku w Nyborgu, starym królewskim obyczajem”.

Hof nie był jednak zwyczajnym spotkaniem z królem. Był to sposób na trzymanie króla w ryzach. Zgromadzenie stanowili najlepsi mężowie w królestwie. Połączywszy swoje wpływy w jeden organ, zyskali władzę przewyższającą wszystkie inne.

Nic nie mogło się jej równać.

Choć pełnił swoją funkcję już od tylu lat, nadal za każdym razem, gdy otwierał spotkanie, czuł, jak podmuch historii

przenika jego ciało. Czuł wielkość swojego urzędu, a jednocześnie pokorę wobec jego wspaniałej historii.

— Spotkanie zostaje otwarte. Oto jest Danehof. Nadzwyczajne zgromadzenie na wniosek przedstawiciela parlamentu z Południa. Powód poznamy wkrótce. Chciałbym prosić o możliwość dodania punktu do porządku obrad.

Przesunął pytającym wzrokiem po twarzach swoich gości. Jego pytanie było nietypowe, lecz niezwykle ważne ze względów praktycznych. Pozostali skinęli przyzwalająco głowami.

— Dziękuję — powiedział. — Chodzi o sytuację związaną z ministrem sprawiedliwości Ulrikiem Rosborgiem. Jak wiecie, jego sprawą mamy się zająć podczas następnego spotkania, uzyskałem jednak istotne informacje, które moim zdaniem powinniśmy rozważyć. Dlatego uznałem, że rozsądne będzie podzielić się z wami tą wiedzą już dziś, aby decyzja, którą podejmiemy, była możliwie najmocniej ugruntowana i starannie przemyślana. Stąd mój wniosek... później przekażę wam szczegóły. Najpierw niech głos zabierze Danehof Syd.

Mężczyzna siedzący na wprost niego odchrząknął i zaczął:

— Dziękuję. Prosiłem o zwołanie tego zebrania w związku ze sprawą, która dotyczy nas wszystkich. Niedawno otrzymaliśmy z Nordu informację, że jeden z szacownych członków, Vitus Sander, jest umierający i przebywa w hospicjum w Jutlandii Zachodniej. Oczywiście wspólnie uruchomiliśmy obowiązującą w takich przypadkach procedurę i objąwszy Sandera nadzorem, natknęliśmy się na osobę, która wielokrotnie go odwiedzała. Tą osobą jest — a raczej był — inspektor muzeum Malte Bulbjerg.

Syd przerwał na moment, a on sam usłyszał, jak z jego ust wyrwało się krótkie:

— Bulbjerg?

Przerywanie wypowiedzi członka własnymi komentarzami było nie na miejscu. Z tym należało poczekać do otwartej dyskusji. Natychmiast się zreflektował:

— Przepraszam...

Jego goście tylko pokiwali głowami. Syd mówił dalej:

— Dokładnie tak, Malte Bulbjerg. Jedyne w kraju człowiek, który naukowo zajmuje się dziejami naszego parlamentu. Już samo to, że kontaktował się ze zmarłym Vitusem Sanderem, jest wysoce niepokojące. Naturalnie po tym odkryciu ze wzmożoną czujnością obserwowaliśmy rozwój sytuacji. O tym zamierzałem poinformować podczas następnego zebrania i jednocześnie poprosić o dyskusję na ten temat. Zamiast tego robię to jednak teraz, traktując sprawę jako pilną w świetle faktu, że zeszłej nocy Malte Bulbjerg został zamordowany. Na zamku. W naszej dawnej sali.

Przedstawiciel Południa zamilkł. I ta cisza nagle wydała mu się czymś nienaturalnym. Jakby nie była tylko pauzą w wypowiedzi albo przejściem do kolejnego punktu. Jakby ich uderzyło to, co usłyszeli.

Siedem płomieni nagle jakby zaczęło się chwiać. Przyłapał się na myśli, że w pomieszczeniu powiało grozą.

Rozdział 10.

Ciemnoszara mucha tańczyła na tafli wody lekko jak płatek. Prąd poniósł ją poza enklawę zielonych łodyg, gdzie nagle nabierał tempa w przesmyku pomiędzy zaroślami, by następnie rozwinąć się w spokojne rozlewisko. Pod nim kryła się jedna z niecek, które wypatrzył od razu, kiedy pierwszego dnia wybrał się na spacer wzdłuż rzeki Skjern.

Teraz przyglądał się temu miejscu od dwudziestu minut, nieraz już widział, jak to się odbywa. Wstrzymał oddech. Czas zarzucenia i krótki bieg przynęty w strumieniu wymierzył idealnie.

Duży pstrąg ponownie wyłonił się ze swojego przyczółka niczym potężny, ciemny cień. Nie rzucał się na powierzchnię wody jak mniejsze ryby — zostawił za sobą tylko nieznaczną falę, kiedy nawracając, wciągnął muchę.

Uniósł wędkę do pionu i walka w wodzie nabrała tempa. Musiał natychmiast naprzec z całej siły. W przeciwnym razie pstrąg ruszy w górę strumienia i zniknie w szuwarach. Duże ryby — a ta do takich należała — napotkawszy opór, natychmiast próbują zejść głębiej.

Hamulec kołowrotka zaskrzypiał, a on poczuł, jak krew szybciej krąży mu w żyłach. Pstrąg zapuścił się w dół, gdzie kolejnym zagrożeniem były chylące się nad wodą wierzby.

Nagle stało się coś, czego nie przewidział: duża ryba wyskoczyła niczym srebrna strzała pionowo w górę, przez magiczną chwilę wiła się i trzepotała w powietrzu i ponownie, kaskadą, wpadła do wody. A potem wszystko ucichło.

Wyciągnął żyłkę i zobaczył, że przegrał tę niesamowitą walkę, której kulminacja nastąpiła w powietrzu kilka sekund

temu. Dziś będzie musiał się zadowolić makaronem z sosem mięsnym.

Pomyślał jednak o tym z pewną ulgą. Było to coś pięknego i ostatecznego widzieć, jak zwierzę z takim zapamiętaniem walczy o życie — i zwycięża.

Kiedy nawijał żyłkę z powrotem, usłyszał hałas dobiegający z krzaków wznoszących się zielonym murem między strumieniem a piaszczystym zboczem. Przykucnął. Prawą rękę wsunął pod skórzaną kurtkę i sięgnął do kabury. Zamarł w bezruchu, ze wzrokiem wbitym w jeden punkt jakieś osiem, dziesięć metrów dalej.

Po kilku długich sekundach dostrzegł młodego mężczyznę w ciemnych okularach, wędkarskiej kamizelce, filcowym kapeluszu i woderach, jak się przedzierał przez chaszczę, próbując nie zahaczyć o gałęzie długą wędką na muchy. Mężczyzna ostrożnie zbliżał się poprzez sitowie do strumienia.

► „Brawo jeden-osiem, tu brawo dwa-cztery. Podaj pozycję wroga. Odbiór”. ◀

Na ziemię! Wszyscy zamknąć gęby. Ani słowa...

► „Dwa-cztery, widzę talibów, sekcja plus, sto metrów na północny wschód od waszej pozycji, w rejonie compound T5M9. Idą w waszą stronę. Uzbrojenie: kałasznikowy i jeden moździerz. Ukryj się, zostań na stanowisku, unikaj starcia. Odbiór”.

„Jeden-osiem, zrozumiałem. Bez odbioru”. ◀

Talibski bojownik z długą, czarną brodą pod skalnym wyłomem. Z łatwością wspina się kamienistą ścieżką, w pełnym rynsztunku i z kałasznikowem przewieszonym przez ramię. A za nim następny, i następny, i następny...

Czy to się kiedyś skończy?

Mężczyzna stał bez ruchu przy strumieniu i przyglądał się rzece. Jego słoneczne okulary pewnie były z antyrefleksem.

W ten sposób wędkarze eliminowali odbicia światła na powierzchni wody, by łatwiej ocenić stan rzeki.

Trudno powiedzieć, co mu się nie spodobało — zbyt zarośnięte brzegi, zbyt spokojna woda czy coś jeszcze innego. Tak czy inaczej, dokonawszy inspekcji, mężczyzna ruszył dalej, w stronę następnej wierzby.

► „Brawo jeden-osiem, tu brawo dwa-cztery. Wróg minął twoją pozycję. Teren czysty. Potwierdź, odbiór”.

„Jeden-osiem, potwierdzam. Schodzimy ścieżką w dół doliny. Bez odbioru”. ◀

Bacznie przyglądał się plecom wędkarza, na których dyndała siatka na połów, aż tamten zniknął w gęstych zaroślach. Potem powoli wstał, wrócił po swoją torbę i sprzęt, przerzucił wszystko przez ramię i ruszył do domu.

Wkrótce zajdzie słońce. Spędził dziś cudowny wieczór nad rzeką.

Młoda wrona, która nigdy nie otrzyma imienia, bo jest tylko wroną, siedziała najedzona w rogu pudełka. On sam zjadł dwie duże porcje spaghetti, a resztę w garnku włożył do lodówki. Będzie na jutro.

Usiadł przy chwiejnym kuchennym stole nakrytym poplamioną ceratą i pijąc kawę, uważnie porządkował swój sprzęt wędkarski.

Mokre muchy położył do wyschnięcia na kawałku styropianu. Najbardziej lubił łowić na suche muchy. Tak łapało się ryby, których obecność objawiała się kręgami na powierzchni wody dopiero wówczas, gdy owady się ożywiały. Towarzyszyło temu wysokie napięcie i bliski kontakt ze zdobyczą — jak wtedy, gdy komandos robi zwiad na wrogim terenie.

Przetrzepał też ze spinnerem pas głębokiego zakola i podwodne niecki, licząc, że trafi na łososia, z którego słynie ta rzeka, lecz jak zwykle bez powodzenia.

To Johannes Ottesen zwany Rybakiem kupił mu obie wędki, kołowrotek i różne drobiazgi, pewnie w Brande. On zaś wyciągał z tego sprzętu ile tylko się dało.

Dolał sobie kawy. Ostatnie promienie słońca wnikały przez kuchenne okno, ujawniając duże plamy tam, gdzie pod wpływem wilgoci jasnoniebieska tapeta już dawno, dawno temu przestała się trzymać. Na ścianie na wprost ktoś — może sam Rybak — zerwał cały pas tapety i zostawił w tym miejscu goły tynk.

Szafki kuchenne pomalowano na zielono — wielokrotnie i nie zawsze tym samym odcieniem. Pod zlewem, za drewnianymi panelami wcześniej głośno dokazywały szczury — podobnie jak w małej piwnicy. Teraz chyba sobie poszły — albo pokonała je trutka.

Był to wygodny mały pałac na kompletnym pustkowiu. Miał prąd w prawie wszystkich gniazdkach i bieżącą wodę. To, że dach miejscami przeciekał, nie miało znaczenia, jeśli się odpowiednio rozstawiło miski i wiadra.

Dla kogoś, kto potrafił się urządzić na kawałku skały, to były prawdziwe salony. W dodatku działał ekspres do kawy. To miejsce pod każdym względem biło na głowę piwnicę w Kopenhadze.

Nie mógłby prosić o więcej.

Rozdział 11.

Niels Oxen, wyprostowany i szczupły, stoi twarzą w twarz z Jej Wysokością Królową Małgorzatą Drugą. On w zielonym moro, ona w kobaltowym płaszczu i kapeluszu.

Oddalenie. Stoi samotnie na dużym brukowanym placu, przy pomniku żołnierzy poległych w zagranicznych misjach w twierdzy Kastellet w Kopenhadze. W tle widać pozostałych uczestników parady w otoczeniu porośniętych trawą umocnień.

Znów zbliżenie. Tuż za królową stoi dowódca armii w galowym mundurze. Są też inni wysoko postawieni wojskowi. Widać również ówczesnego ministra obrony w czarnym płaszczu.

Maksymalne zbliżenie. Pozbawiona wyrazu twarz Nielsa Oxena, gdy głowa państwa przypina do jego piersi odznaczenie. Krzyż Waleczności. Jako pierwszy odbiera najwyższe w kraju odznaczenie za wykazanie się w walce wyjątkową odwagą — od tamtej pory nikt nie został nim uhonorowany.

Królowa coś mówi, uśmiecha się szeroko i wyciąga rękę. Niels Oxen odpowiada — uśmiecha się nieznacznie do Jej Wysokości i, patrząc jej prosto w oczy, ściska dłoń.

Nagle zadzwoniła jej komórka z jakiegoś miejsca pod nią. Wyłowiła ją spomiędzy poduszek kanapy.

— Margrethe Franck.

Dzwoniła sekretarka z siedziby głównej. Jutrzejsze poranne spotkanie zostało odwołane. Rozłączyła się. Jednak jest sprawiedliwość na świecie. Dokładnie tak jak przewidziała, stojąc w korku na obwodnicy Gladsaxe, miała za sobą wyjątkowo podły dzień. Myśl, że jutro z samego rana czeka

ją kolejne zebranie, nie nastrajała jej pozytywnie. Teraz przynajmniej będzie mogła się zająć tymi raportami.

Leżała na kanapie w majtkach i podkoszulku, pod plecy wsunęła dwie duże poduszki. Otworzyła prawie wszystkie okna. Dzień był upalny i kiedy wróciła z pracy, w mieszkaniu było jak w piekarniku. Proteza leżała na środku podłogi, tam gdzie ją rzuciła. Laptopa trzymała na kolanach.

— Nielsie Oxenie, gdzie ty się, u licha, podziewasz? Zadzwoń do mnie i powiedz, gdzie jesteś, cholerny, uparty osłe. Zadzwoń, ale już.

Westchnęła głęboko. Jeśli istniał w Układzie Słonecznym człowiek, który *nigdy* nie dzwonił, to był nim on. Zresztą wcale nie musiał dzwonić. Zadowoliliby się jakimkolwiek znakiem życia. Byleby tylko wiedzieć, że u niego wszystko w porządku.

Miała w tle włączony telewizor, ale nie patrzyła na niego ani nie słuchała. Kolejny już raz leżała na kanapie pochłonięta zawartością dwóch skrzynek, które na co dzień stały pod łóżkiem.

Dysk USB z filmem z ceremonii dekoracji w Kastellet był jednym z wielu, które udało jej się znaleźć z tamtej uroczystości. Co do ułamka sekundy wiedziała, kiedy ponurą twarz Oxena rozjaśni nieśmiały uśmiech. Co królowa powiedziała dawnemu komandosowi i co on jej odpowiedział, pozostanie tajemnicą tych dwojga. Żadne z nich najwyraźniej nie miało przyczepionego mikroportu.

Trochę poskakała po nagraniu. Przewinęła do początku, gdy miejsce przy mikrofonie zajął minister obrony.

— Nielsie Oxenie, jestem z ciebie dumny — powiedział. — Dania jest z ciebie dumna. Wiem, że twoi towarzysze również są z ciebie dumni. I wszyscy mamy ku temu najlepsze powody. Nie spotkałem się jeszcze z podobnym czynem w sytuacji działań wojennych. Nie mówimy tu

bowiem o waleczności w jej podstawowym znaczeniu, nie mówimy o zwykłej odwadze. Mówimy o *poczuciu odpowiedzialności*. Swoim czynem dałeś mu wyraz w sposób najpełniejszy z możliwych...

Przewinęła na sam koniec, gdy kamerzysta zrobił zbliżenie — najpierw kamiennej twarzy Oxena, potem, niżej, krzyża zawieszzonego na jego piersi na białej taśmie z czerwonym paskiem. Odznaczenie było piękne. Czarny krzyż obrysowany na złoto i na środku połączony monogram królowej. Napis był prosty: „Za waleczność”.

Kiedy wspólnie prowadzili śledztwo w sprawie wieszanych psów, a ich współpraca momentami bywała wyjątkowo trudna, miała okazję zobaczyć obie strony Nielsa Oxena i rewers jego licznych medali. Przelotnie.

Niektóre z jego zachowań rozpoznała jako typowe dla osób cierpiących na zespół stresu pourazowego. A potrafiła je rozpoznać z całkowitą pewnością, bo przerobiła to sama, kiedy straciła nogę. Wyraźnie było też widać efekty wykształcenia i surowego szkolenia, które odbył na początku swojej kariery w elitarnej formacji zbrojnej.

Od tamtej pory często zastanawiała się, czy miała okazję zaobserwować również jego słynną waleczność. I czy w ogóle waleczność istnieje jako cecha wyizolowana. Bo chyba składa się z szeregu różnych elementów?

Zetknęła się na pewno z troską i gwałtowną, niemal kompulsywną wolą działania.

W jakimś sensie skala waleczności odpowiadała chyba skali stresu, w jakim się tę waleczność wykazuje. W przypadku Oxena jego bohaterstwo ujawniło się w sytuacji, w której krzywa stresu osiągała punkt najwyższy — gdy stawką było życie.

Wyjęła dysk USB i odłożyła na miejsce. W tych skrzynkach znajdowały się owoce wielu godzin pracy. Tylko częściowo

płatnej, bo poświęciła tej misji również sporo czasu wolnego. Cały materiał istniał oczywiście w formie elektronicznej, ale w skrzynkach znajdowały się także wydruki i wycinki.

Większość leżała najprawdopodobniej w archiwach PET. O ile Mossman nie trzyma tego gdzieś u siebie. Część informacji, które zdobyła na własną rękę, zachowała w swoim prywatnym małym archiwum.

Axel Mossman kazał jej przeświecić życie Oxena — od narodzin do dnia dzisiejszego. I to właśnie mu dała. W formie punktów, z pominięciem przyczyn i okoliczności. Nikt bowiem nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego w życiorysie Oxena istniały okresy, gdy wpadał w tryby maszyny systemu, która jakby się zawzięła, by przemleć go na miazgę.

W dokumentach wspomina się o łącznie piętnastu zgłoszeniach. Sześć pobić, dwa przypadki przemocy domowej, jedno zakłócenie porządku publicznego, jeden akt wandalizmu, trzy przypadki gróźb karalnych — i dwa oskarżenia o próbę wyłudzenia odszkodowania.

W rejestrze widnieją jednak tylko trzy wyroki — warunkowy wyrok za pobicie i trzydzieści dni więzienia za napad na innego żołnierza. Do tego warunkowy wyrok za groźby wobec urzędnika państwowego na służbie. Oraz dwie kary grzywny — za zakłócanie porządku i wandalizm. Oxen, będąc pod wpływem alkoholu, wyzywał przechodniów przy fontannie z bocianami na Amagertorv. Wandalizm natomiast polegał na roztrzaskaniu witryny sklepowej — również w stanie nietrzeźwości.

W niektórych z pozostałych spraw Oxenowi postawiono zarzuty, lecz został uniewinniony. W pozostałych — zarzutów nie postawiono albo zgłoszenia wycofano bez podania przyczyn. To dotyczyło także zgłoszenia o przemocy domowej.

Pamiętała, jak dowiedziawszy się o tym wszystkim, szybko doszła do wniosku, że pod orderami Oxena kryje się wyjątkowe bydło.

Pamiętała też bardzo wyraźnie, jak się z nich tłumaczył, gdy rzuciła mu nimi w twarz. Zwłaszcza tym o przemocy domowej.

Był sobotni wieczór i mieli gości — dwóch kolegów żołnierzy z żonami. Oxen i jego żona Birgitte przechodzili kryzys. Ich związek wisiał na włosku przez kłótnie i to, co z Oxenem zrobiła jego niezłomna walka o doprowadzenie przed sąd ludzi odpowiedzialnych za śmierć Bossego. Bosse był jego przyjacielem jeszcze z dzieciństwa w Høng i zginął na oczach Oxena, gdy niewielka grupa duńskich żołnierzy znalazła się pod ostrzałem podczas dużej kontrofensywy Chorwatów pod koniec wojny. Wszyscy tamtego wieczora się upili. W pewnym momencie żona Oxena wstała i oświadczyła, że sra na grób Bossego. Reakcja Oxena była odruchowa. Pod wpływem impulsu wymierzył jej policzek.

W drugim przypadku żona Oxena miała posiniaczoną twarz i rozciętą brew. Zgłosiła pobicie na policji, ale potem wycofała zgłoszenie i odmówiła składania jakichkolwiek wyjaśnień.

We wszystkich sprawach jedynym wyjaśnieniem samego Oxena było to, że ktoś próbuje go zmusić do zaprzestania walki o wskazanie odpowiedzialnych za śmierć Bossego.

Dziś inaczej patrzyła na „przypadek Oxena”. W jego życiorysie widziała schematy i prawidłowości. Sama odkryła, że w czasach, gdy Oxen był jeszcze w akademii policyjnej, na rozkaz komendanta policjanci ukryli w jego domu narkotyki. W ten sposób chcieli mu zamknąć usta oraz zmusić go do opuszczenia akademii i przyłączenia się do Jægerkorpset. Wszystko, co się wokół niego działo, załatwiano spiskiem. To nie było...

Nyborg? Czy kobieta z telewizji w granatowym kostiumie nie powiedziała przed chwilą „Nyborg”? Ależ tak. Szybko podkręciła głośność.

Pierwsze minuty poświęcono zmianom klimatu. Nowy raport alarmował o podnoszeniu się poziomu wód na całym świecie. Nic nowego. Najwyraźniej jakieś kolejne ostrzeżenie z nowego źródła i z nowymi danymi. Do tego wzmianka o topniejącym lądolodzie na Grenlandii — o czym również wszyscy wiedzieli. To niepokojące, jak człowiek robił się znudzony doniesieniami o klimacie.

„...wracamy teraz do skupiającej uwagę wszystkich sprawy morderstwa w Nyborgu”, zapowiedziała kobieta w kostiumie. „Przed komendą policji w Odense jest nasz kolega Hans Mortensen”.

Młody mężczyzna w trenczu z zapalonym potwierdził, że w istocie znajduje się w Odense. W skupieniu słuchała jego raportu.

„Rzeczywiście. W budynku komendy za moimi plecami policjanci intensywnie pracują nad wyjaśnieniem okoliczności zabójstwa inspektora muzeum Maltego Bulbjerga. Został znaleziony dzisiejszej nocy przez pracownika ochrony na podłodze w jednej z komnat muzeum zamku w Nyborgu, którego sam był szefem. Policjanci cały dzień ścigali się z czasem, chcąc zabezpieczyć wszystkie możliwe ślady i odebrać przewagę sprawcy. Jest ze mną prowadzący śledztwo zastępca komendanta H.P. Andersen. Czy mają już państwo podejrzanego?”

Mężczyzna w średnim wieku zmrużył oczy i wyglądał, jakby w ostrym świetle reflektorów czuł wyjątkowy dyskomfort. Doskonale go rozumiała.

„Na tym etapie śledztwa jest zdecydowanie za wcześnie, by mówić o podejrzanym. W tej chwili rozważamy wszystkie

możliwe scenariusze, zbieramy informacje i je analizujemy”, brzmiała odpowiedź.

„Według naszych informacji wiadomo już, że inspektor został zastrzelony”, kontynuował dziennikarz.

„To prawda, oddano dwa strzały”, potwierdził zastępca komendanta.

W tej chwili w interesie prowadzącego śledztwo byłoby w ogóle nie udzielać żadnych informacji, ale sprawa może się przerodzić w coś naprawdę wielkiego i zyskać na tyle duży rozgłos, że należało zaspokoić „zainteresowanie opinii publicznej” — w możliwie najmniejszym stopniu.

„Otrzymaliśmy również potwierdzoną informację, że na miejscu zbrodni znaleziono ślady narkotyków”.

Kierujący śledztwem zawahał się na ułamek sekundy, co wystarczyło, by ujawnić, że pytanie go zaskoczyło. Nie było go w umowie, którą zawarł z dziennikarzem — o ile takową zawarł. Pokiwał wolno głową.

„Zgadza się. W foliowej torebce znaleziono ślady kokainy”.

„Czy to znaczy, że inspektor muzeum był zamieszany w przestępczość narkotykową?”

Nie. Tego absolutnie się nie spodziewała. Malte Bulbjerg nie był typem... No tak, z drugiej strony pracowała w tej branży dość długo, by wiedzieć, że nawet pod najładniejszą skorupą potrafi się nagromadzić sporo brudu.

„Tego na razie nie możemy powiedzieć. Nie chciałbym snuć domysłów, zatem powstrzymam się od dalszych komentarzy”, zastępca komendanta starał się nie ujawniać irytacji i jego odpowiedź była podręcznikowa.

„Zatem ostatnie pytanie, panie inspektorze...” Reporter wyraźnie zamierzał na koniec spuścić jakąś bombę. Margrethe wstrzymała oddech. W końcu padło pytanie:

„Otrzymaliśmy z pewnego źródła informację, że inspektor muzeum wydawał spore sumy na hazard. Lotto i zakłady

bukmacherskie. Gonitwy koni, ale przede wszystkim mecze piłkarskie. Od dłuższego czasu obstawiał sumy rzędu kilku tysięcy koron tygodniowo. Jaką rolę odgrywa ten fakt w pańskiej hipotezie śledczej na temat tej zbrodni?”

O tym, że Bulbjerg był zagorzałym kibicem, wiedziała. To jednak nie to samo, co grać za grube tysiące tygodni w tydzień...

Tym razem odpowiedź padła od razu.

„Na ten temat nie będę się wypowiadał”.

Trudno powiedzieć, by informacje dziennikarza były dla śledczych zaskoczeniem. Ofiara była zbyt znaną postacią, a Nyborg zbyt małym miastem. Lecz jej kolega z Fionii z całą pewnością nie miał ochoty roztrząsać publicznie akurat tego aspektu sprawy. Reporter zdążył tylko ponownie otworzyć usta, nim Andersen powtórzył:

„Jak powiedziałem — żadnych komentarzy”.

Dyskretnie uniesiony palec wskazujący, ledwie widoczny na dole obrazu oznaczał koniec rozmowy.

Reporter nie drążył dalej i, wyraźnie usatysfakcjonowany przebiegiem rozmowy, oddał głos kobiecie w studiu, która przeszła do kolejnych informacji.

Margrethe ściszyła dźwięk. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak zgrana melodia o hazardzie, długach, jakimś osobistym dramacie w tle, a może nawet uzależnieniu. Wraz z długiem często rosła pokusa, by złamać prawo i szybkim sposobem wyjść z opresji. Teoretycznie tu właśnie mogła się pojawić kokaina.

Dług zawsze stanowi w śledztwie solidny punkt zwrotny. Dług potrafi popchnąć człowieka do desperackich kroków. Dobrze pamiętała sprawę, którą badała na początku swojej kariery w policji. Porządny i sympatyczny pracownik banku, głowa rodziny, przez długi zaczął napadać na banki. W pewnym sensie to właśnie rodzina była powodem jego

problemów, a konkretnie — żyjąca ponad stan żona.

Ale inspektor muzeum zrobił na niej naprawdę dobre wrażenie — na Oxenie zresztą też. A teraz skończył w taki sposób. Wielka szkoda. I żal.

Odłożyła komputer na stolik i zajęła się papierami. Miała przed sobą plik teczek z wydrukami rozmów z każdą możliwą osobą z otoczenia Oxena.

Wciąż skupiała się na znalezieniu adresu, pod którym Oxen mógłby się schronić. Albo pod którym mógłby się pojawić niespodziewanie i zapukać do drzwi. Być może była jakaś osoba, którą pominęła, a którą darzył zaufaniem. Może ktoś znajomy miał domek letniskowy. Albo znajomy tego znajomego. Szukała jakiegokolwiek opcji zaglądnienia Oxenowi w karty.

Odbyła między innymi długą rozmowę z jego siostrą. Nazywała się Susanne Oxen Viig, mieszkała w Køge i pracowała jako wychowawczyni w przedszkolu.

Była jego jedyną rodziną. Jedynym łącznikiem z niezbyt szczęśliwym dzieciństwem. Ojciec zmarł, a matka cierpiała na demencję i nie było z nią kontaktu. Przebywała w domu opieki w Ringsted. Margrethe odwiedziła również ją, ale okazało się to stratą czasu.

Wyjęła drugą teczkę. Była w niej tylko jedna kartka. Dotarła do byłego żołnierza, z którym Oxen służył w Bośni. Nazywał się L.T. Fritsen. Był mechanikiem i miał warsztat samochodowy na Amager. Swoje drugie odznaczenie za odwagę, to ze srebrnymi liśćmi dębu, Oxen dostał za to, że wskoczył do rzeki Uny i wyłowił Fritsena, postrzelonego przez serbskiego snajpera.

Fritsen wypowiadał się o Oxenie w samych superlatywach, ale od powrotu do kraju nie miał ze swoim wybawcą kontaktu.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Kto to mógł być? Było prawie

wpół do jedenastej. Po chwili dzwonek zadzwonił ponownie — i raz jeszcze. Jakby osobie za drzwiami się śpieszyło lub jakby traciła cierpliwość.

Wstała i w podskokach dotarła do przedpokoju.

Rozdział 12.

Silne dłonie zacisnął na jej pośladkach, próbowała się bronić, ale on bezceremonialnie odwrócił ją do siebie plecami i tak unieruchomioną wniósł do pokoju.

— Postaw mnie!

Puścił ją na środku pokoju i stał z miną, jakby nie był do końca pewien, czy mówi poważnie, czy nie. Chwyliła go za rękę i spojrzała mu głęboko w oczy.

— Anders, ostrzegam cię. Więcej tego nie rób. Nie możesz się tu skradać i dzwonić do drzwi jak opętany. Myślałam, że coś się stało.

— Skarbie, gdybym wiedział, jak apetycznie wyglądasz, to bym te drzwi wysadził.

— Nie skarbij mi tu. I bądź łaskaw zapamiętać, że nie życzę sobie, byś mnie wnosił do mojego własnego pokoju.

— Dobrze, już dobrze. Nie chciałem przecież...

— Myślałam, że masz dyżur?

— Bo miałem mieć. Prowadzimy właśnie obserwację, ale ktoś wezwał za dużo ludzi i kazali mi wracać do domu, i dali wolne. Więc nie mogłem się powstrzymać. Przeszkodziłem ci w czymś?

Wysportowany mężczyzna w dżinsach i białej koszulce, który niczym wieża wyrastał na środku jej pokoju, popatrzył pytającym wzrokiem na dokumenty rozrzucone na kanapie, skrzynki stojące na podłodze i komputer na stole. A potem na nią.

Anders Becker — tak się nazywał. Pracował w dziale operacyjnym. Tak. Złamała swój własny kodeks zakazujący bliskich relacji z kolegami. Być może to był zły pomysł. Albo zły kodeks.

Problem w tym, że piramida potrzeb nie może zawsze składać się wyłącznie z warzyw, produktów mącznych i łyka mleka. Czasem trzeba pokosztować mięsa.

Odkąd się poznali na czterdziestych urodzinach kolegi z pracy, widywali się coraz częściej. Zawsze jednak najpierw się umawiali i szanowali nawzajem swoją prywatność — aż do teraz. Anders najwyraźniej chciał czegoś więcej. Ona sama nie wiedziała, czego chce. Dobrze jej było samej ze sobą i na razie nie chciała zajmować jakiegokolwiek stanowiska. Ale teraz, choć złamał ich niepisaną zasadę, może powinna być dla niego trochę miłsza?

— Nie, nie przeszkadzasz. Zwykle po prostu nie zjawiamy się u siebie bez zapowiedzi. Przeglądałam akurat papiery z jednej starej sprawy... zresztą nieważne.

— Okej. Ale jakby co, to mów. I przepraszam, że wpadłem znieńcka. Nie martw się, nie zostanę długo. Wiem, że musisz wstać wcześniej.

Usiadł na fotelu naprzeciwko niej. Starał się, ale i tak to zauważyła. Ona, wieloletnia pustelnica, nie przywiązywała wagi do swojego stroju, ale to, że na nim najwyraźniej stringi i rozpięta koszula robiły wrażenie, dobrze jej robiło. Łechtało jej próżność. I wzbogacało piramidę potrzeb.

Uśmiechnęła się pojednawczo.

— Napijesz się czegoś? A może jesteś głodny?

— Wciągnąłbym jakąś kanapkę.

— Zjem z tobą. Salami czy pasztet?

— I to, i to.

Bez protezy, w podskokach przeniosła się do kuchni. Znów czuła na sobie jego wzrok. I przez chwilę pomyślała, że może nie powinna jeść o tej porze.

— Co to za sprawa, ta, w której grzebiesz? — zawołał z pokoju. — Jest utajniona?

— Z tego, co wiem, to nie. Badanie osoby, które Mossman

zlecił mi rok temu.

— Mossman? Mogę zajrzeć do tych pudełek?

— Jasne, jeśli ci się chce. Możesz też obejrzyć czerwony dysk USB. Mam włączony komputer. Chcesz piwo? Mleko? Wodę?

— Woda wystarczy, dzięki.

Chwilę potem usłyszała przemowę szefa obrony w twierdzy Kastellet. Kiedy wskoczyła do pokoju z talerzami, Anders siedział na fotelu w pozycji półleżącej z komputerem na kolanach. Królowa właśnie wieszała Oxenowi na piersi Krzyż Waleczności.

— Lepiej, żebyś wodę przyniósł sobie sam. Ja tylko wszystko porozlewam.

— Jasne.

Kiedy wrócił ze swoją wodą, Oxen stał już w szeregu.

— O Krzyżu Waleczności słyszałem. Dostał go tylko jeden człowiek i pewnie miną dziesięciolecie, nim ktoś ponownie go otrzyma. A więc to *on*... Wydaje się trochę szorstki.

Pokiwała głową, przysiadłszy na oparciu jego fotela.

— Nazywa się Niels Oxen. Były komandos. I fakt... jest szorstki.

— Komandos? No, no! — Anders zagwizdał z uznaniem.

— To niezwykła postać. Sam zobacz. — Pochyliła się i wyjęła teczkę z jednego z pudełek. — Przeczytaj to.

Patrzyła mu przez ramię, gdy wzrokiem śledził tekst. Sama знаła go niemal na pamięć:

ODZNACZENIA 1993: Medal Duńskich Sił Zbrojnych za Odwagę.

Misja: UNPROFOR, Bośnia.

Uzasadnienie: N.O. wykazał się nadzwyczajną odwagą osobistą i z narażeniem życia wyniósł ранnego kolegę (P. Jensena) z linii ognia, gdy duński patrol znalazł się pod ostrzałem.

1995: Medal Duńskich Sił Zbrojnych za Odwagę drugiego stopnia, ze srebrnym liściem dębu.

Misja: UNPROFOR, Krajina, Chorwacja.

Uzasadnienie: N.O. wykazał się wzorową odwagą i skutecznością w działaniu, kiedy jego kolega z kompanii Bravo został trafiony kulą serbskiego snajpera podczas patrolowania okolicy mostu nad rzeką Una przy Kostajnicy. N.O. wskoczył do rzeki i wyciągnął kolegę na ląd. Uratowany żołnierz (L.T. Fritsen) przeżył.

2002: Medal Duńskich Sił Zbrojnych za Odwagę trzeciego stopnia, ze złotym liściem dębu.

Misja: Task Group Ferret, uczestnictwo Jægerkorpset w dowodzonej przez Amerykanów Operation Enduring Freedom w Afganistanie.

Uzasadnienie: Wraz z kolegą N.O. znaleźli się pod silnym ostrzałem talibskich wojowników podczas działań w dolinie Szah-i-Kot. Gdy w obszarze walk awaryjnie lądował helikopter Chinook, obaj przyszli z odsieczą załodze helikoptera. Bez ich bohaterskiego wsparcia załoga jednostki byłaby zdana na łaskę talibów.

(Za swój wkład otrzymali również amerykańskie wyróżnienie).

2010: Krzyż Waleczności.

(Niels Oxen jest pierwszym i jak dotąd jedynym Duńczykiem udekorowanym nowym wyróżnieniem Duńskich Sił Zbrojnych przyznawanym za nadzwyczajny wkład w trakcie działań wojskowych. Niels Oxen odszedł z armii 1 stycznia 2010 roku).

Misja: 2009, Korpus Łowców, prowincja Helmand, Afganistan.

Uzasadnienie: N.O. wykazał się najwyższą odwagą osobistą, kiedy wraz z kolegami, patrolując okolicę na

północny wschód od Gereszku, wpadli w zasadzkę po tym, jak ich samochód został uszkodzony przez IED. Wróg był ciężko uzbrojony i należało natychmiast przejść do kontrataku. N.O. na ochotnika zakradł się na tyły wroga i zaatakował. W pojedynkę unieszkodliwił wrogi posterunek obsługiwany przez ośmiu talibów. Dwóch z nich pokonał w walce wręcz.

Anders ponownie zagwizdał. Tym razem nieco dłużej.

— No, no, niezła laurka. Co za gość. Ale co w takim razie zrobił, że się nim interesujesz?

— Zasadniczo nic. Nic niezgodnego z prawem. Został włączony do śledztwa, w którym uczestniczyłam rok temu. A potem zniknął. Alex Mossman chciałby go odnaleźć. On jest chory.

— Naprawdę? Mossman? — Odwrócił się w miejscu i spojrzał na nią zaskoczony.

— Nie, głupku. Ten żołnierz. Cierpi na stres pourazowy.

— Aha. I nie umiesz go znaleźć?

Wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

— To chyba dość znane zjawisko, że niektórzy z najciężej doświadczonych weteranów wycofują się z życia. Wolą, by ich zostawić w spokoju. Mój kumpel ma takiego znajomego. Uciekł od żony, dzieci — od wszystkiego. I przeprowadził się na Læsø. Z wszystkich możliwych miejsc wybrał właśnie to, wyspę. Politycy się na nich wypięli. Dobry pasztet. — Wziął ogromny kęs i zamknął komputer. — Margrethe, a ty umiesz jeździć na nartach?

Czule położył dłoń na jej kikucie i delikatnie go pogłaskał. Często to robił. Nie lubiła tego — łagodnym, lecz stanowczym ruchem odsunęła jego rękę.

Sama położyła dłoń na jego szczupłym karku. Ścisnęła lekko i nonszalancko odpowiedziała pytaniem:

— A czy stonoga może jeździć bobslejem?

Roześmiał się.

— Kiedyś byłam dobra w alpejskim — wyjaśniła. — Ale to przeszłość.

— Myślałem raczej o biegówkach. Jeździmy co roku ze znajomymi do Norwegii. Pomyślałem, że może...

— Nigdy nie próbowałam. Ale czemu nie? Czy to zaproszenie?

— Jak najbardziej.

Odłożył talerz i przyciągnął ją do siebie. Siedziała teraz na nim okrakiem.

— Nie musisz wracać do siebie — szepnęła mu do ucha.

Ciało miała jak z ołowiu, a każde najdrobniejsze włókno mięśniowe całkowicie rozluźnione. Leżała na łóżku po przekątnej z głową na jego ramieniu. Było intensywnie i niezbyt długo.

Wciąż było gorąco, przykryli się tylko prześcieradłem. Potem leżeli, rozmawiając i popijając zimne piwo. Rozmawiali głównie o pracy i znajomych z wydziału.

Margrethe opowiedziała mu więcej o śledztwie w sprawie wieszanych psów i swojej układance z Nielsem Oxenem, której klocki leżały w dwóch skrzynkach w jej pokoju.

Opowiedziała mu również historię będącą osią, wokół której obracały się najnowsze dzieje Oxena. O tym, jak będąc jeszcze młodym żołnierzem wysłanym z misją na Bałkany, stracił najlepszego przyjaciela i towarzysza z dzieciństwa, Bo „Bossego” Hansena, w sierpniu 1995 roku, podczas wielkiej ofensywy chorwackiej nazwanej *Operacja Oluja*, czyli burza.

Wyjaśniła mu, że zdaniem Oxena dowództwo ponosi odpowiedzialność za śmierć Bossego, bo niedopełnieniem obowiązków i czystym szaleństwem było niewycofanie ich grupy wcześniej. I że w ogóle dopuszczono do tego, by znaleźli się pod ostrzałem, kiedy Chorwaci ruszyli na

Serbów.

— Całymi latami słał skargi. Do dowództwa armii, polityków, mediów. Niestrudzenie i z prawdziwą determinacją. Pisał też osobiste listy do osób odpowiedzialnych.

— Myślisz, że to się stało jego obsesją? Przypomina to trochę tych różnych pieniaczy.

— Niektórzy tak właśnie uważają. Ja natomiast myślę, że on nie chciał się poddać. Uważał, że Bosse zasłużył na sprawiedliwość.

— Ale w końcu się poddał?

— Otóż nie. Wyobraź sobie, że po wielu latach od śmierci Bossego Oxen doczekał się swojego śledztwa. Powołano komisję, która doszła do wniosku, że wszystko odbyło się zgodnie z przepisami. Trzeba powiedzieć, że jego całe życie pełne jest szalonych zwrotów akcji. Przez krótki czas był nawet w szkole policyjnej.

— Hm...

— Był ponoć bardzo zdolny. Już wtedy został odznaczony za odwagę, w pierwszym okresie służby w wojsku. Myślę, że jacyś ludzie próbowali go naciskać, zastawiali na niego pułapki.

— Pułapki? Ale po co?

— Chcieli, żeby zaprzestał krytyki armii. Konkretnie dowództwa. Podczas nielegalnego przeszukania w jego domu znaleziono narkotyki. Wzorowy uczeń akademii policyjnej z hurtownią dragów w garażu? To do siebie nie pasuje. On sam twierdzi, że ktoś mu je podrzucił. I ja mu wierzę. Jest tyle rzeczy, które...

Anders oddychał coraz ciężiej. Zasnął. Może już od dłuższej chwili nie słuchał. I ona poczuła się senna.

Odwróciła się na bok. Teraz będzie spać. Nie będzie więcej myśleć o Oxenie.

Tylko gdzie on może być? Była dokładna, ale najwyraźniej coś musiała przeoczyć. Nie może tak siedzieć i czekać na telefon.

Nie ma wyjścia. Nie może też zignorować faktu, że sam szef PET ponownie wyraził zainteresowanie sprawą...

Musi raz jeszcze odwiedzić najważniejsze osoby ze swojego śledztwa — siostrę i dawnych znajomych Oxena. Bywa, że sam upływ czasu sporo zmienia. Ludzie coś sobie przypominają, coś opowiadają nieco inaczej, dodają do swojej opowieści nowe szczegóły, które wcześniej wydawały im się nieistotne. Czas to czynnik, z którym zawsze należy się liczyć.

Gdzieś musi się kryć jakaś wskazówka. Oxen musi gdzieś tam być.

Rozdział 13.

Samochód był jego azylem. Salonem masażu dla skołatanych myśli. Jego żona powiedziałaaby, że doznaje w nim głębokiego oczyszczenia. Proces, który był niezbędny i najprawdopodobniej na przestrzeni lat wielokrotnie okazywał się zbawienny dla ich małżeństwa. Za chwilę wyjedzie z Odense i będzie mógł pomknąć przez noc w stronę Kerteminde.

Po drodze przemyśli sobie cały dzisiejszy dzień. Sprawdził godzinę na desce rozdzielczej. W zasadzie nie był to dzień roboczy, ale cała robocza doba. Tyle bowiem czasu minęło, odkąd w środku nocy wyjechał z domu. Najlepiej myślało mu się za kierownicą swojego audi. A jeszcze lepiej, kiedy wokół było ciemno i tylko światła mijania wskazywały kierunek.

Cokolwiek zaprzętało mu głowę, kiedy wychodził z budynku komendy, zwykle było przepracowane i uporządkowane, gdy podjeżdżał pod dom.

Kiedy tylko upewnił się, że kamera jest wyłączona, złapał tamtego dziennikarzynę za kołnierz i odsunął na bok. Przed rozmową nie miał czasu uzgadniać szczegółów wywiadu, a tamten też pomachał uspokajająco rękami i zapewnił, że chodzi jedynie o krótką aktualizację do wieczornych wiadomości i że chce tylko podsumowania wstępnych ustaleń.

To, że przed kamerą ujawnił dwa kluczowe elementy śledztwa, które — co ważne — na tym etapie miały pozostać nieznanne opinii publicznej, było czymś niebywałym i zwyczajnym złamaniem umowy dżentelmeńskiej.

To, że policjanci nie przepadają za dziennikarzami, jest być może truizmem, ale jest również prawdą. I jeśli nawet

czasami zdarzało się policji współpracować z prasą, to taka współpraca była traktowana jak zło konieczne. W skali mikro upublicznienie wizerunku z kamer przemysłowych mogło na przykład doprowadzić do zatrzymania nożownika, zanim człowiek zdoła przeliterować słowo „kiosk”.

W sprawach większego kalibru odtworzenie w telewizji przebiegu wydarzeń mogło rzucić nowe światło na sprawę, a nieznani wcześniej świadkowie mogli przekazać cenne dla śledztwa informacje. Sam w swojej karierze wielokrotnie korzystał z pomocy mediów i z bólem godził się na wymuszone uśmiechy do kamer — dopóki były włączone.

Ale to, co stało się dzisiaj przed komendą... to była przesada. Zapowiedział tamtemu dziennikarzowi, że więcej nie będzie z nim rozmawiał — nigdy. Informacje, które w ciągu doby udało im się zebrać na temat inspektora muzeum Maltego Bulbjerga, zostały niniejszym przekazane opinii publicznej w najlepszym czasie antenowym. Tę o dwóch strzałach ujawnił sam podczas konferencji prasowej. Miał to być rodzaj ochłapu rzuconego prasie.

Głowa go rozbolała od intensywnych spekulacji, kto mógł przekazać prasie te szczegóły. Gość oczywiście zarzekł się, że nigdy nie ujawni swojego źródła. To zresztą kolejna zaraza: przecieki we własnych szeregach. Informacja o woreczku i wynikach analizy chemicznej była ściśle poufna. To, że muzealnik mógł być uzależniony od hazardu, być może byłby w stanie odkryć, jeśli by wystarczająco długo powęszył. Z doświadczenia jednak wiedział, że dziennikarze telewizyjni rzadko zadawali sobie ten trud. Zwykle dodawali jedynie lukier do owoców pracy swoich kolegów z gazet.

Gentlemen of the Press — tytuł starego szlagieru dziś brzmi wręcz sarkastycznie.

Musiał przestać to roztrząsać i się oburzać. Są rzeczy znacznie ważniejsze, na których powinien skupić uwagę w

ciągu najbliższej doby. Miał do rozwiązania sprawę zabójstwa. Na tym polegała jego robota. W tym był dobry. Do tego został powołany.

Raz jeszcze prześledził kolejność wydarzeń. Ochroniarz wydawał się wiarygodnym świadkiem i podał sporo szczegółów. Nie ma wątpliwości, że sprawdzi się przed sądem.

Bromann zgodnie z obietnicą zajął się ciałem w trybie pilnym. Dwa strzały, widoczne gołym okiem, oddano w czoło i lewe oko. Pierwszy był śmiertelny. Drugi przeważnie także. I nic więcej. Jak można się było spodziewać, nie znaleziono żadnych obrażeń obronnych, które niemal zawsze są widoczne na przedramionach w zbrodniach z użyciem broni białej albo tępego narzędzia. Nie znaleziono jednak również żadnych innych śladów, choćby podejrzenie wyglądającego sińca. Mogło to na przykład oznaczać, że strzały padły nagle, niepoprzedzone jakąkolwiek fizyczną konfrontacją. Być może oznaczało też, że inspektor muzeum znał sprawcę i nie czuł zagrożenia. Oczywiście oba te wnioski można zbyć prostym stwierdzeniem, że strzela się zawsze po to, by sprawę załatwić szybko i bez fizycznego kontaktu z ofiarą. Bulbjerg nie miał we krwi narkotyków ani alkoholu.

Foliowa torebka z resztkami kokainy wskazywała zatem jednoznacznie na handel. Zwłaszcza jeśli połączyć ją z informacjami o skali zamiłowania ofiary do zakładów. W ostatnim czasie przepuścił tysiące koron w czterech miejscach w Nyborgu, gdzie przyjmowano zakłady: w Kvickly, na dworcu, w Føtexie i na stacji Shella przy Dyrehavevej.

Jednocześnie na jego rachunku bankowym nie odnotowano żadnych nadzwyczajnych transakcji. Żadnych tajemniczych przelewów na ogromne kwoty. Czyli musiał obracać gotówką. A gdzie duże kwoty przechodzą z rąk do rąk w

gotówce, nie pozostawiając żadnych śladów? No właśnie.

Odtąd śledztwo będzie żonglerką trzema piłeczkami: długi, zabójstwo, świątek przestępczy.

Ta skądinąd niecodzienna zbrodnia niespodziewanie zaczynała wpisywać się w zgrany do bólu schemat — w nowym przebraniu. Zapowiada się ciężkie śledztwo — narkotykowy półświątek to wyjątkowo hermetyczne środowisko.

Z samego rana będzie trzeba zacząć zmuszone poszukiwanie potencjalnych świadków. Niedoceniany kawał starej, dobrej policyjnej roboty, w której będzie trzeba zdzierać buty, chodząc od drzwi do drzwi, oraz gardło — rozmawiając z niezliczonymi postaciami z kręgów narkotykowych. Dyskretnie albo z fajerwerkami — zależnie od sytuacji i klienteli.

Na przestrzeni lat kilkakrotnie był świadkiem, jak śledztwo w sprawie groźnego przestępstwa, z zabójstwem włącznie, niespodziewanie przysparzało dodatkowego cierpienia bliskim ofiary i pozostawiało ich w stanie szoku. W miarę jak śledczy kawałek po kawałku odkrywali okoliczności zbrodni, ludzie z jej otoczenia musieli się mierzyć ze wstrząsającą prawdą, że pomimo wspólnie spędzonych lat nigdy do końca nie poznali człowieka, z którym, jak sądzili, łączyła ich więź najbliższa. Bywało, że powietrze robiło się ciężkie od szkieletów, które nagle wychodziły z szafy: potajemnych kochanek, kochanków, nieuznanych nigdy dzieci i zatajonych przed światem grzechów z przeszłości. Całe to bagno wylewało się niepohamowanym strumieniem.

Żona inspektora muzeum podczas jego porannej wizyty natomiast wpadła w coś na kształt otępienia.

Zachowywała się, jakby nie przyjmowała do wiadomości informacji o jego śmierci. Jakby coś w jej głowie ją blokowało. Mimo że wielokrotnie kiwała głową i potakiwała,

nie miał wątpliwości, że nie zrozumiała niczego z tego, co powiedział.

Niezwłocznie poprosił dla niej o wsparcie psychologiczne. Potem dostał informację, że Anna-Clara, bo tak miała na imię, została przyjęta na oddział psychiatryczny szpitala klinicznego w Odense.

Przesłucha ją, kiedy tylko lekarze na to zezwolą. A głównymi tematami będą długi i hazard.

Czyżby miało się okazać, że i ta młoda kobieta wcale nie znała swojego męża?

Rozdział 14.

Wszystko wskazywało na to, że noc, kiedy zamierzał pospać dłużej, będzie biała. Ale kto wie — może się również okazać nocą czarną. Biała noc oznaczała jakieś pięć godzin nieprzerwanego snu. Zaledwie kilka razy w ciągu ostatniego roku udało mu się przespać sześć godzin. Czarna noc oznaczała odwiedziny kogoś z Siódemki.

Był zmęczony. Każdy skrawek jego ciała był fizycznie wyczerpany. Od kilku godzin pot spływał po nim strumieniami, ale nie przerwał pracy. Rąbał na kawałki grube pnie drzew. Mnóstwo pni, ciężka praca. Z takiej nieprzerwanej pracy mięśni zbudowane były białe noce.

Otulił się dziurawym kocem. Białą poproszę. Chwilę później zapadał się coraz głębiej.

► „Sierra sześć-zero, tu Alfa zero-pięć. Serbskie bojówki ustawiły punkt kontrolny przy skrzyżowaniu w Pločari Polje. Czekać. Bez odbioru”. ◀

— *Oxe, kurwa, widzisz to?! Oni są napruci w trzy dupy. Tak nie można, kurwa. Tak nie można.*

— *Spokojnie, Bosse. Tylko spokojnie.*

► „Charlie zero-siedem, tu Alfa zero-pięć. Powoli naprzód. Powtarzam: powoli. To wygląda na zwykłą pijatykę w rowie. Wyłączam się. Zgłoszę się, jeśli będzie trzeba. Bez odbioru”. ◀

— *Mówicie, że z Danii? A gdzie to jest? Może w Szwecji? Albo Szwajcarii? Ha, ha! Chuj z tym, to tylko takie wygłupy. Laudrup z Barcy jest z Danii, tyle wiem. Zdrowie! I witajcie. Jestem komendant Milan „The Razorblade”. Kiedyś golarz z bożej łaski z Kiseljaku. Chodźcie do nas i napijcie się niebiańskiej śliwownicy z*

serbskimi zwycięzcami.

— Nie, dzięki. Musimy ruszać dalej, do Smajlovići.

— O nie. U mnie nie ma, że nie. Co, myślicie, że jesteście za dobrzy, żeby pić z Serbami? Masz, potrzyмай moją flaszkę. Myślę, że powinniśmy zagrać. Ty i ja. Nie w rosyjską ruletkę, co to, to nie. To będzie serbska ruletka, ha, ha! Nie jedną, tylko dwiema kulami... gotowy? Ja obracam. Najpierw ja, potem ty. A potem się napijemy — jeśli obaj przeżyjemy!

Klik...

— Ej, Duńczyk, no co jest? Odmawiasz? Weźcie go przypilnujcie, koledzy. I dajcie mu w mordę, jak będzie się rzucał. Pociągnę za ciebie, przyjacielu.

Klik...

— A teraz pijemy. Potem będzie runda druga.

Klik...

Klik...

— Zdrowie.

Klik...

Klik...

Obudził się zlany potem w połowie kliknięcia zamka pistoletu i z wrażeniem lufy rewolweru dociśniętej do skroni. Wszystko było mokre. Nawet koc można było wyzymać.

Serbska Ruletka była jedną z Siódemki. Rzadszą niż Krowiarz i Starowinka z głową, ale w ciągu ostatniego miesiąca koszmar z Brzytwą z Kiseljaka nachodził go najczęściej.

— Niech cię szlag, Duńczyku. Zrobiłem cię w konia. Wyjąłem kule, ot co! „The Razorblade” chciał się tylko zabawić... Zdrowie.

► „Sierra sześć-zero, tu Alfa zero-pięć. Minęliśmy punkt kontrolny. Idziemy dalej, do Smajlovići”. ◀

Zdjął przemoczoną koszulkę i rzucił w kąt. Potem przełożył

nogi przez krawędź łóżka i usiadł, żeby złapać oddech. Taki był pewien, że będzie noc biała, a jednak okazała się czarna. Siedział i nasłuchiwał. Na zewnątrz panowała absolutna cisza. Błoga, zbawienna cisza. Żadnego klikania zamka pistoletu.

Właśnie miał wstać i pójść na dół napić się wody, kiedy dom wypełnił piekielny, przenikliwy dźwięk alarmu. Szarpnął drzwi szafy i wcisnął guzik, by wyciszyć dźwięk.

Nienawidził, gdy coś przerywało ciszę. Alarm był jednak konieczny. Przesunął wzrokiem po dwunastu polach na dwóch monitorach. Najpierw pośpiesznie, potem raz jeszcze — wolniej i uważniej. Nic nie widział.

Alarm uruchomiła kamera numer jeden, a po niej numer dwa. Dwanaście kamer było rozmieszczonych tak, jakby jego strefa bezpieczeństwa była tarczą zegara. Godzina dwunasta oznaczała północ, a szósta — południe. Uważnie przyjrzał się każdemu z dwunastu prostokątów.

Miał nadzieję dostrzec sarnę albo któregoś z niewidocznych za dnia borsuków, które przez jakiś czas nie dawały mu spać. Ale nie — nie widział absolutnie nic. Dlatego musiał teraz przejść do punktu drugiego procedury awaryjnej. Zdarzyło się to już siedem razy i ani razu nie udało mu się wyjaśnić, co uruchomiło alarm.

Ubranie się zajęło mu poniżej minuty. Nawet sięgające za kostkę buty miał zapinane na rzepy, by oszczędzić cenne sekundy.

Na głowę naciągnął czarną kominiarkę, zapiał pas z nożem i pistoletem, do kieszeni wepchnął czarne rękawiczki i założył noktowizor. Istnieje mnóstwo modeli noktowizorów — jego sprzęt był ultralekki i zamontowany na aluminiowej klamrze osadzonej na szerokiej opasce na czoło. Pozwalał mu widzieć w ciemności i zapewniał jednocześnie pełną swobodę ruchu, a gdy nie potrzebował urządzenia, mógł je

zwyczajnie odsunąć do tyłu.

Chwilę później uchylił tylne drzwi. Przez moment stał i nasłuchiwał, po czym wymknął się w noc.

Najszybciej jak umiał przebiegł przez otwarty teren za domem i zatrzymał się, gdy tylko dotarł do krawędzi lasu.

Noc była pochmurna — idealna dla takiej akcji. Cały ubrany na czarno doskonale zlewał się z otoczeniem i stanowił trudny do namierzenia cel.

Między pierwszymi pniami drzew skradał się w kierunku godziny pierwszej, która znajdowała się kawałek dalej, w głębi gęsto zarośniętego lasu. Do zimy powinien zdążyć go przerzedzić, jak to optymistycznie ujął Rybak.

Kiedy przekroczył ślady kół — jedno z wielu przecinających plantację — wiedział, że jedynka była tuż obok. Kamera wisiała na modrzewiu stojącym tu niczym przybysz z innego świata. Zasięgiem obejmowała właśnie owe ślady kół oraz przesmyk w lesie pozwalający wjechać traktorem i wywozić drzewo.

Poszedł dalej na wschód, od tyłu obszedł kamerę numer dwa i po kilku minutach przykucnął w poszyciu pod grubym pnem. Podświetlił tarczę zegarka. Była trzecia jedenaście. Musiał poczekać. Po pięć minut na każdej z ośmiu pozycji, które wyznaczył na swojej tarczy ochronnej.

Cierpliwość była cnotą. Ćwiczył się w niej latami. Czekanie nie było dla niego żadnym wyzwaniem. Czekanie było rozsądnym spożytkowaniem czasu. Wykazanie się większą cierpliwością niż wróg i odczekanie dłużej niż on mogło mieć decydujący wpływ na wynik konfrontacji. Cierpliwość mogła wyznaczać granicę między życiem a śmiercią.

Cisza była tak wymowna, że zdawała się pozostawać w symbiozie z ciemnością. To w niej ujawniała się cała potęga nocy, która potrafiła trzymać w szachu wszystkich graczy, aż o świcie zmęczenie da o sobie znać i stracą siły.

Raz jeszcze się rozejrzał — dzięki sprzętowi ciemność nie stanowiła przeszkody. Na obszarze trzystu sześćdziesięciu stopni nie dostrzegł najmniejszego poruszenia.

Po pięciu minutach czekania w pełnym skupieniu na nowo podjął ostrożne sondowanie ciemności. Zakradał się dalej, zgodnie z ruchem zegara, ku kolejnej pozycji.

Półtorej godziny zajęła mu inspekcja terytorium. W pobliżu rozwalającego się domu nie znalazł absolutnie niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Tak samo było za każdym poprzednim razem, kiedy wychodził na nocną kontrolę. Najprawdopodobniej coś spłoszyło sarnę albo ich niewielkie stado z legowiska w leśnym poszyciu i to one musiały uruchomić jedynekę i dwójkę. Podczas ucieczki łatwo mogły się znaleźć w zasięgu obu kamer w odstępie zaledwie paru sekund. Na twardym dysku na pewno by je zobaczył.

Nie mógł sobie jednak pozwolić na luksus zignorowania alarmu. Każde jego uruchomienie należało sprawdzić, bez względu na godzinę czy pogodę.

Wróg często pojawiał się w najmniej spodziewanym momencie. On zaś nie zamierzał dać się uśpić pozornemu poczuciu bezpieczeństwa. Z drugiej strony, jeśli koszmary nadal będą się nasilać, to sen — a raczej jego brak — stanie się zagrożeniem, którego nie wolno lekceważyć. Musi zacząć spać. Bez względu na to, czy znajduje się w piwnicy w Kopenhadze, czy w dziczy Rold Skov, zmęczenie zaatakuje nagle i zwali go z nóg.

Bezsensowność była jego słabością i jeśli nic się nie zmieni, to w najbliższych dniach będzie musiał coś z tym zrobić.

Świtało, gdy ponownie tylnymi drzwiami wszedł do środka. Przechodząc obok kuchni, usłyszał szuranie w pudełku. Zatrzymał się i zerknął. Wrona wydawała się zdrowa i pełna energii. Pewnie już niedługo będzie dość duża i silna, by

odzyskać wolność.

Na górze w spartańsko urządzonej sypialni szybko się rozebrał — starannie odwieszał każdy element stroju na właściwy gwóźdź w ścianie, na przedostatnim miejscu kominiarka, a na ostatnim noktowizor. Poniżej wisiał pas, lecz bez broni — z nią nie rozstawał się nigdy.

Położył się i przykrył kocem. Miał jeszcze godzinę, zanim będzie musiał wstać i pomóc Rybakowi przy rybach. Potem czeka go jakieś osiem, dziewięć godzin pracy w lesie.

Coś mu mówiło — być może przeklęty niepokój odrodzony przez nasilające się koszmary — że najwyższa pora zejść do piwnicy zapewnić sobie owo wyjście awaryjne, które obmyślił już jakiś czas temu.

Rybak niedługo wyjeżdża na kilka dni. Wtedy rozbuduje swoją twierdzę.

Rozdział 15.

Kobieta po pięćdziesiątce, która otworzyła drzwi, nie uśmiechała się, ale skinęła zapraszająco głową, jakby akceptowała fakt jej przybycia — i po części była z niego rada. Ona z kolei na powitanie wyciągnęła rękę do Susanne Oxen Viig.

— Dzień dobry. Margrethe Franck. Pamięta mnie pani?

— Witam. Tak, oczywiście że pamiętam. Mam wrażenie, że nie minęło aż tyle czasu od ostatniego razu — odparła siostra Oxena.

— Według mojego kalendarza dokładnie osiem miesięcy i dwadzieścia dwa dni. Widziałyśmy się w październiku.

— Naprawdę aż tyle?

Potwierdziła skinieniem. Była tu jakiś czas po tym, jak Oxen uciekł z uroczystości na komendzie w Aalborgu, jakby ziemia się pod nim paliła. Margrethe wydało się rozsądne rozpocząć nową rundę rozmów właśnie od spotkania z jego siostrą.

Jeśli ułoży się ono tak jak ostatnio, sympatyczna przedszkolanka będzie rozmowna i chętna do pomocy — i kompletnie na nic jej się to nie przyda. Mimo wszystko zawsze była nadzieja, że z rozmowy może wyjść na jaw jakaś nowa informacja — duża albo mała.

— Proszę, niech pani wejdzie... Jak już mówiłam przez telefon: bardzo mi przykro, ale nie wiem, w jaki sposób mogłabym pomóc. Dlatego...

— Nie musi pani przeproszać. Zbieranie informacji to moja praca. Z doświadczenia wiem, że czasem powtórna rozmowa pozwala nagle dostrzec ukryte wcześniej zależności. Nieco inaczej sformułowane pytanie może niespodziewanie

poruszyć uśpione wcześniej trybiki pamięci. Dlatego podchodzimy do sprawy spokojnie.

— Postaram się odpowiedzieć najlepiej jak umiem. Chodźmy do kuchni. Kawy?

— Tak, dziękuję.

Usiadła przy stole w kuchni emanującej zdrowym rozsądkiem made by Ikea.

— Mam tylko rozpuszczalną. Innej nie piję. Może być? — spytała Susanne, stojąc przy zlewie, odwrócona plecami.

— Jasne — odparła i dodała: — Może zacniemy od razu?

Susanne odwróciła się i pokiwała głową.

— Ponieważ nie odzywała się pani przez cały ten czas, zakładam, że brat się z panią nie kontaktował.

— Nie. Nie dał najmniejszego znaku życia.

— Myśli pani, że mógł się kontaktować z którymś z pozostałych członków rodziny?

— Jak mówiłam poprzednim razem, nasza rodzina jest na tyle mała, że na pewno bym się dowiedziała, gdyby Niels skontaktował się na przykład z wujkiem. Ale przecież dawniej też tego nie robił. Dla nas — a w każdym razie dla mnie — Niels nie jest bardziej nieobecny niż do tej pory. Nie miałam nawet pojęcia, że mieszkał w Kopenhadze. I jak wiesz, nie tęsknię za nim.

Susanne usiadła na krześle naprzeciwko i postawiła przed nią kubek. Drobna, siwa kobieta sprawiała wrażenie tak samo trzeźwo patrzącej na życie i pozbawionej złudzeń jak ostatnio.

— Wizyta u naszej mamy też nic pani nie da. Jej stan jeszcze się pogorszył od ostatniego razu.

— Mówi się, że ta choroba najsilniej uderza w bliskich. To prawda?

— Bardzo rzadko udaje jej się mnie rozpoznać.

— Jak często ją pani odwiedza?

— Pewnie nie tak często, jak powinnam. Nie tak często, jak inni odwiedzają swoje stare schorowane matki. Ale o tym mówiłam już chyba poprzednim razem, prawda? Nigdy nie byliśmy zdrową, silną rodziną, jak inne. Raczej przeciwnie. Dlatego jakkolwiek dziwnie to brzmi, jej choroba niespecjalnie mnie porusza. Od wielu, wielu lat nie utrzymywałyśmy bliskich stosunków.

— Sądzi pani, że Niels odwiedzał ją w tym czasie?

Susanne zdecydowanie pokręciła głową.

— Dlaczego nie?

— Z tych samych powodów, co ja. Matka nas opuściła, gdy powinna była nas chronić. Zawiodła nas i od tamtej pory gorycz jest jak przepaść, która nigdy już nie pozwoli nam się do niej zbliżyć.

— Niektórzy budują mosty.

Susanne patrzyła pustym wzrokiem znad krawędzi kubka. Chwilę trwało, nim odpowiedziała.

— Dziś być może byłabym na to gotowa, ale jest już za późno cokolwiek budować. Od dawna nie da się z nią normalnie porozmawiać.

W jej głosie nie słyhać było żadnej goryczy, wciąż tylko ten trzeźwy spokój. Jedynie momentami dostrzegala na twarzy Susanne lekkie rozczarowanie.

— Niels również nigdy się z nią nie pogodził?

— Czemu pani o to pyta?

— Wciąż próbuję wyrobić sobie całościowy obraz jego osoby. I wciąż bardzo byśmy chcieli go znaleźć. Wszystko może się okazać pomocne. O to chyba jeszcze panią nie pytałam... Czy widziała pani kiedykolwiek jego odznaczenie? Krzyż Waleczności?

— Tylko w gazecie. Pozostałe widziałam, ale Krzyża nie. Niech pani zaczeka...

Wstała i poszła do pokoju. Chwilę potem wróciła z

obszernym artykułem wyciętym z gazety i rozłożyła go na stole. Nagłówek brzmiał: „Nikogo ponad Oxenem”. Poniżej wytłuszczonym drukiem stało: „Jako pierwszy w historii dawny komandos Niels Oxen otrzymał wczoraj Krzyż Waleczności za wykazanie się w walce wybitną odwagą. Zdaniem głównego dowódcy armii możliwe, że jeszcze przez kilkadziesiąt lat nie znajdzie się kolejna osoba godna tego wyjątkowego zaszczytu”.

Wiedziała mniej więcej, co było w dalszej części. We wszystkich artykułach, które miała w swoich pudełkach pod łóżkiem, pisano mniej więcej to samo. A ze swojej ostatniej wizyty u Susanne wiedziała, że Oxen nie zaprosił na uroczystość w Kastellet ani siostry, ani matki.

— Jest pani z niego dumna?

— Dumna? Czy ja wiem... dumna... hm... Nasze drogi rozeszły się tak dawno temu. Nie wiem, czy jestem dumna.

— Przekręciła nieco artykuł, żeby móc spojrzeć na zdjęcie młodszego brata.

— Może i jestem. Trochę. I zaskoczona.

— Dlaczego?

Znów się zawahała. Mimo wszystko wydawało się, że jest w bardziej refleksyjnym nastroju niż ostatnio. Być może ich rozmowa coś w niej poruszyła.

— Po prostu nie wiem, skąd to się u niego wzięło. Czasem się nad tym zastanawiam. Na pewno nie ma tego po naszej matce — skwitowała, prychnając. — I *ja* też tego nie mam. Nie jestem odważna, nie jestem *waleczna*. Pilnuję tylko dzieci w przedszkolu. To wszystko. Jeszcze kawy?

Z kieszeni kurtki wyjęła mały notes i spojrzała na niego. Zapisała w nim pytania i tematy, o które miała zapytać w nawiązaniu do ich ostatniej rozmowy.

— Domyślam się, że nie wie pani, gdzie Niels trzyma Krzyż Waleczności i pozostałe odznaczenia...

— Nie, naprawdę nie mam pojęcia.

— A przychodzą pani do głowy jakieś miejsca, w kraju albo za granicą, które według pani wiedzy szczególnie lubił? O których mówił z zachwytem?

— Niestety, ani jedno. Nie pamiętam nic takiego poza tym, że w podróż poślubną pojechali z Birgitte do Sankt Petersburga. Byli też chyba na Majorce i Gran Canarii, jak każdy. Proszę zapytać jego byłą, to moja jedyna rada.

— Birgitte odmówiła ponownego spotkania. Mówi, że powiedziała już wszystko i nie chce tracić na Nielsa więcej czasu. Obiecała zadzwonić, jeśli coś sobie przypomni.

— Nie zadzwoni. Moim zdaniem mój brat dla niej już nie istnieje.

— Dlaczego tak pani sądzi?

— Choćby dlatego, że ona ma teraz całkiem nowe życie. Nową pracę, nowego męża, elegancki dom. I dlatego, że Niels staczał się na jej oczach, a ona nie zrobiła nic, aby mu pomóc.

— Nie mówiła pani o tym poprzednim razem. Czy to znaczy, że jej pani nie lubi?

— Zdecydowanie można tak powiedzieć. I Bóg mi świadkiem, nigdy nie lubiłam. I tak mieliśmy z Nielsem trudne relacje, ale ona bynajmniej nie przyczyniła się do ich poprawy. To wyrachowana żmija. Taka, co to nie przepuści okazji, by wbić komuś szpilę. A kiedy Niels potrzebował pomocy i wsparcia, odeszła, nawet się za sobą nie oglądając. I zabrała Magnusa. I choć nie z pierwszej ręki, to tyle wiem, że zrobiła wszystko co w jej mocy, żeby uniemożliwić małemu kontakty z ojcem.

— Według moich informacji Niels nie widuje się z synem i nie widział się z nim od lat. To najwyraźniej jego decyzja i jego własne zaniechanie, nie jej.

— Być może. Nie wiem... Wiem tylko, że na początku robił

co mógł. Kto wie, może choroba stanęła mu na przeszkodzie? Może nie był w stanie zebrać się w sobie? Może nie miał siły na gehennę ciągania się po sądach i urzędach. Powiem tak — wiele można zarzucić mojemu bratu, ale tego jednego można być pewnym: Niels kocha swojego syna. Najbardziej na świecie. I jeśli nie opowiada o Magnusie albo go nie odwiedza, to dlatego, że zwyczajnie nie jest w stanie.

Susanne wzburzyła się własnymi słowami i — być może mimowolnie — pokazała, że na dnie jej serca kryją się jednak okruchy sympatii dla marnotrawnego brata.

— Cofnijmy się jeszcze dalej w czasie: Bosse. I jego śmierć w Chorwacji.

— Bosse, no tak... Pamiętam go jeszcze jako dzieciaka z Høng. — Susanne przygryzła dolną wargę. — Niels nie potrafił tego odpuścić. Kto wie? Może wciąż nie potrafi.

— Zastanawiała się pani, czy mieli jakieś wspólne miejsca — w kraju albo za granicą? Takie, które coś dla nich znaczyły? Jako dzieci spędzali razem wakacje.

— Niestety. Nie wiem, co powiedzieć, nie mogę pani pomóc. O ile mi wiadomo, w Danii nie było takiego miejsca. Może gdzieś na Bałkanach... Zwyczajnie nie wiem.

— Rodzice Bossego powiedzieli mi, że Niels w pierwszych latach czasem ich odwiedzał. Zawsze tylko na chwilę. Wstępował na kawę i krótką rozmowę. Potem przestał. Czy to coś pani mówi?

— To chyba nie do końca prawda. Pamiętam, że Niels powiedział mi kiedyś, że w rocznicę śmierci Bossego zawsze bierze wolne. Może więc nie odwiedza już rodziców, ale — przynajmniej wtedy, gdy to mówił — raz w roku zachodził na cmentarz.

— Jest pani pewna, że tak należało to rozumieć?

— Tak. To było zresztą do niego podobne. Czy to nie jest

jakoś wpisane w żołnierski etos, obchodzenie takich rocznic i okazywanie szacunku poległym?

— Może się okazać, że to dla mnie cenna informacja. Z drugiej strony wszystko mogło się oczywiście zmienić w późniejszych latach, gdy Niels miał na głowie dość problemów z sobą samym.

— Oczywiście. Mówię tylko, jak było kiedyś.

Opróżniła swój kubek do ostatniej kropli. Nie było sensu grzebać dalej w młodości i dzieciństwie Oxena. Jego siostra nie miała do dodania nic ponad to, co przed chwilą powiedziała, zresztą całkiem przypadkiem. Margrethe się zawahała. Chciała zapytać o coś jeszcze. Tyle że chodziło o sprawy osobiste — i w związku z tym niezręcznie było pytać o to siostrę. Ostatecznie się zdecydowała.

— Myślałam o tym od naszego ostatniego spotkania... o waszym ojcu, który się nad wami znęcał... Wychowałam się w zupełnie innych warunkach i choć w zawodowym życiu wielokrotnie stykałam się z przemocą domową, wciąż nie mieści mi się to w głowie. *Dlaczego on was bił* — własne dzieci?

Susanne Oxen Viig wzruszyła ramionami i zamyśliła się na dłuższą chwilę. A potem zaczęła mówić wolno i z rozwagą:

— Sama sobie wielokrotnie zadawałam to pytanie. Myślę, że odpowiedź tak naprawdę jest bardzo prosta. Jego własne dzieciństwo wyglądało podobnie — zero miłości, kary wymierzane za nic. Był drobnym mężczyzną i małym człowiekiem. Domowym tyranem chorym na władzę. Bił nas, bo *mógł*.

Wyjaśnienie Susanne brzmiało, jakby doszła do niego sama, bez pomocy psychologa. Choć być może powinna była takową otrzymać.

Susanne odkaszlnęła i ujęła kubek oburącz.

— Pamiętam, że jako dziecko prosiłam Boga, żeby mi

pozwoił zmienić rodzinę. Moja najlepsza przyjaciółka miała cudownych rodziców. Ich dom był dla mnie jak kraina marzeń rozciągająca się za furtką. Bo widzisz, takie doświadczenie wypacza wszystko. Cały ten syf wleczesz potem za sobą w dorosłe życie. Próbujesz go od siebie odsuwać, a on i tak wraca i zmusza cię do konfrontacji. Nie pamiętam już, czy ostatnim razem ci o tym mówiłam, ale Niels kiedyś wygarnął to wszystko ojcu. Ja powinnam była zrobić to samo.

Margrethe tylko potakiwała, gdy Susanne robiła krótkie przerwy, by znaleźć odpowiednie słowa, i unosiła swój kubek, kiedy ta pytająco podnosiła dzbanek.

— To właśnie miałam na myśli, mówiąc, że Niels ma to w sobie. I że ja nie mam. To tylko takie moje przemyślenia na temat naszej sytuacji. Mnóstwo się o tym naczytałam. Istnieją dwie, skrajnie różne reakcje na to, co nas spotkało. Albo świadomie lub nieświadomie powtarzasz schemat, w jakim cię wychowano. Albo całkowicie się od niego dystansujesz. Niels odsunął się bardzo wcześnie. Mimo że nie jest rozpoznawany na ulicy, to przecież prawdą jest, że stał się największym bohaterem, że dla ludzi z jego środowiska jest najwyższym wzorem, jaki można wskazać w Danii, prawda?

— Tak, to prawda.

— Gdyby ludzie poznali jego prawdziwą historię, wówczas to, czego dokonał, wydałoby się im nieskończenie większe. Jest odpowiedzialny i troszczy się o swoich najbliższych. Nawet jeśli to oznacza postawienie na szali własnego życia. Bosse był dla niego jak młodszy brat. Niels bardzo go kochał, chronił, opiekował się nim od samego początku. Aż do tamtego dnia... On ma w sobie wiele miłości i potrafi okazywać empatię. W pewnym sensie to ironia losu — Niels jest bowiem wszystkim, czym nasz ojciec nie był. To

strasznie dziwne, jak o tym pomyśleć...

— Ale cena? Drogo za to zapłacił, prawda?

Susanne Oxen Viig pokiwała milcząco głową i wbiła wzrok w ścianę.

— Tak. Zrujnował przez to własne życie.

Rozdział 16.

Tylko w pojedynczych oknach paliło się światło. Poza tym budynek komendy w Odense spowijał mrok. Samotny radiowóz wyjechał z ogrodzonego parkingu i szybko się oddalił, kiedy ciemna postać przechodziła przez pogrążoną we śnie Pjentedamsgade, kierując się w stronę tylnego podwórka.

Mężczyzna był średniego wzrostu, postawny, ruchy miał spokojne, niewskazujące, by dokądkolwiek się śpieszył. Był w policyjnym mundurze, na głowie miał czarną bejsbolówkę, a przez ramię przewieszony ciemnozielony plecak.

Pewnym krokiem człowieka obeznanego w terenie minął wyznaczone miejsce parkingowe dla pracowników, przeszedł przez opustoszały plac, otworzył drzwi i bez wahania postawił stopę na pierwszym stopniu.

„Jesteś spokojny, jak zawsze. Jesteś policjantem. Oni nie znają ciebie, a ty nie znasz ich — ale jeśli będziesz się zachowywał naturalnie, to twoja obecność nikogo nie zdziwi. To bułka z masłem...”

Zapewnienia, jakimi sam siebie uspokajał, były jednak zbędne. Był spokojny, a przy tym maksymalnie skupiony, kiedy przechodził długim, pustym korytarzem. Na pamięć nauczył się planu budynku, który wcześniej sam sobie załatwił. Wielokrotnie pokonywał w myślach trasę przez podwórko do tylnego wejścia i dalej, przez cały budynek.

Na koniec pokonał ją w świecie rzeczywistym, w przebraniu hydraulika, w czapce z daszkiem, firmowym kombinezonie, taszcząc skrzynkę na narzędzia.

Zawsze był dokładny. Między innymi dlatego był taki dobry. A jeśli się było dość dobrym, to można było samemu

ustalać ceny. Za wejście na teren komendy, zabranie tego, co miał zabrać, i opuszczenie budynku otrzymał bająńską sumę.

Kolejne drzwi, kolejne schody i dwie możliwości — wyżej. I jeszcze wyżej. Szedł dalej. Jego cel znajdował się w wydziale kryminalnym na trzecim piętrze. A dokładniej w biurze zastępcy komendanta policji H.P. Andersena. Czwarte drzwi po prawej, w dół korytarza.

Chwilę później był na korytarzu. Policzył drzwi i upewnił się, że, jak zawsze, doskonale wszystko zapamiętał. Otworzył je i po wejściu do środka ostrożnie za sobą zamknął.

Spojrzał na zegarek, trzecia dwadzieścia cztery. Wszyscy przyjdą dopiero rano. Nie musiał się śpieszyć, ale doświadczenie nauczyło go oszczędzać czas. Im dłużej przebywał w miejscu krytycznym, tym większe było ryzyko niepowodzenia.

Zaczął od uruchomienia komputera szefa policji, przyświecał sobie przy tym latarką. Sprzęt, w jaki państwo wyposażało swoich stróżów prawa, bynajmniej nie powalał.

Odłożył plecak na biurko i wypakował swoje rzeczy. Podłączył do komputera własny laptop i dysk zewnętrzny. Następnie stosunkowo prostym oprogramowaniem przeczesał komputer komendanta w poszukiwaniu haseł, by bez przeszkód go włączyć. Samo skopiowanie dysku nie potrwa długo.

Po uruchomieniu przesyłu danych zajął się przeglądaniem stosów papierów, szuflad i półek w poszukiwaniu informacji, które mogłyby okazać się dla niego istotne.

O motywach swojego klienta oraz o nim samym nie wiedział nic. Wiedział tylko, że interesuje go wszystko na temat zabójstwa inspektora muzeum zamku w Nyborgu. I musiał się zabezpieczyć na wypadek, gdyby nie wszystko

istniało w formie elektronicznej.

Na samej górze stosu papierów na biurku znalazł teczkę z plikiem raportów z przesłuchań. Było ich pięć. Tylu mężczyzn przesłuchano w związku z zabójstwem. Najwyraźniej centralny punkt wszystkich raportów stanowiły narkotyki. Schował teczkę do plecaka i szukał dalej.

Kopiowanie dysku było prawie zakończone. Przeszukiwał właśnie kolejną szufladę biurka, gdy usłyszał kroki na korytarzu. Ktoś pośpiesznie szedł w jego stronę. Zaklął po cichu. Nie chciał teraz przerywać kopiowania. Jakie było prawdopodobieństwo, że ten ktoś wtargnie do biura szefa w środku nocy? Niewielkie, bardzo niewielkie.

Zamknął szufladę, zdjął plecak z biurka i schował się za drzwiami — na wszelki wypadek.

Kroki były całkiem blisko. I zwolniły. Za moment owo niewielkie prawdopodobieństwo stanie się faktem.

Zobaczył, jak ktoś naciska klamkę. Nie widział osoby stojącej w drzwiach. Ktokolwiek to był, pewnie zaniepokoiło go światło monitora. A zaraz potem oczywiście zielone, migające oko dysku zewnętrznego, który właśnie pożerał ostatnie dane.

Wtedy zapalono światło i mężczyzna w jasnoniebieskiej policyjnej koszuli wolnym krokiem zbliżył się do biurka. Pochylił się, by bliżej przyjrzeć się sprzętowi leżącemu na biurku swojego szefa i podłączonemu do jego komputera.

Musiał działać. Za moment ten człowiek rozejrzy się wokół. Odruchowo. Ostrożnie wsunął rękę w prawą kieszeń kurtki i pewnym chwytem złapał obitą w skórę pałkę. Wyjął ją i rzucił się na plecy mężczyzny.

Uderzył w tył głowy — mocno i precyzyjnie. Mężczyzna upadł na blat biurka i, nim zdołał temu zapobiec, stracił na podłogę stos dokumentów.

Szybko sprawdził stan policjanta. Cios był silny, ale nie zbyt silny. Pałka miała trzon ołowiany obity twardą skórą i służyła do powodowania poważnych obrażeń ciała — oraz do zabijania, jeśli się jej użyło nieodpowiednio. On jednak nie chciał nikogo niepotrzebnie krzywdzić.

Broń zabrał ze sobą dla własnego spokoju i posłużył się nią tylko w samoobronie. Oszczędził sobie pogruchotania ręki, gdyby musiał się porwać na wysoce ryzykowną próbę powalenia tego człowieka jednym ciosem. Takie rzeczy są możliwe wyłącznie w filmach. Poza tym nie mieściły się w jego kompetencjach.

Ułożył nieprzytomnego policjanta na dywanie w możliwie najwygodniejszej pozycji i wrócił do swojej pracy.

Zielona lampka przestała migać, co oznaczało, że miał już dokładną kopię twardego dysku osoby kierującej śledztwem. Przejrzał ostatnie szuflady w poszukiwaniu innych materiałów w sprawie. Wreszcie odłączył swój sprzęt i schował z powrotem do plecaka.

Był gotów się stąd zwijać. To, że został nakryty, niczego nie zmieniało poza faktem, że był na siebie zły z czysto zawodowego punktu widzenia. Klient otrzyma swoje zamówienie. A nad tym, co tu się stało, będą sobie musieli łamać głowy policjanci z fińskiej dochodzeniówki.

Nie wyobrażał sobie, aby byli w stanie się dowiedzieć, kto im patrzy przez ramię. Albo dlaczego. Jego nieznanemu mu osobiście pracodawca był prawdziwym profesjonalistą i w życiu by na to nie pozwolił.

Przewiesił plecak przez ramię, zgasił światło, zamknął za sobą drzwi i spokojnie wyszedł na pusty korytarz.

Za kilka minut będzie po wszystkim. Wtedy pozostanie dopełnienie ostatniego punktu kontraktu: przekazanie.

Żwir szurał pod butami. Wszystko wokół wyrywało się do życia. Słońce przyświecało z błękitnego nieba i mimo

wczesnej godziny już przygrzewało.

Cudowny poranek. Ścieżka wiała się przez centrum Odense. Wcześniej szedł nią tylko raz — podczas rutynowego rozpoznania trasy na dzień przed akcją. I pewnie nigdy więcej nie będzie tędy przechodził, bo wyjątkowo rzadko trafiały mu się zlecenia z prowincji. Zwykle pracował w Kopenhadze albo za granicą. Najczęściej to ostatnie.

Po swojej krótkiej wizycie na komendzie wiele godzin przesiedział w samochodzie wynajętym na fałszywy dowód w Hvidovre. Nie chciał się niepotrzebnie narażać na uchwycenie hotelowym monitoringiem. Musiałby się bawić z brodą i okularami, zasłaniać się gazetą — tym razem wydało mu się to zbędne. Oczywiście będzie widoczny na nagraniach z kamer monitoringu na komendzie, ale przez daszek czapki naciągnięty na czoło ujęcia będą bezużyteczne.

Parking, na którym zostawił samochód, wybrał już wcześniej. Znajdował się na obrzeżach miasta, między blokami mieszkalnymi. Uciął sobie solidną drzemkę i czuł się teraz wypoczęty i odprężony. Jego śniadanie składało się z dwóch bułek i dużej kawy. Ale nie ze stacji benzynowej ani sklepu całodobowego — od tych zawsze trzymał się z daleka. Kupił je w zwykłym sklepie.

Szedł sobie zatem skąpanym słońcem chodnikiem z teczką pod pachą. Jego praca skończy się za... spojrzał raz jeszcze na zegarek. Za dokładnie pięć minut.

Przez rzekę przeszedł tuż obok ośrodka treningowego klubu piłkarskiego OB. Szedł powoli, żeby zabić ostatnie minuty oczekiwania. Ścieżka biegła teraz wzdłuż ogrodzenia zoo, co było słyszeć i czuć, a także równoległe do drogich działek przy Langelinje. Gdzieś tam, po drugiej stronie, rzeka wpadała do morza.

Bardzo przyjemna okolica. Stało tu również sporo dużych,

pięknych domów, choć on zdecydowanie wolał swój splechetek ziemi nad Sundem.

Raz jeszcze spojrzął na zegarek i przyśpieszył kroku. Za następnym zakrętem, dokładnie o dziewiątej. Czyli za dwie minuty.

Po chwili usiadł na ławce obok starszego mężczyzny w szarym kapeluszu i z laską między kolanami.

— Piękny ranek — odezwał się, nie patrząc na mężczyznę. Teczke położył między nimi.

— To prawda. Czegóż chcesz więcej? — odparł tamten. — Jakież problemy?

— Nic wielkiego. W pewnym momencie pojawił się jakiś policjant. W najmniej odpowiedniej chwili. Uderzyłem go. Ale ostrożnie. Nic mu nie będzie.

— Doskonale. A towar?

— Dysk zewnętrzny w teczce razem z raportami. W formie papierowej znalazłem niewiele.

— Dziękuję. Ostatnia transza honorarium jest gotowa do odebrania, zgodnie z umową.

— Dziękuję i miłego dnia.

— Jeszcze jedno. Polecono mi zaproponować panu jeszcze jedno zlecenie...

— Słucham.

— Chodzi o to, by pan porozmawiał sobie z pewną kobietą.

— Porozmawiał?

— Ściślej mówiąc, należałoby to chyba nazwać przesłuchaniem. Trzeba to nagrać i dostarczyć materiał. Tutaj, w tym samym miejscu.

— A co z tą kobietą?

— Nic. Żadnych grózb. Zależy nam jednak, aby się pan upewnił, że nikomu nie piśnie słowa.

— Hm. Tego typu zadania nie są akurat moją specjalnością.

— Ale to jest proste i nie wymaga przygotowań.

— Wszystko wymaga przygotowań.

Starszy pan zakaszał i odchrząknął.

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy — powiedział. — W całości i z góry.

— Poprosiłbym jednak o nieco więcej informacji.

Jego nieznajomy towarzysz pokrótce opowiedział mu, o co chodzi. Najwyraźniej jednak nie miał ochoty wchodzić w szczegóły. Jeśli się zgodzi, otrzyma dalsze instrukcje.

Gdy mężczyzna skończył streszczać warunki zlecenia, dał sobie chwilę do namysłu.

Właściwie nie miał obecnie nic innego. Było jedno zlecenie w Paryżu, ale już zdecydował, że je odrzuci. Za duże ryzyko. I za duże prawdopodobieństwo, że będzie musiał użyć siły, a nie lubił przemocy. Poza tym nie podobał mu się ton, w jakim się z nim komunikowano, ani sam klient. Za to pracodawcy tego kalibru, w dodatku szczodremu i własnemu rodakowi, głupio byłoby odmówić.

— W porządku, zgadzam się. Instrukcje proszę przekazać tak jak ostatnio.

— Znakomicie. Powiadomię kogo trzeba o pańskiej decyzji. Instrukcje będą jutro przed południem.

— A termin?

— Jak najszybciej.

— Proszę zatem powiedzieć swoim partnerom, że będę miał materiał w ciągu kilku dni, o ile nie natrafie na przeszkody. Tymczasem dziękuję za współpracę.

Mężczyzna tylko skinął krótko.

Rozmowa była zakończona. Towar przekazany, kontrakt wypełniony. Wstał powoli i kontynuował swój spacer wzdłuż rzeki. Kawalek dalej wejdzie pod górę, na drogę biegnącą wokół małego jeziora, i stamtąd elegancką Langelinje wróci do miasta. Będzie mógł sobie obejrzeć te wszystkie

rezydencje od frontu.

Ogromnie się cieszył, że poznał Odense. W dodatku ta znajomość uczyniła go o pół miliona bogatszym. Całkiem nieźle jak na zlecenie o niskim ryzyku. A teraz dostał kolejną robotę. I to w Ringkøbing.

Ringkøbing było wspaniałym starym miastem, które dobrze poznał, gdy spędzał z rodziną wakacje w domku na zachodnim wybrzeżu Jutlandii. Do tego zadanie zapowiadało się na wyjątkowo proste.

Rozdział 17.

Koparka odpaliła z najwyższym oporem i najpierw potężnie się krztusiła, nim silnik zaskoczył i po kilku sekundach wypełnił rozklekotaną obudowę czarnymi, drażniącymi oparami diesla.

Dopiero co pożegnał się z Rybakiem. Stary hodowca ryb wybrał się w jedną ze swoich najdłuższych podróży w ostatnich latach. Miał spędzić trzy dni w Marstal na wyspie Ærø. Siostra zaprosiła go na swoje siedemdziesiąte piąte urodziny. Johannes Ottenes zniknął w chmurze dymu niemal tak samo wielkiej jak ta z koparki i rodzącej spore wątpliwości, czy jego stary pick-up wytrzyma drogę do Fynshav na wyspie Als, skąd odpływał prom do Søby. Ale Rybak zdawał się tym nie przejmować. W doskonałym nastroju, wykąpany i ogolony, ruszył w drogę.

Żółta koparka New Holland miała na karku dobre dwadzieścia lat, nie była więc już ani szczególnie nowa, ani żółta. Rybak widział go już kilkukrotnie, jak męczył się z silnikiem. Nie działał od jakichś czterech albo pięciu lat, co było jedną z wielu przyczyn, dla których stawy powoli umierały. Staruszek nie był w stanie porządnie oczyszczać ich ze szlamu. Jeśli tak dalej pójdzie, dzieło jego życia powoli zgaśnie.

Niels polecił mu załatwić nowe części do maszyny: cewkę zapłonową, pasek klinowy, filtr paliwa i trochę węży do hydrauliki. I teraz wreszcie maszyna ruszyła.

Wrzucił bieg i wytoczył landarę z hangaru. Skierował się w górę zwirowej drogi, w stronę swojego domu.

Teraz naprawdę mógł pomóc Rybakowi w oczyszczeniu stawów i przy okazji pod jego nieobecność wreszcie

zrealizować swój plan. Obmyślił go już dawno, ale nie miał jak wykonać. Ręczne kopanie byłoby zbyt męczące, a piaszczysta ziemia i tak pewnie znów by się osypała.

Koparka huśtała się i kolebała na dziurawej drodze. Powinien się z wszystkim uwinąć w pół dnia. Potem jak zwykle pójdzie z piłą w las.

Wkrótce zajechał na otwarty plac za swoim domem. Wszystko było gotowe. Odmierzone i oznaczone. Zamierzał zbudować sobie własny system tuneli prowadzących z małej piwniczki do lasu. Lis zawsze miał ze swojej nory wiele wyjść, Wietkong również. Jemu wystarczą dwa.

Centralnym elementem planu była długa rura PCV, która od lat musiała leżeć na zagraconym placu za jego domem. Najprawdopodobniej miała służyć do budowy kanałów łączących poszczególne stawy, ale pomysł — podobnie jak wiele innych — nie doczekał się realizacji.

Łącznie znalazł za swoim domem ponad sto metrów rur o średnicy pół metra, czyli akurat tyle, ile potrzebował. Leżały w chaszczach, pozarastane i zasłonięte wielkimi krzakami jeżyn. Samo ich wydobycie kosztowało sporo pracy.

Po raz ostatni rozeznał się w terenie, po czym wbił łyżkę koparki w ziemię. Główny tunel miał wychodzić z tyłu domu, od strony ściany szczytowej, gdzie była piwnica, i stamtąd ciągnąć się po przekątnej przez otwarty plac, przy którego krawędzi należało zrobić rozgałęzienie.

Główny tunel miał iść dalej w leśnym poszyciu, wzdłuż otwartego, szerokiego na jakieś trzy metry pasa między drzewami, ujście było zaplanowane około pięćdziesięciu metrów w głębi lasu, w miejscu osłoniętym zaroślami. Odgałęzienie miało się kończyć trzydzieści metrów na prawo, w krzakach na skraju lasu.

Znów naszała go myśl, która co jakiś czas przerywała jego rozważania o rurach i koparce: czy wpadł w paranoję? Czy

to aby nie jest kolejny z długiej listy symptomów PTSD, które u siebie obserwował?

Ale nie... to co innego. Za każdym razem dochodził do takiego właśnie wniosku. Nie był paranoikiem. Gdzieś tam naprawdę jest wróg, gotów go zabić, gdy tylko będzie miał taką możliwość.

To, co właśnie robił, było oznaką zdrowego rozsądku i rozwagi. Dwóch cech, dzięki którym wciąż żył.

Coś syczało w układzie hydraulicznym, kiedy zagłębiał łyżkę w piaszczystą ziemię przy podmurówce. Wystarczyło kilka machnięć i już był na odpowiedniej głębokości.

Kto wie, może mimo wszystko okaże się, że była to strata czasu, choć zasadniczo miał go mnóstwo do stracenia. Może któregoś dnia pomacha staremu Rybakowi na do widzenia i pójdzie w swoją stronę, a jego podziemna tajemnica latami pozostanie nieodkryta.

A może któregoś dnia podziękuje sobie za to, że wykopał ten tunel.

Koparka zostawiła za sobą już z pięć metrów głębokiego rowu. Szło szybciej, niż się spodziewał.

Cóż, nie mógł wiedzieć, czy kiedykolwiek skorzysta ze tej drogi ucieczki. Wiedział natomiast, że nie ma czegoś takiego jak nadmierna ostrożność.

Po wykopaniu mniej więcej dziesięciu metrów wyszedł z szoferki i wtoczył na miejsce pierwszy fragment rury. Rów miał siedemdziesiąt centymetrów szerokości, więc rura zmieściła się idealnie. Kiedy ją przysypie, tunel znajdzie się na głębokości około pół metra pod ziemią.

Pełen zapału z powrotem wskoczył za kierownicę i pracował dalej. W tym tempie uwinie się w kilka godzin.

Ścianę piwnicy z zewnątrz bez problemu dało się przebić dłutem. Składała się jedynie z pojedynczej warstwy szerokich bloków keramzytowych, które kruszyły się od

uderzeń młotka. Na oko narysował na ścianie krąg, by otwór pasował do obwodu rury, i wkrótce przebił się do wewnątrz.

Dochodziło południe. Ostatecznie postanowił zrobić sobie dziś wolne od pracy w lesie i dokończyć swój tunel. Poza rurą odchodzącą od dziury w ścianie pozostałe też zostały już zasypane.

Wkrótce mógł wczołgać się do dziury i wyjść z niej w małej piwniczce, która w zamyśle Rybaka miała chyba być spiżarnią. Ściana się obsypała, więc czekało go jeszcze trochę pracy przy usuwaniu gruzu i pyłu.

Pomieszczenie wypełniały stare skrzynki na jabłka, kilka starych drewnianych skrzynek na piwo i cała masa butelek różnych kształtów i kolorów. Pod jedną ścianą stała kruszejąca ławka ogrodowa, pod ścianą szczytową porządny regał z solidnymi półkami, od tyłu zabudowany wyheblowanymi deskami. Wszystko to oczywiście poryte przez korniki i spowite pajęczynami. Regał służył do przechowywania przetworów. Część słoików wciąż tu stała. Większość była pusta, niektóre popękały, a w niektórych nadal kryła się nieokreślona, ciemna zawartość.

W tej chwili regał stał prostopadle do ściany. Już dawno postanowił włączyć go do swojego planu ewakuacji, bo doskonale się do tego nadawał. W jednej z niezliczonych skrzyń ze szpargałami w warsztacie Rybaka znalazł dwa porządne haki. Już wcześniej przykręcił je w niewidocznym miejscu z tyłu regału, żeby można było go odchyłać od ściany i wykorzystać do zamaskowania wejścia do tunelu.

Z grubsza posprzątał piwnicę. Pomieszczenie nadal powinno wyglądać, jakby od lat nie było używane. Potem zasypał koparką ostatni fragment rury. Jego podziemne dzieło było gotowe i pewnie zrobiłoby wrażenie nawet na lisach, które widywał, jak przemykały po otwartych polaciach lasu.

Pora na jazdę próbną — przez całą długość tunelu i ze sprzętem.

Przyniósł z sypialni mały plecak, który zawsze stał spakowany na dnie szafy z monitorami. Trzymał tam swój własny paszport i paszport rumuński, laminowane zdjęcie pięcioletniego Magnusa, pięćdziesiąt tysięcy koron w gotówce w specjalnej wodoszczelnej torebce, noktowizor, identyczny jak ten, który wisiał na ścianie przy łóżku, czołówkę, trochę ubrań, nóż myśliwski i trzy pudełka amunicji do neuhausena.

Pistolet miał przy sobie przez cały czas, nawet gdy pracował. Teraz przełożył go do plecaka. Bez niego łatwiej będzie się przeciskać przez tunel.

Wrócił do piwnicy, przez chwilę stał i oceniał wygląd pomieszczenia. Nadal wszędzie były kurz, brud i pajęczyny, a kiedy tylko oddział tłustych pajaków przejdzie się po regale, wszystko znów będzie całkiem jak dawniej. Dla każdego niewprawnego oka piwnica będzie wyglądała, jakby od niepamiętnych czasów nie powstała tu ludzka noga.

Wsunął palce w szczelinę między ścianą a regałem i uniósł haczyk, by odchylić półkę od ściany. Z miną eksperta wielokrotnie powtórzył procedurę, otwierał i zamykał wejście do tunelu. Haczyk za każdym razem samoczynnie z powrotem wpadał do otworu. Zasłona działała najlepiej, jak to tylko było możliwe.

Na koniec przewiązał kilkumetrowy sznur przez koło z tyłu regału, żeby pociągając za niego, zamykać za sobą wejście do rury.

Wygrzebał z plecaka czołówkę, a plecak jedną szelką owinał sobie wokół prawej kostki, po czym wsunął się do wnętrza rury. Przesunął się kawałek do przodu, ciągnąc za grubą linę, którą umieścił na całej długości tunelu jeszcze podczas układania rur. Kiedy cały znalazł się w jego

wnętrzu, pociągnął za sznur przyczepiony do regału i ten ponownie zawisł na haku w ścianie.

Było ciemno, choć oko wykol. Jak w grobie. Przez chwilę się nie ruszał. Musiał zebrać się w sobie. Ciemność mu nie przeszkadzała. Ciemność była przyjacielem i sojusznikiem. Otwierała mnóstwo możliwości — lecz wymagała wyostżenia zmysłów.

Włączył czołówkę i mocno chwyciwszy linę, podciągnął się do przodu. A potem jeszcze raz. I kolejny. Szło łatwo. Niemal ślizgał się na tym plastiku. Mógł też odpychać się czubkami butów. Musiał tylko uważać, żeby nie zgubić plecaka.

Tak musi się chyba czuć kret, wędrując pod ziemią. Jedyna różnica była taka, że kret mógł w każdej chwili wystawić głowę na zewnątrz, jeśli nagle by tego zapragnął. Nigdy nie doświadczał klaustrofobii. Było to wręcz niemożliwe. Jako komandos wielokrotnie bywał w sytuacjach, gdy takie odczucie nie pozwoliłoby mu wykonać zadania.

Twarda szkoła, jaką w swoim czasie przeszedł, i egzamin wieńczący starania o przyjęcie do elitarniej formacji wojskowej natychmiast wyłapałyby tego typu słabości. Ale fobie oczywiście mogły się rozwinąć później. On jednak, choć przez lata nagromadził w swoim mentalnym bagażu sporo syfu i trucizny, to szczęśliwie żadnych fobii. Żołnierze lądowych i morskich jednostek specjalnych nie mogli mieć tego rodzaju skłonności. Zagrozałyby one bezpieczeństwu ich samych i ich kolegów, a w ostateczności mogły kosztować życie.

Nowa seria pociągnięć za sznur pozwoliła mu przesunąć się jeszcze dalej w głąb tunelu.

Skok ze spadochronem czy nurkowanie na duże głębokości nadal nie były dla niego żadnym wyzwaniem. Za to nie potrafił spać. Czasem miał ochotę, jak niedźwiedź na zimę,

przespać całe miesiące. A innymi razy bał się snu i Siódemki.

Posuwał się wciąż naprzód i minął właśnie rozgałęzienie, które sklecił w tunelu głównym, tam gdzie obie rury miały się spotkać. Wykonał je, zostawiając między rurami tunelu głównego jakiś metr odstępu, i to w nim umieścił rurę odchodzącą w bok.

Miejsce złączenia rur zabezpieczył przed zawaleniem żelazną płytą jezdnią i dopiero je zasypał. Przeczłogał się przez piaszczysty fragment i posuwał się dalej. Za niecałe pięćdziesiąt metrów dotrze do końca.

Dostrzegł z przodu światło. Podciągnął się ostatni kawałek, ukośnie pod górę i poczuł między palcami grubą warstwę igliwia. Światło przebijało się słabo przez gęste poszycie, nad którym zamykały się gałęzie drzew. Z trudem udało mu się wjechać tu koparką. Ostatni, krótki fragment rury wbijał się na tyle, na ile się dało, między pnie drzew.

Koniec długiego sznura był przywiązany do szyny pod ziemią. Przyciągnął ciężką metalową płytę i zasłonił nią otwór w ściółce. Potem wszystko przykrył zwiędłymi iglastymi gałęziami.

Żadne ludzkie oko nie wypatrzyłoby teraz jego podziemnego wejścia. Niech tylko parę razy popada, potem niech przyświeci słońce, a wejście w krótkim czasie zarośnie trawą i chwastami.

Czuł ogromną satysfakcję, kiedy ruszył do drugiego wyjścia, by je również odpowiednio zakamuflować. Miał teraz wyjście ewakuacyjne. Usunął ostatni słaby punkt w swoim systemie ochrony.

Rozdział 18.

Policjanci wcale nie byli stałymi bywalcami zakładów karnych, jak można by wnosić z seriali pokazywanych w telewizji niemal bez przerwy. Przeciwnie — on sam od wielu lat nie był w więzieniu.

Wjechał w Vindingevej, oflankowaną dużymi, starymi willami, a chwilę później odbił i powoli podjechał w górę, pod charakterystyczną zieloną metalową bramę Państwowego Zakładu Karnego w Nyborgu. Więzienie stało po prawej stronie drogi, tam gdzie miasto przechodzi w wieś. Miał do tego typu instytucji szczególny stosunek. To tu w najbardziej dosłownym rozumieniu gromadzono owoce pracy jego i jego kolegów.

Ta banalna refleksja bynajmniej nie nastrajała go optymistycznie. Wolałby, aby przestępczość w ogóle nie istniała.

Dziś jednak był wściekły. Miał ochotę przygwoździć parę osób do ściany i wysłać je za kratki w tempie ekspresowym. Choć było już po południu, w nim nadal wrzało — od wczesnego ranka miał wrażenie, że eksploduje.

Powód był prosty: ktoś patrzył im przez ramię w ich śledztwie w sprawie zabójstwa muzealnika. I nie można tego tak zostawić.

Chwilę przed czwartą obudził go telefon z komendy. Espersen, przedstawiciel nowej gwardii w wydziale, chwiejnym krokiem i mocno zamroczony zszedł do stróżówki. Mówił, że chciał zostawić raport z nadzwyczaj wyjątkowego dnia pracy na biurku swojego szefa. Gdy wszedł do gabinetu, na biurku dostrzegł podejrzany przedmiot, a komputer był włączony, co o tej godzinie było

czymś niecodziennym.

Przedmiot, który przykuł jego uwagę, był płaski i migotał — zdążył się zorientować, że to dysk zewnętrzny i że był podłączony do komputera. Nie zdążył się odwrócić, gdy został uderzony czymś twardym w tył głowy. Jakiś czas leżał nieprzytomny na podłodze, nim udało mu się jako tako pozbierać i doczłapać na dół.

Skręcił w lewo i zaparkował pod wysokim murem.

— Okej. Dysponujemy trzema kulami w magazynku...
Idziemy?

Jego pasażer tylko skinął głową. Trzy kule oznaczały, że umówili się z trzema osadzonymi — trzy szanse, że coś upolują. Podeszli do okienka recepcji.

— Wiceinspektor policji H.P. Andersen z Odense, a to mój kolega, podkomisarz Asger Kofoed. Zapowiedzieliśmy się przed południem.

— Tak, rzeczywiście. Zapraszam. Proszę tylko, abyście poświadczyli, o tutaj, i za moment mój kolega wskaże wam drogę. Ja w tym czasie sprowadzę na dół pierwszego z waszych znajomych — powiedział funkcjonariusz służby więziennej.

Pokwitowali, każdy z nich zostawił parafkę. Zjawił się inny funkcjonariusz. Zaprowadził ich korytarzem do drzwi pancernych i dalej, do nowego skrzydła i kolejnych, podobnie wzmocnionych drzwi. Gdy je otworzył, weszli do małego pomieszczenia, w którym znajdował się jedynie stół z czterema krzesłami.

— Proszę, usiądźcie. Za chwilę tu będą.

Zdążyli tylko usiąść, kiedy jeszcze inny strażnik przyprowadził pierwszego z więźniów, Danny'ego Brorsona, odsiadującego wyrok siedmiu lat i sześciu miesięcy za handel narkotykami. Gość utrzymywał bliskie kontakty z mafią narkotykową i przez wiele lat był zbyt sprytny, aby

dać się złapać.

Miał obowiązkowe w tym środowisku potężne mięśnie, ale tylko jeden rysunek na lewym przedramieniu. Obaj podali mu ręce i przedstawili się.

— Sama góra pofatygowała się osobiście? — Brorson odchylił się nonszalancko na krześle i patrzył na nich z fałszywie przyjaznym uśmiechem. — Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

— Robimy rozeznanie środowiska w Nyborgu — powiedział Andersen.

— Koleś z muzeum?

Przytaknął.

— Znasz go?

— Nie.

— Jest znany w środowisku? Może dopiero w nie wchodził?

— Nie, o ile mi wiadomo. Ale możliwe, że tak było, choć o tym nie wiedziałem, prawda?

— Znasz prawie wszystkich.

Danny Brorson pokiwał głową.

— Zatem nie należał do twojego otoczenia ani tu, ani w Odense, ani nigdzie indziej? — Kofoed chciał doprecyzować.

— Tego nie powiedziałem — poprawił go Brorson. — Powiedziałem jedynie, że go nie znałem.

Wyglądało na to, że będzie szło tak opornie, jak się tego obawiali. Mimo wszystko musieli próbować dalej.

— A gdybyś miał obstawiać... z twoją wybitną znajomością środowiska... to gdzie byś go widział? I w jakiej roli? — Andersen spróbował zadać pytanie możliwie najbardziej otwarte i jednocześnie *połechtąć* ego rozpartego na krześle dilera.

— To prawda, co piszą, że dostał kulkę w czoło i w oko?

Obaj z Kofoedem pokiwali głowami.

— Czym *dilował*?

— Znaleźliśmy ślady kokainy.

— Śnieg? Na zamku? Brzmi dość egzotycznie. Obrazek jak z cholernego kalendarza adwentowego, nie? Hm. I nic więcej? Nic, co zachowaliście dla siebie? Przecież zawsze coś ukrywacie.

Andersen pokręcił głową. Nie było sensu drażnić Brorsona oczywistym stwierdzeniem, że gdyby trzymali cokolwiek w tajemnicy, to on nie był pierwszą osobą, którą gotowi byliby w to wtajemniczyć.

— Jest tak, jak piszą. Do tego hazard. Masz jakiś pomysł?

— Na pewno nie chodzi o żadnego z ciapatych małolatów. Oni w życiu by się nie posłużyli kimś takim jak on. Może ci ze Wschodu? Chociaż... nie, to też mi nie pasuje. Tamci zresztą na ogół unikają pośredników. Tak naprawdę taki dyrektor muzeum w ogóle nie pasuje do tego środowiska. Z drugiej strony... jakiś kocmołuch z Bałkanów mógł wpaść na to, by strzelić komuś w oko.

— A nie myślisz, że inspektor muzeum mógł mieć dojścia do innego rodzaju klienteli? Do ludzi z grubymi portfelami? I gdyby na dodatek sam się zwrócił do kogo trzeba, szukając sposobu, by opłacić swoje zakłady — myślisz, że nie mógłby się stać cennym nabytkiem?

— Nabytek to trochę dużo powiedziane. Chociaż sam nie wiem... może faktycznie mógłby posłużyć jako wytrych do niektórych drzwi. To nie gangi. Może Serbowie, Chorwaci, Albańczycy — *jedno gówno*. Kto wie? Może chcieli go przetestować. Ale skoro strzelili mu kulkę w łeb, to musiał nawalić. Może nie wiedział, gdzie się kończy twoje, a zaczyna moje. To się zdarza.

Danny Brorson rozłożył ręce. Najwyraźniej nie miał ochoty brnąć dalej w tym eksperymencie, jak zresztą mogli się spodziewać.

— *That's all, guys* — dodał. — Więcej nie mogę powiedzieć.

Poza tym wiele się mogło zdarzyć, odkąd nie ma mnie w terenie.

— Ile ci zostało? — spytał Kofoed.

— Piątka z hakiem.

Andersen dał znak, że będą kończyć. Z Brorsonem chybili.

— Powiedzmy, że na dziś to wszystko. Ale może mógłbyś trochę popytać, co, Brorson?

Danny Brorson wstał i pokiwał głową.

— Rozpuszczę wici — powiedział i zapukał w drzwi.

Gdy wyszedł, spojrzeli po sobie i westchnęli ciężko. Liczyli, że od Brorsona dowiedzą się najwięcej.

Chwilę potem wprowadzono ich szansę numer dwa. Młody chłopak w dresie Adidasa. Nazywał się Nabil Awada, pochodził z Palestyny. Sześć lat i osiem miesięcy za handel i trzy rozboje kwalifikowane. Trzy lata temu mieszkał w Nyborgu.

Ponownie się przedstawili. Twarz dwudziestotrzyletniego Nabila pozostała bez wyrazu.

Pora zacząć od nowa, spokojnie i życzliwie.

— Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o środowisku w Nyborgu. Chodzi o zabójstwo. Mamy nadzieję, że będziesz mógł nam pomóc.

— Pomóc? Wam? Pierdol się, dziadku.

— Niedawno na zamku w Nyborgu zamordowano człowieka. Chodzi o...

— Wiem, kurwa, o co chodzi. Myślicie, że nie umiem czytać? Mieszkałem w tym mieście.

— Dokładnie. Dlatego być może mógłbyś nam pomóc wyrobić sobie obraz.

— Obraz czego?

— Środowiska. — Kofoed przejął pałeczkę. — Inspektor muzeum miał przy sobie kokainę.

— Ja jebię, śnieg w muzeum? O tym, kurwa, nic nie wiem.

— Więc nigdy nie słyszałeś o jakimś Maltem Bulbjergu, gościu z muzeum, nowej postaci w waszym środowisku? — Kofoed próbował podtrzymać rozmowę.

— Ej, otwórz uszy i słuchaj, co mówię: nie, kurwa.

Zamierzał spróbować po raz ostatni — potem dadzą sobie spokój. Tracili z nim czas. Zapytał:

— Gdybyś miał wpisać gościa takiego jak on gdzieś w wasze środowisko, to gdzie byś go widział?

— A jak wam się zdaje? Walcie się — zachnął się Nabil.

Kiedy znów byli na zewnątrz i szli do samochodu, spojrzął na zegarek. Łącznie spędzili tu niespełna godzinę. Trzy strzały i trzy razy pudło. Zdarzało się to dość często, ale w tym wypadku wątek, który próbowali zbadać, stanowił jedną z ich hipotez śledczych.

Nebojsa Petrović, trzydziestosiedmioletni Serb mieszkający w Odense, odsiadujący cztery i pół roku za handel, był ostatnim na ich liście. Był zdecydowanie bardziej rozmowny niż młody Palestyńczyk, lecz rozmowa z nim i tak nic nie dała. Petrović chciał zmniejszenia kary w zamian za istotne informacje w ich sprawie, a tego oni nie mogli ani nie chcieli mu obiecać.

Poza tym był przekonany, że słowotok Serba ukrywa jedynie to, że ten w istocie nie wie nic. Ten człowiek chciał jedynie porozmawiać „ze swoimi przyjaciółmi z policji”.

Wizyta w więzieniu więc ani trochę nie zbliżyła ich do odnalezienia ewentualnych kontaktów inspektora muzeum ze środowiskiem narkotykowym. Analiza laboratoryjna wykazała, że woreczek z kokainą znajdował się wcześniej w lewej kieszeni kurtki Bulbjerga, zatem nie została przyniesiona i porzucona przez sprawcę. Którego muszą znaleźć jak najszybciej. A najbardziej prawdopodobnym kierunkiem poszukiwań wciąż pozostaje narkotykowy półświatek.

Gdy tylko wsiedli do samochodu, usłyszał dźwięk swojego telefonu. Dzwonił jeden z kolegów z komendy.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że informatycy skończyli już z twoim komputerem.

— I co mówią?

— Że jest tak, jak się spodziewaliśmy. Wykonano pełną kopię twojego twardego dysku.

— Mają coś jeszcze, co może nam się przydać?

— Nic, poza godziną, ale tę przecież znamy. Chciałem ci tylko to przekazać.

Rozłączył się i włączył silnik.

— Chodziło o komputer — wyjaśnił Kofoedowi. — Potwierdzili, że dysk został skopiowany.

— Trzeba mieć jaja, żeby tak sobie wejść i zrobić coś takiego. Czyli wszystko, co wiemy — a raczej to prawie nic, co wiemy — wie ktoś jeszcze. Myślisz, że to sprawca chce się upewnić, czy nie depczemy mu po piętach?

Kofoed spojrzał na niego pytająco. On zaś znów poczuł, jak gniew niczym ogień wzmaga się w nim na nowo.

— Nie mam pojęcia. Najprawdopodobniej. Ale jest w tym wszystkim coś dziwnego, nie sądzisz? Powiedzmy, że jakiś diler gdzieś z samej góry hierarchii albo nawet zwykły pośrednik wkurzył się na Bulbjerga. Umawiają się nocą na zamku, żeby pogadać. Sytuacja staje się dynamiczna, Bulbjerg zostaje zastrzelony. I teraz powiedz mi, Kofoed, jak u licha...

Skręcił i włączył się do ruchu na Vindingevej, po czym z czystej frustracji wcisnął mocniej gaz i kontynuował swój gorzki wywód:

— ..jak taki żałosny chłopiec na posyłki miałby znaleźć w sobie dość zimnej krwi, żeby wejść do mojego biura w czapce z daszkiem naciągniętej na oczy tylko po to, by nam zerknąć przez ramię? Przecież on wie, co zrobił. Dwukrotnie

strzelił w głowę inspektora muzeum. Więc co — chciał się tylko dowiedzieć, czy za moment nie zapukamy do jego drzwi? Nie sędzę. Myślę, że to sięga znacznie głębiej. Coś tu nie gra...Coś tu zaczyna śmierdzieć...

Rozdział 19.

Kobieta w kitlu przemknęła obok niej korytarzem w stronę pokoju numer siedemnaście. Nie oglądając się za siebie, rzuciła:

— Mówi pani, że z policji? Coś się stało komuś z jej rodziny?

Odczekała z odpowiedzią, nim kobieta zatrzymała się przed uchylonymi drzwiami.

— Nie, nic się nie stało. Chcę tylko porozmawiać z panią Oxen.

— Porozmawiać? Ona jest chora. Bardzo chora.

— Ma demencję, prawda?

— Tak, alzheimera. Zaawansowanego.

Kobieta, która musiała być jedną z opiekunek, domknęła drzwi, nim ściszone głosem wyjaśniła:

— To zmierza przecież w jednym kierunku. I naszym zdaniem nie zostało dużo czasu. Lekami możemy tylko na kilka lat spowolnić postęp choroby, ale ostateczny efekt jest nieuchronny. Tyle że ona tego nie wie. Może pani oczywiście do niej zajrzeć, ale proszę nie liczyć na rozmowę. W jej stanie to niemożliwe.

Kobieta położyła jej rękę na ramieniu, jakby dla dodania otuchy, i ponownie uchyliła drzwi, jak gdyby to, czy pani Oxen cokolwiek usłyszała, robiło jakąkolwiek różnicę.

— Dziękuję. Nie zajmę jej dużo czasu. Jeszcze tylko jedno pytanie.

— Tak?

— Czy ktoś ją odwiedza? Ona ma dzieci, prawda?

— Tak, dwójkę. Syna, o ile mi wiadomo, jeszcze tu nie było. Córka przyjeżdża z rzadka.

— Jak rzadko?

— Mniej więcej raz na dwa miesiące.

— I nikt więcej?

— Owszem, parę osób z rodziny. Siostra i brat. I jeszcze jedna dawna sąsiadka. Ale niezbyt często. Wie pani cokolwiek o demencji?

Pokręciła głową, bo tak było najłatwiej, choć nie do końca zgodnie z prawdą.

— Do demencji prowadzi ponad sto różnych chorób. W Danii na demencję cierpi około osiemdziesięciu pięciu tysięcy osób, z tego połowa na alzheimera. Mówi się, że jest to choroba, która najmocniej uderza w bliskich, jeśli pani rozumie, co mam na myśli... i to prawda. Niełatwo jest patrzeć na spustoszenie, jakie sieje w człowieku. A zmiany, które zachodzą w mózgu chorego, bywają bardzo różne. Niektóre są odrażające.

Kobieta dotknęła palcem czoła, po czym mówiła dalej:

— Zatem wie pani już mniej więcej, czego się spodziewać.

— Dziękuję.

Pokiwała głową, pchnęła drzwi i weszła do małego, jasnego pokoju, w którym Gudrun Oxen siedziała na wózku przy oknie z widokiem na ogród. Dopiero kiedy podeszła całkiem blisko i stanęła na wprost niej, staruszka zareagowała. Podniosła na nią pozbawione blasku, pytające oczy, ale nic nie powiedziała.

— Dzień dobry, pani Oxen — zaczęła Margrethe i położyła rękę na jej ramieniu. Wciąż żadnej reakcji. Przysunęła sobie krzesło i usiadła na wprost niej.

— Czy był u pani Niels?

Chwilę trwało, nim ta zachrypniętym głosem spytała zdziwiona:

— Niels?

— Pani syn, Niels.

Znów długa przerwa.

— Nienawidzę dzieci... nigdy w życiu żadnych Nielsów... a kysz.

Pielęgniarka nie przesadzała. Stan Gudrun Oxen znacznie się pogorszył w ciągu tych dziewięciu miesięcy, które minęły, odkąd pierwszy raz ją odwiedziła. Wtedy staruszka była w stanie potwierdzić, że Niels nigdy u niej nie był.

Zresztą nie przyjechała tu wcale po to, żeby raz jeszcze wypytywać tę kobietę. To byłoby bezcelowe. Przyjechała, żeby zrobić coś, o czym powinna była pomyśleć już za pierwszym razem.

Staruszka odwróciła głowę i znów wyglądała na ogród. Margrethe rozejrzała się po pokoju. Możliwości były dwie: mała komoda albo szafka w przedpokoju. Zdecydowała się na komodę.

W górnej szufladzie nie znalazła nic. W drugiej też nic. Wysunęła trzecią, ostatnią szufladę. Leżały w niej czapka, szalik, rękawiczki i jakieś swetry. Palcami badała zawartość szuflady. Na dole jednego ze stosów ubrań wymacała grubą bąbelkową kopertę. Wewnątrz było podłużne pudełko. Otworzyła je.

Oto one.

Cztery odznaczenia wojskowe Nielsa Oxena. Każde przyczepione szpilką do czerwonego aksamitu. Medale — za waleczność, za waleczność ze srebrnym liściem dębu, za waleczność ze złotym liściem dębu.

I krzyż... Krzyż Waleczności. Matowoczarny ze złotym konturem, monogramem królowej i białą wstążką z cienkim czerwonym paskiem. Przesunęła palcem po odznaczeniu. W górę i w dół.

Stała tak przez chwilę, a potem zamknęła pudełko i odłożyła je na miejsce. W kopercie była jeszcze pojedyncza kartka. Wyjęła ją i przeczytała krótki tekst:

„W razie śmierci mojej matki Gudrun Oxen i w przypadku gdybym się o tym nie dowiedział, zawartość tej koperty proszę przesłać na adres: Lars Thøger Fritsen, Heklas Allé 28, 2300 Kbh S albo: L.T. Fritsen Autoværksted, Amagerbrogade 108, 2300 Kbh S/Niels Oxen”.

Obok podpisał się niebieskim długopisem.

L.T. Fritsen. Jego również odwiedziła podczas pierwszej rundy swoich wielkich poszukiwań Oxena. Trudno powiedzieć, czy ten list faktycznie cokolwiek zmieniał. Z całą pewnością jednak dowodził, że jest między nimi jakaś więź albo że utrzymują ze sobą szczególny kontakt, czemu Fritsen zaprzeczył podczas jej wizyty.

W głowie dodała mechanika z Amager do listy osób, z którymi będzie musiała porozmawiać raz jeszcze. Zwłaszcza że teraz dysponuje narzędziem, którym może go docisnąć mocniej.

Kopertę starannie ukryła z powrotem pod ubraniami na dnie szuflady. Odstawiła krzesło na miejsce i ponownie stanęła przed kobietą na wózku.

— Do widzenia.

Tym razem staruszka w ogóle nie zareagowała. Jej wzrok spoczywał na trawniku za oknem. A gdzie w rzeczywistości znajdowała się ona?

Margrethe wyszła z pokoju i po cichu zamknęła za sobą drzwi. Teraz kolej na rodziców Bo „Bossego” Hansena w Høng, gdzie Niels Oxen spędził ponad dwa lata dzieciństwa.

Zwir pokrywający cementarne alejki szurał pod butami. Ścieżki były tak starannie zagrabione, że miała wrażenie, jakby stąpając po nich, psuła czyjąś ciężką pracę.

Zadzwoiła do grabarza przy kościele Finderup, stojącym tuż obok Høng, by się dowiedzieć, gdzie znajduje się grób. Chciała go zobaczyć, nim odwiedzi rodziców. Z niejasnego dla niej samej powodu nie miała ochoty pytać ich o coś tak

prozaicznego jak miejsce pochówku ich syna.

Od dużej bramy prosto, obejść kościół od tyłu, dalej prosto, przez przejście w murze kościelnym, schodami w dół i w lewo, tam gdzie rośnie kępka wysokich tui. Dzięki wskazówkom grabarza bez trudu go odnalazła.

Mały nagrobek z prostego, naturalnego, szarego kamienia. Napis brzmiał:

„Poległ w boju
Kochamy i tęsknimy
Bo »Bosse« Hansen”.

Zmarł czwartego sierpnia 1995 roku podczas chorwackiej ofensywy końcowej. Po obu stronach nagrobka rosły dwa niskie, przycięte drzewa, a w pojemniku przed nim stały świeże kwiaty.

Czwarty sierpnia będzie za dokładnie siedemnaście dni.

Przez chwilę stała, rozglądając się wokół i zastanawiając się, jak można by to rozegrać. Przy odrobinie szczęścia... Potem wróciła do samochodu i pojechała do Hansenów. Mieszkali przy głównej drodze Høng, zaraz za miejscem, w którym nazwa Hovedgaden przechodzi w Skovvej. Pamiętała tę drogę. I pamiętała mały dom z czerwonej cegły z mocno spadzistym dachem.

— Dzień dobry. Proszę, niech pani wejdzie. Czekaliśmy na panią.

Drobna kobieta z uśmiechem odsunęła się, by wpuścić ją do środka.

Rodzice Bossego byli serdecznymi ludźmi, którzy po stracie dziecka starali się wrócić do życia, na tyle na ile mogli. Lecz już podczas pierwszej wizyty dostrzegła w ich oczach, że ból wciąż ich nie opuścił.

— Mąż czeka w salonie. Pewnie napije się pani kawy, prawda? Zrobiłam też kanapki.

Kiedy weszła do pokoju, ojciec wstał z fotela przy oknie i

uścisnął jej rękę. Podobnie jak jego żona, był szczupły i żyłasty. Musieli być już na emeryturze, skoro byli w domu o tej porze i mogli się z nią spotkać. A może po prostu mają wakacje.

Margrethe usiadła na skórzanej kanapie. Niski stół o kaflowym blacie nakryto do podwieczorku — kawa w termosie i kanapki z serem i zieloną papryką.

— Wciąż boli panią ta noga — stwierdził mężczyzna, wskazując czubkiem swojej fajki. — Tak, zauważyłem, jak szła pani chodnikiem. Ostatnio, gdy pani tu była, też miała z nią problem. Czy to coś...

Mężczyzna dostrzegł karcące spojrzenie żony — i zamilkł.

— Pewnie jest pani głodna po takiej długiej podróży. Proszę się częstować — powiedziała kobieta.

— Ach, noga? Więc zauważył pan. Tak, to trwały uraz... — zaczęła niepewnie, po czym uznała, że równie dobrze może powiedzieć wprost. Kto wie, może przy okazji pozwoli jej to zbudować między nimi więź zaufania.

— To proteza. Miałam wypadek w czasie służby. Minęło już parę lat. Ścigaliśmy podejrzanego o zabójstwo. Zagoniliśmy go na podwórko na tyłach kamienicy w Sydhavnen i gdy miałam go na muszce, ruszył swoim samochodem prosto na mnie. Zmiażdżył mi nogę o mur domu. Nie dało się jej uratować. Lekarze musieli ją amputować powyżej kolana.

— Mam nadzieję, że przynajmniej trafił do mamra na długie lata. — W głosie ojca brzmiało szczere wzburzenie.

— Można powiedzieć, że dostał dożywocie. Strzeliłam do niego. I zabiłam go na miejscu. Gdybym zareagowała o ułamek sekundy wcześniej, miałabym dziś dwie nogi. Ten człowiek chciał mnie zabić. Nie było powodu się wahać.

Rodzice Bossego pokiwali głowami, lecz nic nie powiedzieli. Życie albo śmierć. Z całą pewnością potrafili zrozumieć taki argument.

— Tak w ogóle dziękuję, że zgodzili się państwo ze mną spotkać — zaczęła, by dłużej nie przeciągać. — Zatem, jak wspomniałam przez telefon, nadal szukam Nielsa Oxena.

— Niels... mój Boże... — Kobieta posmutniała na jego wspomnienie.

— Czy coś sobie państwo przypomnieli od ostatniego razu? Może jakiś drobiazg, który przyszedł państwu do głowy. Wspomnienie, cokolwiek? Nawet najdrobniejszy szczegół, który może się wydawać bez znaczenia? Coś, co może mnie do niego doprowadzić?

— Przykro mi — powiedziała kobieta. — Oczywiście po tym, jak pani zadzwoniła, raz jeszcze o nim rozmawialiśmy, ale nie przychodzi nam do głowy nic, co mogłoby pani pomóc.

— Wie pani, on może być wszędzie — albo nigdzie. Myśli pani, że może nie żyć? — Mężczyzna popatrzył na nią poważnym wzrokiem. Mogła tylko wzruszyć ramionami.

— Myślę, że niczego nie możemy wykluczyć.

Wzięła kęs kanapki i ciągnęła dalej:

— O ile dobrze pamiętam, ostatnim razem powiedzieli państwo, że Niels odwiedził was kilka razy po pogrzebie Bossego.

— Tak — potwierdziła kobieta. — Porządnie się nad tym zastanowiliśmy. W sumie był u nas pięć razy w ciągu pierwszych kilku lat. Zawsze wpadał tylko na chwilę, ot na kawę i ciasto. Ostatni raz piętnaście lat temu. Jak ten czas leci...

— Zawsze w rocznicę śmierci Bossego?

Kobieta pokręciła głową.

— Nie. Tylko dwa razy, może trzy.

— Byłam niedawno u jego siostry w Køge. Jest przekonana, że Niels dawniej co roku brał tego dnia urlop. Żeby przyjechać na grób przyjaciela i w spokoju go powspominać.

Niedługo będzie czwarty sierpnia...

Przerwała na moment, by jej słowa zawisły nad stołem. Kobieta na krześle na wprost pokiwała tylko w milczeniu głową. Mężczyzna odwrócił wzrok i wyglądał przez okno.

Potem mówiła dalej, ściszonego głosem:

— A co państwo robią zwykle czwartego sierpnia?

— Co roku to samo... — Kobieta mocno ścisnęła własną rękę. — Zawsze bierzemy wolne. Żeby mieć czas i spokój pomyśleć o nim. I go powspominać. Pomyśleć o wszystkim, co udało nam się z nim zrobić. Był takim dobrym chłopcem. Szkoda, że nie mogła go pani poznać...

Margrethe pokiwała głową ze zrozumieniem.

— Czasem... — ciągnęła matka — czasem śni mi się, że nagle staje w drzwiach, z żoną i dziećmi. Naszymi wnuczkami. Wchodzą do domu, siadają i rozmawiamy o tym, że tak długo się nie widzieliśmy. I o tym, jak mu się żyje. Dziwne, prawda? I tak trudno się z tego obudzić. Rodzice nie powinni chować własnych dzieci. Nie taki jest sens życia...

— Dobrze już, nie ma sensu... — Ojciec nic więcej nie powiedział. Twarz nadal miał odwróconą.

Margrethe dokończyła kanapkę i wzięła łyk kawy. Cisza, jaka zapanowała w pokoju, wydawała się naturalna. Oboje musieli się tylko trochę pozbierać. Nie pamiętała, by ostatnim razem ich spotkanie było aż tak emocjonalne. Może to dlatego, że zbliża się ten dzień i dotkliwiej odczuwają swoją stratę. Odczekała jeszcze chwilę.

— I zapewne jedziecie na cmentarz?

Oboje pokiwali głowami. Ojciec ponownie odwrócił fotel w ich stronę. Oczy mu się szklily.

— Oczywiście. Wstajemy wcześnie, jemy bułki i pijemy kawę. Potem rowerami jedziemy na cmentarz położyć wieniec. Po kolacji wracamy popatrzeć na kwiaty zostawione

przez ludzi.

— Wciąż je zostawiają? Nawet po tylu latach?

— Tak. Co roku. Całe mnóstwo. To bardzo piękne.

— Koledzy z wojska?

— Tak. Głównie ci, którzy byli w Bośni. I oczywiście rodzina, przyjaciele. — Kobieta znów była w stanie się uśmiechnąć.

— Ale nigdzie żadnej wstążki, żadnej kartki, na której widniałoby „Niels” albo „N.O.”?

— Nie, przykro mi.

Pokój ponownie pogrążył się w ciszy. Margrethe była zaskoczona, że mimo wszystko tak wiele osób wciąż pamiętało o Bossem — po tak długim czasie. Poza tym, że był pierwszym żołnierzem z duńskiego kontyngentu ONZ poległym w otwartej walce, Bosse musiał być również bardzo lubianym człowiekiem.

Jego ojciec nagle poderwał się z fotela.

— Znicze! Pamiętasz, matka? Znicze! — krzyknął.

— O czym ty mówisz?

— O tym, że nie zawsze wiemy, od kogo są. Rozmawialiśmy przecież o tym.

— Tak, ale to się przecież zmienia. Czasem jest pięć, czasem sześć albo siedem.

Kobieta lekko pokręciła głową i uśmiechnęła się do męża z pobłażaniem.

On jednak obstawał przy swoim.

— Ale przez większość lat było ich pięć... *Pięć* zniczy. I wiemy, od kogo są cztery z nich. Jeden jest od nas, jeden od naszych znajomych, jeden od sympatii Bossego z dzieciństwa, Kirsten. A piąty *może* być od Nielsa, prawda?

Margrethe uważnie przysłuchiwała się ich krótkiej wymianie. Kobieta wzruszyła tylko ramionami.

— A co z numerem sześć i siedem, ojciec?

— Od innych kolegów. Czasem pamiętają, a czasem nie. Albo nie mogą przyjechać.

— To tylko gdybanie. Nic, co może się przydać Margrethe. Możemy...

W tym miejscu Margrethe delikatnie im przerwała.

— Przepraszam, ale — znicze? Płonące świece na nagrobku? I zawsze co najmniej pięć?

Kobieta potwierdziła skinieniem.

— Czasami więcej.

— Ale najczęściej pięć. I tak jest od zawsze?

— Tak, od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego.

Rozdział 20.

Ciężka metalowa płyta przesunęła się na bok. Leżał na plecach w tunelu i obiema dłońmi naciskał pokrywę zasłaniającą wyjście, próbując bardziej ją odsunąć. Na twarz sypały mu się igły świerków. Wreszcie zacisnął palce na krawędziach i mógł się podciągnąć.

Podświetlił zegarek — sześć minut i dwadzieścia trzy sekundy. Najlepszy czas z wszystkich pięciu próbnych przejść tego wieczoru. Musi dokładnie wiedzieć, jak długo to trwa.

Absolutnie konieczne jest zawsze mieć ustalony *harmonogram*. Tak go wyszkolono. Czasem różnicę między życiem a śmiercią odmierza się w ułamkach sekund. A czasem w minutach, godzinach albo dniach. Bez względu na skalę zawsze trzeba działać według ustalonego rozkładu.

Przyświecając sobie czołówką, z powrotem przesunął płytę na miejsce i zakrył ją gałęziami. Była prawie północ. Wysoko ponad iglastymi czubkami drzew i w przerwach między nimi widział gwiazdy. Niebo było wyjątkowo bezchmurne.

Wstał, wokół pasa zapiął sobie kaburę z bronią, plecak przewiesił przez ramię i ruszył prześwitem między drzewami.

W plecaku miał zioło i whisky. Zabrał je z szafki, którą nazywał apteczką. Od dawna już z niej nie korzystał, ale w ostatnich dniach był coraz bardziej nerwowy. A Siódemka rozsadzała mu głowę po nocach.

Potrzebował rozluźnić ciało, poczuć, że jest jak z ołowiu. Potrzebował dać odpocząć myślom i pozwolić im swobodnie podryfować w ciemność.

Kawałek dalej odbił w wąską ścieżkę, która po zaledwie

pięciu minutach szybkiego marszu doprowadzi go do rzeki. Wyplątał się z objęć gałęzi i zszedł w dół, do niecki, która sygnalizowała początek naturalnego lasu liściastego. W większości rosły tu buki, ale czasem trafiały się niewielkie skupiska jesionów i dębów. Czuł się tu jak u siebie. Pewnym krokiem przeszedł dużą polanę porośniętą wysoką trawą i krzakami jeżyn. Na końcu polany krajobraz zmienił się ponownie i pochylił w stronę koryta rzeki.

Tu królowały wrzosi, gdzieniegdzie, pomiędzy rozproszonymi kępkami kosodrzewiny, połyskiwały spłachcie piasku. Lewy brzeg rzeki był pokryty takim samym gruboziarnistym, żółtawym piachem. Po ulewnych deszczach woda wzbierała, podmywając rosnące przy brzegu drzewa, które z czasem zwały się i leżały w nurcie rzeki jak zapałki.

Szedł ścieżką, która stała się jego własną. Wiła się małą serpentyną w dół zbocza i wychodziła na płaski kawałek piasku przy samej wodzie, pomiędzy dwiema dużymi łozami.

Tam, w niewielkiej niecce, ukryte w wysokiej trawie, czekało stare kanu Rybaka, które sobie przywłaszczył i z którego często korzystał. Wyciągnął środkową część cienkiego drewnianego podkładu kanu i położył na piasku. Na niej się prześpi. Delikatny drewniany szkielet oddzielił jego ciało od zimnej ziemi. Na nim rozłożył mały koc i rozwinął śpiwór. Poślanie miał gotowe. Teraz usiadł i patrzył na ciemną taflę wody.

Na białej bletce leżał cienki pasek zielonej mieszanki liści i łodyg. Polizał klej, zwinął i zapalił.

Niewiele już zostało. Ale niedługo będzie mógł kupić nowy zapas w Christianii. Poprosił Rybaka o urlop na wyjazd do Kopenhagi. Stary popatrzył na niego ze zdziwieniem. W ciągu siedmiu miesięcy miał tylko trzy dni wolnego — jeden, żeby kupić sprzęt do monitoringu, i dwa, aby spłynąć w dół

rzeki. Rybak sam zaproponował, żeby zrobił sobie tydzień wakacji, ale on potrzebował tylko jednego dnia.

Wciągnął dym głęboko w płuca i wstrzymał oddech. On mówił zioło, inni mówili gandzia. Wiele nazw dla mniej więcej tej samej rzeczy. Jedną z nich była Mary Jane, jak mu wyjaśnił kiedyś jeden diler. Potem trochę o tym poczytał. Wielu pisarzy używało tego imienia w wierszach, jako tajemniczego pseudonimu dla wszystkiego, co przypominało marihuanę. Sam kojarzył tylko jeden wers piosenki Toma Petty'ego: *Last dance with Mary Jane, one more time to kill the pain.*

Kilka metrów w górę rzeki szczur wodny przepłynął w jej poprzek, ciągnąc za sobą cienki kilwater, po czym zniknął w szuwarach po drugiej stronie.

Siedział nieruchomo i głęboko się zaciągał. Czuł, jak w jego ciele stopniowo coś się rozwija, jak rozpręża się każdy jego zakamarek. Mięśnie zrobiły się wiotkie i ciężkie.

Mary Jane była dobrą tancerką.

Szczodrze nalał do kubka whisky i wziął łyk. W ustach eksplodowała orgia zmysłów — i buchnął ogień. Minęło tyle czasu. Zdążył odwyknąć.

Kolejnymi dwoma łykami opróżnił kubek i wsunął się w śpiwór.

Leżał na plecach z otwartymi oczami. Kotwica została wyciągnięta. Powoli, bardzo powoli odpływał w morze gwiazd.

Rozdział 21.

W telewizji ta znana cukierniczka pokazywała swoje czary. Co chwila wyjmowała z piekarnika nowe rajskie cuda, a wszystko było tak niesamowicie proste. Wystarczy odrobina stopionej czekolady. Włożyć na chwilę do gorącej wody.

Jeden jedyny raz spróbowała wykonać coś według jej zaleceń. Apetyt na słodkości przeszedł w gorycz. Lepiej by sobie dała spokój. To niewykonalne.

Na ławie leżała otwarta książka. Najnowszy tytuł w ich klubie czytelniczym. Irlandzka saga i prawdopodobnie najnudniejsza powieść rodowa w historii literatury — na szczęście i tak wkrótce ją skończy. Kubek z herbatą, pyszną, pomarańczową już czekał (w czajniku czekała dolewka). Czekala też torebka czekoladek.

Leżała wyciągnięta na kanapie z dużą poduszką pod plecami. Niby środek lata, a tymczasem cały dzień wiał przenikliwie zimny wiatr. Dobrze, że urlop ma dopiero w połowie sierpnia. Naciągnęła koc na nogi i zmieniła kanał, sabotując kłamliwą cukierniczkę udającą, że pieczenie jest łatwe. Chociaż może... E tam. To pewnie i tak powtórka, jak wszystko, co latem puszczają w telewizji.

Miała za sobą długi dzień. I wymagający. Wszystkie dni w hospicjum Anker Fjord były wymagające, bo spędzała je w otoczeniu pacjentów tak schorowanych, że stojących u kresu życia. Ale też każdy z tych dni był szczelnie wypełniony sensem. Nie zdarzyło jej się ani razu zwątpić, że tej pracy przyświeca jasno wytyczony cel. Bo tak w istocie było.

Czasem tylko bywała potwornie zmęczona — i ciążyła jej głowa. Ale to chyba zdarza się każdemu. Wtedy padała na kanapę i oglądała telewizję albo czytała. Mogła robić, na co

tylko miała ochotę. Żadnego męża, żadnych dzieci, żadnego chłopaka. Na razie. Bo była bardzo aktywna na pewnym portalu randkowym, na którym nawet kobiety w średnim wieku, jak ona, mogły z powodzeniem szukać szczęścia.

Musiała się liczyć jedynie z rodzicami i dwójką rodzeństwa. Wszyscy mieszkali w Hvide Sande, gdzie pracowała. Po pracy wpadła do rodziców. Mimo podeszłego wieku oboje tryskali energią i byli pochłonięci pielęgnowaniem ogrodu. Zjadła z nimi kolację, a potem pojechała wzdłuż wybrzeża do siebie do Ringkøbing, by naładować baterie na nowy dzień.

Właściwie powinna się już ogarnąć i położyć. Robiło się późno. Po raz ostatni zmieniła kanał i znalazła się na afrykańskiej sawannie.

Czy to lew ukrywa się w wysokiej trawie i ślini na widok stada gnu? Dorosła samica wypełniała większą część chyba pięćdziesięciocalowej plazmy.

Stał w cieniu wysokiego żywopłotu z twarzą przy samej ścianie domu, tuż obok jednego z okien salonu. Zakradł się tu od tyłu.

Sonja Lægaard mieszkająca w małym domku przy Vellingvej była najwyraźniej nocnym markiem, choć jutro będzie musiała wstąpić. Pracę w hospicjum w Hvide Sande zaczyna o ósmej. Śledził ją dziś cały dzień — z bezpiecznej odległości.

To było dla niego nietypowe, tak szybko ruszać w teren. Przecież dopiero co wywiązał się z kontraktu w Odense. Ale zlecenie było pilne. I dokładnie tak proste, jak obiecano. Dlatego od razu obrał kurs na Jutlandię, by zadowolić swojego nieznanego, szczodrego pracodawcę.

Najpierw końcówka serialu kryminalnego, potem ta babka od deserów, a teraz byli na sawannie. Było już naprawdę późno. Równie dobrze mógł się położyć.

Zakradł się z powrotem do tylnych drzwi domu, przy

których już wcześniej przeciął przewód wiodący do lampy oświetlającej tylne podwórko i zaopatrzonej w czujnik ruchu. Mógł teraz stać, całkiem niewidoczny w ciemności. Naciągnął cienkie czarne rękawiczki i wyjął pistolet do otwierania zamków. Bez problemów radził sobie z otwieraniem zwykłych Ruko, i to zarówno tych z pięcioma, jak i sześcioma czy siedmioma bolcami.

Kilka chwil później pchnął tylne drzwi domu Sonji Lægaard i ostrożnie wszedł do sieni. Usłyszał ryk lwa i poszedł w stronę, z której dobiegał, naciągnąwszy uprzednio na twarz kominiarkę.

Pomyślał jeszcze, że to zlecenie jest dla niego nietypowe również przez to, że za moment on sam znajdzie się na miejscu tego lwa.

Był w tej sytuacji niezamierzony komizm i uśmiechnął się do siebie. Nie był jednak lwicą, a na kanapie zdecydowanie nie leżała antylopa, lecz pięćdziesięciodwuletnia, samotna pielęgniarzka.

W kuchni przystanął. W pomieszczeniu było czysto, wszystko starannie pochowane. Drzwi do salonu były uchylone. Za moment wyciągnie broń. Robił to niechętnie, ale nie był w stanie wymyślić skutecznej alternatywy.

Ostatnich kilka metrów do kanapy przeszedł po grubym dywanie. Kobieta wciąż była na sawannie. Bezgłośnie zaszedł ją od tyłu i zasłonił jej usta.

Poderwała się i wymachiwała rękami i nogami, ale jej krzyk stłumiła skórzana rękawiczka.

— Słuchaj uważnie! Przestań wierzgać. Leż spokojnie, a nic ci się nie stanie.

Ostre rozkazy prosto do ucha zadziały. Nagle zrobiła się cicha jak mysz. Klatka piersiowa nadymała się i opadała jak ogromny miech, a w jej nozdrzach świszczwał poszarpany oddech.

— Puszczam cię. A ty będziesz cicho. Mam broń, rozumiesz?

Poluzował swój uścisk tylko na tyle, by mogła skinąć. Gdy odsłonił jej usta, Sonja Lægaard dyszała, jakby przebiegła sto metrów.

— Usiądź. Cicho i spokojnie. Chcę tylko porozmawiać. No, dalej.

Wolno usiadła na kanapie i mógł teraz spojrzeć w jej wielkie, przerażone oczy. Było mu jej żal.

— Posłuchaj — powiedział. — Nie bój się, nic ci nie zrobię. Nie jestem włamywaczem ani gwałcicielem. Chcę tylko z tobą porozmawiać. Zadać ci kilka pytań. A ty musisz mi odpowiedzieć na tyle, na ile będziesz mogła. Potem po prostu sobie pójdę i więcej mnie nie zobaczysz. Dobrze? Uspokój się wreszcie.

Znów pokiwała głową i zdążyła odzyskać kontrolę nad oddechem.

— Czego chcesz? — prychnęła.

— Jak powiedziałem — zadać ci kilka pytań. Będę nagrywał naszą rozmowę.

Wyjął mały cyfrowy dyktafon i postawił przed nią na stole.

— Zacznę zadawać pytania, a ty odpowiadaj głośno i wyraźnie. Jak się nazywasz?

— Sonja Lægaard.

— Wiek?

— Pięćdziesiąt dwa lata.

— Adres?

— Vellingvej, Ringkøbing.

— Zawód?

— Pielęgniarka.

— Miejsce pracy?

— Hospicjum Anker Fjord, Hvide Sande... Powiedz, o co tu chodzi. Dlaczego?

Przytknął palec do ust ukrytych pod cienkim materiałem kominiarki.

— To ja zadaję pytania. A ty odpowiadasz. Znasz niejakiego Vitusa Sandera?

— Tak. To znaczy... on nie żyje.

— Czy Vitus Sander był pacjentem w Anker Fjord?

— Tak.

Zatem część formalną mieli za sobą. Z kieszeni kurtki wyjął mały notes. Nie miał czasu nauczyć się wszystkich pytań na pamięć. Te, które zadał, miały jedynie potwierdzić, czy kobieta faktycznie jest Sonją Lægaard. Było to ważne zarówno dla niego, jak i jego pracodawcy.

— Będziemy musieli porozmawiać trochę więcej o owym Vitusie Sanderze — zaczął — ale najpierw...

Z wewnętrznej kieszeni wyjął zdjęcie i podsunął je pielęgniarce.

— Kto to jest?

Zdjęcie przedstawiało młodego mężczyznę w bordowych, skórzanych spodniach, zielonej kurtce i białych adidasach. Zrobiono je na parkingu przed hospicjum.

— Hm, jak mu było? Nie umiem sobie przypomnieć... — Sonja Lægaard zamilkła i szukała w pamięci imienia.

— Już mam: Rasmus. Rasmus Hansen, chyba. W ostatnim czasie dość często odwiedzał Vitusa Sandera.

— Rasmus Hansen? A nazwisko Malte Bulbjerg coś ci mówi?

— Nie — pokręciła głową.

— *Jak często* odwiedzał Vitusa Sandera?

— Pod koniec był kilka razy w tygodniu. Sander mówił, że to dobry przyjaciel. Że polowali razem, między innymi. O co tu chodzi? Czy ktoś popełnił jakieś przestępstwo? Jesteś jakimś agentem albo kimś takim?

— Przypominam: to ja zadaję pytania. Interesuje mnie

wszystko, co dotyczy tych dwóch mężczyzn i czasu, który spędzili razem w Anker Fjord. Więc bądź tak miła i wysil się trochę.

Pielęgniarka Sonja Lægaard wysilała się jak mogła przez całe trzydzieści minut, ile trwała ich rozmowa. Nie miała najmniejszych powodów wątpić w szczerść jej odpowiedzi.

Nie miała pojęcia, o co chodzi. Nie miała pojęcia, czego od niej chce ten obcy człowiek w czarnej kominiarce. Wiedziała tylko, że siedzi z pistoletem w jednej ręce. W jej świątyni. W jej domu.

Ani razu nie wymierzył w nią broni, którą trzymał w ręce. Jej obecność miała jedynie podkreślać wagę jego działania. Odpowiedzi, których mu udzieliła, były, jakie były. Ich wartość merytoryczna pozostawiała wiele do życzenia i jego pracodawca uzna je zapewne za rozczarowująco ubogie w fakty. Ale to już nie jego problem.

Dyktafon zostawił włączony, choć właściwie już skończyli. Chciał, żeby jego mocodawcy wiedzieli, że wykonał wszystko zgodnie z ich życzeniem: żadnej niepotrzebnej przemocy, żadnych nacisków — poza żądaniem, by Sonja Lægaard nikomu nie mówiła o tym niekonwencjonalnym przesłuchaniu.

— Zrobiłaś, o co cię poprosiłem. Za chwilę spokojnie sobie stąd pójdę. Chcę teraz, abyś zrozumiała, że nierozsądnie będzie kiedykolwiek komukolwiek wspominać o mojej wizycie.

Pokiwała energicznie głową.

— Rozumiem. Nikomu nie powiem ani słowa. Nigdy.

— Wierzę, że tego nie zrobisz, Sonju. Ale gdybyś jednak mimo wszystko zaczęła się nad tym zastanawiać, to pomyśl o swoich starych rodzicach z Floravej w Hvide Sande. Jeśli się wygadasz, nigdy już nie będą mogli krzątać się w swoim ogródku, tak jak dziś. A pod wieczór nie zaproszą cię już,

żebyś zjadła z nimi kolację, bo nie będą w stanie przygotować nawet najprostszego posiłku. Czy rozumiesz, o czym mówię?

Znów pokiwała głową i przygryzła dolną wargę. Dopiero wtedy wyłączył dyktafon i schował go do kieszeni.

— Zatem żegnam. I dziękuję za spotkanie.

Wstał i bezgłośnie zniknął z pokoju i życia Sonji Lægaard.

Rozdział 22.

Drzwi zaskrzypiały głośno. Należało mieć nadzieję, że w warsztacie samochodowym Fritsena nie szczędzili smaru w samochodach tak jak w zawiasach. Stała na betonowej podłodze. W małym warsztacie były dwa podnośniki i na każdym stał samochód. Jeden na wysokości głowy.

Była tu po raz pierwszy. Gdy ostatnim razem rozmawiała z L.T. Fritsenem, spotkali się w jego domu.

Gdzieś grało radio. Nad stołem warsztatowym wisiał ogromny kalendarz z niemal nagą kobietą o olbrzymim biuście. Cały warsztat przy Amagerbrogade również wyglądał tak, jak powinien. Cycki na ścianach, smar na podłodze i brud w karburatorze.

— Halo! Jest tu ktoś?

Jej głos odbił się echem. Ale nikt się nie odezwał. Spróbowała raz jeszcze. Po chwili otworzyły się jakieś drzwi i ukazał się chudy dzieciak. Z uszu wystawały mu kable. Raczej nie oznaczało to, że jest napędzany na prąd. Bardziej, że w głowie dudni mu muzyka. Spojrzał na nią zaskoczony. Oczywiście nie słyszał ani jej wejścia, ani wołania. Wyjął z czaszki jedną słuchawkę.

— Cześć. Jestem Margrethe Franck. Szukam Fritsena — powiedziała.

— Niedługo wróci. Skoczył do miasta kupić parę rzeczy.

— Okej, poczekam.

Chłopak skinął i podszedł do stojaka z papierowymi ręcznikami przy wejściu. Dostrzegł jej czarne mini zaparkowane przed warsztatem. Właśnie wydała majątek na dodatkowe bajery w John Cooper Works. Osiemnastocalowe felgi ze stopów lekkich *aka* Cross Spoke R113 Red Stripe,

zestaw tuningowy, a w nim między innymi nowy układ filtracji powietrza, kompresor, głowica cylindra i funkcja overboost wraz z przynależnym do niego centralnie montowanym podwójnym układem wydechowym. I cztery sztuki nowiuteńkich bucików od Pirellego, niskoprofilowych. Czuła się, jakby ujeżdżała wściekłego, ryczącego tygrysa.

— Twój miniak?

— Yhm.

— Wporzo wózek. John Cooper Works?

— Yhm.

Chłopak jeszcze przez chwilę oglądał jej pojazd, nim pokiwał z uznaniem głową i zniknął pod samochodem na wyciągu — czarnym bmw w wersji macho mającym budzić podziw podatnych na takie podniety dam. Kolubryna wciąż sapałaby na starcie, gdy jej mini wybijałoby się na prędkość światła.

Rozejrzała się trochę po warsztacie. Miejsca było tu niewiele, akurat dla Fritsena i jednego pomocnika. Nie można powiedzieć, by było czysto, ale też nie było przesadnie brudno. Za szklanymi drzwiami był niewielki kantorek i jadalnia. I więcej nagich pań.

Na stole leżało dzisiejsze wydanie „Ekstra Bladet”. Nagłówek, najpierw małymi literami brzmiał: *Szef policji nie ma pomysłu, jak pokierować śledztwem*, a poniżej, nieco większą czcionką: *Zamordowany przez zamkowe duchy*. I zdjęcie Maltego Bulbjerga na całą pierwszą stronę.

To zwykła podłość. Żałosna próba zrobienia z prowadzącego śledztwo kozła ofiarnego. Może kiedyś zdarzyło mu się nadepnąć na odcisk komuś z redakcji i teraz się mścili? Przekartkowała, aż znalazła artykuł.

Komentarz udzielony gazecie przez zastępcę komendanta policji H.P. Andersena brzmiał:

„Na tym etapie nie mamy jeszcze pomysłów, w którym

kierunku pójdziemy. Zbieramy obecnie informacje o sytuacji Maltego Bulbjerga i jego otoczeniu. Chcemy ustalić, co robił nocą na zamku i dlaczego został zabity. To wciąż wielkie niewiadome. Mamy nadzieję, że w ten sposób odkryjemy motyw i sprawcę, ale na razie równie dobrze mogły to być duchy. Chciałbym przy tej okazji zaapelować do wszystkich, którzy mogą mieć jakiegokolwiek informacje w tej sprawie, aby zgłosili się do komendy policji na Fionii”.

Było więc tak, jak wielokrotnie przedtem. Wyrwano z kontekstu parę słów i rozdmuchano do rozmiarów sensacji. Odłożyła gazetę i wróciła do warsztatu. Po kilku minutach podjechał przed niego dostawczy fiat i zatrzymał się obok mini. Z fiata wysiadł Fritsen.

Czy jej się wydawało, czy przyglądał jej się nieufnie? Nim zdążyła się przedstawić, sam ją uprzedził.

— Margrethe, prawda? Jak królowa. Pamiętam cię. Witam.
— Podał jej rękę, którą uścisnęła mocno i pewnie. Mechanik i weteran wojenny powinien to docenić.

— W czym ci mogę pomóc tym razem? Jakies problemy z mini?

— Nadal chodzi o Nielsa.

— A ja nadal go nie widziałem.

— Skąd to wrogie nastawienie?

— Nie jestem wrogo nastawiony. Nie rozumiem tylko, dlaczego to takie trudne: nie widziałem go. Nie rozmawiałem z nim. Nie mam pojęcia, gdzie jest.

Mechanik, dla którego Niels Oxen wskoczył do rzeki Uny i którego, postrzelonego przez snajpera, z niej wyłowili, wydawał się spokojny, choć odrobinę zawzięty.

— Myślę, że jesteście sobie bliżsi, niż twierdzisz. Niels wskoczył do rzeki i uratował ci życie. Nie zapomniałeś o tym. On też nie. Jesteście *buddies forever*. Czy nie tak to działa?

L.T. Fritsen wzruszył ramionami.

— To oczywiste, że gdyby stanął tu w tej chwili, szczerze bym się ucieszył. Drzwi mojego domu zawsze będą stały otworem przed Nielsem. Ale on nigdy nie przyjdzie. Sama doskonale o tym wiesz, znasz go przecież.

— Jesteście jednak na tyle bliskimi przyjaciółmi, że jeśli komuś miałby powierzyć swoje odznaczenia, to właśnie tobie.

— O czym ty mówisz?

— O tym, że ciebie wybrał, byś przechował jego ordery. Widziałam kopertę, która leży w szufladzie w pokoju jego chorującej na demencję matki w domu opieki w Ringsted. Wszystkie odznaczenia spoczywają w pudełku — wraz z krzyżem. A w dołączonym liście jest napisane, że prosi, abyś je przechował, gdyby w swoim czasie nie dowiedział się o śmierci matki.

Fritsen patrzył na nią zdumiony i wydawał się być w tym szczery.

— Nie miałem o tym bladego pojęcia. Naprawdę tak napisał?

— Tak.

— Hm. I co w związku z tym?

— Jeśli przypadkiem trafisz na jakąkolwiek informację, która mogłaby mnie do niego doprowadzić, to proszę, żebyś dał mi znać. Naprawdę bardzo nam zależy, żeby z nim porozmawiać. I jeśli będziemy mogli mu w jakikolwiek sposób pomóc, na pewno to zrobimy.

— W porządku. Będę o tym pamiętał. Ale na razie wiem tyle samo co ty. Już ci to zresztą mówiłem. Fajne mini. John Cooper Works?

— Taa. Skasowali tyle, ile za mały odrzutowiec... Słuchaj. Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Weź to.

Raz już zostawiała Fritsenowi wizytówkę. Teraz w kieszeń

jego kombinezonu wsunęła kolejną.

— Nie zapomnij, Fritsen. Odezwij się. Jeśli dobrze życzysz Nielsowi.

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Wściekła, że odchodzi z niczym.

Rozdział 23.

Jego człowiek, który jako ostatni pojawił się w sali konferencyjnej na odprawie kierowanego przez niego Wydziału do Walki z Przestępczością Przeciwno Życiu i Zdrowiu, marudził, że musi usiąść cztery miejsca dalej.

Gdy w końcu zwałił się na krzesło, podsunął mu po stole ostatni numer „Ekstra Bladet”.

— Widziałeś to, H.P.? Chyba mają jakiś problem.

Klepnął otwartą dłońią sunącą ku niemu gazetę, zatrzymując ją w biegu, jakby była natrętną muchą niedającą mu spokoju od kilku dni. Nic jednak nie powiedział, dopóki się nie upewnił, czy są w komplecie — i czy wszyscy już się nagadali.

— Dzień dobry. Zaczynamy odprawę w sprawie zabójstwa inspektora muzeum Maltego Bulbjerga — zaczął jak zawsze bez zbędnych wstępów, bo nie lubił lania wody. Spojrzał na pozostałych znad okularów, po czym podniósł gazetę.

— Co do tego... Myślę, że najlepiej od razu to sobie wyjaśnijmy. Tak, wychodzę tu na idiotę. Wszyscy wychodzimy na idiotów, których jedyną hipotezą — przynajmniej dla ludzi czytających wyłącznie nagłówki — jest, że zbrodni dokonała zamkowa zjawa. A po drugie, wychodzi na to, że wyjaśnianie zbrodni mamy gdzieś i zasadniczo robimy sobie jaja z całej sprawy. I to, drodzy państwo, ogromnie mnie wkurwia! I jest mi przykro. Przeczytajcie sobie ten artykuł, chociaż nie wiem, czy można tak nazwać ten paszkwil. Sami zobaczycie, że wszystko zostało wyrwane z kontekstu i perfidnie przekręcone. Siedzę w tym jednak już tyle lat, że powinienem był być mądrzejszy i ostrożniej dobierać słowa. Ale dość o tym. Przejdźmy do

sprawy. Czego się dowiedzieliśmy z ulicy?

— Niczego. Absolutnie niczego — odparł gość siedzący na samym końcu sali. — Nikt nigdy nie widział Bulbjerga w środowisku dilerów. Jest w Nyborgu znaną postacią, więc ludzie dziwili się, że o to pytamy. Wydaje się mało prawdopodobne, by udało mu się ukryć swoje kontakty ze środowiskiem.

— Dzięki, Bøje. A ty, Else? Coś nowego w wątku bukmacherskim?

— Myślę, że mamy już pełny obraz sytuacji. Udało się to dzięki pomocy wszystkich pośredników w Nyborgu i żony ofiary. Malte Bulbjerg uwielbiał sport, zwłaszcza piłkę nożną. Obstawiał od zawsze. Zwykle kupony totalizatora na trzynaście meczów i do tego obstawianie wyników, zwłaszcza w piłce nożnej. Plus cotygodniowe kupony Lotto. Początkowo obstawiał kwoty nie większe niż to, co każdy mógłby obstawić. Parę kuponów totalizatora i pięćdziesiąt koron albo mniej na Oddset, do tego Lotto co sobotę. U nas w domu spokojnie idzie na to stówka co tydzień. Ja obstawiam Lotto, a mąż z chłopakami dla zabawy typują wyniki w zakładach bukmacherskich. Wszystko za grosze, ot taka rozrywka.

— Zatem co się stało? — Chciał, aby jego skądinąd bardzo skuteczna podwładna przeszła do rzeczy.

— Kwoty zaczęły powoli rosnać jakieś trzy, cztery miesiące temu. Najwyraźniej w tym samym czasie Bulbjerg zaczął kupować zakłady u różnych bukmacherów, by nie zwracać na siebie uwagi. Jednocześnie zaczął obstawiać inne dyscypliny — w tym gonitwy. Nigdy nie płacił kartą, zawsze gotówką. Na jego koncie też nie znaleźliśmy śladów nadzwyczajnej aktywności.

— Również w wydatkach na konsumpcję? A żona?

— Sama nam pozwoliła przejrzeć swoje konta. Żadne z

małżonków nie zrobiło w ostatnim czasie większych zakupów ani nie wyjeżdżali na drogie wakacje. Żyli dokładnie tak, jak zawsze.

— Poza jego nasilającym się zaangażowaniem w hazard. I ona naprawdę niczego się nie domyślała?

— Nie. Jak mówiłam, to, że grał, nie było niczym nowym. Nowa była jedynie skala.

— Rozumiem. Idźmy dalej. Przyjaciele, znajomi, koledzy z pracy, rodzina — mamy coś?

Jeden z najstarszych policjantów w jego zespole, Danielsen, spojrzął w swoje notatki i westchnął głęboko.

— Ich reakcje są szczerze. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, byli w głębokim szoku. Bez wyjątków. Byli zaskoczeni zarówno nałogowym hazardem, jak i narkotykami. Żadna z przepytanych przez nas osób nie miała pojęcia, jak się sprawy mają. Bulbjerg najwyraźniej nigdy nic nie dał po sobie znać. Ani jednym słowem czy gestem. Nigdy. Wygląda na to, że musimy dać sobie spokój. Dotarliśmy już do wszystkich istotnych osób.

— A żona?

— Jest pod opieką lekarzy, ale powoli dochodzi do siebie. Jak mówiłem, już z nią rozmawialiśmy. I to dwa razy. Wszystko spadło na nią jak grom z jasnego nieba. Kompletnie nie mieści jej się to w głowie.

— Hm... — Przerwał na moment, by przejrzeć własne notatki. Sporządził listę zagadnień, które muszą poruszyć.

— Dane telekomunikacyjne. Iversen, masz coś?

— Dostaliśmy wszystko, o co prosiliśmy. I udało nam się nawet dokładnie wszystko przetrzepać. Ze względu na godzinę nie było tego wiele. I nie znaleźliśmy nic, w czym można by pogrzebać dalej. Sprawdziliśmy parę osób, ale nic nam nie powiedziały.

— Zatem dalej. Komputer służbowy i prywatny, smartfon i

tablety. Jest coś jeszcze?

Przesunął wzrok na Trine Bertram, stosunkowo nową twarz w zespole. Przeprowadziła się tu z Kopenhagi, gdzie pracowała w komendzie w Bellahøj. Bystra dziewczyna.

— Przeczesałiliśmy wszystko. A było tego sporo. W zasadzie niewiele się pomyliłeś, tyle że wszystkiego jest po kilka egzemplarzy. I tak: dwa służbowe komputery, stacjonarny i laptop. Do tego prywatny laptop, iPhone i iPad. Miał konto na Facebooku, ale nie było go ani na Twitterze, ani w LinkedIn. Był człowiekiem bardzo aktywnym i miał mnóstwo kontaktów. Mimo to nie znaleźliśmy nic, co mogłoby budzić najmniejsze choć podejrzenia lub sugerować jakikolwiek związek ze zbrodnią czy działalnością przestępczą. Ze znajomymi rozmawiał o zakładach i piłce nożnej, ale były to raczej rozmowy typu: „Myślicie, że Barca wygra w sobotę?” albo „Ciekawe, czy Messi zdąży się wykurować”. Poza tym absolutnie nic...

Zdjął okulary i potarł oczy. Był zmęczony, ale wciąż zbyt daleko mu było do senności. Profesjonalizm i zapal zwykle w najgorętszych okresach zazwyczaj pozwalały mu funkcjonować przy zaledwie odrobinie snu, ale tym razem przyczyna jego pobudzenia była bardziej prozaiczna: wciąż nie mieli żadnego tropu.

— Może rzeczywiście zabiła go cholerna zjawa — powiedział zrezygnowany, czym wywołał szereg uśmiechów u zebranych.

— Jak być może wiecie — ciągnął dalej i ponownie włożył okulary — razem z Kofoedem też wybraliśmy się na rekonesans. W zakładzie karnym próbowaliśmy zasięgnąć opinii dobrze poinformowanych źródeł, czyli mówiąc krótko, porozmawialiśmy sobie z Dannym Brorsonem, którego pewnie znacie. Nie był w stanie pomóc nam w jakiś szczególny sposób, choć można chyba powiedzieć, że się

starał. Potem porozmawialiśmy z jednym młodym bandytą, który był notowany na terenie Nyborga. Ten z kolei mówił niewiele, a gdy już się odzywał, to głównie mówił „fuck”. Dobrze pamiętam, Kofoed?

Kofoed uśmiechnął się i przytaknął.

— Na koniec rozmawialiśmy z pewnym Serbem, Nebojsą Petrovičem, o którym mogliście słyszeć. Ten bardzo chciał nam pomóc w zamian za układ z prokuraturą. Jedyńy szkopuł w tym, że o inspektorze muzeum nie wiedział absolutnie nic. Zatem, panie i panowie, wciąż stoimy z niczym. Czy jest ktoś, kto...

Zadzwońił jego telefon. Numer nieznaný. I choć nigdy nie odbierał telefonów podczas spotkań, tym razem to właśnie zrobił. Kto wie, może intuicja mu kazała?

— H.P. Andersen.

— Mówi Danny Brorson — z więzienia.

— Tak, słucham...

— Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak od razu dam znać, co nie? W sensie... chodzi o rozmowę o tym gościu z muzeum. Miałem zadzwonić, jakby co.

— Masz coś dla nas? Dowiedziałeś się czegoś?

Poczuł, jak serce zaczyna mu mocniej bić. „Daj mi jedną, najmniejszą wskazówkę”, błagał w myślach.

— No jasne, że się dowiedziałem. To znaczy dużo się o tym mówi wśród chłopaków... Podobno ktoś łązi i wypytuje. Pytają o to samo, co wy. Ale to nie są gliny.

— Brorson, możesz jaśniej?

Mówiąc to, podniósł ostrzegawczo rękę, by dać do zrozumienia pozostałym, że dzieje się coś ważnego.

— Nie mam żadnych nazwisk ani rysopisów. Tamci są dyskretni. Nawet bardzo dyskretni.

— To może mógłbyś mnie skontaktować z jedną albo kilkoma z osób, do których oni dotarli?

Danny Brorson wyraźnie się wahał.

— Brorson, to ważne.

— Dobra, kumam, spróbuję. Tylko nie sędzę, aby to coś dało. Bo musisz wiedzieć, że za informacje o gościu z muzeum jest wyznaczona nagroda, i to całkiem ładna.

— Nagroda? Wiesz przypadkiem jaka?

— Mówi się o dwudziestu - trzydziestu tysiącach koron za informacje, które okażą się najbardziej przydatne.

— Ja pierdołę.

— No. Tak myślałem, że się nie ucieszysz. Mam tylko nadzieję, że zapamiętasz sobie na przyszłość, że *Danny to gość*, który potrafi czasem pomóc stróżom prawa, co nie?

H.P. podziękował i się rozłączył. Musiał chyba wyglądać na wyjątkowo zamyślnego albo zaskoczonego, bo nagle się zorientował, że wszyscy wpatrują się w niego wyczekująco.

— Yhm... Jak się pewnie domyśliliście, to był Danny Brorson. Zadzwoił z zakładu, bo ktoś nam depcze po piętach, wpytując ludzi ze środowiska o inspektora muzeum. I trzydzieści tysięcy koron za pomocne informacje. Trzydzieści tysięcy...

Jego słowa wywołały powagę na twarzach zebranych, szmer ściszonych komentarzy i uniesione brwi.

A on od początku to *przeczuwał*. Od samego początku coś mu w tej sprawie nie grało.

— Brorson postara się znaleźć kogoś, kto zechce z nami rozmawiać. Musimy się dowiedzieć wszystkiego. A jeśli uda nam się wygrzebać wystarczająco, będziemy potrzebowali rysownika. Kiedy ma być pogrzeb?

Odpowiedział mu Poulsen:

— Za cztery dni. W południe w kościele Marii Panny w Nyborgu.

— I gdzie go chcą pochować?

— Na starym cmentarzu miejskim. Tym w centrum.

— Musimy mieć pełny monitoring całej uroczystości.
Trzeba sfilmować wszystko i wszystkich.

Rozdział 24.

Jeżu, czego znowu może chcieć to monstrum? Czyżby po raz drugi w ciągu zaledwie paru dni chciał ją wypytać o poszukiwania Oxena, czy też ma jakiś inny, całkiem zaskakujący powód, by ją do siebie wzywać?

„Zajrzyj do mnie/A.M.”, napisane było na żółtej karteczce przyklejonej do jej monitora, gdy wróciła z przerwy obiadowej. Zaintrygowało ją to i teraz, idąc długim korytarzem na spotkanie z szefem, naprawdę nie wiedziała, czego się spodziewać.

Axel Mossman, wieloletni szef Policyjnej Służby Wywiadowczej, wciąż pewnie trzymał się na swoim stołku, ale ponieważ przekroczył sześćdziesiątkę, od dawna już trwały rozgrywki o to, kto obejmie go po nim.

W przeciwieństwie do jego poprzedników, którzy w ocenie ludzi z branży z wiekiem tracili na swojej pozycji, on w ostatnich latach jeszcze się na niej umocnił. Jego przeciwnicy chętnie i głośno w publicznej debacie wyrażali przekonanie, że PET stało się instytucją fasadową, i pogląd ten z czasem zdobywał coraz większe rzesze zwolenników.

I wtedy przyszedł jedenasty września — jeden dzień, który zmienił oblicze świata. Gdy wieże WTC legły w gruzach, Mossman powstał niczym Feniks z popiołów.

Nikt nie miał tak rozległych kontaktów w międzynarodowych służbach specjalnych. Przez lata, czerpiąc ze swoich brytyjskich korzeni, budował sieć pozwalającą mu swobodnie poruszać się w siedzibach zarówno MI5 jak i MI6 po obu stronach Tamizy. Potężna postura rozmiaru XXXL i bezpośredni styl bycia pomogły mu uzyskać dostęp do najróżniejszych służb również w Stanach

Zjednoczonych, zwłaszcza w CIA i NSA. Rosjan też udało mu się do siebie zjednać. Ponoć podobała im się jego rubasznosc.

Axel Mossman przeprowadził PET przez trudny okres restrukturyzacji i stworzył w pełni nowoczesną instytucję wywiadowczą, sprawnie poruszającą się po współczesnym świecie i zdolną sprostać jego wyzwaniom. Dlatego, jak dotąd, nikomu nie udało się naruszyć anglofilskiego monolitu. Nikt też nie był w stanie przyczepić się do sposobu, w jaki sprawował swój urząd. Mossman nie miał w zwyczaju klepać po tyłkach apetycznych sekretarek podczas imprez biurowych, a budżetem instytucji rozporządzał jak własnymi pieniędzmi. Czyli rozważnie. Jednocześnie miał dość wprawy w politycznych rozgrywkach zakulisowych, by nigdy nie popełnić błędów, na które czekali jego rywale.

Margrethe wiele mu zawdzięczała. Po wypadku z nogą zrobił z niej swoją asystentkę. W jednej chwili coś, co wydawało jej się końcem kariery, stało się dla niej punktem zwrotnym. Różnorodność wyzwań, którym musiała sprostać pod potężnym bokiem Mossmana, okazała się być jej żywiołem. Prawdopodobnie nigdy by się tego o sobie nie dowiedziała, gdyby wciąż miała obie nogi.

Dlatego tym większe były jej rozgoryczenie i żal na myśl, że ostatnimi czasy jego gabinet odwiedzała niemal sporadycznie.

Od sprawy wiszących psów, gdy Mossman zdecydował się włączyć do śledztwa Oxena, ona i jej szef coraz bardziej się od siebie oddalali. Właściwie zaufanie, które udało im się zbudować przez osiem lat wspólnej służby, zostało nadszarpnięte.

Bo o to właśnie chodziło — o zaufanie. A raczej o jego brak. Cholernie ją wkurzało to zwątpienie, które niczym pasożyt siedziało jej pod skórą.

Czy Mossman miał coś wspólnego z aferą z wiszącymi psami? Czy był w niej głównym rozgrywającym? Czy też był jedynie biernym oportunistą? A może zrobił to, co, jak próbował przekonać ją i Oxena, było jedyną możliwą taktyką — odegrał komedię?

Zapukała.

Kiedys weszłaby, nie czekając na odpowiedź. Teraz posłusznie stała pod drzwiami, aż usłyszała głębokie „proszę”.

Otworzyła drzwi i zamknęła je za sobą, również ostrożniej niż dawniej. Jak zwykle jego potężne ciało po królewsku zasiadało za ogromnym biurkiem. Mahoniowy mebel pochodził z angielskiego zamku, którego nazwy nie pamiętała. Bo Mossman oczywiście nie mógł pracować za ergonomicznym biurkiem z podnoszonym blatem, jak wszyscy inni. Poza tym, kiedy się o nie opierał, trzeba by podnośnika do ciężarówek, aby podnieść mebel choć na centymetr — i chyba o to chodziło. Na ścianie za jego plecami wciąż wisiały trzy małe ramki z kolorowymi muchami łososiowymi.

Przed biurkiem stał czerwonobrazowy chesterfield. Komplet wypoczynkowy wokół stolika kawowego na drugim końcu gabinetu to oczywiście również chesterfield. I raczej nie trafi jej się drugi taki szef z własną męską jaskinią w domu przy Klausdalsbrovej.

Nie usiadła, tylko stała przed biurkiem z rękami na biodrach, świadoma, że jest w jej pozie odrobina ostentacji.

Mossman w skupieniu doczytał ostatnie linijki raportu i dopiero wtedy podniósł wzrok. Stała przed nim, podpierając się pod boki, jakby czekała w kolejce w piekarni i miała już tego po dziurki w nosie.

Włosy miała... dziwnie potargane. Ileż to razy na przestrzeni lat zmieniała fryzurę? Chyba tyle, ile inni

zmieniają skarpetki. Teraz nosiła coś w rodzaju długiej, falującej grzywy na środku głowy, boki zaś były wystrzyżone niemal do skóry. Coś w rodzaju *eleganckiego punka*, o ile takie coś istnieje.

Za to jej postawa była taka jak zawsze i uruchomiła w nim coś, o czym myślał, że już dawno w nim wygasło. Oto miał przed sobą Margrethe buntowniczkę, wyczekującą i z rękami na biodrach. Do pełnego obrazu brakowało, żeby głośno mlaszcząc, żuła gumę i co jakiś czas spomiędzy czerwonych ust puszczala balony pękające z prowokacyjnym pufnięciem.

Ale jeśli w tym świecie, w którym wszystko jest zaprogramowane i zgodne z procedurami, młodzi nie będą się buntować, niecierpliwic i kontestować, to kto to zrobi? Bo dla niego ona wciąż była młoda, choć dobijała czterdziestki.

Margrethe Franck była prawdziwą łobuziarą w owych dawnych czasach, gdy nonszalancko wmaszerowała do jego świata — na jednej nodze.

Dziś może była nieco lepiej przystosowana, ale mówi się przecież, że nawet dzikie zwierzęta w zoo uczą się kontrolować swój instynkt zabijania, lecz nigdy go nie tracą. Wystarczy jeden fałszywy ruch i...

Chyba się zamyślił, bo w końcu się odezwała:

— O co chodzi?

W jednej sekundzie sprowadziła go na ziemię.

— Usiądź, Margrethe.

Zebrał swoje dokumenty w równy stos i odsunął je na peryferie rozległego blatu. Niemal bezkresnego, pomyślała.

— Otóż zagadnąłem cię niedawno na korytarzu... Musimy porozmawiać o Oxenie.

Zmrużyła oczy. Miała węża w uchu. Uroczy, srebrny drobiazg w kształcie węża sunącego po krawędzi ucha.

Miała ten kolczyk tamtego dnia, przed wieloma laty, kiedy przyjmował ją do pracy. Na co dzień obracał się wśród węży. Jej kolczyk pewnie zadziałał wówczas na jej korzyść.

— O Oxenie? Znowu?

— Tak, znowu. I tym razem poproszę o pełniejszą wersję.

— Ale naprawdę powiedziałam ci *wszystko*, co jest do powiedzenia.

— W moich uszach zabrzmiało to dość pobieżnie, a ja nie miałem czasu dopytywać.

— Jestem w trakcie sporządzania dla ciebie notatki z bieżących ustaleń.

— Wobec tego przekaz mi ją teraz ustnie.

Nikt poza nią nie potrafił tak dobitnie wyrażać powątpiewania spojrzeniem.

Dopiero teraz, kiedy z wielką łaską opadła na fotel na wprost niego, a w jej oczach dostrzegł błysk przekory w pełni do niego dotarło, jak bardzo mu jej brakowało.

Największy z mężów stanu, Winston Churchill, powiedział kiedyś, że „sukces zasadza się na umiejętności podtrzymania w sobie zapału pomimo kolejnych porażek”.

Wciąż miał w sobie wolę, aby walczyć o to, co mogło się stać największym sukcesem w jego karierze, choć biorąc pod uwagę całość, sprawę powieszonych psów, jak ją nazwano, należało uznać za fiasko.

Sprawa miała niewątpliwie jasne punkty i teoretycznie dało się ją *uznać* za zwycięstwo, lecz ostateczny jej wynik okazał się na tyle mierny, że nie potrafił tak tego odebrać. Czuł się postawiony w sytuacji patowej.

Margrethe natomiast wpisał na osobistą listę poniesionych strat. Skoro zaufanie między nimi wygasło i najwyraźniej nie było szans na jego odbudowanie, trzeba sobie odpuścić to, co i tak się utraciło.

Musi się dowiedzieć więcej i jeśli będzie musiał to z niej

wyszarpnąć siłą, nie zawaha się ani na moment.

— Będziesz miał raport jutro z samego rana. Jest prawie gotowy. Tak będzie dużo prościej.

— Wolę teraz. Dziękuję.

— Dlaczego *teraz*? Co takiego się dzieje, że musisz mieć Oxena teraz?

— Nic — pokręcił głową.

To, co się tu właśnie działo, było walką o terytorium. Od zawsze tak ze sobą rozmawiali, był to ich wewnętrzny rytuał i na niego działał wyzwalająco. Większość ludzi tylko mu przytakiwała.

— Gówno prawda! Zaczęłam go szukać w tej samej sekundzie, w której zniknął. Dwukrotnie składałam raporty, ale wygląda na to, że dopiero teraz na gwałt go potrzebujesz. Czemu?

— Margrethe, mylisz się, i to bardzo. Nie twierdzę, że sprawa stała się paląca. Ale minął rok, a ty nie wykazałaś jakichkolwiek postępów w swoim śledztwie. A ja nadal muszę poważnie porozmawiać z naszym wojakiem. Dlatego pytam, czy masz zamiar *wywiązać się* z powierzonego ci zadania.

Prychnęła z głębi chesterfielda.

— No dobrze. Zatem powtórzmy po raz kolejny, skoro to takie trudne. Oxen jest jak widmo. Nie zostawia żadnych śladów elektronicznych, po których zwykle namierzamy ludzi. Żadnych kontaktów z urzędami, bankami, żadnych telefonów, komputerów, *nada*. Jest gdzieś tam, ale nie istnieje. Jest małą igielką w ogromniastym stogu siana. Oto odpowiedź.

— Ale coś chyba przez ten czas robiłaś, prawda?

— Wszystko jest w raportach.

— Wiem, ale rozumiem, że poczyniłaś jakieś postępy. Obrałaś inną strategię? Podjęłaś nowe inicjatywy?

— To ma związek z Nyborgiem, prawda? To dlatego szukasz Oxena?

— Co ty masz z tym Nyborgiem? O co ci chodzi?

Już wtedy na korytarzu przejrzała go na wylot. Była piekielnie inteligentna — i hojnie obdarzona osławioną kobiecą intuicją, której zwykle nie doceniał.

— Nyborg i zabójstwo inspektora muzeum Maltego Bulbjerga. Nie powiesz mi chyba, że o tym nie słyszałeś. Wszędzie o tym trąbią.

— Ach, to.

— I wiesz doskonale, że podczas śledztwa spotkaliśmy się z Bulbjergiem — Oxen i ja.

— Ale jego zabójstwo miało chyba związek z hazardem i jakimiś narkotykami, prawda?

Przyjrzała mu się badawczo. Oczywiście nie miał pojęcia, ile Margrethe potrafi wyczytać w jego oczach, ale mimo wszystko bacznie obserwował wysyłane przez nią sygnały.

— Tak, tak się mówi. Mnie jednak zastanawia zbieżność w czasie jego zabójstwa i twojej nagłej potrzeby pogawędki z Oxenem.

— Przypadek, nic więcej. Przypomniałem sobie o nim, i tyle. Do rzeczy, proszę.

Westchnęła ciężko i wyglądała, jakby próbowała sobie wszystko poukładać.

— Dobra. No więc jestem w trakcie rozpracowywania jego kontaktów od nowa. Szukam czegoś, co mogłam przeoczyć za pierwszym razem. Oraz liczę, że ktoś nagle naprowadzi mnie na trop, nawet jeśli robi to niechęć. Że ludzie przypomną sobie coś, co mi się przyda. Według mnie to obecnie nasza jedyna szansa.

— A raporty dobowe naszych kolegów w kraju?

— Próbowałam, ale to strata czasu.

— Dlaczego?

— A jak to sobie wyobrażasz? „Weteran wojenny Niels Oxen, wyróżniony najwyższym wojskowym odznaczeniem w kraju, we wtorek między godziną ósmą a dziewiątą włamał się do kurnika pani Hansen w Tikøb i porwał trzy dorodne bantamki. Wezwani na miejsce policjanci sporządzili raport”?

Droczyła się z nim i ewidentnie sprawiało jej to frajdę.

— Nie wygłupiaj się. Chodzi o spostrzeżenia, schematy. Gość ma całkiem długą kartotekę, prawda? Skinęła twierdząco.

— W większości złożoną ze spraw, które wyglądają na zmyślane. Pasma wycofanych zarzutów albo umorzeń. O tym również zostałeś obszernie poinformowany w moich raportach. Oxen *nie* wda się w bójkę w wiejskiej knajpie, *nie* rzuci się w pijackim szale na okno sklepowe i *nie* ucieknie z dziennym utargiem z nocnego sklepu. *Nie* będzie kradł kur. On żyje tak, aby *nie* było go widać. Jest *niewidzialny*, bo lubi taki być. Dlatego monitorowanie raportów z okręgów jest stratą czasu.

— Na co wobec tego spożytkowałaś czas?

— Już mówiłam — od nowa przepytuję kluczowe osoby z jego kręgu. Siostrę, matkę, żołnierza, któremu kiedyś uratował życie, oraz rodziców innego żołnierza i przyjaciela Oxena z dzieciństwa.

— Tego, który zginął na Bałkanach?

— Dokładnie.

— Jak on się nazywał?

— Bo „Bosse” Hansen.

— I co ci dało to całe gadanie?

— Znalazłam jego wszystkie odznaczenia, włącznie z Krzyżem Waleczności. Leżą w komodzie u jego chorującej na demencję matki w domu opieki w Ringsted. Nikt nie wie, kiedy je tam ukrył. Nikt go nie widział ani z nim nie

rozmawiał, ale musiał tam być osobiście w którymś momencie. Leżą starannie ułożone w pudełku w dużej kopercie. Ale nie dostarczono ich pocztą.

— I?

— Może znów się tam pojawi.

— Chcesz powiedzieć, że aby go znaleźć, powinniśmy obserwować dom opieki?

— Sam zdecyduj. Ja nie wiem dokładnie, jak bardzo zależy ci na rozmowie z nim.

Brzmiało to jak bardzo kosztowny *strzał w ciemno*. Po jej minie widział, że ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Ale mimo to z satysfakcją obserwowała jego reakcję.

— Zastanowię się nad tym. Coś jeszcze?

— W liście, który znajdował się w pudełku, było napisane, że jeśli matka Oxena umrze, a nikt nie zdoła go o tym powiadomić, to wszystkie odznaczenia należy wysłać do jego dawnego kolegi z czasów bałkańskich, niejakiego L.T. Fritsena. Ma warsztat samochodowy przy Amagerbrogade. Oxen wyłowił go z rzeki, kiedy tamtego dopadła kula snajpera. Za to też dostał medal.

— Takich rzeczy nie powierza się komukolwiek. Zwłaszcza Krzyża Waleczności, prawda? Znajdź gościa i go przyciśnij.

Margrethe tylko się uśmiechnęła. Zły znak w tej małej wojence, którą tu ze sobą toczyli.

— Odhaczone — odparła.

Gdyby tylko zastanowił się przez sekundę dłużej, zanim to powiedział, nie mogłaby teraz tak triumfować. Oczywiście, że już to zrobiła.

Zbyt wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz na poważnie razem pracowali. Zapomniał już, jak sobie radzić z tą wyszczekaną dziewczuchą na jednej nodze, do tego dosiadającą anglika. Kiedy dziś rano widział ją, jak na pełnym gazie wjeżdża na parking nowym mini cooperem,

pomyślał, że ten wóz stworzono z myślą o niej. I jeszcze czarny z białym dachem i białymi obramowaniami szyb. Ładna zabawka dla retrosnobów.

— No i co powiedział? Jezu, wszystko mam z ciebie wyciągać na siłę?

Spojrzał na zegarek, nie starając się tego ukryć.

— Nic. Nie jest zbyt chętny do współpracy. Myślę, że wie więcej, niż jest skłonny powiedzieć.

— I to wszystko? Naprawdę nic więcej nie masz?

Znów nieznacznie zmrużyła oczy. Ostatecznie pokręciła tylko głową.

— Więc dociśnij mechanika.

— Okej, spróbuję. Coś jeszcze?

— Nie, to wszystko. — Ręką już sięgał po stos papierów.

— A co, jeśli znajdę Oxena, a on nie będzie chciał z tobą rozmawiać? Co wtedy? Nie mogę go przecież zatrzymać.

— Nie, oczywiście, że nie. Jeśli uznasz, że to coś da i pomoże ruszyć jego sumieniem, powiedz mu o zabójstwie inspektora muzeum.

— Przed chwilą powiedziałaś, że obie sprawy nie mają związku.

Znów stąpała po cienkim lodzie.

— Bo nie mają. Ale chcę z nim pilnie porozmawiać, więc po prostu mi go sprowadź. Czy wyrażam się jasno?

Skinęła głową i wstała.

— Okej.

— Dziękuję.

Patrzył za nią, kiedy wychodziła z jego biura. Margrethe polubiła weterana z piersią ciężką od orderów. To było widać. Czuł to jeszcze podczas tamtego śledztwa. Ostatecznie współpraca tych dwojga układała się znakomicie. Sądził, że ta sympatia jest wzajemna, ale Oxen dał nogę, gdy mieli zjeść razem kolację.

A jednak miał to dziwne przeczucie... Że jeśli Oxen zdecyduje się ujawnić, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że zwróci się osobiście do Margrethe Franck.

I że musi być wówczas gotów od razu przypuścić atak.

Rozdział 25.

Ciemne okulary były i zawsze będą doskonałym wynalazkiem. Dzięki nim mógł się bez skrępowania rozglądać wokoło, zamiast skupiać wzrok na tym, na czym obyczaj nakazywał go skupiać. Na księdzu i trumnie.

W ostatniej drodze inspektorowi muzeum Maltemu Bulbjergowi towarzyszyły prawdziwe tłumy. W kościele trudno było się zorientować, kim są ci wszyscy ludzie. Bo choć on i jeden z jego śledczych usiedli w ostatniej ławce, od patrzenia na karki innych niewiele się dowiedzieli.

Za to gdy wszyscy wyszli na słońce i zbrali się na starym cmentarzu Nyborga, ogląd sytuacji był o niebo lepszy. Ustawili się na lekkim wzniesieniu, z dala od pozostałych, a blisko alejki porośniętej wysokimi drzewami. W tej chwili jego uwagę przykuła kobieta stojąca na skraju orszaku. Jakby była jego częścią, ale nie do końca. W słuchawce włożonej w ucho usłyszał informację, że pod kościół podjechała czarnym mini cooperem.

Była średniego wzrostu, wyprostowana i szczupła. Miała na sobie czarne spodnie i czarną koszulową bluzkę, ale i tak odstawała od reszty, bo jasne włosy na bokach były przycięte niemal przy skórze, za to na karku i przez całą głowę ciągnął się szeroki, mniej więcej normalnej długości grzebień kończący się na czole niesfornym lokiem sięgającym krawędzi czarnych okularów słonecznych. Może *ona* też w tej sekundzie *mu* się przyglądała?

Facet stojący na samym końcu po drugiej stronie zebranego tłumu to kierujący śledztwem H.P. Andersen. Mimo ciemnych okularów poznała jego twarz z gazet i telewizji, w których bezlitośnie wieszano na nim psy, bo

policja okręgu Fionii najwyraźniej nie miała żadnych tropów w nagłośnionej przez media sprawie.

Wiedziała, że są ludzie, którzy chodzą się gapić na śluby, ale nie słyszała, by ktoś w tym samym celu chadzał na pogrzeby. A jednak ona głównie po to przyjechała dziś do Odense — żeby poobserwować. Zaspokoić ciekawość.

Skłoniła ją do tego niedawna rozmowa z Axelem Mossmanem w jego gabinecie. Oraz fakt, że szef PET bardzo się starał ukryć związek między swoją palącą potrzebą odnalezienia Nielsa Oxena a zabójstwem inspektora muzeum.

Decyzję, aby tu przyjechać, podjęła kilka godzin temu pod wpływem impulsu. W pośpiechu zmieniła ciuchy i mocno wciskała gaz, żeby się nie spóźnić. Miniak przefrunął nad Wielkim Bełtem i do krawężnika pod kościołem w Nyborgu dotarł w samą porę.

Chciała zobaczyć, jakie twarze pojawią się na pogrzebie. Jakie się nie pojawią. I o czym będzie się mówiło w kularach.

Fakt, że szef postępowania, miejscowy wiceinspektor, najwyższy rangą w tutejszym okręgu, zapuszcza żurawia i przeczesuje zza czarnych okularów wszystkich po kolei... fakt, że w ogóle przyszedł na pogrzeb ofiary, był czymś zupełnie niezwykłym i utwierdzał ją w przekonaniu, że nie było to zwykłe śledztwo w sprawie zabójstwa.

Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, i z prochu ponownie powstaniesz.

Dostrzegła jeszcze kilka osób w typie głównego śledczego — trzymali się z dala od rodziny i przyjaciół i wyglądali, jakby bardzo chcieli zachować anonimowość, a jednocześnie najwyższą czujność.

Znów przeniosła wzrok na wdowę po Maltem Bulbjergu. Trzydzieści kilka lat. O wiele za mało, żeby być wdową. Nie

było przy niej żadnych dzieci, więc chyba ich nie mieli. Na szczęście. Może marzyli o nich, ale nigdy nie wyszli poza marzenie. Kobieta wyglądała na apatyczną i załamana. Ciemne cienie pod oczami, cała w czerni. W jednej chwili odebrano jej męża. Zabito. Unicestwiono strzałem w głowę.

— Wóz drugi do H.P. Andersena. Mamy identyfikację kobiety w mini cooperze. To Margrethe Franck. Pracuje dla PET w ich głównej siedzibie.

Usłyszawszy informacje przekazywane mu ściszym głosem przez słuchawkę w uchu, lekko się wzdrygnął.

PET? Tutaj? Ona?

Raz jeszcze zmierzył ją od stóp po czubek głowy. Nie, zdecydowanie nie takiego stylu spodziewał się po swoich kolegach z PET. Z drugiej strony kto ich tam wie. Siedzą zamknięci w swojej twierdzy, uważając się za jednostkę elitarną, dla której zwykła codzienna policyjna harówka była od dawna zamkniętym rozdziałem.

Jej nazwisko też nic mu nie mówiło.

Ojczy nasz, któryś jest w niebie. Święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

— Wóz pierwszy do H.P. Andersena. Poulsen właśnie zameldował, że w jego okolicy chyba widział dawnego kolegę z PET. Ale nie jest do końca pewien.

Jeszcze jeden? Jak grzyby po deszczu.

W myślach gorączkowo szukał punktów styczności. W pierwszej chwili trudno było powiedzieć, czego służba wywiadowcza mogłaby szukać na pogrzebie inspektora muzeum, który być może — lecz tylko być może — mógł mieć związek z jakimiś szemranymi interesami. Nie był w stanie dostrzec choćby jednego punktu w prowadzonym przez siebie śledztwie, do którego superagenci z PET mogliby chcieć dyskretnie wściubić swoje elitarne nosy.

Na razie nie miał nawet najbardziej ogólnego pojęcia o

charakterze tej zbrodni, choć zdarzało mu się czasem pomimo braku dowodów intuicyjnie przewidzieć, o co chodziło w innych prowadzonych przez siebie sprawach.

Byli już po rozmowach z informatorami Danny'ego Brorsona w środowisku. Obaj zostali zagadnięci w sprawie roli, jaką w środowisku narkotykowym odgrywał inspektor muzeum. I żaden z nich nie miał za wiele do powiedzenia. Mężczyzna, który zwrócił się do jednego z nich, był eleganckim, uprzejmym panem w średnim wieku. Do drugiego zgłosił się mężczyzna mówiący po angielsku. Nic w rysopisie, który podali, nie nadawało się do użycia. Obaj mężczyźni byli zbyt przeciętni — porządni, dobrze ubrani, w letnich marynarkach, średniego wzrostu, po czterdziestce lub koło pięćdziesiątki.

Z takimi informacjami nie zajdą daleko.

Ten, który mówił po angielsku, rzeczywiście zaoferował do trzydziestu tysięcy koron za ewentualnie przydatne informacje o Bulbjergu. Nie podał numeru telefonu — naturalnie. Zostawił jedynie adres miejsca w Vesterhavnen oraz dwie daty i godziny, o których informatorzy Brorsona mogli się zjawić, jeśli będą coś mieli. Jeśli się tam stawia, tamci nawiążą kontakt. Taka była procedura. I niestety na kilometr zalatywała robotą zawodowca.

Teraz jego ludzie muszą zebrać jak najwięcej informacji o uczestnikach pogrzebu, a po powrocie na komendę przejrzeć nagrania z kamer.

Gdy tylko usłyszał, że to PET, niemal natychmiast w jego głowie pojawiła się jedna, bardzo konkretna myśl. To pewnie zwykły odruch, ale...

Przyszedł tu dziś wyłącznie po to, by zlokalizować tego, komu zależało na skopiowaniu jego komputera. Tymczasem całkiem niespodziewanie na cmentarzu w centrum Nyborga z lewej i prawej pojawiają się ludzie z Søborga.

Nie podobała mu się myśl, którą miał w głowie. Na pierwszy rzut oka nie miała ona również większego sensu, za to mogła oznaczać całą masę komplikacji.

Zdecydowanie wolałby mieć do czynienia ze zwykłym bandziorem powiązanim ze środowiskiem narkotykowym, który po prostu bardzo chciał mieć kopię jego twardego dysku.

Potężny sekator szybko uporał się z dwiema wystającymi gałęziami miniaturowego drzewka przy nagrobku. Niedługo zaczął się rozchodzić. Słyszał, jak ksiądz kończy odmawiać *Ojcze nasz*.

Uklęknął na żwirze w zielonym roboczym kombinezonie i zaczął skubać niewidzialne chwasty. Jego motyka i szpadel stały oparte o żywopłot. Torba z miniaturową kamerą stała dokładnie tam, gdzie powinna, i pod idealnym kątem, jaki ustalili zawczasu.

Kiedy się rozejdą, wszyscy będą musieli go minąć, idąc szeroką aleją do wyjścia. I wszyscy zostaną sfilmowani kamerą o wysokiej rozdzielczości.

Był to najlepszy sposób, by się do tego zabrać. Stacjonarne nagranie na miejscu plus gość w samochodzie pod cmentarzem. Wszędzie było mnóstwo miejscowej policji. Nie miał najmniejszego pojęcia, co oni wszyscy tu robili. Czyżby policja okręgu Fionii spodziewała się jakiejś rozróby na pogrzebie muzealnika? Bo naprawdę: po co ich się tu tylu naszło?

I co tu robi jednonogi *alien* Mossmana z węzłem w uchu?

Oczywiście obito mu się o uszy, w rozmowach z ludźmi z dawnej roboty, że Margrethe Franck popadła w niełaskę i de facto nie jest już osobistą asystentką szefa. Ale co wobec tego tu robi? Na odprawie nic o niej nie mówili. Nie odgrywała żadnej roli. A jednak tu była. Sytuacja staje się wyjątkowo delikatna.

Wyjął telefon z przedniej kieszeni ogrodniczek i napisał esemesa, który z całą pewnością wywoła u odbiorcy pionową zmarszczkę na czole: „M. Franck przyjechała na pogrzeb”.

Pomimo tragicznych okoliczności cmentarz tego dnia wręcz tętnił życiem. Z ich obserwacji wynikało, że na miejscu stawili się przedstawiciele lokalnej policji pierwszego i drugiego szczebla oraz ludzie z Policyjnej Służby Wywiadowczej, PET.

Gdyby to wszystko nie było tak poważne, mógłby pomyśleć, że kręcą tu remake *Policjantów z Keystone*, tyle że bez Chaplina.

Siedzieli na uboczu, świetnie zakamuflowani w białym dostawczaku. Do tego w stosownej odległości od głównego wejścia na cmentarz, na parkingu przed budynkiem mieszczącym solarium i klinikę weterynaryjną. Kolejny samochód stał tyłem do Ravelinsvej, tuż przed mostem nad fosą.

Tylna szyba była zaklejona folią lustrzaną, więc spokojnie mogli się pobawić potężnym obiektywem na statywie. Silny zoom bez problemu pozwoli im porobić zdjęcia, na które dostali zamówienie — komplet zdjęć wszystkich osób obecnych na pogrzebie inspektora muzeum Maltego Bulbjerga.

Nie było potrzeby wchodzić na sam cmentarz i ryzykować, że ktoś ich zobaczy. Nie mieli zresztą w zwyczaju rzucać się w oczy.

Zagwarantowali klientowi najwyższą dyskrecję, a tę zapewnić mogło jedynie zachowanie dystansu.

On miał jeździć samochodem i obserwować. Jego partner miał dziś zajmować się wyłącznie aparatem, bo w tym był najlepszy.

Wzięli to zadanie wspólnie. Trafiło im się dzięki zawilej sieci kontaktów, której częścią stali się w naturalny sposób

po latach służby w kraju i za granicą. Choć siłą rzeczy głównie za granicą.

Ich kariera była niemal identyczna. Zawodowi żołnierze przeszli do branży ochroniarskiej, w której większość czasu przepracowali dla amerykańskiego koncernu Black Rose Security. Teraz obaj byli freelancerami z wszystkimi plusami i minusami.

Zadanie było podzielone na dwie części. Pierwszą już wykonali — przeszukali środowisko narkotykowe w Nyborgu i niektórych dzielnicach Odense.

Znaleźli i przepytali zarówno płotki, jak i grube ryby, szukając informacji, czy — a jeśli tak, to z kim — inspektor muzeum działał na tym rynku.

Uzyskali zero informacji. Absolutnie *nic*, najmniejszego śladu. Wyznaczyli trzydzieści tysięcy koron nagrody za przydatne informacje. Ten, kto je będzie posiadał, ma się zgłosić w porcie w Nyborgu. Nikt nie przyszedł.

Ich zadanie nie polegało jednak na myśleniu, lecz na ustalaniu faktów. Ustalili więc, że nikt nie słyszał, aby Bulbjerg dilował.

Nie trzeba było natomiast być w branży zbyt długo, by stwierdzić kolejny fakt — mianowicie, że dziś na cmentarzu aż roi się od psów, które potrafili rozpoznać na kilometr.

Cały materiał — zarówno wyniki poszukiwań, jak i zdjęcia — mieli dostarczyć w formie fizycznej w jednej lub kilku kopertach. Wyraźnie zostało powiedziane, że nic nie może istnieć w formie elektronicznej. W dzisiejszych ultranowoczesnych czasach takie zastrzeżenie mogło się wydać niezwykle, ale z punktu widzenia bezpieczeństwa miało absolutny sens. A bezpieczeństwo zawsze rozsądnie jest stawiać na pierwszym miejscu.

— Idą. Jesteś gotów?

Widział, jak większa część żałobników zaczyna się odsuwać

od grobu na końcu alejki i zmierza w stronę wyjścia z boku plebanii.

— Tak — usłyszał zza pleców.

Mimo że z definicji nie zastanawiali się nad zleceniami, które wykonywali, tym razem nie mógł się powstrzymać, by nie zadać sobie tego pytania.

Co za cholerną puszkę Pandory musiał otworzyć zmarły gość z muzeum?

Rozdział 26.

Siedem płomieni znów nerwowo zatańczyło na siedmioramiennym świeczniku i rzuciło niespokojne cienie na pobieloną ścianę.

Narzucili już na ramiona czarne peleryny i usiedli na krzesłach o wysokich oparciach, rozmieszczonych od kilkuset lat tak samo — na północy, na południu i na wschodzie, gdzie siedział on sam.

W piwnicy panował chłód niosący ulgę po upalnym dniu, od którego dziś zaczął się sierpień.

Wcześniej w saloniku atmosfera nie była tak swobodna jak zawsze, mimo że wszystko inne było dokładnie takie jak zwykle — kawa, herbata, pieczywo i bieżąca prasa.

W polityce wciąż był sezon ogórkowy, również na rynku pracy i w gospodarce trwały wakacje. To jednak powinno oznaczać, że także ich spotkanie będzie przebiegało w lżejszej niż zwykle atmosferze. Tymczasem było dokładnie na odwrót.

Po wspólnej modlitwie powietrze zelektryzowało wymowne milczenie.

Czuł to. Czuł to u siebie i u swoich gości. Niby zwyczajne spotkanie, zgodnie z ich kalendarzem. A jednak wszyscy mieli świadomość, że nie będzie w nim nic zwyczajnego.

Zgodnie z obyczajem to on rozpoczął ich zebranie.

— Dzisiejszy dzień jest niezwykle ciężki w naszej historii. Musimy podjąć kilka trudnych decyzji. Trudnych, lecz koniecznych — powiedział.

Były to decyzje, które będą musieli podjąć wspólnie — albo wspólnie odrzucić. Zgodnie z tradycją wszystkie decyzje musieli podejmować jednomyślnie. Nie istniało pojęcie

większości. Dwa głosy z trzech to wciąż za mało.

— W dzisiejszym porządku obrad mamy właściwie tylko dwa punkty — mówił dalej. — Najpierw jednak zrobimy zwyczajną odprawę i skupmy się zwłaszcza na sprawie inspektora muzeum Maltego Bulbjerga. Z kolei wspomniane dwa punkty dotyczą odpowiednio ministra sprawiedliwości Ulrika Rosborga i dawnego komandosa Nielsa Oxena. Jak wicie, oba przypadki można traktować rozłącznie, jak również łącznie. Zacznijmy od podsumowania sytuacji bieżącej — Południe.

Przedstawiciel Południa pogrzebał chwilę w swoich notatkach i zaczął:

— Mamy już wyniki poszukiwań przeprowadzonych po decyzji, którą podjęliśmy na ostatnim zebraniu nadzwyczajnym. Jako że Bulbjerg był w naszym kręgu starym znajomym — w znaczeniu dosłownym i przenośnym — oraz towarzyszył Vitusowi Sanderowi w ostatnich dniach jego życia, nim sam został zamordowany na zamku, musieliśmy wyrobić sobie całościowy obraz sytuacji. Zatem w punktach przedstawia się on następująco. — Południe odłożył kartkę na swój mały stos i kontynuował: — Rozpoczęliśmy gromadzenie informacji, które policja posiada w tej sprawie. Śledztwem kieruje zastępca komendanta policji H.P. Andersen. Jesteśmy obecnie w posiadaniu jego twardego dysku. Nie zawiera on nic, co pomogłoby nam nabrać większej jasności na temat zamieszania z inspektorem muzeum. Mamy raport z sekcji zwłok, rozmaite analizy policyjnych techników i szereg zeznań świadków z lokalnego światka narkotykowego. Nic z tego nie pozwala wyciągnąć jakichkolwiek wniosków odnośnie do powodów, dla których Bulbjerg został zamordowany. Ani przez kogo.

Południe przesunął wzrokiem po twarzach kolegów, znów

odwrócił kartkę i mówił dalej tym samym, monotonnym głosem:

— Zaczęliśmy na własną rękę sondować środowisko — przeprowadziliśmy szereg „rozmów” z wybranymi osobami i wyznaczyliśmy nagrodę za istotne dla sprawy informacje. Akcję przeprowadziliśmy zarówno w Nyborgu, jak i w Odense. Wynik jest jednoznaczny: Bulbjerg jest w kręgach narkotykowych postacią kompletnie nieznaną. Rozpoczęliśmy także sporządzanie listy osób zainteresowanych sprawą Bulbjerga przy okazji jego niedawnego pogrzebu. Dzięki temu dowiedzieliśmy się, że zarówno śledczy z fińskiego okręgu policyjnego, jak i przedstawiciele Policyjnej Służby Wywiadowczej byli obecni na pogrzebie w Nyborgu. Możemy również z dużym prawdopodobieństwem ustalić, że obie strony niezależnie od siebie monitorowały zebrany tłum. Posiadamy zdjęcia wszystkich uczestniczących w pogrzebie osób i każdą zidentyfikowaliśmy z imienia i nazwiska. Jest wśród nich Margrethe Franck z głównej siedziby PET w Søborgu. Pamiętacie ją?

Pozostali pokiwali głowami. Oczywiście, że pamiętali kobietę z PET. Pracowała z Oxenem przy dowodzonym przez szefa PET Axela Mossmana śledztwie w sprawie tamtej koszarnej afery na zamku Nørlund. Tej samej, która była bezpośrednim powodem, dlaczego dziś muszą podjąć owe dwie ważne decyzje.

— Czy znamy powód obecności tej Franck? — Mocno go zaniepokoiło jej nazwisko w tym kontekście.

Południe pokręcił tylko głową, przewrócił kolejną kartkę i zaczął podsumowanie swojego wyводу:

— Nie. I nie chcę się bawić w zgadywanie. Wiemy jedynie, że tam była... Czy mogę kontynuować?

— Oczywiście.

— Zatem, choć śmierć Bulbjerga komplikuje sytuację, całe zamieszanie ma swój początek w chorobie Vitusa Sandera i jego pobycie w hospicjum. Niestety, zbyt późno dowiedzieliśmy się o intensywnych kontaktach tych dwóch, ale udało nam się mimo wszystko potwierdzić, że do nich dochodziło. Co zatem między nimi zaszło? Jak wielkie poczyniono szkody, o ile zakładamy, że jakiegokolwiek szkody poczyniono? Przesłuchaliśmy pielęgniarkę, która osobiście opiekowała się Sanderem aż do jego śmierci. Przesłuchałem całą rozmowę z nią, mamy ją na nagraniu...

Południe miał rację. Spojrzał uważnie na swojego gościa. W istocie, najważniejsze było oszacowanie zakresu szkód. Tymczasem tamten kontynuował:

— Pielęgniarka sądziła, że Bulbjerg to młody towarzysz polowań Sandera i jego powiernik. Zauważyła, że podczas ich krótkich spacerów bardzo dużo rozmawiali i dyskutowali. Gdy spotykali się w pokoju Sandera, zachowywali najwyższą dyskrecję. Mimo to raz niechcący dobiegły ją słowa o grzechu i odpuszczeniu grzechów. Najwyraźniej więc rozmawiali o religii, co nieco ją zdziwiło, ponieważ Sander nie sprawiał wrażenia osoby szczególnie religijnej. Słyszała również, jak omawiali pojęcie *wybaczenia* — w sposób dość akademicki, niespecjalnie pasujący do rozmowy dwóch zagorzałych myśliwych.

Południe szukał czegoś w swoich notatkach.

— Mam przy sobie pełny zapis rozmowy z pielęgniarką. W pewnym momencie mówi — tu cytuję: „Na początku swojego pobytu Vitus Sander wyglądał na przygnębionego i pełnego czarnych myśli. Nie sposób było nie dostrzec, że później to się zmieniło... Wydawał się pogodniejszy, jak człowiek, który zrzucił z serca wielki ciężar, albo dał upust złym emocjom. Jak człowiek, który doznał ulgi w cierpieniu — wewnętrznym albo zewnętrznym... I ta zmiana następowała stopniowo,

właściwie odkąd Rasmus Hansen zaczął go odwiedzać”.

Południe powiódł po pozostałych zamyślonym wzrokiem i podsumował:

— To wszystko, drodzy przyjaciele. Wiemy, że Vitus Sander w ostatnich latach wypowiadał się w sposób, który można było interpretować jako rodzące się wyrzuty sumienia w związku z faktem, że należał do naszego kręgu i wspierał naszą pracę. Z drugiej strony trzeba powiedzieć i to, że na przestrzeni lat był osobą, która dzięki swojej pozycji i swoim wpływom naprawdę ogromnie się nam przysłużyła.

— Zatem, wnosząc z wypowiedzi pielęgniarki, powinniśmy się liczyć z zaistnieniem pewnych szkód, czy tak? — zapytał reprezentant Północy.

— W mojej ocenie — tak. Mam dla was kopie zapisu rozmowy, więc możecie sobie wyrobić własne zdanie.

Na chwilę zapadła cisza, kiedy każdy z nich w myślach rozważał sytuację. Zgodnie z tradycją to do niego, jako Wschodu, należało moderowanie dyskusji, jednak to reprezentacja Północy odezwała się pierwsza.

— Zatem, Południe, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

— Proponuję przeznaczyć środki na ściśle monitorowanie sprawy.

— Północ, co ty na to?

— Zgadzam się w stu procentach. Koniecznie musimy mieć więcej informacji.

— Dobrze. Zatem zgoda. Będziemy kontynuować własny nadzór nad śledztwem. Również uważam, że to niezbędne. Przejdźmy więc do następnego punktu: minister sprawiedliwości Ulrik Rosborg.

Był to jeden z najtrudniejszych dni w jego wieloletniej działalności w kręgu. Wynik ich wspólnych rozważań rozstrzygnie o życiu lub śmierci Rosborga. To samo dotyczyło Nielsa Oxena.

Roztrząsali tę kwestię od dawna. Teraz przyszła pora na rozstrzygnięcie.

— Propozycja, by wobec ministra sprawiedliwości zastosować ostateczne rozwiązanie, wyszła ode mnie. Dlatego pozwólcie mi pokrótce przedstawić moje argumenty.

Północ i Południe pokiwali głowami. Był pewien akceptacji ze strony Południa, lecz nie do końca znał stanowisko Północy. Jeśli nie poprze jego wniosku, nie będą mogli podjąć decyzji.

— Po pierwsze: Ulrik Rosborg jako człowiek. Nie posiada niezbędnych cech charakteru i koniecznej dla naszych działań przenikliwości. Dowodzi tego potworny czyn, jakiego dopuścił się na zamku Nørlund. Skoro był w stanie zrobić coś takiego, to do czego jeszcze może być zdolny? Jakich jeszcze trudności może nam przysporzyć? Po drugie: Rosborg miał czelność naciskać na mnie, bym mu wypłacił sporą kwotę w gotówce. Jego zdaniem z racji sprawowanego przez siebie urzędu powinien być hojniej wynagradzany za swoje uczestnictwo w naszych działaniach. Jednocześnie zasugerował możliwość szantażu, jeśli jego żądanie nie zostanie spełnione. Według naszych analiz sytuacja finansowa Rosborga nie jest już tak stabilna jak dawniej. Rodzinny koncern, w którym ma udziały, odnotowuje straty. Mimo to Rosborg w ostatnim półroczu kupił nowy dom letniskowy w Gilleleje, a ostatnio sporą wiejską posiadłość. Tym samym po raz kolejny ujawnił brak zdolności prawidłowego osądu sytuacji. Próba wywierania na nas nacisku zaś to dowód buty niespotykanej w historii naszej instytucji... I to po tym, jak zaangażowaliśmy wszystkie możliwe środki, by odwrócić to, co się stało, i ocalić jego głowę.

Przerwał na moment.

Miał do przedstawienia jeszcze tylko jeden argument. Dziwnie się czuł, wnioskując o ostateczne rozwiązanie, ale miał świadomość ciężaru spoczywającej na nim odpowiedzialności. Tu nie chodziło o jednostki. Tu chodziło o samą istotę ich sprawy. O ich pracę na rzecz narodu.

Było mu gorąco w ciężkiej pelerynie, mimo że w pomieszczeniu panował chłód. Wziął łyk wody i mówił dalej:

— I wreszcie po trzecie: minister sprawiedliwości nie reprezentuje w pełni naszych interesów, choć to powinno przecież być oczywiste. Zauważyłem, że wiele z naszych postulatów odnośnie do reformy prawodawstwa, którą ministerstwo zapowiada na jesień, zostało zwyczajnie wykreślonych. Chodzi między innymi o podstawę do wydalenia z kraju w sprawach karnych i zwiększenie zakresu kar. Rosborg broni się, mówiąc, że partie rządowe nie były w stanie osiągnąć porozumienia co do proponowanych zmian, a partia wspierająca rząd była im przeciwna. Nic z tego nie jest prawdą. Mógłbym również podać szereg innych przykładów tego, jak Rosborg się wycofywał, zamiast walczyć do końca o przepchnięcie naszych propozycji. Nie możemy się godzić, by realizował własne cele. Nie możemy się godzić na żadną z opisanych przeze mnie sytuacji. Dlatego jestem zdania...

Znów napił się wody.

— ...że powinniśmy się zdecydować na *ostateczne rozwiązanie* względem ministra Ulrika Rosborga.

Spojrzał na swoich gości. Na ich twarzach malowała się powaga. Wszystko, co właśnie powiedział, było im wiadome, on jednak ujął to w formalne ramy i przedstawił swoje stanowisko. Wszystkie dotyczące sprawy materiały otrzymali już dawno. Miał całą teczkę z dokumentami i wewnętrznymi notatkami o pakiecie reform oraz pracach komisji. Miał również nagranie, na którym Rosborg żąda większych

pieniędzy. Pozostałym były więc znane wszystkie argumenty.

Liczył, że dla nich również decyzja nie będzie trudna.

Teraz jednak mieli możliwość zabrania głosu, nim przystąpią do głosowania. Skinieniem wskazał na Południe.

— Słucham.

— Dziękuję. Uważam, że to trudna decyzja. Zmarnowanych zostało wiele lat pracy. Minęło piętnaście lat, odkąd po raz ostatni mieliśmy w naszym kręgu ministra sprawiedliwości, lecz musimy dać innym przykład. Im dłużej Rosborg będzie zasiadał wśród nas, tym większych może nam przysporzyć szkód. Musimy się pogodzić z utratą tego cennego stanowiska, aby móc działać dalej. Istnieją inni wartościowi kandydaci, a przy tym bardziej pokorni od Rosborga.

— A ty, Północ?

— Jak wiecie, jestem zdania, że ostateczne rozwiązanie powinno być narzędziem, po które sięgamy wyłącznie w razie nadzwyczajnego zagrożenia. Nasi poprzednicy nie zawsze postępowali z równą ostrożnością. Dochodzę jednak do wniosku, że sytuacja, o której mówimy, w istocie niesie nadzwyczajne zagrożenie. Posiadanie w naszym portfolio ministra sprawiedliwości w sposób szczególny umacnia naszą pozycję, lecz staje się przez to tym bardziej niepokojące, kiedy pojawiają się wątpliwości co do moralnego kręgosłupa tegoż. Jesteśmy zmuszeni podjąć niezwłoczne działania.

Ucieszył się na te słowa.

Nie będą musieli rozpoczynać nowej, wyczerpującej rundy badań i analiz, która zajęłaby kolejne miesiące. Wszyscy zatem są za. Reszta była tylko formalnością, której przestrzegali z szacunku dla protokołu.

— Najwyższe zgromadzenie Danehofu niniejszym przystępuje do głosowania. Kto z zebranych w tej sali

głosuje za zastosowaniem *ostatecznego rozwiązania* wobec ministra finansów królestwa Danii Ulrika Rosborga?

Peleryny odsunęły się na bok, kiedy dwie białe dłonie bez wahania uniosły się ku górze. Podobnie uczyniła jego dłoń. Byli zgodni. Tym samym ich decyzja była wiążąca.

Teraz pora na Nielsa Oxena, dawnego komandosa cierpiącego na syndrom stresu pourazowego. Jak dotąd nie byli w stanie pozbyć się Oxena, za to jemu sprytnie udało się przycisnąć ich do ściany i od ponad roku trzymać w szachu.

A przy tym to człowiek wybitnie zdeterminowany i zdolny do bezinteresownego bohaterstwa, człowiek, z którego jako naród mogli być dumni. Postać budząca respekt.

Pod wieloma względami to, co miało spotkać Nielsa Oxena, zasmucało go o wiele bardziej niż sprawa ministra.

Rozdział 27.

Jakby stąpał po stłuczonym szkłe i rozżarzonych węglach. Jednocześnie. Tak mniej więcej się czuł w związku z czekającą go wyprawą do Kopenhagi. Nie było jednak szans na uniknięcie bolesnego spotkania. Musiał jechać.

Dzisiejsza noc i kolejne dwie doby dzieliły go od spaceru na stację w Brande, gdzie będzie musiał wsiąść do pociągu.

Wrona wierciła się w swoim pudełku. Właśnie ją nakarmił. Powoli wracała do sił. Podobnie jak on. Dolał sobie kawy. Było dość wcześnie. Słońce nie schowało się jeszcze za gałęziami, ale mimo to zaciągnął już roletę i w półmroku siedział przy stole w kuchni.

Przed sobą, na rozłożonej szmatce miał swojego neuhausena M/49 P210 SIG. Właśnie go wyczyścił i nasmarował. Kabura naramienna wisiała na górze w sypialni. Będzie musiał ją mieć na sobie w pociągu. Pod tą luźną koszulą w kratę nic nie będzie widać.

Pomyślał, że jeśli przyjdzie taki dzień, kiedy nie będzie musiał mieć broni w zasięgu ręki, to być może poczuje się tak jak ta wrona, kiedy po raz pierwszy wiatr dmuchnie jej pod skrzydła.

Tymczasem był ubezwłasnowolniony. Tak jak ona, musiał siedzieć w pudełku i pracować dla Rybaka. Ale kto wie, może któregoś dnia wszystko się zmieni. Na lepsze. Albo na gorsze.

Przypomniawszy sobie swoją ostatnią podróż pociągiem — z Kopenhagi do leżącego na skraju Rold Skov Skørping. Był pierwszy maja i pociąg był przerażająco zatłoczony. Sporo ludzi pijanych w sztok wymachiwało czerwonymi flagami.

Mr. White przez całą drogę leżał między jego nogami.

Dzięki temu było odrobinę łatwiej, obaj wzajemnie się wspierali.

Miał nadzieję, że tym razem nie będzie za dużego tłoku. Rybak kupił mu bilet na wczesne popołudnie, kiedy największy tłum powinien się już przewinać.

To będzie długi dzień. I wyjątkowo zabiegany. Miał mnóstwo spraw do załatwienia.

Będzie to również dzień bolesny. Musi zebrać w sobie wszystkie siły, aby jakoś go przetrwać.

Rozdział 28.

Nielsa Oxena nie można było nie doceniać. Choć według informacji cierpiał na zaawansowany syndrom pourazowy, aż nazbyt dosadnie pokazał im wszystkim, do czego jest zdolny w sytuacji podbramkowej. Osobiście darzył tego człowieka ogromnym szacunkiem, pod każdym względem, dlatego chciał sam pokierować operacją.

Najpierw jednak, jako wnioskujący, musiał ponownie przedstawić motywy. Inaczej niż w przypadku ministra sprawiedliwości, gdy nie był pewien stanowiska Północy, tym razem nie przewidywał problemów z osiągnięciem jednomyślności.

— Danehof przechodzi teraz do omawiania punktu dotyczącego dawnego komandosa Nielsa Oxena. Jak wiadomo, ten wniosek również wychodzi ode mnie. Podsumowanie sprawy przedstawia się następująco. Po pierwsze, wnioskuję o *ostateczne rozwiązanie* dla Nielsa Oxena. Oxen stanowi dla nas najwyższe zagrożenie, większe niż minister Rosborg. Oxen jest w posiadaniu archiwalnych materiałów, które ukradł z zamku Nørlund. W materiałach tych znajdują się między innymi nazwiska przedstawicieli trzech kręgów Północy. Te dokumenty muszą oczywiście wrócić na swoje miejsce. Fakt, że Oxen wie o ich istnieniu, nie miał jeszcze żadnych konsekwencji dla osób, które owe materiały kompromitują. Stąd możemy wnosić, że jak dotąd nie podzielił się z nikim swoją wiedzą. Muszę wam jednak przypomnieć, że w tym czasie dochodziło do kontaktów pomiędzy Vitusem Sanderem a inspektorem muzeum Bulbjergiem. Jak do tych kontaktów doszło oraz czy miały one jakikolwiek związek z Oxenem — tego nie wiemy, na

razie.

Mówił bez zaglądania do notatek. Wszystkie prezentowane tu scenariusze przeanalizował w głowie niezliczenie wiele razy.

— Po drugie, jak dotąd nie byliśmy w stanie ruszyć Nielsa Oxena. Wiemy ponad wszelką wątpliwość, że jest w posiadaniu nagrania z zamku Nørlund. Nagranie przedstawia ministra sprawiedliwości przed odrażającym aktem i w jego trakcie. Oxen zagroził upublicznieniem tych materiałów, gdy tylko się do niego zbliżymy. Zważywszy na punkt, który omówiliśmy przed chwilą i co do którego zdecydowaliśmy się na ostateczne rozwiązanie, mamy teraz swobodę działania względem Oxena. Punkty pierwszy i drugi porządku obrad są zatem nierozzerwalnie powiązane. Po trzecie, ostateczne rozwiązanie pozwoli nam wreszcie w pełni zrealizować nasz program przetasowań w kierownictwie wojska, gdyż wraz ze zniknięciem Oxena ucichną dotychczasowe głosy krytyki. Znamy tło historyczne sprawy. Oxen doczekał się powołania swojej komisji, lecz nie przyniosła mu zwycięstwa. Dotąd nie zabieraliśmy głosu, zdając sobie sprawę, że Oxen może nam przysporzyć problemów. Po jego wyeliminowaniu podobne wątpliwości znikną.

Skinieniem podziękował za uwagę, dając jednocześnie do zrozumienia, że to wszystko, co miał do powiedzenia. Teraz pora na komentarze.

— Południe?

— Zgadzam się. W pierwszej kolejności musimy oczywiście mieć Oxena żywego, aby uzyskać dostęp do naszych archiwaliów. Poza tym nie mam nic do dodania.

— Północ?

— Wyeliminujemy dwa duże zagrożenia dla naszej działalności. Do tego będziemy mogli zająć strategiczne

pozycje w kierownictwie armii. Mogę się jedynie pod tym podpisać.

— Znakomicie. Najwyższe zgromadzenie Danehofu niniejszym przystępuje do głosowania. Kto z obecnych w sali głosuje za uruchomieniem procedury *ostatecznego rozwiązania* wobec dawnego komandosa Nielsa Oxena?

Dłonie przemówiły, a jego nasza niespodziewana refleksja. Otóż decyzje, które dziś podjęli, były ważne i niezwykle trudne, a jednak nie poprzedziła ich długotrwała debata, tak jak się to zdarzało nawet z najdrobniejszymi punktami obrad. Najczęściej z tymi o charakterze politycznym.

Ponownie zabrał głos:

— Osobiście przejmę kierownictwo nad planowaniem i koordynacją realizacji dzisiejszych dwóch punktów. Południe odpowiada za dalsze badanie sprawy inspektora muzeum Bulbjerga. Procedurę związaną z ministrem Rosborgiem zasadniczo moglibyśmy uruchomić już teraz, ponieważ pozwoleń sobie nieco wyprzedzić rozwój wypadków i rozpocząłem przygotowania logistyczne. Musimy jednak poczekać, ponieważ procedura względem Oxena powinna ruszyć zaraz potem, aby zaalarmowany doniesieniami o śmierci ministra, nie zaszył się gdzieś na końcu świata. Jak wam wiadomo, przez cały czas prowadzimy działania mające na celu zlokalizowanie Nielsa Oxena. Bez powodzenia. Uważamy za najbardziej prawdopodobne, że wciąż przebywa na terenie Danii. Teraz będziemy mogli zintensyfikować poszukiwania. Jestem przekonany, że wkrótce będziemy mogli uderzyć.

Rozdział 29.

Ostatnie dni upłynęły jej na bezcelowej krzątaninie.

Pogrzeb Bulbjerga przebiegł bez zakłóceń.

Wyprawa na pogrzeb do Nyborga nie przyniosła jej absolutnie nic nowego. Miejscowa policja czegoś szukała. Tyle była w stanie wywnioskować. W przeciwnym wypadku nie monitorowaliby uroczystości. Ale czego szukali? I czy rzeczywiście ją to interesowało?

Prawda była taka, że cały ten czas był jedynie czekaniem na jutrzejszy dzień.

Czwarty sierpnia można by nazwać „oknem Oxena”, oczywiście o ile miała rację. To ten jeden dzień z trzystu sześćdziesięciu pięciu dni w roku, kiedy pokiereszowany przez życie weteran wojenny zdejmuje skobel swojej kryjówki i wyściubia nos na zewnątrz, pokazując się światu, z którym nie chce mieć już nic wspólnego. I za każdym razem pokazuje się tylko na krótką chwilę.

Jeśli uda jej się nawiązać kontakt, jeśli zdoła przekonać Oxena, aby się ujawnił, będzie to jej osobiste zwycięstwo nad Axelem Mossmanem. Zwycięstwo, które jednak dla szefa PET okaże się bezużyteczne, jeśli w ostatecznym rozrachunku sprowadzi na Oxena nowe kłopoty.

On sobie na to nie zasłużył. Zdecydowanie nie. Najbardziej zasługiwał na pomocną dłoń.

Była szesnasta. Przez cały dzień nie zrobiła nic sensownego. Wyłączyła komputer, wzięła torebkę i wyszła z biura.

Na dole przy schodach zobaczyła Mossmana. Już dawno postanowiła, że nie będzie mu mówić o możliwym „oknie Oxena”. Niels powinien mieć czas i spokój, by się

zastanowić, czego chce.

Mossman był teraz całkiem blisko. Ukłoniła się i powiedziała „cześć”, gdy się mijali. Mossman tylko lekko się odkłonił.

Nie było już między nimi tej bliskości co dawniej. Stwierdził to już podczas niedawnego spotkania u niego w biurze i teraz jedynie mógł to potwierdzić. Ich kontakty ograniczały się do skinienia i krótkiego „cześć” na schodach.

Przez moment miał ochotę złapać ją za ramię i wprost skonfrontować ją z tym, czego się dowiedział. Bezwzględnie wykrzyknąć prosto w tę jej wyszczekaną japę: „Po kiego diabła jechałaś na pogrzeb inspektora muzeum w Nyborgu?”.

Chciałby zobaczyć jej reakcję i usłyszeć, jak się tłumaczy. Uznał jednak, że mądrzej będzie tego nie robić. Gdy jeden z jego ludzi wysłanych tamtego dnia na cmentarz przekazał mu, że ona też tam jest, doznał prawdziwego wstrząsu.

Musiał jednak być cierpliwy. Od tego zależy jego zwycięstwo w tej grze. Odtąd Margrethe nie zrobi ani kroku bez jego wiedzy.

Rozdział 30.

Za oknami pociągu przemykał bukowy las porastający południowy brzeg fiordu Vejle, a on wciąż szukał odpowiedniego dla siebie miejsca. Najchętniej usiadłby na jednym z tych składanych siedzeń w korytarzu, ale w Vejle musiał się przesiąść na intercity, a w nim takich miejsc nie było.

We Fredericii do pociągu wlała się fala podróżnych. Większość miała miejscówki, podobnie jak on. Tylko że on nie chciał siedzieć na wyznaczonym fotelu, w jednym rzędzie z trzema innymi pasażerami, którzy niemal siedzieli sobie na kolanach.

W końcu w drugim wagonie znalazł wolne miejsce przy oknie. Na wprost niego siedział pryszczaty nastolatek z nawoskowanymi włosami i wściekłym rapem w uszach. Muzyka była tak głośna, że słyszał dokładnie każdy jeden bluzg, ale wolał już to niż przedział pełen ludzi.

Pociąg przeciął niebieską wstążkę wartkiego nurtu Małego Bełtu. Patrzył pustym wzrokiem na pola i płoty, gdy powoli zbliżali się do następnej stacji: Odense. Nie potrafił się cieszyć tą podróżą. Myśl o tym, co go czeka, wyciągała z niego całą energię.

Będzie musiał odbyć coroczną drogę krzyżową własnych wspomnień.

Zaraz po dotarciu na kopenhaski dworzec główny pójdzie do dawnej twierdzy Kastellet oddać hołd poległym kolegom. Potem pojedzie się przekonać, czy uda mu się dziś zobaczyć Magnusa.

Będzie czekał tak długo, jak będzie trzeba. Wystarczy mu choćby fragment twarzy. Mignięcie zielonych oczu. Sama

sylwetka. Zobaczyć go i sprawdzić, co się zmieniło przez ten rok. Co jego potomstwu przyniósł kolejny słój życia. Tylko chwila, by móc zobaczyć, jak się porusza. Może nawet usłyszeć jego głos?

Ostatnim punktem kopenhaskiej wyprawy będzie wizyta w Christianii po nowy zapas „medycznej marihuany”.

W drodze powrotnej zamierzał wysiąść w Slagelse i taksówką pojechać do Høng i kościoła Finderup. W kieszeni miał znicz dla Bossego. Poprosił Rybaka, żeby mu go kupił w kwiaciarni w Brande.

Kiedy spotka się z Bossem, nie będzie się śpieszył. Taksówkarza poprosi, by zaczekał.

Na koniec wsiądzie w pociąg do Vejle i dalej do Brande. Potem weźmie taksówkę do miejsca, w którym zaczyna się zwirowa droga do stawów Rybaka.

Kiedy to będzie — nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że znów sporo czasu minie, nim się otrząśnie po tym wszystkim. Każdą jego myśl będzie wypełniać Magnus. Tak jest za każdym razem.

Na peronie w Odense czekało sporo ludzi. Gdy pociąg całkiem się zatrzymał, wszyscy rzucili się do drzwi. Jakiś mężczyzna po czterdziestce w dżinsach i jasnoniebieskiej koszuli z krótkim rękawem niepewnie zajął miejsce obok niego. Miał ze sobą laptopa, którego od razu położył na stoliku i włączył. Chwilę później w skupieniu coś na nim pisał.

Starsza kobieta usiadła obok chłopaka o bębenkach ze stali. Teraz spał i na szczęście uciszył rapera w słuchawkach.

Cztery miejsca naprzeciwko nich też zostały zajęte. Wyprostował się nieco na swoim miejscu. Wyglądało na to, że cały przedział jest zajęty. Zrezygnowany, ponownie osunął się w fotelu i lekko skulił. Flanelowa koszula w

czerwono-czarną kratkę dobrze maskowała kaburę z neuhausenem. Magazynek był pełny, czyli miał osiem strzałów. Zapasowej amunicji przy sobie nie miał.

Jego stary Seal 2000, nóż myśliwski z czasów służby, spoczywał pewnie w skórzanej pochwie przyklejonej taśmą do wewnętrznej strony lewej łydki.

Za oknem wciąż migają żółto-zielone obrazki pól pszenicy porozdzielanych zielonymi żywopłotami. Sielski pejzaż dostatku i spokoju. Kraina od pokoleń nietknięta wojną. Nie było tu ruin. Nie było brutalnie wypalonych pustkowi pokrytych czarnym popiołem. Nie było ciągnących się po horyzont sznurów ludzi uciekających przed zagładą. Niebo było błękitne, choć przesłonięte białą firanką chmur.

Pociąg był pełny. Mnóstwo obcych osób na niewielkiej przestrzeni. Wiele by dał, by poczuć mokry nos Mr. White'a we wnętrzu swojej dłoni.

Wstał, wyszedł z przedziału i zaczął niespokojnie chodzić tam i z powrotem przez wszystkie wagony.

Na peron wtoczyli się z dziesięciominutowym opóźnieniem. Główny dworzec w Kopenhadze był tygłem, w którym kotłowało się całe to życie i cały chaos, przed którym schronił się w domu u Rybaka i w milczącym towarzystwie jego ryb.

Wszędzie ruch, wszędzie ścisk. Kolejka do wyjścia z pociągu, kolejka na peronie, kolejka do ruchomych schodów wiodących do ogromnego budynku przypominającego halę fabryczną, na której wykafelkowaną podłogę rzucono przypadkowe sklepy i budki.

Wszystko i wszyscy wchodzili sobie w drogę. Jedni krokiem szybkim i zdecydowanym. Inni powoli i rozglądając się bezradnie. Tutejsi i przyjezdni wymieszani w jednym kotle.

Stał, zbierając w sobie siły. W końcu się zdecydował. W całodobowym sklepie kupił dużą kanapkę i litr mleka, po

czym ruszył w kierunku wyjścia od strony Tivoli.

Przed dworcem w długim rzędzie stały taksówki. Wsiadł do najbliższej i znów poczuł się bezpiecznie.

— Na Esplanaden.

— W którym miejscu Esplanaden? — Kierowca spojrzał na niego pytająco.

— Do Kastellet. Jak najbliżej Kastellet.

Samochód spokojnie włączył się do ruchu na Bernstorffsgade. Wolałby tę drogę pokonać pieszo, gdyby nie wiodła przez samo centrum stolicy.

Było zbyt dużo ludzi, zbyt wiele mogło się wydarzyć z tego, co nieprzewidziane, i zbyt trudno byłoby mu zabezpieczać sobie tyły. Mimo że przed chwilą dosłownie wyłonił się z niewidzialnej masy przyjezdnych, musiał zachować czujność.

Włożył ciemne okulary, a daszek znoszonej czapki w kolorze khaki nasunął niżej na czoło. Nie miał nawet pomysłu na pierwszy pieszy odcinek od Kastellet do Kongens Nytorv.

Kierowca, śniady chłopak o rysach mogących wskazywać na afgański rodowód, jechał trasą obok Muzeum Narodowego, Stormbroen, Børsgade i Holmens Bro.

Nie było wielkiej różnicy pomiędzy podróżowaniem pociągiem a taksówką. W obu miejscach był obserwatorem, który ze środka wygląda na zewnątrz. Tylko kulisy były różne.

Zastanawiał się, czy nie zajrzeć do swojego dawnego królestwa w piwnicy w Nordvest. Poczuć na własnym ciele różnicę. Przekonać samego siebie, że mimo wszystko niektóre rzeczy w jego życiu uległy zmianie. Teraz, gdy siedział w taksówce i spoglądał na tłum na zewnątrz, wiedział już, że z tym będzie musiał poczekać do następnego razu.

Jechali wzdłuż Holmens Kanal i minęli Teatr Królewski.

Potem zaczęła się Bredgade i prosty odcinek finiszu. Kiedy mijali Amalienborg, zerknął na plac zamkowy. Ciekawe, czy królowa jest w domu. Mógłby podjechać i się przywitać. Czy by go rozpoznała? Czy przypomniałaby sobie, o czym wtedy rozmawiali?

— Jesteśmy na miejscu. Będzie panu pasować, jeśli stanę tuż za skrzyżowaniem?

Zgodził się skinieniem głowy. Chwilę później kierowca skręcił w lewo, by wjechać w Esplanaden, i zatrzymał się przy krawężniku. Wręczył mu dwieście koron za tę chwilę swobody i wysiadł.

Przeszedł po skosie przez jezdnię i wszedł w pierwszą zwirową ścieżkę wiodącą do mostka przy głównej bramie Kastellet — Bramie Królewskiej. Postanowił iść od strony wybrzeża, więc ruszył pod górę w prawo. Natychmiast minął go biegacz, a chwilę później kolejny. Tak było za każdym razem. Fortyfikacja w kształcie gwiazdy z wysokimi wałami niczym magnes przyciągała miłośników joggingu.

Słońce na moment przebiło się przez chmury i rozświetliło ogromny, śnieżnobiały wycieczkowiec przy Toldboden. Wokół kręciły się małe łodzie pełne uzbrojonych w aparaty turystów, a kawałek dalej, na chodniku tuż przy samej wodzie, jak zawsze stał tłumek ludzi. Szedł dalej wałem, aż znalazł odpowiednie miejsce, gdzie usiadł na trawie, by zjeść obiad.

Nie powinno go dziwić, że Kopenhaga nadal roi się od turystów. Był dopiero początek sierpnia. To on w ostatnich latach stracił rachubę czasu. Kiedy człowiek nie musi planować letnich wakacji, by ganiać po świecie jak wszyscy inni, szybko przestaje mieć znaczenie, czy jest lipiec, czy wrzesień, czy wtorek, czy niedziela.

Ludzie, którzy go otaczali, i tamci, stojący przy brzegu, również byli turystami. Podziwiali Małą Syrenkę siedzącą na

kamieniu z udami pokrytymi grynszpanem.

Był głodny i migiem uwiął się z wielką kanapką. Popił litrem mleka.

Niedługo będzie szedł chodnikiem w Charlottenlund. Wakacje raczej się jeszcze nie skończyły. Miał nadzieję, że Magnus będzie w domu. Nadzieję i obawę...

Na drugim brzegu wyrastała wyspa Refshaleøen ze swoimi kominami, jakby ktoś wetknął w piasek garść płonących papierosów.

Próbował odsunąć od siebie myśli o Magnusie. Wstał i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę miejsca położonego poniżej, za jego plecami. Memoriał ku czci żołnierzy uczestniczących w zagranicznych misjach wojskowych. Pierwszy przystanek. Zszedł w dół przy Norgespporten.

Za każdym razem, gdy stąpał po tych kamieniach, czuł to samo — odrazę na myśl o wszystkich złamanych życiorysach i tych, które urwały się o wiele za wcześnie.

Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek doznał dumy, o której mówili niektórzy.

Kiedy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę czujesz, jak ziemia pali ci się pod tyłkiem w jakiejś zakurzonej dziurze gdzieś w środku pustynnej prowincji Helman w Afganistanie, i wiesz doskonale, że wokół czają się niewidzialni talibowie, czekając na okazję, by odstrzelić ci łeb albo urwać nogi miną pułapką, to górnolotne odczucia typu duma są ostatnim, co człowieka nachodzi.

„Wejść, wyjść, wrócić do domu”.

Oto, o co w tym wszystkim chodzi.

Podszedł bliżej. Sam pomnik był piękny, co do tego nie miał wątpliwości. Oddalony nieco od czerwonych zabudowań fortecy, sięgał cienistych terenów pod wysokim wałem bastionu Princessens. Nie był pompatyczny — wprost przeciwnie. Surowy i bardzo skandynawski. Dlatego go lubił.

Składał się z trzech otwartych przestrzeni, których granice wytyczały granitowe mury połączone kolumnami świetlnymi. Przystanął. Pierwszy ogrodzony z jednej strony plac był miejscem, w którym odbywały się najważniejsze uroczystości. W granicy wyryto napis: „Czas — miejsce — człowiek”. Również inskrypcja była lakoniczna. Wspominała człowieka. Słusznie. To pojedynczy ludzie ponosili ofiarę.

Pomnik odsłonięto przed zaledwie kilku laty, w ponury, deszczowy dzień. Fakt, że zrobiono go tak późno, wydawał mu się niestosowny. Nie pojmował, dlaczego musiało minąć sześćdziesiąt lat duńskich misji zagranicznych od Kaszmiru po Kongo i trzeba było wysłać na nie ponad sto tysięcy żołnierzy, z których niemal setka nigdy nie wróciła, zanim uznano za stosowne uczcić ich wkład pomnikiem.

Dobrze pamiętał okres, gdy media niespodziewanie zainteresowały szeroką opinię publiczną udziałem Duńczyków w zagranicznych operacjach wojskowych, a zwłaszcza weteranami wojennymi, wytworami tych operacji.

Politycy jak zwykle błyskawicznie poczuli świeże mięso i rozpoznali w nim możliwość podbicia słupków procentowych. I proszę — najpierw ustanowili narodowe święto flagi ku czci żołnierzy na misjach, potem opracowano oficjalną politykę wobec weteranów wojennych, ustanowiono kartę weterana, centrum weterana i postawiono pomnik w hołdzie poległym. Wszystko w ramach czystej politycznej rozgrywki przedwyborczej, która z czasem przestała budzić emocje, podobnie jak każdy nowo wykryty wirus grypy w końcu znika z pierwszych stron gazet.

Dopiero całkiem niedawno, po wieloletnich protestach samego środowiska weteranów, których z każdym rokiem przybywało, udało się zmusić władze do działań mniej nośnych medialnie i znacznej liczbie weteranów

umożliwiono dochodzenie odszkodowań za psychiczne szkody odniesione podczas misji.

Ustawa była jednak skonstruowana w sposób niedorzeczny i jeśli u członka misji stres pourazowy nie wystąpił w ciągu sześciu miesięcy od powrotu do kraju, to nie pozwalała uznać choroby zawodowej. Szkopuł w tym, że ta choroba bardzo często ujawniała się znacznie później. Dla polityków poprawienie tej wady w ustawie wiązało się jednak z większymi kosztami niż podniesienie flagi raz w roku.

Znów się zatrzymał. Zawsze przystawał w tym samym miejscu. To tu, na tym bruku, królowa wręczyła mu Krzyż Waleczności.

„Panie Oxen, jesteście pełni podziwu dla pańskich dokonań”, powiedziała między innymi. Odwrócił głowę i przez otwór w murze spojrzął na płomień po drugiej stronie.

To również robił za każdym razem. Nie wiedział, czy taki był zamysł, ale dla niego ten płomień był symbolem nadziei, która nigdy nie gaśnie.

Szerokim przejściem przedostał się do następnego placu, którego mur nosił nazwy wszystkich stref konfliktu i kataklizmów. Płonący tu ogień miał strzec tych, którzy przebywali na misjach w tym momencie.

Przeszedł do ostatniego placu otoczonego kilkoma granitowymi ścianami ustawionymi w otwarty okrąg. Ściany dawały schronienie i spokój, pozwalały zagłębić się we wspomnieniach. Usiadł na ławce na wprost ściany, na której jako numer osiem od dołu widniało nazwisko:

„Bo Hansen”.

Nie umiał przywyknąć, że tak go nazwano. Wydawało mu się to zbyt formalne, bo przecież to był Bosse. Beztrroski dzieciak z Høng, który nigdy nie miał zostać żołnierzem.

W dniu, w którym mieli lecieć na Bałkany, matka Bossego odciągnęła go na bok.

„Niels... będziesz uważał na naszego małego Bossego, prawda?” I on jej to obiecał. Lecz obietnicy nie dotrzymał.

Czwartego sierpnia 1995 roku stracili Bossego. Stał i machał błękitnym hełmem, by dać znać Chorwatom, że są złapanymi w potrzask żołnierzami ONZ. Lecz wśród Chorwatów znalazł się jeden, który miał to w dupie. I Bosse, który w ogóle nie nadawał się na żołnierza... był na to zbyt pogodny i za bardzo kochał życie.

Gdyby w porę dostrzegł, że Bosse wstaje i zdejmuje hełm, rzuciłby się na niego i go powstrzymał. Ale nie dostrzegł.

Jeśli w ogóle mógł powiedzieć, że miał przyjaciela z dzieciństwa, to był nim Bosse. Bo samo dzieciństwo pamiętał jedynie jako niekończące się pasmo przewodzek. Jakby byli rodziną nomadów, której życiem dyrygowali ojciec i jego nieustanne poszukiwanie coraz lepszej pracy w sprzedaży.

Høng było wyborem strategicznym. Blisko Slagelse, blisko miejsca, w którym krzyżowały się lokalne szlaki handlowe, i przede wszystkim z szybkim dostępem do drogi krajowej, arterii w życiu każdego sprzedawcy. Nie było jeszcze mostu nad Wielkim Bełtem, więc z Zelandii na Jutlandię kursowały promy — z północy z Kalundborga i z południa z Korsør.

Chodzili do jednej klasy tylko dwa lata, nim ojciec zarządził kolejną przeprowadzkę. Ale potem spotkali się z Bossem, kiedy obaj dostali powołanie do wojska, i od tamtej pory trzymali się razem bez względu na wszystko. Byli nierozzerwalnym duetem, w którym role były z góry ustalone — jeden był wesoły, drugi poważny, jeden mały, drugi duży. Bosse był dla niego młodszym bratem, którego nigdy nie miał.

Przesunął wzrokiem w prawo, gdzie na granitowej ścianie złowieszczo pozostawiono sporo miejsca dla kolejnych nazwisk. Znał kilku, którzy nie wrócili żywi z Afganistanu.

Kraju, który pochłonał tyle ofiar.

Przez jakiś czas siedział z zamkniętymi oczami i wystawiał twarz do słońca, a jego myśli przelatywały swobodnie raz po raz, niczym kule uderzając w granit na wprost niego. Gdyby tylko w porę dostrzegł, że Bosse zdejmuje hełm...

Potem wstał i opuścił bastion Princessens.

Musiał złapać kolejną taksówkę, by udać się w najbardziej wymagającą misję roku. Przekonać się, czy los będzie łaskaw pozwolić mu zerknąć na Magnusa.

Rozdział 31.

Przystanek na zdającej się nie mieć końca Teglgårdsvej znajdował się tuż przed Skovshoved Kirke. Pod samym kościołem stały trzy ławki, lekko odsunięte od chodnika, na małym brukowanym placu między rododendronami. Usiadł na środkowej. Tej, co zawsze.

Od domu leżącego niżej, po drugiej stronie drogi dzieliło go jakieś sto metrów. Poprosił taksówkarza, by wysadził go jeszcze niżej, żeby idąc w górę do przystanku, mógł minąć znajome zabudowania.

Szedł powoli, starając się zapamiętać każdy szczegół swoim niegdyś tak dobrze w tym wyćwiczonym wzrokiem.

Wiata z miejscem na dwa samochody, ale żadnego z nich nie było pod domem. Za to — i to było najważniejsze — na środku podjazdu, porzucony w pośpiechu i oparty na nóżce, stał chłopięcy rower. Tylko trzynastoletni dzieciak mógłby zrobić coś takiego. Ten drobiazg dodał mu sił, a jednocześnie obudził w nim lęk.

Dopiero co minął szkołę. Mieściła się kawałek niżej, przy drodze dochodzącej do Teglgårdsvej, niemal na wprost niego. Budynek wydawał się opuszczony. Dzieci wrócą do niego dopiero w przyszłym tygodniu.

Było duże prawdopodobieństwo, że Magnus jest w domu. I że jest w domu sam.

Przechodząc, zerknął na skrzynkę na listy. A tam czekała go niespodzianka. Nazwisko panięskie Birgitte, do którego wróciła, gdy odeszła od Oxena, teraz zastąpiło nazwisko Engström. „Birgitte i Lars Engström” widniało na skrzynce. Imię Larsa widział na niej już poprzednim razem. Ów Lars mógł być zarówno Duńczykiem, jak i Szwedem. Choć to bez

znaczenia. Na samej górze było napisane po prostu „Magnus”. Czy on wciąż nazywał się Oxen? Pewnie tak. Magnus to po łacinie „wielki”. Magnus Oxen — najpiękniejsze imię na świecie.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga. Odchylił się na ławce, rozluźnił ręce i nogi i pogрузzył się w swoim stanie wyczekiwania. Potrafił czekać kilka godzin i potrafił czekać wiele dni i nocy bez przerwy. Po prostu czekać. Jeść, wypróżniać się i czekać. Na kamieniu. Na pięćdziesięciu centymetrach kwadratowych żwiru. Na półce skalnej. Na skrawku trawy. Wszystko było kwestią mentalnego treningu i fizjologii.

Było sierpniowe popołudnie i na ulicy nie było wielkiego ruchu. Mijały go głównie dzieci na rowerach. Z czasem zaludniły się pozostałe ławki — czworo staruszków i młoda matka z dzieckiem w wózku. Potem przyjechał autobus i znów został sam.

Chmury zbiły się w całość i zmieniły w białą kołdrę odgradzającą słońce, zupełnie jak na niebie nad Fionią, które obserwował wcześniej, siedząc w pełnym ludzi pociągu. O wiele lepiej siedziało mu się na tej ławce.

Przez niemal półtorej godziny wokół pomalowanej na żółto willi nie widać było żadnych oznak życia. Potem otwarła się furtka ogrodu. Najpierw pokazał się mały pies, a potem duży chłopiec.

To on. Jego chłopak. Jego Magnus. Mały „wielki” Magnus. Pies szarpał smycz, a chłopiec po skosie przeszedł przez ulicę i skierował się chodnikiem w górę drogi.

Serce zaczęło mu bić szybciej. Za niecałą minutę Magnus przejdzie tuż obok niego. Nasunął daszek czapki aż na brwi i w skupieniu zza okularów obserwował zbliżającą się postać. Sześćdziesiąt metrów, pięćdziesiąt, czterdzieści.

Magnus wyrósł od ostatniego razu. Zrobił się wysoki i

kościasty, ale nie miał tych nieporadnych, kanciastych ruchów, które często cechują chłopców w jego wieku. Stawiał nogi pewnie i z wdziękiem. Miał na sobie czerwoną piłkarską koszulkę, białe szorty i białe sportowe buty.

Trzydzieści metrów, dwadzieścia, dziesięć...

Pies biały, w czarne łaty — chyba jakiś terier — dalej szarpał smycz. Podbiegł do ławki i zaczął wachać jego kolano. Magnus na ułamek sekundy zatrzymał się na chodniku trzy metry od niego.

Zamarł z wyprostowanymi nogami założonymi jedna na drugą. Przeszły go ciarki. Nagle wszystko stało się niemożliwie intensywne. Chłopiec, pies, on sam. Świat stanął w miejscu. Jedyny ruch odbywał się w jego żyłach, które pulsując boleśnie, uciskały każdą komórkę jego ciała.

— Hej, Speedy, chodź tu i zostaw pana w spokoju!

Głos dobiegał go z oddali. Pies się opierał. Serce tłukło się o sklepienie klatki piersiowej. Skupiał wzrok na delikatnej twarzy o jasnych, zielonych oczach, aż zakręciło mu się w głowie.

Magnus był opalony, a we włosach, jak zawsze latem, miał jasne refleksy. Jego twarz właśnie nabierała wyrazu. Nie był już małym chłopcem, ale nie był jeszcze dużym chłopakiem. Był w trakcie przemiany.

Siedział na ławce trawiony wewnętrznym ogniem, a mózg wysyłał do mięśni impulsy, by wstać i wziąć w ramiona to dziecko, które przed nim stoi. Objąć je i przycisnąć do siebie, mocno, jak najmocniej, wciągnąć w nozdrza jego zapach i nigdy więcej go nie wypuścić. Zamarł w bezruchu...

Pies w końcu posłuchał polecenia.

— Przepraszam — powiedział Magnus z uśmiechem.

Pokiwał mechanicznie głową.

Chłopiec i pies poszli dalej i po chwili skręcili w lewo.

Wziął kilka głębokich wdechów. Aby ochłonać — i móc się

ucieszyć. Zawroty głowy minęły od razu i puls też się uspokoił.

Czerwona koszulka piłkarska zniknęła za rogami kościoła.

Od lat nie miał go tak blisko siebie. Fizycznie blisko, lecz czuł, jakby dzielił ich ocean. Był z siebie dumny, że się nie ujawnił. To byłoby kompletnie nieodpowiedzialne i niewybaczalne wobec Magnusa.

Ogień, który strzegł żołnierzy na misjach i na który zawsze spoglądał przez dziurę w granitowej ścianie... Czy naprawdę dawał nadzieję, że któregoś dnia będzie mógł jakby nigdy nic wziąć Magnusa za rękę?

A może, gdy przyjdzie dzień, w którym on sam będzie na to gotów, nie będzie już żadnego chłopca, którego można będzie wziąć za rękę?

Został na swojej ławce, licząc, że Magnus wróci tą samą drogą i raz jeszcze będzie mógł mu się przyjrzeć z bliska. Ale nie wrócił.

Pół godziny później zobaczył, jak pies i chłopiec idą drugą stroną Teglgårdsvej i znikają za furtką przy domu.

Koniec widzenia.

Nie mógł liczyć, że Magnus znów wyjdzie z domu. Pies już był na spacerze. Jedyne, co się teraz może wydarzyć, to powrót do domu Birgitte i pana Engströma.

Wstał i ruszył w dół drogi. Chciał się przejść. Rozjaśnić myśli, jakoś się pozbierać, odzyskać równowagę, nim znów będzie musiał dać się na godzinę zamknąć w wypełnionym po brzegi przedziale pociągu do Slagelse.

Z początku szedł wolno, ciężko stawiając nogi. Potem przyśpieszył i każdy kolejny krok był lżejszy.

Magnus był udanym dzieckiem. Kto wie, może nawet by go poznał, gdyby zdjął czapkę i okulary? Po tych ponad trzech, prawie czterech latach? Czterech ważnych latach w jego rozwoju. Ciekawe, czy czasem o nim myśli, czy tęskni za

nim, czy o niego pyta, rozmawia o nim?

Zadaje nedorzeczne pytania. Dlatego pozostają bez odpowiedzi.

Ogień czuwania... może czuwał i nad nim, nad nim i Magnusem? Czuwał, nim nadejdą dla nich lepsze czasy.

Rozdział 32.

Kościół w Finderup leżał rzut kamieniem od Høng, na małym, okrągłym pagórku pośród płaskiego poza tym krajobrazu z falującymi łąkami zbóż. Brukowany parking znajdował się na zboczu wzniesienia i wiódł do samego wejścia.

Kierująca taksówką kobieta w średnim wieku, którą złapał pod stacją w Slagelse, ucieszyła się na wieść, że ma na niego zaczekać.

Woreczek z ziołem wcisnął do dużej kieszeni na nogawce bojówek. Do Christianii wpadł jak po ogień. Błyskawicznie zrobił zakupy przy Pusher Street i już go nie było. Za dużo ludzi. Pozostał mu już tylko ten ostatni punkt dzisiejszej wyprawy.

Był niemal wieczór. Doskonała pora. Większość ludzi była w domach i siadała do kolacji. Przy furtce przystanął i obejrzał się za siebie. Na parkingu stał tylko jeden samochód, żółte kombi na żółtych blachach. Jego pani, taksówkarka, czytała gazetę.

Wszędzie było stąd dwa kilometry, licząc od stóp pagórka, a kierunki wskazywały znaki: dwa kilometry do Løve, dwa do Tjørnelinde i dwa do Høng. Ale niemal dwa tysiące kilometrów do stojącej w ogniu Krajiny, gdzie Bosse zapłacił życiem za to, że dawni sąsiedzi nagle zapalali do siebie nienawiścią.

Otworzył furtkę i wszedł na cmentarz. Znał drogę. Prosto, obejść kościół i dalej, do przejścia w pobielonym murze kościelnym, a tam schodami w dół. Kościół w Finderup dysponował dobrze zagospodarowanym terenem z miejscami pochówku również poza swoimi murami — wzdłuż

jednej ściany i za budynkiem. To tam, przy jednym z wysokich żywopłotów, niedaleko zagajnika tui, spoczywał Bosse.

Kiedy stanął przed jego grobem, zrobiło mu się ciepło na sercu, a wzruszenie ścisnęło mu gardło.

Grób był tak samo szczelnie pokryty kwiatami i wieńcami jak w zeszłych latach. Już za samo to należały się Bossemu wielkie brawa. Był człowiekiem, który tak mocno odcisnął swój ślad na życiu innych ludzi, że tyle lat po śmierci wciąż o nim pamiętano.

Wśród wiązanek dostrzegł wiele wyrazów sympatii od dawnych kolegów. Rozpoznał sporo imion na wstęgach. Do tego mnóstwo kwiatów bez nadawcy.

Rodzice Bossego przyjdą dziś na cmentarz raz jeszcze, wieczorem, gdy zjedzą kolację w małym domku z czerwonej cegły w Høng.

Dwa razy natknął się na nich w tym miejscu i przyglądał im się ukradkiem. Chcieli zobaczyć, ile osób w ciągu dnia przyszło wspominać ich syna. Stali długo przed jego grobem, objęci i milczący. A potem, wciąż bez słowa, opuścili cmentarz, trzymając się za ręce.

Opiekun cmentarza wyłonił się z jednej z bocznych alejek i szedł w jego stronę, pchając wyładowaną po brzegi taczkę. Mężczyzna, który musiał się już zbliżyć do emerytury, przystanął, kiedy się z nim zrównał.

— Ależ tu kwiatów, wieńców i zniczy. Zawsze tak jest. Rok w rok — zagadnął grabarz i westchnął. — Znał go pan?

Oxen potwierdził skinieniem.

— Był moim towarzyszem.

— Straszne... Taki młody... Wojna to prawdziwe gównno, prawda?

— Prawda. Straszne gównno.

Grabarz, który najwyraźniej nabawił się letniego

przeziębienia, wydmuchał nos w bawełnianą chusteczkę, pokręcił głową, poklepał go lekko po ramieniu, po czym chwycił rączki taczki i ruszył dalej.

Gdyby tylko w porę dostrzegł, że Bosse wstaje i wymachuje tym głupim hełmem. Wtedy mógłby dotrzymać słowa i na niego uważać.

Bosse zapłacił życiem za swoje radosne szaleństwo. W dodatku wkrótce po tym było już po wszystkim i podpisano pokój w Dayton.

Ich grupa nie była liczna i na długo przed planowaną wielką ofensywą Chorwatów powinni byli zostać wycofani z tamtych terenów. Fakt, że nie zostali, był niewybaczalnym błędem dowództwa, który kosztował życie Bossego. Nikt jednak nigdy się do tego błędu nie przyznał, bo na szczycie wojskowej hierarchii wszyscy się wzajemnie kryją.

Komisja nie dopatrzyła się żadnych uchybień. Co w sumie go nie zaskoczyło. Spodziewał się takiego wyniku. Dla niego liczyło się, że zrobił wszystko co mógł, by wskazano odpowiedzialnych za śmierć Bossego i faktycznie pociągnięto ich do odpowiedzialności.

— Witaj, Niels...

Kroki na żwirze usłyszał w tej samej sekundzie co głos za swoimi plecami. Ręka błyskawicznie znalazła się pod koszulą w poszukiwaniu kabury.

— Daj spokój, nie mam broni. Spokojnie, spokojnie...

Rozpoznał głos, nim zdążył się obejrzeć. Ale teraz również ją widział. Stali kilka metrów od siebie. Wyszła zza tui, za którymi się ukrywała.

Margrethe Franck... Minał jakiś rok. Nie był w stanie wydusić z siebie nic sensownego, więc tylko skinął głową. Chciał się przy tym uśmiechnąć, ale nie wiedział, na ile mu się to udało.

— Minęło sporo czasu... — Wzrok miała poważny, ale

przynajmniej się uśmiechała.

Znów skinął głową.

— U ciebie wszystko w porządku?

Skinienie.

— Szukałam cię przez cały ten czas.

Skinienie.

— Niels. Gdzie się podziewałeś?

Wzruszył ramionami.

— A... tu i tam...

— Hm.

— Czy ty... to znaczy... skąd... Czatowałaś tu cały dzień?

— Żebyś wiedział. Jak powiedziałam, ani na moment nie przestałam cię szukać. Szukałam chyba wszędzie. Rozmawiałam z wszystkimi, którzy cię znają, ale bez rezultatów. I nagle twojej siostrze przypomniało się, że zawsze robiłaś sobie wolne w rocznicę śmierci Bossego. A potem natknęłam się na pewien szczegół. Co roku pięć zniczy... dwa od rodziny, jeden od znajomych i jeden od dawnej dziewczyny. Piąty znicz. Rok w rok. To od ciebie, prawda?

Pokiwał głową, wyjął znicz z kieszeni kurtki i pokazał jej.

— Tak. To ode mnie.

— Pomyślałam więc, że skoro nie umiem cię znaleźć, to muszę poczekać, aż sam do mnie przyjdiesz. Dziś była na to jedyna szansa. Dziś, czwartego sierpnia.

Mówiąc to, zbliżyła się do niego o kilka kroków. Stał odwrócony plecami do cmentarnego muru, a raczej do grobu Bossego. Mógł się cofnąć w stronę grobu, odsunąć na bok albo zostać w miejscu. Stał w miejscu. Ostrożnie zrobiła jeszcze jeden krok w jego kierunku.

Nie była taka blada jak ostatnio. Jej twarz miała złocisty odcień lata. Włosy też miała inne. Za to wąż dalej tkwił w jej uchu. Wyciągnęła rękę i przesunęła dłonią w górę i dół jego

ramienia.

— Cieszę się, że znów cię widzę — powiedziały jej czerwone usta.

Nie wiedział, co powiedzieć. Było dokładnie tak jak za pierwszym razem, kiedy w środku lasu Rold Skov przyszła po niego policja. Wciąż z nikiem nie rozmawiał. Czasem zamienił parę słów po angielsku z Rybakiem.

Nie był już nawet Nielsem. Był Adrianem Dragosem. Rumunem, który pojawił się znikąd w mroźną noc sylwestrową. Od tamtego przyjęcia na komendzie w Aalborgu, z którego uciekł w popłochu, ani razu nie rozmawiał z nikiem po duńsku.

Z jakiegoś zakamarka pamięci wydobyl krótkie „wzajemnie” i wydusił je z siebie. A przecież było to grube niedopowiedzenie. Bo myślał o niej wielokrotnie, w dzień i noc.

— Mogę zapytać... gdzie mieszkasz? Czym się zajmujesz?
Wzruszył ramionami.

— Mossman cię przysłał?

Pytanie zabrzmiało ostrzej, niż zamierzał.

Widziała, jak niemal skanuje ją wzrokiem spod daszka wyświechtanej wojskowej czapki. Był czujny. Wciąż. Zawsze. Niels Oxen nie opuszczał gardy ani na moment.

Mossman cię przysłał? Jego głos był ostry i nieufny. Znak rozpoznawczy walecznego komandosa: przeklęta pourazowa nieufność wobec wszystkiego i wszystkich.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się z rezygnacją.

— Niels do cholery, jesteśmy przyjaciółmi. To ja, twoja partnerka Margrethe Franck. Przecież dobrze się razem spisaliśmy, nie?

Znów pokiwał głową. Jeśli jeszcze raz zobaczy to głupie milczące kiwnięcie głową, kopnie go, aż polecą na dach kościoła. Swoją sztuczną nogą.

— To prawda. To Mossman kazał mi cię odnaleźć.

Wyczuła, że natychmiast zaczął wzrokiem przeczesywać otoczenie, więc natychmiast dodała:

— Ale spokojnie. Nie wie, że tu jestem. Mossman wie tylko, że *nie* potrafię cię znaleźć — i że staram się wyłącznie dlatego, że dał mi takie polecenie.

— Czego ode mnie chce?

Pytanie wciąż brzmiało jak strzał ostrą amunicją. Ale może Niels Oxen nie jest w stanie nad tym zapanować. Taki po prostu jest. Albo raczej taki się stał.

Przytrzymał ją wzrokiem. Był opalony, więc cokolwiek robił, musiał dużo przebywać na świeżym powietrzu. Policzki i podbródek porastały rzadkie kępki zarostu i dalej nosił mały kucyk, wystający znad kołnierzyka.

Innymi słowy, wyglądał tak, jak wtedy, gdy go zobaczyła po raz pierwszy, ale rysy miał łagodniejsze i policzki pełniejsze.

Stąd nabrała przekonania, że wygląda, jakby był w lepszej kondycji fizycznej niż ostatnio. Obserwując go, gdy szedł cmentarną alejką, stwierdziła, że również jego krok stał się bardziej energiczny i sprężysty.

— Wszystko ci opowiem. Ale może najpierw ty mi opowiesz... Gdzie się podziewałeś i co robiłeś?

Widziała, że się waha.

— Lepiej, żebyś nie wiedziała.

— Nie bądź taki.

— No dobra... Jeździłem trochę... po kraju. Spałem gdzie popadnie. Od nowego roku jestem w jednym miejscu.

Zamilkł, jakby uznał, że dość wyczerpująco odpowiedział na jej pytanie.

— Rozumiem. Ale gdzie?

— Na Jutlandii.

— Jutlandia jest duża.

— Więcej nie powiem.

— Hm. Wyglądasz dobrze. Masz wikt i opierunek?

— Chyba można to tak nazwać.

— Niels, proszę, powiedz mi, co robisz?

Znów zawahał się na moment.

— Ja... pracuję. Różne prace leśne. Ścinam drzewa, tnę na kawałki.

— I wszystko *jest* w porządku?

Nie odpowiedział wprost.

— A co to znaczy, że jest w porządku, co, Margrethe Franck? U ciebie *wszystko* w porządku?

— Uhm. U mnie w porządku. Mam tylko nadzieję... to znaczy myślałam tylko... bardzo chciałam, żebyś poczuł się lepiej.

— Czego chce ode mnie Mossman?

Nie dał się zwieść z tropu.

— Cóż, w zasadzie nie ma za dużo do opowiadania. Mossman nie jest już tak wylewny jak dawniej. W każdym razie nie wobec mnie. Lecz zaraz po twoim zniknięciu poprosił mnie, żebym przeczesała kraj wzdłuż i wszerz i cię znalazła. Ale, jak powiedziałam, nie udało mi się. Czas mijał, przydzielono mnie do innych zadań. Dziś mam funkcję pomocniczą bardziej u dyrektora operacyjnego Ryttera niż Mossmana. Nie wiem, być może Mossman też skupił się na innych celach. Tak czy inaczej, w końcu przestał o ciebie pytać. Aż do niedawna, kiedy nagle zaczął naciskać bardziej niż kiedykolwiek. Próbuje udawać, że chodzi mu wciąż o to samo — o domknięcie tamtej sprawy. Ale moim zdaniem coś się zmieniło.

Celowo zrobiła dramatyczną pauzę. Szukała w jego twarzy jakiegokolwiek reakcji, lecz nie dostrzegła żadnej. Mówiła więc dalej.

— Jestem niemal pewna, że to ma związek z zabójstwem Maltego Bulbjerga.

Wciąż patrzył na nią całkiem spokojnie. Nawet na moment nie uciekł wzrokiem. Żadnego widocznego ruchu poza brwiami, które podjechały pod daszek czapki.

— Malte Bulbjerg?

Jego zdziwienie wydawało się szczere.

— Tak. Ten, który był inspektorem muzeum na zamku w Nyborgu. Ten, którego odwiedziliśmy. Znamca Danehofu.

— *Wiem*, kto to jest, ale co się z nim stało?

— Został zamordowany. Wszędzie o tym trąbią. Chcesz powiedzieć, że w ogóle nie czytasz gazet?

— Nie.

— To się stało całkiem niedawno. Zastrzelono go w środku nocy nigdzie indziej, jak w sali Danehofu. Strzał w czoło. I drugi w oko. Wygląda na najprawdziwszą egzekucję. Znalaziono przy nim ślady kokainy i okazuje się, że grał za duże pieniądze. Zakłady bukmacherskie, Lotto, tego typu rzeczy. Dziwna sprawa, naprawdę dziwna. Myślę, że miejscowa policja nie ma żadnych tropów.

— A co ja miałbym z tym mieć wspólnego?

— Nie mam pojęcia, do cholery! Ale może ty mógłbyś mi to powiedzieć? Może mógłbyś choć raz otworzyć gębę i powiedzieć coś *mnie*?

Wzruszył ramionami i pokręcił głową. Gdziekolwiek było to miejsce na Jutlandii, w którym żył i pracował, musiał to być prawdziwy koniec świata. Jego reakcja była szczera. Nie miał pojęcia o zabójstwie na zamku.

Miała mu jeszcze powiedzieć, że pogrzeb był ściśle monitorowany, ale dała sobie spokój.

Nie byli już partnerami. Sprawa w rzeczywistości przedstawiała się tak, że on od niej uciekł. Uciekł przed kolacją, która miała być podsumowaniem ich wspólnego śledztwa w atmosferze nieco bardziej przyjacielskiej niż ta, w jakiej zaczęli swoją współpracę. Powiedziała więc tylko

ściszonym głosem:

— To wszystko jest bardzo tajemnicze... Powiedz mi, dlaczego uciekłeś wtedy w Aalborgu?

Odwrócił od niej wzrok i zaczął rozglądać się po cmentarzu.

— To było dla mnie za dużo... Bøjlesen i jego pierdolenie. Miałem tam stać i słuchać pochwał człowieka, który zrobił wszystko, aby mnie zniszczyć? Miałem się na to zgodzić tylko dlatego, że był szefem policji w Aalborgu? I jeszcze Rytter i Mossman. Czy komukolwiek z tego towarzystwa zależało na wyjaśnieniu sprawy? Po prostu miałem dość.

Postanowiła nie dręczyć go dalej. Nie było sensu wbijać szpili komuś, kto ma w sobie więcej szpilek niż jeź.

— No dobrze. Ale teraz już wiesz — Mossman chce się z tobą spotkać. I on sam, choć niechętnie, powiedział, że mogę ci napomknąć o Bulbjergu, jeśli to w czymkolwiek pomoże.

— Mossman chce ode mnie tego samego co wcześniej.

Jego wzrok znów się uspokoił i ponownie spoczął na niej.

— To znaczy?

— Chce czegoś, co ja mam. A wie, że to mam, bo sam mu o tym szczegółowo opowiedziałem.

Zawahał się na moment.

— Niels, wiesz, że możesz na mnie polegać. Mam nadzieję, że to wiesz. Powiedz mi, co masz, a na czym jemu tak zależy?

— Nagranie, na którym widać, jak minister sprawiedliwości zajeżdża Virginiję Zakalskyte na śmierć.

— Jezu... Myślałam, że to nagranie to bluff. Naprawdę je masz?

Pokiwał głową.

— Jak u licha udało ci się je zdobyć?

— Jak śledziliśmy w Kopenhadze Pronkę i siostrę Virginii

Zakalskyte... W pewnym momencie Pronko poszedł na dworzec główny. Widziałem, jak oddaje do przechowalni w podziemiu plecak. Dostałem się do tego plecaka. Był w nim twardy dysk. Skopiowałem go. Było na nim nagranie, za pomocą którego szantażowali ministra. Takie rzeczy zawsze warto sobie skopiować.

— No tak. Teraz wszystko lepiej rozumiem.

Niels najwyraźniej rozgadał się po roku milczenia, bo nie musiała go już błagać, by mówił dalej.

— Nagranie zbrodni o podłożu seksualnym, której dopuścił się minister, to moje ubezpieczenie na życie. Raz w miesiącu muszę wykonać określoną czynność, by zapobiec automatycznemu wysłaniu nagrania do największych koncernów medialnych. I Danehof o tym wie, kimkolwiek są członkowie tej diabelskiej maszyny władzy. Dlatego jeszcze mnie nie sprzątnęli. Jeśli to zrobią, polegnie ich własny czarny koń, minister Ulrik Rosborg. Gdybym natomiast sam uległ pokusie ujawnienia nagrania, w sekundę będę trupem. Sama widziałaś, do czego są zdolni.

— Paragraf dwadzieścia dwa.

— Dla Danehofu największą katastrofą byłaby moja nagła śmierć.

— A największą katastrofą dla ciebie byłoby, jakby ta świnka minister kopnął w kalendarz.

— Dokładnie.

— Nadal uważasz, że Mossman jest jedną z mrocznych postaci Danehofu?

— Jeśli nawet nie jest jednym z nich, to moim zdaniem jest na ich usługach. Albo w jakikolwiek sposób jest *zmuszony* być na ich usługach. Ale nie, nie mogę tego dowieść. Wątpliwość rozstrzygam jednak na jego niekorzyść. Nigdy nie dostanie tego nagrania. Nigdy. Możesz mu to przekazać i powiedzieć, że życzę mu powodzenia.

— Tak zrobię. Na twoim miejscu postąpiłabym tak samo.

— Jakby nie wystarczyło, że człowiek musi stale oglądać się za siebie. Franck, oni mają ogromną władzę. Niewykluczone, że któregoś dnia mimo wszystko coś mi się stanie.

— Mam nadzieję, że nie. Naprawdę.

— Zakładam, że upewniłaś się, że nikt cię tu nie śledził.

— Tak. Jestem absolutnie pewna. Nikt nie wie, kiedy ani jak rozpracowuję twoją sprawę. Mossman oczywiście dostaje regularne raporty. Ale poza tym nikt. Wszystko trzymam u siebie w domu. W pudełku pod łóżkiem. — Wzmianki o łóżku pożałowała, gdy tylko to powiedziała. On jednak wyglądał na zbyt głęboko zamyślonego, by ją zauważyć.

— Mossman to i tak dużo.

— On nie wie, gdzie jestem i z kim rozmawiałam w ostatnim czasie. Nie dostał jeszcze mojego najnowszego raportu. Byłam u twojej siostry. I mamy. Jest w kiepskim stanie. Prawdopodobnie to już kwestia miesięcy. Wiedziałeś o tym?

Wzruszył ramionami.

— Aż tak dokładnie to nie. Ale wiem, w jakim to zmierza kierunku.

— Widziałeś się z nią?

— Dawno.

— Dlaczego?

— Po prostu. Co to, przesłuchanie?

— Sorry. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Może pojedziemy razem do Slagelse. Zjemy coś, pogadamy trochę. O jakichś lżejszych sprawach? Możesz się ze mną zabrać. Co ty na to?

Podniósł rękę, by ją powstrzymać, zanim jeszcze skończyła mówić.

— Muszę zdążyć na pociąg. Taksówka na mnie czeka. Ale dzięki. Może innym razem.

— Nie będzie żadnego innego razu, prawda, Niels?

Wzruszył ramionami — a ona musiała się powstrzymać, by jednak go nie wykopać na dach kościoła.

Zamiast tego położyła mu tylko dłoń na ramieniu.

— Obiecuj mi przynajmniej, że będziesz na siebie uważał, gdziekolwiek jesteś, okej?

Znów pokiwał głową. Wyglądało, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjęła swoją wizytówkę i napisała na odwrocie swój adres.

— Trzymaj. Moje zamiary. Zadzwoń albo wpadnij, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Mieszkam na Østerbro. Można się jakoś skontaktować z tobą?

— Nie. Ale dzięki, Franck. To miło z twojej strony.

To by było na tyle. Dzielny weteran wojenny był oszczędny w słowach. Schował wizytówkę do kieszeni flanelowej koszulki, poklepał ją po ramieniu i z krótkim „do widzenia” rzuconym przez ramię oddalił się pośpiesznie.

— Nie ma za co, cholerne dzięki i wal się, zasrany dupku — mruknęła i dalej stała przed grobem.

Rozdział 33.

Świadomość, że był winien czyjejś śmierci, nie była dla niego czymś nowym. Wiele jednak zależało od sposobu, w jaki się do niej przyczynił. Tym razem na myśl o tym, co się stało, robiło mu się niedobrze, gdy siedział w pociągu pędzącym do Rybaka i jego pustelni w jutlandzkiej głuszy.

Nie można wykluczyć, że niechcący podpisał wyrok na młodego inspektora muzeum, wysyłając do niego wtedy kopertę z kopiami z archiwum Danehofu Nord znalezione pod zamkiem Nørlund.

O czym wtedy myślał? Czy w ogóle przyszło mu do głowy, że wiąże się z tym jakieś ryzyko?

W pociągu na szczęście nie było wielu ludzi. Znalazł dla siebie całkiem pusty przedział. Wybadał pozostałych pasażerów w wagonie. Nikogo podejrzanego. Nic nie wskazywało, że był śledzony.

Krajobraz za oknem był taki jak wcześniej. Zmieniło się światło. Dzień chylił się ku końcowi. Czuł się poobijany, zraniony i nieskończenie zmęczony, kiedy tak siedział i próbował wrócić wstecz myślami.

Po tym, jak skończyli ze sprawą wiszących psów, chciał jak najszybciej znaleźć się z dala od tamtych ludzi. Uciec najdalej jak się dało. Tylko to pamięta z tamtego okresu.

Młodego muzealnika polubił od pierwszego spotkania. Uznał chyba, że ktoś, kto prowadzi wymagające prace badawcze nad średniowiecznym parlamentem Danehofem, również powinien mieć dostęp do wiedzy, do której on sam dotarł. No tak, jeśli ktokolwiek miał prawo wiedzieć, to właśnie on.

Miał prawo móc zajrzeć w tę wyjątkową strefę władzy,

która przetrwała stulecia. Przechodziła w tym czasie rozmaite perturbacje. Zmieniała strukturę. Ale Danehof istniał i nadal był śmiertelnie groźny dla każdego, kto stanął mu na drodze w realizacji jego misji. Był jak uśpiony wirus — nienaruszalny i śmiertelnie niebezpieczny, nawet po latach.

Był idiotą. Powinien był przewidzieć, że wręczył inspektorowi muzeum klucz do bramy piekieł.

Kiedy dojeżdżali do Vejle, do głosu doszedł jednak zdrowy rozsądek i słuszne wątpliwości: nikt nie wiedział, czy brutalna śmierć tego człowieka miała z nim cokolwiek wspólnego.

Bo tak się składa, że *wtedy*, gdy wysyłał do niego te materiały, naprawdę pomyślał o ryzyku. Żeby rozbroić tę bombę, by nie wybuchła na jego biurku w Nyborgu, celowo nie wysłał mu informacji najbardziej wrażliwych: trzech kartek z nazwiskami wszystkich osób wybranych do trzech kręgów Danehofu Nord. Po pięć osób w każdym kręgu — piętnaście wpływowych osób dzierżących władzę w całej Północy. Nie załączył też listy członków biernych ani niedawno zmarłych.

Co jeszcze powiedziała Margrethe? Że znaleźli ślady kokainy. Może był dilerem uczonych? Albo zwykłym dilerem, bo ciągle brakowało mu pieniędzy, które przegrywał w zakładach? Albo pospolitym przestępcą — albo jeszcze kimś innym?

To, że kiedyś wysłał człowiekowi kilka unikatowych kartek z dziennika, nie czyni go automatycznie współwinnym zabójstwa. Musiał być szalony, że tak pomyślał.

Co jakiś czas pomiędzy te chaotyczne dwubiegunowe rozmyślenia wkradał się obraz Margrethe Franck. Nie sądził, że ją jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Margrethe Franck, *granat rzucony z nieba...* tak pomyślał

o niej tamtej nocy w hotelu w Rold Skov, kiedy wskoczyła do jego pokoju gotowa przyjść mu z odsieczą. Na jednej nodze z piersiami podskakującymi pod białym podkoszulkiem, jędrnymi pośladkami w czarnych jedwabnych majtkach i służbową bronią gotową do strzału.

A znalazła tylko półprzytomnego gościa leżącego na podłodze. Najprawdopodobniej miał kolejny ze swoich koszmarów i przywołał ją swoim krzykiem.

Podobnie jak przy wielu innych okazjach w trakcie ich współpracy przy rozwiązywaniu sprawy psów, przejrzała go, zobaczyła go nagiego i bezbronnego. I troskliwie go okryła, otoczyła ochroną. Okazała mu empatię i zrozumienie.

Pamiętał również, jak jej wtedy podziękował. Z żalną szorstkością: „A co ty sobie właściwie wyobrażasz, że kim ty jesteś, co? Larą Croft na jednej nodze? Won z mojego pokoju! Ale już!”.

Dziś znów pojawiła się w jego życiu. Jak granat. Na cmentarzu Bossego. Życzliwa, z uśmiechem i głosem pełnym troski — ale z wężem w uchu.

Po raz trzeci wyjął jej wizytówkę i przeczytał. Praca w wywiadzie była jej całym życiem i całym światem. Był to świat, w którym sojusze i priorytety nieustannie się zmieniają, a motywy często mają drugie dno. Przyjaciel i sprzymierzeniec z poniedziałku we wtorek może się stać wrogiem.

Axel Mossman, szef Policyjnej Służby Wywiadowczej, wyłonił się z samego środka tej jaskini węży i złapał go w swoją sieć. A za nim wpadła w nią Margrethe Franck.

Tak właśnie życie co rusz wpycha nas na miny. Najgorsze zaś to znaleźć się pośrodku pola minowego. Nie ma co ryzykować — takie miejsca trzeba omijać wielkim łukiem. Nawet jeśli trzeba nadłożyć wiele dni drogi.

— Reszty nie trzeba.

Stukoronowe banknoty przeszły z ręki do ręki. Kierowca taksówki podziękował i uśmiechnął się, widząc, że zaokrąglił cenę za kurs.

Wysiadł przed wjazdem do niewielkiego domu stojącego tuż przy drodze i zaczekał, aż kierowca nawróci i oddali się w kierunku Vejle.

Kiedy zniknął mu z oczu, ruszył dalej wąską asfaltową dróżką. Do żwirowej drogi wiodącej do stawów miał stąd jeszcze kilometr, ale kazał się wysadzić tutaj, by nie ujawniać za wiele.

Początkowo planował przesiąść się w Vejle na pociąg do Brande i dopiero stamtąd wziąć taksówkę. Ale po spotkaniu z Margrethe Franck postanowił być jeszcze bardziej ostrożny.

Wszystkie drogi w najbliższej okolicy miał już rozpoznane i zapamiętane. Po wyjściu z budynku stacji w Vejle pokręcił się trochę po pobliskich uliczkach, mając oczy dookoła głowy, aż wrócił na stację, skąd wziął taksówkę i nią przyjechał aż tutaj.

Nic ani na moment nie wzbudziło jego podejrzeń. Robiło mu się przyjemnie ciepło na sercu, kiedy pomyślał, że naprawdę może liczyć na Margrethe Franck. Oczywiście nie w stu procentach, bo w stu procentach nie można liczyć na nikogo.

Zmierzch zapadł niepostrzeżenie, gdy zszedł z drogi i ruszył zakurzoną, pełną dziur żwirową drogą dojazdową wiodącą przez pola.

To był długi dzień. I wyczerpujący. Czuł się zmęczony bardziej, niż jakby wyrąbał, pozbawił gałęzi i podzielił na bale z dziesięć dorodnych świerków.

Pierwszy grzmot dobiegł z zachodu i był jak odległe burczenie pustego brzucha. W słabnącym świetle bardziej wyczuwał, niż widział wyrastający przed sobą ciemny mur

lasu. I lekki podmuch wiatru na policzku.

Gdy dotarł do niecki porośniętej pierwszą kępą drzew, wszystko było jak zawsze. Powietrze nadal było ciepłe, pomimo późnej pory, więc pewnie wkrótce lunie. Burza zbliżała się nieuchronnie, lecz najwyraźniej bez pośpiechu.

Skręcił w ścieżkę wyznaczoną śladami kół wiodącą do polany, gdzie las i plantacja tworzyły okrąg wokół jego walącej się chaty. Może jeszcze wieczorem, a może dopiero w nocy deszcz zacznie przeciekać przez dach i kapać głośno do porozstawianych strategicznie wiader symfonią niosącą ulgę po trudach dnia.

Hej, Speedy, chodź tu i zostaw pana w spokoju!

Tak blisko. I tak daleko, tak nieskończenie daleko...

Jak będzie w domu, usiądzie spokojnie przy stole w kuchni ze zdjęciem Magnusa i kubkiem kawy.

Czarny opel vectra stał na poboczu w miejscu, z którego odchodziła żwirowa droga. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Mężczyzna na miejscu pasażera trzymał sprzęt i monitor, na którym śledzili małą czerwoną kropkę aż od cmentarza niedaleko Høng.

— Gdzie my, kurwa, jesteśmy? W ciemnej dupie ciemnej dupy?

Mężczyzna za kierownicą oparł głowę o zagłówek i uśmiechnął się krzywo do swojego partnera, który teraz szukał czegoś w schowku. W końcu to znalazł — latarkę. Otworzył okno i poświecił w kępę krzaków. Po prawej stronie żwirowej drogi stał mały kamień. Mimo że biała farba niemal całkiem odpryśła, dało się odczytać kontury.

— Pod numerem trzydzieści osiem — ogłosił, ziewając. — Za chwilę wszystko będziemy wiedzieli.

Wpisał dane do komputera i odczekał kilka sekund.

— „Stawy hodowlane Ottesen”. Właścicielem jest niejaki Johannes Ottesen zamieszkały pod tym samym adresem.

— Stawy hodowlane? Cholera, czemu nie. Czekał, zadzwonię i dam mu znać.

— Teraz jest pewnie gdzieś nad Wielkim Bełtem, nie?

— Pewnie tak. Ciekawe, czy zechce nas ze sobą zabrać.
Twoja *broń*?

— W torbie, na tylnym siedzeniu.

— Dobra. Zobaczymy.

Rozdział 34.

Burza zaatakowała z taką gwałtownością, że od pierwszego grzmotu wszystko w domu zadrżało. Od dłuższego czasu zanosilo się na załamanie pogody i teraz żywioł przetaczał się nad jego głową z nieposkromioną siłą.

Odstępy pomiędzy błyskawicami były krótkie. Dla zachowania ostrożności nie podciągnął rolety, więc błyski widział tylko w wąskiej szczelinie nad parapetem, ale i tak wiedział, że potężne wyładowania całkowicie rozpraszały mrok na zewnątrz.

Wciąż siedział przy kuchennym stole. Nie ruszył się stąd, odkąd wrócił do domu. Światło było zgaszone, ale zapalił świeczkę i przymocował stopionym woskiem do spodka.

Zdjęcie Magnusa leżało na ceracie poprzepalanej papierosami. Co chwila to brał je do ręki, to odkładał z powrotem. Czasem czule przesuwiał po nim palcem. Tak jak tysiące razy przedtem.

Deszcz rozpadał się na dobre. Ciężkie, gęste i donośne krople bombardowały szyby pchane silnym wiatrem.

Przeszedł przez wszystkie pomieszczenia i dostawił jeszcze jedno wiadro i miednicę do zmywania. Deszcz nie spowił domu kojącą symfonią, jak to sobie wyobrażał w czasie mozolnej wędrówki żwirową drogą. Raczej chłostał go wściekłą kakofonią grzmotów i chlustów, a wątpła konstrukcja nie była w stanie długo opierać się siłom natury, gdy te tak groźnie prężyły muskuły.

Czuł w środku bezdenną pustkę. Nie zauważył, gdy to uczucie do reszty wyparło wszystko inne. Magnus mimo wszystko co chwila wyłaniał się z tej pustki. Na zmianę z roztrząsaniem swojej winy lub niewiny w związku ze

śmiercią inspektora muzeum i przywoływaniem z pamięci scen z Margrethe Franck w roli głównej.

Na ostatnim odcinku drogi do domu, kiedy szedł po śladach kół, uderzyło go to naprawdę mocno. Zaczęło się w okolicach brzucha. I było tak silne, że zgiął się w pół. Pustka była jak lepka magma, całkiem namacalna, i zredukowała go teraz do pustej skorupy siedzącej na krześle.

Rozpacz ogarniała go na myśl, że będzie musiał czekać cały kolejny rok, nim znów będzie miał szansę zobaczyć Magnusa. Cały rok turbulencji, nieustannego burzenia i odbudowywania, bo tak wygląda życie w tym wieku. Wyrastanie, rozrastanie, śmiech, życie, rozmyślanie. Wszystko zmienne.

Jednocześnie wyczuwał, jak z owej pustki kiełkuje w nim zdradzieckie poczucie ulgi, jakie daje dryfowanie w obszarze martwym. Miał przed sobą dwanaście miesięcy. Trzysta sześćdziesiąt pięć dni bez tych gwałtownych wstrząsów duszy, które co roku zagrażały jego względnej, chwiejnej równowadze. Nie umiał się powstrzymać przed...

Ogłuszający grzmot tuż przy wierzchołkach najbliższych drzewa sprawił, że stare szyby zadygotały.

Kilka sekund później w sypialni rozległ się alarm.

Wbiegł po schodach na górę i szarpnął drzwi szafki. Alarm uruchomiła kamera numer jeden umieszczona przy śladach kół. Lampka migiała. Nagranie w podczerwieni pokazało zarys męskiej sylwetki, która za chwilę przejdzie pod kamerą.

Nie było widać twarzy, którą mógłby rozpoznać. Mężczyzna szedł, kuląc się przed silnym deszczem i patrząc w mały skrawek błota pod własnymi nogami rozświetlany latarką. Idąc, starał się omijać największe kałuże.

Błyskawicznie omiótł wzrokiem ekrany z pozostałych kamer. Żadna z nich nie sygnalizowała zagrożenia. W jego

strefie bezpieczeństwa nie poruszało się nic innego. Wziął pistolet, który zdążył już odwiesić w kaburze na ścianie, i odbezpieczył go w drodze na dół. Przy tylnych drzwiach w pośpiechu złapał ciemnozieloną pelerynę, otworzył drzwi i po cichu wyszedł w mrok.

Deszcz smagał go po twarzy, a buty od dawna wypełniły się błotem, bo nie sposób było uniknąć wszystkich głębokich dziur w drodze.

Nie był odpowiednio ubrany na taką pogodę. Gdy tylko dostali wieści o Nielsie Oxenie, chciał jak najszybciej ruszyć w pościg.

Margrethe Franck w cudowny sposób udało się osiągnąć to, czego jemu nie udało się dokonać pomimo doskonale opracowanego planu — nawiązać kontakt z zaginionym weteranem.

Dwóm swoim prywatnym pomocnikom kazał wracać do domów w Nyborgu. Pewnych rzeczy musiał dopilnować osobiście.

Byłoby nawet całkiem przyjemnie w tej szalonej ulewie podjechać samochodem. Ale zdecydował się zostawić wóz tam, gdzie ślady kół wjeżdżały w żwirową drogę wiodącą do stawów. A postąpił tak z jednego tylko powodu.

Chciał okazać pewien rodzaj pokory tym, że jechał taki kawał drogi ze stolicy na ten koniec świata i do tego brodził w błocie i deszczu po to, by dotrzeć do tajnej kryjówki Nielsa Oxena.

Machał w ten sposób białą flagą. Liczył, że Oxen, jako żołnierz, doceni ten gest. Tego, co się stanie potem, nie był w stanie przewidzieć. Ale zamierzał postąpić najlepiej jak będzie mógł. I z najwyższą ostrożnością robić to, co robił zawsze: improwizować.

Ślady kół dochodziły do otwartego placu. Czarne płachty w tle wyglądały na las wznoszący się za małym, rozpadającym

się domkiem. Stał pogrążony w ciemności, ale spomiędzy szpar po bokach zaciągniętej rolety okna po lewej od krótkich schodków wiodących do odrapanych drzwi wyciekało słabe światło.

Podszedł bliżej i wszedł na stopień. Pozostało tylko uprzejmie zapukać i liczyć, że waleczny żołnierz nie zwariował do reszty i nie odstrzeli mu za to głowy.

Kiedy dwukrotnie zapukał pięścią w drzwi, poczuł, jak coś zimnego wciska się w jego skórę.

— Nie ruszaj się! Trzymam broń przy twoim karku. Rób dokładnie, co mówię. Zrozumiano?

Zakradł się na zewnątrz i ukrył w zagajniku sosen górskich tuż na skraju polany. Teraz wystarczyło poczekać na odpowiedni moment i zaskoczyć nieznajomego, który z jakiegoś powodu wlecze się taki kawał do jego domu, i to w środku burzy.

Duża postać pokiwała lekko głową.

— Dobrze już, dobrze, Oxen... Tylko spokojnie, okej?

Rozdział 35.

Szef wywiadu policyjnego Axel Mossman zajmował sporo miejsca w jego małej kuchni. Zapomniał już, jak wielki i kwadratowy to człowiek.

Na stole leżał stos jego przemoczonej odzieży wierzchniej, a on sam zostawił za sobą mokry ślad na linoleum. Siedział teraz i w świetle świecy wyglądał jak niebezpieczny skalny klif.

Nie zapraszał szefa PET do środka. Nie podał mu ręki. Nie miał czasu na formalne uprzejmości. Został odnaleziony. Jego kryjówka odkryta. Sytuacja była poważna. W najwyższym stopniu.

Przeszukał olbrzyma i niczego nie znalazł, dlatego sam też odłożył broń i usiadł przy stole.

— Masz tam kogoś? — Głową wskazał na okno. Burza się oddalała, ale deszcz wciąż dudnił nieprzerwanie.

Mossman pokręcił głową.

— Nie. Przyszedłem sam.

— Jeśli kłamiesz, to robisz krzywdę tylko im. Cały teren jest monitorowany. Więc zrób sobie i im przysługę i odwołaj ich z pozycji.

— Jak powiedziałem: przyszedłem sam. Moich ludzi odesłałem do domu.

Odpowiedź najwyraźniej zaniepokoiła wronę, bo podskoczyła i zaczęła się wiercić w swoim pudełku.

— Well well, masz współlokatora...

Zapomniał również, że Mossman był w połowie Anglikiem, ale ze wszystkich sił starał się być nim w całości.

— Więc Margrethe Franck kłamała. *Śledziliście* mnie.

— Nie, Oxen. Margrethe nie kłamała, bo nie wiedziała o

tym. Śledziliśmy cię całą drogę do domu.

— Musicie mieć bardzo dobrych ludzi. Niczego nie zauważyłem.

Mossman tylko uśmiechnął się lekko.

— Nie zauważyłbyś nawet, gdybyś miał oczy na karku. Pamiętasz grabarza na cmentarzu?

Przytaknął. Stary z taczkami, który skomentował ilość kwiatów na grobie Bossego.

— To był mój człowiek. Przykleił do twojej koszuli mały płaski nadajnik GPS. Nie większy od paznokcia. Dzięki niemu mogli prześledzić twoją drogę z Høng aż tutaj. Zachowując spory dystans.

W pierwszej chwili zagotował się z wściekłości. I zapłonął w nim gniew — że ktoś go oszukał i wkroczył na jego teren. W przypadku Mossmana był to już drugi raz, kiedy z buciorami wchodził w jego życie. To olbrzym z PET zmusił go wtedy do włączenia się w sprawę wieszanych psów w chwili, gdy najchętniej zapadłby się pod ziemię. Z wszystkich sił starał się nie stracić panowania nad sobą.

— Dupek.

— GPS to fantastyczny wynalazek — o niewyobrażalnych możliwościach.

— Czego chcesz? Nic się nie zmieniło. Nie dostaniesz nagrania z ministrem. Nigdy w życiu.

— Miałeś cały rok na refleksję i na nic się to nie zdało. Wciąż mi nie ufasz, żołnierzu.

— Wciąż nie mam powodu ci ufać.

— Zatem obstajesz przy swoim przekonaniu, że jestem bezpośrednio zaangażowany w działalność Danehofu albo jestem ich chłopcem na posyłki? Z własnej woli lub pod przymusem? Że wysłano mnie, bym znalazł kompromitujące nagranie zbrodni ministra? Czy nie tak należałoby podsumować naszą ostatnią rozmowę przy twoim łóżku w

szpitalu w Aalborgu? À propos — jak twój bark? Mam nadzieję, że w porządku.

— Gdybyś chciał, dorwałbyś ministra i postawił go przed sądem. Bez patyczkowania się.

— Tak, niestety u Margrethe również to dostrzegłem. Tę zatruwającą wszystko nieufność... i wiesz co, Oxen? To ten brak zaufania najbardziej mnie wkurza i zasmuca.

— Czego chcesz?

— Czy filiżanka herbaty wchodzi w grę?

— Nie mam herbaty.

— Więc kawy. Czyż dobry zwyczaj nie nakazuje zaoferować nieoczekiwanemu gościowi filiżanki kawy? — Mossman zaśmiewał się do rozpuku z własnego żartu.

Wstał, wylał do zlewu resztkę własnej kawy, nastawił wodę i wyjął wyszczerbiony kubek. Drugi z dwóch kubków, jakie posiadał. Płaskich talerzy miał trzy, ale tylko jeden głęboki. Skromne pamiątki z minionego stulecia pozostawione przez poprzedniego lokatora.

Nasypał kawy rozpuszczalnej. Żaden z nich się nie odezwał.

— Powiedz mi, Oxen, jak ty się miewasz, co?

Niski głos zza jego pleców, który przerwał ciszę, brzmiał naturalnie, a pytanie wydawało się szczere. Ale tak już było z ludźmi, którzy od lat kierowali wywiadem i swój fach opanowali po mistrzowsku: w konfrontacji z nimi nigdy się nie wiedziało, na czym się stoi.

— Interesuje cię to?

— Oczywiście, że tak, drogi kolego. Nigdy nie życzyłem ci źle. Owszem, pokierowałem tobą tak, jak uważałem za słuszne, i skorzystałem z twoich wybitnych umiejętności, przyznaję. Ale nigdy nie chciałem, aby coś ci się stało... Czujesz się lepiej czy nadal dręczy cię przeszłość?

— Czuję się świetnie.

— Hm.

— Masz.

Postawił przed Mossmanem duży kubek wypełniony po brzegi czarną jak smoła kawą i sam usiadł naprzeciwko.

To pewnie jego ostatnie chwile w tej przytulnej kuchni w małym domku. Teraz, kiedy Mossman go znalazł, wszystko mogło się zdarzyć. Niespodziewanie przyszła pora opuścić Rybaka. A mógłby zostać jeszcze trochę i pomóc staruszkowi.

W trzy, cztery dni uwinąłby się z całą zachodnią częścią plantacji. I byłoby po robocie. A tak... Wszystko przez nieproszonego gościa, który siedział teraz w jego kuchni i siorbał wrzącą kawę.

— Zasadniczo masz rację, Oxen — zaczął Axel Mossman. — Rzeczywiście chciałbym dostać nagranie, na którym minister sprawiedliwości staje się mordercą. Nie będę ukrywał. Ale pamiętam też, że w szpitalu określiłeś to nagranie mianem ubezpieczenia na życie. *Well*, rozumiem to doskonale, więc zostawmy to i pozwól, że zacznę od czegoś innego.

Kubek zniknął w ogromnych dłoniach Mossmana. Wziął kolejny łyk i mówił dalej:

— Widzisz, Oxen... robię się już stary, albo raczej jestem stary. Siedzę w tym już kupę czasu. I kiedy patrzę wstecz, zdarza się, że nie potrafię już dostrzec czasów, gdy moje życie było czymś innym, czymś innym niż świat danych wywiadowczych — jawnych, utajnionych i ściśle tajnych. Gromadzenie, wymiana, analiza. Wszystko równie ważne. Kluczowe dla bezpieczeństwa nas wszystkich jest, aby ktoś trzymał nad tym pieczę. Wszyscy jednak mamy jakiś punkt wyjścia, miejsce, z którego się wywodzimy. I ja wywodzę się z wydziału kryminalnego, takiego z dawnych czasów. Wtedy tamto było dla mnie ważne. Ściganie przestępców pchało

mnie do przodu, dawało energię. Potem się od tego odciąłem. Teraz wracam, aby zatoczyć koło.

Mossman odchylił się na krzesło, które zatrzeszczało złowróźnie. On jednak nic sobie z tego nie robił. Ich spojrzenia cały czas pozostawały wbite w siebie.

— Moje stanowisko jest ograniczone czasowo. Kadencja trwa sześć lat i moją tylko w drodze najwyższego wyjątku przedłużano tyle razy. Ale za dwa lata będzie koniec — nieodwołalny. Zdecydowałem, że nie będę czekać do tego czasu i zrezygnuję już za rok. Podoba mi się myśl, żeby samemu wybrać czas i miejsce. Rzucić granat i patrzeć, jak się pocą, jak biegają bezradnie po korytarzach jak spłoszone kury w kurniku. Nie zamierzam się trzymać stołka do ostatniej minuty a potem grzecznie posprzątać biurko. *Absolutely not...* Pamiętasz może, jak podczas naszej rozmowy w szpitalu wspomniałem pewnego staruszka, Ryttingera?

Nazwisko brzmiało znajomo, ale jego mina musiała zdradzić, że nie bardzo umie go przyporządkować, bo Mossman od razu wyjaśnił:

— Karl-Erik Ryttinger, wielka ryba w duńskim przemyśle ciężkim, z czasów, gdy coś takiego istniało.

Pokiwał głową.

— Teraz pamiętasz?

— Część, nie wszystko.

— Przypomnę ci. Pracowałem wtedy w wydziale zabójstw komendy stołecznej. Byłem młody. Ryttinger miał osiemdziesiąt dziewięć lat i został zastrzelony na pierwszym piętrze swojego pałacu przy Strandvejen. Główna hipoteza mówiła o włamaniu. Ale starzec, nim umarł, napisał coś na podłodze palcem umoczonego we własnej krwi.

Pokiwał głową. Teraz sobie przypomniął.

— Danehof.

— Dokładnie, Oxen. Danehof.

Teraz przypomniał sobie całą historię. Była bardzo podobna do tych, które pokrywały kartki skradzione ze schowka byłego ambasadora Corfitzena na zamku Nørlund.

W przypadku Karla-Erika Ryttingera zapalnikiem były początki demencji, które zaczęto obserwować u wielkiej postaci duńskiego biznesu, założyciela Ryttinger Jernindustri. Z opowieści Mossmana pamiętał też, że z domu skradziono biżuterię, ale pozostawiono inne cenne przedmioty. Oraz że śmiertelny strzał oddano z matematyczną precyzją.

— Tylko jeden strzał, prosto w serce, prawda?

Mossman przytaknął.

— Strzelano, *by zabić*.

— Dokładnie tak.

— Tylko co mnie to wszystko obchodzi? Po co do tego wracasz?

— Cierpliwości, kolego. W moim fachu istnieje pewien bardzo znany... nazwijmy go po prostu fenomenem. Otóż wielu moich kolegów, ludzi szczerze oddanych swojej pracy, kończy karierę i przechodzi na emeryturę z jedną, jedną cholerną sprawą, która nieustannie ich nęka i nie pozwala spokojnie spać. Ja też mam taką sprawę — sprawa zabójstwa z zimną krwią Karla-Erika Ryttingera. By tę sprawę rozwiązać, muszę obalić cały Danehof. A mówiąc nieco górnolotnie, mam, jako szef służby wywiadu policyjnego, *obowiązek* ostatecznie zniszczyć Danehof jako organizację przestępczą i niedemokratyczną i postawić przed sądem każdego, kto odegrał w niej jakąkolwiek rolę. Dlatego, Oxen, potrzebuję twojej pomocy. Ni mniej, ni więcej. Mogę jeszcze kawy?

Wstał i nastawił kolejny czajnik. Kotłowały się w nim wątpliwości, zdumienie i tysiąc pytań. Ale nie powiedział ani

słowa. Wiedział, że nie takie są reguły gry. Wszystko zostanie wyjaśnione w swoim czasie.

— Jest coś jeszcze — ponownie podjął Mossman. — Pamiętasz, jak w szpitalu opowiadałem ci o Gunnarze Gregersenie?

— Gościu z partii socjaldemokratycznej, tak, pamiętam.

— Przypomnę ci jeszcze raz — Gregersen był obdarzony wyjątkowym talentem politycznym. Okazało się, że cierpiał przy tym na psychozę maniakalno-depresyjną. W połowie drogi na szczyt popełnił samobójstwo. To było dwanaście lat temu. Któregoś wieczora zadzwoniła jego żona. Głęboko poruszona i pijana. Znalazła kopertę, którą zostawił jej mąż, zaadresowaną do mnie. Zajrzała do środka. Chodziło o coś, co nazywało się Danehof. A konkretnie: Danehof Øst. Wsiadłem w samochód i od razu pojechałem do Valby. Gdy dotarłem na miejsce, żona Gregersena leżała na chodniku — najwyraźniej wyskoczyła z balkonu.

— A koperta zniknęła.

Postawił na stole dwa pełne kubki i usiadł.

— Otóż to. Zniknęła. Jakby tamta jedna sprawa nie była wystarczającą męką. Już nie tylko Karl-Erik Ryttinger, ale również Gunnar Gregersen nie przestają mnie nachodzić po nocach, rozumiesz? A sprawcą obu zbrodni jest Danehof. *Dammit*, pora z tym skończyć, Oxen. To moja ostatnia misja. Możliwe, że tak naprawdę najbardziej poczesna.

— Wciąż nie rozumiem, co ja mam z tym wspólnego.

— Teraz mogę ci wyjaśnić. Otóż ty wiesz, kto to jest Malte Bulbjerg. Albo kim był.

Potwierdził skinieniem.

— Tak. Margrethe Franck powiedziała mi o wszystkim dziś na cmentarzu.

— To, czego *ona* nie wie, to, że *ja* wiem o oryginalnych dokumentach Danehofu, które przesłałeś inspektorowi

muzeum. A konkretnie o kartkach z dziennika byłego ambasadora i szefa Danehofu Nord Hansa-Ottona Corfitzena. Szczegółowe notatki prowadzone skrupulatnie aż do dnia, w którym zmarł w swoim fotelu na zamku Nørlund.

— Kto tak twierdzi?

— Ja tak twierdzę. Teczka i dokumenty noszą odciski palców, które przypadkiem mam w bazie danych — twoje.

— A skąd wiesz, gdzie wtykałem palce?

— Inspektor muzeum skontaktował się ze mną jakiś czas po tym, jak przysłałeś mu te papiery. Wszystko to dało mu dużo do myślenia. Choć ambasador sprawnie posługuje się okrągłymi zdaniami, na kilometr widać zarówno w kolejnych wersach, jak i między nimi, że jest to zapis działalności w najwyższym stopniu podejrzanej, a momentami jawnie zbrodniczej. Corfitzen mówi na przykład o „czynie, jakiego w szaleństwie dopuścił się minister Rosborg”. Cytuję z pamięci: „Nasza organizacja pracuje na najwyższych obrotach, by zlokalizować zagrożenie. Kiedy zdecydowaliśmy się na ostateczne rozwiązanie kwestii dwóch pozostałych kobiet, sądziłem, że zostało ono wyeliminowane. Niestety, myliłem się”.

Mossman uniósł ostrzegawczo palec, by go powstrzymać, i mówił dalej:

— Inspektor muzeum oczywiście potrafił odczytać sens tej notatki: dwie kobiety zostały zlikwidowane. Czy nie tak było? Corfitzen pisze również w którymś miejscu o „nieodżałowanej śmierci panny Zakalskyte”. Zatem dwie plus jedna — trzy martwe kobiety. Inspektor muzeum mógł zerknąć na maleńki fragment złożonej maszyny, w której sprawa wieszanych psów była jedynie jednym z trybików. Nie mógł oczywiście wydedukować wszystkich zależności. Lecz to, czego się domyślił, zaniepokoiło go tak, że

zdecydował się ze mną skontaktować.

Mossman patrzył na niego z poważnym wyrazem twarzy. Nagle przypomniał sobie pierwszą myśl, jaka przyszła mu do głowy wtedy w szpitalu, gdy otworzył oczy i zobaczył nad sobą pochyloną twarz szefa PET ze skórą zwisającą na policzkach niczym girlandy. Twarz Mossmana była trudna do rozszyfrowania, niczym pysk bassetta. Mięsiasta, przez co budząca zaufanie, lecz jednocześnie czujna, i do tego pokryta zmarszczkami przydającymi jej sympatii i powagi.

Fragmenty, które Mossman właśnie zacytował, on również znał na pamięć, bo niezliczenie wiele razy przeczytał dziennik i pozostałe dokumenty. Teraz wszystko do niego wróciło — rozważania i poczucie winy, które go dręczyły w pociągu.

Czy rzeczywiście bezpośrednio *przyczynił* się do śmierci inspektora muzeum?

— Dlaczego przyszedł z tym akurat do ciebie? Znacie się?

Mossman zaprzeczył.

— Nie. Ale byliście z Margrethe u niego w Nyborgu i pytaliście o Danehof. O tym, że Margrethe pracuje dla PET, wiedział od niej samej. A PET to ja.

— Czy istnieje związek pomiędzy tymi dokumentami a śmiercią Bulbjerga?

— Hm. — Mossman wzruszył ramionami. — Nie wiem. Naprawdę.

— Ale może istnieć?

— Nie da się tego wykluczyć.

— A kokaina? Hazard?

— Ludzie potrafią zaskakiwać.

— Zamierzasz coś z tym zrobić?

Mossman zawahał się na moment. Po czym pokiwał głową.

— Tak. Już robię.

Najwyraźniej nie zamierzał rozwijać wypowiedzi.

— Co konkretnie?

— *Well*, prowadzę własne, powiedzmy, równoległe śledztwo w sprawie jego śmierci. Na razie wiem tyle, co lokalna policja. Żadnych konkretnych tropów. Mnóstwo otwartych pytań.

Mossman uniósł kubek, gdy coś przyszło mu do głowy.

— Tylko *please*, zachowaj do dla siebie. Margrethe o niczym nie wie.

Mossman zapatrzył się na wronę w pudełku. Deszcz wciąż głośno dudnił w szybę.

On sam również milczał i pogrążył się we własnych rozmyślaniach. Za dużo tego było, o wiele za dużo na jeden dzień. Droga krzyżowa w Kopenhadze, Magnus dwa metry od niego, Margrethe w Høng, sympatyczny grabarz z ponurą, tajną misją.

Na jeden zaszary dzień opuścił azyl u Rybaka i zwały się na niego wszystkie możliwe nieszczęścia. A na koniec przywłókł się do niego Axel Mossman i wyrósł w jego kuchni jak wielka, groźna, mroczna skała. Złotousty szef wywiadu, zdolny z czarnego zrobić białe i z białego czarne. Axel Mossman to zły omen.

— Wyjaśnij mi jedno... Nawet gdybym wysłał jakieś dokumenty inspektorowi muzeum, mimo że wskazywałyby na podejrzone działania... Dlaczego mnie szukałeś? Dlaczego przyszedłeś tu pieszo w taką pogodę? Mówisz, że chcesz mnie prosić o *pomoc*. Ale jak ja *miałbym* ci pomóc?

Mossman zamknął swoje mięsiste wargi na krawędzi kubka i spojrzał mu prosto w oczy.

— Przyszedłem, bo... widzisz, Oxen, ja mam nosa do takich rzeczy. Jesteś szczególną osobą. Obdarzoną wyjątkowym instynktem samozachowawczym. Inteligencją. Niebywałą wolą działania. Zostałeś przeszkolony w myśleniu analitycznym. W analizie sytuacji zarówno w krótkiej, jak i

dalszej perspektywie. W gromadzeniu i ocenie wiedzy i danych wywiadowczych, i budowaniu z nich pełnego obrazu. Nauczono cię nigdy nie zamykać jednocześnie wszystkich drzwi, zawsze orientować się w sytuacji i zawsze mieć plan B. Przyszedłem, bo to, co wysłałeś Bulbjergowi, to nie wszystko. Wiem, że masz coś jeszcze. I to, co masz, powinienes przekazać mnie, by pomóc mi zburzyć monolit Danehofu. *Dlatego* przyszedłem.

On z kolei siedział tylko i kręcił głową, wolno i wielokrotnie. A potem napił się kawy. Mossman wyglądał jak dokładne przeciwieństwo tego, czym był: jak niewinność. A cholerna kawa zrobiła się zimna.

— Nie siedź mi tu i nie kręć tak uparcie głową, drogi żołnierzu. — Brwi basseta całkiem opadły na ciężkie powieki, kiedy mówił dalej:

— Wiem, że *masz* więcej. Zostawiłeś coś dla siebie, dokładnie tak, jak zatrzymałeś nagranie z ministrem jako swoje zabezpieczenie. Nie zadowolileś się kartkami z dziennika, gdy znalazłeś coś jeszcze. *Nazwiska...* Potrzebuję nazwisk, żeby dostać się do środka. No, dalej, Oxen. Prosi cię stary człowiek na swojej ostatniej misji: wskaż mi wejście.

Znowu to robił. Wyglądał na surowego, a jednocześnie cały pokryty był lukrem. Czarne stało się białe. Właśnie podjął decyzję. Instynktownie.

— Nie mogę. Nie mam nic więcej. Nic poza tym, co wysłałem Bulbjergowi. A nagrania z ministrem nie dostaniesz nigdy. Zatem przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.

— Oxen, to nie jest zabawa.

— Dokładnie. Nie jest.

— Będę się zatem musiał pogodzić z nierozwiązaną sprawą na moim koncie. Ale namawiam cię, żebyś się nad tym dobrze zastanowił, kiedy sobie pójde. Nie możesz latami

chować się przed Danehofem. Któregoś dnia ministra może potrącić samochód albo dostanie wylewu. Wtedy twoja polisa straci ważność. Wtedy przyjdą po ciebie. I będzie *no mercy*. To nie może tak trwać, żołnierzu. Musisz zbudować sobie nowe życie. Masz przecież syna. Czy nie należy mu się coś innego? Coś lepszego? Ty też masz rachunek do wyrównania z Danehofem. Podobnie jak ja. Razem jesteśmy silniejsi. Pomyśl o tym.

Mossman z tweedowej kurtki wyjął swój portfel.

— Zachowaj ją. — Położył na stole wizytówkę. — Dzięki za kawę. Dobrze było cię znów zobaczyć.

Potężny mężczyzna wstał i naciągnął na siebie przemoczony do nitki płaszcz.

Odprowadził go do drzwi. Mossman jakby na moment się zawahał. Mimo to otworzył je i zszedł po trzech schodkach na błotnistą ziemię. Wciąż padało. Nie tak gwałtownie jak wcześniej, ale monotennie i nieprzerwanie.

Mossman uniósł na pożegnanie wielką łapę, odwrócił się i ruszył przed siebie. Zatrzymał się jednak po kilku krokach i ponownie odwrócił w jego stronę.

— Jeszcze jedno, Oxen. Nazwij to bezwzględny dowodem mojej szczerości. Ostatnim błaganiem człowieka zdesperowanego...

Wciąż stojąc w drzwiach, ze zdumieniem patrzył na olbrzyma w strugach deszczu.

Mossman mówił dalej — a raczej krzyczał, głośno i wyraźnie:

— Wiem, kto zabił twojego psa! Wiem, kto powiesił na drzewie Mr. White'a. Bo tak się nazywał, prawda?

Zamartł.

Przez jego ciało przetoczyła się lawina. I w ułamek sekundy zmroziła do szpiku.

— To byłem *ja*! To ja kazałem powiesić twojego psa —

grzmiała ciemna postać na zewnątrz.

Nie był w stanie się ruszyć. Nie potrafił dobyć słowa.

— Słyszysz, żołnierzu? *Ja!* Musiałem to zrobić. Musiałem cię wyrwać z letargu. Wcisnąć odpowiedni przycisk i cię uruchomić! To byłem ja. W imię sprawy wyższej, do cholery. Ważniejszej od psa!

Następna scena wyglądała jak w filmie poklatkowym. Jego rozbieg. Skok w stronę wielkiego cienia. Pierwszy cios. Z boku żuchwy. Potem wszystko przyśpieszyło, a obrazy znów zaczęły się ze sobą łączyć.

Axel Mossman zrobił krok i zaczął padać w tył, jakby podcięto mu nogi.

Natychmiast wymierzył silny sierpowy w brzuch szefa PET, zanim legnie niczym ścięte drzewo. Nic nie czuł. Nic nie potrafił powiedzieć poza „ty gnoju, cholerny, podły gnoju”.

Zasypał kopniakami ciało Mossmana, które leżało tylko i przyjmowało ciosy, nie podejmując większych prób obrony.

W końcu przestał. Choć wcale nie chciał. Mocno złapał Mossmana za kołnierz płaszcza, zawłókł go przez mały, zabłocony plac przed domem i porzucił tam, gdzie zaczynały się ślady kół, teraz kompletnie zalane wodą.

— Wypierdalaj i daj mi spokój, skurwysynu!

Biegiem wrócił do siebie, jednym susem przeskoczył schody i zatrzasnął za sobą drzwi. Wciąż się w nim gotowało, kiedy kilka minut później chodził od ściany do ściany w swojej kuchni, jak zamknięte w klatce dzikie zwierzę. W końcu podciągnął roletę i wyjrzał na zewnątrz.

Z trudem dostrzegł duży, czarny kształt, który powoli się podnosił i przez moment tkwił w klęku podpartym. Potem uklęknął.

Dopiero po dłuższej chwili Axel Mossman wstał z ziemi. I nie oglądając się za siebie, chwiejnym krokiem ruszył przez błoto i wodę.

Rozdział 36.

Zawsze cenił sobie te okazje, gdy mógł się obracać wśród ludzi, swoich wyborców. Zwłaszcza teraz, w sierpniu, kiedy pierwsza fala urlopów już minęła i wiele osób wróciło do pracy. Było spokojnie. Ludzie byli wypoczęci i odprężeni.

Uwielbiał swoje małe samotne wypady. Kiedy nadal było ciepło, a do rozpoczęcia obrad parlamentu zostało jeszcze sporo czasu.

Mette i dzieci były zaabsorbowane urządzeniem nowego domu, również położonego w Nødebo. Nowa posiadłość była znacznie większa od starej. Mieli w niej więcej miejsca dla siebie i znacznie więcej przestrzeni dla koni. Już im obiecał, w chwili słabości, że w tym roku kupią kolejne dwa. Kuce szetlandzkie, tak ustalili. Mieli w końcu całe dwanaście hektarów.

W Gilleleje czuł się u siebie. Od wielu lat mieli tu dom letniskowy. A minionej zimy zdecydowali się na wielki krok, o którym od dawna marzyli. Ich działka ciągnęła się od końca Grøntoften aż do pierwszych domów przy Carl Lendorfs Vej, skąd do wody było zaledwie czterdzieści metrów. Sporo zapłacili za swój raj na ziemi, ale trafiła się wyjątkowa okazja. Oraz... jego miejsce było zawsze w pierwszym rzędzie.

Ludzie w Gilleleje dobrze go znali. A z licznych komentarzy, uśmiechów i spontanicznych pozdrowień na ulicy śmiał nawet wnioskować, że poważali go i lubili.

Ów splendor po części wynikał oczywiście z naturalnego ludzkiego pragnienia, by znaleźć się w pobliżu człowieka ze szczytów władzy. I to nie byle kogo, lecz samego ministra sprawiedliwości. Ktoś na jego stanowisku zawsze będzie

przyciągał osoby, dla których takie dojścia są kwestią prestiżu. On miał jednak poczucie, że jest między nim a lokalną społecznością zwykłe, sąsiedzkie porozumienie. Był w stanie to stwierdzić, nawet nie zerkając na prowadzone w mediach rankingi popularności polityków, w których, nawiasem mówiąc, zawsze zajmował niepodzielne pierwsze miejsce.

Chociażby dzisiaj, kiedy wybrał się do portowej restauracji *Gilleleje Havn*. Jak zawsze siedział sam przy stoliku w jednym z boksów przy oknie, by móc obserwować życie toczące się w porcie. Nadal cumowała tam spora flotylla rybackich kutrów. Bajeczny homar i do tego niezgorsze chablis z Billaud-Simon.

Aż tu niespodziewanie zaczęli jeden po drugim zachodzić do jego stolika, ot tak, żeby się przywitać. Właściciel fabryki Steen z małżonką, miejscowy monopolista w branży hydraulicznej Bo Juul, parę innych osób z miasteczka i nie zapominajmy o fryzjerze Tommym „The Scissors” Palsbym, u którego cesało się wiele jego koleżanek polityczek, i to tych z samej góry. Tommy się przysiadł i napił z nim lampki wina. Do tego mnóstwo całkiem zwyczajnych ludzi, którzy kłaniali mu się i uśmiechali się do niego.

Po obiedzie on i „The Scissors” wychylili jeszcze po kuflu piwa w *Brasseriet* naprzeciwno. Ale tylko po jednym. I tak zresztą postanowił zostawić samochód pod restauracją. Choć do domu nie miał daleko, tak podstawowych błędów nie zdarzało mu się popełniać.

Szedł więc teraz — właśnie mijał marinę i wchodził w starą część miasta — nieśpiesznie, w cienkim swetrze i odkłaniał się każdemu na prawo i lewo. Parę razy przystanął na krótką pogawędkę.

Możliwe, że białe wino i ciemne piwo uczyniły go wyjątkowo rozmownym. Czuł się nieskończenie odprężony i

był w znakomitym nastroju. Kiedy tylko przyjdzie do domu, od razu zajmie się klarowaniem sprzętu.

Za godzinę będzie na wodzie. Spokojnie może powiosłować. Przecież tutaj wystarczy popłynąć kawałek wzdłuż wybrzeża i już można nałapać sporo flądr. Robaki sam wykopał po południu podczas odpływu. Człowiek zawsze dobrze się czuje, kiedy sam coś robi.

Musi sobie zapamiętać to o robakach i o robieniu rzeczy samodzielnie. Dobrze będzie o tym wspomnieć w telewizji, takie rzeczy świetnie się sprawdzają. Skracają dystans i są postrzegane jako szczerze i budzące sympatię. Ludzie to uwielbiają.

„Cześć, Ulrik, masz ochotę na telewizję śniadaniową? Coś o jedzeniu, o ulubionych daniach znanych ludzi. Pomyślałam, że mógłbyś też sam coś wyczarować na antenie”. Mniej więcej z czymś takim zadzwoniła jakiś czas temu Lizette. Była producentką i jego bardzo dobrą znajomą. Ostatecznie zrobili razem cykl programów o zdrowym odżywianiu, a potem kontynuację pod nazwą *Śniadanie ministra*. W tej chwili rozmawiali o tym, czy by nie zrobić nowego cyklu poświęconego temu, jak ważny jest ruch.

Lizette od razu dała się przekonać, że najlepiej będzie, jeśli wyślą ekipę i będą nagrywać na żywo w jego własnej kuchni w domu przy plaży w Gilleleje. Można było wszystko umieścić w uroczej scenerii jasnych piasków, szerokiej plaży, łodzi wiosłowych i porozwieszanych sieci.

Program nagrywany „z kamerą u” oddziałuje na widzów znacznie silniej niż nagranie ze studia telewizyjnego. Ludzie wolą wejść za kulisy i poznać prawdziwego człowieka w jego prawdziwym otoczeniu.

Od tak dawna działał w polityce i jednocześnie udzielał się w telewizji, że na personal branding u znał się lepiej niż

większość jego koleżanek i kolegów. Poza tym uważał to za ogromnie ciekawe.

— Cześć, Rosborg!

Odwrócił się, kiedy mijał jasnożółty dom. Żona szefa departamentu w Ministerstwie Obrony stała w ogrodzie i machała do niego. Odmachał jej, ale się nie zatrzymał. Właściwie się nie znali.

Nie mógł się doczekać, aż wypłynie i nałapie ryb, by jutro rano móc spojrzeć widzom w oczy i powiedzieć, że te oto ryby złowił minister sprawiedliwości *osobiście*.

Lizette pewnie będzie chciała zrobić parę ujęć, jak w świetle poranka wyciąga łódź na brzeg. Nie ma sprawy. I tak nikt nie sprawdzi, czy ryby są z wieczornego, czy porannego połowu.

W jednym z pokoi już sobie przygotował ubranie na jutro. Błękitna koszulka polo, białe płócienne spodnie i białe stopy w sportowych sandałach. Doskonały zestaw na letni poranek w telewizji.

Jeśli to prawda, że ryby biorą najlepiej podczas burzy i po niej, to może faktycznie był to doskonały moment, aby wypłynąć na morze.

Zaledwie dwa dni temu większą część kraju nawiedziło gwałtowne załamanie pogody. Widział potem w gazecie jedną z tych robiących wrażenie map, na których zaznaczono liczbę odnotowanych wyładowań. Coś niepojętego. Od Morza Północnego po Øresund. Grzmoty i błyskawice bezlitośnie okładały Danię, aż burza z niesłabnącą siłą przesunęła się spuścić łomot Szwedom.

Może flądry ze strachu przestawały jeść i przez to były po burzy wyjątkowo głodne? Po prawdzie o wędkarstwie nie miał bladego pojęcia, ale tego widzowie przecież nie wiedzą. Zresztą nie potrzeba szczególnej wiedzy, żeby nabić robaka na haczyk i wyłowić płastugę. Umiał za to znakomicie

oczyszczają i przyrządzają ryby.

Włożył swoje dwie wędkę do łodzi i zaciągnął ją do krawędzi wody.

Już się zmierzchało, ale to nic. Nie zamierzał odpływać za daleko, a przy brzegu wciąż było mnóstwo światła. W godzinę powinien się uwinąć. Wystarczy mu cztery dorodne rybki na patelnię.

Wypchnął małą łódkę z włókna szklanego na spokojną wodę, zabezpieczył wiosła w dulkach i zaczął się oddalać od brzegu długimi, płynnymi pociągnięciami. Nie było najmniejszego podmuchu wiatru. Piękny wieczór, w sam raz na wędkowanie. Wziął ze sobą turystyczną lodówkę, a w niej kanapkę z pasztetem i dwa piwa z lodówki. To pasowało do klimatu. Normalnie prawie nie tykał alkoholu, ale tu, z dala od surowego spojrzenia pani ministrowej, mógł sobie pofolgować od wielkiego święta.

Jakieś dwieście metrów od brzegu rzucił niewielką kotwicę. Znał to miejsce, pamiętał, że na dnie było sporo dużych połaci piachu. Założył czołówkę, włączył ją i pozakładał przynętę na haczyki.

Jeden przypon zamontował na lewej burcie, drugi na sterburcie, a wędkę ustawił prostopadle do relingu. Pozostało czekać i obserwować końcówki wędek.

Otworzył piwo i wypił łyk. Ten smak! Gdyby miał być ze sobą całkiem szczery, to musiałby przyznać, że ascetyczna postawa i zdrowy styl życia były tylko częściowym powodem, dla którego zaczął ograniczać alkohol. Był jeszcze inny powód. Jaskrawo kontrastujący z sielskim wieczorem jak ten dzisiejszy.

Księżyc posrebrzał spokojną tafłę wody. Na brzegu widział rozproszone światła letnich domów. Niektóre stały tuż nad wodą, inne wysoko na zboczu, jak wysoki mur oddzielający morze od lądu.

Poczuł się nagle mały i nieważny. I ogromnie wdzięczny, że udało mu się wyjść cało z największego kryzysu w jego życiu. Minęły prawie dwa lata od krytycznej nocy na zamku Nørlund w Himmerland, gdzie Corfitzen zwołał zebranie pięciu członków komitetu Pierwszego Kręgu Danehofu Nord.

Tamtego wieczora wypił za dużo. Ale to, co się stało, nie było winą alkoholu, bo wszystko dokładnie pamiętał.

Miał wrażenie, jakby gdzieś w jego głowie strzelił bezpiecznik, gdy tamta kobieta pokazała mu uprząż i wędzidło i chciała, żeby ją pieprzył ostro, cholernie ostro.

Wtedy coś go opętało. Coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczył z taką mocą.

Gdy doszedł do siebie, było za późno. Już nie żyła.

Teraz, gdy siedział sam w ciemności, wewnętrzna tama wspomnień otworzyła się i zalała świadomość zmysłowymi wrażeniami z tamtej chwili. Chociaż odsunął je od siebie mocą ponadprzeciętnej siły swojego umysłu. Ukrył wszystko w najdalszym zakamarku i zapakował tak szczelnie, że czasem sam siebie zapytywał, czy to naprawdę się zdarzyło, czy też nawiedzają go tylko urywki potwornego koszmaru.

Powoli, lecz konsekwentnie jego życiowy dramat rozmył się w codzienności. Bywało, że całymi tygodniami nie myślał o tym, co się stało. Życie toczyło się dalej. Nadal utrzymywał się na fali. Po jakimś czasie na powrót odnalazł w sobie dawną zdolność do lawirowania wśród politycznych raf. Najwyraźniej nikt nie zauważył, że przez jakiś czas chodził zamroczony jak bokser na sekundę przed nokautem.

Teraz już od dawna był sobą. Odzyskał kontrolę nad swoim życiem. I w tym momencie, siedząc w blasku księżyca, czuł się nieskończenie wdzięczny, że mu się to udało.

Stała za nim potężna, licząca kilkaset lat instytucja, która w tamtym, trudnym dla niego czasie pokazała swoją

przerażającą moc i skutecznie posprzątała bałagan, jakiego narobił. To, co się wydarzyło, zostało odczynione. Luźne końce zostały zawiązane w mocny supeł.

Pozostała jedna jedyna reminiscencja tamtej apokalipsy. Z trzeciej ręki dowiedział się o istnieniu pewnej luki w zabezpieczeniach: dawny komandos, ponoć lekko nieźrównoważony z powodu traum wojennych, jest w posiadaniu nagrania z tamtego pokoju na zamku. Ten człowiek był jedynym luźnym końcem. I oczywiście o jednym za dużo. Gość nie był idiotą, więc musiał wiedzieć, że jeśli ujawni nagranie, zapłaci życiem. Mimo to sytuacja była wysoce niepewna i w chwilach słabości napawała go lękiem.

Gdy w końcu udało mu się wyjść na prostą i odzyskać dawną wolę walki i słynny polityczny spryt, poprosił o trwałe rozwiązanie problemu.

Zajął się sprawą. Co było oczywiste. Mimo to podkreślił wagę problemu i przemawiał wielkimi literami. Przy okazji podjął temat znacznie bardziej delikatny: wynagrodzenie. Zakup dwóch drogich nieruchomości pochłonął większą część akcji w dawnym koncernie rodzinnym, skurczyły się również pozostałe rezerwy i wkrótce w jego sejfie zostaną same miedziaki.

Nie widział niczego niestosownego w swoim wniosku. Lojalność miała swoją cenę. A jego wartość znacznie wzrosła, bo był obecnie bezspornym następcą tronu w swoim okręgu.

Musiał nim być, choć z natury rzeczy nie znał innych członków poza pozostałą czwórką komitetu Kręgu Pierwszego. Czy jednak można było sobie wyobrazić w swoim gronie kogoś cenniejszego niż minister sprawiedliwości i prawdopodobnie przyszły premier?

Odpowiedź brzmi: nie. I dlatego powinni go docenić. Zarówno finansowo, jak i zapewniając mu absolutną

swobodę działania w jego naturalnym środowisku, jakim była polityka. Nigdzie się nie zobowiązywał do wykonywania poleceń. W swoich posunięciach opierał się wyłącznie na swoim talencie i intuicji — i szacunku dla przeciwnika. Tym sposobem odnosił największe sukcesy w swojej karierze. Dał im jasno do zrozumienia, że w przyszłości również będzie postępował zgodnie z własną oceną. Dla ich wspólnego dobra, naturalnie.

Właśnie unosił butelkę do ust, kiedy końcówka wędki na sterburcie zaczęła drżeć. Najpierw niepewnie, potem już zdecydowanie. Podniósł ją, szarpnął i po kilku chwilach wciągnął na pokład pierwszą flądę. To będzie obfity połów.

Dwie postacie na plaży szykowały się u stóp stromego wzniesienia. W czarnych kombinezonach do nurkowania zlewały się z tłem nocy. Kamizelki, płetwy, maski i butle też były czarne. Nawet pasy balastowe.

Byli niesłychanie czujni. Bez przerwy się rozglądali. O tej porze na plaży nikogo nie było, ale zawsze mógł się napatoczyć jakiś człowiek z psem.

Widać było, że dla większości Duńczyków wakacje się skończyły. Nie mieli najmniejszego problemu ze znalezieniem pustego domu przy plaży, przed którym mogli zostawić samochód od strony otwartej plaży publicznej. Znaleźli go od razu, kiedy tylko z podsłuchu dowiedzieli się, że dziś późnym wieczorem natrafia się ta wyjątkowa okazja, bo obiekt jest sam w domu, gdyż ma wystąpić w programie telewizyjnym nagrywanym na miejscu jutro rano.

Wciągnęli swój sprzęt na głębokość jednego metra. Bez słowa pomogli sobie wzajemnie go nałożyć i przeprowadzili obowiązkową kontrolę sprzętu partnera.

Dopiero na większej głębokości wyregulowali wyporność i złapali równowagę w wodzie, wpuszczając gaz do kamizelek. Gdy wymienili między sobą sygnał, że jest okej, za pomocą

kompasu wytyczyli kurs. Cel był niedaleko. Widzieli nawet światło na morzu. Przez lornetkę widzieli, że obiekt siedzi sobie i relaksuje się w świetle czołówki.

Obaj mieli sztylety przy łydkach, poza tym byli nieuzbrojeni. Jeden z nich miał w pasie reklamówkę ze sklepu. W niej butelkę whisky.

Od obiektu dzieliło ich jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów. Zadanie nie było trudne, lecz wymagało precyzji. Oraz — jak każde inne — pełnego skupienia.

Symultanicznie zanurkowali w ciemność, zostawiwszy po sobie chmurę bąbelków, które w ciszy pęły na powierzchni wody.

Rozdział 37.

Dwie niewymiarowe i tylko jedna ryba zadowolających rozmiarów. Co za wstyd. Czy minister sprawiedliwości może panierować, smażyć i serwować flądry wielkości spodeczka rannym ptaszkom tego kraju?

Osoby mało istotne, jak minister do spraw równości, minister Kościoła, kultury czy transportu — jasne, nie ma sprawy. Ale minister sprawiedliwości? Wykluczone.

Uśmiechnął się do siebie. Miał jeszcze sporo czasu, by złapać ze trzy przyzwoite okazy.

Zajął się kanapką i piwem numer dwa. Wokół panował taki spokój. Zapomniał już, że nie wolno sobie szczędzić tych chwil, które są pokarmem dla duszy i w których może choć na moment nie być ministrem ani głową rodziny.

Mrok był sprzymierzeńcem. Mimo że dopiero co wrócił w myślach do tamtych potwornych, pełnych strachu i niepewności dni i tygodni, nie budziły już w nim tego samego niepokoju co dawniej. Potrafił wyłączyć emocje. Światła tam, na lądzie, mrugały do niego porozumiewawczo. Podobnie latarnia na Nakkehoved. Wszystko pozostało między nim a nim samym.

Wędka przy sterburcie znów mocno zadrżała. Chwilę potem wrzucił na pokład całkiem ładną flądre. W sumie nie tak źle, jak na dwadzieścia minut.

Kiedy założył nową przynętę i zarzucił wędkę, z przyjemnością oddał się kontemplacji scenariusza, który dokładnie sobie obmyślił. To, co nieuchronne, może się stać na kilka sposobów. Gdy tylko dostrzeże taką możliwość, przypuści atak. Bezwzględny i błyskawiczny.

Prezes partii, stojący jednocześnie na czele rządu, był na

wylocie. Potykał się o własne nogi. Sam sporo się nauczył w swojej stosunkowo krótkiej, lecz intensywnej karierze politycznej. I jeden fakt przebijał wszystkie inne.

Jeśli zdrowy rozsądek któregoś polityka jest poddawany w wątpliwość przez wszystkich od lewej do prawej, to bardzo, ale to bardzo trudno będzie mu wrócić na szczyt.

Zajmuje strategiczne miejsce. Sprawy potoczą się bez jego udziału. Jego pozycja stale się umacnia — jego akcje rosą nawet teraz, gdy siedzi sobie i łowi ryby w czasie parlamentarnych wakacji.

Wynurzyli się powoli, by po raz ostatni sprawdzić odległość i kierunek. Za kilka minut przystąpią do akcji. Rolami podzielili się wcześniej. Wielokrotnie na łądzie odgrywali różne możliwe warianty.

Ponownie zanurkowali i spokojnie ruszyli w stronę obiektu.

Wziął porządny łyk piwa i pożałował, że nie zrobił sobie jeszcze ze dwóch kanapek.

Raz tylko spróbował łowić pstrągi, wtedy, na zamku Nørlund. Okazało się to bardzo ekscytujące. Może powinien na poważnie zająć się wędkarstwem? Ale nie będzie się już bawił w robaki i flądry, raczej muchy i łososie. Było w tym coś majestatycznego — wymachiwać długą wędką z kolorowymi muchami, stojąc w rwącym potoku. Umiejętność godna męża stanu i posiadało ją wielu wielkich polityków, którzy przeszli do historii.

Ależ tak. To naprawdę niegłupi pomysł. Człowiek opierający się silnym prądom i łapiący łososie ma w sobie o wiele więcej z *first class policy-maker*a niż zielony myśliwy w kapelusiku z piórkiem.

Ze swojego miejsca pod łodzią wyskoczyli pionowo w górę z ogromną prędkością, przebijając powierzchnię wody. Zarzucili ramiona na reling małej łódki i poczęli nią kołysać.

Obiekt od razu wpadł do wody, głową w dół. Nie zdążył

nawet krzyknąć. Natychmiast też został pochwycony i przytrzymany — wszystko zgodnie z planem.

Obaj napełnili kamizelki powietrzem, by móc swobodnie operować na powierzchni.

Jeden objął obiekt nogami, a ręce zablokował mu na plecach, unieruchamiając go jak w imadle. Drugi wyjął z reklamówki butelkę, odkręcił nakrętkę i szarpnąwszy obiekt za włosy, odchylił mu głowę do tyłu. Potem docisnął otwór butelki do jego ust.

Whisky zniknęła w jego ciele wśród bulgotania, płucia i rozpaczliwych prób uformowania jakichś słów lub krzyku. Część alkoholu wylała się do wody, ale to nic. W gardło obiektu trafiła odpowiednia ilość.

— Dlaczego? Oni was wysłali... to oni? Wiecie, kim... ja... jestem?

Słowa były poszarpane i zdyszane, dodatkowo tłumione najczystszy przerażeniem. Obiekt przestał stawiać opór. Ich siła fizyczna nie dawała mu szans.

— Zrobię... wszystko... mam pieniądze... ile? Mówcie, no, mówcie!

Obiekt wpadł w panikę i rzucał głową na boki.

Znów spuścili powietrze z kamizelek i pociągnęli obiekt ze sobą w ciemność...

Dopiero gdy obiekt zarzucił wszelki opór, a jego mięśnie zwiotczały, wypuścili go i pozwolili ciału odpłynąć.

Tak umarł duński minister sprawiedliwości.

„Team Alfa: status: misja wykonana. Żadnych odchyień. Wycofujemy się z obszaru ASAP. Odbiór”.

Siedział na siedzeniu kierowcy z minilaptopem na kolanach. Jego kolega klarował sprzęt.

Kliknął, by wysłać zaszyfrowaną wiadomość za pośrednictwem specjalnego programu. Taka była procedura. Wszystkie inne formy komunikowania się podczas trwającej

operacji były zabronione. Telefony komórkowe zostawiali wykonawcom z innej, znacznie tańszej półki niż ich.

Wszystko poszło jak w zegarku. Bez jakichkolwiek nieprzewidzianych zdarzeń i bez ryzyka. Wyszli na plażę i zaciągnęli swój sprzęt do samochodu. Nim minęło pół godziny, już ich nie było. Pozostało jeszcze tylko to jedno do zrobienia.

„Smith: Przyjąłem. Bez odbioru”.

Niemal natychmiast przez mały ekran przebiegła cienka linia. Smith, który na imię miał John, tym samym zachowywał najwyższy dla Brytyjczyka stopień anonimowości, kierował obiema operacjami. Nazwisko było zapewne kryptonimem. Gość był freelancerem, ale dawniej pracował dla znanej na całym świecie brytyjskiej jednostki antyterrorystycznej SAS, Special Air Service.

Obie operacje zostały precyzyjnie skoordynowane. Wiedział o tym z wspólnej odprawy. Smith znajdował się w tej chwili w innej części kraju, na środku Jutlandii, niedaleko Brande. Tam czekał, by za jakieś trzy godziny włączyć do akcji Team Beta i rozpocząć zdecydowanie trudniejszą część operacji.

Odłożył komputer, z miejsca pasażera wziął torbę i włożył rękawiczki. Potem ruszył przez otwartą przestrzeń. Miał zejść do domu obiektu, by dopiąć kilka ostatnich, niesłychanie ważnych drobiazgów.

Dom stał niedaleko. Znalazł się w nim po kilku minutach. Poszło aż nazbyt gładko. Drzwi nie były zamknięte na klucz, a obiekt, wybrawszy się na ryby, zostawił zapalone światło.

Z torby wyjął butelkę whisky numer dwa. Glenfiddich, single malt. W butelce zostało trochę mniej niż połowa. Wykonał instrukcje otrzymane od Smitha i ostrożnie trzymał butelkę za nakrętkę i dno, by nie zamazać odcisków palców. Postawił ją na stoliku kawowym, obok otwartego laptopa,

zostawionego w stanie czuwania.

Potem wyjął płytę CD, którą Smith również włożył mu do torby. Wsunął dysk do komputera i zaczął odtwarzanie. Na ekranie pokazał się obiekt klęczący za kobietą w klęku podpartym. Sytuacja była oczywista i kompletnie dla niego nieinteresująca.

Trzeci punkt na liście to szklanka. Poszedł do kuchni i otworzył górną szafkę po lewej. Porównał szklanki w najwyższym rzędzie z tą, którą miał w torbie. Były identyczne — zgodnie z założeniem. Zdjął z półki jedną ze szklanek i schował do torby, a tę, którą przyniósł, postawił na stoliku obok butelki.

Ostatni punkt obejmował szybki obchód po domu. Tu i tam pozostawił po sobie lekki nieporządek. Głównie w zlewie, ale pogrzebał też trochę w ubraniach w sypialni. Leżały starannie ułożone na łóżku, trochę zbyt starannie jak na jego gust. Wszystko powinno wyglądać tak, jak zostawiłby to człowiek, który wychylił właśnie pół butelki whisky. W dodatku po butelce białego wina, którym popił homara. I kuflu piwa w kawiarnianym ogródku.

Kiedy wrócił do salonu, ekran wciąż wypełniały seks i skórzana uprząż. Teraz szli naprawdę ostro i wyjątkowo brutalnie. Zatrzymał nagranie, ale zostawił płytę w dysku.

Jako Duńczyk wiedział oczywiście, że właśnie przygotował tło śmierci ministra sprawiedliwości Ulrika Rosborga. Nie myślał tak o nim, bo po prostu nie lubił imion. W jego branży istniały wyłącznie obiekty. Było to określenie sterylne i pozwalało skupić się na działaniu.

Rozejrzał się po raz ostatni. Wszystko było jak trzeba. Światło zostawił zapalone, kiedy zamykał za sobą drzwi. Pozostało potwierdzić ich wycofanie się z terenu.

Spojrzał na zegarek. Za dokładnie dwie godziny i czterdzieści osiem minut rozpocznie się druga część

operacji. To jej poświęcono większą część odprawy. Była obciążona sporą liczbą elementów ryzyka.

Cel był wysoce niebezpieczny. Znał jego nazwisko. Nie mógł nie znać — w środowisku, z którego się wywodził, ten człowiek był legendą.

Obiektem był sam Niels Oxen.

Rozdział 38.

Był rozdarty... Nie było to zwątpienie czy rozpacz, przywykł do sytuacji patowych. Tym razem sam nie wiedział, co czuje, i trwało to od jakichś czterdziestu ośmiu godzin. I jakkolwiek roztrząsał wszystko w głowie, wciąż nie potrafił znaleźć wyjaśnienia.

Pod powieki uporczywie wracał widok olbrzyma, jego ciemny cień bez przerwy siedział mu w tyle głowy. Axel Mossman, który bez najmniejszego sprzeciwu przyjmował jego ciosy i kopniaki i który na koniec podniósł się, by kulejąc, odejść w noc przez deszcz i błoto.

Niespodziewana wizyta najwyższego szefa PET otwierała całą masę najróżniejszych scenariuszy w jego dotąd spokojnej i pozbawionej gwałtownych zwrotów egzystencji. Wszystkie te scenariusze stały teraz szeroko otwarte i wywoływały w jego głowie przeciąg chaosu i niepewności.

Bo czy w ogóle można wierzyć człowiekowi, który jest szefem wywiadu? Czy można zaufać komuś, którego całe życie opiera się na podstępnie i ukrytych motywach?

„Nie!”, krzyczał najbardziej donośny głos w jego głowie.

„Kto wie, być może?”, podsuwał potulniejszy głos przeciwny.

Długo trwało, nim w ogóle otrząsnął się po szokującej wiadomości o śmierci Mr. White'a. Niemal do rana siedział w kuchni, pijąc kawę za kawą, a kołowrót w jego głowie pracował na pełnych obrotach.

Siedział teraz w tym samym miejscu i na tym samym krześle. Przed nim szklanka wody. Powinien się położyć, był nieskończenie zmęczony. Kofeina to ostatnie, czego potrzebował.

Nie żeby wcześniej nie przemknęło mu to przez głowę. Mossman widniał na jego liście podejrzanych. Miał motyw, aby powiesić na drzewie najcudowniejszego samojeda. Lecz moment, w którym uzyskał pewność, że to on, uderzył go jak pocisk z mózdzierza.

Samokontrola, o którą przez ostatnich kilka lat toczył tak ciężką walkę z sobą samym i którą w ogromnej większości sytuacji udawało mu się zachować, przysła, gdy Mossman odwrócił się i stojąc w ulewnym deszczu, rzucił mu w twarz swoje przyznanie się do winy.

Kiedy poważnie się zastanowił, czuł — ku swojemu zdziwieniu — że gryzie go sumienie. Skopał starszego człowieka. Bardzo mocno. I kopał bardzo długo.

Oczywiście, że tamten na to zasłużył. Miał sobie jednak za złe, że naruszył własny kodeks. Powalić na ziemię i obić mu głowę, żeby mu plomby powypadały, wypchnąć sierpowym całe powietrze z kłamliwego cielska — wszystko to było w najzupełniejszym porządku. Ale nigdy jeszcze nie skopał starszego człowieka.

I to, że teraz w jego głowie brzmiał nie jeden, lecz dwa głosy, Mossman zawdzięczał wyłącznie swojemu wyznaniu.

Niech to szlag. Nie powiedział przecież niczego nowego. Użył tego samego argumentu co ostatnio: że sprawą zawodowej dumy jest dla niego rozwiązanie starej sprawy potentata przemysłowego Ryttingera i kulki wystrzelonej wprost w jego serce. Oraz sprawy gwiazdy socjaldemokratów, Gregersena, jego śmierci i śmierci żony, która wyskoczyła z balkonu. Albo została wypchnięta.

Mossman podkreślił smak starej zupy nową przyprawą: że chciałby uprzedzić system i wkrótce ustąpić ze stanowiska. Że instynkt mu podpowiada, że są jeszcze inne dokumenty prócz tych, które otrzymał inspektor muzeum.

Lecz to nie rozmowa przy kuchennym stole go przekonała.

Absolutnie nie. Naprawdę poruszyło go dopiero jego przyznanie się do winy.

Bo przecież wcale nie musiał się przyznawać. Mógł zabrać do grobu tę nieistotną dla otoczenia tajemnicę, że to on był winien śmierci Mr. White'a.

Więc po co się przyznawał?

Po co się postawił w tak podłym świetle?

Po co ryczał na całe gardło w ulewnym deszczu, że jest podłym, winnym jak cholera sukinsynem?

Odpowiedź na to pytanie była dla niego trudna do przyjęcia. Ponieważ odpowiedź mogła być taka, że Mossman przyznał się z czystej desperacji. Że był to rozpaczliwy apel człowieka w najwyższej potrzebie. Szczery do bólu.

Albo że Mossman po wszystkich latach służby wyszlifował do perfekcji swoje zdolności aktorskie.

Czy w tej samej sekundzie, w której Mossman dostanie tajne listy członków Danehofu Nord, zostaną one zwrócone mrocznym postaciom dzierżącym władzę?

A może starzejący się król szpiegów przymierza się do ukrytej wojny przeciwko ponurej organizacji teraz, gdy wie, że jest sposób, by zająć wroga od tyłu?

Tak czy inaczej, *nie musiał* się przyznawać. Znalazł jego kryjówkę. Mógł przekazać adres odpowiednim ludziom i pozwolić im wykonać krwawą misję. Ale nie. Po prostu przyjął swoją karę. Bez słowa skargi.

W tym momencie powinien przestać szukać odpowiedzi. Myśli przewalają się to w jedną, to w drugą stronę. Raz widzi wcielenie niewinności. Za chwilę diabła. Jedyne, co pozostaje dla niego jasne, to to, że musi wkrótce opuścić Johanna Ottesena.

Powiedział to staremu hodowcy zaraz następnego dnia po wizycie Mossmana. Zostanie jeszcze kilka dni i dokończy wycinkę w sektorze wschodnim. Potem będzie musiał

wracać do domu do Rumunii.

— *Oh no, Dragos, no...*

Rybak patrzył na niego z przestraczem w oczach. A chwilę później ze zrozumieniem.

— *Yes, yes, of course, Dragos, back to family.*

Staruszek w nieskończoność klepał go po ramieniu i kiwał głową. Wkrótce znów zostanie sam. Bez szansy, by kontynuować swoją hodowlę.

Teraz, gdy ich rozstanie stało się faktem, czuł ściskającą gardło wdzięczność. Dla tego starca, który zaprosił go do siebie i dał mu szansę. I pozwolił się zadomowić w starej chałupie.

Wiedząc, że wkrótce straci to wszystko, w pełni doceniał bezpieczeństwo, jakie dawała maleńka kuchnia z pokrytym ceratą stołem.

W pudełku dokazywała wrona. Zjadała i piła wszystko, co jej podawał, i to błyskawicznie. Co się stanie z małym, żarłocznym ptakiem? Rybak na pewno dobrze się nią zaopiekuje i wypuści, kiedy przyjdzie pora.

Pora spakować duży plecak i wyruszyć z miejsca. Bez planu i celu.

Wystarczyła krótka wizyta Mossmana, który jak wilk z bajki dmuchnął w jego domek — i za moment ten mały świat obrócił się w gruz. Boleśnie mu to uświadomiło, jak krucha była ta namiastka normalności, którą tu sobie stworzył.

Pierwsze, co zrobił następnego dnia, to poszedł na skraj lasu, by się upewnić, że wszystko jest tak, jak należy. Wysoki modrzew, pod którym zakopał dokumenty, oczywiście nadal był na swoim miejscu. Ziemię wokół niego porastał teraz gęszcz nieposkromionych jeżyn. Jego kryjówka pozostała nienaruszona. Jak mogłoby być inaczej? Cóż, po prostu niczego już nie był pewien.

Dopił wodę, włożył szklanke do zlewu i zgasił światło.

Najwyższa pora się położyć. Żeby tylko móc zasnąć. I spać spokojnie.

Pomyślał jeszcze, że mógłby tej nocy zabrać śpiwór nad rzekę. Pożegnać się z ciemnymi cieniami, gwiazdami i lustrem wody. Wypalić jointa i wziąć parę łyków whisky, żeby trochę zwolnić kołowrót w głowie.

Ale teraz było za późno. Może jutro.

Nie była to tania operacja. Dwóch ludzi do części pierwszej na wschodzie i siedmiu plus on w części drugiej na zachodzie. Ale to przede wszystkim krótki termin realizacji podbił cenę do wartości kosmicznych.

Pracował już wcześniej dla tego klienta i wiedział, że cena nie gra roli. Liczy się jedynie jakość. A tę zapewniał mu za każdym razem.

Nie było możliwości odsunięcia w czasie obu operacji. Wykonanie części pierwszej, dotyczącej duńskiego ministra sprawiedliwości, było ściśle związane z częścią drugą, którą w krótkim czasie rozpocznie poprzez intercom.

Gdyby dostali więcej czasu — dzień albo jeszcze lepiej dwa dni — nie ulegało wątpliwości, że obiekt za pośrednictwem mediów dowiedziałby się o ministrze. I według zlecniodawcy obiekt natychmiast rzuciłby się do ucieczki.

Obiektem był Niels Oxen, czterdziestoczteroletni weteran wojenny, który był w bliżej nieokreślonym stopniu niestabilny psychicznie z powodu stresu pourazowego. Podczas odprawy przypominał swoim ludziom o konieczności zachowania najwyższej ostrożności.

Obiekt należał wcześniej do elitarnej duńskiej jednostki specjalnej, Jægerkorpset, budzącej zasłużony respekt na całym świecie. Do tego wielokrotnie wyróżniano go za odwagę.

Tej nocy raz jeszcze uświadomił swoim ludziom, stając przed każdym z nich z osobna, że jeśli którykolwiek z nich w

głębi duszy czuje, że dzisiejsza operacja będzie jak *walk in the park*, to jest to ostatni moment, by zabrać swój sprzęt i zniknąć. Ta operacja wymaga maksymalnej koncentracji.

Ich działania dodatkowo utrudniał niezbędny warunek postawiony przez zleceniodawcę: obiekt musi zostać dostarczony żywy. W stanie, który pozwoli na przeprowadzenie długiego przesłuchania.

Z tego też powodu bez jego pozwolenia nie wolno im otwierać ognia ani nawet odpowiadać na ostrzał. Nie można oczywiście wykluczyć, że konieczne będzie zranienie obiektu, ale nic ponad to.

Wyposażeni byli w granaty z gazem łzawiącym i granaty hukowe. Te ostatnie to w rzeczywistości bomby magnezowe. Funkcjonują pod nazwą *flashbang* albo *stun grenade*, a opracowała je przed laty jego dawna jednostka, brytyjskie siły specjalne SAS. Są piekielnie skuteczne w unieruchamianiu przeciwnika ogłuszającym dźwiękiem i oślepiającym światłem. Osobiście jednak, pomimo patriotycznych sentymentów, wolał amerykańskie M84.

Uzbrojenia dopełniał specjalny karabin, który posiadał on i jeszcze jeden z jego ludzi, do wystrzelenia tabletki usypiającej. Służył do strzelania stromotorowego i zasadniczo był to sprzęt mało precyzyjny, używany głównie przez weterynarzy, ale kto wie, w ostateczności może się przydać. Wówczas do krwi byłego komandosa dostanie się słaby roztwór etorfiny, po którym niezwłocznie będzie musiał otrzymać zastrzyk z antidotum w postaci naloksonu.

Plan główny zakładał oszołomienie gazem łzawiącym i obezwładnienie obiektu. Albo skłonienie go do podjęcia jedynej rozsądnej decyzji i poddania się. I tego planu zamierzał się trzymać, dopóki nadrzędne względy nie zmuszą go do jego zmiany.

Obiekt należy doprowadzić w wyznaczone miejsce na

leśnej drodze, na południe, w głąb Jutlandii, a wówczas honorarium zostanie w całości przelane na jego gwatemalskie konto. Będzie mógł osobiście dopilnować transakcji i otrzymać potwierdzenie przelewu z Gwatemala City. Potem sam zajmie się wypłatą wynagrodzeń wynajętych przez siebie ludzi.

W całej operacji jedna rzecz wydawała mu się zastanawiająca, ale miał zasadę, by nie pytać klientów o rzeczy niezwiązane bezpośrednio z wypełnianiem warunków kontraktu. Ale mimo wszystko... W jego poprzednim zleceniu dla tego samego klienta, jakiś rok temu, występowały te same postacie.

Wtedy chodziło o dostarczenie odpowiedniego uzbrojenia. Główną postacią był nie kto inny, jak ów minister Rosborg. Zaskoczyło ich wtedy nagłe pojawienie się kobiety i mężczyzny, którzy na moment sporo namieszali w ich planach.

Później dowiedział się, że kobieta pracuje dla duńskiego wywiadu, a mężczyzna to były komandos o nazwisku, którego się nie zapomina: *Oxen*.

Teraz pojawiają się ponownie: minister i Oxen, w ramach jednego kontraktu dla tego samego zleceniodawcy...

Intuicja podpowiadała mu, że chodzi o coś w rodzaju *oczyszczenia* terenu po poprzedniej operacji. Że zleceniodawca nie był zadowolony z wyniku poprzedniej akcji i teraz chce, by posprząkali.

Przebieg bieżącej akcji był tym trudniejszy do przewidzenia, że operacja nie była dokładnym odtworzeniem poprzedniej roboty. Tym razem bowiem klient włączył do działania również inne firmy.

On sam polecił klientowi swojego kolegę i pośredniczył w kontaktach między nimi. Kolega specjalizował się w działalności wywiadowczo-inwigilacyjnej, nie byli więc

konkurentami, przeciwnie — często się uzupełniali.

Gromadzenie danych wywiadowczych i obserwacja obiektu wymagały cierpliwości, lecz stanowiły obszar prac o kluczowym znaczeniu dla jego operacji i często były bazą, na której się opierał, nim uruchamiał swoich ludzi, którzy do perfekcji opanowali czysto fizyczny aspekt ich roboty. Stanowili zatem zgrany duet w świecie wolnych strzelców, gdzie często warunkiem przetrwania było posiadanie niewidocznej sieci kontaktów.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze kilka minut, a cyfrowy mechanizm wskaże 0300J, *Juliet Time*, czyli czas lokalnego obserwatora, tu, na skraju lasu w samym środku Półwyspu Jutlandzkiego.

Cyfry rosły samoczynnie.

Zmusił się, by przestać rozmyślać o tym, co i tak nie powinno go obchodzić, i skupić się na skomplikowanej misji, którą miał przed sobą.

Została tylko minuta. Zegarki wszystkich były zsynchronizowane, więc do akcji ruszą równocześnie.

Cyfry wciąż biegły naprzód. Teraz.

— *Come on, guys, let's roll. Remember: nice and gently, please.*

Rozdział 39.

Przeszywający pisk alarmu przeciął mu bębenki i wyrwał z cudownych głębin snu, bez niepokojów, bez koszmarów.

Tak jak w tamtą sylwestrową noc, gdy obudził się na sianie w szopie, kilka sekund trwało, nim jego umysł oprzytomniał. Lecz gdy tak się stało, zerwał z siebie kołdrę i przyskoczył do szafki. Nienawidził każdego jednego cholernego alarmu.

Miał w dupie, czy w jego strefę bezpieczeństwa zakradł się Rudolf Czerwononosy czy hipopotam z Limpopo. Tej nocy spał spokojnie jak nigdy.

Gdy otworzył drzwiczki szafki, w oczy uderzyła go fala czerwieni. Szaleństwo.

Wszędzie mrugało.

Lampki ostrzegawcze w ośmiu z dwunastu pól na obu dużych, płaskich ekranach migąły nerwowo.

Wpatrywał się intensywnie w obraz z kamer. Teren wokół domu był monitorowany szczelnie z każdej strony — od północy, północnego wschodu, południa, południowego wschodu i tak dalej, od kamery numer jeden do numeru dwanaście. I tylko cztery z bezprzewodowych kamer nie zostały jeszcze uruchomione.

Mossman! Podła świnia. Powinien był go zabić, gdy miał okazję. Chociaż to bez sensu. Bo po co? Po co, skoro wcześniej sam do niego przylazł?

Obraz był wyraźny. Zbliżało się do niego w sumie osiem postaci ubranych w czarne stroje bojowe, czarne kamizelki kuloodporne i czarne kominiarki z otworami na oczy i usta. Wszyscy mieli noktowizory. Szczegółów reszty sprzętu nie było widać dość wyraźnie, ale mieli i pistolety maszynowe, i karabinki automatyczne.

Bez wątpienia wojsko. Zsynchronizowane ruchy. Jak czarne klony ninja w leśnym poszyciu. Ale nie była to żadna oficjalna jednostka. Ani ich wyposażenie, ani sposób działania nie pasowały do AKS, jednostki antyterrorystycznej duńskiej policji.

Mossman, ta gnida... musiał przekazać Danehofowi, gdzie go znajdą.

Błyskawicznie wrzucił na siebie ubrania leżące na krześle, złapał swój pistolet, mały plecak i zdjął z gwoźdza na ścianie resztę sprzętu.

Idiota! Powinien był zniknąć w tej samej sekundzie, gdy Axel Mossman pokazał swój zawszony kundli pysk na jego terenie.

Zbiegł ze schodów i znalazł się w kuchni. Miał jeszcze odrobinę czasu, nim wróg dotrze do jego domu. Był opanowany. Instynktownie analizował swoje opcje, posługując się metodą eliminacji. W rzeczywistości istniała tylko jedna droga ucieczki: podkop.

Nie chciał jednak, żeby poszło im za łatwo. Zakradł się do tylnych drzwi, lekko je uchylił i oddał w ciemno trzy strzały.

— Tu Smith: stop!

Mimo że strzały nie padły blisko nich, stanowiły ważny sygnał. Tylko jakim cudem? Stracili element zaskoczenia. Jedyne, czego nie wolno im było zaprzepaścić.

— *No fire. I repeat: no fire!*

Rzucił do mikrofonu kilka ostrych komend po angielsku i kazał swoim ludziom paść na ziemię.

Czy to pułapka? Czy to możliwe, że teren był monitorowany, zważywszy na przeszłość Oxena i jego przeszkolenie? Była to tylko jedna z istotnych kwestii, których z braku czasu nie mieli możliwości sprawdzić. Inne, jeszcze bardziej istotne pytanie brzmiało: czy gość był na tyle szurnięty, by zaminować cały teren? Czy któryś z nich

za moment wpakuje się na *claymore'a* albo domowej roboty ładunek pełen gwoździ i śrubek?

Leżeli i żaden ani drgnął. Po kilku minutach rozległy się jeszcze dwa strzały, tym razem z innego miejsca.

Okrzyżli go i Oxen nie miał najmniejszych szans się przedrzeć. A już na pewno nie za pomocą tak skromnego ognia.

Niestety, wyglądało na to, że operacja nie pójdzie tak gładko, jak to sobie wyobrażał. Muszą się uzbroić w cierpliwość, ale muszą również dorwać go przed świtem.

Cisza brzęczała w uszach. Co było dziwne. Otoczyli go, a mimo to słychać było tylko ciszę. Żadnego skoordynowanego posuwania się naprzód, żadnego ostrzału. Żadnych granatów hukowych, gazu, żadnej próby sprowokowania go, by się odezwał.

Absolutnie nic. Bezruch.

Stał w ganku z tyłu domu z plecami dociśniętymi do ściany. Od zejścia do piwnicy dzieliło go kilka metrów. Ale jeszcze za wcześnie. Wolałby zejść do tunelu po nawiązaniu kontaktu z wrogiem.

Na zewnątrz wciąż żadnych kroków, żadnego hałasu. Nasłuchiwał intensywnie. Może piekło rozpęta się na sygnał? Może na to czekali?

Stał dalej. Im dłużej stał, tym bardziej nie podobało mu się to wszystko. Już dawno mogli go zlikwidować. Bazooką albo granatem ręcznym. Albo przynajmniej spróbować.

Nagle uzmysłowił sobie, czemu tego nie zrobili. Nie chcą go zabić. W każdym razie jeszcze nie teraz. Najpierw musi mówić. Potem umrzeć. To miało sens.

Danehof będzie próbował wydusić z niego, gdzie się znajduje i jak działa jego system zabezpieczeń z nagraniem. Nie chcą ryzykować jego śmierci przed uzyskaniem tych informacji. Zbiliby wówczas własnego króla, ministra

sprawiedliwości.

I jeszcze papiery... bo jeśli się zorientowali, że nie ma ich w archiwach, to będą musieli się od niego dowiedzieć również tego, gdzie je ukrył.

Tak, ci tam, w ciemności, mieli istotne powody, by ostrożnie stawiać kroki. Ich dowódca musiał się pewnie nieźle wkurzyć, że nie udało im się go zaskoczyć chrapiącego w łóżku.

Ledwie dokończył swój wywód, gdy roztrzaskały się szyby w kilku oknach jednocześnie. Również ta w kuchni. Pochylił się i dostrzegł na podłodze toczący się granat z gazem łzawiącym. Przed nim ochronić mogła tylko maska.

Przyskoczył do drzwi piwnicy. Zbiegł schodami w dół, odsunął regał, wrzucił do rury swój sprzęt i sam wcisnął się do jej wnętrza. Potem pociągnął za sznurek i usłyszał kliknięcie, gdy regał zawisł pewnie na haku w ścianie.

Oczywiście, że znajdą podkop. I nie będzie to kwestia godzin. Ale na razie będą musieli zachować czujność, zakradając się do jego domu, i nie ma wyjścia, jak tylko wierzyć, że przewaga, jaką dzięki temu zyskuje, okaże się wystarczająca.

Zaczął mozolne czołganie się w tunelu. Teraz przydał się trening, który odbył wcześniej. Pomimo nietypowych warunków ruchu miał skoordynowane. Chwilę leżał nieruchomo. Wciąż nie słyszał żadnych dźwięków. Żadnych pokrzykiwań czy ciężkich butów nad głową.

Wokół siebie miał tylko czerń. Przeciskał się więc dalej w pośpiechu, nie trwoniąc czasu na zakładanie noktowizora.

Pod łokciami poczuł, że dotarł do rozgałęzienia. Zdecydował się iść prosto. Minęło jeszcze kilka minut i tunel zaczął się piąć w górę do wjazdu. Odwrócił się na plecy, wyciągnął ręce za głowę i ostrożnie odsunął ukrytą w liściach klapę. Powinien być już daleko za linią wroga, ale

wróg mógł zostawić tylną straż.

Wciąż klęcząc na ściółce, nałożył noktowizor. Wokół nie dostrzegł niczego podejrzanego. Same ciasno rosnące pnie. Wstał i natychmiast ruszył sobie tylko znaną ścieżką, która go poprowadzi przez gąszcz aż na brzeg rzeki Skjern Å.

Tam da się ponieść prądowi.

Rozdział 40.

Ręce starca trzęsły się i nie potrafił nieruchomo utrzymać głowy. Przerażony, stał we własnym salonie w znoszonych kapciach i poplamionej dziurawej piżamie.

Było wpół do piątej rano, gdy usłyszał walenie pięściami w drzwi. Chwilę potem wywlekli go z łóżka.

Ostatecznie przypuścili szturm na skromne mieszkanie obiektu — nie napotkawszy jakiegokolwiek oporu ani nie wszedłszy na ukryte miny. Weteran zniknął. Wkrótce okazało się, że przedostał się do lasu tunelem, który wykopał w piwnicy i ukrył za regałem.

Postawny gość, który się przedstawił jako John Smith, był wściekły. Wezwał jedynych dwóch Duńczyków ze swojej grupy i rozkazał im przesłuchać dziadka.

— Wykonać!

Wysoki mężczyzna w czarnym uniformie skinął głową i podszedł do starca.

— Jak panu na imię?

— Johannes. Johannes Ottesen...

— Czy dom w lesie, tam na górze, należy do pana?

Stary szybko pokiwał głową.

— Tak. Jest mój.

— A mężczyzna, który w nim mieszka?

— To mój pomocnik. Dlaczego pan pyta? Kim wy jesteście?

Czy on zrobił coś złego?

— To bandyta. Poszukiwany.

— Dragos? Nie wierzę.

— Dragos? Czy tak się przedstawił?

Stary znów pokiwał głową.

— A jak dalej?

— Yyy... tego to nie pa... A wiem! Adrian! Adrian Dragos. Jest z Rumunii. Pomaga mi przy rybach i robi porządek w lesie. To żaden przestępca. Jestem tego pewien. Pomyliliście go z kimś.

— Tak czy inaczej, uciekł, gdy nas zobaczył. Jesteśmy jednostką policji. Jest poszukiwany za zabójstwo.

— Zabójstwo?

Stary hodowca ryb kiwał głową z niedowierzaniem.

— Jak można się stąd wydostać? Są jakieś inne drogi?

— Jest żwirowa droga do asfaltu. Innej drogi nie ma.

— Ma pan samochód? Może więcej niż jeden?

— Mam starego pick-upa. Stoi w tamtej zielonej szopie.

Wszystko się zgadzało. Samochód był na miejscu. Mężczyzna wypytywał dalej:

— A ścieżki, koleiny, tego typu rzeczy?

— Co to, to nie... ale jest rzeka. Dopływa aż do fiordu Ringkøbing.

— Ten Dragos ma łódź? — Mężczyzna w czarnym uniformie zmarszczył brwi.

— Nie, ale ja mam stare kanu. Trzymam je na wałach.

— Gdzie to jest?

— Na zachód od domu Dragosa. Jakies pół kilometra.

— Ma pan więcej tych kanu, albo kajaków czy tam łodzi?

Stary się zamyślił. Mężczyzna w czerni uniósł ostrzegawczo palec.

— Ma pan?

— Tak. Jeszcze jedno stare kanu. Z włókna szklanego.

— Gdzie?

— W maszynowni. Pod brezentem.

— Da się stąd dopłynąć do rzeki?

— Tak, można — odparł starzec z namysłem. — Trzeba by popłynąć kanałem głównym i przenieść kanu przez groblę. Wtedy dałoby się...

Wysoki mężczyzna przez chwilę się zastanawiał, po czym znów zwrócił się do starego:

— A mosty? Są w pobliżu jakieś mosty?

— Dopiero w Skarrild, ale to daleko. Potem jest Sdr. Felding i dalej przy Borris.

Mężczyzna zawołał swojego szefa i streścił mu po angielsku rozmowę. Odeszli kawałek i przez chwilę rozmawiali ściszone głosami. Szef, Smith, z kieszeni na udzie wyjął porządny sztylet o długim ostrzu i dyskretnie wsunął go w obleczoną czarną rękawiczką dłoń Duńczyka.

— Trzymaj. To bowie Oxena. Uważaj, żeby nie zatrzeć odcisków palców. Nie możemy zostawić świadka. Zajmij się starym. Oxen będzie musiał działać pod zwiększoną presją. Albo Dragos.

Smith uśmiechnął się lekko, nim dodał:

— A przy okazji twoja *wersja* stanie się prawdą. Odtąd będzie poszukiwanym zabójcą. Przewróć tę budę do góry nogami. Niech to wygląda autentycznie. Oxen na bank coś ukradł staremu. Ja spadam. Dwóch z nas musi natychmiast wskoczyć do tego cholernego kanu. Tylko tak Oxen mógł się wywinąć.

Wysoki Duńczyk pokiwał głową z poważną miną. Pewnym chwytem trzymał rękojeść. Po czym zrobił zamach w przód i w górę.

Rozdział 41.

Kanu sunęło bezdźwięcznie w ciemność, kiedy postanowił zrobić sobie przerwę. Wszystkie siły zużył na odpychanie się pagajem, by nabrać prędkości, i stale musiał przenosić ciężar ciała z boku na bok, by utrzymać kurs.

Momentami musiał niemal użyć kanu jako tarana, by przedrzeć się przez gęste łożyny porastające oba brzegi i zamykające się nad taflą wody. Za każdym razem po takim manewrze wzbijał w górę chmary owadów śpiących wśród liści. Wlatywały wszędzie, do uszu, nosa, oczu i ust.

Noktowizor zdjął już dawno. Aby nawigować w wąskich przesmykach, musiał stale rozglądać się na boki, a noktowizor mocno to utrudniał. Płynął więc na oślep i tylko kilka razy, gdy nie widział wyjścia z wierzbowego labiryntu, włączył czołówkę.

Światło uczyniłoby z niego doskonały cel dla snajpera, więc większość drogi pokonywał, korzystając z niewielkiego odbicia półksiężyca na wodzie. Gdy zbliżał się do Gudenåen, musiał się trzymać wewnętrznej strony koryta Skjern Å. Nie tylko przez gęste zarośla, ale także dlatego, że rzeka stawała się tu nieprzewidywalna. Wiła się niczym wąż, a nurt w zakolach był szczególnie silny.

Musiał się sporo namęczyć, by się utrzymać na płytkim krańcu każdego zakola i nie dać się wciągnąć na przeciwległy brzeg, gdzie w każdej chwili mógł stanąć w poprzek rzeki, a ta błyskawicznie obróciłaby go i porwałaby tyłem do biegu. Tracił cenne minuty, próbując zapanować nad rozchwianym kanu, i wciąż nie miał gwarancji, że bezpiecznie przejdzie następny ostry zakręt.

Pływanie kanu w pojedynkę to piekielnie ciężka praca. W

tym momencie gratulował sobie w duchu, że w czasie, który spędził u Rybaka, zadał sobie trud, by parę razy tędy spłynąć i rozpoznać teren.

Nie mógł przewidzieć, jakie zasadzki zastawili na niego prześladowcy, więc zależało mu, by oddalić się jak najszybciej. Ale za każdym razem, gdy zbyt zawzięcie wiosłował, kanu znów zaczynało płynąć zygzakiem i dystans niepotrzebnie się wydłużał.

Cały odcinek aż do Skarrild był odludny z nielicznymi tylko zabudowaniami. Trzeba było jednak wiedzieć, gdzie stoją, aby je odnaleźć w ciemności. Przez większość czasu płynęło się w zamkniętym tunelu rzeki z wałami, wysokim tatarakiem, gęstymi zaroślami na brzegach, a momentami zwykłym lasem i dopiero na ostatnim odcinku, tuż przed niewielkim miasteczkiem, wypływało się na płaską równinę porośniętą łąkami. Tam, na lewym brzegu, tuż za mostem, na wiejskiej drodze było miejsce postoju dla kajakarzy.

On jednak nie zamierzał płynąć aż tak daleko. Nie zamierzał wychodzić na otwarty teren. Nie zamierzał dać się złapać pierwszym promieniom słońca.

W żołądku czuł napięcie, ale umysł miał jasny i spokojny. Tymczasem zawiesił szalone spekulacje, którymi zadrećczał się w ostatnich dniach. W tej chwili skupiał się na jednym: uciec. Optymalnie wykorzystać swoją wiedzę. Uniknąć konfrontacji.

Wreszcie, po kolejnym zakolu, rozciągnął się przed nim długi, prosty odcinek. Zrobił sobie przerwę. Pagaj położył na wodzie jak wiosło i pozwolił nieść się prądowi.

W innym świecie i czasie cieszyłaby go taka wyprawa. Teraz jednak musiał w pełni wyteńczyć zmysły, skupić wzrok i nasłuchiwać uważnie.

Miał wrażenie, jakby spełniało się ponure proroctwo. Przyłapał się nawet na tym, że pomyślał: „w końcu”. W

końcu nie musi czekać. Wszystkie jego wyobrażenia stały się jawą.

Było tak, jak się obawiał. Odnaleźli go. I zaatakowali. Samotny i łatwy *cel* w słabo zamieszkałym terenie. Gdyby nie był taki czujny...

Czuł satysfakcję, widząc, że wszystkie jego przygotowania i zabiegi okazały się mieć sens. Że kamery na drzewach, wiecznie zasłonięte rolety, a przede wszystkim podkop nie były dziełem paranoika.

Wszystkie czaso- i pracochłonne zabiegi okazały się warte swojej ceny. O tym właśnie przekonywał się w tej chwili. O tym przekonywał się w każdej chwili swojego życia. Gotowość, gotowość i jeszcze raz gotowość. Ona ratowała życie. Bez względu na położenie geograficzne.

Postanowił zrobić postój przy ekskluzywnej posiadłości, którą wcześniej podziwiał znad jeziora. Leżała po lewej, jakieś sto metrów od rzeki, tyłem do lasu. Aby się do niej dostać, trzeba było przejść przez cały szereg ostrych wirów w głębokim tunelu między wysokimi wałami rzeki i po takiej przeprawie miało się wrażenie, jakby rzeka dosłownie wypływała człowieka na większy, otwarty teren, będący czymś w rodzaju enklawy spokoju, nim koryto ponownie wdzierало się głęboko w ziemię, a nurt przyspieszał.

Może uda mu się tam znaleźć jakiś samochód. A potem będzie musiał...

Co to było? Wydało mu się, że coś usłyszał. Bardzo słaby, ale zdecydowanie obco brzmiący odgłos.

Powiosłował do brzegu i mocno przytrzymał się szuwarów, by kanu pozostało nieruchomo. Czekał tak kilka minut i nic się nie działo. Potem nagle znów usłyszał ten dźwięk. Ciężki, głuchy odgłos. Jakby uderzenie drewnem.

Mógł to być odgłos pagaja uderzanego w burtę albo kadłub. Bardzo cichy dźwięk. Ale czy za drugim razem nie

był odrobinę głośniejszy?

Czy to możliwe, że jego nieznani przeciwnicy mieli ze sobą łódź? A może znaleźli dodatkowe kanu Rybaka w maszynowni? Jeśli mieli własny sprzęt, do tego kajaki, dogonią go błyskawicznie.

Nawet jeśli mają tylko kanu, to i tak niebezpieczeństwo jest duże. We dwóch są w stanie płynąć ponad dwukrotnie szybciej niż on w pojedynkę. Z tego, co się orientował, wynikało, że do tamtego dużego majątku został jeszcze spory kawałek. Będzie musiał zmienić plan. Musi działać, dopóki sam kontroluje sytuację.

Odepchnął się lekko i znów płynął z nurtem. Natychmiast przyśpieszył, wykonując długie, płynne, głębokie ruchy, po czym odwrócił pagaj, przeniósł go sobie nad głowę niczym tamburmajor batutę i błyskawicznie zmienił stronę. Każdą zyskaną minutę mógł wykorzystać konstruktywnie.

Po niecałych dziesięciu minutach znalazł odpowiednie miejsce. Włączył czołówkę, stewę dziobową skierował na mieliznę, wskoczył na brzeg i wciągnął za sobą kanu.

Nagle w chmurach pojawiła się dziura. Dzięki niej mógł oszacować swoje możliwości.

Stał w łagodnym, szerokim zakolu rzeki z płycizną z jednej strony. Po drugiej stronie wznosił się stromy brzeg porośnięty drzewami, których łapczywe ręce korzeni wdzierały się w wodę.

Kilka metrów od niego zaczynało się strome, piaszczyste zbocze. Wyglądało, jakby kończyło się na równinie porośniętej krzakami i sosnami górskimi jakieś dziesięć, może dwanaście metrów nad jego głową. Dalej niczym czarny mur wznosił się las iglasty. Zdecydowanie da się go wykorzystać.

Wspiął się na zbocze, starając się zostawić jak najbardziej wyraźne ślady. Po drodze trafił na kamień. Był okrągły i

idealnie leżał w dłoni. Schował go do kieszeni i rzucił się biegiem przez niskie zarośla. Krążył wokół dużych i małych sosen górskich, stawiając odpowiedniej długości kroki i buty wbijając jak najgłębiej w miękki iglasty dywan.

Gdy dotarł na skraj lasu, od razu zrobiło się trudniej. Zwarty mur jeżyn szarpał go i drapał, gdy przedzierał się przez niego w głąb lasu. Wciąż zostawiał za sobą wyraźne ślady, aż w pewnym momencie, zachowując najwyższą ostrożność, odbił w prawo i wrócił na brzeg rzeki, kawałek niżej.

Plecak i pozostały sprzęt ukrył w krzakach obok kępki brzoź karłowatych, których liście połyskiwały w ciemności.

Pierwszych kilka metrów bez trudu dało się przejść w bród. Potem dno gwałtownie się obniżyło, jakby otworzyła się przepaść. Musiał więc płynąć w rwącym nurcie, który mocno dociskał go do dołu, aż dotarł na przeciwległy brzeg i wciągnął się na zarośnięty ląd.

Podświetlił tarczę zegarka. Cała operacja trwała nieco krócej, niż przewidywał. O jakieś pięć minut.

Ruszył w górę rzeki, w stronę drzew o wielkich korzeniach. Tam przykucnął. Dobre miejsce na czekanie. I na zwiad.

Pokazali się siedem minut później. Dwie czołówki na zakolu kawałek wyżej. Pewnie sądzili, że mają do niego jeszcze spory kawałek.

Jedyne, co widział, to te dwa niebieskawe światełka. Szybko się zbliżały. Teraz widział już pierwszego z ludzi. Oświetlała go jego własna czołówka. Płynęli kanu. Tempo mieli zawrotne, wiosłowali wyćwiczonymi, pewnymi ruchami. Ich ramiona pracowały niczym korbowody. Zawodowcy. Wytrenowani do poruszania się z równą sprawnością w wodzie, na łądzie i w powietrzu.

Przy ich tempie będzie musiał się ich pozbyć — i to niezwłocznie. Przerzucił nogi przez krawędź skarpy i

trzymając się jednego z mocnych korzeni, opuścił się do zimnej wody. Chwytając się kolejnych korzeni, przesuwiał się pod prąd, aż znalazł odpowiednią pozycję.

Światła zbliżały się tak szybko, że wolał nie ryzykować dalszego czekania. Wykonał krótką hiperwentylację, biorąc parę głębokich wdechów, po czym osunął się w zimną ciemność.

Wciąż był najzupełniej spokojny. Odliczał sekundy. Gdy doszedł do trzech minut, wynurzył się bardzo powoli i tylko na tyle, by wystawić nad wodę oczy.

Było tak, jak przewidział. Pościg zatrzymał się obok porzuconego kanu. Wyłączyli czołówki, ale widział ich jako dwa czarne cienie. Wyglądali, jakby się naradzali. W końcu jeden z nich wspiął się na skałę i zniknął, a drugi został na brzegu i stojąc plecami do rzeki, trzymał wartę przy kanu.

Odczekał wystarczająco długo, po czym ponownie zanurzył się w wodzie. Kilkoma silnymi machnięciami pokonał pod wodą miejsce, gdzie nurt był najbardziej rwący, i dalej pozwolił mu się ponieść.

Płynął wolno, pozostając pod wodą; jak krokodyl wiercił się, szukając najbardziej dogodnej pozycji. Dopiero gdy klatką piersiową zaszurał o piasek, zastygł w bezruchu.

Reszta — tych kilka metrów, które go dzieliły od czarnych pleców przeciwnika — była wyłącznie kwestią siły i czasu. Sprawą kluczową jest znać własne ograniczenia. Nie zamierzał stawać do walki z młodym, świetnie wyszkolonym byczkiem o podobnej do jego własnej ścieżce kariery. Oczywiście mogłoby się skończyć dobrze, ale za bardzo wyszedł z wprawy, by podjąć takie ryzyko.

Jego palce zamknęły się na kamieniu w kieszeni na udzie. Wolno podniósł się i uklęknął, wciąż zasłonięty małą kępką tataraku. Jeszcze kawałeczek bliżej... Teraz!

W kilku susach wyskoczył z wody i znalazł się na brzegu.

Jego przeciwnik zdążył tylko się odwrócić i z krótkim okrzykiem zaskoczenia unieść karabin maszynowy.

Lewym przedramieniem odsunął od siebie lufę, a prawą ręką, w której trzymał kamień, oddał potężny cios w skroń mężczyzny. Tamten padł nieprzytomny bez jednego dźwięku. Będzie tak leżał jeszcze jakiś czas. Potem może któryś z jego kolegów podrzuci go do szpitala, sypiąc z rękawa gotową historią, możliwie najdalszą od prawdy.

Teraz trzeba działać szybko. Z krzaków wyjął swój sprzęt i złapał oba pagaje przeciwnika. Stare kanu Rybaka wciągnął na wodę i puścił z nurtem, a sam wsiadł do swojego i odbił od brzegu.

Chwilę później znów spowiała go ciemność.

Rozdział 42.

Prezenter wiadomości siedział z ponurą miną i ze wzrokiem wbitym w blat. Potem zgarnął swoje papiery i spojrzał prosto w kamerę.

— Nasze specjalne wydanie wiadomości ma związek ze śmiercią ministra sprawiedliwości Ulrika Rosborga. Dziś rano rozpoczęto szeroko zakrojone poszukiwania ministra, gdy zespół telewizyjny zgodnie z wcześniejszą umową pojawił się w letnim domu państwa Rosborgów w Gilleleje, by nagrać program na żywo. Ministra nie było w domu. Wszędzie paliło się światło, drzwi były otwarte, a należąca do ministra łódź wiosłowa zniknęła. Przed chwilą otrzymaliśmy informację, że ciało ministra Rosborga zostało znalezione na pobliskiej plaży. Oddaję głos naszej reporterce w Gilleleje.

Gdy tylko postawiła nogę na pierwszym stopniu schodów w głównej siedzibie PET w Søborgu, została wezwana na naradę. W sali konferencyjnej zebrało się całe kierownictwo działu operacyjnego.

Minister sprawiedliwości, który był formalnie najwyższym zwierzchnikiem wywiadu policyjnego, nie żył. W głównej siedzibie PET zapanował lekki chaos i ocean spraw organizacyjnych do uregulowania. Lecz szef operacyjny Martin Rytter zaczął od włączenia dużego telewizora.

Na ekranie pojawiła się młoda kobieta w jasnej letniej sukience. Stała na plaży w Gilleleje z ręką przytkniętą do lewego ucha, jakby chciała przytrzymać znajdującą się w nim słuchawkę.

— Ulla Ploug, co wiemy na chwilę obecną? — Pytanie dziennikarza w studiu przez moment zawisło na wietrze,

nim reporterka pokiwała głową i odparła:

— Wiemy, że ciało ministra zostało dostrzeżone przez ratowników patrolujących teren z powietrza helikopterem należącym do dowództwa operacyjnego duńskiej floty. Ciało zostało wyrzucone na brzeg na plaży przy Munkerup Strandvej, niespełna cztery kilometry na wschód od stojącego przy plaży letniego domu ministra. Łódź ministra znaleziono na morzu przed godziną.

— Czy wiadomo już coś o przyczynach śmierci?

— Póki co — nie. Na tak wczesnym etapie komentarze są bardzo oszczędne. Przedstawiciel miejscowej policji powiedział mi jednak, że wszystko wskazuje na nieszczęśliwy wypadek.

— Zaginięcie ministra zgłosiła ekipa telewizyjna, prawda?

— Dokładnie. Minister miał dziś rano wystąpić w nagrywanym na żywo porannym programie. W kuchni swojego letniego domu miał przyrządzać własnoręcznie złowione ryby. Lecz tak jak powiedziałaś we wstępie — ekipa go nie zastała. W całym domu paliło się światło, a drzwi nie były zamknięte na klucz. Telefon ministra również nie odpowiadał. Dlatego producent programu zwrócił się po pomoc policji.

— Jakie czynności są przeprowadzane w tym momencie?

— Oczywiście w razie śmierci tak znanego i pełniącego tak ważną funkcję w państwie polityka, a do tego najwyższego zwierzchnika policji, zaangażowane zostają ogromne środki i uruchamia się cały szereg procedur. Podjętych zostanie mnóstwo czynności śledczych. Naturalnie zostaną przeprowadzone oględziny, a ostateczną przyczynę śmierci wskaże sekcja zwłok.

Na ekranie znów pojawiło się zbliżenie na gospodarza w studio. Chwilę się namyślał, po czym powiedział:

— Dziękuję. Wrócimy do ciebie ponownie. To była Ulla

Ploug. A my mamy bezpośrednie połączenie z szefem policji okręgu Zelandii Północnej Henningiem Ølgaardem. Dzień dobry. Czy może pan powiedzieć widzom... co się teraz dzieje?

Szef policji, ogorzały i otyły, ze stosownie przygnębiałą miną pokiwał głową i zaczął:

— Jak każdy zgon, tak i ten będzie musiał zostać dokładnie zbadany. Mamy oczywiście na względzie, że chodzi o ministra. Na tę chwilę nie dysponujemy żadnymi informacjami, które pozwalałyby podejrzewać, że śmierć nastąpiła w wyniku przestępstwa. Lecz sprawa zostanie poddana rutynowemu śledztwu.

— Minister sprawiedliwości jest głównodowodzącym was, czyli policji. Co to oznacza?

— Zupełnie nic. Nie ma to żadnego wpływu na sposób, w jaki przystępujemy do śledztwa. Nie mamy również...

Rytter wyłączył telewizor.

— To były najnowsze informacje, a w każdym razie to, co śledczy zdecydowali się przekazać opinii publicznej. Ja wiem nieco więcej, ale niewiele więcej — powiedział.

Uważnie mu się przyjrzała. Wyglądał jak zawsze na rozluźnionego, choć wydawał się nieco poważniejszy niż zwykle. Stał po grząskim gruncie i bardzo uważał, by nie popełnić błędu.

— Od żony ministra wiemy, że zniknęły obie wędki, które mieli w domu. Od lokalnej policji z kolei dowiedzieliśmy się, że w salonie stała opróżniona do połowy butelka whisky, okoliczni mieszkańcy zaś widzieli ministra, jak jadł homara w restauracji Gilleleje Havn i do tego wypił butelkę białego wina. Był ponoć w znakomitym nastroju. Wiemy też, że po obiedzie wypił jedno duże piwo w ogródku piwnym w *Brasseri*et razem z fryzjerem celebrytą Tommym „The Scissors” Palsbym. Do tego wiemy, że miał smażyć złowione

przez siebie flądry w porannej telewizji. Stąd, panie i panowie, łatwo wywnioskować, że nasz bohater wybrał się na ryby w stanie bardziej niż lekkiego upojenia. Wypadł za burtę. Nie wiadomo dlaczego. Większość ludzi, w tym wędkarze, uważa, by zachować równowagę, kiedy wstają się odlać. Nieważne, czy są pijani, czy nie. Może gdy upadł, uderzył się w głowę. Tego jeszcze nie wiemy. Zasadniczo nie wiemy nawet, czy naprawdę utonął. Ale... gdy słyszę tętent kopyt, to prędzej pomyślę „koń” niż „zebra”.

Ostatnia uwaga została skwitowana uśmiechami i lekkim śmiechem siedzących wokół stołu.

— Niemniej... Musimy oczywiście odwalić całą żmudną robotę. Podzielmy się zatem działaniami, które leżą w naszej gestii.

Ktoś zapukał do drzwi. Do sali weszła kobieta z recepcji.

— Margrethe Franck? — Kobieta spojrzała po zebranych.

Zgłosiła się, unosząc palec.

— Jest pani proszona do gabinetu Axela Mossmana. Natychmiast.

Mossman spojrzał na nią znad okularów, gdy weszła do jego gabinetu i z nieco większą nonszalancją niż poprzednio opadła na chesterfielda.

— Witaj, Margrethe.

Mossman pokiwał głową, a w jego głosie pobrzmiwała łagodność, której nie słyszała u niego już dawno. Może to przez śmierć ministra. Dopiero gdy podniósł głowę i spojrzał jej w oczy, zauważyła, że ma poobijaną twarz. Siniak pod okiem, rozcięta brew i spuchnięty policzek.

Gdyby to było przed sprawą wieszanych psów, od razu zaczęłaby mu wiercić dziurę w brzuchu, aż by jej powiedział. Teraz milczała. Niech sam zdecyduje, czy ma ochotę jej wyjaśnić, dlaczego jego twarz wygląda jak pół kilo mielonego mięsa.

— Słyszałaś? — zapytał pobity szef PET.

W tej chwili nie mówiło się chyba o niczym poza śmiercią Rosborga.

— Jasne. Nadają na żywo z Gilleleje.

— Nie mówię o nim... o Rosborgu. Czyli *nie* słyszałaś.

— Poszłam prosto na zebranie. Właśnie mnie z niego wyciągnąłeś. Co mam ci powiedzieć?

Mossman zdjął okulary i potarł twarz, tłumiąc ziewnięcie godne grizzly.

— Zaraz do tego przejdziemy — odparł i wyjął coś z szuflady biurka. Płytę CD. Pokazał ją jej.

— Jak myślisz, Margrethe, co to jest?

— Płyta CD. Czy to test do mensy?

Mossman uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Tę płytę znaleziono w laptopie Ulrika Rosborga stojącym na stole w salonie jego letniego domu. Sam byłem tam dziś rano. Pożyczyłem tę płytę od szefa policji okręgu Zelandii Północnej. Co ty na to, jeśli ci podpowiem, że nagranie jest mocno kompromitujące?

— Że przedstawia Rosborga w komnatach zamku Nørlund, jak posuwa ekskluzywną prostytutkę z Litwy Virginiję Zakalskyte aż do samiutkiej śmierci.

Mossman pokiwał głową i mówił dalej:

— A jeśli do tego dodam „Niels Oxen”, to co powiesz?

— Że ma takie samo nagranie, które jest dla niego rodzajem zabezpieczenia. Że zagroził jego upublicznieniem, jeśli Danehof zacznie go ściagać. I że...

Przerwała własny wywód. Zaklęła głośno, gdy dotarł do niej jego sens.

— A teraz, gdy minister nie żyje, mogą bez przeszkód zapolować na Oxena — dokończyła i zamarła.

Mossman podniósł leżącego na biurku pilota i włączył telewizor. Na ścianie znów pojawiło się specjalne wydanie

wiadomości programu drugiego. Mossman milczał, pozwalając, by dwoje siedzących w studiu dziennikarzy omówiło śmierć ministra. Nagle mężczyzna po lewej odwrócił wzrok od swojej koleżanki i spojrzał wprost do kamery: „Przechodzimy teraz do drugiego najważniejszego wydarzenia z tego ranka: szeroko zakrojonego pościgu za najwyższym odznaczonym żołnierzem w kraju, dawnym komandosem i weteranem wojny bałkańskiej Nielsem Oxenem, który jest podejrzewany o zamordowanie swojego pracodawcy, siedemdziesięcioletniego hodowcy ryb”.

— To już się zaczęło — mruknął Mossman i spojrzał na nią.

— Cholera jasna, to niemożliwe... Nie z Nielsem. Jak im się to udało? Tak szybko? Niemal równocześnie z Rosborgiem.

— Sami wszystko ujawnili. Ty i ja jesteśmy obecnie jedynymi ludźmi w kraju, którzy wiedzą, o co tu chodzi. I niech tak na razie pozostanie, rozumiesz?

Tym razem jego ton był wyjątkowo ostry. Patrzył jej prosto w oczy, a ona jedynie pokiwała głową.

„Policja rozpoczęła właśnie wzmożone poszukiwania Nielsa Oxena, co do którego istnieje domniemanie, że jest psychicznie niezrównoważony i może stanowić zagrożenie dla społeczeństwa. Najprawdopodobniej jest uzbrojony i może się posługiwać nazwiskiem, pod którym ukrywał się przez ostatnich sześć miesięcy: Adrian Dragos, obywatel Rumunii. Policyjne śledztwo jest objęte całkowitą tajemnicą. Ekipie TV2News nie udało się uzyskać na ten temat ani jednego komentarza. Łączymy się z naszym reporterem Henrikiem Brage'em, który znajduje się na miejscu zdarzenia. Henrik, czy masz dla nas jakieś nowe informacje?”

Na ekranie pojawił się młody chłopak w krawacie i swetrze w serek, z policzkami aż czerwonymi od emocji.

„Udało mi się ustalić, że siedemdziesięcioletni

właściciel stawów hodowlanych Johannes Ottesen został zabity nożem. Wiemy również, że mowa o sztylcie należącym do Nielsa Oxena. Żadnej z tych informacji nie potwierdzili jednak pracujący na miejscu policjanci. Zbrodni dokonano w środku nocy w gospodarstwie rybnym położonym między Brande a Sdr. Felding, nad rzeką Skjern Å. W domu przeznaczonym na mieszkanie pracownicze, w którym miał mieszkać Oxen, wybuchł pożar. Dostrzegł go kierowca przejeżdżający drogą. Policja otrzymała zgłoszenie o godzinie czwartej pięćdziesiąt dwie”.

„My ze studia możemy dodać, że Niels Oxen to jedyny żołnierz odznaczony Krzyżem Waleczności. Jest to wyróżnienie honorowe przyznawane za wyjątkowo bohaterską postawę. Czterdziestoczteroletni były komandos ma podobno cierpieć na zespół stresu pourazowego, przez co od kilku lat jest psychicznie niestabilny. Henrik, czy policja nie odkryła żadnych tropów zbiegłego weterana?”

„Tego nie wiemy. Jak wspomniałeś, śledztwo jest ściśle utajnione. Wiemy za to, że policja za pomocą szeregu blokad drogowych w regionie środkowej Jutlandii próbuje przeczesać cały obszar poszukiwań. Podobno...”

Mossman wyłączył telewizor, pokręcił głową i westchnął głęboko. Spojrzała w oczy swojemu szefowi, gdy ten podsumował:

— Niech to szlag.

Więcej nie powiedział.

Margrethe spuściła wzrok i przez chwilę patrzyła w podłogę. Potem zdecydowanym tonem zaczęła:

— Może już czas wyłożyć karty na stół. Ja mogę zacząć, jeśli chcesz. Zastanawia mnie, o co ci chodzi z tym Oxenem. Przyznam ci się do czegoś: otóż niedawno udało mi się go znaleźć. Czwartego sierpnia, w rocznicę śmierci jego kolegi na Bałkanach. Spotkałam go na przykościelnym cmentarzu

w Finderup niedaleko Høng.

Popatrzyła na Mossmana, by znaleźć w jego twarzy jakąkolwiek reakcję. On jednak patrzył tylko w sufit.

— Przekazałam mu twoją wiadomość. Tylko tobie o tym nie opowiedziałam. On nie chce z tobą rozmawiać. Na twoim miejscu uszanowałabym jego decyzję. Nie chciał też iść ze mną coś zjeść. Chciał jak najszybciej wrócić do domu. Teraz wiemy, że ten dom był gdzieś niedaleko Brande.

— Byłam tam.

Mossman przesunął wzrok z sufitu na Margrethe.

— Gdzie? W Brande?

— Tak. Tego samego dnia. Późnym wieczorem.

— Ale jak? — Nie była w stanie ukryć podziwu.

— Śledziłem cię, Margrethe. Grabarz na dworcu był ode mnie. Przyczepił Oxenowi mały nadajnik GPS. Dalej było już prosto.

— Pieprzony draniu! Po twojej gębie widzę, że Oxen nie ucieszył się z wizyty.

Mossman wzruszył tylko ramionami.

— To była konieczna wizyta, Margrethee.

Axel Mossman zawahał się na moment. A potem opowiedział swoją długą historię. Zapewnił, że to samo powiedział Oxenowi w jego kuchni.

O inspektorze muzeum i dokumentach z archiwum. O swoim postanowieniu, by za rok ustąpić ze stanowiska. O śmierci starego Ryttingera, o socjaldemokracji Gregersenie i wszystkim, co nie dawało mu spokoju. A na koniec o swoim celu: zniszczeniu Danehofu.

Przez cały jego wywód nie odezwała się ani słowem. Kiwała tylko głową ze zrozumieniem. Na koniec Mossman podsumował:

— Nie udało mi się go przekonać o szczerości moich zamiarów. On wciąż uważa — możliwe, że ty również tak

myślisz — że jestem w jakiś sposób związany z Danehofem i pozostaję na jego usługach, dobrowolnie albo pod przymusem.

— I teraz to zabójstwo staruszka i policyjny pościg są dla niego pewnie ostatecznym dowodem, że go zdradziłeś.

— Dokładnie. Jestem o tym przekonany. Co innego mógłby pomyśleć? — Mossman przygryzł dolną wargę. — A ja przyznałem mu się nawet, że to na mój rozkaz zabito jego psa. Lecz nawet to go nie przekonało.

— Co takiego? To byłeś ty? O w mordę, nie sądziłam...

— Uważasz, że to było odrażające?

— Cholernie odrażające! W życiu bym cię nie podejrzewała.

— Ale rozumiesz, że to było w imię wyższej racji? Wyższej racji o znaczeniu dla kraju, dla demokracji. On wpadł w szal. Kopał mnie i okładał jak opętany. Zasłużyłem. Przyjąłem swoją karę. Ale zdania nie zmienilem: psa trzeba było poświęcić. Cel uświęca środki. Oxen był mi potrzebny. I teraz też jest. Jestem przekonany, że ma gdzieś ukryte kolejne materiały.

— Ale teraz, jeśli go spotkasz, to nie ma pewności, czy poprzestanie na modyfikacji rysów twarzy, skoro w jego przekonaniu to ty wszystko zacząłeś.

Mossman zamyślił się i pokiwał głową.

— Nie spodziewałem się, że zareagują tak błyskawicznie. Musieli śledzić mnie albo moich ludzi, kiedy do niego jechaliśmy. Od samego początku musieli mieć precyzyjny plan, że poświęcą Rosborga. Gdy wszystkie klocki układanki wskoczyły na właściwe miejsca, na ich sygnał wszystko ruszyło jak w zegarku. I teraz chcą głowy Oxena.

Mossman bębnił grubymi palcami w mahoń. Spojrzał na nią i ciągnął dalej:

— Musimy go znaleźć. Tylko wtedy będziemy mogli go

ochronić przed tym, co go czeka. Oni są gotowi rozszarpać go na kawałki. Dlatego pytam raz jeszcze, Margrethe: czy istnieje jakikolwiek sposób, aby go do nas sprowadzić?

Było już strasznie późno, a za sobą mieli zdecydowanie zbyt długi dzień pracy, w którym zmarł minister sprawiedliwości. Anders skończył równie późno jak ona i zaprosił ją do restauracji, żeby im wynagrodzić całodniową harówkę.

Dochodziła północ, wchodzili po schodach do jej mieszkania. Wieczór spędzili z kuchnią meksykańską, choć, jeśli sądzić po urodzie obsługi i personelu kuchennego, a także języku, którym się porozumiewali, dania przyrządzili Pakistańczycy albo Hindusi. Świat lubi dawać się oszukiwać.

Podczas kolacji oboje byli zbyt zmęczeni, by rozmawiać. Może również przez to zmęczenie czerwone wino uderzyło im do głów mocniej niż zwykle.

Przy stole co chwilę pogrążała się we własnych rozmyślaniach. Śmierć ministra i pościg za Oxenem wypełniały jej głowę bez reszty.

Anders był na miejscu pierwszego z wielkich wydarzeń dnia i osobiście, wraz ze swoimi ludźmi, przeprowadził kontrolę systemu zabezpieczeń w domu ministra. Nie znaleźli absolutnie nic. Zgodnie z obecnym stanem wiedzy Rosborg był pijany jak bela i wywinął orła w swojej łódce. I od tego umarł.

Margrethe opowiedziała mu trochę o Oxenie, ale posłuchała rozkazu Mossmana. Tymczasem nikt nie mógł wiedzieć, jak naprawdę przedstawia się sytuacja. I chwilowo nie było ryzyka, aby ktokolwiek mógł się dowiedzieć. Tak naprawdę tylko garstka osób posiadała wystarczające informacje, by się domyślić, że oba najważniejsze wydarzenia dnia mają korzenie w sprawie wieszanych psów sprzed ponad roku.

Stojąc przed swoimi drzwiami, z nosem Andersa czule niuchającym jej szyję i jego ramieniem wokół talii, szukała w torebce kluczy i raz jeszcze tego dnia pomyślała o Oxenie. Że gdzieś tam jest, pośród ciemnej nocy, samotny i osaczony.

Już koło południa zadzwoniła do warsztatu dawnego kolegi Oxena z Bałkanów L.T. Fritsena. W bardzo ostrym tonie próbowała mu uzmysłować, że tym razem sprawa jest cholernie poważna. I że jeśli tylko dostrzeże choć cień Oxena, ma ją niezwłocznie powiadomić.

Wsunęła klucz w zamek i pchnęła drzwi. Dłonie Andersa przesunęły się pod jej kurtką wyżej, w poszukiwaniu piersi. Miał silne ramiona. Piętą zamknęła drzwi, odchyliła głowę w tył i pozwoliła mu się całować.

Jej torebka i ich kurtki spadły na podłogę, a oni, ciasno ze sobą spleceni, niemal wtoczyli się do salonu.

— Margrethe... Skarbie, tak bardzo cię chcę... już, teraz!
— wysapał jej do ucha Anders.

Przez sekundę wydało jej się, że usłyszała coś jeszcze, ale język Andersa wsunął się w jej ucho i wyłączył inne dźwięki. Nie wiedziała nawet, jak udało jej się zapalić lampkę nocną.

I wtedy znów to usłyszała. Ktoś chrząkał. Głośno i wyraźnie.

Zamarła. I podniosła wzrok.

Rozdział 43.

Na drugim końcu pokoju w fotelu siedział Niels Oxen i wyglądał na nieskończenie zmieszanego zaistniałą sytuacją. Margrethe nerwowo poprawiała ubranie i poczuła, że policzki jej płoną.

— Niech to szlag, to ty, Oxen? Wiesz w ogóle, że...

— Chyba lepiej, żebym sobie poszedł.

— Nie!

— Tak.

Wykonał gest, jakby chciał wstać z fotela.

— Zostajesz. Słyszysz?

Na kilometr było widać, że tylko patrzy, jak by stąd uciec. Pewnie przez Andersa, który zresztą zachował w tej sytuacji wyjątkowy spokój.

— To mój... kolega z pracy. Anders.

Anders stał na środku pokoju i wydawał się jedynie lekko rozczarowany, że to, co miało się wydarzyć za kilka sekund, najwyraźniej zostało odroczone na czas nieokreślony. Margrethe знаła go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że baczenie się przygląda człowiekowi z Krzyżem Waleczności.

— No więc, Anders, to jest Niels Oxen, o którym ci opowiadałam.

Anders skinął głową i podał Oxenowi rękę. Ona sama przysiadła na krawędzi stołu. Tego zdecydowanie się nie spodziewała. W jej własnym salonie. Z wszystkich możliwych miejsc.

— Masz pojęcie, że wszędzie cię szukają?

Pokiwał głową, jak zawsze najzupełniej spokojny.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na ślady, jakie w jego wyglądzie pozostawiła ostatnia, gorączkowa doba. Miał

zabłocone spodnie, podobnie jak biały T-shirt pod koszulą. Koszula była rozerwana na ramieniu, a na twarzy miał mnóstwo zadrapań i skaleczeń. Włosy wyjątkowo nie były spięte w kucyk, tylko obejmowały zmęczoną twarz błyszczącą od tłuszczu ramą. Nawet spojrzenie, zawsze takie bystre i czujne, teraz wydawało się matowe.

— Z początku nie wiedziałem — powiedział. — Myślałem tylko o tym, żeby uciec jak najdalej. Na parkingu dla ciężarówek przed mostem Vejlefjordu znalazłem gościa, który mnie podwiózł. Kiedy włączył radio, usłyszałem o staruszku z gospodarstwa rybnego. I o ministrze... To ten skurwysyn Mossman stoi za tym wszystkim.

— Jak to?

— Przyszedł do mnie niedawno, po naszym spotkaniu na cmentarzu w Høng. Akurat szalała nawałnica, a on przylazł przez las w błocie i deszczu. Dwa dni później zginął minister. A oni w środku nocy otoczyli mój dom.

— Jacy oni?

— Grupa co najmniej ośmiu osób. Na bank wojskowi, a w każdym razie specjalnie przeszkoleni. To *on* zabił mojego psa. To był Axel Mossman.

Margrethe pokiwała tylko głową.

— *Wiedziałaś* o tym? — Z jego zmęczonych oczu nagle posypały się iskry.

— Dowiedziałam się dziś rano. Wezwał mnie do siebie i wszystko opowiedział. Również o waszej rozmowie. I o twoim psie. Nigdy bym nie przypuszczała.

— A przecież nie jesteś pierwszą naiwną. Mówię ci, to wyrachowana świnia. Nie ma żadnych skrupułów.

— Otoczyli cię — i co dalej?

— Uciekłem wcześniej przygotowanym podkopem. A potem spłynąłem kanu rzeką Skjern Å. Najpierw ukradłem rower, potem skuter, a potem samochód w Brande. To wszystko.

Nikt mnie nie widział. Do ciebie wszedłem piwnicą. Jestem tu już jakiś czas.

— A zabójstwo staruszka?

— Pewnie uznali, że głupio będzie zostawić świadka. Bowiego zabrali ode mnie z domu. Wszystko świetnie się złożyło — dwie pieczenie na jednym ogniu. To był dobry człowiek, Franck. Gdybym się u niego nie zjawił, nadal by żył. O ministrze wiem tylko tyle, ile powiedzieli w radiu. Co tam się stało?

Nie wiedziała, co mu powiedzieć. W głowie miała tylko alarmujące ostrzeżenie Mossmana. „Ty i ja jesteśmy obecnie jedynymi ludźmi w państwie, którzy wiedzą, co tu się dzieje. I niech tak na razie pozostanie”.

Zawahała się. Spojrzała na Andersa i znów na Oxena. A potem w sufit.

Nie mógł nie zauważyć, że ucieka wzrokiem, namyślając się, co powiedzieć. Pytaniem o ministra najwyraźniej trafił w sedno.

— Może lepiej będzie, jeśli po prostu znowu zniknę — powtórzył.

— Nie, nie. Nie ma mowy.

Ponownie spróbował wyjść jej naprzeciw.

— Franck. Jest parę rzeczy, które chciałbym z tobą omówić. I myślę, że w najlepszym interesie nas wszystkich będzie, jeśli ta rozmowa odbędzie się w cztery oczy.

Spojrzał na nią, a potem na towarzyszącego jej osiłka, który dziś wieczorem będzie musiał obejść się smakiem.

— Tak. Wiem, o co ci chodzi. Musiałam się tylko chwilę zastanowić, co zrobić. Myślę, Anders, że lepiej będzie jeśli wrócisz do siebie, okej?

— Jasne, skarbie, nie ma sprawy. Ale możemy przedtem chwilkę pogadać w kuchni?

„Skarbie”. Osilek nie zamierzał chować ogona pod siebie.

Przyjrzał mu się z boku. Koszulka napięta w odpowiednich miejscach. Musi przerzucać żelazo. Bardzo dużo żelaza. I widać, że chętnie opowiada o tym świecie.

— Okej? — powtórzył.

Franck spojrzała na niego pytająco. Zgodził się skinieniem.

Kilka minut trwało, nim oboje wrócili. Osilek uniósł rękę i powiedział „cześć”, po czym zatrzasnął za sobą drzwi.

— Anders jest w porządku. Nikomu nie powie — zapewniła go, choć wcale o to nie prosił. Chwilę później ponownie wyszła z kuchni, niosąc na tacy cztery kromki ciemnego chleba, jedną kromkę białego z serem, filiżankę kawy i puszkę coli.

— Dzięki, Franck. Czytasz mi w myślach.

Bez słowa rzucił się na jedzenie. Ona została na swoim miejscu, na krawędzi stołu, tuż obok niego.

— Wszystko zostało dokładnie skoordynowane. Rosborg jeździł do letniego domu bez rodziny, więc sytuacja była idealna. Ciebie musieli zdjąć w tym samym posunięciu. Byś nie zdążył się dowiedzieć o śmierci Rosborga. W przeciwnym razie uciekłbyś, gdzie pieprz rośnie.

— Jak myślisz, jakim sposobem udało im się mnie znaleźć?

— Przeżuwał i mówił jednocześnie.

— Mossman uważa, że musieli go śledzić.

— On śledził ciebie, a oni jego. Kłamie jak z nut. To on za tym stoi. Tą swoją gładką gadką potrafi sobie każdego owinąć wokół palca. Jeśli ci powie, że jutro słońce wybuchnie, to tak się stanie. Ale ty chyba mu nie wierzysz?

— Sama nie wiem... Nie musiał się przyznawać, że to on zabił Mr. White'a, prawda? Gdy mi to mówił, po jego twarzy widziałam, że naprawdę nad tym ubolewał.

— Z początku też tak pomyślałem. Ale to wszystko gra. Trochę jak u podwójnego agenta. Wyrachowanie w wyrachowaniu, nie sądzisz?

— Być może.

Skończył jeść kanapki. Ostatnia doba to było czyste szaleństwo. Teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony, choć nie wierzył, że ten rodzaj zmęczenia zadziała usypiająco.

Franck dodała jeszcze:

— Kiedy się dziś widziałam z Mossmanem, na odchodne zapytał mnie, czy nie mogłabym znaleźć jakiegoś sposobu, aby cię do nas sprowadzić.

— Okazało się to bardzo proste — wzięłaś mnie głodem.

Uśmiechnęła się.

— Powiedział też coś, czego nie musiał mówić. Że ma płytę CD z nagraniem, na którym Rosborg morduje Virginiję Zakalskyte.

Spojrzał na nią uważnie.

— Hm. Więc jest nas dwóch. Dla mnie to nagranie jest już bezwartościowe. Kto wie, może to ma sens. Jak to zaaranżowali?

— Płyta była w laptopie, obok butelka whisky, z której ubyło całkiem sporo. Butelka była opróżniona bardziej niż do połowy.

— Założę się, że kiedy sprawdzą ministra, to okaże się, że ma we krwi odpowiednio dużo promili.

— Już sprawdzili. I masz rację, był pijany w sztok, dwa i jedna dziesiąta promila. A przyczyną śmierci było utonięcie.

— Dzięki płytce w laptopie wygląda na to, że upił się, wpadł w rozpacz i może popełnił samobójstwo.

— Tak to wygląda dla tych, którzy nie wiedzą wszystkiego. Wprawdzie widziano Rosborga w lokalnej restauracji wcześniej tego wieczora i według świadków był w świetnym nastroju, to jednak nie zmienia w znaczący sposób historii, którą ukuli.

— I na tym się sprawa zakończy?

— Nagranie morderstwa nie przedostanie się do opinii

publicznej, co do tego nie ma wątpliwości. Nie wiem natomiast, co się będzie działo za kulisami. Szef policji z Zelandii Północnej wie o istnieniu nagrania.

— Codziennie zawiera się rozmaite potajemne umowy i sojusze.

— Możliwe... ale co dalej, Oxen. Co teraz zrobisz? Zdążyłeś się nad tym zastanowić?

Położyła dłoń na jego udzie i kilkakrotnie pogłaskała, nim się zreflektowała i odsunęła ją do siebie. Może na moment pomyliła go ze swoim kolegą osiłkiem. A może to było co innego. Z Franck nigdy nic nie wiadomo. Nosi w uchu węża. A wąż pochodzi z rajy. Adam zjadł owoc... Że też w takiej chwili chce mu się myśleć o głupotach. Zaraz padnie ze zmęczenia.

— Nie mam pojęcia. Jestem wykończony. Cholernie wykończony. I nie mam żadnego planu.

— Też jestem zmęczona. To był długi dzień i chyba trochę za dużo wypiałam do kolacji. Albo po prostu jestem padnięta. Może się położymy? Jutro rano się nad tym wszystkim zastanowimy.

Pokiwał głową. Może rzeczywiście w tej sytuacji to było najrozsądniejsze: przyznać, że nie jest to odpowiednia pora na obmyślanie wielkich strategii.

— Możesz się położyć u mnie.

— Wolę kanapę.

— Nie zmieścisz się na niej. Ja się zmieszczę.

— To wolę podłogę. Mnie to pasuje.

Westchnęła.

— Niech ci będzie. Zdejmij poduszki z kanapy, przyniosę koc.

Był zbyt zmęczony. Nie potrafił przytrzymać tej myśli. Zbyt zmęczony, by myśleć o granacie z nieba w majtkach i koszulce. Aż taki był zmęczony.

Była druga pięćdziesiąt, a wciąż nie zmrużył oka. Minęła niemal godzina, nim dotarło do niego, że poduszki są dla niego za miękkie. Przeturlał się na dywan.

Wirówka w głowie pracowała pełną mocą. Rozpędzony strumień myśli bez żadnego początku. Ani końca. Sprzeczne głosy przekrzykiwały się, a słuchanie ich było stratą czasu, bo z chaosu nie mogło wyjść nic konstruktywnego.

Wielokrotnie próbował się skupić na chłopaku Franck, o ile oczywiście był jej chłopakiem, ale chyba był, skoro mówił do niej „skarbie”. Zresztą bardzo napalonym.

Czemu tyle o tym myślał? Dlaczego tak go to dotknęło? Nie miał prawa ukrywać się na skraju lasu w jutlandzkiej głuszy i jednocześnie rościć sobie jakiegokolwiek prawa do tej kobiety tylko dlatego, że dużo o niej myślał.

Poza tym on przecież nie był w stanie niczego jej zaoferować. Nawet zwykłego obłapiania w przedpokoju.

Pomimo tych natrętnych myśli próbował logicznie uzasadnić swoje podejrzenia. Bo tak czy inaczej na osiłka powinien uważać. To obcy człowiek, który wie, kim on jest — i gdzie jest. Czy na pewno może wierzyć zapewnieniom Franck? I czemu właściwie miałyby zaufać mięśniakowi z PET? Zwykle nie ufał nikomu. Nigdy.

Czy to możliwe, że pod koniec tej nieco zbyt obfitującej w wydarzenia doby jego zwykle niezawodny chłodny osąd zaczynał słabnąć? Tak... to pewnie to. Wyszedł z wprawy — pod każdym względem.

Dobiegł go dźwięk z ulicy. Brzmiący obco w pogrążonym we śnie kwartale. Drzwi samochodu... a raczej sposób, w jaki je zatrzaśnięto — zdecydowanie i niemal symultanicznie. I znów. Kolejne drzwi.

Poderwał się i przyskoczył do okna. Ostrożnie odchylił zasłonę i spojrział w dół. Samochody stały po drugiej stronie, spory kawałek w dół ulicy.

Czterej mężczyźni szli w jego stronę. Przechodzili przez ulicę po skosie, wyprostowani, stawiając zdecydowane kroki. Zmierzali wprost do klatki schodowej Franck. Trzej pozostali również przeszli przez ulicę, ale po chwili zniknęli mu z pola widzenia. Łącznie siedmiu. Całkiem spora grupa operacyjna.

Cholerny idiota. Jak mógł być tak bezmyślny? I tak łatwowierny? Tylko dlatego, że był zmęczony?

Błyskawicznie się ubrał i stanął w pogotowiu. Na drzwi główne było już za późno.

Rozdział 44.

Głos recepcjonistki zabrzmiał jak bardzo uprzejma automatyczna sekretarka. *Good evening, Mr Smith. You have visitors. A Mr Nielsen.*

Również powitanie było aż nazbyt uprzejme. Bo to nie był wieczór. Była noc. Dochodziła trzecia. Natychmiast polecił, aby wpuszczono gościa na górę.

Pora była wybitnie nieodpowiednia, ale Nielsenowi się nie odmawiało. Chciał być obecny, kiedy będzie można zrobić ostateczne rozliczenie.

Właśnie przekazywał instrukcje do obu komórek. Zawsze używali tanich, jednorazowych aparatów na kartę.

Otworzył, gdy tylko usłyszał pukanie. Jeden z telefonów odłożył, a do drugiego mówił dalej, palcem dając znać swojemu gościowi, że za moment skończy.

— *Hello* — przywitał się i wyciągnął do Nielsena rękę, gdy się rozłączył. Rozmawiali oczywiście po angielsku. Nielsen mówił w tym języku niemal bez akcentu.

Było to jego trzecie spotkanie z Nielsenem, który według wszelkiego prawdopodobieństwa nie nazywał się Nielsen, podobnie jak on nie nazywał się Smith. Po raz pierwszy spotkali się w zeszłym roku, przy ustalaniu szczegółów pierwszego zlecenia dotyczącego ministra sprawiedliwości. Drugi raz całkiem niedawno, w związku z nowym kontraktem. I teraz widzieli się ponownie.

Nielsen rozumował operacyjnie w stopniu wskazującym na przeszłość w armii lub policji — na stanowisku kierowniczym. Podejmował samodzielne decyzje, lecz występował jedynie w roli pośrednika między nim a swoim mocodawcą, czyli jego *klientem*. Niektóre szczegóły

wymagały konsultacji z samym szefem Nielsena.

Jego niezapowiedziana wizyta miała pewnie związek ze sceptycznym tonem, jaki wyczuł w ich komunikacji po nieudanej operacji sprzed doby, kiedy to Oxen zrobił ich w konia i zniknął swoim podziemnym wyjściem awaryjnym.

— Moi ludzie za moment będą na miejscu. Proszę usiąść.

Ręką pokazał Nielsenowi fotel, a sam usiadł za małym biurkiem.

Nielsen nigdy nie przedstawił mu się z imienia. Miał cienkie, rudawe włosy, a piegowata twarz nadawała mu chłopięcy wygląd i utrudniała oszacowanie jego wieku. Osobiście obstawiał, że dobijał sześćdziesiątki. Zawsze gładko ogolony. Zawsze w ciemnym garniturze, szczupły, okulary w połączonych oprawkach. Cała jego postać była wystarczająco zadbana i elegancka, by absolutnie niczym się nie wyróżniać.

— I wszystko idzie zgodnie z planem?

Dokładnie tak jak przy pierwszych dwóch spotkaniach. Nielsen nie tracił czasu na uprzejmości, co całkowicie mu odpowiadało.

— Tak. Czekam tylko na ostatni meldunek. Tym razem nie ma żadnych ukrytych dróg ucieczki. Zgarniemy go, o ile informacja jest pewna.

— Jest. Nie ma najmniejszych wątpliwości.

— Tak, oczywiście.

— Sami obserwujemy budynek od chwili, gdy uzyskaliśmy komunikat. Niels Oxen nie opuścił budynku. Tym razem powinno się udać.

„Powinno”. Czyżby kryła się w tym jakaś insynuacja? Tak już przecież było z akcjami. Jakies ryzyko istniało zawsze. Tam, gdzie w grę wchodzi czynnik ludzki, mogą wystąpić najróżniejsze odstępstwa. Każda kalkulacja powinna zawierać ryzyko porażki.

Zdenerwowało go wprawdzie, że prowadząc własną obserwację obiektu, klient patrzył mu na ręce, ale musiał przyznać, że tym razem było to pomocne. Sytuacja rozwijała się w szalonym tempie i nie było czasu na szczegółowe planowanie. W takich warunkach łatwo o niejasne albo niepewne dane i dobrze wiedzieć, że klient potrafi błyskawicznie na nie reagować. Jedno Nielsen zaznaczył bardzo wyraźnie: więcej żadnych zabójstw. Kobiety, która przebywa w mieszkaniu, tej, która pracuje dla PET, nie wolno im tknąć.

Nielsen powiedział to tak, jakby zabijanie było dla nich jak bułka z masłem. A to nieprawda. Zdarzało się to tylko w wyjątkowych sytuacjach. Staruszek w gospodarstwie rybnym stanowił po prostu zbyt duże zagrożenie.

Najpierw zadzwonił jeden telefon, potem drugi. Odebrał, pokiwał głową i spojrzał na zegarek. Przynajmniej co do ich czasu reakcji Nielsen nie mógł mieć żadnych zastrzeżeń.

Cała siódemka była na stanowiskach. Obstawili klatkę schodową, tylne schody i schody do piwnicy od podwórza.

Przekazał więc swoim ludziom:

— *Okay, guys, let's roll, remember, nice and gently.*

Rozdział 45.

Zerwał z niej kołdrę, złapał za gołe ramiona i potrząsał, powtarzając:

— Franck! Obudź się! Oni tu są! Czy tu jest strych? Słyszysz? Czy jest tu strych? Jakies schody? No, dalej, mów!

Otworzyła zdumiona oczy i patrzyła na niego pytająco. Wciąż była gdzieś bardzo daleko, ale odpowiedziała.

— Yyy... strych? Tak, jest strych. Ale czemu? Kto? Policja?

— Jak się tam dostać? Na strych?

Wyglądało na to, że trochę oprzytomniała, więc puścił ją, a ona natychmiast usiadła na łóżku. Jeszcze chwila i odparła:

— Dobra. Wychodzisz tylnymi drzwiami i idziesz na samą górę. W suficie jest kłapa i drabina, którą można ściągnąć. To znaczy po otwarciu kłapy. Ale co ty mówisz? Kto tu idzie?

— Nie teraz. Gdzie są tylne drzwi?

— W kuchni.

— A co jest na strychu?

— Yyy. Nic. Chyba nic.

— Odezwę się!

Wybiegł z sypialni, porwał swój plecak, wbiegł do kuchni i otworzył drzwi na tylne schody. Było ich siedmiu, czyli mogli obstać wszystkie wyjścia, od strony ulicy i od tyłu. Jedyna droga ucieczki wiodła w górę.

Wielkimi susami pokonał schody, aż dotarł na piąte piętro. Rzeczywiście była kłapa. Stał na palcach i udało mu się dosięgnąć zasuwy. Otworzył kłapę, pociągnął w dół drabinę i błyskawicznie się wspiął.

Na najbliższym filarze zamajaczył jasnoszary włącznik. Zapalił światło, które okazało się być kilkoma gołymi żarówkami zawieszonymi na balach stropowych. Poddasze

było ogromne i jego powierzchnia odpowiadała powierzchni gruntu pod kamienicą. Tylko pod kalenicą mógł stanąć w pełni wyprostowany. Gdzieś walały się jakieś kartony i graty, ale poza tym strych był pusty, zakurzony i obwieszony pajęczynami. Pośpiesznie ruszył w stronę przeciwległej ściany szczytowej. Z całej siły uderzył butem w ostatnią klapę, rozwalił zasuwę i opuścił się na klatkę.

Liczyły się sekundy. Może już byli w mieszkaniu Franck, zobaczyli poduszki na podłodze i zaczęli go szukać. Może nawet znaleźli już klapę na strych.

Zbiegł schodami po kilka stopni naraz, ostrożnie otworzył drzwi i wyjrzał na podwórko. Na oznaczonych miejscach stało sporo samochodów, wśród nich czarne mini cooper Franck. Dziwne, że nikogo nie było. Może czekali na niego wewnątrz.

Przez chwilę rozważał opcje. Nie mógł ryzykować wyjścia od ulicy. Miał wobec tego tylko jedną możliwość — przejść przez mur na sąsiednie podwórko. Pod murem stały kosze na śmieci. Jeśli stanie na którymś, powinien dać radę się podciągnąć.

Ostrożnie, dociskając plecy do muru, podszedł do śmietników. Jeśli wszystkie podwórka w tym kwartale są do siebie podobne, czeka go bieg przez płotki. Gdy sforsuje kilka murków i podwórek, dalej będzie mógł uciekać ulicą.

— Stój!

Rozkaz padł głosem opanowanym, lecz stanowczym. Zatrzymał się w pół kroku i podniósł ręce. Obejrzał się przez ramię.

Za najbliższego samochodu wyrósł mężczyzna w ciemnych spodniach i czarnej bluzie. W ręce trzymał pistolet. Z nienaturalnie długą lufą. Broń miała zamontowany *silencer*, tłumik.

Mężczyzna podszedł bliżej i wskazał lufą na asfalt, by nie

było wątpliwości, co ma teraz robić.

— *Charlie calling: got him.*

Teraz albo nigdy. Za moment ten drugi przyjdzie koledze z odsieczą. Przyklęknął na znak, że zamierza posłuchać rozkazu i położyć się na ziemi. W prawej ręce trzymał szelkę plecaka i w momencie, gdy lewym kolaniem dotknął asfaltu, zamachnął się z całej siły plecakiem w tył. Cios trafił w ramię, w którym przeciwnik trzymał broń, i na ułamek sekundy wytrącił go z równowagi. Teraz.

Odskoczył w tył i po skosie w górę, wybiwszy się z prawej nogi i poderwawszy z pozycji niemal klęczącej. Jednocześnie pochylił się w przód, by wykonać półobrót z biodra. To ten zamach przydał kopnięciu dodatkowej mocy. Jego całe ciało na mgnienie oka ustawione było w jednej linii, począwszy od pięty, która wbiła się w brzuch mężczyzny i niczym stempel prasy hydraulicznej pchnęła go w tył. Kopnięcie *kekomi* jest najsilniejszym z kopnięć w karate *shōtōkan*.

Znalazł się nad swoim przeciwnikiem w chwili, gdy ten uderzył o asfalt. Nie chcąc pogruchotać sobie dłoni, ogłuszył go jednym silnym ciosem tyłem głowy o asfalt. W wewnętrznej kieszeni kurtki od razu znalazł to, czego szukał: portfel i paszport. Przełożył je do własnej kieszeni.

Wtedy usłyszał trzaśnięcie drzwiami — najpierw jedno, potem drugie. I odgłos ciężkich butów na asfalcie. Nie zdąży. Nie zdoła dobiec do muru. Nie był zresztą pewien, czy dałby radę wygrać z dobrze wytrenowanym młodym byczkiem w długim biegu z przeszkodami. Mógł zrobić tylko jedno — wrócić tą samą drogą, którą tu przyszedł.

Złapał swój plecak i podniósł broń mężczyzny. Dwoma długimi susami dobiegł do drzwi wiodących na tylną klatkę schodową. Będzie musiał przejść przez mieszkanie na parterze i wyjść od frontu. Znaleźć się w bardziej otwartej przestrzeni miejskiej, wyjątkowo ruchliwej jak na tę godzinę.

Na ślepo oddał cztery strzały w ciemne podwórze i usłyszał odgłos trzaskanych szyb samochodów. Strzały, które przez tłumik zabrzmiały tylko jak nieco głośniejsze stuknięcia, być może trochę ich spowolnią.

Zdecydował się na mieszkanie po lewej. Wziął rozbieg i nadstawił bark. Tylne drzwi były stare i cienkie. Już przy drugiej próbie drewno przy zamku odprysło. Kopniak — i dostał się do środka.

Z mieszkania dobiegł pisk. Kobieta. Więcej nie zdążył odnotować. Rzucił się do drzwi wejściowych, otworzył zamki i zeskoczył kilka stopni w dół, do wyjścia z klatki. Ostrożnie uchylił drzwi na ulicę. Nikogo nie widział, ale był pewien, że stoją na czatach pod klatką Franck.

Założył plecak na plecy i rzucił się biegiem w dół ulicy. Kiedy zrównał się z dwoma samochodami należącymi do jego prześladowców, nagły impuls kazał mu się zatrzymać. Wyjął nóż myśliwski i przeciął nim po jednej oponie z każdego wozu. Potem pognął dalej przed siebie, najszybciej jak potrafił.

Wystarczyła chwila. Nagle usłyszał syreny, a chwilę potem dostrzegł niebieskie światło koguta. Ledwie zdążył się schować za zaparkowanym samochodem, gdy zza rogu nadjechał radiowóz i śmignął obok niego.

Policję musiała wezwać kobieta z mieszkania na parterze. Widział, że była przerażona. Radiowóz z kolei musiał się znajdować góra dwie przecznice stąd. Teraz jego siedmiu nieznanym przeciwników miało dodatkowy kłopot. A jeśli ich następnym krokiem było jeżdżenie po ulicach w środku nocy i szukanie go po podwórkach, to będą musieli zmienić plany.

Po piętnastu minutach zatrzymał taksówkę i poprosił o kurs na Amagerbrogade.

Dawno, dawno temu, niedługo po rozwodzie, gdy na dobre

zaczęła go dręczyć jego własna przeszłość, L.T. Fritsen powiedział mu, gdzie trzyma klucz do tylnych drzwi warsztatu.

„Pamiętaj, Oxen. Bez względu na porę dnia czy nocy i nieważne dlaczego zawsze, jeśli będziesz miał kłopoty, możesz go użyć. Na zapleczu jest lodówka i wersalka. Czuj się jak u siebie”.

Teraz był zmuszony skorzystać z dawnej oferty pomocy.

Taksówka zatrzymała się jakieś sto metrów przed warsztatem samochodowym Fritsena i właśnie miał wysiąść, by resztę drogi dla ostrożności pokonać pieszo, gdy zobaczył, że kawałek wyżej w Amagerbrogade wjeżdża ciemny samochód.

Każdy, kto miał odrobinę cierpliwości, mógł odkryć przyjaźń, tę szczególną więź, jaka łączyła go z L.T. Fritsenem. Jeśli im również się to udało, mogli obserwować także jego warsztat. Nie podobał mu się ten samochód.

— Proszę jechać dalej. Prosto.

Taksówkarz, starszy, lekko otyły gość wyglądający na imigranta, spokojnie dodał gazu i poprowadził swojego mercedesa obok małego warsztatu. W tej samej sekundzie z czarnego samochodu zaparkowanego w bocznej uliczce wysiadły dwie osoby i ruszyły w stronę drzwi wejściowych.

Jeśli to nie byli jego prześladowcy, do głowy przychodziły mu tylko dwie osoby znające jego powiązania z Fritsenem. Jedną z nich była Margrethe, a drugą Axel Mossman, zakładał bowiem, że Franck wspomniała o L.T. Fritsenie w swoich raportach.

Gdy pośpiesznie szukał w głowie kryjówki innej niż warsztat Fritsena, przez głowę przemknęła mu myśl wyjątkowo niepokojąca. Od początku przyjął, że to chłopak Franck na niego doniósł. Ale przecież w rzeczywistości ona sama mogła to zrobić.

— Dokąd chce pan jechać? — Kierowca zerknął przez ramię.

Poza Fritsenem nie było nikogo. Nikogo, z kim byłby w kontakcie. Żadnej rodziny, żadnych znajomych. Ale był jeszcze Nordvest. Dzielnica, którą znał jak własną kieszeń. Przewaga własnego boiska. Tylko na co mogła mu się przydać? Stara piwnica przy Rentemestervej z jego dawnego życia w stolicy była pewnie zajęta. A chowanie się w jakimś kącie na podwórzu nic mu nie da. Zresztą jego przeciwnicy pewnie mają NV pod obserwacją, zgodnie z teorią, że człowiek odpowiednio przyciśnięty, często szuka schronienia w chaosie.

Nic z tego. Rentemestervej nie jest wyjściem.

Byli jeszcze koledzy z wojska. Zarówno z Bałkanów, jak i z oddziałów specjalnych. Tu nazwisk było sporo, ale nie chciał nikogo stawiać w kłopotliwej sytuacji. Niewiele osób zdecydowałoby się z otwartymi ramionami przyjąć człowieka podejrzanego o zabójstwo z premedytacją.

Mimo to był przekonany, że większość jego dawnych kolegów z jednostki byłaby gotowa zrobić dla niego całkiem sporo, gdyby była taka konieczność. Przewinął w głowie listę nazwisk, przed oczami migają mu kolejne twarze. To powinien być ktoś mieszkający w pobliżu. Inaczej pojawią się dodatkowe komplikacje. I powinien to być ktoś, do kogo zdoła dotrzeć od razu. Z nikim jednak nie utrzymywał kontaktu. Nie miał pojęcia, co robią teraz ci ludzie i gdzie mieszkają.

— Niech się pan zatrzyma tu, z boku. Mogę pożyczyć pana telefon?

— Niestety, nie jest do użytku publicznego.

Wyjął z kieszeni banknot stukoronowy i położył mężczyźnie na udzie.

— Dwie krótkie rozmowy. Tylko tyle.

— Oczywiście, chętnie pomogę — odparł kierowca i schował banknot do kieszeni na piersi, po czym podał mu telefon.

Postanowione. Wybór padł na Larsa Kihlera, ksywa LK One, bo był starszy od innego żołnierza o tych samych inicjałach.

Dwukrotnie służył z LK One w Afganistanie. Z marszu mógł podać trzy dobre powody, dla których zdecydował się na niego. Po pierwsze, można było na nim polegać. Po drugie, miał nietypowe nazwisko, więc łatwo go będzie znaleźć przez biuro numerów. Po trzecie, był tak dumny z faktu bycia kopenhążaninem, że było nie do pomyślenia, aby wyniósł się ze stolicy.

Wysiadł, stanął na chodniku i zamknął za sobą drzwi. Zadzwoił na sto osiemnaście, a potem pod numer, który mu podano. Rozmowa była krótka i zwięzła.

— Brønshøj... Jedziemy do Brønshøj — powiedział kierowcy, zapinając pas.

Rozdział 46.

Dopiero przy kawie, gdy zasiedli obaj przy nakrytym ceratą stole w kuchni przy Slotsherrensvej w Brønshøj, Lars Kihler spojrzał mu w oczy i powiedział:

— Oxen. O co chodzi z tobą i tym starszym gościem zamordowanym na Jutlandii? Wszędzie o tobie mówią, w gazetach, radiu, telewizji. Non stop. Stary, masz w ogóle pojęcie?

Potwierdził skinieniem i LK One otrzymał wyjaśnienie wystarczające akurat na tyle, aby ta cała chora historia nabrała dla niego sensu. Potem trochę powspominali dawne czasu. A jeszcze później, zanim się położyli, strategicznie zaplanował swoje wycofanie się z tego adresu.

Kihler miał żonę i dwójkę dzieci i wszyscy oczywiście wstawali wczesnym rankiem.

Jemu przypadł pokój w przyziemiu z posłanym łóżkiem polowym. Spał niespokojnie, lecz bez koszmarów. Miał nawet wrażenie, że momentami zapadał w głęboki, regenerujący sen.

Kiedy cała rodzina rozproszyła się do swoich obowiązków, a Kihler pomachał im z progu na pożegnanie, on wciąż leżał pod kołdrą i odpoczywał. Jego organizm potrzebował chwili oddechu po ostatniej, wyczerpującej ponad siły dobie.

Teraz siedział w toyocie yaris Kihlera. Było wczesne popołudnie i mały srebrny japonec mknął poprzez morze.

Był w połowie mostu nad Wielkim Bełtem. Czuł się, jakby urodził się na nowo tam, w domu jednorodzinnym w Brønshøj. W samochodzie było duszno od zapachu wody toaletowej jego dawnego kolegi. „CK One” — jakże by inaczej — głosił napis na butelce stojącej na samym przodzie

w rodzinnej łazience Kihlerów. Nie był w stanie pozbyć się z nozdrzy zapachu Calvina Kleina, choć całą Zelandię przejechał z otwartym oknem.

„Oxen, capisz niemożebnie. Jak gnu albo koza, sam wybierz”, brzmiały jedno z pierwszych słów, jakie Kihler skierował do niego, gdy tylko przekroczył próg jego domu.

Rano, kiedy wstał, postanowił coś z tym zrobić. Kihler zgodnie z obietnicą zostawił mu też swój sprzęt do golenia. Najpierw trymer do włosów i najgęstszego zarostu na twarzy, a potem maszynka i pianka do wykończeniówki. Zapełnił włosami całą małą torebkę na śmieci. Potem przez piętnaście minut stał pod ciepłym prysznicem. Nie robił nic, pozwalał, by woda spływała mu po twarzy i ciele.

W czystej, przyjemnej łazience z beżowymi płytkami poczuł się, jakby się cofnął w czasie. Gdy skończył, wywietrzył pomieszczenie, wytarł lustro i starannie spłukał z umywalki resztki zarostu, mając w tyle głowy dawne upomnienia Birgitte.

Spojrzał w lustro. Zobaczył w nim innego człowieka niż ten, na którego z rzadka rzucał okiem w popękany lustrze w łazience chatki Rybaka.

Włosy miał obcięte całkiem na krótko. Dziesięć milimetrów. Dokładnie według ustawień trymera. Przesunął dłonią po policzku i podbródku. Gładki jak... jak wnętrze kobiecego uda.

Kihler nabazgrał mu wiadomość na kartce na kuchennym stole, obok szerokiej gamy produktów śniadaniowych, które wystawiła dla niego z lodówki pani Kihlerowa. Na kartce napisane było tylko: „Przekazałem M.F. twój list/uważaj na siebie, LK One”.

Franck otrzymała zatem list, który do niej napisał, zanim się położył. Kihler obiecał, że wstanie wcześniej i pojedzie o szóstej do Østerbro, by jej go przekazać. Kihler był zajebisty.

List był krótki i konkretny: „Wchodzisz w to? Jutro o dwunastej. Parking przy restauracji Teglværksskoven w Nyborgu. Albo: to samo miejsce, szesnasta. Umów się z wdową po muzealniku. Oxen”.

Miejsce spotkania znalazł dzięki pożyczonemu od Kihlera bardzo sprytnemu minikomputerowi, kiedy siedzieli w nocy przy kawie w kuchni. Kihler powiedział, że to tablet. Wystarczyło dotknąć małego ekranu. Czas się dla niego zatrzymał. W życiu czegoś takiego nie miał w ręce. Przystudiował mapę Nyborga i wybrał odpowiednie miejsce.

Oczywiście Kihler musiał mu pomóc poruszać się w komputerze. Nie komentując pierwszego nagłówka na stronie startowej. Literami wielkimi, jakby ogłaszano apokalipsę, napisano: „Bohater wojenny poszukiwany za zabójstwo na tle rabunkowym”.

Szkoda. Za chwilę skończy się boskie dryfowanie nad falującym morzem. Zaraz skończy się most, a pierwszą miejscowością, do której wjedzie, będzie Nyborg. Dawne miasto promowe, które most pozbawił promu.

Dużo rozmyślał o Franck i o tym, co przyszło mu do głowy wtedy w taksówce: czy to *ona* zameldowała w swojej bazie, że przyszedł prosto do jaskini lwa i siedzi w jej mieszkaniu w Østerbro?

Kiedy toyota wjechała na ląd, patrząc w lusterko wsteczne, raz jeszcze odświeżył wyrytą głęboko w jego świadomości zasadę numer jeden: nigdy nikomu nie ufać.

Chwilę później zdał sobie sprawę, że już złamał tę zasadę. Bo przecież właśnie jej zaufał. To nos mu podpowiedział, że jej może. A mózg przypominał, że mu nie wolno. Prawda zaś była bardzo prosta: w tej chwili tylko Franck mogła mu pomóc.

Wciąż miał przy sobie portfel i paszport, który zwinął nieprzytomnemu mężczyźnie na podwórku jej kamienicy.

Bez względu na to, kto w środku nocy nastął tego gościa i jego kompanów, jedno było pewne: to nie byli ludzie z PET. A w każdym razie nie ludzie oficjalnie pracujący dla PET.

Paszport należał do Andrew Browna, obywatela Wielkiej Brytanii, wiek trzydzieści dwa lata. W portfelu miał trochę duńskich monet i banknotów, trochę funtów angielskich oraz plik kart wystawionych na to samo nazwisko. Gość najprawdopodobniej nazywał się całkiem inaczej niż Andrew Brown, ale wszystko wyglądało bardzo porządnie.

Najprościej i najbardziej logicznie było przyjąć, że jest członkiem niewielkiej grupy komandosów o wyraźnym militarnym sznycie, która wcześniej próbowała go zdjąć w gospodarstwie Rybaka. Całkiem sporo Brytyjczyków z przeszłością w specśłużbach działało dziś w branży ochroniarskiej albo pracowało jako wolni strzelcy dla innych firm w tym sektorze.

Przy okazji swoich licznych misji zagranicznych spotkał paru takich. Brytyjczycy nie byli ani gorsi, ani lepsi od innych. Być żołnierzem to praca jak każda inna, więc człowiek idzie tam, gdzie najlepiej płacą.

Trzymał się autostrady, która okrążyła miasto łukiem i skręcił dopiero przy zjeździe numer czterdzieści sześć na Nyborg Zachód. Po kilku minutach odbił w prawo w Ferritslevvej. Za moment będzie na miejscu.

Zajazd typu bed & breakfast też znalazł na komputerze Kihlera i jeszcze przed południem zadzwonił, by zarezerwować nocleg na cztery noce, na nazwisko Kihlera. B&B wydało mu się najbezpieczniejszym miejscem na tymczasową kryjówkę. Nie potrzeba było ani paszportu, ani żadnego dowodu tożsamości. Trzeba było tylko zapłacić gotówką.

Szyld pojawił się po lewej stronie drogi. Skręcił, ujechał kawałek żwirowym podjazdem i zatrzymał się na placyku

przed budynkiem.

Ciemne okulary przesunął na czoło i po raz ostatni przejrzał się w lusterku. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał na poszukiwanego weterana. Wsiadł i poprawił na sobie ubranie, w którym czuł się dziwnie. Miał na sobie ciemnoszary garnitur z szafy Kihlera, letnią, jasnoniebieską koszulę z krótkim rękawem i czarne buty. Yariskę Kihler pożyczył mu na tydzień.

I nie chciał nawet słyszeć o jakiegokolwiek zapłacie. Oxen miał tylko odstawić samochód z pełnym bakiem.

Zamiast tego zostawił mu więc dziesięć tysięcy koron w kopercie, na której napisał „Dzięki”. Kopertę oparł o pudełko musli na stole kuchennym.

W drzwiach właśnie stanęła jakaś kobieta. Pomachała do niego, uśmiechnęła się i idąc w jego stronę, wskazała na pomalowane na biało skrzydło domu z firankami w oknach.

Za chwilę rzuci się na łóżko, będzie o tym wszystkim rozmyślał i analizował w tę i z powrotem. I będzie się trzymał z daleka od ludzi aż do jutrzejszego spotkania z Margrethe Franck w restauracji na nabrzeżu.

Rozdział 47.

Pierwsza grzmiąca zapowiedź burzy gruchnęła nad Wielkim Bełtem dokładnie w chwili, gdy jego oczom ukazało się czarne mini cooper. Silnik zawył potężnie, gdy Margrethe Franck dodała gazu na wąskiej asfaltowej drodze, by zaledwie kilka sekund później ostro zahamować i odbić w prawo, pod restaurację Teglværksskoven.

Była dwunasta. Zjawiała się punktualnie co do sekundy.

Stał jeszcze chwilę na skraju lasu, chowając się za grubym pnem. Obok przejechało zaledwie kilka samochodów. Odczekał pięć minut, ale na cichej drodze obsadzonej bukami nie dostrzegł niczego podejrzanego. W końcu wyskoczył na asfalt i ruszył w stronę restauracji.

Przed lokalem stały cztery samochody. Franck zaparkowała niechlujnie, trochę po skosie. Rozejrzał się wokół, ale na parkingu jej nie było. Pochylił się, by zerknąć do samochodu, ale tam zobaczył tylko okładkę płyty na siedzeniu pasażera. *Death Magnetic* Metalliki.

— Łapy w górę albo portki w dół.

Poczuł palec na karku i odwrócił się.

— Tracisz czujność, co? Albo... o rany. Może cię z kimś pomyliłam...

Franck zrobiła krok w tył. Czarne ray-bany, czarna skórzana kurtka i czarne rękawiczki samochodowe odznaczały się na tle białej skóry i falującej blond grzywki, która przywodziła na myśl *Ostatniego Mohikanina*. Przyjrzała mu się i ogromnie rozbawiona stwierdziła:

— A nie. Jednak się pomyliłam. Szukam takiego gościa, Nielsa Oxena. Zna go pan może?

Czerń i biel. Zawsze taka była. Heban i kość słoniowa, w

wytartych dżinsach i białych tenisówkach. Gdyby świat naprawdę był czarno-biały, to który kolor by wybrała?

— Cześć, Franck. Podoba ci się krój? A kolor?

— *Mucho*. Marynarka mogłaby być bardziej jazzy, ale zdecydowanie jest to... *progres*. Ogromny i potrzebny. Bardzo potrzebny.

— Dzięki.

— Jak udało ci się uciekać przed pościgiem i jednocześnie przejść wizerunkową metamorfozę?

Ostatnie zdanie powiedziała szeptem, mimo że węża nie było akurat w jej małżowinie. Zamiast niego z płatków uszu zwisały srebrne gwiazdy.

— Z pomocą dobrych znajomych — odparł. — Dobra. Chodźmy się przejść na plażę.

— I nic ci nie jest? — zapytała już całkiem poważnie.

— Tak, wszystko okej.

Ruszyli w stronę morza. Burza najwyraźniej przeszła bokiem. W oddali można było dostrzec zarys wyspy Sprogø, z której na potężnych słupach wyrastała najwyższa część mostu będącego siedmiomilowym krokiem z Fionii na Zelandię. Widać było również farmę wiatrową na morzu. Złudzenie optyczne sprawiało, że wiatraki wyglądały jak przyłączone do mostu.

Wszędzie złudzenia.

— Kto mnie zdradził?

Nie chciał niepotrzebnie przedłużać niepewności. To pytanie dręczyło go nieprzerwanie od ponad doby.

— A skąd mam wiedzieć?

Skręcili w lewo i szli wzdłuż pustej plaży — może niepewna aura spłoszyła plażowiczów? Dużo dalej, niemal przy linii wody, spacerowała samotna kobieta z owczarkiem niemieckim na smyczy.

— Ale przemknęło ci to przez myśl, prawda?

— Że to mógł być Anders, mój... kolega. O to pytasz?

— A kto inny?

— Niels, to nie on. On jest w porządku. Mam do niego pełne zaufanie.

— To dlaczego musieliście wyjść do kuchni?

— Prawdą jest, że cała sytuacja dała mu do myślenia. Chciał mi uświadomić, że podejmuję ogromne ryzyko. I że powinnam się dobrze zastanowić. Martwi się o mnie, ale nigdy by się nie posunął... Po prostu nie. To nie on.

— Byli napastliwi, zrobili coś?

— Ci goście? Nieee. Nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, już ich nie było.

— Jeśli to nie twój kolega, to kto?

— Mogli obserwować moje mieszkanie.

— Oni?

— Oni. Danehof. Albo ktoś z mojej własnej firmy... Może Mossman postanowił sprowadzić cię siłą, skoro nie chciałeś po dobroci.

— To nie byli ludzie z PET.

— Oni nie noszą plakietek z nazwiskiem. I w naszej firmie nie działa program firmy przyjaznej pracownikowi.

— Musiałem obezwładnić jednego z nich. Nazywa się Andrew Brown i ma brytyjski paszport.

— No to masz swoją odpowiedź.

Burzowe chmury nad ich głowami z wolna się rozpraszaly i teraz wyglądały jak zwykła, szara płachta na niebie. Błyskawicznie utworzył nowy front, by ponownie zaobserwować jej reakcję.

— Tylko dwie osoby wiedziały, gdzie jestem...

Zatrzymała się w pół kroku. Zamiast głośno zaprotestować — milczała. Zdjęła okulary, złapała go za poły marynarki i przyciągnęła do siebie.

— Niels, ty jesteś chory. Uświadom to sobie. Któregoś

dnia, kiedy to wszystko się skończy, musisz poszukać pomocy, profesjonalnej pomocy. Rozumiesz?

Mówiąc, patrzyła mu prosto w oczy. Nie wściekła się, jak przewidywał. Przeciwnie — była chłodna, bardzo nieprzyjemna, wężowa.

— Ty *nie potrafisz* nikomu zaufać, prawda? Nie potrafisz ani nie chcesz. To tylko element całości, jeden z symptomów. Bardzo typowy. Uwierz mi, znam się na tym.

— Nie możesz mnie obwiniać, że o tym pomyślałem. Sama byś o tym pomyślała.

Puściła go i zrezygnowana pokręciła głową.

— Otóż nie. Nie pomyślałabym. Tym właśnie się różnimy. Moje życie było o niebo prostsze, zanim znów się w nim pojawiłeś. I teraz już wystarczy, wracam do siebie. Bez wzajemnego zaufania nic z tego nie będzie i nie chce mi się tracić na to więcej czasu. Tyle w temacie.

— Mam listy członków Danehofu Nord. Trzy kręgi, z każdego po pięciu reprezentantów, łącznie piętnaście osób. Nazwiska, Franck. Mam wszystkie nazwiska.

— Mam to w dupie. Powodzenia. — Uniosła rękę na pożegnanie, odwróciła się i ruszyła z powrotem.

Stał i patrzył na jej oddalające się plecy. Chwiała się lekko, jakby proteza zapadała się w piachu. Wolałby, żeby jednak przyszła ta burza. Żeby oczyściła powietrze.

Nie obejrzała się. Oczywiście, że nie. Za pięć minut pogna autostradą. Za jakieś siedem minut będzie z powrotem w Østerbro.

Gdy oddaliła się na sto metrów, zaczął biec. A gdy ją dogonił, zastąpił jej drogę, chwycił ją pod pachy i podniósł do góry.

— Przepraszam! Kurwa, przepraszam! Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Nie wiem, co mi odjechało. Przepraszam cię. Naprawdę. Masz rację, Margrethe. Nie

umiem nad tym zapanować.

Znów postawił ją na piasku. Najpierw stała tylko i patrzyła na wodę. Potem się odwróciła i spojrzała na niego.

— Więc czego właściwie ode mnie chcesz, Oxen?

— Muszę udowodnić, że jestem niewinny. To chyba jasne.

Nie mogę żyć w ten sposób, zawsze w ukryciu.

— Wcześniej też żyłeś w ukryciu.

— Wiesz, o co mi chodzi!

— Widziałeś swojego syna w tym czasie, jaki upłynął?

— Tak. Całkiem niedawno.

— I jak on się miewa?

— Dobrze. Bardzo dobrze.

— Hm.

— Margrethe, pomożesz mi?

Nic nie odpowiedziała. Jej usta były ściągnięte w wąską kreskę.

— Skopmy dupy gnojkom — tak mawialiśmy, kiedy byłem łebkiem i po szkole graliśmy w piłkę.

— Nielsie Oxenie, to ty w ogóle kiedykolwiek byłeś dzieckiem? Takim prawdziwym?

— Chyba tak. Kiedyś, dawno temu.

— Jeden warunek: przestaniesz się wydurniać.

— Obiecuję.

— W takim razie okej. Skopmy dupy gnojkom.

Rozdział 48.

Linie przecinają się w Nyborgu. Do tego prostego wniosku doszedł po wielogodzinnych rozważaniach. Żaden przełom. Raczej nagroda pocieszenia za żmudną próbę wykrycia choć cienia źródła tego wszystkiego. Zerwania zbędnej nadbudowy i zbadania tego, co zostanie.

Jego własne archiwum zakopane pod modrzewiem, dokumenty inspektora muzeum Maltego Bulbjerga i jego gwałtowna śmierć w dawnej komnacie Danehofu na zamku. Fakt, że o dokumentach wiedział szef PET Axel Mossman, zainscenizowane zabójstwo ministra sprawiedliwości podczas wyprawy na ryby i teraz pościg za nim samym. W dodatku na dwóch frontach, z których jeden był oficjalną akcją policji, a drugi doskonale skoordynowaną operacją wynajętej grupy komandosów.

A wszystko najprawdopodobniej pod ścisłym nadzorem mrocznych postaci z serca władzy, Danehofu.

To dlatego palcem wskazywał na Nyborg. To tam wszystko miało swój początek. Udało mu się chyba przekonać Franck. Mało tego, jeszcze z domu, nim wysłuchała jego argumentów, zadzwoniła do wdowy po Bulbjergu i umówiła ich na spotkanie.

Właśnie jechali do niej cooperem. Przyjemnie było mieć sojusznika. Siedziała za kierownicą, nadal lekko wkurzona. Na plaży mieli krótkie spięcie o Mossmana. Czy powinni go wtajemniczyć? A jeśli tak, to kiedy? A może wcale? Jego stanowisko było jasne: nie ufał człowiekowi, który zabił mu psa. Nie ufał człowiekowi, który niepostrzeżenie sprawił, że przyczyny i skutki uległy zatarciu.

Franck przypomniawszy mu, że tym samym pozbawiają się

cennego sprzymierzeńca. Miała jednak takie same wątpliwości, jakie w nim samym zostawiła sprawa wiszących psów. Ostatecznie zgodzili się, że wątpliwości przemawiają na jego szkodę.

— Przyjrzałam się trochę Bulbjergowi i jego żonie. Mamy jeszcze pół godziny, więc może się gdzieś zatrzymamy i wszystko ci pokrótce opowiem? — zaproponowała i odbiła w bok, w stronę starej części miasta.

Oczywiście, że ich sprawdziła. Sprawdziła wszystko. Na tym polegała jej praca. Pamiętała też, że jest w tym piekielnie dobra.

Chwilę potem wjechała na parking pod ratuszem. Piękny, dostojny budynek sprofanowano, postawiwszy obok ogromną betonową skrzynkę, by umieścić w niej biura, a jakiś niedoceniany wizjoner architektury połączył obie bryły przeszklonym łącznikiem. Skrzynka brutalnie odstawała również od kamienic otaczających plac z trzech stron.

Czwarta strona, kawałek dalej, była otwarta i wychodziła na okolice zamku i wały. Niels zerknął w tamtą stronę, na budzącą respekt budowlę o kilkusetletniej historii, a obecnie również miejsce krwawej zbrodni.

— Zostawimy tu auto i dalej pójdziemy pieszo. To niedaleko — powiedziała Franck. — Nawiasem mówiąc, wdowa niespecjalnie ucieszyła się na naszą wizytę. Zwłaszcza gdy jej powiedziałam, że jesteśmy z PET. Jest kompletnie skołowana.

— Trudno jej się dziwić. Musi być w rozsypce.

— Jest pod opieką psychiatryczną. Na szczęście.

Franck więcej nie wspomniała o profesjonalnej pomocy dla niego. Powiedziała mu o tym raz. Znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że drugi raz tego nie powie.

Przekręciła kluczyk, ze schowka wyjęła teczkę i futerał na okulary. Te same okulary, które już u niej widział. Wąskie i

oczywiście czarne.

— Okej. Oto, czego naprędce udało mi się dowiedzieć: Malte Bulbjerg, lat trzydzieści osiem, urodzony w Christiansfeld w Jutlandii Południowej. Jedynek, matka Sigrid uczyła historii Danii w liceum w Haderslev. Ojciec miał na imię Frederik. Odziedziczył po swoim ojcu fabrykę maszyn, która pod jego kierownictwem przeistoczyła się w prężne przedsiębiorstwo o nazwie Bulbjerg Transmissions. Produkują wszelkie rodzaje skrzyń biegów, przede wszystkim do turbin wiatrowych. Dwanaście lat temu sprzedał firmę, a rok później razem z żoną na stałe przenieśli się do Hiszpanii. Oboje zginęli dziesięć lat temu w pierwszym tamtej zimy poważnym wypadku na oblodzonej autostradzie w Jutlandii Południowej, gdy jechali spędzić święta w Danii. Żona Bulbjerga, Anna-Clara, ma trzydzieści cztery lata i jest nauczycielką w szkole podstawowej w Nyborgu. Pochodzi z Aarhus, jej rodzice również są nauczycielami. Z Bulbjergiem poznali się w czasie studiów. Nie mają dzieci. Bulbjerg był człowiekiem pełnym zapału i aktywnie uczestniczył w życiu lokalnej społeczności. Uwielbiał każdy sport, zwłaszcza piłkę nożną. Był w mieście postacią znaną i bardzo lubianą. Na Facebooku powstała grupa ku jego pamięci. Był...

— Jezu, czy w ogóle *można* jeszcze umrzeć, żeby nie powstała z tej okazji grupa na Facebooku?

— Zgorzkniały starzec. Jeśli chcesz wiedzieć, też masz swoją grupę.

— Co? Ja na Facebooku?

— Owszem. Całkiem sporo ludzi uważa, że państwo jest współodpowiedzialne za to, co się stało. Że państwo i społeczeństwo nieuczciwym traktowaniem weteranów wojennych doprowadziło cię na skraj załamania i w akcie desperacji zamordowałeś starszego człowieka. Że jesteś

bardzo chorym człowiekiem, któremu należy się pomoc, a nie kara. Bohaterskim, dzielnym wojakiem, w którym coś pękło. Że w chwili popełniania czynu byłeś niepoczytalny...

— Niepoczytalny? Nie jestem, kurwa, *niepoczytalny*. I że co? W chwili popełniania czynu? Nie ma czegoś takiego jak chwila popełniania czynu. Ci wszyscy ludzie muszą być nieźle posrani. Ja...

— Dobra, już dobra. To współczesny środek komunikacji. Poza tym liczą się dobre intencje. Dobra karma w przestrzeni publicznej. Zawartość prawdy jest tu kwestią drugorzędną. Wracając do Bulbjerga... Na ścianie profilu jest mnóstwo wpisów. Same laurki i dobre wspomnienia. Słowa otuchy dla żony. Kondolencje i RIP-y z bliska i daleka.

— RIP-y?

— *Rest in Peace*.

— Aha.

— Nie mamy go w systemie. Żadnej bójki w młodości, nigdy nie obsikał nawet miejskiego muru, mówiąc krótko: żadnego naruszenia porządku.

— Zatem również nic o grach i narkotykach?

— Nic a nic.

— To wszystko?

Franck zamknęła teczkę i odłożyła na miejsce.

— Taa. Zasadniczo tak. Bardzo przeżył śmierć rodziców. Miał tylko dwadzieścia osiem lat i według tych paru osób, do których zadzwoniłam, był z obojgiem blisko związany. Dobra, lepiej już chodźmy. Jak się dzielimy? Każdy wie, co ma robić?

— Co takiego?

— Okej. Daj mi pokierować rozmową. Lepiej, żebyś nie zwracał na siebie zbyt wielkiej uwagi. Ale wtrąć się, jeśli coś ci przyjdzie do głowy. Zacznę łagodnie i ogólnikowo. Ale jeśli poczuję, że trzeba nią lekko potrząsnąć, to niestety,

będzie magiel — wdowa czy nie wdowa.

— W porządku, Franck. To ty się znasz.

Pomalowany na niebiesko dom na końcu ulicy był ostatnim w szeregu domów miejskich w pastelowych kolorach przydających ulicy Kirkegade sielankowości. Mieszkańcy mieli stąd niezakłócony widok na kościół Najświętszej Marii Panny, ze strzelistą wieżą wcinającą się w niebo.

Starannie pomalowane drzwi pasowały do otoczenia. Gdy Franck wcisnęła dzwonek, poczuł ucisk w żołądku.

Byli zgodni co do tego, że ryzyko, że zostanie rozpoznany, było minimalne. Nawet gdy będzie musiał zdjąć ciemne okulary. W ogóle nie przypominał długowłosego mężczyzny ze starego zdjęcia z komendy w Aalborgu. Zdjęcia, które krążyły w mediach przedstawiały „buszmena, a nie Hugo Bossa”, jak podsumowała kwaśno Franck.

Mimo to powinien — i zamierzał — unikać spotkań z ludźmi. Ten jeden raz jednak musiał zrobić wyjątek. Chciał poznać młodą wdowę po Bulbjergu. Chciał ją zobaczyć, przekonać się, jak znosi to, co się stało, dostrzec cierpienie w jej twarzy, być na miejscu i osobiście rozszyfrować odpowiedzi, których im udzieli.

Otworzyła po dłuższej chwili.

— Proszę, wejdźcie.

Podąła im rękę. Wydawała się nieobecna. Takie było jego pierwsze wrażenie.

Franck pokazała jej legitymację, przedstawiła się i przedstawiła jego jako swojego „kolegę Larsa Kihlera”. Komandos o złotym sercu niniejszym użył mu nie tylko garnitur i samochodu, ale i tożsamości — na potrzeby chwili.

Anna-Clara Bulbjerg była piękną kobietą. Miała w sobie pewną delikatność, ale też kruchość. W niektórych miejscach pod cienką skórą można było dostrzec niebieskie

linie żył. Oczy z braku snu i zbyt wielkiej tęsknoty miała podkrążone i zapadnięte jak ciemne jaskinie.

Jasne włosy, zebrane klamrą na karku, były potargane. Była ubrana w dres i kapcie włożone na bose stopy. Młoda nauczycielka okopała się w czterech ścianach swojego domu.

— Z PET? — brzmiał jej jedyny komentarz, po którym sceptycznym wzrokiem zmierzyła fryzurę Franck.

— Tak. Na razie przyglądamy się jedynie najróżniejszym aspektom śmierci pani męża.

— Ale *PET*?

— Taka współpraca międzysektorowa nie jest niczym niezwykłym. A w niektórych sprawach jest wręcz konieczna.

Margrethe Franck mówiła tonem rzeczowym i opanowanym. Nie wiedział, czy współpracę międzysektorową wymyśliła specjalnie dla nauczycielskiego ucha Anny-Clary, ale skomplikowany zwrot najwyraźniej pomógł młodej kobiecie zaakceptować zarówno irokeza, jak i PET, więc w końcu zaprowadziła ich do przytulnej kuchni z bardzo niskim stropem i poprosiła, by usiedli przy stole.

— Ale ja już naprawdę *wszystko* powiedziałam policji, i to więcej niż raz — westchnęła i sama usiadła.

— Tak, wiemy, że to może być frustrujące. Lecz czasem pamięć dopiero po czasie podrzuca niektóre szczegóły. Do tego każdy na swój sposób słucha i interpretuje uzyskane informacje. Przychodzimy dziś do pani z nadzieją, że być może uda nam się rzucić nowe światło na któryś ze znanych już faktów, usłyszeć coś nowego, trafić na jakiś nowy trop. Proszę nam powiedzieć, pani mąż... Jaki on pani zdaniem był — z natury, usposobienia?

Anna-Clara Bulbjerg spojrzała na blat.

— Zawsze pogodny. Uważny. Kochający życie. Pozytywny. O dobrym sercu. Pracowity i staranny. Gotów ciężko

pracować, by coś osiągnąć... Taki był.

— Czy przypomina sobie pani z ostatniego czasu sytuacje, w których pomyślała pani, że zachowuje się inaczej niż zwykle. Sytuacje, w których go pani nie poznawała?

Pokręciła głową.

— Tamci też o to pytali.

— Przykro mi, ale muszę ponownie o to zapytać. — Franck nie dawała za wygraną. — Czy były jakieś osoby, tematy lub dyskusje, na które pani mąż reagował szczególnie mocno? Proszę się nie śpieszyć z odpowiedzią.

— Nie... chociaż... może... — Anna-Clara się zawahała. Wyglądała, jakby ta rozmowa kosztowała ją mnóstwo wysiłku.

— Może?

— Mam na myśli wszystko, co miało związek z gminą i Ministerstwem Kultury. Budżet, priorytety, te sprawy. To zawsze budziło w nim żywe emocje. Oraz oczywiście niektóre osoby, z którymi się zetknął i które odrzuciły jego pomysły. Malte chciał bardzo dużo zrobić dla muzeum i zamku. A wszystko kosztuje.

— I poza urzędnikami nikt więcej nie przychodzi pani do głowy? Żadnych wrogów? Żadnych dawnych zatargów?

— Nie, nic z tych rzeczy. Malte nie miał wrogów. Myślę, że wszyscy go lubili.

— A jego osobiste marzenia? Albo pani? Chcę zapytać, jak wam się żyło, jakie mieliście plany?

Przez cały czas milczał. Przysłuchiwał się jedynie i obserwował obie kobiety. Franck wyglądała na skupioną, ale bez śladu służbowego chłodu.

Było to raczej szerokie otwarcie płaszczyzny do rozmowy niż przesłuchanie. Dokładnie tak, jak to sobie zaplanowała.

— Marzenia? — Młoda kobieta podniosła wzrok i spojrzała na Margrethe. — Hm. Mieć własną, małą rodzinę. O tym

marzył Malte... i ja też.

Słowa uwięzły jej w gardle. Dopiero po chwili była w stanie mówić dalej.

— Mieliliśmy nadzieję, że teraz, kiedy wszystko trochę się uspokoiło, zaczniemy się starać o dzieci. Malte wyobrażał sobie, jak będzie z nimi podróżował, pokazywał im świat, jak wspólnie będą poznawać nowe kultury. To chyba było jego największe marzenie. Moje również. Choć nie jestem może aż tak żądna przygód. Mimo wszystko dobrze jest zobaczyć coś innego.

— Jakie miejsce w życiu pani męża zajmował Danehof?

— Więc wiecie o Danehofie?

Oboje pokiwali głowami.

— Zamek w Nyborgu to *jest* Danehof. Średniowiecze, parlament, władza. Malte uwielbiał swój zamek. To była jego pasja. Pisał rozprawę historyczną na temat Danehofu, kiedy... Mówiąc krótko, Danehof był bardzo ważny. Chociaż lubię myśleć, że ja byłam ważniejsza.

Wysiliła się na uśmiech. Franck pozostawała przy tematach ogólnych.

— Więc nie mieliście większych zmartwień czy trosk?

Pokręciła głową.

— Nawet takich z przeszłości?

Anna-Clara Bulbjerg ponownie podniosła wzrok. Czy przypadkiem nie pojawiła się w nim nagle jakaś czujność?

— Yyy... przeszłości? W jakim sensie?

— Jakieś sprawy z dzieciństwa czy młodości. Może wie pani o czymś?

— Nie. Nic mi nie przychodzi do głowy.

— A jego rodzice?

— Och, przepraszam. Mój umysł pracuje w tej chwili na zwolnionych obrotach. Jeśli w ogóle pracuje... Oczywiście. Malte bardzo przeżył ich śmierć. To było krótko po tym, jak

się poznaliśmy. Nigdy się z tego nie otrząsnął, ale też nie dawał tego po sobie poznać. Mówił, że nauczył się z tym żyć. Miał wtedy zaledwie dwadzieścia osiem lat. W tak młodym wieku stracić...

Może nagle sobie uświadomiła, że sama znalazła się w podobnej sytuacji. W każdym razie odniósł wrażenie, że jeszcze bardziej skuliła się na krześle.

— W takich sytuacjach człowiek często szuka oparcia w innych osobach ze swojego otoczenia. Bliskich przyjaciółach, członkach rodziny. Czy Malte miał kogoś takiego?

— Przyjaciół nie. Ale była jego ciotka i jej mąż, Benedicte i Kurt Bjørkowie.

— Którzy mieszkają gdzie?

— W Odder.

— I nikogo poza nimi?

— To z nią był najbliższy. I z moim ojcem. Zawsze dobrze się dogadywali. Bardzo dobrze.

Ukryła twarz w dłoniach i potarła oczy.

— A tę pracę o Danehofie pisał sam czy we współpracy z kimś? — Postanowił się wtrącić. Miał nadzieję, że to proste pytanie pomoże jej powstrzymać emocje i się nie rozkleić. Poza tym potrzebował jakichś nowych informacji, czegoś, czego mógłby się uchwycić. Jakiegoś kolegi z muzeum, którego mógłby odwiedzić. Kogoś, z kim Bulbjerg mógł podzielić się wiedzą.

— Nie. Na pewno bym o tym wiedziała. Historycy i muzealnicy oczywiście dzielą się ze sobą wiedzą, ale zasadniczo Malte pracował sam.

— Jeśli powiem: kokaina, to co może pani powiedzieć? — Franck zmieniła styl i kierunek.

— Niedorzeczne, to mogę powiedzieć — odparła szybko Anna-Clara.

— Nawet ci, których znamy najlepiej, osoby nam

najbliższe, mogą mieć tajemnice.

Anna-Clara zgromiła Franck spojrzeniem.

— Nie narkotyki. Nigdy w życiu.

— A właściwie dlaczego nie?

— Dlatego, że go znałam. Cały Malte. Nie można go było przekonać nawet do tabletki od bólu głowy. Nienawidził ludzi, którzy niszczyli innych narkotykami.

— Chce pani powiedzieć, że nigdy nie próbował narkotyków?

— Nie!

— Nawet zioła czy tego typu rzeczy?

— Nie!

— Wasze marzenia wymagały pieniędzy. Być może mąż dostrzegł możliwość dodatkowego zarobku? Na tym można zarobić całkiem sporo.

Franck szła jak buldożer. Najwyraźniej uznała, że trzeba wdową potrząsnąć.

— To niedorzeczne, co pani mówi! Malte nie byłby zdolny zerować na cudzym nieszczęściu. To był *dobry* człowiek.

Młoda kobieta nie miała dość siły, aby na poważnie się wściec, ale stanowczo zaprotestowała i próbowała uciąć ten wątek.

— Rozumiem. Proszę mi wybaczyć, ale musimy rozważyć również tego typu możliwości. I je sprawdzić. — W głosie Franck nagle pojawił się pojednawczy ton. Ze strony wdowy nie odnotował żadnej reakcji.

— Jaka była pani pierwsza myśl, gdy się pani dowiedziała, że mąż co tydzień gra za grube tysiące?

Anna-Clara pokręciła głową. Wzrok znów miała pusty. I znów wbiła go w blat stołu.

— Pomyślałam, że to pomyłka, kiedy tamten policjant mi o tym powiedział. Że pomylili Maltego z kimś innym. Jasne, lubił czasem postawić w zakładach piłkarskich. Jak wielu

innych. Ale to... To dla mnie kompletna abstrakcja.

— A jednak to była prawda. To chyba pokazuje również, że osoba, którą, jak nam się zdaje, znamy na wylot, mimo wszystko może mieć przed nami tajemnice. Patrząc w kontekście tamtej sprawy... czy to ani trochę nie podburza pani pewności w kwestii narkotyków?

— W życiu! Jest ogromna różnica między piłką nożną a narkotykami. On by tego nigdy nie zrobił. Za nic w świecie.

— Co tydzień obstawiał po kilka tysięcy koron. Skąd brał na to pieniądze?

Franck spojrzała na niego, unosząc pytająco brwi, gotowa najwyraźniej kończyć spotkanie, o ile on nie będzie chciał niczego dodać.

— Cóż... tego nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Anna-Clara Bulbjerg wyglądała teraz na zmęczoną. Nadal patrzyła głównie w stół, na podłogę albo czubki pantofli. Skinął Franck na znak, by dała mu chwilę, i spróbował raz jeszcze:

— Jeśli chodzi o badania nad Danehofem... Czy mąż odwiedzał inne miejsca, instytucje albo może wyjeżdżał po jakieś materiały za granicę?

Zastanawiała się przez chwilę.

— Archiwum Królewskie w Kopenhadze, w Slotsholmen. Tam jeździł dość często. Poza tym nigdzie.

— Wiemy, że przed rokiem pani mąż otrzymał pewne dokumenty, archiwalne materiały o Danehofie. Nadesłano je pocztą, w brązowej kopercie. Mówi to pani coś?

— Nie, nic. Skąd pan o tym wie? — Młoda wdowa ponownie podniosła wzrok, tym razem by spojrzeć pytająco na niego.

— Tego nie możemy zdradzić — odpowiedziała jej Margrethe.

— Nie pamięta pani, aby mąż w jakikolwiek sposób

zareagował na przesyłkę? Nie opowiadał pani o swoich badaniach?

Pokiwała zmęczona głową.

— Tak, tak, opowiadał w nieskończoność. Czasem robiło mi się niedobrze od słuchania o Danehofie, ale to był jego konik. Był ogromnie zaangażowany w tę pracę. Ale jakieś dokumenty? Nie, nic mi to nie mówi.

Informacja o kopercie nie wywołała najwyraźniej w Bulbjergu żadnej widocznej reakcji. Materiały, które osobiście mu przesłał, musiały go przecież niesamowicie ucieszyć. Albo przynajmniej mocno dać do myślenia. To, o czym mówiła jego żona, nie pasowało do tego, czego można się było spodziewać. Spróbował po raz ostatni:

— Czy w normalnych okolicznościach... Czy zdarzało mu się chodzić na zamek nocą? Może po to, aby poczuć atmosferę? Poszukać inspiracji?

Spojrzała na niego z rezygnacją.

— Nie... nigdy.

— Więc nie ma pani najmniejszego pojęcia, co mógł robić na zamku o tak późnej porze?

— Dobry Boże, a skąd ja mam to wiedzieć? To nie *moje* zadanie. To nie ja mam znaleźć odpowiedź na takie pytania. Tylko wy. Tymczasem jakoś nie słyszę żadnych odpowiedzi. Wciąż brak nowych informacji. Nic, zupełnie. Co robi policja? Mój mąż został zamordowany.

Franck wstała.

— Myślę, że na dziś wystarczy — powiedziała i wyciągnęła rękę. On pośpiesznie zrobił to samo.

Anna-Clara Bulbjerg pożegnała ich samym skinieniem i w milczeniu odprowadziła do drzwi. Franck tymczasem, już trzymając dłoń na klamce, wykonała klasyczny numer detektywa Colombo i odwróciła się na pięcie.

— Ach, zapomniałam o jednej drobnej sprawie... —

powiedziała i niby w zamyśleniu spojrzała na żonę Bulbjerga.

— Tak?

— To nic takiego, coś, co przelotnie mignęło mi przed oczami i nieco zastanowiło... Na Facebooku utworzono grupę upamiętniającą pani męża. Widziała pani?

— Nie.

— Ktoś udostępnił na niej stare zdjęcie klasowe ze szkoły w Christiansfeld. Pewnie dawny kolega z klasy. Są na nim nazwiska dzieci, a pani męża podpisano jako Malte R. Bulbjerg. Zastanawiam się... Co oznacza to R? Od jakiego to imienia?

Tym razem nie mógł tego nie zauważyć. Anna-Clara Bulbjerg uciekła wzrokiem. Tylko na ułamek sekundy. Po czym wzruszyła ramionami.

— R? To musiał być błąd. Jego pełne nazwisko brzmi... brzmiało... Nie było tam nic na R. Możecie zresztą sprawdzić. W akcie chrztu, dokumentach... nigdzie nie ma żadnego R. To pomyłka.

— No tak. To musiała być pomyłka. Zatem do widzenia — i dziękujemy.

— Do widzenia.

Kiedy uszli kawałek chodnikiem, złapał ją za ramię i zatrzymał.

— O co chodzi z tym R? Nic mi o tym nie mówiłaś.

— To był tylko szczegół. Chciałam się przekonać, czy warto to sprawdzać, żeby niepotrzebnie nie marnować czasu. Sądziłam, że to zwykła pomyłka. Ale nie. Widziałeś jej reakcję?

— Widziałem. I co teraz?

— To klocek układanki, który musimy wstawić na miejsce. Nie pamiętam nazwy szkoły, ale zaraz ją znajdę.

Kiedy chwilę później usiedli w cooperze, wyjęła swój

telefon.

— Co robisz?

— Wchodzę na Facebooka, a gdzie niby mam tego szukać?

— Chwilę później rzuciła: — Nazywa się Szkoła Podstawowa w Christiansfeld, logiczne.

Włożyła do ucha słuchawkę i wcisnęła kilka guzików.

— Dzień dobry. Nazywam się Margrethe Franck i dzwonię z Policyjnej Służby Wywiadowczej. Mam pytanie odnośnie do jednego z państwa dawnych roczników. Chodzi o klasę sprzed dwudziestu pięciu lat. Będą państwo mogli nam pomóc?

Po krótkiej rozmowie Franck powiedziała „dziękuję” i się rozłączyła.

— Oddzwonią najszybciej jak będą mogli. Musi iść do piwnicy i poszukać w archiwach. Tak starych danych nie mają w formie elektronicznej. Całkiem miła kobieta, powiedziała, że zajmie się tym od razu. Dlaczego Anna-Clara Bulbjerg kłamała?

— Mówisz o tym R czy w ogóle?

— Hm... w ogóle.

— Nie zauważyłem, aby w jakikolwiek sposób zareagowała na informację o kopercie, którą mu przysłałem.

— Może się mylę, ale kiedy ktoś unika kontaktu wzrokowego, to czasem ma ku temu istotne powody.

— To fakt. Częściej patrzyła w dół niż w górę. Ale wyglądała też na mocno przybitą. Co możemy powiedzieć na pewno? Że go zabili, bo wiedział za dużo? Albo dlatego, że zamierzał coś ujawnić? Myślisz, że tak właśnie było?

— Narkotyki wyglądają na próbę zmylenia tropu. Ktoś mógł je podłożyć. Zostało natomiast udowodnione, że grał jak w amoku. Danehof wydaje się najbardziej oczywistym podejrzanym. Oni mają środki, by wykonać taką operację. Z drugiej strony to, co najbardziej oczywiste, czasem okazuje

się strzałem kulą w płot. Moja intuicja w tym momencie mówi pas.

Przez chwilę milczeli. Margrethe w okularach do czytania na nosie kartkowała coś na ekranie telefonu.

— A teraz co robisz?

— Czytam wiadomości. Posłuchaj tego.

Franck zaczęła czytać na głos:

„Z niesłabnącą siłą prowadzony jest pościg za jednym z najwyższej odznaczonych weteranów wojennych w kraju, Nielsem Oxenem. Poszukiwania skupiają się obecnie wokół stolicy. Główny inspektor policji okręgu Jutlandii Środkowej i Zachodniej Ib Højgaard powiedział dziś po południu, że otrzymano zgłoszenie od kierowcy ciężarówki, który rozpoznał Nielsa Oxena. Kierowca podwiózł byłego żołnierza podejrzanego o zabójstwo z centrum transportowego w Vejle do Hundige”.

Franck przesunęła palcem tekst i czytała dalej:

„»W związku z tym to w okolice Kopenhagi kierujemy większość zasobów, a intensywne działania monitorujące i poszukiwawcze, które prowadziliśmy w ostatnich dniach w regionie środkowej i zachodniej Jutlandii, tymczasowo spowalnimy«. Sprawa zabójstwa siedemdziesięcioletniego hodowcy ryb Johannesesa Ottesena wciąż jest objęta klauzulą tajności. Szef policji nie komentuje samego postępowania. Na czas, gdy śledztwo na Jutlandii zostaje wstrzymane, najwyższy priorytet mają działania komendy stołecznej. »Przeznaczaliśmy ogromne środki na poszukiwania, które w chwili obecnej koncentrują się w kilku wybranych lokalizacjach. Jednocześnie uruchomiliśmy szeroko zakrojony monitoring całego okręgu stołecznego«, mówi główny komendant komendy stołecznej Laurids Hansson”.

Margrethe Franck spojrzała na niego pytająco.

— Jak ci z tym?

— Co mam powiedzieć? To nierealne. Kompletne szaleństwo. Kiedy tu siedzę spokojnie w samochodzie w Nyborgu, w ogóle nie czuję, jakby to było o mnie. To mnie nie dotyczy. A kiedy tylko włączę myślenie, to jest przerażające jak jasna cholera. Jak kiedykolwiek zdołam się z tego wywikłać? Czy nie skończy się tym, że będę gnił w więzieniu? Jak mocne są dowody przeciwko mnie? W tej chwili nie mam pojęcia, Franck.

— Poszlaki mogą wcale nie być szczególnie przekonujące. Na bank znaleźli całą masę odcisków butów, opon, innych śladów przeczących wstępnej hipotezie. Śledztwo jest utajnione. Możliwe, że w wersji, którą podali do publicznej wiadomości, są dziury.

— Ale bowie jest mój. I na trzonku noża są na bank tylko *moje* odciski palców.

Zadzwoił telefon i Franck natychmiast odebrała. Musieli dzwonić ze szkoły. Kiwała głową i wyglądała na maksymalnie skupioną.

— Od klasy pierwszej do dziewiątej. Czy byłaby pani uprzejma jeszcze mi to przeliterować, tak dla pewności?

Franck zapisała coś na skrawku papieru, wylewnie podziękowała i się rozłączyła.

— Właśnie go znaleźli w archiwach. R to nie pomyłka. Nazwisko Ryttinger coś ci mówi?

Rozdział 49.

Był wieczór, gdy wjechała na podjazd przed dużą willą w Møllebækken. Droga do Odder zajęła jej godzinę i czterdzieści pięć minut.

Oxenowi zarządziła areszt domowy — w garniturze czy bez. Mimo że w ogóle nie przypominał poszukiwanego weterana, nie mogli całkowicie na tym polegać. Nos, zacięte usta, a przede wszystkim czujne szaroniebieskie oczy natychmiast by go zdradziły, gdyby ktoś baczniej mu się przyjrzał i wiedział, na co zwrócić uwagę.

Fakt, że jedno z nich jest poszukiwane za zabójstwo, będzie poważnym utrudnieniem w ich prywatnym śledztwie. Wdowy po Bulbjergu nie musieli się obawiać, bo wciąż była w stanie szoku i od zabójstwa męża izolowała się od świata. A poza tym Oxen się uparł. Chciał zobaczyć jej reakcję.

Co do jednego byli zgodni: Anna-Clara Bulbjerg skłamała w kwestii podwójnego nazwiska męża. Musiała o nim wiedzieć.

Malte Bulbjerg pozbył się nazwiska Ryttinger na krótko przed podjęciem studiów w Aarhus. Informacje o tym Margrethe uzyskała w urzędzie powiatowym Tyrstrup Sogn, pod który podlega Christiansfeld.

Zostawiła samochód na wysypanym drobnym żwirem placu i zadzwoniła do drzwi. Kobieta, która otworzyła po zaledwie paru sekundach i która przez telefon dopiero po długim namyśle zgodziła się z nią spotkać, była Benedicte Bjørk.

— Margrethe Franck, jak się domyślam? Witam i zapraszam do środka.

— Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną zobaczyć.

Ukochana ciotka inspektora muzeum była zadbaną kobietą koło sześćdziesiątki. Zaprosiła Margrethe do środka i

wskazała duży salon wychodzący na ogród. W salonie siedział mąż i oglądał telewizję.

— Proszę usiąść. Napije się pani herbaty czy kawy?

— Kawy, dziękuję.

Ledwie usiadła wśród pięknych mebli z ciemnego drewna, a już pani Bjørk była z powrotem z czajnikiem i filiżankami. W kuchni został zapewne drugi uprzednio przygotowany czajnik — z herbatą.

— Czy pani pracuje... nadal? — W połowie pytania zrobiła sztuczną, dramatyczną pauzę. Informacja o wykształceniu kobiety i jej ewentualnej aktywności zawodowej była niezbędna do wyrobienia sobie pojęcia o niej jako osobie.

— Ba. Całe życie pracowałam — i tak, nadal pracuję — odparła Benedicte Bjørk i usiadła w fotelu na wprost Margrethe. Z naturalnym wdziękiem nasunęła spódnicę na skrzyżowane kolana i ciągnęła dalej:

— Jestem dyplomowaną maszynistką i korespondentką w języku angielskim i francuskim. Od dwudziestu lat pracuję jako sekretarka kierownictwa w Beltoft Packaging International w Aarhus. I zamierzam tam zostać, aż przejdę na emeryturę — kiedyś. Mój mąż prowadzi kancelarię adwokacką. Wcale nie musiałam pracować. Pracuję, bo to lubię. A pani jest z PET, tak? To chyba wymaga pewnego wyjaśnienia.

Margrethe wyskoczyła więc z wyćwiczonym już wyjaśnieniem, że PET pracuje zarówno na własną rękę, jak i we współpracy z lokalną policją, jeśli tego wymaga *sprawa*. I tak właśnie jest w przypadku sprawy zabójstwa Maltego Bulbjerga. O tym, dlaczego tak jest, z natury rzeczy nie może się wypowiadać.

Pani Bjørk pokiwała głową zamyślona, jedną ręką ostrożnie uniosła do ust spodek z filiżanką i zamoczyła wargi w kawie.

— Wobec tego zaczynamy — powiedziała i sprawiała

wrażenie, jakby z góry wiedziała, o czym będzie ta rozmowa.

— Chciałabym ustalić chronologię. Cofnijmy się w czasie o dwadzieścia pięć lat. Pani ojciec Karl-Erik Ryttinger zostaje zastrzelony w swojej rezydencji przy Strandvejen w Kopenhadze. Przez domniemanego włamywacza. Co pani pamięta z tamtego czasu?

Ciotka Bulbjerga uśmiechnęła się smutno.

— Pamiętam wszystko. Przede wszystkim pamiętam konsternację. To prawdziwy wstrząs stracić bliską osobę w taki sposób. Ojciec był wielkim człowiekiem. Pod każdym względem. Twardy i bezwzględny w interesach, ale po ludzku kochający i wielkoduszny. Choć przez całe życie bardzo ciężko pracował, zawsze umiał znaleźć czas dla mnie i mojej siostry, Sigrid.

— Malte miał wtedy trzynaście lat. Jak on to zniósł?

— Źle. Był bardzo przywiązany do swojego dziadka. I wzajemnie. Grywali razem w piłkę, tylko we dwóch. Dziadek zabierał Maltego na ryby. Nie tylko tutaj, ale również do Norwegii albo Szkocji. Na brak pieniędzy nigdy nie narzekał. Niestety, w ostatnich latach jego stan się pogarszał. Połączenia nerwowe w jego mózgu słabły i kiedy zginął, miał początki demencji.

— Śledztwo prowadził Axel Mossman, pamięta go pani?

— Tak, oczywiście. To on od wielu lat jest szefem wywiadu, czyli również pani. Mossman... prawdziwy anglofil.

— Poznała go pani?

— Tak. Spotkaliśmy się kilkakrotnie. Musiał przecież przesłuchać rodzinę.

— A poza śledztwem?

Pani Bjørk pokręciła głową.

— Poza śledztwem — nie.

— Jak by pani opisała swoje relacje z Maltem?

Benedicte Bjørk przez dłuższą chwilę szukała

odpowiednich słów. Gdy zaczęła mówić, słychać było, że jest poruszona.

— Na tyle, na ile to w ogóle możliwe, byłam dla niego matką, którą stracił. Biedny chłopak. Dzwonił do mnie, by się poradzić, podyskutować, zwierzyć. Nie mam własnych dzieci. Może więc pani sobie wyobrazić, jak bardzo byliśmy sobie bliscy, prawda?

Margrethe pokiwała głową, patrząc na pogrążoną w rozpacz kobietę, która nagle wydała się tak zdruzgotana, że musiała odstawić filiżankę.

— Muszę pani zadać ważne pytanie i proszę się nie śpieszyć z odpowiedzią. Czy w czasie przed jego śmiercią coś zwróciło pani uwagę? Czy powiedział albo zrobił coś nietypowego? Był pogodny, a może przestraszony? Cokolwiek pani zaobserwowała, jest dla nas ważne.

— Pani chodzi o Danehof, prawda? — Benedicte podniosła na Margrethe szklisty wzrok.

Zaskoczyła ją. Tak bardzo, że najwyraźniej było to po niej widać.

— Niech pani nie wygląda na taką zaskoczoną. W mojej rodzinie od dawna żyjemy w cieniu Danehofu. O ile — podkreślam — *o ile* Danehof istnieje. Malte był przekonany, że tak. Czy dlatego musiał zapłacić życiem? Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć. Ale mogę was zapewnić, że nie był przestępcą. To był dobry chłopak.

— Mówi pani, że Danehof był obecny w waszym życiu. Może pani to rozwinąć?

— Jak pani zapewne wie, nasz ojciec tuż przed śmiercią napisał na podłodze własną krwią słowo „Danehof”. Coś takiego zostawia głęboki ślad. Malte, jeszcze jako dziecko, poprzysiągł pomścić śmierć dziadka. Powiedział, że zemści się na Danehofie. Tylko dziecku mogą ujść na sucho takie słowa, prawda? Pani ma dzieci?

Pokręciła głową.

— Hm. Ale Maltemu nie uszły na sucho. Kilkanaście lat temu na nieszczęście znaleźliśmy dokumenty ojca. Były ukryte pod podłogą w naszym rodzinnym letnim domu w Skagen. Robiliśmy remont i nagle się pokazały. Starannie ułożone i zamknięte w plastikowym pudełku z wieczkiem. Potem...

— Co to były za dokumenty?

Pani Bjørk uśmiechnęła się lekko, być może rozbawiona jej niecierpliwością.

— Dzienniki i zbiór luźnych kartek z przemyśleniami i ze wspomnieniami. Wszystko to miało związek z faktem, że ojciec najwyraźniej przez wiele lat należał do pewnego kręgu osób, osób wpływowych i sprawujących władzę — każda na swój sposób i w swojej dziedzinie. Ci ludzie w sposób aktywny brali na siebie odpowiedzialność za przyszłość Danii i tę przyszłość tworzyli. Część z tych dokumentów dotyczyła spraw bardzo konkretnych — były to notatki ze spotkań, cele i tym podobne. Reszta była zapisem wątpliwości, które miał ojciec, i jego obaw w związku z rolą, jaką on sam w tym wszystkim odgrywał.

— Ale przed chwilą powiedziała pani „o ile Danehof istnieje”. Czy to nie dowodzi jego istnienia?

— Nie. Ojciec ani razu nie używa słowa „Danehof”. Pisze „my” albo „nasz krąg”, albo używa jeszcze innego określenia. Nigdzie jednak nie mówi: „Danehof”. Jako ważna postać dla duńskiego przemysłu i duńskiej gospodarki był członkiem najróżniejszych organizacji i stowarzyszeń. W większości branżowych. Ale zasiadał również w kopenhaskiej loży Odd Fellows.

— Dlaczego pani zdaniem znalezienie dokumentów było nieszczęściem?

— Ponieważ moją siostrą, która podobnie jak Malte była z

wykształcenia historykiem, zawładnęła myśl o Danehofie. Odnalezienie tych dokumentów umocniło jej podejrzenie, że to Danehof stał za zabójstwem ojca. Z determinacją więc grzebała w przeszłości. Zwłaszcza po tym, jak ze szwagrem przeprowadzili się do Hiszpanii i nagle miała mnóstwo czasu. Nie wiem, czy czegokolwiek się dokopała. A potem oboje zginęli. W wypadku na autostradzie, jak pani wie. To mniej więcej w tym czasie Malte zaczął studiować historię. Już wcześniej miał obsesję na punkcie Danehofu, więc kiedy dostał się na wymarzony kierunek, biedak całkiem się w tym zatracił. Wszędzie widział spisek. Najpierw jego dziadek, a teraz rodzice.

Pani Bjørk znów zaszklily się oczy.

— Więc Malte był przekonany, że Danehof zabił jego rodziców, ponieważ matka zaczęła grzebać w przeszłości?

Ciotka Bulbjerga znów przytaknęła.

— Dokładnie. To właśnie próbowałam mu uświadomić. Tamtego dnia na drogach panowały naprawdę trudne warunki... Chce pani jeszcze kawy?

Podstawiła jej swoją filizankę. Wytropiła oko cyklonu. W spokojnym, eleganckim domu w Odder. Atmosfera wokół doświadczonej rodziny Ryttingerów była aż ciężka od wydarzeń o ogromnym znaczeniu dla sprawy. Tak wiele odkryła tylko dzięki temu, że dostrzegła niepozorną literkę R w nazwisku Bulbjerga.

— Jakies pół roku temu Malte powiedział, że nawiązał współpracę z samym szefem wywiadu policyjnego Axelem Mossmanem. Wiedział, że to on, jeszcze jako policjant, prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa jego dziadka. Malte uważał, że tym sposobem krąg się domyka. Od kogoś anonimowego otrzymał jakieś materiały archiwalne. Twierdził, że te dokumenty raz na zawsze potwierdzają istnienie Danehofu. I to jest w zasadzie wszystko, co wiem.

Poprosiłam go tylko, aby na siebie uważał.

— I nie powiedział pani, co to za materiały?

— Nie. Powiedział tylko, że jest pewien ich autentyczności. Choć nie wiem, jak mógł to sprawdzić.

— A dokumenty pani ojca z domku letniskowego — czy wciąż je pani ma?

— Nie. Sigrid je zabrała. Ale kiedy opróżnialiśmy ich dom w Hiszpanii, to ich nie znaleźliśmy. Myślę, że ukryła je w jakimś bezpiecznym miejscu.

— Tym, co mnie do pani sprowadziło, było nazwisko Ryttinger. Dlaczego właściwie Malte się go pozbył?

— Tego do końca nie wiem... Myślę, że wolał je ukryć. Żeby być bardziej... anonimowym. Badania nad Danehofem stały się dla niego projektem życia. I pewnie łatwiej mu je było prowadzić bez rzucającego się w oczy nazwiska panińskiego matki.

— A pani, albo pani i pani mąż... nie chcecie kontynuować jego dociekań?

— Nie. To, co się stało, jest wystarczająco bolesne. Nie można poświęcać całego życia na uganianie się za duchami, prawda?

— Więc pani zdaniem Danehof nie istnieje?

— I tak, i nie. Wiem natomiast, ile może kosztować poszukiwanie prawdy.

Margrethe pokiwała głową, odstawiła pustą filiżankę. Oxen na pewno w skupieniu wysłucha historii rodziny Ryttingerów i młodego inspektora muzeum. To, czego się dziś dowiedzieli, było zdecydowanym przełomem w ich krótkim śledztwie. Ale wiedziała również, że Oxen natychmiast ostudzi jej podniecenie uwagą, że ów przełom nie wskazał im żadnych nowych śladów.

Jutro rano, kiedy się obudzi w swojej małej kryjówce w pensjonacie, wciąż będzie poszukiwany w całym kraju.

— Zatem... ma pani jeszcze jakieś pytania? — Benedicte Bjørk spojrzała na Margrethe i wstała.

— Nie. To chyba już wszystko. Mam jednak nadzieję, że będzie mi wolno się do pani zgłosić ponownie, jeśli coś mi przyjdzie do głowy?

— Oczywiście. Przynajmniej tyle mogę zrobić — udzielać informacji. Uważa pani, że jestem tchórzem, ponieważ nie chcę podejmować tej walki? Bo nie chcę uganiać się za duchami?

Margrethe wzruszyła ramionami. To nie jej rola uspokajać czyjeś wyrzuty sumienia.

— To, że się pani zgodziła ze mną porozmawiać, na pewno nie było tchórzostwem. Raczej przeciwnie — odparła pojednawczo.

Pani Bjørk pokiwała głową, ale nic nie powiedziała. Odprowadziła ją przez cały dom do drzwi. Nagle zatrzymała się w pół kroku i powiedziała:

— Właśnie coś sobie przypomniałam. Nie wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. Malte zadzwonił do mnie któregoś dnia, jakieś pół roku temu, i zapytał, czy mówi mi coś nazwisko Vitus Sander. I rzeczywiście znałam je. To nietypowe nazwisko. Jak nasz wielki odkrywca, Vitus Bering i Cieśnina Beringa, prawda? Innych Vitusów nie znałam. Chociaż tak... pamiętałam to nazwisko z dokumentów ojca z domku letniskowego. Nie pamiętałam już, dlaczego tam widniało, ale byłam pewna, że pojawiło się w nich nazwisko Vitus Sander.

— Nie spytała pani, dlaczego Malte się nim interesował?

— Nie. Nigdy nie naciskałam na niego, by mi opowiadał o swoich duchach. To on przychodził do mnie.

— Dziękuję za pomoc. I za kawę.

W progu uściśniły sobie ręce, a ciotka Bulbjerga powiedziała jeszcze z pewnym wahaniem w głosie:

— Jeśli czegokolwiek się pani dowie... czy może mi pani o tym powiedzieć?

— Oczywiście. Będziemy panią informowali. Tu jest moja wizytówka. Proszę dzwonić, jeśli coś sobie pani przypomni. Cokolwiek, nawet najdrobniejszy szczegół może mieć znaczenie.

Benedicte Bjørk uśmiechnęła się smutno, pokiwała głową i zamknęła drzwi.

Margrethe usiadła za kierownicą i przekreśliła kluczyk. Silnik przyjemnym buczeniem ze specjalnej rury wydechowej zasygnalizował gotowość do pracy. Czekająca ją cudownie długa droga powrotna do Nyborga, gdzie zarezerwowała sobie pokój w hotelu Nyborg Strand.

Zerknęła jeszcze na schodki. Czy Benedicte Bjørk, zamykając mahoniowe drzwi swojego domu, zamknęła je również przed duchami? A może zamknęła duchy w środku?

Miała mnóstwo kilometrów na rozmyślanie o rozmowie, którą właśnie odbyła.

Rozdział 50.

W zasadzie nie miał żadnego wyboru. Za kilka minut się dowie, co się teraz wydarzy. Właśnie zadzwonili z recepcji, by zapowiedzieć wizytę pana Nielsena.

Możliwe, że po raz pierwszy w jego karierze niezadowolony klient zerwie kontrakt i go zwolni.

Wzdragał się na myśl o tym. Coś takiego rozchodzi się jak niewidzialne kręgi na niewidzialnej tafli wody. To ogromnie zaszkodzi jego firmie. Ale nie ma wyjścia. Będzie musiał przyjąć to jak dżentelmen i przeprosić, że nie udało mu się dotrzymać umowy.

Siedział napięty na krześle w swoim drugim kopenhaskim pokoju hotelowym. Ze względów bezpieczeństwa często zmieniał hotele. Było już późno. Pan Nielsen chciał się spotykać tylko w hotelu. I zawsze późno.

Ciekawe, czy on sam też pracował kiedyś w jego branży. W ochronie? Wnosząc ze środków ostrożności, jakie podejmował, i z tego, jak był czujny, wcale nie byłoby to takie dziwne. A może był z wywiadu?

Usłyszał pukanie do drzwi. Podszedł, by otworzyć. Podali sobie ręce i zaproponował swojemu gościowi jedyny w pokoju fotel.

Nielsen jak zawsze był elegancko ubrany. Tym razem jednak w szarym, a nie czarnym garniturze. Cienkie jasne włosy były schludnie przyczesane a wokół jego głowy unosił się delikatny zapach wody po goleniu.

On sam co do zasady nie dotykał alkoholu w trakcie kontraktu. Ale może Nielsen owszem?

— Napije się pan czegoś? Myślę, że w barku znajdzie się po trochu wszystkiego.

— Może szklanę wody. Gazowanej.

Nielsen taktownie poczekał, aż dostanie do ręki szklanę. Był dokładnie tak lakoniczny jak zwykle.

— Mój pracodawca jest, mówiąc delikatnie, rozczarowany efektami pańskiej pracy. Również drugie podejście się nie powiodło, panie Smith. Mimo że dostaliście Oxena na tacy. Nie przywykliśmy do porażek. Gardzimy porażkami.

Nielsen zamilkł i zmoczył usta.

Teraz to się stanie. Kiedy znów zacznie mówić, stanie się właśnie to. Jego *pierwszy* w życiu zerwany kontrakt. Czuł się zażenowany. Będzie musiał się postarać. Musi coś zrobić.

— Jest mi bardzo przykro. *Ja* również brzydzę się porażką. Zawsze dotrzymuję umów. Tak było przy pierwszym zleceniu, które dla państwa wykonałem. I tak jest zawsze, gdy przyjmuję zlecenie. Ta sytuacja jest dla mnie tak nietypowa, że chciałbym zaproponować obniżkę ceny.

Nielsen uniósł rude brwi. Wyraz jego piegowatej twarzy nie był ani przyjazny, ani wrogi.

— Obniżkę ceny? Nie, dziękuję. Nigdy nie negocjujemy cen. Kontrakt to kontrakt. Obowiązuje obie strony.

— Tak, oczywiście.

— Mój pracodawca płaci tyle, ile kosztuje usługa. I oczywiście oczekuje, że zostanie wykonana — powiedział Nielsen i spojrzał surowo znad oprawek.

— Oczywiście.

— Poprosiłem o to szybkie spotkanie wyłącznie dlatego, że mój pracodawca pragnie z całą mocą podkreślić, że nasze oczekiwania się nie zmieniły.

— Jeśli otrzymam trzecią szansę, mogę państwa zapewnić, że nie zawiodę. Muszę przyznać, że wbrew zdrowemu rozsądkowi mimo wszystko nie doceniłem Nielsa Oxena. To groźny przeciwnik i zdecydowanie w pełni sił mentalnych.

— O to, że będzie miał pan trzecią możliwość, może pan

być spokojny. Uruchomiliśmy wszystkie zasoby. Przepuszczamy, że osoby, które mamy obecnie pod obserwacją, zaprowadzą nas do Oxena. Albo jego przyprowadzą do nas. Jakim zespołem pan dysponuje?

— Siedem osób. Plus ja.

— Doskonale. Proszę pozostać w gotowości.

Rozdział 51.

Poza czarnym mini cooperem i jego pożyczoną toyotą na parkingu stał tylko jeden samochód. Należał do młodej matki, która zatrzymała się, by dwójka jej małych dzieci mogła rozprostować kości. Dzieci dokazywały i ganiały się po plaży, podbiegając aż do linii wody. Kobieta obserwowała je oparta o boczną szybę i paliła papierosa.

Zatrzymali się na miejscu postojowym tuż przed tablicą z nazwą Nyborg, od strony Svendborga. Był to jedynie wąski przesmyk z małymi łódkami zacumowanymi od strony fiordu Nyborg, po drugiej stronie drogi na zachód ciągnął się fiord Holckenhavn.

Było południe. Źle spał. Czuł się zmęczony i miał ciężką głowę.

Potał dłońmi twarz i ziewnął. Margrethe Franck długo opowiadała mu o spotkaniu z Benedicte Bjørk i cierpliwie powtarzała, gdy coś mu umknęło.

— Koszmary? — Nie widział, gdzie patrzy zza czarnych ray-banów, ale wiedział, że nie na niego.

— Tak.

— Wciąż ta sama siódemka?

— Tak.

— Cholera.

— No.

— Żadnej poprawy?

— Żadnej.

— Żadnych zmian?

— Żadnych.

— Hm. A co myślisz o tym wszystkim?

— Właśnie to sobie przetwarzam.

— To nie wszystko. Na koniec, już w drzwiach powiedziała mi coś jeszcze. Malte pytał ją o człowieka o nazwisku Vitus Sander. Zapamiętała je z dokumentów znalezionych pod podłogą domku letniego. Więcej nie umiała powiedzieć.

— Vitus Sander! Jest wymieniany w materiałach, które ukryłem w lesie. Gdzieś w jakimś protokole jest powiedziane, że wielokrotnie przekazał spore kwoty dla Kręgu Północnego i że współfinansował działalność Consilium. Z tamtych dokumentów wyraźnie wynika też, że ambasador Corfitzen radził się tego Sandera i miał dla niego duży respekt. W którymś miejscu napisał nawet „mój dobry przyjaciel i powiernik, Vitus Sander”.

— Umiesz to na pamięć.

— Część. Czytałem to mnóstwo razy. Corfitzen zauważa również, że Vitus Sander w ostatnich latach zaczął niestety sprawiać wrażenie odrobinę rozczarowanego działalnością organizacji. I że w poufnych rozmowach kwestionował szereg decyzji Danehofu.

— Czyli Sander mógł się stawać wątpliwym?

— Na to wygląda. Franck, musimy go znaleźć. Sprawdźmy, czy zgodzi się z nami porozmawiać. I to szybko. To pewnie jakaś gruba ryba, znalezienie go będzie najłatwiejsze na świecie.

— Ale nie na tym świecie.

— To znaczy?

— Vitus Sander nie żyje. Sprawdziłam go. Zmarł kilka miesięcy temu w hospicjum Anker Fjord niedaleko Hvide Sande. Miał sześćdziesiąt siedem lat. Chorował na raka płuc.

Jasne, że prześwieciła cały życiorys tego gościa. Musi być naprawdę zmęczony, skoro o tym nie pomyślał,

— Kim on był?

— Urodził się w Hjørring. Był inżynierem i większość życia

spędził w Kopenhadze. Wiele lat temu założył małą firmę. Dziś to potężny koncern elektroniczny, Sander Tech. Jest to spółka akcyjna, a pakiet kontrolny należy do jego własnej fundacji. Główna siedziba mieści się w Ballerup. Vitus Sander przez trzy lata był członkiem zarządu Consilium.

— Consilium? Zatem należał do kręgu wtajemniczonych.

— Dziś rano rozmawiałam z hospicjum Anker Fjord. Sprawdzili listy gości. Malte Bulbjerg nigdy nie odwiedził Vitusa Sandera.

Zamyślił się. Młoda matka wypaliła już papierosa i próbowała zagonić swoje potomstwo z powrotem do samochodu. Vitus Sander był jedną z mrocznych postaci. Wysoko postawioną w ich hierarchii, skoro zasiadał w Consilium.

— Masz jakieś pomysły? — Palce Franck bębniły niecierpliwie w obitą skórą kierownicę.

— Jestem nieludzko zmęczony. Na razie próbuję jakoś to sobie poukładać. Zacisnął powieki i spróbował powiązać znane im fakty.

— Po pierwsze, wysyłam Maltemu Bulbjergowi materiały, w których wymieniany jest Vitus Sander. Po drugie, Bulbjerg dzwoni do ciotki i pyta ją o Vitusa Sandera. Ona pamięta go z ukrytych dokumentów swojego ojca. Możliwe, że Bulbjerg również pamięta to nazwisko i chce się jedynie upewnić. Po trzecie, wie zatem, że Sander był członkiem Danehofu i że znał się z jego dziadkiem. Po czwarte, oczywiście kontaktuje się z Vitusem Sanderem. Nawet jeśli ten stoi już nad grobem.

— A lista gości w hospicjum?

— Posłużył się innym nazwiskiem. Malte Bulbjerg bardziej niż ktokolwiek inny musiał mieć świadomość, że Danehof jest wszędzie.

— I co dalej?

— Tego przecież nie wiemy... chociaż tak. Po piąte, Bulbjerg dowiaduje się o czymś, co było objęte tajemnicą. Danehof to wygrzebuje. Po szóste, wysyłają jasny sygnał i dokonują na nim egzekucji na zamku. Do tego w ich własnej sali. Po siódme, zacierają po sobie ślady i mordują własnego ministra, który jest skończonym bydlakiem. Po ósme, teraz mają wolną drogę, by zlikwidować mnie, jeśli zechcą mnie odnaleźć. I zechcieli. Niestety. Tak to właśnie wygląda, Franck. Teraz mają jeszcze do pomocy wszystkie okręgi policyjne w kraju. Bez względu na to, kto mnie dorwie, jestem skończony. Oni w końcu zdołają mnie znaleźć. Sama widziałas. To prawdziwi magicy.

Zerknął na nią. Na jej czole, tuż nad okularami, pojawiła się głęboka zmarszczka. Przygryzała górną wargę. Palce na kierownicy były teraz całkiem spokojne.

— Kurwa! — wybuchła, walnęła pięściami w kierownicę, wysiadła, zerwała z siebie skórzaną kurtkę i rzuciła ją na siedzenie, po czym zaczęła niespokojnie chodzić tam i z powrotem przed maską samochodu.

Jego powieki zrobiły się ciężkie. Nigdy wcześniej nie widział, aby tak wybuchła. Przez krótką chwilę walczył ze sobą. Musiał się przespać. Nie był w stanie myśleć, nie był w stanie nic zrobić, dopóki się nie prześpi. W końcu się poddał.

Kiedy się odwróciła i pomachała mu, żeby wysiadł z samochodu, miał zamknięte oczy. Przez moment przyglądała mu się zza szyby. Trwało to tylko chwilę, po czym jego głowa bardzo powoli opadła na ramię.

Nie widziała żadnej możliwości przedostania się do środka, do tych, którzy to wszystko obmyślili. Ale musiała coś wymyślić. Musiała pomóc łowcy, który wcale nie był już łowcą. Był jedynie bardzo zmęczonym człowiekiem. Zmęczonym na ciele i duszy. Wypłoszonym z bezpiecznego kokonu, nagim i bezbronnym.

Niels Oxen żył na pożyczony czas.

Chronologia, którą nakreślił punkt po punkcie, wydawała się prawdopodobna. Raz jeszcze zadzwoni do hospicjum i poda im rysopis Bulbjerga. Być może go zapamiętali.

Od niedawna wyjmowała z telefonu baterię. Ci, którzy ścigali Oxena, włącznie z jej własnym szefem, mogli wpaść na pomysł, by ją śledzić. Kiedy teraz włączyła telefon, skrzynka natychmiast zapełniła się wiadomościami.

Dostała dwie nowe wiadomości od Andersa — poza tymi, na które wciąż nie odpisała. Od chwili, gdy do jej mieszkania wpadli mężczyźni szukający Oxena, zastanawiała się, czy Anders mógł mieć z tym coś wspólnego. Kto ich našał?

Ale prawda była taka, że za każdym razem, kiedy o tym pomyślała, natychmiast odsuwała tę myśl od siebie. Nie miała sił na kolejną zdradę — ani na niego.

Postanowiła nie oddzwaniać. Niech sobie myśli, co chce. Była też wiadomość od Mossmana. Wybrała numer poczty głosowej.

„Tu Mossman. Zadzwonź do mnie, kiedy tylko tego odsłuchasz. To rozkaz. Użyj bezpiecznej linii. Zadzwonź na mój czerwony numer”.

Spojrzała na Oxena i z powrotem na swój telefon.

Utknęli na ziemi niczyjej. Nie mieli żadnych widoków na złapanie winnych i ocalenie Oxena przed szafotem. Jedyne, co mieli, to domysły i całe mnóstwo ciemnych postaci, które umykały im niczym cienie. Nic pewnego, nic, na czym mogliby się oprzeć. A sytuacja ciężko doświadczonego mężczyzny śpiącego na fotelu pasażera w jej samochodzie wyglądała jeszcze gorzej. Nawet jeśli uda mu się uwolnić od oskarżenia o zabójstwo, cienie i tak go zniszczą.

Mossmanowi musiała odpowiedzieć. To wciąż był jej szef. Może uda jej się przekonać Oxena, by pozwolił, aby wątpliwości przemówiły jednak na jego korzyść. Nie ma

sensu organizować potajemnych spotkań na parkingach Fionii, skoro w ich śledztwie właściwie nic się nie dzieje. Bo się nie dzieje. Same poszlaki i ślady martwych ludzi na przestrzeni lat.

Postanowiła pozwolić komandosowi na półgodzinną drzemkę. Spojrzała na zegarek. Za każdym razem przypominał jej, kim jest i czego była w stanie dokonać.

Zegarek był przepiękny. Czarny Breitling Colt 33 na gumowym pasku. Kosztował, lekko licząc, dwadzieścia tysięcy koron. Dla jej rodziców to był majątek. Dostała go od nich, kiedy po raz pierwszy odwiedzili ją w szpitalu po amputacji nogi. Na odwrocie wygrawerowali datę wypadku i motto: *Per aspera ad astra*. Właśnie tak: przez trudy do gwiazd.

Ten, kto chciałby zabrać jej zegarek, musiałby ją najpierw zabić.

Recepcja hotelu Nyborg Strand mieściła się za długą ladą po lewej stronie otwartego holu, w którym znajdowało się również małe bistro i z którego przechodziło się do dalszej części ogromnego budynku. Zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę trzech komputerów umieszczonych dla zapewnienia większej dyskrecji za niskim murkiem naprzeciwko recepcji. W jednym z boksów stał telefon. Oxen zostawił swój pożyczony wóz na dużym parkingu za hotelem, tam gdzie i ona zaparkowała swój samochód. Pozwoliła mu się przespać nad fiordem Holckenhavn, a kiedy się obudził, błyskawicznie stał się w pełni przytomny. W przypadku człowieka borykającego się z tego kalibru bezsennością półgodzinna drzemka musiała działać cuda.

Tak zwany czerwony numer szefa PET znała na pamięć. Był to numer o najwyższym priorytecie i jedna z wielu komórek, z których korzystał. W całej głównej siedzibie pewnie nieliczni go znali. Fakt, że zaliczała się do tego

grona, był pamiątką po ich dawnej bliskiej współpracy.

Wybrała numer i czekała na połączenie.

— Tak.

Głos po drugiej stronie brzmiał szorstko.

— Franck.

— Nie śpieszyłaś się. Podaj mi numer.

Znalazła numer stacjonarnego telefonu i podyktowała mu go. Rozłączył się, powiedziawszy, że zadzwoni w ciągu pięciu minut.

Musiało chodzić o coś naprawdę ważnego, skoro tak się gimnastykowali. Tym czymś z kolei mógł być chyba tylko Oxen, prawda?

Minęło całe siedem minut, nim telefon zadzwonił i mogli porozmawiać. Axel Mossman od razu przeszedł do sprawy.

— Masz Oxena.

Zawahała się. Nie była pewna, czy to było stwierdzenie, czy pytanie.

— Może moglibyśmy...

— Oszczędź sobie. Wiem, że go masz. Obciął się i wyszorował, ale to on. Węszycie i prowadzicie własne śledztwo. A ja najzwyczajniej w świecie się na to nie zgadzam.

— Chcemy tylko sprawdzić parę rzeczy.

— Byliście u Anny-Clary Bulbjerg. Sama mi o tym powiedziała. Dalej jesteście w Nyborgu?

— Tak. Czy tutejsza policja też już wie?

— Nie. Jeszcze nie. Ale musicie natychmiast przestać. Oxen ma zaraz się do mnie zgłosić. Wtedy będziemy musieli coś wymyślić, on i ja.

— On się nie zgodzi. Nie ufa ci. Nie ufa komuś, kto zabił jego psa.

— Powiedz mu, żeby skończył się mazgaić i przestał myśleć o tym cholernym kundlu. Tu chodzi o jego własną dupę. Jeśli

się nie dostosujecie, naśle na was cały korpus. W pięć sekund mogę zamknąć Fionię. Powiedz mu to. A potem czeka go publiczny sąd wojenny i wygłodniała prasa. To też mu powiedz! Zadzwoń za piętnaście minut.

Odłożyła słuchawkę. Coś musiało się stać. Coś, co sprawiło, że Axel Mossman czuł się przyciśnięty do muru, jak nigdy dotąd. Odkąd go znała, zawsze był spokojny i opanowany.

I po co te wszystkie środki bezpieczeństwa? Musiał użyć kolejnego telefonu, skoro nie chciał rozmawiać z czerwonego. Może zresztą wcale nie był w Søborgu.

Wyszła na parking i usiadła obok Oxena w jego srebrnej toyocie. Kiedy chwilę później skończyła streszczać mu rozmowę z Mossmanem, Oxen odparł krótko:

— Nie. W żadnym wypadku.

— On ma rację. Może zamknąć wyspę. Może sprawić, że wokół nas zrobi się na tyle gorąco, że i tak nie będziemy w stanie nic zrobić.

— Jeśli zacznę jeść Mossmanowi z ręki, to po mnie. Już raz pokazał, że jest gotów mnie sprzedać, jeśli uzna to za konieczne. Ostatnim razem o mały włos nie stałbym się kozłem ofiarnym. I doskonale o tym wiesz!

Pokiwała głową. To mogła być powtórka ze sprawy wieszanych psów, tyle że w innym opakowaniu. A Niels Oxen mógł skończyć na sali sądowej, oskarżony o całą serię zabójstw.

— Musimy mu zaufać. Nie mamy wyjścia.

— Zawsze jest wyjście.

— Oxen, daj spokój. Nie mamy nic, nawet ciepłego tropu.

— Nie zrobię tego.

— Czy to twoja ostateczna odpowiedź? To mam mu przekazać?

— Możesz mu przekazać, że nie ufam człowiekowi, który

zabił mi psa.

— Już mu to powiedziałam.

— To powiedz jeszcze raz.

Wysiadła i wróciła do telefonu. Nie minął jeszcze kwadrans. Tym razem Mossman zadzwonił punktualnie.

— Czy on zrozumiał, co powiedziałem? — zapytał Mossman.

— Tak, ale odpowiedź brzmi: nie. On ci nie ufa.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Trwała tak długo, że w końcu Margrethe nie wytrzymała.

— Halo, jesteś tam?

W odpowiedzi usłyszała niski pomruk.

— Tak, jestem. Po prostu... zastanawiam się nad sytuacją.

Znow zapanowała cisza. Na koniec Mossman powiedział wolno:

— Well, chyba muszę złożyć broń. Oxen ma silną wolę. Co nie jest dla mnie zaskoczeniem. Jestem teraz w Søborgu. Daj mi jakieś siedem, osiem godzin. W tym czasie coś załatwię. Czy tuż przed rampą w Nyborgu nie ma takiego małego miejsca postojowego?

— Tak. McDonald. Na półwyspie Knudshoved.

— Za siedem, góra osiem godzin zostaniecie stamtąd zgarnięci przez któregoś z moich ludzi. Zabierze was na godzinną przejażdżkę. Będziecie mieli zasłonięte oczy. Udowodnię Oxenowi — i tobie — że możecie mi zaufać. Dam wam ostateczny dowód.

Rozdział 52.

Po prawej od rzędu zaparkowanych samochodów, przy niewielkim placu zabaw stał nastoletni chłopak z psem na smyczy i przestępował z nogi na nogę. Pies węszył w trawie, młody zdawał się coś do niego mówić. Z budowy ciała był bardzo podobny do Magnusa, ale miał zupełnie inny kolor włosów i fryzurę. Chłopak mógłby...

Radiowóz pojawił się znikąd. W środku dwaj policjanci. Jechali powoli wzdłuż stojących przy chodniku samochodów. Franck czytała gazetę. Musiała ich nie zauważyć.

— Policja. — Dotknął jej uda. — Tam.

Podła mu gazetę, by mógł się za nią ukryć.

Radiowóz był już całkiem blisko. Policjanci nie wyglądali, jakby czegoś wypatrywali albo sprawdzali numery rejestracyjne. Jeden powiedział coś, od czego ten drugi, siedzący za kierownicą, się roześmiał. Przejechali obok srebrnej toyoty, skręcili wraz z drogą, minęli restaurację i kiosk i zniknęli z pola widzenia.

— Znów przysnąłeś? — Jej pytanie zabrzmiało jak zaczepka.

Zaparkowali samochód tak, by w obu lusterkach widzieć wjazd na parking. Radiowóz musiał się ukryć za ciężarówką.

— Nie mam pojęcia, skąd się wzięli — odburknął i oddał jej gazetę. Chłopaka z psem też już nie było.

— Zauważyłeś dzisiejsze wielkie objawienie? — zapytała, machając mu przed nosem gazetą.

— Myślałem, że wciąż na nie czekamy.

— Co masz na myśli?

— Axela Mossmana, który twierdzi, że jest w stanie udowodnić, że można mu zaufać.

Uśmiechnęła się.

— Tak, to też. Ale poza tym. Nastąpiła roszada w rządzie. Poza sezonem, można powiedzieć. Premier skorzystał z okazji, żeby trochę przewietrzyć, skoro i tak musiał obsadzić fotel ministra sprawiedliwości. Posłuchaj tylko: „Skompletowałem najmocniejszą możliwą drużynę”.

— W takim razie jest idiotą, skoro nie zrobił tego na początku — mruknął Oxen. Było mu to całkowicie obojętne. Oni zawsze tak mówią.

Franck czytała dalej:

„»Jesteśmy doskonale przygotowani, aby jesienią przeprowadzić zapowiadaną i niezwykle potrzebną debatę polityczną o wartościach w polityce«, mówi premier”.

Odłożyła gazetę.

— Nowym ministrem sprawiedliwości została Helene Kiss Hassing. Ciekawe, czy ona też jest jedną z *nich*, jak jej poprzednik.

Wzruszył ramionami.

— Tego nie sposób się dowiedzieć. Nazwisko Hassing nic mi nie mówi. Ciekawe, ilu mają u siebie ministrów, Danehof i Consilium. Zero, trzech, a może siedmiu?

— A premier?

— W polityce wszystko jest możliwe. Cała klika to banda drani.

— Z wieloma z nich musiałeś się kontaktować, kiedy walczyłeś o ustanowienie komisji śledczej, prawda? — Zdjęła okulary, potarła oczy i ziewnęła.

Spojrzał na zegarek. Siedem godzin dawno minęło.

— Tak. Większość z nich nie chciała nawet patykiem ruszyć sprawy Bossego. A ci, którzy chcieli, znikali błyskawicznie wraz z ustaniem szumu medialnego. Niedługo coś powinno się wydarzyć.

— Powiedział siedem do ośmiu godzin... Oxen, jak to się

stało, że twój ojciec stał się takim cholernym bydlakiem?

Odwróciła się na fotelu i spojrzała na niego. Była nieobliczalna. Równie delikatna, jak bezwzględna.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Daj spokój. Rozmawiałam z twoją siostrą. Bił was. I waszą matkę.

— To prawda. Był prawdziwym skurwysynem.

— Żadnych okoliczności łagodzących?

— Żadnych.

I choć nie sądził, że tak łatwo odpuści, to najwyraźniej odpuściła. A może tylko zamilkła na dłużej.

Siedzieli więc przez chwilę, nie odzywając się do siebie. Aż nagle, ku własnemu rozczarowaniu, usłyszał samego siebie, jak podejmuje wątek. Trochę nieporadnie, ale zdecydowanie.

Sam się sobie dziwił, słuchając własnego, klinicznie neutralnego głosu. Wcześniej opowiedział o tym tylko Birgitte i Bossemu. I oczywiście Mr. White'owi. Jemu zwierzał się z całego syfu, jaki nosił w sercu.

O tym, że ojciec był cholerykiem z bardzo niskim poczuciem własnej wartości, oraz o tym, jak obie te cechy zdawały się nasilać, w miarę jak kurczyły się możliwości znalezienia pracy zaspokajającej jego ambicje, żeby zasiąść na fotelu dyrektora sprzedaży wielkiego koncernu, a on był zmuszony rozmieniać się na drobne, brać fuchy za grosze.

O tym, że choć przeprowadzali się na jego skinienie, gdy tylko zapragnął zmienić pracę, rodzina była dla niego kulą u nogi, przez którą nie mógł w pełni rozwinąć niesamowitego potencjału, z jakim się urodził.

Margrethe Franck słuchała w milczeniu. Nie poruszyła się nawet, kiedy on rozwijał opowieść, a w niej strzały w twarz padały coraz częściej, w miarę jak ojciec coraz słabiej kontrolował swój wybuchowy temperament. Gdy do tego był

porządnie pijany, co zdarzało mu się raz na cztery, pięć weekendów, a każdy z nich zaczynał się w piątek zaraz po pracy — wówczas kompletnie tracił nad sobą panowanie.

Po takim weekendzie można było tylko mieć nadzieję, że ze względu na swoją pracę będzie musiał w ciągu tygodnia nocować gdzieś w trasie, a oni będą mieli czas, aby doprowadzić do porządku dom i siebie nawzajem, dopóki znów nie wyjdzie z niego demon.

A tym, jak w tym wszystkim odnajdowała się jego matka. Kiedyś myślał, że kierował nią zwykły strach przed jego agresją, ale dziś podejrzewał, że być może bardziej bała się życia w rozbitej rodzinie. Tam, skąd pochodziła, nie było rozwodów. Łatwiej było jej wymyślać niedorzeczne historie, jaka to z niej niezdara, że znów chciała przejść przez zamknięte drzwi albo spadła ze schodów i uderzyła się w głowę.

— Dopiero znacznie później, o wiele za późno, zdecydowała się zakończyć ten koszmar — powiedział jego głos, choć on sam nie do końca wiedział, jak długo trwała jego opowieść i na ile była szczegółowa.

— Jak to się stało?

To było jedyne pytanie, jakie zadała.

Może w ogóle przez cały czas siedział tylko i patrzył pustym wzrokiem przed siebie? Nie był w stanie odpowiedzieć. Odwrócił głowę i spojrzał na nią lekko zaskoczony. Twarz miała bladą i bardzo poważną. Okulary odsunęła na włosy.

— Mama powiedziała mi o tym dopiero znacznie później. Mogłem mieć wtedy z dwadzieścia parę lat. Któregoś dnia znalazła w jego rzeczach mały notes. Było w nim mnóstwo dat, adresów, numerów telefonów i nazwisk. Ojciec miał w okolicy cały zastęp stałych kochanek. To nią wstrząsnęło. O dziwo. Może pomyślała, że na darmo przez tyle lat dawała

mu się maltretować?

— Twoja siostra powiedziała, że go odnalazłeś.

— Tak. Długo z tym zwlekałem, ale w końcu zebrałem się w sobie i to zrobiłem. Chciałem go sprać. Tak porządnie, raz za wszystkie czasy. Ale potem się przestraszyłem tego, co mogłoby się stać. Byłem młody, postawny i silny jak byczek. Ojciec był chuchrem. Trzymałem go w powietrzu, żeby dać mu kolejną serię, i nagle poczułem się dziwnie. Zrobiło mi się niedobrze. Wciąż wyraźnie pamiętam tę scenę: obserwowałem wszystko z jakby z boku. Młodego mężczyznę, który tłucze swojego ojca, który tyle razy stłukł jego. I nagle wszystko to wydało mi się nieskończenie smutne. Dwie emocjonalne kaleki. Dwóch złamanych ludzi. Więc rzuciłem go na podłogę i wyszedłem. Od tamtej pory go nie widziałem. Na pogrzeb też nie poszedłem. Piękna historia, prawda?

— Moje dorastanie wyglądało jak przeciwieństwo twojego. Chyba zawsze trochę sobie wmawiamy, że się w nich wdaliśmy. W rodziców. Że coś mamy z ojca, coś z matki, prawda? Z tobą jest inaczej.

— Wiesz, że uderzyłem moją żonę. Byłą żonę.

— Tak. Pamiętam tamtą historię. Oboje byliście pijani, a ona powiedziała, że mogłaby srać na grób Bossego.

— To nie jest powód, by kogoś uderzyć.

— Ale pozwala zrozumieć.

— Czyżbyś *mnie* broniła?

— Próbuję tylko wyrobić sobie pewien obraz — i czegoś się dowiedzieć. Uważam, Oxen, że to bardzo ciekawa rozmowa. Czy można się odciąć od własnych genów — czy też mamy przejebane, aż nam zamkną nad głową wieko trumny?

Wzruszył ramionami.

— Myślę, że raczej mamy przejebane... Ja całe życie staram się *nie być* podobny do niego. Z wszystkich sił. Ale

czy na pewno udało mi się od niego oddalić? Drugie oskarżenie o pobicie żony zostało wycofane. To prawda — nie wiem, skąd się wzięły ślady na jej twarzy. Ale to musiałem być ja. Może po pijaku?

— A może to nie ty.

— Ja... Jest jeszcze wyrok za inne pobicie i za naruszanie porządku publicznego. Wyroki, oskarżenia i cała masa zarzutów.

— Część z nich sfabrykowana. A reszta to całkiem zwyczajne, przeciętne życie, twoje własne wybory, nie geny. Każdy może dostać wyrok za działanie w samoobronie, za to, że dał się sprowokować.

— Hm. Ale patrząc na całość... I nie zapominajmy o tym: ukrywam się, bo jestem podejrzewany o zabójstwo.

— Dokonałeś rzeczy, której nie dokonał nikt inny. Daj sobie prawo do odrobiny dumy z samego siebie!

— To była moja praca. Tymczasem w sprawach, które liczą się naprawdę — w zadbaniu o najbliższych, utrzymaniu rodziny... W tym nawaliłem na całej linii. Ja...

— Są! Tam, czarny passat.

Przerwała mu i wskazała palcem. Czarne kombi z przyciemnianymi szybami wolno przejechało wzdłuż szeregu samochodów. W środku siedział tylko kierowca. Kiedy się z nimi zrównał, gwałtownie zahamował. W środku siedział mężczyzna w koszuli z krótkim rękawem i ciemnych okularach. Niczego więcej nie dostrzegli. Potem passat powoli ruszył dalej.

— Czy mi się wydaje, czy on nas obczajał? — zapytała Franck.

— To był on. Jestem pewien. Zaraz wróci, gdy tylko znajdzie miejsce do zaparkowania.

Po niespełna dwóch minutach mężczyzna w jasnoniebieskiej koszuli z krótkim rękawem pochylił się i

zapukał w szybę od strony Franck. Opuściła szybę.

— Mówi wam coś: firma godna zaufania? — zapytał gość, zdejmując okulary.

Genialne hasło Mossmana, które wcześniej jej przekazał. Zatem to ich gość. Wreszcie po nich przyjechał. Bliżej ośmiu niż siedmiu godzin.

— Tak. Słuchamy — odparła Franck.

— Stałem kawalek dalej. Za chwilę podejdziecie do mnie i wsiądziecie do samochodu. Zgodnie z instrukcją Axela Mossmana oboje usiądziecie z tyłu. Założycie opaski na oczy i będziecie mogli się odprężyć. Podróż zajmie półtorej godziny — wyjaśnił mężczyzna, na oko koło czterdziestki.

Z największym trudem dał się przekonać Franck do tego pomysłu. Zestawienie Mossman - zaufanie budziło w nim sprzeciw równie silny jak myśl o półtoragodzinnej podróży na tylnym siedzeniu z jego sługusem za kierownicą.

— Fionia, Zelandia czy Jutlandia? — zapytał.

— Przykro mi — odpowiedział tamten. — Nie mogę wam nic powiedzieć.

Początkowo próbował odtwarzać ich trasę w głowie. Ale to na nic. Jedyne, czego był pewien, to, że wjechali na autostradę w kierunku wschodnim. Czyli mostem nad Wielkim Bełtem na Zelandię.

Pozostawali ukryci dla świata za ciemnymi szybami i opaskami na oczach. Sami je sobie założyli. Kierowca powiedział, że ma do nich zaufanie i że opaski są środkiem bezpieczeństwa koniecznym dla powodzenia całej operacji.

Czuł się, jakby zawierzył swoją wolność Axelowi Mossmanowi, ale niechętnie musiał przyznać rację Margrethe: nie mieli wyboru. Jego wolność już była zagrożona. Jeśli ktokolwiek go rozpozna, w mgnieniu oka stanie się lisem w dzień Świętego Huberta. Jego szanse są mizerne.

W tej tak zwanej operacji zapewnił sobie jedną jedyną kartę przetargową. Znajdowała się pod jego lewą pachą z pełnym magazynkiem.

Kierowca sam zresztą powiedział, że domyśla się, że są uzbrojeni, i że mogą oczywiście zachować swoją broń.

Przez całą drogę żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Intuicja mu podpowiadała, że jechali jakieś czterdzieści pięć minut.

W pewnym momencie zaczął roztrzasać w głowie jeden szczegół, o którym początkowo zapomniał, bo skupiał się na określaniu kierunku jazdy. Gdy zasłonili sobie oczy i passat ruszył, dłoń Franck dotknęła jego dłoni. Ultrakrótko, ale mocno go uścisnęła, nim ponownie zabrała rękę. Czy chciała mu w ten sposób powiedzieć, że może być spokojny, że ona ręczy za całą operację i wszystko będzie dobrze? Czy o co jej chodziło?

Z drugiej strony w tej sytuacji to on był zawodowcem. To on przywykł do tego, że się go pakuje i wywozi. To on ma w głowie wszystkie współrzędne.

Nagle poczuł się całkiem spokojny. To bez znaczenia, czy siedział na pace ciężarówki, w helikopterze, czy zwykłym osobowym kombi. Transport to transport. Jadą zając pozycje.

Tak naprawdę to on jej powinien dodawać otuchy.

Franck była dopiero trzecią osobą na świecie, która usłyszała jego historię. Co prawda w wersji skróconej, ale prawdziwej. Bosse, Birgitte — i Franck. Czy to dlatego, że byli sojusznikami? I gdzie się podziała jego powściągliwość, której obiecał sobie nigdy nie zarzucić? Pamiętaj, N.O.: nikomu nie ufaj. A jednak zaufał.

Margrethe Franck walnęła prosto z mostu: *Jak to się stało, że twój ojciec stał się takim cholernym bydlakiem?*

To stwierdzenie zawsze go zawstydzало. Dlatego z nikim

się nim nie dzielił. Wielu ludzi miało za ojców prawdziwych drani. Ale czy nie było tak, że pośród mroku zawsze dawało się dostrzec choćby najmniejszą iskierkę nadziei?

Otóż u Thorkilda Oxena żadnej iskierki nie było. Ten człowiek był czystym złem. Na poziomie fizycznym objawiało się ono oczywiście zwierzęcą, surową przemocą, która siała przerażenie i wyrządzała krzywdę. W wymiarze bardziej subtelnym istniało jako ukryta groźba stale wisząca w powietrzu każdego z domów, gdzie mieszkali, niczym niewidzialne cząstki, które byli zmuszeni wdychać. W jakim nastroju wrócił mefisto z wojaży handlowych w piątkowe popołudnie? Jakim gestem odwiesza płaszcz w przedpokoju? Kiedy zrzuci maskę? Wciąż wyraźnie miał przed oczami napitą twarz ojca i jego wściekłe oczy.

Po takich przejściach nawet wojna wydaje się człowiekowi znośna, bo ma w sobie jakąś szczerłość.

Już od jakiegoś czasu czuł się senny. Ciało miał ociążałe. Do tego opaska na oczach. Ciemność i monotony dźwięk silnika, i to lekkie kołysanie.

Ostatnim obrazem, który zobaczył pod powiekami, nim zasnął, był obraz chłopca z psem na smyczy.

Hej, Speedy, chodź tu i zostaw pana w spokoju!

Most... przejechali przez most. Tylko most wydaje taki odgłos. Charakterystyczny dźwięk, gdy opony w równych odstępach najeżdżają na rowki pomiędzy przesłami. Most był dość krótki, bo nagle rowki zniknęły. Gdzie to mogło być?

Natychmiast poczuł się w pełni przytomny, a myśli błyskawicznie się rozjaśniły. Była to jego druga drzemka tego dnia, co zrekompensowało mu odrobinę bezsennej noc. Próbował na logikę zorientować się co do lokalizacji.

Wciąż byli na Fionii, czy przejechali nad Małym Bełtem, kiedy spał? Jeśli tak, to którym z jutlandzkich mostów? Nie

był to most nad fiordem Vejle. Nie byli na autostradzie. Słyszał to po natężeniu ruchu. Teoretycznie mogli być kilka kilometrów za Nyborgiem. Mossman oczywiście kazał kierowcy robić objazdy, żeby nie mogli na podstawie czasu podróży wytyczyć promienia. Tyle że do Nyborga nie dostaliby się zwykłym mostem.

Nagle ciszę przerwał głos kierowcy.

— Za jakieś dziesięć minut będziemy na miejscu.

Lecz nawet z uwzględnieniem, że kierowca dostał instrukcje, by wydłużyć drogę, aby ich zdezorientować, jeśli spojrzeć na czas jazdy, mogli być teraz na Jutlandii, gdzieś w trójkącie pomiędzy Kolding, Vejle a Fredericią. A jeśli wciąż byli na Fionii, to właśnie mogli przejechać mostem między Svendborgiem a Tåsinge.

Dziesięć minut. Cel był więc na wyciągnięcie ręki. W jaki sposób Axel Mossman zamierzał im pokazać ostateczny dowód swojej szczerości i uczciwości?

Poczuł ucisk w żołądku, co zawsze było dobrym objawem, jeśli miało się być czujnym i w pełni gotowym do działania. Nie zamierzał dawać Mossmanowi najmniejszej szansy na nazywanie czarnego białym i naginanie faktów według własnych upodobań.

Za mostem jechali prosto, cały czas prosto. W końcu kierowca skręcił w lewo. Droga wydawała się wąska i nierówna. Żadnego ruchu z naprzeciwka. Potem znów w lewo. Kawalek prosto i skręt w prawo.

Kierowca zwolnił maksymalnie, gdy dojechali do pierwszych dziur. Fragment drogi łączący asfalt z drogą szutrową. Chwilę potem usłyszeli jego głos:

— Możecie zdjąć opaski. Za chwilę będziemy na miejscu.

Przyciemniane szyby na pewno pomogły, ale ich oczy i tak musiały przywyknąć do światła. Stwierdził, że dochodziła dziewiąta i słońce zrobiło się złote. Jechali leśną drogą. Po

obu stronach rosły wysokie buki. Przed sobą widział prześwit z niebieską, błyszczącą wodą.

Droga ostro skręcała w prawo i biegła wzdłuż plaży do polany, na którą wjechali przez otwartą bramę. Kawałek wyżej stał domek letniskowy. Był pomalowany na biało i miał pokryty strzechą dach. Teren wokół był zarośnięty wysoką trawą i lasem z jednej strony. Po lewej stały dwa samochody.

Kierowca zahamował, ze schowka wyjął broń i przeładował.

— Cholera — szepnął — coś jest nie tak. Wychodzimy!

Kierowca otworzył drzwi, wyczołgał się z samochodu i ukrył się w wysokiej trawie. Zrobili to samo i każde z nich położyło się w trawie po swojej stronie samochodu.

On sam ruszył przodem. Teraz dostrzegł, że drzwi są otwarte na oścież. W domu i wokół domu nie dostrzegł jednak żadnego poruszenia. Żadnych ludzi. Ich kierowca podparł się na łokciach, ale wciąż leżał na ziemi i obserwował.

Myśl jak błyskawica rozpałała mu głowę: może wpadli w pułapkę? Kto czekał na nich w domu? Brali udział w czymś, co zainscenizował Axel Mossman. Ta świadomość nie mogła działać uspokajająco.

— Chodzi o samochody?

Kierowca odwrócił się i odparł szeptem:

— Nie. Znam te wozy. Ale... Drzwi są otwarte, a nikt nie wychodzi ze środka. Niedobrze to wygląda. Wiem, że coś jest nie tak.

— Dobra. Przyjrzyjmy się temu z bliska. My pójdziemy od lewej. Franck, jesteś tam?

— Tak — odparła mu zza samochodu ściszone głosem.

— My pójdziemy od lewej, ty zajdź od prawej. Bardzo powoli, okej?

— Okej.

Zaczął się zakradać po łuku w stronę domu, za nim kierowca. Po dwudziestu metrach przyklęknął, żeby zbadać teren. Wciąż ani śladu życia. Tylko te otwarte drzwi. Po prawej widział Franck ukrywającą się za kępą krzaków.

Dał jej znak, żeby przeszła jeszcze kawałek w przód. Kilukrotnie powtarzali manewr, robiąc krótkie przerwy na obserwację. W końcu znaleźli się przy samym domu. Ze swojego miejsca widział nieruchomą postać leżącą na tarasie.

Szybko się do niej zakradł. Ciało należało do mężczyzny. Był wysoki i umięśniony. Leżał zwinięty w kłębek w kałuży świeżej krwi, która przyciemniła drewniane deski. Klęknął i przytknął ucho do ust mężczyzny. Nie oddychał. Klatka piersiowa też się nie poruszała. Przytknął palce do szyi mężczyzny. Nie wyczuł pulsu.

Franck podeszła z drugiej strony. Przez najbliższe okno ostrożnie zajrzał do środka. Pusta kuchnia. I śmiertelna cisza.

Stali w gotowości po obu stronach otwartych drzwi z uniesioną bronią. Ręką dał jej znak, że wchodzi pierwszy. Kierowca był tuż za nim.

— Teraz!

Rzucił się do przedpokoju. Przeturlał, podniósł na jedno kolano i trzymając pistolet oburącz, skierował go przed siebie. Wiedział, że Franck go kryje.

Żadnych śladów ruchu.

Wstawał powoli, w skupieniu skanując pole widzenia. Teraz dołączyli do niego Franck i kierowca. Wszyscy troje ruszyli przed siebie. Pierwsze pomieszczenie — salon.

Widok, jaki zastali, był makabryczny.

Rozdział 53.

Franck i kierowca stali jak porażeni w drzwiach pokoju. Wielkie plamy krwi na jasnej wykładzinie. I trzy nieruchome postacie. Jego paraliż nie dotknął. W tej chwili jego ciało robiło dokładnie to, do czego zostało wytrenowane.

— Sprawdźcie pozostałe pokoje. Już!

Jego krzyk wyrwał Francka z osłupienia. Nie wolno im było w tej chwili skupiać się na ofiarach. To mogłoby się okazać tragiczną w skutkach pomyłką. Najpierw trzeba zabezpieczyć miejsce.

Działali w pośpiechu. Biegali od pokoju do pokoju z bronią w wyciągniętych rękach. Nigdzie żywej duszy. Kierowca też już doszedł do siebie. Sprawdził kuchnię i tylne wyjście.

Dom był pusty. Poza nieruchomymi ciałami na podłodze. Pierwsze z nich należało do mężczyzny w średnim wieku. Nie dawał znaku życia.

Niels przyskoczył do ciała numer dwa. Dużego, ułożonego częściowo na brzuchu. Wydało mu się znajome... Teraz widział również część twarzy. To szef PET, Axel Mossman. Jego ruchami wciąż kierowała rutyna. Odwrócił go na plecy. Ucho do ust. Tak, jest oddech. W tej samej chwili usłyszał krzyk Margrethe:

— Ja pierdołę! Oxen, chodź tu!

— Ty! Dzwon po karetkę — rozkazał kierowcy, który natychmiast wyjął z kieszeni telefon.

Margrethe klęczała przy trzecim ciele.

— Nie można nic zrobić. Nie żyje — orzekła.

Młody mężczyzna. Leżał na plecach. Szeroko otwarte, martwe oczy wbijał w belki sufitu. Pod jego ciałem spora kałuża. Ubranie zakrwawione. W prawej ręce trzymał

pistolet.

Mężczyzną był... inspektor muzeum Malte Bulbjerg.

— Nie żyje... drugi raz... jasna cholera...

Franck wypowiadała słowa niemal szeptem i cały czas kręciła głową z niedowierzaniem.

Jej oczy mówiły wszystko. Mimo to chciał sam się przekonać. Tak, to prawda. Malte Bulbjerg zmarł po raz drugi, w bardzo krótkim czasie. Trzeciego razu nie będzie.

— Tam leży Mossman — powiedział i wskazał dużą postać niedaleko kanapy.

— Mossman?! O nie... tylko nie on... może karetkę?! Żyje?

— Tak. Pomóż mi.

Przesunęli stolik i kanapę, żeby zrobić miejsce wokół Mossmana. Sprawdził raz jeszcze. Wciąż oddychał i wciąż wyczuwał puls. Zwykłe, silne tętno. Wspólnie odwrócili ciało, ciężkie i nieporęczne, jak wyrzucony na brzeg wieloryb. Ranny powinien leżeć na boku.

Znaleźli też pistolet. Heckler & Koch USP Compact. Broń służbowa, taka, jaką miała Margrethe.

Niebieska koszula Axela Mossmana była ciemna po prawej stronie brzucha. Rana postrzałowa. Krwawił również z długiego rozcięcia na czole i jednej brwi.

Odwrócili się do kierowcy, który usiadł na skraju krzesła. Był blady jak ściana i patrzył tępo w swój telefon.

— Zadzwońeś?

— Tak, tak.

Oxen wskazał groźnie na mężczyznę.

— Co to za jatka? I kim ty jesteś? Gadaj!

Kierowca otworzył usta.

— Zamknij się!

Powstrzymał go ręką i stał, nasłuchując. Franck zrobiła to samo. Oboje to usłyszeli. To niemożliwe. Nie tak prędko. A jednak — syreny. Różne — policyjne i pogotowia.

— Spadam — powiedział.

— Pośpiesz się! — krzyknęła Margrethe.

— To samo miejsce co za pierwszym razem. Okno od dwunastej do dwudziestej. Kontakt co dwie godziny.

Nie czekając na jej odpowiedź, wybiegł na korytarz. Przez ułamek sekundy stał na werandzie. Nie miał pojęcia, gdzie byli. Nie miał pojęcia, co znajdzie po drugiej stronie drzew. Nie miał pojęcia, jak wygląda teren na północy, południu, wschodzie i zachodzie. Wiedział tylko, że gdzieś poniżej, po jego prawej jest woda.

Teraz syreny słyszał już bardzo wyraźnie.

► „Foxtrot osiemnaście, tu Foxtrot sześćdziesiąt. Daj meldunek, odbiór”.

„Foxtrot osiemnaście. Jest chaos. Zamachowiec samobójca w ciężarówce. Wjechał w posterunek policji. Mnóstwo zabitych i rannych. Ulica zalana krwią.

Potrzebna każda możliwa pomoc. Bez odbioru”. ◀

Syreny wyły coraz głośniejsze. Podjął decyzję i rzucił się biegiem przez wysoką trawę.

Rozdział 54.

Chaos. Obłąd i chaos. W jej głowie. I na podłodze, wśród ciał — martwych i żywych. A wkrótce jeszcze większy chaos. Za kilka chwil syreny przebiją jej bębunki.

Próbowała doszukiwać się w tym logiki. Wyjaśnienia dla tego, co widziały jej oczy. Ale wciąż go nie znajdowała. Ciało Maltego Bulbjerga z wytrzeszczonymi oczami niweczyło każdą próbę konstruktywnego myślenia. Dopiero co była na pogrzebie... A tu, parę metrów dalej, leży jej wielgachny szef. Nieprzytomny i ranny.

Znany i wieloletni szef wywiadu Axel Mossman na tej samej wykładzinie co mężczyzna, który teraz jest martwy naprawdę. Fałsz umoczony w prawdziwej krwi.

Świeżej krwi. Sprawcy nie mogli odejść zbyt daleko.

Syreny wprawiały ją w nerwowość. Teraz jechali leśną drogą. Za moment rozpęta się tu piekło.

— Bardzo z nim źle?

To kierowca powoli dochodził do siebie. Podeszedł do Mossmana i klęknął przy jego wielkim ciele.

— Postrzał — odparła. — I rozcięta głowa.

— Mossman to mój wujek. Ja jestem Christian. Jesteśmy kolegami. Pracuję w komendzie okręgowej w Aarhus.

— Nikomu ani słowa o Nielsie Oxenie. Nie widziałeś go. Nigdy go tu nie było. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Podeszła do okna. Już tu byli. Zgiełk był nieludzki.

Z przodu jechał radiowóz. Potem żółta i zielona karetka. Kawałek dalej, w bezpiecznej odległości. Dopiero gdy się zatrzymali, wyłączyli syreny. Policjanci wyskoczyli z radiowozu i ukryli się za nim.

Podeszła do otwartych drzwi i wolno wyszła na pogrążoną w ciszy polanę z rękoma nad głową, machając legitymacją.

— Policyjna Służba Wywiadowcza. Nazywam się Margrethe Franck. Trzech martwych, jeden ranny. Przynieście nosze!

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Z karetki wybiegło dwóch ratowników medycznych. Działali rutynowo i pewnie. Mieli tylko jedno zadanie — jak najszybciej dowieźć rannego do szpitala.

Jej kazano usiąść na ławce na werandzie razem z kierowcą, siostrzeńcem Mossmana.

Dwaj policjanci z lokalnej komendy w Svendborgu, jeden w wieku średnim, drugi zupełny żółtodziób, bardzo się starali wyglądać na kompetentnych i opanowanych. Ale liczne przekleństwa i niepewne ruchy ujawniały, że są przerażeni, co zresztą było w tej sytuacji naturalne.

Bynajmniej nie pomogła im informacja, że ranny jest samym szefem PET.

Kiedy chwilę później się dowiedzieli, że wśród zmarłych jest inspektor muzeum — ofiara niedawnej głośnej egzekucji na zamku w Nyborgu, obaj wyglądali, jakby się znaleźli o krok od załamania nerwowego.

Przez kilka minut biegali bezładnie, w końcu się uspokoili i przykleili każdy do swojego telefonu.

Margrethe siedziała na ławce milcząca i nieruchoma. Zapadł zmrok. Karetka cofnęła, zawróciła i spokojnie odjechała leśną drogą, wioząc Axela Mossmana, którego szanowała i lubiła, ale co do którego prawdziwych motywów miała ogromne wątpliwości.

Chwilę potem przyjechał kolejny radiowóz. A zaraz za nim następny. Jeszcze później pod dom podjechał cywilny samochód, z którego wysiadł mężczyzna w cywilnym ubraniu. Policjanci natychmiast się wokół niego zebrali.

Najwyraźniej był jakimś ich szefem.

Próbowała sobie to wszystko poukładać. Wkrótce, gdy sytuacja na miejscu na dobre się uspokoi, uwaga wszystkich skupi się na niej i kierowcy. Jak dotąd tylko dwaj pierwsi policjanci zadali im parę krótkich pytań.

Człowiek, który zginął w sposób tak teatralny, że nie mógł nie wzbudzić medialnego szumu. Człowiek, którego śmierć zrodziła więcej pytań niż odpowiedzi. Człowiek, którego pogrzeb był obserwowany przez służby.

Kto byłby w stanie coś takiego zainscenizować?

Kto, jako jedyny, mógłby wykonać sztuczkę ze znikającym człowiekiem na taką skalę? Pstryknąć palcem i sprawić, że człowiek znika ze świata żywych?

Axel Mossman. Tylko on.

Gdy kurtyna zapadła, szef PET z powrotem wsadził swojego królika do kapelusza i ukrył go w Tåsinge. A może nawet ukrywał go w różnych miejscach. Tajne adresy, tak zwane *bezpieczne mieszkania*.

Pytanie: po co?

Być może Mossman po części już na nie odpowiedział, kiedy zdecydował się wtajemniczyć Oxena. Opowiedział mu o archiwaliach i swoich kontaktach z inspektorem muzeum. Wielkich środków używa się tylko do wielkich zadań. Dla bezpieczeństwa Maltego Bulbjerga konieczne było go uśmiercić — i ukryć.

Nawet w kraju tak małym jak Dania działa program ochrony świadków. Rzadko się go uruchamia. Na oczekaniu potrafiła wskazać tylko jeden taki przypadek. Wtedy chodziło o dawnego gangstera, któremu dano nową tożsamość. Aby skutecznie utrwalić i ochronić nowe życie, uciekano się nawet do chirurgii plastycznej.

Uruchomienie takich procedur było piekielnie trudne i niesłychanie kosztowne.

W tej chwili, pośród całego chaosu, była w stanie wyciągnąć z tego wszystkiego tylko jeden logiczny wniosek: sfingowanie śmierci muzealnika musiało być wstępem do objęcia go programem.

Tylko że teraz wszystko wyglądało jak zgliszcza, nad którymi wciąż jeszcze unosi się dym... Świadek był martwy. Naprawdę martwy. Kto to zrobił?

To mogli być tylko oni. Mroczni ludzie. Danehof.

Nikt inny nie miałby środków, by uderzyć z taką pompą. Szybko i z operacyjną skutecznością przyprawiającą o paranoję. Precyzyjny atak i błyskawiczny odwrót. I pewnie żadnych istotnych śladów.

— Teraz pewnie nas czeka niezłe maglowanie, co? — mruknął Christian, który podobnie jak ona siedział pogrążony we własnych rozmyślaniach.

— Niezłe maglowanie to mało powiedziane. Spokojnie możemy założyć, że potrzymają nas do rana. To, co tu się wydarzyło, to cholerna magia.

— H.P. Andersen. Słucham!

Odkąd wyjechał od siebie z Kerteminde, telefon dzwonił niemal bez przerwy. A że momentami gubił się zasięg, co chwila musiał ryczeć do słuchawki „halo” i „halo”, co dodatkowo go wkurzało.

Najwyraźniej ziemia paliła im się pod nogami. Choć nie — tak naprawdę całe ich dotychczasowe postępowanie wraz z wątkami pobocznymi stało w płomieniach do samego nieba. Odense, Nyborg, Svendborg, Tåsinge, ba, cała Fionia. A jeśli pozwolą sytuacji jeszcze bardziej wymknąć się spod kontroli, to cały kraj.

Było to szaleństwo na niesłychaną dotąd skalę. Kiedy w końcu w czwartej rozmowie otrzymał potwierdzenie tego, co się stało, trzeba mu to było powtórzyć jeszcze kilkakrotnie.

Już po pierwszym telefonie pobiegł do samochodu i z

piskiem zjechał z podjazdu przed domem. Teraz gnał przez most do Tåsinge. Za kilka minut będzie na miejscu. GPS pokazywał już tylko króciutką żółtą kreskę do przejechania.

W głowie miał kołowrót. Ledwie pogodził się z myślą, że śledztwo w sprawie śmierci Maltego Bulbjerga będzie długie i żmudne, kiedy z nóg zwała go wiadomość, że tenże Bulbjerg leży martwy w kałuży krwi w domku letnim na Tåsinge.

I gdy sapał do telefonu, z trudem łapiąc oddech, szef lokalnej policji w Svendborgu zrzucił bombę numer dwa: w tym samym miejscu znaleziono szefa PET Axela Mossmana, nieprzytomnego i z raną postrzałową.

Oraz — jakby to wciąż było za mało — dodatkowe dwie ofiary śmiertelne. Obie zginęły od strzałów.

Ten dzień, ten wieczór, ta data niniejszym zapisują się w jego karierze jako najbardziej niedorzecznie porąbane z wszystkich. A przecież jeszcze nie dotarł na miejsce.

Skreślił w lewo, w wąską asfaltową drogę, ponownie w lewo i chwilę później w prawo. Wtedy poczuł, jak opony wjeżdżają na polną drogę, która miała go doprowadzić do otwartych na oścież bram piekieł.

Gdy chwilę później wjechał na polanę, gdzie stał ów dom zły, zaklął głośno i walnął dłońmi w kierownicę. Polana przed domem była zastawiona radiowozami wszelkiej maści i kalibru, aż sam musiał wjechać w głęboką trawę na samym jej skraju, bo nigdzie nie było dla niego miejsca. Z ulgą stwierdził natomiast, że nie ma śladu mediów.

W wiązkach swoich świateł mijania zobaczył dwie osoby siedzące na ławce na werandzie. Mężczyznę i kobietę. Już miał przekręcić kluczyk, ale się powstrzymał.

Ją chyba gdzieś kiedyś widział. Była blada. Prawie biała. I ta fryzura — mówiąc najdelikatniej, bardzo oryginalna. Jego córka pewnie powiedziałaaby, że jest hip albo funky. Nigdy

co prawda nie zagłębiał się w ten językowy fenomen, ale miał ogólne pojęcie, co te słowa oznaczały.

Tak. Teraz był pewien. Widział ją wcześniej. Całkiem niedawno. Ale gdzie? No przecież! Na pogrzebie! Miała ciemne okulary. Ta kobieta była na pogrzebie inspektora muzeum, który leży teraz w tym domu i będzie musiał zostać ponownie dokładnie zbadany, zanim po raz drugi zostanie złożony do grobu.

Świat jest szalonym miejscem do życia.

Nie pamiętał jej nazwiska. Wiedział tylko, że była z głównej kwatery PET w Søborgu.

Litościwie przekręcił kluczyk i przestał świecić w oczy dwójce na ławce. Wziął głęboki wdech, ze schowka wyjął kilka foliowych woreczków i włożył je do kieszeni. Przygotował się mentalnie. Jeśli się było szefem wydziału zabójstw, wystarczyło się pokazać, by zostać zarzuconym gradem pytań. Zaraz się zacznie. I nie, nie będzie to ciąg pytań — cała potężna lawina przewali się przez jego głowę, gdy tylko wejdzie do środka.

Zamknął drzwi, przeszedł przez trawę i wszedł na werandę.

— Dobry wieczór — przywitał się tonem uprzejmym, lecz zdecydowanym. — Czy to wy znajdowaliście się na miejscu zdarzenia? Jak rozumiem, pracujecie razem. I przyszliście tutaj na krótko przed nami?

Teraz siedzieli skąpani w łagodnym świetle dochodzącym z jednego z dużych okien. Oboje pokiwali zgodnie głowami. Wyciągnął rękę, by się przedstawić.

— H.P. Andersen, Odense. Prowadzący śledztwo.

— Sierżant Christian Sonne, okręg Jutlandii Wschodniej.

— Margrethe Franck, PET, Søborg.

— Była pani na pogrzebie Bulbjerga... niedawno.

Kobieta spojrzała na niego chłodnym, opanowanym

wzrokiem. Z daleka emanowała typową dla PET arogancją, której nie znosił, mimo że ona miała przy tym również coś z pozy luksusowej pankówki.

— To prawda, byłam...

Uniósł rękę, by jej przerwać.

— Z tym będziemy musieli zaczekać. Ale na pewno do tego wrócimy. Możecie być tego cholernie pewni — wycodził przez zęby, odwrócił się do nich plecami i ruszył w stronę otwartych drzwi, z których dochodziło światło.

Czuł, że za moment wybuchnie. Niczym wulkan, w którym wrze lava z nagromadzonej frustracji, złości i domysłów, rozpalona do czerwoności i podchodząca pod krawędź krateru.

— Dobry wieczór!! — niemal ryknął na powitanie do kolegów stojących w przedpokoju i kuchni. Normalnie był człowiekiem opanowanym. Ale nie był z żelaza. W tej chwili był w stanie wrzenia.

— Gdzie u licha jest Fredericia?

— Mają tu godzinę z hakiem. Więc wkrótce powinni być — odparł jeden ze stojących najbliżej.

Na moment zapomniał, że on sam przyjechał tu wyjątkowo szybko. Czterdzieści minut z Kerteminde z gazem wciśniętym do dechy. Gdyby to były stare, dobre czasy, przyjeżdżałoby z Odense. Wtedy już dawno mogliby się zająć robotą. Tera wszystkim zajmowało się KTC, Centrum Kryminalistyki we Fredericii. Centralizacja i spowolnienie, dwa równie durne wynalazki.

— A gdzie taśma odgradzająca?

Odnotował ich zdumione spojrzenia. Dom leżał na uboczu. Żadnego ruchu zewnętrznego nie było. Mimo wszystko nie chciał, żeby wszędzie pałętali się ludzie. Nikt — absolutnie nikt — nie powinien wchodzić do tego domu, choć teraz oczywiście było pozamiatane.

— Taśma w promieniu pięćdziesięciu metrów. Natychmiast, dziękuję!

Dwaj miejscowi policjanci natychmiast zabrali się do odgradzania. Sam wszedł do salonu. Poza dwoma ciałami w pokoju nie było nikogo. Na szczęście.

— Każdy już był się pogapić?

Był niesprawiedliwy. Uświadomił to sobie sekundę po tym, jak zadał pytanie. Nie panował nad sobą z wściekłości. A najbardziej wściekał się na ciało leżące najdalej i należące do młodego mężczyzny w białych adidasach.

Inspektor muzeum znów został zabity. Miliard roboczogodzin poświęcił na badanie okoliczności jego poprzedniej śmierci — i prawie połamał sobie na niej zwoje mózgowie. A teraz to znowu się stało. W duszy wkurzał się również na całą szopkę, zorganizowaną pewnie przez PET, która w jakiś diabelski, zupełnie niepojęty sposób okazała się kosztować młodego historyka życie. Nieodwracalnie. To marnotrawstwo. Zmarnowano czyjeś życie. Tak nie wolno się bawić.

— Pytałem... *kto* był w środku?

Z kuchni wyszedł starszy policjant. Widział go już wcześniej. Wtedy był w Odense, teraz widocznie jest w Svendborgu.

— Mój kolega i ja przyjechaliśmy na miejsce jako pierwsi. Naturalnie weszliśmy do środka sprawdzić teren. Poza nami tylko ta dwójka na ławce. Nikt nie łązi po miejscu zbrodni. Nawet *provincialni* policjanci o tym wiedzą.

Ostatni komentarz go zabódl, ale podziałał. Należało mu się. Musi ochłonać. Gdyby miał teraz przed sobą tę górę mięsa, szefa PET Mossmana, to najpierw by go zbluzgał na czym świat stoi, a potem kazałby zakuć w kajdanki. Gość był szefem wywiadu. To, że w ogóle znajdował się w terenie, było czymś zupełnie niespotykanym i kompletnie

niepojętym. Jeśli już PET zamierzało rznąć głupa, wchodząc na jego terytorium, to zwykły szef operacyjny powinien się tym zająć. Nie, jednak nie zdoła się opanować. To wszystko śmierdzi na kilometr.

— A ten idiota Mossman gdzie leżał?

— Tam. Obok kompletu wypoczynkowego. Zrobiliśmy mu zdjęcia — odparł policjant.

— Świetnie, świetnie. A numer trzy?

— Na tarasie.

— Zidentyfikowany?

— Tak. I tak, *byliśmy* ostrożni. Obaj mieli przy sobie portfele. Pierwszy nazywa się Per Nissum. Pracował dla PET w Aarhus. Obecnie funkcjonuje jako konsultant do spraw bezpieczeństwa i prowadzi własną firmę. A tam dalej jest inspektor muzeum, Mal...

— Dziękuję! Tego *znam*. Ostatni?

— Na werandzie leży Hans Holstener. Dawniej PET w Søborgu. Brak informacji o aktualnym miejscu pracy.

— Dawni pracownicy wywiadu. Ciekawe. Zatem frajer posłużył się dawnymi szpiegami.

Na lekkie, letnie buty, w których relaksował się na swoim balkonie, gdy zadzwonił telefon, naciągnął foliowe torebki. Potem ostrożnie podszedł do ciała Maltego Bulbjerga.

Inspektor muzeum leżał z dramatycznie otwartymi oczami. Nagle pomyślał o jego żonie. Będą musieli pamiętać, żeby się z nią spotkać. Czy była częścią tego wszystkiego? A może naprawdę o niczym nie wiedziała?

Bacznie przyjrzał się ciału. Narkotyki i hazard. Zamordowany strzałem w czoło i oko. W słynnej sali Danehofu na zamku w Nyborgu. Był tam wtedy i połknął całutką przynętę.

Można człowieka ucharakteryzować na ofiarę masakry piłą mechaniczną. Można też oczywiście zrobić z niego

przekonującą ofiarę dwóch strzałów w twarz. Ale... musieli dodatkowo dać mu jakiś środek usypiający albo użyć innego, bardziej wyrafinowanego leku.

— Niech to jasna cholera!

Wszyscy stojący przy drzwiach spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

Axel Mossman mógł to zrobić tylko we współpracy z medykiem sądowym. Również fotograf z KTC mógł zostać wtajemniczony. Ale Bromann, jako medyk, uczestniczył w tym na pewno. Bez wątpienia. Inaczej natychmiast by zauważył, że ciało na zamku żyje. Bromann, którego zawsze tak cenił.

Z zewnątrz dobiegł go dźwięk silnika.

— Czy to Fredericia?

— Tak, właśnie przyjechali — odparł ktoś z przedpokoju.

— Najwyższa pora, kurwa.

Wyszedł z pokoju, aby spotkać się z technikami w drzwiach i zaprowadzić ich do środka. KTC przysłało im małą armię. Trzy samochody, łącznie dziewięciu techników kryminalistyki. Tak się pochodzi do sprawy, gdy jest w nią zaangażowany szef wywiadu królestwa.

Ośmiu z nich w swoich kombinezonach od razu, niczym pszczoły, zaczęło się krzątać po pokoju, a ostatni zajął się ciałem na tarasie.

Powietrze w salonie niezliczenie wiele razy przeciął błysk flesza, w miarę jak fotograf przeczesywał pomieszczenie kawałek po kawałku. Ciała zostały dokładnie obfotografowane, ale z oględzinami trzeba było poczekać na przyjazd medyków.

Na podłodze obrysowano ciała. Nakreślono również pozycję, w której znajdował się szef PET. Szukano otworów po kulach, a znaleziska zaznaczono małymi, ponumerowanymi plakietkami. Później kryminaliści wejdą

tu ze swoim ultrafioletem poszukać śladów krwi niewidocznych gołym okiem.

Z zadowoleniem stwierdził, że wszyscy pracowali jak dobrze naoliwiona maszyna. Jego wewnętrzne wrzenie ustało, puls się wyrównał.

Pora się zająć tą dwójką, która wciąż siedzi na ławce.

Jej umysł przełączył się w stan czuwania. Miała wrażenie, że minęło niewiele czasu. Znała kolejność czynności, a to miejsce zbrodni musiało się wszystkim wydać wyjątkowo chaotyczne. Zwłaszcza dla prowadzącego śledztwo, który już raz pochował jedną z ofiar.

Mimo że zapadła noc, nie było zimno. Lokalni policjanci poczęstowali ją kawą, a niedługo na pewno zostaną przewiezieni na komisariat w Svendborgu, chyba że zabiorą ich aż do Odense i tam porządnie ich zgrillują.

W świetle padającym z okna stanęła wysoka postać H.P. Andersena. Po jego postawie zorientowała się, że już ochłonął. Zapytała więc:

— Skąd przyszło zgłoszenie? Miejscowi przyjechali tu kilka minut po nas.

Kierujący śledztwem zawahał się, ale po chwili w jakimś sensie dał jej odpowiedź.

— Było zgłoszenie od obywatela, który usłyszał strzały. Niedługo zostaniecie przewiezieni do Odense. Zanim to nastąpi, daj mi wersję skróconą. O co tu chodzi?

Mówił ściszym głosem, ale nie miała wątpliwości, że jeśli tylko ktoś rzuci zapalką, ten człowiek wybuchnie na nowo.

Mieli mnóstwo czasu, by ustalić wspólną wersję. W normalnych okolicznościach od razu by ich rozdzielono, by temu zapobiec. Na szczęście dla nich nic tutaj nie było normalne. Postanowili trzymać się możliwie najbliższej prawdy. Z pominięciem jednego poszukiwanego za zabójstwo weterana.

— Nie wiem, co tu się stało. Mówię całkiem szczerze. Christian odebrał mnie spod McDonalda przy autostradzie w Nyborgu, gdzie nadal stoi mój samochód. Na rozkaz Axela Mossmana mieliśmy się tutaj spotkać na odprawę. Kto, co, gdzie i dlaczego — nie mamy pojęcia.

Rozdział 55.

Ich ostatnia przechadzka po plaży niemal zakończyła się rozłamem. Musiał za nią pobiec, podnieść ją i mocno trzymając w górze, wykrzyzczyć po tysiackroć „przepraszam”, nim ostatecznie zawarli sojusz przeciwko „gnojkom”.

Teraz sytuacja była poważniejsza. W ciągu ostatniej doby nastąpiła drastyczna eskalacja. Tym razem jednak ich partnerstwo pozostało niezachwiane.

— Moja ucieczka przebiegła wyjątkowo spokojnie — opowiadał Franck, gdy znów spacerowali tą samą plażą. I taka była prawda. Na tle najnowszych wydarzeń ucieczka z domku w środku lasu przy ogłuszającym akompaniamencie syren była całkiem bezproblemowa.

Nie wiedząc, gdzie się znajduje, zdecydował się poruszać wzdłuż wybrzeża. Po części, aby trzymać się z dala od ruchu ulicznego, ale również by uniknąć ciekawskich spojrzeń, które niechybnie przyciągnąłby samotny człowiek w garniturze poruszający się pieszo na takim pustkowiu.

Dopiero gdy dotarł do wąskiej asfaltowej drogi poprowadzonej przez minitamę o długości jakichś sześćdziesięciu metrów, zaczęło mu świtać, co to za miejsce. Na tablicy przy drodze widniał napis „Pirs Vemmenæs”, a sama droga wiodła do skrawka ziemi z małą drewnianą szopą i szeregiem małych pomostów.

O Vemmenæs nie wiedział nic, ale na ścianie szopy wisiała przeszklona tablica informacyjna. Widniała na niej między innymi mapa okolicy. Vemmenæs mieściło się na samym dole Tåsinge. Mały mostek po jego prawej łączył Tåsinge z Siø, a gdy się rozejrzył, dalej na horyzoncie dostrzegł

większy most, który stamtąd prowadził do Langeland i Rudkøbing.

Czyli co do jednego się nie pomylił w swoich próbach rozpoznania terenu z tylnego siedzenia samochodu: byli na Tåsinge.

Chwilę potem dotarł do mostu. Ruszył wiejską drogą na północ. Niewiele uszedł, nim dotarł do typowego wiejskiego przystanku z budką z pleksi i ławką. Kwadrans później wsiadł do dziewięćsetjedenastki jadącej ze Spodsbjergu. Autobus powiózł go do stacji w Svendborgu, skąd po krótkiej przerwie ruszył dalej, do samego Nyborga.

Stamtąd podrałował na parking przy Knudshoved, wsiadł do toyoty i wrócił do swojego pensjonatu.

Pod osłoną nocy wypalił jointa na tyłach starej stajni. Potem spał jak kamień przez pięć godzin, a gdy się zbudził, w głowie od nowa ruszył kołowrót rozważań i spekulacji.

W tym czasie Margerthe Franck dopiero co wróciła do Nyborga. Przez kilka godzin w ciągu nocy, potem przez kilka godzin rano i jeszcze raz, tuż przed południem, powtarzała jak mantrę to samo krótkie wyjaśnienie.

Że wykonywała polecenie swojego szefa, który kazał jej pojechać do domku w środku lasu na Tåsinge. I że nie ma najmniejszego pojęcia ani nawet się nie domyśla, w jakim celu.

Dwa z przesłuchań poprowadził osobiście kierujący śledztwem, zimny jak lód H.P. Andersen. Ani razu nie podniósł głosu. Nie potrafił wprawdzie ukryć swojej wzdargi dla kolegów z PET, ale przeważnie miała wrażenie, że odnotowuje tylko jej odpowiedzi, a jednocześnie w głowie analizuje wszelkie możliwe scenariusze.

Franck pod restauracją Teglværksskoven pojawiła się dopiero o czternastej. Przez godzinę spacerowali po plaży. Wymienili się relacjami z ostatniej nocy i omawiali dalsze

możliwości działania.

Najwyższa pora porozmawiać z głównym bohaterem zamieszania: Axelem Mossmanem.

— Chodź, pojedziemy moim wozem. Nie zwraca aż takiej uwagi.

Otworzył jej drzwi. Franck nie wsiadła od razu, tylko zabrała coś ze schowka w swoim samochodzie i wolno obeszła toyotę. W ręce trzymała przedmiot wielkości telefonu komórkowego z krótką anteną.

— Co robisz?

— Upewniam się, czy możemy jechać w spokoju — odparła.

Spojrzała na zegarek. Kiedy obeszła cały samochód dookoła, usiadła na tylnym siedzeniu, a chwilę potem przesiadła się na miejsce kierowcy. Na koniec wysiadła i pokazała mu urządzenie.

— Nie znałeś tego, co?

Pokręcił głową.

— To *bug sweeper*. Potrafi wykryć nadajnik GPS, jeśli ktoś nam coś takiego podłożył, żeby mieć nas na oku. Tak się wkurzyłam, kiedy Mossman mi powiedział, że umieścił w moim samochodzie nadajnik i śledził mnie aż na cmentarz w Høng, że od razu pobiegłam do domu i w necie kupiłam to cacko. Przyleciało z Anglii za jedyne tysiąc czterysta pięćdziesiąt koron. Mówią na to też detektor RF. Wykrywa fale radiowe.

— I co — nic nie znalazł?

— Nie reaguje. Ale to nie wystarczy, żeby stwierdzić, czy twój wóz jest czysty. Istnieją dwa rodzaje lokalizatorów GPS, *data pullers* i *data pushers*. Wiemy, że w twoim wozie na pewno nie ma pullera. Takie urządzenie wysyła informacje o swojej pozycji w trybie ciągłym. Najczęściej używa się jednak *data pushers*, wtedy lokalizator wysyła sygnał w regularnych odstępach czasu. Czasem ten odstęp może

wynosić nawet pół godziny. Zwykle jednak wynosi od pięciu do piętnastu minut.

— A jeśli mam w samochodzie nadajnik, który wysła sygnał co dwadzieścia albo trzydzieści minut, to co?

— To znajdziemy go później. Stąd do Svendborga jest godzina. Wykrywacz będę miała w kieszeni.

— I co, jeśli coś wykryje?

— Jeśli w promieniu pięciu metrów detektor wykryje *nadajnik*, rozlegnie się sygnał dźwiękowy i czerwona lampka zacznie migać. Im bliżej nadajnika, tym głośniejsze będzie pikanie i tym szybsze migotanie.

— Jeśli odstęp wynosi trzydzieści minut, to nim zlokalizujemy nadajnik, może się zdarzyć dosłownie wszystko.

— To prawda. To może potrwać dość długo. Chodzi przede wszystkim o ty, by *wiedzieć*, czy trzeba uważać, czy nie.

— A twój samochód?

— Mój jest czysty.

— Raczej nieziemsko uwalony, podobnie zresztą jak mój garnitur. Dobra, wskakuj. Jedziemy. Jeśli po drodze będzie jakiś sklep, mogłabyś mi kupić jakieś ubranie? Coś bardziej swobodnego. Jakies dżinsy, ze dwie koszule i kilka T-shirtów?

Pół godziny później wjechali na duży parking przy Sankt Jørgens Vej. Szpital w Svendborgu był częścią szpitala uniwersyteckiego w Odense. Na miejscu przywitał ich gęsty las tablic informujących o konieczności zapłaty za parking.

Nie sposób za to było w tym gąszczu tablic wypatrzeć informacje interesujące wszystkich, którzy na ten parking trafili: gdzie znajduje się wejście do szpitala.

Naciągnął na czoło daszek czapki i włożył ciemne okulary.

Razem z parą zagubionych staruszków znaleźli wreszcie drzwi na tyłach dużego budynku. Przeszli długim, pustym

korytarzem piwnicznym i nagle znów wyszli na poziom parteru, gdzie od razu dostrzegli okienko recepcji, w którym dowiedzieli się, którądy iść dalej.

Axel Mossman leżał w sali jednoosobowej. Nie ze względu na swój stan zdrowia. Ten bowiem, według lekarzy, był znakomity pomimo rany postrzałowej i silnego wstrząsu mózgu. Zdecydowała o tym jego pozycja. Najwyraźniej nikt nie miał dość wyobraźni, aby położyć szefa służby wywiadowczej w zwykłym, czteroosobowym pokoju.

Leżał wielki i potężny, spowity w białe prześcieradła. Miał zamknięte oczy, ale chyba usłyszał ich kroki, bo powoli podniósł powieki i skupił wzrok.

— *Well...*

Tylko tyle im powiedział na powitanie.

Przysunęli sobie krzesła do jego łóżka. Gdyby to od nich zależało, ta rozmowa byłaby bardzo długa. Ale nie wiadomo, czy jemu starczy sił. W tej chwili pytań było mnóstwo. I znacznie mniej odpowiedzi.

— Zatem... znów się pogodziliście. Na poważnie. Witajcie przy moim łożu boleści. — Mossman posłał im krzywy uśmiech. Jego twarz wyglądała fatalnie. Poza starymi obrażeniami, które zadał mu Oxen, pojawił się szereg nowych. Jedną brew zasłaniał duży opatrunek, do tego sporo mniejszych rozcięć, zadrapań i głębokie rozcięcie u nasady nosa, od którego nos spuchł jak bania.

Osobiście miał w dupie stan, w jakim znalazł się szef PET. Nie ruszyłoby go nawet, gdyby był martwy jak kamień. Margrethe miała do swojego szefa oczywiście zupełnie inny stosunek, choć i ona pominęła uprzejmości.

— Jak postrzał? — zapytała tylko, uważnie studiując jego twarz.

— Kula przeszła na wylot... warstwy tłuszczu. Jak stwierdził jeden z lekarzy: „Okazała się wystarczająco

gruba". Taki brak szacunku dla ciężko rannego współobywatela... — Mossman się zaśmiał, po czym jego twarz nagle zeszywniała.

— Dzwonił prowadzący śledztwo. Znaleźli żonę Bulbjerga. W pokoju na górze. Tyle nieszczęść... Gdybym tylko mógł to wszystko odkręcić... Myśleliśmy, że dobrze to wszystko zaplanowaliśmy, Malte i ja. Teraz wszyscy, którzy w tym uczestniczyli, nie żyją, poza moim siostrzeńcem. To takie... beznadziejnie tragiczne.

— Co się stało?

Axel Mossman spojrział na Franck i pokręcił w milczeniu głową.

— Zostaliśmy... — Zamknął oczy i przerwał, by poszukać właściwego określenia. — ...najechani. Przez prawdziwych zawodowców. Pięciu. Tyłu się doliczyłem. Ale mogło być ich więcej. Pojawili się znikąd. Bezdźwięcznie. Zlikwidowali ich w kilka sekund, moich dwóch pomocników i Bulbjerga. Żadnej paniki, mord z zimną krwią i wytłumioną bronią.

— A ty? Czemu ciebie nie zabili? — Spojrział na Mossmana podejrzliwie. Dlaczego szefowi PET udało się z tego wywinąć?

— Tego nie wiem. Dostałem w brzuch. Jeden z nich, Duńczyk, w kółko pytał, gdzie jest Niels Oxen. Mówiłem, że nie mam pojęcia, gdzie jesteś. Że nie mam z tobą kontaktu. Że jesteś poszukiwany za zabójstwo. Ostatnie, co pamiętam, to to, jak jeden z nich walnął mnie w głowę kolbą. Całe szczęście, że nie przyjechaliście wcześniej... *Well...*

Mossman przewrócił oczami. Reszty będą musieli się domyślić. Na podłodze zastali świeżą krew. Możliwe, że o ich życiu zdecydowało mniej niż pół godziny. Szczęście w nieszczęściu.

— A ty, Oxen, możesz być spokojny. Nie wspomniałem o tobie nikomu. H.P. Andersen już dawno mnie przesłuchał. O

tobie nic nie wie. Nie jesteś dziś poszukiwany bardziej, niż byłeś wczoraj, choć to raczej marna pociecha, bo jest wokół ciebie naprawdę gorąco, nie?

Mossman podniósł się na łóżku i teraz prawie w nim siedział. Może czuł, że pozostało jeszcze mnóstwo niewiadomych i czeka go sporo tłumaczenia.

— Pozostałych zlikwidowali bez wahania. A ciebie nie. Dla mnie to niezrozumiałe. Kompletnie niezrozumiałe — nie dawał za wygraną.

— Mogę się tylko z tobą zgodzić, Oxen. W kółko miele to w głowie, ale wciąż nie znam odpowiedzi. Może mają wobec mnie inne plany? Może jestem zbyt cenny, żeby mnie zabić? A może zbyt mało znaczący? Może pozwolili mi żyć, żeby dopełnić upokorzenia?

Może to, co mówił, miało sens. A może nie miało. Pewne było tylko to upokorzenie.

— A ty w ogóle masz siły, żeby rozmawiać? — spytała Franck.

— Mam dość sił, żeby się wytłumaczyć ze swoich działań.

Mossman podniósł się jeszcze kawałek wyżej, poprawił kołdrę i ciągnął dalej:

— Zacznijmy od początku. Nie okłamałem was. Jedynie zachowałem dla siebie informacje, które was nie dotyczyły, a w szczególności nie dotyczyły ciebie, Oxen. Ale gdy tak uparcie odmawiałeś współpracy, zgodziliśmy się z Bulbjergiem, że musimy wyłożyć na stół ostatnią kartę, ujawnić naszą wielką mistyfikację i pokazać wam martwego inspektora muzeum całego i zdrowego jako ostateczny dowód szczerości moich intencji. Największy dowód, że *ja* ufam *wam*. Teraz pewnie myślicie: ale po co było to wszystko?

Axel Mossman zamilkł. Nie dlatego, że oczekiwał od nich odpowiedzi. Bardziej po to, by znaleźć odpowiednie słowa.

Po chwili mówił dalej, z zamyśloną twarzą:

— Moi dobrzy przyjaciele Rosjanie mają takie ciekawe określenie: wsie potiomkinowskie. Wzięło się to od generała Grigorija Aleksandrowicza Potiomkina, który był kochankiem Katarzyny Wielkiej i najechał na Ukrainę. Gdy cesarzowa przybyła na obchód po nowo zdobytych ziemiach, sprytny generał Potiomkin kazał postawić atrapy, które z daleka miały wyglądać jak prawdziwe wioski. Opłacił do tego dzieci i wieśniaków, by stali przy drodze i entuzjastycznie witali przejeżdżającą karetą cesarzową. Wsie potiomkinowskie miały zaimponować Katarzynie i pokazać jej i towarzyszącej jej świcie, jak daleko posunął się w swoich podbojach. No więc widzicie... ja też byłem zmuszony zbudować takie wioski. Sięgnąć po środki ostateczne. Malte Bulbjerg był w posiadaniu śmiertelnie groźnych informacji. Było kwestią czasu to, że go zlikwidują. On bardziej niż ktokolwiek inny rozumiał, jak realne jest zagrożenie.

— Oni? Jacy oni? — przerwała mu Franck.

— Danehof, oczywiście... Pozorując jego śmierć, mogliśmy ocalić mu życie. Działaliśmy bardzo ostrożnie, rozciągnęliśmy wszystko w czasie, by okoliczności zbrodni były w miarę realistyczne. Kazaliśmy mu przegrać sporą sumę. Zbudowaliśmy scenariusz oparty na klasycznych elementach gry: gotówka i narkotyki plus podejrzenie długu hazardowego.

— Ale jak go uśmierciliście? — O to zapytał on sam. Śmierć Bulbjerga musiała być niesamowicie przekonująca, skoro do wczoraj nikt nie nabrał podejrzeń.

— Sporo zawdzięczamy jednemu z najlepszych charakteryzatorów filmowych i telewizyjnych w Skandynawii, Åke Borgströmowi ze Sztokholmu. Krwi i makabry musiało być wystarczająco dużo, aby nikomu nie

przyszło do głowy sprawdzać pulsu. Stąd strzał w czoło i kolejny — w oko. Zabójstwo wyglądało przez to nie tylko na dość ostateczne, ale i wzbudziło większe zainteresowanie. A nam na tym przecież zależało.

— A sekcja? Musieliście chyba wtajemniczyć medyka sądowego? — próbowała doprecyzować Margrethe.

— Oczywiście. Bromann początkowo nie chciał się zgodzić. Doszliśmy do porozumienia dopiero, gdy mu powiedziałem, że dzięki doświadczeniom w brytyjskiej policji, a konkretnie w Manchesterze, wiem o jego koleżance, z którą od lat przy okazji najróżniejszych seminariów i konferencji łączą go stosunki bliższe niż koleżeńskie. Gdyby się opierał, byłbym zmuszony opowiedzieć o wszystkim jego żonie.

— A Bulbjergowi daliście tabletki nasenne? Ryzyko, że wasza mistyfikacja zostanie wykryta, było przecież ogromne. To zupełnie do ciebie niepodobne.

— Zawsze jest jakieś ryzyko. Tutaj ryzyko ponosiliśmy obaj. Tabletki nasenne nie były dość pewne. W grę wchodziło mnóstwo nieprzewidywalnych czynników ludzkich — stróż nocny, policjanci na miejscu zdarzenia, technicy z Fredericii, ratownicy z karetki, którzy przewozili ciało do instytutu. Musieliśmy wprowadzić Bulbjerga w stan nieprzytomności z depresją oddechową. Jak wiadomo, moja żona jest lekarką. Podobnie jak jej brat. I jego syn, oczywiście. Tak już jest z lekarzami... I ten syn jest anestezyjologiem, więc rozwiązanie mieliśmy pod ręką. Osiem miligramów midazolamu domięśniowo plus sto mikrogramów fentanylu i cewnik nosowy, by zapobiec zapadnięciu języka. Niedobrze by było, gdyby w czasie akcji zwłoki zaczęły nagle pochrapywać... To wszystko dało nam jakieś dwie godziny na całą inscenizację. Dopiero gdy Bulbjerg wylądował na stole w instytucie medycyny sądowej, mogliśmy odtrąbić sukces. Tam Bromann ostrożnie

go wybudził, podając flumazenil i nalokson, które zadziałały jak antidotum.

— A fotograf techników?

— Jego uczciwie opłaciłem. Musisz wiedzieć, Margrethe, że wiele osób chętnie wyświadcza mi przysługi. Póki co.

Wzrok Mossmana na moment stał się nieobecny, jakby nagle przyszło mu do głowy, że może przyjść taki dzień, gdy to się zmieni. Gdy przestanie znaczyć cokolwiek i budzić powszechny respekt. Po chwili jednak ponownie podjął wątek:

— Z początku myślałem, że wystarczą same leki. Obniżymy niemal całkowicie tętno i oddech. W tak długim czasie, jakiego potrzebowaliśmy, mogłoby się to okazać niebezpieczne. Bulbjerg mógł odnieść trwałe szkody. Stąd charakterystyka i krwawa łaźnia. Ale i tak... oczywiście ryzyko było spore. Że wszystko się wyda, ale też że leki zawiodą. Z takimi rzeczami zawsze się ryzykuje. Mimo wszystko nasz plan bronił się tym, że alternatywą była pewna śmierć. Bulbjerg rozumował podobnie. Muzealnik ginie po północy we własnym średniowiecznym zamku. Najprawdziwsze czary. Wieś potiomkinowska w środku Danii. Mieliśmy ponadto nadzieję, że uda nam się przy okazji upiec drugą, arcyważną pieczeń... *Sorry*. Margrethe, możesz mi podać szklankę wody?

Nalała do szklanki wody ze stojącej przy łóżku karafki i podała Mossmanowi. Opróżnił naczynie w kilku łapczywych łykach.

— A tą drugą pieczeńią — ciągnął — byłeś ty, Oxen. Może nawet pierwszą. Po odciskach palców doszliśmy, że to ty przysłałeś Bulbjergowi tamte dokumenty. I byłem pewien, że skoro trafiłeś na żyłę złota, to nie zadowolileś się tymi, stosunkowo nieszkodliwymi materiałami. Że masz więcej. Coś naprawdę wybuchowego. Potrzebowaliśmy twojej

wiedzy, Bulbjerg i ja, aby osiągnąć cel, który nas połączył: zniszczyć Danehof. Tym, czego nie wiecie, jest to, że Bulbjerg miał własne, istotne powody, aby zgładzić ich mroczny krąg władzy. Jego rodzina...

— Wiemy o tym — przerwała mu Franck. — Wiemy o wszystkim. Byłam u jego ciotki w Odder.

— Zatem zaszliście całkiem daleko na własną rękę.

— I co chcieliście tym zyskać?

— Jak powiedziałem — ciebie, Oxen. Zapadłeś się pod ziemię. Nawet Margrethe nie mogła cię namierzyć. Mieliśmy nadzieję, że czytasz gazety. Że będziesz musiał usłyszeć albo przeczytać o zbrodni na zamku. A gdy tak się stanie, natychmiast uznasz, że musi istnieć związek pomiędzy dokumentami, które przysłałeś Bulbjergowi, a jego śmiercią. Brutalna zbrodnia w samiutkiej sali Danehofu. Miałeś wyciągnąć oczywisty wniosek, że miejsce wybrano celowo, by wysłać w świat sygnał. Że tym sposobem Danehof zostawił swój podpis. Sumienie miało cię ruszyć i zmusić, abys się do mnie zgłosił. Dokonał autodekonspiracji, jak to się nazywa w mojej branży.

Franck mu przerwała:

— Ale się pomyliłeś. Bo ty nie miałeś pojęcia, co się dzieje, prawda, Oxen? Odkąd zamieszkałeś w gospodarstwie rybnym tamtego staruszka, nie oglądałeś telewizji, nie słuchałeś radia, nie przeczytałeś nawet jednej strony „Dziennika Gminnego Vejle”. Nie miałeś pojęcia o tej tak zwanej zbrodni, dopóki ci o niej nie opowiedziałam przy grobie Bossego.

— To prawda, Margrethe — przyznał Mossman. — I chcę podkreślić, że mimo wszystko głównym celem operacji było odsunięcie zagrożenia od Bulbjerga.

Mossmann wypił ostatnią kroplę i wyciągnął szklanekę w jej kierunku.

— Cholernie chce mi się pić. Może to przez narkozę? Jest jeszcze trzeci i przeważający wszystkie pozostałe argument. Upozorowane zabójstwo Maltego Bulbjerga miało wywabić szczury z ich kryjówek. Wiedzieliśmy, że obserwują Bulbjerga i jego ruchy. Wiedzieliśmy, że doznają nie lada szoku, gdy nagle zostanie zamordowany — przez kogoś innego. Będą sobie łamać głowy: kto mógł to zrobić? Logiczną konsekwencją będzie ich wkroczenie do akcji i rozpoczęcie własnego śledztwa. I tak też się stało. A my staliśmy za kulisami gotowi obserwować ich działania. Wskazać ich, śledzić. Wiemy z wiarygodnego źródła, że według modus operandi Danehofu akcję organizuje ten krąg, w którym urodziła się dana osoba. Czy będzie to Danehof Nord, Syd, czy Øst. Malte urodził się w Christiansfeld w południowej Jutlandii, gdybyśmy więc okazali się dość sprytni, moglibyśmy śledzić to, co się dzieje wokół śledztwa, i powiązać wszelkie nieoficjalne działania Danehofu Syd. A gdybyśmy odkryli choć jedno powiązanie, moglibyśmy je wykorzystać, by wyrąbać w ich strukturze nieco większą dziurę.

Axel Mossman znów się napił. Nie wyglądał na zmęczonego. Raczej na pobudzonego własną opowieścią. I może zachęconego, bo pewnie sądził, że teraz Oxen przekaże mu wszystkie materiały. Ale on nie był ani trochę bliższy podjęcia takiej decyzji.

W jednym punkcie Mossman się nie mylił: to, co zakopał pod modrzewiem, było ładunkiem wybuchowym. Spróbował spojrzeć na całą historię z perspektywy Mossmana. To rzeczywiście miało sens. Wyglądało na to, że szef PET mówił prawdę. Ale mimo wszystko było kilka wątpliwych punktów.

— Skoro w grę wchodziło życie Bulbjerga, to dlaczego wezwalesz nas do Tåsinge, ryzykując ujawnienie całej operacji?

Mossman pokiwał w milczeniu głową.

— Bo widzisz, Oxen, myśmy się czuli *bezpieczni*. A do tego musiałem zrobić coś *nadzwyczajnego*, aby was przekonać. A konkretnie przekonać *ciebie*. Od upozorowanej śmierci Bulbjerga przynosiliśmy go trzy razy. W tym czasie w ogóle nie miałem z nim kontaktu. Wszystkim zajmowali się moi ludzie. Musieliśmy mieć po naszej stronie ciebie i Margrethe. Byliście nam potrzebni. Ty już raz pokazałeś swój potencjał. No i oczywiście... chcieliśmy mieć *wszystkie* dokumenty Kręgu Północnego, a nie tylko te, które przysłałeś Bulbjergowi.

— Mogłeś równie dobrze wyłożyć karty na stół tamtej nocy, gdy siedziałeś w mojej kuchni. Skoro potrafiłeś się przyznać do zabicia mojego psa, to chyba mogłeś też ujawnić całą historię?

— Wtedy nie byliśmy gotowi ujawnić prawdy o Bulbjergu. Na szali było jego życie. Nie chcieliśmy składać go w ofierze. Choć ostatecznie byliśmy do tego zmuszeni. On sam to zresztą zaproponował. Jemu bardzo zależało, żeby dorwać im się do skóry. Może nawet bardziej niż mnie.

— Ale Oxen ma rację. To było ryzykowne. Mogli cię śledzić. To przecież za twoim pośrednictwem musieli namierzyć tę chatę w lesie. Jak inaczej by go znaleźli? — zauważyła Franck.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem. W kółko o tym rozmyślałem, roztrząsałem wszystko, aż głowa mało mi nie eksploduje. Ci dwaj goście, którzy trzymali straż w domu, byli moimi dawnymi kolegami. Miałem do nich pełne zaufanie. To samo oczywiście dotyczy mojego siostrzeńca. Wszyscy używali wyłącznie bezpiecznych telefonów. Wszystkie kontakty, zanim tam przyjechałem, szły przez mojego siostrzeńca.

— A twój samochód? — Franck nie odpuszczała.

— Nie używałem go. Wypożyczyłem samochód na lotnisku. Wóz wybrałem dopiero na miejscu. Nie ma takiej możliwości, aby ktokolwiek mógł w nim zamontować nadajnik. To zwyczajnie niemożliwe. Nawet ubranie przejrzałem centymetr po centymetrze. I dałem sobie mnóstwo czasu. Robiłem objazdy, użyłem wszystkich znanych trików. Mówię wam: *nikt* mnie nie śledził.

— Więc jak?

Była pewna, że Mossman nie mógł popełnić tak prostego błędu. Był mistrzem w swoim fachu. Mimo to coś musiało pójść nie tak.

— Mam dwa pytania. Po pierwsze, ślady, które wskazują na Danehof Syd — gdzie *dokładnie* wskazują? Po drugie, poza tym, że Bulbjerg grzebał i czegoś się dokopał, jakie *dokładnie* informacje sprawiły, że jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie?

Franck pokiwała głową z uznaniem. Mossman w zamyśleniu splótł ogromne dłonie na wysokości ust. W końcu, po długim milczeniu, odparł:

— Jeśli mam odpowiedzieć na oba pytania, to muszę najpierw dostać od was jednoznaczny deklarację: jesteście ze mną — czy przeciwko mnie?

Znów zapadła cisza. Od początku zdawał sobie sprawę, że kiedyś będą musieli się określić. Prędzej czy później. Bez względu na Mr. White'a... Zerknął na Franck. Siedziała nieruchomo — z głębokimi bruzdami na czole.

I akurat gdy wyglądała, jakby miała coś powiedzieć, z jej kieszeni rozległo się przesywające bębenki pikanie.

Wzdrygnęła się i z irytacją wyjęła z kieszeni detektor fal radiowych.

— Przepraszam, zapomniałam wyłączyć.

Dopiero gdy z powrotem schowała go do kieszeni, oboje jednocześnie na siebie spojrzeli i oboje mieli w oczach

niedowierzenie.

— Jasna cholera — rzucił on — czy to możliwe?

— O tak. Możliwe. Brzmi niedorzecznie, ale jest bardzo możliwe — powiedziała.

W następnej chwili oboje spojrzeli na szefa PET, który chyba po raz pierwszy w życiu nie miał pojęcia, co się dzieje przed jego własnym nosem. Franck ponownie wyjęła urządzenie z kieszeni i pokazała Mossmanowi.

— To — powiedziała — to jest detektor fal radiowych, tak zwany *bug sweeper*. Potrafi wykryć lokalizator GPS. Poza wczorajszym wieczorem, kiedy ostatnim razem zdarzyło ci się trafić pod nóż, Axel? I co to było? Coś wielkiego? A może jakiś drobiazg?

Szef PET popatrzył na nią zdumiony. Margrethe pochyliła się ku niemu i niemal wyszeptała:

— Sam ich zaprowadziłeś do Tåsinge. Masz w ciele nadajnik. Niech cię szlag...

Rozdział 56.

Ciarki przeszły mu po plecach, gdy rzucił słuchawką i odchylił się na krześle. Wszystko to było skrajnie niepokojące.

Właśnie zakończył rozmowę z dziennikarzem z tak zwanego dziennika opiniotwórczego. Zwieńczeniem ich krótkiej wymiany, podobnie jak wielu podobnych wymian przed tą, była mała, wyrafinowana groźba.

„Rozumiem. Skoro pan, jako osoba odpowiedzialna za wyjaśnianie okoliczności zbrodni, odmawia opinii publicznej informacji w sprawie, jestem zmuszony napisać: »Kierujący śledztwem H.P. Andersen odmawia komentarza odnośnie do informacji uzyskanych przez gazetę«”.

„Proszę napisać, cokolwiek pan zechce”.

Miał więc spokój co najwyżej do jutra rana, kiedy gazeta trafi do kiosków. O ile oczywiście nie zdecydują się od razu napisać o tym na swojej stronie. A gdy jedna redakcja to napisze, pozostałe też będą mogły.

Nie sposób było przewidzieć, jak to się potoczy. Pojawienie się mediów elektronicznych oznaczało całkowite i ostateczne zerwanie reguł gry obowiązujących jeszcze w czasach gazet papierowych, gdy deadline był zawsze najwcześniej za kilka godzin.

Dziś bomba może gruchnąć za sekundę, za dziesięć sekund albo za godzinę i roznieść się po sieci z prędkością błyskawicy.

Zamknął oczy i pogrążył się w głębokich rozmyślaniach. Jak ten dziennikarz dowiedział się o dramacie w leśnym domu w Tåsinge? I to w takich szczegółach? O ponownej śmierci inspektora muzeum nie, ale o tym, że w domu miał

przebywać szef Policyjnej Służby Wywiadowczej Axel Mossman. Skąd na Boga mógł to wiedzieć? Skąd? No, skąd? Pytanie go o to nie miało sensu. „Ochrona źródeł informacji”, powtarzali jak papugi.

Nie mógł wykluczyć przecieku. W akcji brało udział sporo ludzi z lokalnej komendy. Kto wie, z kim się kontaktowali?

Była jeszcze inna możliwość, od której zimny pot spływał mu po plecach. Mianowicie, że to wszystko było ze sobą powiązane. Że istniał jakiś nadrzędny, ukryty motyw łączący zainscenizowaną śmierć muzealnika, kradzież zawartości jego własnego dysku i tajemniczy rekonesans w środowisku narkotykowym oraz masakrę w leśnym domu. Dramat, który, notabene, szef PET przeżył z niejasnych — mówiąc łagodnie — powodów.

Wyglądało to na jedną z tych nieprzeniknionych, po tysiakkroć zawoalowanych, profesjonalnie skonstruowanych intryg.

A te nie były jego domeną. On był dobry w zbrodniach, które widać.

I dotychczas same zbrodnie faktycznie były dość dobrze widoczne. Trzy trupy w Tåsinge plus żona Bulbjerga w Nyborgu.

Był już po przesłuchaniu Axela Mossmana. Szef PET bez oporów opowiedział, jak z pomocą medyka sądowego, fotografa, charakteryzatora i lekarza zainscenizował śmierć inspektora muzeum na zamku.

Szczegółowo opisał też, jak pięciu mężczyzn w czarnych kominiarkach, wyglądających niemal jak oddział specjalny, sprawnie i skutecznie przeprowadziło akcję w domu na polanie. Powiedział, że go przepytywali, a na koniec brutalnie pobili.

Nie powiedział natomiast, o co go pytali. Nie chciał mówić również o powodach pozorowania śmierci Bulbjerga. Wyłgał

się stwierdzeniem, że jest to sprawa, w której w grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe. Dlatego zajmuje się nią PET. I tylko PET.

W tej chwili mógł tylko zamknąć oczy i próbować coś dojrzeć. Powiązania, które wydawały się niewidoczne. I jednocześnie czekać na wyniki niezliczonych badań, które przeprowadzali na miejscu zdarzenia.

Odsłuchiwał zgłoszenia na sto dwanaście. Anonimowy męski głos zdawkowo informował o strzałach i krzykach dobiegających od strony domu. Dzwonił z telefonu na kartę, niemożliwego do namierzenia.

Tak jak widmowa wydawała się cała afera, tak widmowy był telefon, który uruchomił lawinę. Nie zgadzał się z relacją Mossmana, że użyto broni ręcznej z tłumikiem. I że nikt z obecnych nie miał czasu krzyczeć.

Wszystko to brzmiało jak ostrzeżenie przed czymś bardzo złym i bardzo groźnym, co nadciągało w jego stronę.

Raporty z obdukcji w tych okolicznościach pozwolił sobie potraktować jako całkowicie zbędne. Dwaj strażnicy i Bulbjerg zginęli od kuli lub kul. Kropka.

Z niecierpliwością natomiast czekał na wnioski ekipy z Fredericii. Byle tylko dane mu było na spokojnie się z nimi zapoznać, zanim media na dobre rozpętają burzę.

Na biurku leżał szkic jego autorstwa. Był to plan leśnego domu w formacie A3. Zaznaczył na nim rozmieszczenie ciał zabitych oraz szefa PET. Na tej podstawie próbował krok po kroku odtworzyć dramat, jaki się tam rozegrał.

Kluczowe będzie ustalenie przez techników kątów strzałów na podstawie ran wlotowych i ewentualnych ran wylotowych w ciałach, podłodze, ścianach i suficie. Do tego konieczne było przeprowadzenie obdukcji. Na szczęście udało mu się za to przyspieszyć inną część pracy — badania balistyczne. Czyli odpowiedź na pytanie, który pocisk należał do której

broni.

Mossman twierdził, że jego ludzie nie dali broni Bulbjergowi. W każdym razie nie uzgadniał z nimi, że to zrobią. A jednak Bulbjerg leżał z pistoletem w ręce. Sam Mossman stanowczo zaprzeczył, by posiadał broń. W chaosie, jaki zapanował, nie był też w stanie stwierdzić, czy któryś z jego współpracowników zdążył oddać strzał w salonie.

Otworzył oczy, pomrugał szybko, by przyzwyczaić wzrok, i sprawdził stronę gazety, z której dzwonił tamten dziennikarz. Ani słowa. W każdym razie jak dotąd. W jego skrzynce mailowej też nic. Żadnej odpowiedzi od nikogo z kierownictwa PET w Søborgu.

Zwykle był uparty i pewny siebie. W rozsądnych proporcjach, jak mu się zdawało. Zawodowa duma kazałaby mu dotrzeć do sedna sprawy, której początek okazał się mistyfikacją, a która mimo to pochłonęła przecież niezliczone roboczogodziny, tyle osób łamało sobie nad nią głowy. Normalnie zajrzałyby pod każdy kamień, żeby nikt nie był w stanie dopatrzeć się uchybień w postępowaniu, aby sprawa była spójna, a wszystkie wątki wyjaśnione. Gotowe do podania na srebrnej tacy pod sam prokuratorski nos.

Tymczasem gdyby w tej chwili jakaś wyższa siła zabrała tę sprawę z jego biurka, nawet by nie mrugnął okiem. Czy to znaczy, że się poddał? Czy raczej jest dowodem pragmatyzmu?

Nie bardzo wiedział, czy powinien się wstydzić. Miał po prostu nieskończenie złe przeczucia co do tego wszystkiego. Ktoś zapukał, lecz zanim zdążył powiedzieć „proszę”, do jego biura wszedł szef komendy, komisarz Skov. Opadł na stojący po drugiej stronie biurka fotel i westchnął głęboko.

— Niech to szlag, co za bajzel. Coś nowego, H.P.? — wysapał.

Kiwnął krótko głową i streścił mu rozmowę z dziennikarzem. Ta informacja wywołała na czole komisarza głębokie zmarszczki.

— Musimy dojść z tym do ładu. Póki co nasz komentarz to nadal brak komentarza. Możemy tu ściągnąć Axela Mossmana?

— Podobno musi zostać w łóżku jeszcze kilka dni. Przez ranę postrzałową, ale przede wszystkim przez wstrząs mózgu.

— Przed chwilą rozmawiałem z ministrem sprawiedliwości.

— Całkiem o tym zapomniałem. Kto przejął stołek po Rosborgu?

— Niejaka Helene Kiss Hassing.

— Kiss?

— Tak, Kiss. Nudna jak flaki z olejem.

— To żadna nowość.

— Bóg raczy wiedzieć, czym kierował się premier.

— Ładna jest, ta Kiss?

— Długie, jasne włosy, wielkie oczy, uroczy uśmiech.

— No to masz odpowiedź. Plus nazwisko. Tego nie przebijesz. Kiss... wielkie nieba.

— Zapytałem ją, co mamy zrobić z Axelem Mossmanem i tym wszystkim... Okazuje się, że jest na nartach z rodziną w Bolzano, więc trochę trwało, nim udało nam się porozmawiać.

— Na nartach? Przecież dopiero co dostała nominację.

— Jako minister też ma prawo do urlopu. Tak czy inaczej, mamy dalej pracować nad sprawą, jakby to była każda inna sprawa. Dopóki nie dostaniemy innych instrukcji.

— Dopóki nie dostaniemy innych instrukcji. Więc już wiemy, jak to się skończy. Najpierw do reszty wyczerpiemy wszystkie nasze zasoby, a potem odbiorą nam sprawę.

— Co poradzić, H.P. Takie są zasady tej gry. Nic nie

poradzimy, musimy się dostosować — westchnął komisarz.

Rozdział 57.

Dwie czerwone blizny wyraźnie odznaczały się na ogromnej tafli pleców, tak lśniącej, że przywodziła na myśl skórę lwa morskiego. Jedna między łopatkami, druga kawałek niżej. Axel Mossman siedział na krawędzi łóżka, białą szpitalną koszulę miał podciągniętą pod samą szyję.

Margrethe Franck dokonywała oględzin. On sam przyglądał im się ze swojego krzesła. I tak wszystko widział, blizny były wystarczająco wyraźne.

— Mówisz, że co to było? — spytała.

— *Lipomy*, tak to się nazywa. Jak mówiłem, żona jest lekarką. Ci ludzie nie mówią po duńsku. Po naszymu to tłuszczaki. Niby nie groźne, ale z jednym miałem trochę problemów. Zaczął boleć.

— Nie prześwietlili cię po postrzale?

— Prześwietlili.

— Jak?

— Zrobili tomograf, ale nie całego ciała. Tylko *abdomen*.

— Abdomen?

— *Sorry*, brzucha... czyli w sumie całkiem sporego obszaru.

Mossman miał nawet siłę zaśmiać się z własnego żartu.

Franck uważnie przyglądała się jego plecom i badała skórę palcami.

— Gdzie miałeś usuwane te guzki?

— W Rigshospitalet.

— Nic tu nie widzę, ale założę się o nowiutkiego mini coopera, że w jednej z tych dwóch dziur jest mikroskopijny lokalizator. Kiedy to było?

Mossman musiał się zastanowić.

— Jakieś dwa miesiące temu.

— Spotykałeś się w tym czasie z Bulbjergiem?

— Nie twarzą w twarz... to było wcześniej. Chyba będę musiał ich poprosić, żeby znów mnie rozkroili i wyjęli mi to gówno. Chociaż coś takiego nie może chyba działać w nieskończoność, nie?

Mossman opuścił koszulę i przeniósł nogi z powrotem na łóżko.

— Wszczepka. W życiu bym nie pomyślał... ale przynajmniej mamy wyjaśnienie. To tym sposobem znaleźli cię w tamtym lesie, Oxen. Ale kurwa, żeby w ciebie? Kto by się spodziewał?

Mossman mruknął z nieskrywanym uznaniem i pokręcił swoją wielką głową.

Za chwilę będą kontynuować rozmowę. Za chwilę on i Franck będą musieli się opowiedzieć co do swojego stosunku do Mossmana. Równie dobrze mogą od razu przejść do rzeczy.

— Moje dwa pytania... Czego dowiedział się Bulbjerg i dokąd prowadzi trop?

— A tak, oczywiście. Mówiliśmy o sprawach ostatecznych. Mam tylko nadzieję, że nie wszczepili mi też mikrofonu. Albo cholernej bomby, kto ich tam wie. Najpierw jednak muszę powtórzyć moje pytanie: jesteście ze mną — czy przeciwko mnie?

Spojrzeli po sobie. Franck wzruszyła ramionami. Przeczynał, że ona jest z Mossmanem. On sam wyszedł z kontrpropozycją:

— Spróbujmy wyjść z tego impasu. Najpierw ty — potem ja.

Axel Mossman był ranny i miał wstrząs mózgu. Poza tym był obecnie uwikłany w sprawę potrójnego zabójstwa, albo poczwórnego, jeśli wliczyć żonę Bulbjerga. Możliwe, że był

na wylocie ze stanowiska, które zajmował od niepamiętnych czasów. Może miał już dość? Może, ale mimo wszystko wyglądał, jakby podobało mu się to interludium. Ostatecznie pokiwał głową i uległ.

— *Well, Oxen*. Twardy z ciebie negocjator. Zatem dobrze. Punkt pierwszy: czego dowiedział się Bulbjerg, co okazało się tak groźne? Ponieważ w oczach was dwojga najwyraźniej mam jakiś problem z wiarygodnością, pozwólcie, że zacznę od początku. Bulbjerg z notatek pozostawionych przez jego dziadka Karla-Erika Ryttingera pod podłogą w letnim domu wiedział, że stary znał się z niejakim Vitusem Sanderem, wówczas jeszcze całkiem młodym. Niejasne było jednak, jakiego rodzaju relacje ich łączyły. Bulbjerg nie wiedział, *skąd* dokładnie się znali. Ryttinger zaś nigdzie nie wymieniał nazwy Danehof. Wszędzie pisał „my”.

— Ale napisał „Danehof” własną krwią na krótko przed śmiercią — wtrąciła Franck.

— Zgadza się, Margrethe. Ale wówczas zrobił to po raz pierwszy, w każdym razie na piśmie. Kiedy Oxen wysłał część skradzionych przez siebie materiałów Maltemu, ten ponownie natknął się w nich na Vitusa Sandera. Przypomniawszy sobie, że widział to nazwisko w dokumentach dziadka, które tymczasem zaginęły. Ponieważ mówiłaś, że widziałas się z ciotką Bulbjerga, zakładam, że wiecie o jego teorii, według której wypadek jego rodziców mógł być spowodowany.

— Tak, wiemy o tym — potwierdziła Franck.

— Materiały od Oxena ostatecznie potwierdziły, że Vitus Sander należał do Danehofu. Teraz Bulbjerg mógł go bezpośrednio powiązać ze swoim zamordowanym dziadkiem. Zaczął więc szukać Sandera. Okazało się, że człowiek, który większość życia spędził w Kopenhadze i stworzył prężnie działający koncern elektroniczny, był

konający i przebywał w hospicjum w Hvide Sande w Jutlandii Zachodniej. Rak płuc. Bulbjerg wielokrotnie odwiedzał go w hospicjum. Z początku Sander nie chciał rozmawiać o przeszłości. Z czasem jednak wyszło na jaw, że w głębi duszy od dawna dręczyły go wyrzuty sumienia w związku z jego udziałem w Danehofie. Dokładnie tak, jak wynika z dokumentów, które ty, Oxen, przesłałeś Bulbjergowi, stary Ryttinger był dla Sanderera kimś w rodzaju mentora w sprawach zawodowych. Obaj pochodzili z północnej Jutlandii i po pewnym czasie, w największym zaufaniu, zwierzyli się sobie nawzajem ze swojej tajnej działalności w Danehofie Nord. Wiele rzeczy związanych z tą instytucją nie pozwalało Sanderowi spokojnie spać. Najbardziej jednak wyrzucał sobie, że o likwidacji Ryttingera, który miał początki demencji i stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa, zdecydowali ludzie z jego własnego kręgu. Nie ulega wątpliwości, że umierający Vitus Sander zapalał pod koniec ogromną sympatią dla Bulbjerga, który podbił jego serce niezłomnością i determinacją, z jaką od lat próbował dorwać się do skóry oprawcom dziadka, a potem rodziców. Był w tym swoim zapale na tyle uparty, że został inspektorem muzeum głównej siedziby Danehofu, a sama organizacja stała się jego naukową specjalizacją. Z rozmów, które odbył z Sanderem w Hvide Sande, Bulbjerg dowiedział się wielu ciekawych rzeczy. Ale jedna informacja jest ważniejsza od wszystkich pozostałych razem wziętych... I tu chyba pora na ciebie, Oxen. — Mossman, patrząc na niego, opróżnił kolejną szklanekę. Jego kolej.

— Kiedy z Franck znaleźliśmy tajne pomieszczenie pod zamkiem Nørlund, nim je opuściliśmy, zabrałem ze sobą skórzaną teczkę. Chwilę potem okazało się, że jesteśmy otoczeni. Zdażyłem jeszcze ukryć teczkę między książkami na regale w zamkowej bibliotece. Potem, kiedy wszystko

ucichło, spokojnie wróciłem na miejsce, zabrałem teczkę i zniknąłem. Nie bardzo wiedziałem, co z nią zrobić. Chyba po prostu czułem, że wszystko, co można przeciwko nim użyć, ma ogromną wartość. W czasie śledztwa razem z Franck odwiedziliśmy inspektora muzeum w Nyborgu. Stąd wiedziałem, że pisze dużą pracę historyczną o Danehofie, i... cóż, wysłałem mu część materiałów. Być może nie zdając sobie sprawy, że narażam go w ten sposób na ryzyko. Wtedy nie znałem historii jego rodziny... mimo wszystko najgroźniejsze informacje zachowałem dla siebie.

Spojrzał na Axela Mossmana, który słuchał w pełni skupiony z plecami opartymi o poduszkę i teraz uniósł brwi:

— Co to znaczy: najgroźniejsze?

— Są to spisy nazwisk — ciągnął. — Wszyscy członkowie Danehofu Nord. Podobnie jak Południe i Wschód, Danehof Nord składa się trzech tak zwanych kręgów, w każdym po pięciu członków. Czyli łącznie piętnaście osób. Są rozsiane po całym kraju, ale łączy je fakt, że urodziły się w obrębie Kręgu Północnego.

Twarz Mossmana pozostała niewzruszona. Chociaż chyba lekko się uśmiechał.

— Są tam nazwiska?

— Twoja kolej.

— Vitus Sander powiedział Bulbjergowi, kto przejął kierownictwo nad Nordem po śmierci Corfitzena.

Tego się nie spodziewał. A po minie Franck widział, że ona również nie.

Ze słów Mossmana wynikało, że bezpośrednia droga na sam szczyt hierarchii stała przed nimi otworem. Nie była to jedynie cenna informacja albo dobry trop. Nie — to była prosta droga do jednej z trzech głów hydry.

— A wasz trop w Danehofie Syd? Dokąd prowadzi? — zapytał jeszcze.

— Jest na tyle dokładny, że wskazuje jeden konkretny adres. Więcej nie zdążyliśmy... Teraz ty, Oxen. Nazwiska?

— Wśród piętnastu nazwisk jest jeden minister, oczywiście — Rosborg. Poza tym pięciu poważanych członków parlamentu, jeden szef departamentu, sześć ważnych postaci świata biznesu, jeden biskup, jeden redaktor naczelny i jeden rektor uniwersytetu... Twoja piłka.

— Ze mną czy przeciw mnie?

To był ten moment. Znowu spojrzeli po sobie. Mógłby spojrzeć na to również tak, że jeśli teraz odejdzie, to Mr. White zginął niepotrzebnie.

— Z tobą — odparł.

— I ja — powiedziała Margrethe.

— *Well*, wszystkie działania podjęte po upozorowanej śmierci Bulbjerga w sali Danehofu prowadzą do jednej osoby, która z kolei wskazuje na jedno miejsce: zamek Gram w Jutlandii Południowej.

— A szef Nordu?

— Jest to osoba, którą doskonale pamiętasz, Oxen.

Axel Mossman popatrzył na nich nieprzeniknionym wzrokiem — najpierw na niego, potem na Franck, wreszcie znów na niego. Dopiero wtedy dokończył:

— Karin „Kajsa” Corfitzen. Pierwsza kobieta w historii, która dostała się do triumwiratu rządzącego Danehofem od zarania dziejów.

Rozdział 58.

Na jego płaskim brzuchu leżała butelka whisky. Leżał rozwalony na łóżku w samych bokserkach. Było mu gorąco. Małe mieszkanie w budynku stajni zostało najwyraźniej bardzo dobrze ocieplone, gdy postanowiono zmienić stajnię w trzy małe wakacyjne domy.

Telewizor był włączony. Trochę poskakał po kanałach, ale na niczym nie umiał zawiesić wzroku.

To Franck, zmierzyszy go sceptycznym wzrokiem, zgodziła się kupić mu tę butelkę. „Szkocki lek”, jak to ironicznie określił. Musiał wyłączyć myślenie. Potrzebował kilku godzin niezakłóconego snu. Czekają ich wyjątkowo wyczerpujące śledztwo.

Następnego dnia znów mieli się spotkać z siostrzeńcem Mossmana. Nieliczna grupa zaufanych ludzi, która teraz skurczyła się do osoby siostrzeńca, miała swoją bazę w domu na obrzeżach starego Nyborga. Uzgodnili, że od jutra on będzie tam nocować.

„Od zabójstwa starszego mężczyzny w gospodarstwie rybnym w Brande na Jutlandii minęło już kilka dni, a wzmożone siły policji nadal poszukują domniemanego sprawcy”.

Usiadł na łóżku.

„Chodzi o wysoko odznaczonego weterana wojennego Nielsa Oxena, dawnego członka Jægerkorpset. Oxen mieszkał i pracował u właściciela stawów hodowlanych. Najprawdopodobniej jest uzbrojony, a policjanci określają jego stan psychiczny jako skrajnie niestabilny i ostrzegają, że poszukiwany może być wysoce niebezpieczny dla otoczenia”.

Kiedy mężczyzna w studiu podawał informację, na ekranie pokazano mapę, na której zaznaczono Brande. Potem pojawiło się stare zdjęcie, to z brodą i długimi włosami, zrobione na komendzie w Aalborgu.

Ze studia połączyli się z reporterem, który stał w ciemności przed komendą policji i z twarzą naznaczoną głębokimi bruzdami troski informował, że policja ponownie poszerzyła teren poszukiwań „mężczyzny, który jako dawny członek elitarnej jednostki wojskowej został przeszkolony do zabijania”. Początkowo, po zgłoszeniu od kierowcy ciężarówki, poszukiwania prowadzono głównie w Kopenhadze i okolicach, ale teraz nadeszło nowe zgłoszenie od rolnika z okolic Sdr. Felding, więc ponownie zwiększono zaangażowanie policji okręgu Jutlandii Środkowej i Zachodniej.

Wyłączył telewizor. W małym pokoju zrobiło się ciemno.

Dobrze, że znalazł nowe lokum, choć oczywiste było, że ich własne śledztwo będzie poważnie utrudnione przez to, że jest poszukiwany. Bez wątpienia jako numer jeden w kraju.

W tej chwili mógł się tylko pocieszać, że ów rolnik zmylił policję, która ponownie zmieniła główny obszar poszukiwań. Z Zelandii na Jutlandię. Wyglądało więc na to, że tu, na Fionii, może być w miarę bezpieczny. Ale jak długo? To pytanie zadawał sobie pewnie każdy zbieg.

Wziął porządny łyk z butelki, ponownie opadł na łóżko i zamknął oczy.

Ciało się rozluźniło, ale głowa pracowała na pełnych obrotach. Kotłowały się w niej poszarpane myśli, które nie chciały się ze sobą połączyć i nabrać sensu.

Axel Mossman i jego wyjaśnienia w szpitalu. Co prawda pomrukiwał z autoironią, ale był to już całkiem inny człowiek. Stracił ducha. Szef PET nie miał niezbędnych środków, by manipulować czy lawirować. W jego oczach

widać było poczucie porażki. Bolesnie go uderzyła świadomość, że przyczynił się do śmierci czterech osób — Bulbjerga i jego żony oraz dwóch swoich współpracowników.

Chociaż czy na pewno? Czy można było w jakiegokolwiek sytuacji wierzyć Mossmanowi?

— *A.T., jak się nazywa ten tłumacz?*

— *Abdul R.*

— *Czy to nie on był z naszymi, kiedy wpadli na ajdika ?*

— *Tak.*

— *I podczas zasadzki na północ od Laszkargahu?*

— *Nie jestem pewien. Ale chyba tak. Czemu pytasz, Oxen?*

— *Nie podoba mi się ten gość. Widziałem go niedawno w przelocie. Dużo rozmawia z miejscowymi, za dużo. I za często ogląda się za siebie.*

— *Kandahar go sprawdził i mówi, że jest w porządku.*

— *Kandahar może mówić, co chce... nie ufam mu. Nie chcę go w bazie. Nie chcę, żeby nas wpędził na miny albo inne gówno, z którego będą zbierać nas w kawałkach.*

— *Oxen, czy aby trochę nie przesadzasz?*

— *No way, A.T. Każ im przysłać kogoś innego. Zajmiesz się tym?*

► *„Sierra sześćdziesiąt, tu Xray czternaście. Misja przerwana na rozkaz Xray zero pięć. Bez odbioru”. ◀*

Jak to się mówiło? Że zawsze można wynająć Araba, ale nigdy nie można Araba kupić. Znów pociągnął z butelki. „Nigdy, nigdy, nigdy, przenigdy nikomu nie ufaj”, powtórzył w ciemności sam do siebie,

Kto wie, może właśnie w chwili klęski należało zachować wobec Mossmana największą ostrożność? Kiedy krokodyl płacze, nie wolno podchodzić za blisko.

Może Mossman wykonał blef podwójny i zainscenizował inscenizację?

Może oboje z Margrethe robią dokładnie to, czego od nich oczekiwali?

Może oboje zdecydowali się pójść do łóżka z wrogiem?

Usiadł i wziął ostatni łyk, po czym odstawił butelkę. Musiał się ubrać, żeby wyjść na zewnątrz w ciemności zapalić skręta. Jego głowa pracowała na zbyt wysokich obrotach. Ziło z jego apteczki to jego ostatnia szansa, aby się wyciszyć.

Bo musi, absolutnie musi się wyspać. Jutro zacznie się młyn.

Rozdział 59.

Na ławce siedział elegancki starszy mężczyzna w tweedowej marynarce, ciemnoszarych spodniach, czarnych butach i szarym filcowym kapeluszu. Miał skrzyżowane nogi, między udami trzymał laskę. Wyglądał, jakby przysiadł na moment, by nacieszyć oczy zielenią wokoło i przepływającą obok rzeką.

— Ten człowiek to hrabia Erik Grund-Löwenberg z zamku Gram w Jutlandii Południowej. Ma siedemdziesiąt pięć lat. Teraz trochę przewinę. Za moment coś się wydarzy — powiedział siostrzeniec Mossmana Christian Sonne. Na polecenie wuja miał im asystować w dalszym śledztwie.

Laptop stał na kuchennym stole, przy którym siedzieli z Franck i intensywnie wpatrywali się w mały ekran. Po mniej więcej trzydziestu sekundach na ekranie pojawił się mężczyzna z teczką idący spokojnym tempem ścieżką wzdłuż rzeki. Kiedy zbliżył się do ławki, przysiadł się do staruszka i ustawił między nimi swoją teczkę.

Mężczyzna z teczką mógł mieć czterdzieści kilka lat, może koło pięćdziesięciu. Duże zakola i zwyczajne, eleganckie ubranie. Widać było, że ze sobą rozmawiają, ale zachowują dyskrecję.

Rozmowa była bardzo krótka, po czym ten młodszy wstał i poszedł dalej. Teczka została na ławce.

— I tyle... to była dostawa. Za chwilę stary hrabia również wstaje i odchodzi. Wraca do centrum miasta, gdzie na krytym parkingu stoi jego samochód. Zaraz znajdę następną sekwencję.

Nim to zrobił, Margrethe nie wytrzymała:

— Co było w teczce?

— Tego oczywiście nie wiemy — odparł Sonne. — Ale możemy się domyślać. Wewnętrznymi kanałami dowiedzieliśmy się, że którejś nocy ktoś wszedł do budynku komendy w Odense i skopiował dane z komputera prowadzącego śledztwo H.P. Andersena. Jeden z tamtejszych policjantów zastał mężczyznę w biurze Andersena, ale został ogłuszony. Nagranie, które właśnie widzieliśmy, pochodzi z przedpołudnia następnego dnia.

— A ten mężczyzna? — spytał Oxen.

— Iver Kvist, konsultant IT, własna firma. Mieszka na wybrzeżu na północy, w Snekkersten. Droga willa, drogie samochody, droga żona — ale poza tym pilnie strzeże swojej prywatności. Zarówno brytyjska, jak i francuska policja za pośrednictwem Europolu miała go na oku w związku z kilkoma wyszukanymi kradzieżami danych, ale nie byli w stanie zbudować przeciwko niemu sprawy. Nigdy nie postawiono mu żadnych zarzutów.

Siostrzeniec Mossmana poklikał kilka razy myszą i na ekranie znów pojawiła się ławka nad rzeką Odense.

— Cztery dni później — to samo miejsce, te same postacie.

W skupieniu obejrzelikolejne nagranie. Klient był ten sam. Tym razem towarem zamiast teczki była duża koperta.

— Tu nie mamy żadnych pomysłów odnośnie do zawartości — pośpieszył z wyjaśnieniem Sonne.

Wyszukał kolejne nagranie. Hrabia Grund-Löwenberg siedzi w srebrnym land roverze.

— Jesteśmy na parkingu pod McDonalodem w Knudshoved, tuż przed mostem — wyjaśnił Sonne.

Do samochodu dyskretnie wsiadł mężczyzna w średnim wieku w brązowej skórzanej kurtce.

— Wsiądzie po dziesięciu minutach. Nazywa się Lars Johansen. Dawniej był zawodowym żołnierzem, później pracował w różnych międzynarodowych firmach z branży

bezpieczeństwa. Najdłużej dla amerykańskiego koncernu Black Rose Security. Dziś jest freelancerem. Tu mamy mocne domniemanie powodu spotkania. Śledziliśmy Johansena, który wraz z jednym ze swoich ludzi od kilku dni prowadził rekonesans w narkotykowym półświatku Nyborga. Dyskretnie wypytywali o inspektora muzeum i wyznaczyli nagrodę za istotne informacje. Zakładamy więc, że widzimy tu, jak Johansen informuje o wynikach swojego pracodawcę. Mam jeszcze jedno nagranie — zapowiedział Sonne.

Gdy zaczęła się nowa sekwencja, hrabia siedział w tym samym srebrnym samochodzie i na coś czekał.

— Tym razem inny McDonald. Harte Nord na autostradzie do Esbjerg kawałek za zjazdem w Kolding — wyjaśnił Sonne.

Do samochodu hrabiego podszedł jeszcze inny mężczyzna, w podobnym wieku jak poprzedni.

— Spójrzcie na jego rękę. Na kopertę.

Sonne dotknął palcem ekranu i ciągnął:

— To partner Johansena, Nick Campbell. Obywatel Wielkiej Brytanii, dawny żołnierz i również były pracownik Black Rose Security. Poza rozeznaniem w środowisku narkotykowym obaj przeprowadzili dla hrabiego pełny monitoring pogrzebu Bulbjerga. Siedzieli ukryci w samochodzie dostawczym i fotografowali oraz nagrywali wszystkich uczestników uroczystości. Kto wie? Może w kopercie znajduje się dysk USB ze zdjęciami albo coś w tym rodzaju. Ty też tam byłeś, Franck, więc hrabia ma cię w swoich archiwach — przypomniał jej Sonne.

Franck wzdrygnęła się na tę myśl.

— A teraz? — spytał Oxen. — Czy ci dwaj są nadal aktywni? I co z gościem od IT?

— Obserwację hrabiego przerwaliśmy jakiś tydzień temu. Johansen i Campbell najwyraźniej już się zwinęli. To samo dotyczy wirtuoza nowych technologii vel króla złodziei Ivara

Kvista. Hrabia nie kontaktował się z nimi od czasu nagrań, które właśnie widzieliście.

— Strategia twojego wujka się powiodła. W każdym razie po części — stwierdziła Franck.

— To prawda. Manewr z zabójstwem na zamku zadziałał zgodnie z planem. Zostali zmuszeni do wyjścia z cienia i w końcu mogliśmy ich zobaczyć. I zobaczyć pająka na środku sieci. Hrabiego.

— Macie na niego coś więcej? Z racji wieku pasuje raczej na listę pasywnych członków Danehofu.

Christian Sonne pokiwał głową w jego kierunku.

— Wujek powiedział to samo. Hrabia kiedyś był najprawdopodobniej ważną postacią w Danehofie Syd. Ale w listopadzie kończy siedemdziesiąt sześć lat. Z tego też powodu zdecydowanie bardziej interesuje nas jego syn, Villum.

— Dlaczego właśnie on? Innych dzieci nie ma? — zauważyła Franck.

— Owszem. Jest jeszcze córka, która wraz z mężem mieszka w USA, i syn, ciężko upośledzony, przebywa w ośrodku opiekuńczym. Villum ma czterdzieści sześć lat i jest odnoszącym sukcesy biznesmenem. Ma solidne wykształcenie w zakresie informatyki, w tym studia w Anglii. Jest współwłaścicielem i współzałożycielem firmy Castle & Unicorn Corp. Opracowują platformy technologiczne i oprogramowanie do zarządzania inwestycjami, portfelami akcji i innymi produktami finansowymi. Wszystkim, co ma związek z kontrolowaniem i optymalizacją zasobów. Spółka jest zarejestrowana na giełdzie w Szwajcarii, gdzie odniosła ogromny sukces. W samym zeszłym roku ich kurs podskoczył o niemal sto dwadzieścia procent. Villum Grund-Löwenberg posiada duży pakiet akcji wraz z drugim założycielem, pochodzącym z Kanady kolegą ze studiów.

Pewien fundusz kapitałowy w swoim czasie w nich zainwestował i do dziś ma spory pakiet akcji, choć stopniowo go wyprzedaje. Villum jest obecnie właścicielem swojego domu rodzinnego, zamku Gram, ale udostępnia jedno skrzydło rodzicom. On sam większość czasu mieszka w Kopenhadze, gdzie ma siedzibę ogromny dział rozwoju i innowacji jego firmy, ale ma także mieszkanie w Zurychu, bo tam mieści się główna siedziba spółki. Do Gram wpada jednak przynajmniej raz w miesiącu. Mój wujek twierdzi, że to jego powinniście mieć na oku. Gość jest dostatecznie grubą rybą, aby zajmować w Danehofie wysoką pozycję.

— Villum... W życiu o nim nie słyszałam — mruknęła Franck. Niemal dało się wyczuć, jak już przebiera palcami, by pokopać głębiej.

— Podobno jest niesłychanie dyskretny, a do ludzi podchodzi z rezerwą. W zeszłym roku „Børsens Nyhedsmagasin” umieścił go w pierwszej dziesiątce najbardziej wpływowych osób w kraju. Prócz tego jest również jednym z dziesięciu najbogatszych. Jego sieć kontaktów jest imponująca i obejmuje wiele ważnych nazwisk świata gospodarki plus garść polityków wagi ciężkiej.

— Czyli gość po prostu za dużo nie gada, czy o co chodzi? Gdyby włączał się do debaty publicznej, znałabym go — stwierdziła Franck.

— Na pewno nie znajdziecie zbyt wielu cytatów, w których Villum wypowiada się na jakikolwiek temat. Może zresztą robi to celowo. Chce sprawować władzę, ale z dala od blasku fleszy — odparł Sonne.

— Gdzie jest teraz?

— W Kopenhadze. Mieszka w penthousie w Tuborg Havnepark.

Wszystko to wyglądało arcyciekawie. Wydaje się rozsądne

założyć, że syn hrabiego, Villum, może stać na szczycie Danehofu Syd. Jeśli do tego prawdą jest, że Kajsa Corfitzen przejęła Nord po swoim ojcu, we dwoje stanowią bardzo mocną konstelację. Z bardzo mocnego, nowego pokolenia.

Oboje byli może nie młodzi, ale w rozsądnym wieku. Oboje odebrali staranne wykształcenie. Kajsa w zakresie ekonomii, wzbogacone wieloletnim doświadczeniem na stanowisku kierowniczym w świecie wielkich finansów, a Villum w branży, która dostarczała narzędzia pozwalające kontrolować przepływ gotówki w tym świecie. Oboje pochodzili z rodów związanych z Danehofem.

W związku z tym pozostawało tylko jedno pytanie: kto kieruje najpotężniejszym Kręgiem Wschodnim, Danehofem Øst? Choć w dokumentach nie zostało to wyrażone wprost, dało się wyczytać między wersami, że szef tego okręgu cieszył się w strukturach organizacji szczególnym statusem. Tymczasem o jego tożsamości nie mieli pojęcia. Żadnej, najmniejszej chociażby wskazówki. Aby dotrzeć do samego centrum władzy, będą musieli przebrnąć przez kolejne szczeble hierarchii.

Wstał i głośno myśląc, nerwowo przemierzał niewielką kuchnię.

— Istnieje mnóstwo domysłów i masa potencjalnych powiązań. Ale nie ruszymy z miejsca, jeśli będziemy tu siedzieć i gapić się w ekran. Musimy iść w teren, dotrzeć do nich i trochę nimi potrząsnąć. W największym skrócie mamy w tej chwili dwa cele: po pierwsze i najważniejsze — sprawdzić, czy Villum faktycznie kieruje Danehofem Syd, oraz — jeśli mamy znaleźć cokolwiek, jakiegokolwiek pewne informacje, którymi będziemy mogli im zagrozić, musimy dotrzeć do ich archiwum. Dokładnie tak jak wtedy, Franck, kiedy oboje znaleźliśmy archiwum na zamku Nørlund. W tej chwili to są nasze dwa zadania.

Franck i Sonne pokiwali głowami. Mówił więc dalej:

— Franck, zbierajmy się. Najlepiej od razu wziąć się do roboty. Musimy na początek zdobyć jakieś mapy ogólne, plan budynku i więcej informacji szczegółowych. Do Gram jest kawałek drogi. Musimy pojechać i zrobić rozeznanie.

— Trudno będzie nam się swobodnie poruszać, skoro jesteś *najbardziej poszukiwanym* człowiekiem w królestwie. Będziemy musieli cholernie uważać. Jeśli cię aresztują, to będzie po sprawie — zauważyła.

— Nie mogę tak tu siedzieć. Myślisz, że sprawa wyjaśni się sama? Samo nic się nie wydarzy. Każdą informację, każdą najdrobniejszą wskazówkę będziemy musieli wydrzeć im z gardła!

Choć wiedział oczywiście, że ona ma rację. Nie mógł udawać, że tego nie wie. Musiał również pogodzić się z faktem, że nie ma tu drogi na skróty. Dowód jego niewinności zawiera się w dowodach winy mrocznych ludzi. Gdzieś po drodze do serca ich organizacji leży klucz do jego wolności. Nigdy go nie znajdzie, jeśli będzie siedział w zamknięciu.

Już miał jej to wyjaśnić, kiedy Franck go uprzedziła:

— Ale wiadomo, że nie możemy siedzieć beczynn timer. Będzie trzeba spróbować szczęścia z peruką, brodą i okularami.

— Peruką? Nie będę łąził w żadnej...

— Dobra, w porządku. Wobec tego zostaniesz tutaj. I nie wystawisz nosa na zewnątrz.

Christian Sonne chrząknął, sygnalizując, że chciałby móc się wtrącić w ich potyczkę.

— Słuchajcie, jeśli mogę wam coś... Bo prawda jest taka, że myśmy też nie poprzestali na obserwacji. Poczyniliśmy z wujkiem pewne przemyślenia i przeanalizowaliśmy całą sytuację. On uważa tak samo jak ty, Oxen. Po pierwsze —

dowód, że Villum jest szefem. Po drugie — znaleźć archiwum. Mamy więc wszystko, co może nam się przydać — mapy, zarówno zamku, jak i otoczenia. I mamy gotowy plan działania. Nie zdążyliśmy tylko wprowadzić go w życie.

— Plan? — Oxen zatrzymał się w pół kroku. Franck również spojrzała pytająco na Sonnego.

— Plan jest bardzo prosty. Zdobyliśmy też konieczny sprzęt — zaczął Sonne.

Rozdział 60.

Schadenfreude to najgorsza zaraza. Wystarczy, że się człowiek na moment odsłoni, pokaże choć odrobinę ludzkich uczuć, a już dostaje tą swoją wrażliwością po ryju, aż mu gwiazdki migoczą pod kopułą.

Przemierzał niespiesznie labirynt identycznych białych korytarzy i usiłował sobie przypomnieć dokładne brzmienie tamtego tekstu. Licealna wiedza z zakresu sztuki starożytnej od wielu lat kurzyła się w zakamarkach pamięci. Wtedy był to dla niego odrealniony bełkot, a tę odrobinę sensu, którą z niego wyłuskał, wypchnął gdzieś na obrzeża świadomości.

Była nemezis i była... nie umiał sobie przypomnieć, jak się nazywała ta druga. Dopiero gdy dotarł do windy i wcisnął guzik, nagle mu się przypomniało: hybris... *Hybris* i *nemezis*. Obie ściśle ze sobą powiązane.

Winda podjechała, wszedł do środka i znalazł się w nowym otoczeniu, wyglądającym dokładnie jak to, które właśnie opuścił.

Hybris oznaczała dumę i pychę. Starożytni Grecy tak właśnie wyobrażali sobie największy z ludzkich grzechów. Nemezis zaś była karą — losem, porażką. Nauczyciel, którego nazwisko szczęśliwie zdołał zapomnieć, zawsze z zachwytem rozwodził się nad nimi dwiema — nad hybris i nemezis.

Za chwilę, kiedy wejdzie do sali, będzie musiał z wszystkich sił pohamować schadenfreude — uczucie, które wypełniało mu duszę. Za nic nie może dać mu wyrazu. Nie wolno mu go ujawnić w najmniejszym słowie czy minie. Nikt nie może go posądzić o tak niskie emocje. Miał co prawda do wypełnienia rolę niewątpliwie nadzwyczajną, ale

powinien ją wypełnić z profesjonalną wprawą i godnością.

Z drugiej strony musiał się pilnować, aby nie dać po sobie znać, jak bardzo podziwia swojego przeciwnika.

Zatrzymał się i zapukał głośno do grubych drzwi pokoju. Z wewnątrz dobiegło go niskie, dudniące „proszę”, po którym wszedł do środka. Szef PET Axel Mossman wyglądał o niebo lepiej niż ostatnio. Jego twarz nabrała kolorów, a on sam siedział na łóżku w swetrze nałożonym na szpitalną koszulę.

— Inspektor Andersen... Proszę, niech pan siada. — Mossman wskazał głową krzesła ustawione pod oknem. Mimo uśmiechu wyglądał bardzo poważnie.

— W czym mogę panu pomóc? — zapytał. Był jednym z tych irytujących osób, które w każdej sytuacji muszą przejmować inicjatywę.

Przysunął sobie krzesło i ustawił je w stosownej odległości od łóżka, po czym usiadł.

— Przyszedłem poinformować pana, że jest pan zatrzymany. I że zamierzam wnieść o areszt dla pana. Jutro odbędzie się posiedzenie sądu w tej sprawie, jeśli lekarze się zgodzą. To tyle. Teraz już pan wie, jak się sprawy mają.

Mossman nie odezwał się ani słowem. Patrzył tylko ponuro na własne gołe palce u stóp wystające spod kołdry.

W ciszy, jaka zapanowała, powietrze aż trzeszczało od napięcia. Miał wrażenie, że fizycznie czuje ciężar własnych słów. Ale nie zamierzał się ugiąć. Wyłożył karty na stół. Dokonało się.

Kiedy Axel Mossman w końcu odwrócił głowę i spojrzał mu w oczy, w spojrzeniu olbrzyma dostrzegł błyskawice. Musiał jednak wyjątkowo dobrze się kontrolować, bo głosem łagodnym i miękkim zapytał:

— *Well...* Czy można zapytać, co skłoniło pana inspektora do podjęcia tej zadziwiającej decyzji?

O proszę, stara, dobra arogancja wywiadu. Zwracać się do

niego słodkim głosem w trzeciej osobie, per pan inspektor, było typowym, protekcyjnym tonem ludzi z PET, którzy uważali się za śmietankę służb policyjnych. To było tak nieskończenie... hybris.

— Technicy oczywiście jeszcze nie skończyli czynności, ale mamy już częściowe wyniki analiz balistycznych. Wszystko wskazuje na to, że pan zataja informacje.

— Oczywiście. Ze względów bezpieczeństwa. Mówiłem panu.

— Ale pan nie mówi prawdy na temat samych okoliczności zdarzenia. I właśnie dlatego zostaje pan zatrzymany.

— Pod jakim zarzutem?

— Współuczestnictwa w potrójnym zabójstwie i zatajenia informacji o najwyższym znaczeniu dla śledztwa. Wziąwszy pod uwagę, że jest pan najwyższym zwierzchnikiem służb wywiadu policyjnego, nie wygląda to najlepiej.

— Dla kogo, jeśli wolno spytać?

Na to pytanie nie miał ochoty odpowiadać. Twarz Mossmana rozjaśnił uśmiech. Miał dziwne, nieuchwytnie wrażenie, że za każdym razem, gdy szef PET coś myślał albo mówił, miał to przeanalizowane na wiele kroków do przodu.

— Więc zdaniem inspektora konieczny jest areszt. Ale na jak długo?

— Na tak długo, jak to będzie możliwe. Analizy balistyczne wykazały, że kula, która przeszła pana na wylot i utknęła w ścianie, pochodzi z broni znalezionej w dłoni inspektora muzeum Maltego Bulbjerga. Proszę mi wyjaśnić, jak mogło do tego dojść, panie Mossman. Z analiz wynika również, że śmiertelne strzały, które padły w kierunku Bulbjerga i pańskich tak zwanych współpracowników, zostały oddane z pańskiej broni. Niech mi pan będzie uprzejmy wskazać wyjaśnienie inne niż to najbardziej oczywiste: śmiertelnie ranny Bulbjerg próbuje zastrzelić pana. Pan upada, uderza

czołem w ciężki stół i traci przytomność. Proste.

Mossman zmrużył oczy i w milczeniu pokręcił wielką głową. Potem niemal szeptem powiedział:

— Z mojej broni? Co za bzdury. Ja nie mam broni. Nie miałem od lat. Przecież to wszystko zostało *zainscenizowane*. Aby uderzyć we mnie. Tylko i wyłącznie po to. Niech mi pan powie... czy pan w ogóle ma pojęcie, co pan robi? Czy zadał pan sobie trud rozważenia konsekwencji własnych działań?

— Staram się wyjaśnić potrójne zabójstwo, albo poczwórne, jeśli wliczyć żonę Bulbjerga. To jedyne, nad czym się obecnie zastanawiam. Obiecuję, że dowiem się, jaką rolę pan w tym wszystkim odegrał. I jeśli jest pan niewinny, to prędzej czy później znajdziemy na to dowody.

Proszę. Udało mu się utrzymać język za zębami. Żadnej hybris. Żadnej wściekłości. Był chłodny i opanowany, tak jak sobie przykazał.

— Jeśli naprawdę uważa pan, że się mylę, to może pan zaradzić sytuacji, mówiąc prawdę. Zarówno o zabójstwach, jak i powodach, dla których do nich doszło — ciągnął spokojnie.

Mossman znów w milczeniu patrzył na swoje palce u nóg. Być może doszedł do wniosku, że nawet dziesięć jego wielkich palców ma więcej rozumu niż jeden inspektor z Fionii, zwykły śmiertelnik. W końcu coś w nim pękło. Mossman przestał nad sobą panować. Gdy znów się odezwał, z jego ust sączył się jad.

— Gdyby się pan dowiedział, co leży u podstaw tych zabójstw... gdybym odkrył przed panem całą, nagą prawdę, wtedy dopiero rozpętałoby się piekło. Ta sprawa jest bardziej złożona niż wszystko, z czym kiedykolwiek mieliśmy do czynienia tu w kraju. A jej zasięg jest... przytłaczająco wielki. Podłość i moralne zepsucie, jakie się w niej ujawniły,

stanowią zagrożenie dla naszej demokracji i dla wielu ludzi świadomość, że dzieją się takie rzeczy, mogłaby się okazać nie do udźwignięcia.

Mossman sięgnął po szklanę wody i zwilżył usta, nim powoli kontynuował, wciąż przytrzymując go wzrokiem.

— Mogę pana inspektora zapewnić... że jeśli ta sprawa przedostanie się do wiadomości publicznej, to legnie w gruzach cukierkowy obraz naszej małej, szczęśliwej monarchii, której jedności strzegą ołowiane żołnierzyki w niedźwiedzich czapach. Dla nikogo nie będzie dobrze, jeśli ta sprawa ujrzy światło dzienne. Właśnie dlatego istniejemy ja i służby, którymi kieruję. I dlatego niczego się pan nie dowie. Właśnie dlatego. Czy wyraziłem się jasno?

Wygląda na to, że sprawa jest wielkiej wagi o potencjalnie katastrofalnych skutkach dla całego kraju. A on tylko chciał się trzymać faktów. Te zaś były takie, że na jego biurku wyładowały cztery zabójstwa. W tym jednego człowieka, który zmarł dwa razy. Reszta to efekciarskie widowisko.

— Pan, panie Mossman, ma swoje cele. Ja mam swoje. Zostawiam przed pańskimi drzwiami straż. Jutro przed południem zostanie pan doprowadzony na posiedzenie w sprawie aresztu.

— Rozum ci odebrało... Spieprzaj!

Mossman machnął wielką, prawą ręką jak poirytowany niedźwiedź. Potem z powrotem opadł na poduszkę i już nie zaszczyił go spojrzeniem.

Wstał więc i wyszedł z sali, zostawiwszy krzesło przy łóżku.

Rozdział 61.

Nie był to jakiś wybitny plan, który w jednym ruchu układał wszystkie klocki na właściwym miejscu. Christian zresztą sam jako pierwszy to przyznał. Był to jednak plan względnie prosty, który mógł im pozwolić wykonać bardzo ważny krok naprzód.

Jeśli się powiedzie, uzyskają pewność, czy Villum Grund-Löwenberg jest szefem Danehofu Syd.

Siedzieli w trójkę ściśnięci przy kuchennym stole w małym mieszkanku w budynku przylegającym do Glasmagernes Hus przy Mellemgade w centrum starego Nyborga. Mossman wynajął je na centrum operacyjne. Na stole rozłożyli dużą mapę gruntów zamku Gram wraz z najbliższą okolicą.

Mieli się dostać na zamek i zainstalować kilka małych mikrofonów w wybranych miejscach, zarówno w głównej części zajmowanej przez Villuma, jak i w skrzydle zamieszkanym przez starego hrabiego.

Potem należało zrzucić bombę. I nasłuchiwać.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, podsłuch pozwoli im uzyskać pewność. Dopiero potem będą mogli przygotować kolejne posunięcie.

— Nie zdążyliśmy dopracować szczegółów — wyjaśnił Sonne, który przed chwilą wskazał im biura, pokoje i sypialnie. — I nie do końca ustaliliśmy, w jakiej formie powinna być bomba. Zdjęcia? Tekst? Film? Pliki audio z rozmów Bulbjerga z Sanderem? Czy mamy im pomachać przed nosem skradzionymi przez Oxena archiwaliami? Albo połączyć je wszystkie?

— Trzeba dać staremu hrabiemu to, co uderza najmocniej

— żywy obraz. Niech zobaczy siebie na ławce, przyjmującego towar — i niech sobie łamie głowę, jakim cudem nie zorientował się, że jest śledzony. Wyślij mu cały pakiet plików. Plus nagrania z parkingów — zaproponowała Franck.

Całkowicie się z nią zgadzał. Powinni wywołać możliwie najsilniejszy efekt szoku. To powinno być jak wrzucenie granatu hukowego do małego pokoju. Stary będzie zmuszony do natychmiastowej reakcji. A w jego kręgach takich rzeczy nie załatwiano przez telefon. Villum najszybciej jak będzie mógł przyjedzie na zamek i odbędą poufną rozmowę jak ojciec z synem. Tu pozostaje im tylko mieć nadzieję, że rozmowa odbędzie się w którymś z pomieszczeń, które wyznaczyli. Jeśli tak, to zadbają, by nie umknęło im ani słowo.

— W porządku — powiedział Sonne. — Zatem tak zrobimy. A co w notatce?

— Możliwie jak najmniej. Film mówi sam za siebie. Niech się pomęczą — odparł Oxen.

— Ale jakie będzie żądanie? Pieniądze? Czy spotkanie? — zapytała Franck.

— Pieniądze! Ustaliliśmy, że pieniądze będą najbardziej realistyczne. Mój wujek też tak uważa. Chcemy ich milionów, każdy to zrozumie — odparł Sonne.

— A ja na ich miejscu zadałabym sobie pytanie o potencjalną szkodliwość tych nagrań. Bo co w zasadzie na nich jest? Starszy człowiek rozmawia z kimś na ławce albo w samochodzie... To przecież żadne przestępstwo — zauważyła Franck.

— Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że skoro nadawca był w stanie urządzić tak genialną pułapkę z dosłownie niewidzialnym monitoringiem, to znaczy, że trzeba się z nim liczyć. I że ma takich materiałów więcej. Ja tak właśnie bym

pomyślał. I to by mnie zaniepokoiło. Moim zdaniem dla wywołania maksymalnego efektu powinniśmy im dać jak najmniej informacji. Możemy powiedzieć „Dwadzieścia milionów koron — czekajcie na dalsze instrukcje”. Tyle.

Franck i Sonne testowali w głowach jego pomysł. W końcu oboje się zgodzili.

— Czy to będzie dziesięć, czy dwadzieścia milionów, to bez znaczenia. Myślę, że Niels ma rację — powiedziała Franck.

— Im mniej będą wiedzieli, tym mniej pewnie będą się czuli.

— Zastanawialiśmy się też, czy nie połączyć tego z podsłuchem w mieszkaniu w Tuborg Havnepark. Ale tam dostać się jest zdecydowanie trudniej niż do starego zamku — dodał Sonne.

— Mimo wszystko możemy spróbować. Mogę się tam przejechać i rozeznac w sytuacji — zaoferowała się Franck.

Sonne nie zdążył odpowiedzieć, bo właśnie zadzwonił mu telefon. Natychmiast się domyślili, że dzwoni Axel Mossman.

Rozmowa musiała być bardziej niż zaskakująca. Widać to było po twarzy Sonnego. Odpowiadał krótko i z niedowierzaniem. Zakończył słowami: „Musimy poczekać i zobaczyć, co będzie”.

Gdy się rozłączył, Christian Sonne stał i patrzył oniemiały na telefon w swojej ręce.

— To był mój wujek — powiedział w końcu. — Został zatrzymany i jutro ma posiedzenie w sprawie aresztu... Chcą go przymknąć na możliwie najdłużej... Nic już z tego nie kumam.

Sonne streścił im pokrótce, co się stało. Sąd miał się zebrać dopiero następnego dnia przed południem. Siedzieli i w milczeniu każde z osobna przetwarzali sobie tę informację.

Zerknął na nich. Franck i Sonne wydawali się mocno poruszeni śmiałym posunięciem prowadzącego śledztwo

wobec szefa wywiadu policyjnego. On sam był natomiast całkowicie spokojny. Jeśli już, to sytuacja budziła w nim jedynie podejrzliwość.

Ten scenariusz za bardzo przypominał mu coś, o czym nie przestawał myśleć, gdy leżał na łóżku, studząc głowę szkocką whisky.

— Słuchajcie. Coś mi przyszło do głowy, bo uważam, że to dziwne, że nie zlikwidowali go od razu, tam na miejscu. Czy to wszystko nie jest w rzeczywistości mistrzowskim posunięciem Mossmana? Zainscenizowaną inscenizacją?

— Oxen. Twoja prawa ręka nie ufa lewej — kąśliwie skomentowała Franck.

— To by oznaczało, że wujek zamordował trzy osoby. A tyle mogę wam powiedzieć: on nigdy by tego nie zrobił. To niemożliwe. Znam go, od zawsze był mi bliski. Nigdy, absolutnie nigdy w życiu...

— I jak niby mógłbyś uzasadnić to podejrzenie? — Franck już knuła w głowie własny spisek. Widział to po skupieniu na jej czole.

— Wiem, że to twój wujek, ale pozwól, że na chwilę będę adwokatem diabła, okej?

Sonne skinął na zgodę.

— W takiej sytuacji uznałbym, że sam Mossman należy do wewnętrznego kręgu mrocznych ludzi. Nie jest to dla mnie zresztą myśl całkiem nowa... A po co miałyby konstruować tak złożoną szopkę? Zakładamy, że inspektor muzeum przyszedł do Mossmana podzielić się swoją wiedzą. Mossman musi więc nawiązać z Bulbjergiem ścisłą współpracę, zdobyć jego pełne zaufanie, by dowiedzieć się dokładnie, ile Bulbjerg wie. Musi wyrobić sobie pojęcie o zakresie szkód, jakie jego informacje mogą wyrządzić w Danehofie. Pozorując śmierć Bulbjerga na zamku i jego pogrzeb, zapewnił sobie ogromną przewagę: w chwili, gdy

wyciągnie z Bulbjerga wszystkie informacje i zakończy własne śledztwo, będzie go mógł zlikwidować, a ciało ukryć i nikt nigdy się o niego nie upomni. Kto by się upominał o człowieka, który już nie żyje?

— A żona? — Franck słuchała w najwyższym skupieniu.

— Możliwości były dwie: żona Bulbjerga nie wiedziała o pierwszej mistyfikacji. Była kobietą w żałobie, która właśnie pogrzebała swojego męża. I już. Koniec. Albo... była konieczną ofiarą, podobnie jak dwaj dawni pracownicy PET, których Mossman wynajął „do pomocy”. Żona została zabita, gdy Mossman przebywał na Tåsinge. Czyli ktoś musiał mu pomóc w jej usunięciu.

— Po co był więc cały ten intensywny monitoring? W trzy osoby niemal całodobowo obserwowaliśmy ich ruchy — zauważył Sonne.

Wzruszył ramionami. Odpowiedzi mogło być kilka, ale on znał co najmniej jedną.

— Wszystko miało na celu odwrócenie uwagi. Należało przekonać wszystkich zaangażowanych — w tym ciebie — ale w szczególności miało przekonać inspektora muzeum o szczerości motywów Mossmana.

— A na koniec zastrzelił pozostałych i potem strzelił do siebie? — W to Sonne nie był w stanie uwierzyć.

— Jeśli tak, to w jakiś sposób udało mu się nie mieć prochu na rękach. Albo w akcji w leśnym domku ktoś mu pomógł.

— Ale cała przeszłość mojego wujka... — Sonne rozłożył ręce. — Tamta stara historia z jego pierwszego okresu w policji, śmierć starego Ryttingera. A potem samobójstwo Gregersena. I jego żony. To sięga wielu lat wstecz, Oxen.

— Zgadza się. Być może twój wujek nieprzypadkowo uczestniczył w wyjaśnianiu *obu* tych zbrodni.

— Więc twoim zdaniem on już wtedy był jednym z nich? — zapytała Franck.

— Wszystko ma swój początek...

Sonne w milczeniu kręcił głową. Franck miała w gotowości wszystkie zmarszczki na czole i zwężone na znak zamyślenia usta. Żadne z nich się nie odezwało. Mówił więc dalej:

— Ułóżmy to sobie wszystko, kawałek po kawałku. Faktem jest, że Axel Mossman, który w dramatyczny sposób przyznaje się do zabicia mojego psa, mimo wszystko po trochu zdobywa moje zaufanie. A po co mu ono? Po to, abym mu zdradził, gdzie są archiwalia z zamku Nørlund, czy istnieją kopie i tak dalej. To jest jego ostateczny cel: odzyskać listę piętnastu nazwisk i zapobiec katastrofie. Tymczasem wyeliminował inne, potężne zagrożenie — muzealnika, który za dużo wiedział. To genialne. Godne prawdziwego mistrza... Zważcie to sobie przez chwilę...

Christian Sonne jakby zeszywniał. Z rozpaloną twarzą patrzył w ścianę. W końcu nie wytrzymał.

— Człowieku, ty jesteś chory! Obracasz kota ogonem, byle tylko pasowało ci to do teorii. I wszystko przez psa... Ja pierdolę...

Sonne poderwał się i w uniesieniu przewrócił wątle krzesło, po czym zniknął w pokoju. Popatrzyli z Franck po sobie. Ona uniosła brwi. Sonne wydawał się dotąd być raczej spokojnego usposobienia.

— Zasadniczo wiem, o co ci chodzi. Ale czy z teoriami spiskowymi nie jest tak, że zawsze da się je uzasadnić, bez względu na wszystko? Armstrong nigdy nie był na księżycu. Elvis żyje.

— Franck. Ja nie doszukuję się spisku na każdym kroku. Ja staram się patrzeć krytycznie. Im wyżej ktoś stoi w hierarchii, tym bardziej potrzebuje krytycznego spojrzenia. Tak uważam. I życie mnie nauczyło, że tam tak właśnie jest. — Głową wskazał za okno. Franck odchyliła się na krześle, by zerknąć do pokoju, ale nie widziała Christiana.

— Posłuchaj — zaczęła. — Uważam, że sama chronologia jest logiczna. Obserwują Vitusa Sandera. Kiedy Bulbjerg odwiedza go w hospicjum, zaczynają bić na alarm. Znają przeszłość Bulbjerga i całej rodziny Ryttingerów, wiedzą o śmierci starego przemysłowca i „wypadku” rodziców Maltego. Mają powody, by srać w gacie. Mossman wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Pozoruje śmierć Bulbjerga na zamku, żeby go ochronić — przed szybką śmiercią.

Franck odliczała kolejne wydarzenia na palcach. Teraz przyszedł czwarty:

— Skoro Bulbjerg zmarł i został pochowany, oni muszą wykonać jakiś ruch. Bo co się teraz stanie? Najpewniej sami zamierzali go zlikwidować. Tymczasem ktoś ich ubiegł. Nie mają pojęcia, kto i po co. Stary hrabia z najwyższą dyskrecją zajmuje się kwestiami praktycznymi: wynajmuje hackera, który kradnie informacje policji w sprawie, i dwóch byłych żołnierzy, by obserwowali środowisko i zadawali pytania. Zgadzasz się? Czy *to* ma dla ciebie sens?

— Tak, to *również* ma sens — przyznał.

— Dobrze. Zatem mamy są tu dwie równoległe historie. Z jednej strony mają zagwozdkę z tajemniczą śmiercią Bulbjerga, a z drugiej strony ogromny niepokój na samym szczycie organizacji budzi fakt, że mają niedokończone sprawy z tobą. Nierozstrzygnięta walka. Wiedzą, że ukradłeś te dokumenty. Ale nie mogą cię ruszyć, bo masz kopię nagrania z ministrem. A nawet gdyby mogli, to nie wiedzą, gdzie cię szukać. Czy wciąż jesteś w kraju, czy wyjechałeś do USA albo Timbuktu. Zwyczajnie nie wiedzą, od czego zacząć. Ale strasznie by chcieli to wiedzieć. Zgadzasz się?

Skinął głową w stronę pięciu wyciągniętych palców Margrethe. Z drugiej ręki właśnie wyskoczył szósty.

— Z powodów, których nie znamy, postanawiają sami przerwać impas. Poświęcają swojego ministra

sprawiedliwości — w tej samej sekundzie, w której on umiera, twoje nagranie staje się bezwartościowe i mają otwartą drogę, by wziąć się za ciebie. Robią to niezwłocznie i z całym impetem. Wynajmują grupę zawodowców, która przypuszcza szturm na weterana Nielsa Oxena.

— Nazwanie tego szturmem nie jest bynajmniej przesadą.

— Po siódme... Wszyscy znają przeszłość Axela Mossmana. Stare zabójstwa, które nie dają mu spokoju i tak dalej. Afera z wieszanymi psami uświadomiła im, że on traktuje sprawę poważnie. Dlatego stale mają go na oku. Obawiają się tego, co może mu przyjść do głowy. Gdy się tego najmniej spodziewał, wszczepili mu nawet lokalizator GPS. Tym sposobem znaleźli cię na Jutlandii. I leśną chatę na Tåsinge. Sprytnie rozegrane. I najzupełniej realne.

Franck wyprostowała ósmy palec i ciągnęła:

— Dlatego... gdy wyeliminowali jakiegokolwiek ryzyko w leśnej chacie i zabili pozostałych świadków, aż się prosiło, by Mossmana obciążyć winą za zabójstwa. Taki bonus, który głupio byłoby zmarnować. Wszystko się zgadza, punkt po punkcie.

Franck pokazała mu teraz wszystkie wyprostowane palce, aby podkreślić swoją rację, po czym schowała wyliczankę, by sięgnąć po kubek z kawą.

— Mogli też po prostu go zabić. Wówczas pozbyliby się go na zawsze — zauważył.

— To pokaz siły. Oni się z nim bawią. Bawią się z samym szefem PET. Kot też lubi się pobawić z myszą. Sam tego doświadczyłeś. Ich władza nie ma końca. Pomyśl tylko... Wszczepić szefowi wywiadu nadajnik w miejsce tłuszczaka. To przecież wyjątkowe upokorzenie.

— Mógł też sam to sobie zrobić. Żeby przekonać nas.

— Wydaje się to o co najmniej jeden stopień przekombinowane. Wierzę w prawdziwość prostych

odpowiedzi. Oskarżyłeś Mossmana, że odwraca kota ogonem. Ale sam robisz dokładnie to samo.

— Nawet jeśli go aresztują, to stąd jeszcze długa droga do wsadzenia go do więzienia za zabójstwa. Może się znaleźć całe mnóstwo technicznych dowodów wskazujących na innego sprawcę. Odciski butów, inne dziury po kulach, włókna — cała kołdra, która go zasłoni.

Franck energicznie pokiwała głową:

— Tak, tak, jasne, że tak. Patrząc całościowo, Mossmana trzeba będzie uniewinnić — prędzej czy później. Ale to nieważne. Wystarczy, że udało im się włożyć kij w szprychy. To część ich zabawy. Fakt, że będzie musiał się tłumaczyć, by ratować własną skórę, dla Mossmana będzie ciężką próbą. Dorwali go. Mają go dokładnie tam, gdzie chcieli. Pod kontrolą.

Napił się letniej kawy. Przez chwilę milczeli. Z pokoju wciąż nie dochodził żaden dźwięk. Może Sonne siedział jak mysz pod miotłą i próbował ochłonąć. A może zastanawiał się nad rozsądnym wytłumaczeniem. Argumentacja Franck zasadniczo brzmiała prosto i wiarygodnie. Sam już nie wiedział, co myśleć.

— Być może masz rację. Może po prostu nie jestem w stanie zmusić się, aby choć trochę mu zaufać. Ale nie mogę, cholera.

— To zrozumiałe, po tym, co się stało z Mr. White'em...

— Tak. Przede wszystkim Whitey... ale też cała tamta poprzednia sprawa. Mossman sprzedał mnie temu, kto zaoferował więcej. Bez mrugnięcia okiem.

— Tego nie wiemy na pewno. Może tylko ci groził, ale nic poza tym. Poza sprawą Mr. White'a nigdy nie zdarzyło mi się go przyłapać na nieczystej grze.

— Z drugiej strony możliwe też, że to przez ogromny respekt, jaki mam dla niego. Dla jego inteligencji i wiedzy. A

przy tym, kiedy jesteśmy sam na sam... zawsze bardzo wyraźnie daje mi odczuć swoją wyższość. Co oczywiście mi się nie podoba. Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

Franck pokiwała głową.

— Jasne, że rozumiem. Jest niesamowicie dobry w swojej robocie. I doświadczony. Z tym że to tylko człowiek. Z krwi i kości.

— Ale bez tłuszczaków — mruknął.

W końcu w drzwiach kuchni stanął Sonne. Oparł się o futrynę i powiedział:

— Wybacz, Oxen. To, co powiedziałem, było nie w porządku. Ja po prostu patrzę na niego inaczej niż wy. To mój wujek. Jest dobrym człowiekiem. Dlatego mnie poniosło. *Sorry*, to się więcej nie powtórzy.

Rozdział 62.

Dźwięki nie cichły ani na moment. Nie był to hałas czy przenikliwy pisk, raczej chaotyczna mieszanina stłumionych odgłosów, które docierały do niego przez uchylone okno sypialni wychodzące na wąską, brukowaną uliczkę.

Nowe miejsce, nowe dźwięki. W ostatnim czasie był bombardowany nowymi odgłosami. Przyzwyczyił się do ciszy w domu na skraju lasu u starego Rybaka. Sam fakt, że się rozpoznawało otaczające dźwięki, dawał ogromne poczucie bezpieczeństwa.

Wieczorem i nocą słyszał zwierzęta i ptaki. I drzewa, szum wiatru w ich koronach, zmieniający ton wraz ze zmianą siły i kierunku. I jeszcze alarmy, które od czasu do czasu wyrywały go z łóżka. Do niedawna wyłącznie fałszywe, uruchamiane przez zbłąkane daniela, lisy i innych stałych mieszkańców lasu.

Kopenhaskie mieszkanie Margrethe to była całkiem inna historia. Więcej hałasu i obcy krajobraz dźwiękowy, drastycznie różny od tego spod lasu. I nagle dźwięk drzwi samochodu. Działający dokładnie jak alarm w leśnym domu. Nie fałszywy, ale prawdziwy sygnał rozpoczynający polowanie. Na strych, w dół tylnymi schodami, na zewnątrz, na podwórko — i z powrotem.

I później, tej samej nocy, kolejny zestaw nowych dźwięków w domu Kihlera, gdzie szukał schronienia i gdzie go przyjęto z otwartymi ramionami.

W ostatnich dniach pojawiły się jeszcze inne dźwięki. W pensjonacie panowała cisza i spokój, ale każde miejsce ma swoje głosy. Gospodyni wypuszczała psa na wieczorne sikanie, a potem wołała go z powrotem. Dochodziły go

dźwięki z pozostałych pokoi w jego skrzydle i głośny świst samochodów przejeżdżających obok asfaltową drogą.

A teraz to. Koczował w Nyborgu i oddzielał od siebie dźwięki ulicy Mellemgade. Sąsiad właśnie był w ubikacji i spuścił cały ładunek potężną lawiną w dół. Naprzeciwko starsza kobieta podjechała pod dom taksówką. Ktoś kawałek dalej roztrzaskał butelkę o chodnik. Najpierw głuchy trzask, a potem brzęczenie drobnych kawałków szkła rozpryskujących się na bruku.

To były odgłosy wieczoru, nie nocy. Było dopiero przed dziesiątą. Franck była w hotelu. Wyszła stąd pod wieczór, razem z Sonnem, który musiał wrócić do siebie do Aarhus po sprzęt do podsłuchu, potrzebny na jutro. Obiecał też załatwić perukę i okulary.

Gdyby przypadkiem zapomniał, czemu to było konieczne, przypomniały mu o tym wiadomości kolejnym materiałem o „pościgu za podejrzanym”, teraz już określanym jako „nieudany”. Absolutnym hitem dnia było jednak zatrzymanie szefa PET w związku z niejasną sprawą zabójstw w domu letniskowym na wyspie Tåsinge. Materiał był niechlujnym zlepkiem faktów i domysłów oraz wypowiedzi ludzi, którzy nie mieli żadnych komentarzy.

Wyłączył telewizor, zanim skończył się materiał o nim samym — i postanowił więcej go nie włączać.

W lodówce znalazł skromny wybór resztek, z których przygotował sobie kolację. W tym czasie przeczytał kilka stron o historii zamku Gram i rodu Grund-Löwenbergów, które Sonne wydrukował i zostawił mu na stole w kuchni.

Chodził po małym mieszkaniu tam i z powrotem, roztrzaskając wszystko w głowie. Kuchnia, sypialnia, pokój, wejście, wyjście, do przodu i do tyłu. Brakowało mu struktury, wyraźnego porządku. Nic mu się nie składało i nie był w stanie ruszyć z miejsca.

W końcu się poddał. Rozebrał się i położył do łóżka w nadziei, że uda mu się przespać.

Choć miał swoje obawy i nie podobała mu się myśl, że mieliby uwierzyć Mossmanowi, to ostatecznie zgodzili się działać według planu Sonnego. Sam na to przystał. Po części dlatego, że Franck wytknęła mu jego wieczną podejrzliwość, a po części dlatego, że ufał jej intuicji. A także dlatego, że nie było alternatywy.

Przez znaczną część swojego życia w sytuacjach operacyjnych posługiwał się językiem angielskim. I czasem do dziś zdarzało mu się myśleć w tym języku. Stałe wyrażenia i meldunki składane w typowym wojskowym żargonie czasem brzmiały w jego głowie donośniej niż duńskie odpowiedniki.

Kiedy tak teraz leżał, do głowy przychodził mu pewien pospolity angielski zwrot, który przypominał sobie, bo doskonale podsumowywał jego rozmyślenia. Zgodził się zrealizować plan Mossmana i Sonnego, bo w tym momencie dla kogoś zmuszonego się ukrywać innego wyjścia nie było. Bo zabrnął już za daleko, by móc się teraz wycofać.

Znalazł się w *point of no return*, jak powiedzieliby jego brytyjscy i amerykańscy koledzy z misji. W miejscu, z którego nie da się zawrócić.

Jutro razem z Sonnem spróbują w biały dzień zakraść się na zamek Gram i rozmieścić mikrofony. Hrabiovska para miała zwyczaj co tydzień tego dnia wybierać się na obiad do restauracji w którejś z większych miejscowości w okolicy.

Margrethe z kolei wróci do Kopenhagi i zobaczy, czy uda jej się dostać do luksusowego mieszkania Villuma Grund-Löwenberga, aby tam też mogli założyć podsłuch. Zgodziła się pojechać toyotą Kihlera i odstawić mu ją do Brønshøj, tak jak mu obiecał. Potem miała pociągiem wrócić do Nyborga.

Poniżej ulicą przejechał skuter bez tłumika, robiąc niemożliwy hałas. Kilka minut później samochód, w którym puszczano tak głośną muzykę, że bas odbijał się od fasad domów, dopóki źródło dudnienia szczęśliwie się nie oddaliło.

Tęsknił za dźwiękami ciszy. Tęsknił za szeptem świerków.

Pomyślał o niej już wcześniej, na samym początku. Teraz znów sobie przypomniał. Wrona w pudełku. Co też mogło się z nią stać? Czy jego nieznani wrogowie spalili dom do szczytu i ptaka razem z nim? A może lokalni policjanci ostatecznie poświęcili jej choć trochę uwagi? Zabrali ją ze sobą, uwolnili — czy raczej ktoś ukręcił jej głowę, by się pozbyć jednego kłopotu?

Powinni spróbować ją wypuścić. On sam zamierzał to zrobić już wkrótce. Może już była gotowa?

Jeśli tak, to może skorzystała z okazji i siedzi teraz gdzieś niedaleko, na jakiejś gałęzi. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Znów nowy dźwięk. Nagle wypełnił całe mieszkanie. Głośne pukanie do drzwi.

W sekundę zerwał się z łóżka, chwycił pistolet z nocnej szafki i zakradł się w stronę przedpokoju. Był w połowie kuchni, kiedy usłyszał wyraźny szept. Dochodził ze szpary na listy. To Margrethe. Zapalił światło, przekręcił zamek i wpuścił ją do środka.

— Siedzisz sam po ciemku w samych gaciach i pod bronią? No, nie wiem... — Nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy znalazła się w przedpokoju. Oxen mrużył zaskoczone światłem oczy.

— Już się położyłeś? *Sorry*, nie pomyślałam o tym. Może sobie pójdę?

— Nie. Zostań. I tak nie mogłem spać.

Wrócił do sypialni. Margrethe w tym czasie nastawiła wodę na kawę. Po chwili znów się pojawił, boso, ale w spodniach i rozpiętej flanelowej koszuli.

Nie mogła nie zauważyć, że na ciele nie miał ani grama zbędnego tłuszczu.

Ostatni raz niemal nagiego widziała go w hotelu pod Rold Skov na północy półwyspu, gdy prowadzili wspólne śledztwo. Tamtej nocy krzyczał jak dzikie, przerażone zwierzę, aż skacząc na jednej nodze, z bronią gotową do strzału ruszyła mu z odsieczą. Zastała go leżącego na podłodze, pijanego i oszalałego z przerażenia, w chwilę po przebudzeniu z koszmaru, który go nawiedził.

W myślach przyznała, że jego wygląd bardzo się od tamtego czasu zmienił. Wtedy był wychudzony i w kiepskiej formie. Teraz pod skórą na torsie i ramionach wiły się grube sznury mięśni. Rysowały się bardzo wyraźnie, choć były inne niż napompowane mięśnie wyrzeźbione celowym treningiem siłowym, jakie widziała u Andersa. Rzeźba Oxena wyglądała jak efekt ciężkiej fizycznej pracy.

— Co się stało? Dlaczego nie jesteś w hotelu? — spytał.

Anders Becker... Ten Anders, który w ostatnich dniach nagrał jej tyle wiadomości — i do którego dopiero przed godziną w końcu oddzwoniła. Czowała, że zna już odpowiedź, ale musiała się upewnić.

— Yyy... co? — zamyśliła się.

— Pytam, dlaczego nie jesteś w hotelu?

— Bo chcę ci coś pokazać.

— Co?

— Zadzwoiłam do niego i z nim pogadałam. Z gościem, którego poznałeś wtedy w moim mieszkaniu.

— Z twoim chłopakiem? Tym, który na mnie nakablował?

— Z Andersem. Nazywa się Anders Becker. I nie jest moim chłopakiem. Nigdy nie był. I nigdy nie będzie. Ale oczywiście od tamtej pory nie dawało mi to spokoju. Więc pomyślałam, że wykorzystam produktywnie naszą małą przerwę przed jutrzejszym. No więc dość długo z nim rozmawiałam,

powiedziałam, że wracam do domu i że jesteś kompletnie szurnięty i nieobliczalny.

Spojrzała na niego. Wyglądał jak wielki znak zapytania. Więc streściła mu pokrótce swoją rozmowę z Andersem.

Rzeczywiście powiedziała, że czuje się coraz mniej pewna Oxena, który żyje w ciągłym, ogromnym napięciu i powoli przestaje nad sobą panować. Opowiedziała mu też, że Mossman wezwał ich do Tåsinge, gdzie zastali kompletny chaos. Zwierzyła mu się, że ma poczucie, że wdepnęła w coś, czego konsekwencji absolutnie nie jest w stanie przewidzieć. Obląkany weteran wojenny poszukiwany za morderstwo i szef, który być może jest bandytą i niewykluczone, że jutro zostanie aresztowany.

Powiedziała Andersowi również, że Mossman jednoznacznie kazał jej nadal zajmować się Oxenem, ale ona chce tylko wrócić do siebie, do swojego łóżka w Østerbro. Na spokojnie się zastanowić. Zrobić sobie jedną dobrą przerwę. Rozpaczliwie tego potrzebuje. Potem może wrócić do Oxena. A poza tym, to strasznie przeprasza, że się wcześniej nie odzywała. Ale wszystko działa się tak szybko.

Anders był bardzo wyrozumiały. Zaproponował, że przyjedzie do niej i razem wszystko omówią, jak będzie w domu. A ona się zgodziła.

Na koniec, owijając to w parę innych szczegółów pasujących do obrazu chorego weterana, rzuciła mu przynętę, to znaczy powiedziała, że gdy ostatni raz widziała Oxena, w ogóle nie było z nim kontaktu i tylko siedział pijany w sztok w mieszkaniu, które załatwił mu Mossman na tyłach sklepu sportowego przy Mellemsgade w Nyborgu.

Ręką pokazała, żeby podeszli do okna w salonie, i lekko odsunęła zasłonę.

— Widzisz? To kawałek dalej po drugiej stronie. Tam jest sklep sportowy, a obok brama na podwórze. Wkrótce coś

powinno się wydarzyć. O ile masz rację... Napijesz się jeszcze kawy, póki czekamy?

— Nie. Już i tak nie mogę spać. Powiedziałaś, że to było godzinę temu?

— Teraz już raczej półtorej.

Oxen usiadł na oparciu kanapy, skąd przez wąską szparę między zasłonami widział ulicę. Ona przyniosła sobie z kuchni krzesło i usiadła obok, tylko trochę odchyliwszy zasłonę.

— Widziałam dziś wiadomości w telewizji — powiedziała.

— Najpierw pojawiła się informacja w jednym z dużych dzienników, ale teraz stacje telewizyjne też podłapały sprawę Mossmana. Tyle że trudno było w tym dojść do ładu. I teraz jeszcze zaczynają mówić, że pościg za weteranem i domniemanym zabójcą się nie udał. Że zawiodło wiele osób z kierownictwa policji. Doszli również do wniosku, że najnowsze informacje o tym, że widziano cię w pobliżu miejsca zbrodni, najprawdopodobniej były fałszywe.

— Tak, widziałem. To znaczy widziałem kawałek — odparł Oxen.

— To musi być nie do zniesienia.

— Co?

— Widzieć, jak cię przedstawiają w takim kontekście. Jak cię nazywają niebezpiecznym dla otoczenia.

— Niebezpieczny byłem zawsze.

Dostrzegła w mroku cień uśmiechu na jego twarzy. W pokoju nie paliło się światło, ale tuż za oknem stała latarnia. Gdy ponownie odwróciła wzrok na ulicę, od razu ich zobaczyła: trzy szerokie postacie idące spokojnym krokiem.

— Tam są!

Oxen pokiwał głową.

— Tak. Wiesz, kto mieszka w mieszkaniu od podwórza?

— Zerknęłam, gdy od ciebie wyszłam. Młoda para z

dzieckiem. Na drzwiach jest rysunek z imionami.

— Porządnie się przestraszą.

— Nic im nie będzie. Zobacz!

Trzej mężczyźni rozejrzeli się dyskretnie, po czym zniknęli w bramie.

Poczuła ulgę. I złość. I poczuła się cholernie upokorzona. I głupia. W trącającej myszką branżowej terminologii przynależącej raczej do czasów zimnej wojny, Anders Becker był tak zwanym *Romeo*. A ona dała się złapać w *słodką pułapkę*. Wskoczyła w nią obiema niekompletnymi nogami. Albo raczej... wzdrygnęła się na myśl o tym. Rozłożyła je przed nią.

Jak do diabła mogła być tak nieskończenie głupia, tak nieopierzona i naiwna?

Jedynym komentarzem Oxena było potulne „*sorry*”.

Po zaledwie dwóch minutach mężczyźni znów wyszli na ulicę. Jeden z nich gestykulował zapamiętałe, a jego gestów nie sposób było nie zrozumieć. Potem energicznym krokiem zniknęli z pola widzenia.

— Chcieli mnie mieć na oku przez cały czas. Możliwie jak najbliżej. Wiedzieli, że wtedy ściśle ze sobą współpracowaliśmy. Więc pewnie pomyśleli, że w którymś momencie doprowadzę ich do ciebie. Logiczne rozumowanie, prawda?

Oxen pokiwał głową ze swojego miejsca na oparciu kanapy.

— Kurwa! Ja pierdolę! Cholerny gnojek!

Walnęła pięścią w parapet i wstała wzburzona.

— I choć może ci się teraz wydaje, że to marne wytłumaczenie, to naprawdę długo zachowywałam dystans. Jestem ostrożna. I nigdy się nie zadaję z kolegami. A jednak. Z Andersem było tak łatwo i bez ściemy. Żadnego gadania o nodze i tak dalej. Każdy potrzebuje bezpieczeństwa, nie?

Krótkich przerw od samotności. My *nie* byliśmy parą. To było tylko...

Niby była przygotowana, a jednak zabolęła ją to, i to mocno. Aż się trzęsała z wściekłości. Oxen, wolno potakując głową, stwierdził jedynie:

— Cholerny gnojek. Ale niczego mu nie udowodnisz.

— Pewnego dnia mi za to zapłaci. Z odsetkami.

— Z tym lepiej poczekać na odpowiedni moment. Teraz już bym się położył. I spróbował zasnąć.

— Mogę zostać na kanapie? Nie chce mi się wracać do hotelu.

— Jasne. Dobranoc.

— Dobranoc.

Birgitte odchyliła nieznacznie kołdrę i przytuliła się do niego. Wszystko odbywało się w zwolnionym tempie. Nie miał świadomości, że to się dzieje. Czuł to tylko, bardzo, bardzo głęboko.

Jej ciało było przyjemnie chłodne, nie zimne. Jej oddech na jego karku był ciepły.

Już prawie spał, ale teraz począł się unosić z głębin. Pewnie oglądała do późna któryś z tych swoich seriali. *Seks w wielkim mieście* albo *Przyjaciół*. Teraz światło w pokoju było zgaszone. Nie, nie położyła się pod swoją kołdrę. Wsunęła się pod jego — tam, gdzie jest ciepło.

A teraz... teraz się odwróciła i ostrożnie podniosła kołdrę.

Obudził się przerażony. Natychmiast przetoczył się na krawędź łóżka. Usiadł. To *nie* była Birgitte. To *nie* były ich pierwsze lata, te upojne lata w małym trzypokojowym mieszkaniu, jeszcze przed Magnusem. To była...

Serce ciężko waliło w piersi.

— Spokojnie, Niels. To tylko ja, Margrethe. Chodź, połóż się. Po prostu śpij. Nie chciałam cię obudzić.

— Franck, do cholery! To... ja nie mogę... yyy... po prostu

nie mogę. To bez sensu. Chcę spać sam.

Franck usiadła. Miała biały podkoszulek. W blasku latarni dostrzegał kontur jej piersi i to, jak tkanina napinała się na nich.

— Nie, nie ma mowy... ja nie mogę... chciałbym, ale... —
Spojrzał na nią. W jej oczach widział spokój. Uniosła palec i przytknęła go do ust.

— Ciii... bez paniki. Spokojnie. Wiem co nieco o PTSD, pamiętasz? Nic nie musisz robić. A ja niczego nie chcę. Tylko tu poleżeć. Tylko zasnąć. Nic więcej. Połóż się wreszcie. Połóż się plecami do mnie. Nic się nie stanie. Leżymy tylko. Cicho i spokojnie. We dwojkę w ciemności. Przecież się lubimy, prawda? Skopiemy dupy gnojkom.

Rozdział 63.

Półtoragodzinną podróż zbliżała się do końca. Całą drogę od Nyborga aż do zjazdu przy Vejle jechali autostradą. O ile oczywiście można nazwać jazdą telepanie się starym dostawczakiem.

Zostało im już tylko kilka kilometrów. Zadanie może się okazać banalnie proste, ale może się również okazać fiaskiem. Próbował się skupić na tym, co ich czekało.

Prowadził Christian Sonne. Siostrzeniec Mossmana, który tę noc spędził u siebie w Aarhus, po czym podjechał po niego do mieszkania w Nyborgu.

Było mu nienaturalnie gorąco. Peruka, którą Sonne pomógł mu włożyć, w jednej chwili zrobiła z niego kogoś innego. Włosy były gęste, ciemnobrązowe, tłuste i półdługie. Po raz pierwszy od wielu lat kosmyki łaskotały go po czole. Do tego okulary w grubych, czarnych oprawkach.

Przebranie było irytujące, ale działało. Obaj byli w jednakowych kombinezonach roboczych z SE, lokalnego dostawcy energii w Jutlandii Południowej. Samochód był również przerobiony na samochód służbowy. Czekał już gotowy w Aarhus, bo kiedy wszyscy wylądowali w kotle w leśnym domu, Sonne już od dawna planował tę akcję. „Kładziemy światłowody. Ci goście są wszędzie, bez przerwy”, wyjaśnił Sonne.

Spojrzał na zegarek. Kilka minut po jedenastej. Wkrótce powinny się pojawić nowe informacje. Axel Mossman właśnie zeznawał. Takie rozprawy zwykle nie trwają długo.

Rano zjedli z Margrethe śniadanie. Składało się z resztek z lodówki. Parę grzanek z masłem i dżemem, i kawa. Nie było niezręcznie. Żadne z nich nie skomentowało tego, co się

stało. Przez krótką chwilę czuł, że być może on powinien skomentować to, co się *nie* stało. Ale potem przypomniał sobie jej słowa: „Spokojnie. Wiem co nieco o PTSD”. I nie powiedział nic.

Leżeli na łyżeczkę. Franck z tyłu. Sto lat z nikim tak nie leżał. W ostatnich latach ich związku Birgitte była widelcem.

Nigdy zresztą nie lubił pozycji na łyżeczkę. Za ciasno i za gorąco. Mimo to leżał nieruchomo i wstrzymywał oddech przez długi czas. Dopóki nie dostrzegł okazji, by się od niej odkleić i obrócić na plecy. Dopóki nie zasnęła.

W końcu zasnął i on. Spał spokojnie, lecz krótko. A kiedy się obudził, znalazł koc, którym się przykrył, jej pozwolił zatrzymać kołdrę.

Zawsze źle sypiał, ale zdecydowanie najgorzej spało mu się z kimś. Mimo to pozwolił jej leżeć obok siebie.

A teraz siedział tutaj. W samochodzie jadącym do małego miasteczka na południu Jutlandii, w którym miał stać zamek. Franck pojechała do Kopenhagi, zanim jeszcze Sonne po niego przyjechał. Pewnie jest już na miejscu.

Niewiele rozmawiali po drodze. Sonne jechał spokojnym tempem prostą drogą z dużymi ceglanyymi budynkami po obu stronach. Wyglądały jak stajnie. Potem w milczeniu minęli drogowaskazy umieszczone po obu stronach drogi na dwóch czarujących wieżyczkach z czerwonej cegły i zwieńczonych daszkami pokrytymi dachówkami. Widać, że miasto traktowało zamek jak swoją wizytówkę.

— Śledziliśmy hrabiego na zmianę. Jestem tu czwarty raz. To, co widzisz przed sobą, to zamek. Mam upatrzone miejsce do zaparkowania, ale najpierw zróbmy rundkę po mieście. Mamy sporo czasu — powiedział Sonne.

Swoją wizytę zaplanowali według obserwacji codziennych obyczajów hrabiego, dokonanych przez Sonnego i Mossmana. O ile ten dzień nie będzie wyjątkowy, w południe

hrabia razem z żoną wybiorą się do Ribe, Haderslev albo Aabenraa. W którejś z tamtejszych restauracji zjedzą lekki obiad. Potem żona pochodzi po sklepach, może coś sobie kupi, i po dwóch godzinach wróca do Gram.

Najpierw minęli przepławkę dla ryb, a potem most nad jazem zatrzymującym część wody z rzeki Gram i tworzącym jezioro, wreszcie niewielkie wzniesienie, na którym stał zamek.

Gram był zamkiem małym. Wyglądał jak miniatura i przypominał tym Nørlund na północy na obrzeżach Rold Skov, gdzie rezydował ambasador Corfitzen, lider Danehofu Nord, dopóki któregoś dnia nie został znaleziony martwy w fotelu w swoim gabinecie. Wkrótce potem jego samego policja otoczyła w dolinie rzeki i doprowadziła na przesłuchanie w charakterze podejrzanego.

To zastanawiające. Wtedy był podejrzanym o zabójstwo. I teraz znów jest podejrzany o zabójstwo... mroczne siły są zaprawdę potężne.

— Stary mieszka w skrzydle najbliższej nas. Villum zajmuje resztę — wyjaśnił Sonne, wskazując głową budynek.

Trójskrzydłowa budowla z czerwonobrazowej cegły z pomalowanymi na biało gzymsami i ramami okiennymi. Działziniec otwierał się w stronę podjazdu. Zamek, otoczony wodą, był nowszy niż średniowieczna dziupla zbójników w Rold. Budowę rozpoczęto około 1470 roku, a każde skrzydło zbudowano w innym stuleciu. Główne skrzydło postawił feldmarszałek Hans Schack.

Ród Grund-Löwenbergów triumfalnie wjechał na włości dzięki workom pieniędzy w 1793 roku. Tyle zapamiętał z lektury przy kuchennym stole. Nie umiał się skupić, myślami co chwilę odbiegał gdzie indziej.

— Stary zajazd zamkowy również należy do Villuma. Postanowił go wydzierżawić — ciągnął Sonne, gdy mijali

piękny stary budynek.

— Gdzie zostawimy samochód?

— Na terenie zamku. To na tyle bezczelne, że będzie wyglądało wiarygodnie. Zatrzymamy się przed budynkiem biurowym. To po lewej od zamku. Pracuje tam tylko kilka osób. Dwie zarządzają gospodarstwem rolnym, do tego ogrodnik i ktoś w rodzaju złotej rączki. Jeśli się na kogoś natkniemy, powiemy, że chcemy zlokalizować błąd w sieci.

— Wiesz cokolwiek o światłowodach?

— Zero.

— To tak jak ja. W takim razie powinno się udać.

Sonne się uśmiechnął, choć nie do końca przekonująco. Nie tryskał pewnością siebie jak jego stary wujek. Ale wydawał się rzetelny i poważnie podchodził do zadania. Skreślił w pierwszą boczną drogę po prawej, zawrócił i ruszył z powrotem.

— Zatrzymamy się na poboczu pod żywoplotem tuż przed stajniami. Stamtąd będziemy widzieli drogę i zobaczymy ich, jak wyjadą z zamku.

— A jeśli nie wyjadą?

— To będziemy musieli odpuścić.

Zadzwoił jeden z telefonów Sonnego. Odbył krótką rozmowę, w czasie której wielokrotnie kiwał głową.

— Ja? Jestem w pracy. Z nowym partnerem — powiedział, nim się pożegnał i rozłączył.

— To była ciotka. Wujek kazał jej zadzwonić. Sam nie może. Sędzia odrzucił wniosek o areszt. Ale zatrzymają go na trzy doby. Więc inspektor będzie miał trochę czasu.

— Też byłem w policji — powiedział niespodziewanie Oxen.

— Nie wiedziałem.

— Tylko dwa lata, więc nie zdążyłem skończyć akademii.

— Dlaczego?

Wzdrygnął się na myśl o długiej historii, która była

prawdziwa, ale mimo to nieskończenie trudna do wyjaśnienia. I jeszcze trudniejsza do uwierzenia: że zastawiono na niego pułapkę. Że ktoś ukrył narkotyki w jego garażu. Że ktoś chciał się go pozbyć z korpusu policji. Że ktoś chciał, aby zaprzestał swoich starań o powołanie komisji do zbadania śmierci Bossego. Że chcieli go kupić darmowym wstępem do Jægerkorpset. I że on dał się kupić. Przynajmniej na chwilę.

— Wcześniej byłem żołnierzem. I chciałem wrócić do armii. Kiedy mnie przyjęli do Łowców, wybór nie był trudny — zaserwował Sonnemu połowę prawdy.

— Rozumiem... Tak, jasne, że słyszałem o tym, co zrobiłeś. Kawał naprawdę dobrej roboty. Nikt z nas nie jest chyba w stanie do końca wyobrazić sobie, jak to jest — odparł Sonne i wyglądał, jakby chętnie wysłuchał szczegółów.

On nie zareagował. Siedzieli jeszcze jakiś czas ze wzrokiem skierowanym w stronę podjazdu do zamku.

— Będą musieli wypuścić Mossmana. Nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej.

— Ja też nie — zgodził się Sonne.

— A gdy go wypuszczą, to co?

— To zakładam, że będziemy działać dalej. Dokładnie tak, jak teraz. Na pewno czekają go ogromne kłopoty wewnątrz organizacji, ale wujek ma całą listę nieodwzajemnionych przysług gromadzonych przez lata i zna odpowiednich ludzi. To oczywiście godne potępienia i zupełnie niesłychane, że prowadził własną, potajemną operację, nie mówiąc o niej nikomu ani słowa. I że finansował ją z jakiegoś półoficjalnego konta firmowego. Na pewno jakieś głowy za to polecą — ale nie jego własna.

— A ty, dlaczego to robisz? Też możesz stracić pracę.

— Jestem na krótkim zwolnieniu w związku z rozwodem. Na gwałt potrzebuję pieniędzy. Zostałem sam w domu,

którego nikt nie chce kupić. Poza tym nie zapominajmy, że to mój wujek.

Sonne zadumał się nad perturbacjami, jakie czekają Mossmana, nim oczyści swoje imię.

— Może to coś pomoże, skoro wiadomo, że i tak wkrótce ma iść na emeryturę. Może w związku z tym jednak mu odpuszczają? — zastanawiał się głośno Sonne.

— Mnie powiedział, że chce odejść przed czasem.

— Typowy wujek. Sam ustala harmonogram. Nikogo nad sobą, nikogo obok siebie.

— To prawda, że zna każdą szycbę w Londynie?

— Chodzi ci o MI5 i MI6? O tych sprawach mówi niewiele, ale to prawda, że jest na przyjacielskiej stopie z ludźmi z obu organizacji. Z Brytyjczykami może w szczególny sposób, przez historię rodzinną, ale również z Amerykanami, Niemcami i Francuzami. To duża postać — pod wieloma względami. Umie się odnaleźć w kontekście międzynarodowym. On potrafi rozmawiać nawet z Izraelczykami.

Znów zamilkli i patrzyli przed siebie. Brakowało im kanapek i termosu, aby wyglądać jak stuprocentowi goście od światłowodów robiący sobie przerwę, ale mimo to nie dostrzegli, by ktokolwiek zwracał na nich uwagę. Również ci, którzy ich mijali na rowerach.

— Ta historia z twoim psem... — Sonne zaczął bardzo ostrożnie. — To do niego kompletnie niepodobne.

— Hm.

— Sam mi o tym opowiedział. Powiedział, że zrobił to dla wyższej sprawy. On też ma psa. Zawsze miał. To do niego zupełnie niepodobne. Ale doskonale cię rozumiem...

Na podjeździe pojawił się srebrny rover. Żona siedziała na miejscu pasażera. Hrabia wrzucił lewy kierunkowskaz i wolno przejechał brzegiem jeziora w stronę miasta.

Sonne przekręcił kluczyk, minął ceglane drogowskazy, wjechał na podjazd i zatrzymał furgonetkę obok małego budynku biurowego.

Wysiedli i bez pośpiechu rozejrzeli się po obcym terenie, jak zrobiłby każdy na ich miejscu. Potem Sonne otworzył bagażnik, wyjął jakiś sprzęt, a jemu wręczył garść czerwono-białych tyczek geodezyjnych.

Sonnemu nie udało się sprawdzić, czy na zamku jest alarm. Uznali, że to raczej niemożliwe — budynek był za duży, za dużo było w nim okien i pomieszczeń. Gdyby się jednak okazało, że jest inaczej, to najprawdopodobniej system był uruchamiany tylko na noc.

Wokół nie było żywej duszy. O tym, że ktoś tu jednak był, świadczył rower oparty o ścianę skrzydła hrabiego. Potem usłyszeli warkot. Na drugim brzegu fosy, obok dużych zabudowań gospodarczych, dostrzegli mężczyznę na ciągniku ogrodowym.

— To teren gospodarstwa Gramgård. Należy do zamku. To pewnie ogrodek. A skoro tam jest, to znaczy, że przynajmniej na niego się nie natkniemy — stwierdził Sonne.

Najlepiej byłoby znaleźć wejście przez piwnicę. Tak byłoby najprościej, a wejście powinno być w najbliższym skrzydle, odwróconym tyłem do otwartej przestrzeni za fosą. W przeciwnym razie będzie ich widać z drogi i z parku.

Zaopatrzyli się w swój sprzęt i ruszyli wzdłuż budynku. Wszystkie okna piwniczne były zamknięte albo zabudowane. Za to na pierwszym piętrze dostrzegli dwa uchylone okna. Po krótkiej naradzie zdecydowali się zaryzykować. Sonne zaproponował, że przystawią drabinę i on przez okno wejdzie do środka, bo plan zamku ma w głowie. Furgonetkę zaparkowali tak, że zasłaniała ich od strony biura, a jeśli nastąpi coś nieprzewidzianego, to on się tym zajmie, podczas gdy Sonne będzie w środku.

Sonne przyniósł z samochodu drabinę. Była aluminiowa i składała się z trzech długich części, które wystarczyły, by sięgnąć do jednego z otwartych okien.

Sonne przerzucił przez ramię torbę ze sprzętem, wspiął się i śrubokrętem wypchnął haczyk. Otworzył szeroko okno, odsunął wazon z parapetu i ostrożnie wszedł do środka. Chwilę później wychylił się i powiedział:

— Poszło gładko. Jestem w jakimś salonie. Biorę się do roboty. Powinienem się uwinąć w jakiś kwadrans.

Sonne pokazał uniesiony kciuk i zniknął w głębi domu. Miał rozmieścić w środku dziesięć miniaturowych *pluskiew*, które będą niewidzialnymi uszami w świątyni hrabiego i jego syna i ujawnią ich najskrytsze sekrety. O ile oczywiście zdecydują się o nich porozmawiać. Zamierzali obstawić gabinety, salony, sypialnie i kuchnie — wtedy powinni być skutecznie zabezpieczeni.

Wcisnął stoper w zegarku, by kontrolować czas. Ogrodnik dalej robił wielkie koła kosiarką. Tam, gdzie stał, dobiegał go tylko odgłos silnika. Odsunął drabinę i klęknął przy ich sprzęcie pomiarowym, jednocześnie bacznie się rozglądał.

Teren wokół zamku był zadbany. Trawniki równo przycięte, rabaty wyplewione, a kawałek dalej, na tafli oczka wodnego, unosiły się bajeczne nenufary.

Widać było, że ten zamek jest sielską scenerią, w której starsze małżeństwo wie dzie wybitnie spokojne, uporządkowane życie, przekazawszy stery w ręce syna odnoszącego sukcesy we własnym świecie w Kopenhadze i Zurychu, będących dokładnym przeciwieństwem idyllicznego Gram i odległych od niego o lata świetlne.

Jeziorem sunęły dwie szare gęsi niczym statki-bazy, ciągnąc za sobą flotyllę młodych. W czarnej wodzie jeziora muszą żyć szczupaki, pewnie całkiem spore. Dla tych maluchów taka wycieczka może być ryzykowna. Gdy akurat

najmniej się tego będą spodziewać, potwór może wyskoczyć z głębin i pociągnąć je za sobą.

Takie jest życie — czy w jeziorze, czy na ziemi wśród ludzi, musisz się strzec drapieżników. Potrzebują oczywiście dowodów potwierdzających pozycję, jaką pan tego zamku zajmuje w hierarchii Danehofu, ale już teraz spodziewał się, że Villum Grund-Löwenberg okaże się człowiekiem kulturalnym, uprzejmym i z niezawodnym nosem do interesów. Ale pod elegancką, gładką skorupą... mimo wszystko drapieżnik.

Po południu albo wieczorem Franck ma sprawdzić, czy uda jej się dostać do jego penthouse'u w eleganckiej dzielnicy portowej w Hellerup. Jeśli tak, to również tam podłożą kilka *pluskiew*. Kiedy wszystko będzie gotowe, wystarczy uruchomić lawinę i wstrząsnąć hrabim, wysyłając mu nagrania wraz z żądaniem. To pewnie nieco zaburzy utrwalony porządek, według którego toczy się życie w starych zamkowych murach.

Sonne wystawił głowę i zagwizdał w chwili, gdy stoper wskazywał dokładnie szesnaście i pół minuty. Wszystko poszło sprawnie. Przystawił do ściany drabinę. Sonne z powrotem założył haczyk i chwilę potem stał na trawniku, gdzie obaj pośpiesznie złożyli drabinę, po czym wrócili do samochodu.

Kiedy wyszli z za rogu budynku, omal nie wpadli na jakąś postać. Starsza pani zwinnie się odchyliła, by uniknąć kolizji. Została jednak w miejscu i patrzyła na ich samochód. Jej oczy błyszczały czujnie.

— Skąd się tu wzięliście i co tu robicie? — zapytała, bacznie im się przyglądając.

— Jesteśmy z SE. Próbujemy zlokalizować zerwany światłowód — bez zająknięcia wyrecytował Sonne.

— Zrobiła się dziura?

— Dziura?

— W internecie — odparła śmiało kobieta, która spokojnie mogła mieć z siedemdziesiąt pięć lat.

— Rzeczywiście. W którymś miejscu nastąpiło przerwanie wiązki. Ale nie tutaj. Musimy szukać dalej. Pani tu pracuje?

— spytał Sonne.

— To może za dużo powiedziane. Pomagam im od czasu do czasu. Posiekałam im trochę mięsa, popakowałam w woreczki i schowałam do zamrażarki. Oni nie są nauczeni używać rąk tak jak my, prawda?

Kobieta zaśmiała się i wyciągnęła ku nim ręce.

— A ja proszę, dalej wszystko mogę. Od dwudziestu pięciu lat robię dla nich różne rzeczy i dopóki człowiek może, to powinien się tym cieszyć, prawda?

— Tak, to prawda — powiedział Sonne i uśmiechnął się serdecznie.

— No, to życzę wam powodzenia w szukaniu tej dziury — powiedziała kobieta, uniosła rękę na pożegnanie i ruszyła w stronę roweru.

Schowali sprzęt do furgonetki, zamknęli pakę i wsiedli do szoferki. Mimo że obyło się bez komplikacji, dobrze było usłyszeć warczenie silnika. Sonne zjechał na asfaltową drogę.

Pułapka zastawiona. Teraz potrzebowali przynęty.

Rozdział 64.

Modne białe apartamentowce z wielkimi oknami i dekoracyjnym pionowym panelem ze szlachetnego drewna stały w luźnym szeregu zwrócone frontem do wody. W ostatnim z nich, na samej górze mieszkał Villum Grund-Löwenberg. Chyba jednak się przeliczyła. Nie ma szans, aby zwykły śmiertelnik dostał się do tego raj z widokiem.

Ostatecznie do luksusowego budynku weszła, posłużwszy się starym trikiem: czekała cierpliwie, aż pojawi się któryś z mieszkańców i będzie chciał wejść. W tym wypadku okazał się nim starszy mężczyzna w młodzieżowym ubraniu, który szarmancko przytrzymał jej drzwi.

Na ostatnim piętrze, przed drzwiami odnoszącego sukcesy biznesmena zastała elektroniczny zamek z sześciocyfrowym kodem. Tak, dobrze, że zabrała wytrych pistoletowy.

Rolka czarnej taśmy, którą miała w torebce, uświadomiła jej boleśnie brak wyobraźni na temat życia w nabrzeżnej enklawie *wielkowiejskich japiszonów*. Nigdzie nie było żadnych szyb, które trzeba by stłuc, aby przejść dalej. A zatem również żadnego pożytku z taśmy.

Siedziała teraz na płaskim dachu budynku, nie do końca wiedząc, po co tu wlaźła. Wytrych mimo wszystko się przydał. Otworzyła nim drzwi wiodące na dach. Nie był to jednak dach pełniący funkcję tarasu dla mieszkańców. Ten dach był po prostu dachem. Okap wystawał na kilka metrów i tylko Spider-Man mógłby tędy zejść do mieszkania poniżej.

Zatem w stałym miejscu zamieszkania Villuma Grund-Löwenberga nie zamontują ani jednego mikrofonu. Trudno. I bez tego ich plan powinien się udać — jeśli tylko Sonne i Oxen zdołają założyć podsłuch na zamku, to powinno

wystarczyć. Logika podpowiadała, że gdy ich bomba wybuchnie, to raczej Villum przyjedzie na zamek, a nie stary hrabia wybierze się do syna.

Villum wrócił do domu pół godziny temu. Słyszała, jak otworzył drzwi balkonowe. Może siedział tam teraz, sącząc drinka i podziwiając zachód słońca? A może jednocześnie pracował z laptopa ustawionego na stoliku przed sobą? Trzymał rękę na pulsie swoich inwestycji albo sprawdzał temperaturę na giełdach? Tacy jak on chyba nigdy nie robią sobie wolnego.

Było wpół do dziewiątej. Siedząc tu, traciła tylko czas. Mogła równie dobrze zejść, wrócić do samochodu, odstawić go Kihlerowi do Brønshøj i poszukać jakiegoś połączenia do Nyborga.

Pomyślała o Oxenie — znowu. Wielokrotnie o nim myślała tego dnia. Dziś nie pójdzie do niego na noc. Dla niego to chyba byłoby za wiele.

Impotencja i lęk przed bliskością to tylko kilka z długiej listy symptomów, które składały się na obraz kliniczny stresu pourazowego. Oxen nie przejawiał wszystkich z nich. Niektóre zaś występowały u niego w łagodnej formie. Ale powinna być ostrożna.

Właśnie miała wstać, żeby zejść z dachu, kiedy usłyszała cichy dźwięk dzwonka. Villum miał gościa. To ją zaintrygowało — i zirytowało, ale nic przecież nie mogła z tym zrobić.

Wstała, przeszła przez długość dachu i otworzyła drzwi na klatkę schodową. Zeszła już dwa stopnie w dół, kiedy coś jej przyszło do głowy. Skoro nie może niczego zobaczyć na własne oczy, ktoś inny będzie musiał to obejrzeć za nią. Jej smartfon miał sokoli wzrok...

Wróciła na dach, uklękła i pogrzebała w małej torebce. Miała przecież taśmę klejącą. Oczywiście, że da się to

zrobić. W każdym razie nie zaszkodzi spróbować.

Na oko oszacowała odległość od dachu do okna mieszkania i rozwinęła mniej więcej pięć metrów taśmy. Następnie włączyła w telefonie nagrywanie wideo i położyła telefon na taśmie jakies trzydzieści, czterdzieści centymetrów od jej końca. Długą końcówką starannie kilkakrotnie owinęła urządzenie i połączyła z klejącą stroną reszty taśmy. Na koniec dodatkowo owinęła całą konstrukcję kawałkiem taśmy.

Jej telefon był teraz mocno i bezpiecznie zamocowany na końcu taśmy, nie było możliwości, aby się odkleił.

Długopisem miejsce w miejsce podziurkowała zagłębienie, w którym z tyłu telefonu znajdował się obiektyw kamery. Wreszcie mogła paznokciem oderwać mały okrągły kawałek. Wszystko działało zgodnie z zamysłem. Więc jednak będzie mogła rzucić okiem na ten wersal...

Na czworakach podeszła do krawędzi dachu, położyła się na brzuchu i ostrożnie opuściła kamerę. Najgorsze, co mogło się teraz stać, to to, że Villum albo ktoś inny znajdujący się w mieszkaniu zauważy powiewającą za oknem kamerę. Wówczas drzwi na dach bardzo szybko się otworzą. A ona być może będzie musiała wyjąć pistolet.

Po czterech, może pięciu minutach prób z nagrywaniem z różnej wysokości, z powrotem wciągnęła telefon, przesunęła się dziesięć metrów dalej i powtórzyła operację. Nie znała rozkładu mieszkania, więc próbowała po omacku. Jedyne, co wiedziała, to, że balkony są od strony wody.

Z ulicy nie widziała, aby w mieszkaniu były zasłony. Ale młody Grund-Löwenberg mógł mieć rolety. Możliwe, że właśnie nagrywa kolejne minuty zasłoniętych rolet.

Po raz ostatni zmieniła pozycję i odczekała, aż będzie mieć łącznie piętnaście minut nagrania. Wtedy ostrożnie po raz ostatni wciągnęła telefon i razem z taśmą schowała do

torebki, zanim pośpiesznie ruszyła w stronę drzwi. Lepiej nie zostawać tu dłużej, niż to absolutnie konieczne.

Dziesięć minut później pilotem otworzyła drzwi samochodu i usiadła za kierownicą srebrnej toyoty yaris, dyskretnie zaparkowanej przy pierwszym z budynków.

Dobrze było wrócić z dachu na ziemię. Była ciekawa, czy w ogóle cokolwiek się nagrało. I kto odwiedził Villuma.

Wyjęła kulę pozwijanej taśmy i wysupłała z niej telefon.

Zatrzymała nagrywanie i wcisnęła *play*. W skupieniu wpatrywała się w mały ekran.

Pierwsze było nagranie z okna pomieszczenia, które mogło być biurem. Taśma musiała lekko się kołysać na wietrze, bo nagranie huśtało się w przód i w tył. W którymś momencie musiała za wysoko podciągnąć telefon, bo przez dwie minuty widać było tylko beton. Poza tym pierwsza sekwencja nie pokazywała absolutnie nic. Ani żywej postaci w zasięgu kamery.

Druga sekwencja wyglądała podobnie. Kamera znajdowała się nad poręczą balkonu, ale stał na nim tylko mały stolik z gazetą, butelka wody i dwa puste krzesła. Dalej, w głębi mieszkania, widać było kuchnię, która najwyraźniej otwierała się na jadalnię i na taras. Wszystko było białe. Również kuchnia.

Oglądając opuszczanie się kamery wzdłuż ściany domu na początku trzeciej i ostatniej sekwencji, nie spodziewała się już zobaczyć niczego ciekawego. Kamera w końcu się zatrzymała i dała jej pełny obraz dużego, białego salonu.

Otworzyła oczy ze zdumienia. To chyba niemożliwe?

Rozdział 65.

Coś wisiało w powietrzu, choć nie do końca umiał określić co. Margrethe Franck przyniosła bułki z piekarni. Od rana mieli wspólnie sformułować list do hrabiego Erika Grund-Löwenberga. Później, kiedy wyślą list kurierem, on i Sonne pojedą do Gram i znów rozstawią się ze swoim samochodem od światłowodów, by obsługiwać podsłuch.

Franck przed chwilą opowiedziała, że próba założenia podsłuchu w penthousie Villuma okazała się klapą. Zważywszy na jej zwykły poziom ambicji, powinna wobec tego być choć trochę zła. Tymczasem wydawała się wręcz zadowolona.

Tej nocy przespał spokojnie niemal pięć godzin bez przerwy, czuł się więc w pełni wypoczęty. Pierwszy łyk kawy smakował niebiańsko, a bułkę ostatni raz jadł w zeszłym roku, kiedy razem z Franck podczas ich śledztwa mieszkali w zajeździe Rold Storkro.

Franck szukała teraz czegoś w swoim telefonie.

— Mam jednak coś, co chciałabym wam pokazać. Coś z wczorajszego wieczoru — powiedziała.

Obaj podnieśli na nią wzrok. Franck tylko uśmiechnęła się tajemniczo i pomachała telefonem. Więc coś jednak miała. Zaraz się okaże.

W skrócie opowiedziała, że już miała schodzić z dachu, ale nagle wpadła na pewien pomysł i zawróciła.

— I teraz myślę, że powinniście sami zobaczyć, co nagrałam — powiedziała. — Właśnie znalazłam tę sekwencję. Gotowi?

Przytaknęli jednocześnie. Co ona, u licha, wyprawia? Wciąż się uśmiechała, kiedy podała mu telefon. Trzymał go

tak, aby Sonne również widział.

Pierwsze ujęcia były do niczego, najpierw niebo i wieczorne słońce, potem surowy beton. Później pokazał się górny fragment okna, szklana tafla i wreszcie...

Patrzył w ekran jak zahipnotyzowany. Na białej kanapie siedział mężczyzna w rozpiętej błękitnej koszuli. Więc to jest Villum Grund-Löwenberg. Na nim okrakiem siedziała kobieta. Miała na sobie czarną sukienkę bez ramiączek. Włosy spięte klamrą na karku. W jednej ręce trzymała szklankę z drinkiem i bardzo wolno unosiła się i opadała.

Villum też trzymał drinka w dłoni. Wzniesli toast, stukając się szklankami. Wypili do dna. Odstawili szklanki na stolik obok. Kobieta położyła dłoń na jego karku i przyciągnęła go do siebie.

Jego dłonie powędrowały w stronę suwaka na jej plecach. Rozpiął sukienkę, odchylił czarny stanik, uwalniając piersi. Mocno ujął je obiema dłońmi i zaczął je całować i lizać.

Kobieta lekko się podniosła, po czym jeszcze mocniej na niego napała, jednocześnie odchylając się do tyłu. Widać było teraz jej twarz. Przecież to... ale nie, to chyba niemożliwe. Ależ tak, to ona. Teraz był pewien.

Nigdy by w to nie uwierzył.

Nigdy by się tego nie domyślił.

Akcja na białej kanapie rozwijała się. I przyśpieszała. Grymas rozkoszy na jej twarzy. Brała go w posiadanie. Dokładnie tak, jak kiedyś wyobrażał sobie, że mogłaby brać jego.

Nagle wstała i uklękła między jego kolanami. Kiedy pochyliła się do przodu, obraz stał się niewyraźny. Najpierw pokazała się rama okienna, potem pas betonu, potem błękitne niebo — a potem czarny ekran.

Spojrzał na nią. Franck aż promieniała.

— Prawdziwie wybuchowe dymancko, co? Widziałeś, kto to

był?

Pokiwał głową.

— Oczywiście, gdybym wiedziała, co filmuję, to nie przerwałabym w takim momencie — zachichotała.

— Kto to jest? — spytał osłupiały Sonne.

— To Karin „Kajsa” Corfitzen, córka zmarłego ambasadora Corfitzena. Szefa think tanku Consilium. I szefa Danehofu Nord.

Sonne zagwizdał z wrażenia.

— Ale jaja. Czyli oni...

— Tak — odparła Franck. — Na to wygląda, prawda?

Sama wciąż nie otrząsnęła się z zaskoczenia. Właśnie widzieli fizyczną fuzję Danehofu Nord i Danehofu Syd. Połączenie absolutnie nieoczekiwane. Kajsa i Villum, dwoje odnoszących sukcesy ludzi biznesu, nowe pokolenie liderów gotowe do przejęcia pałeczki od ojców i kontynuowania tradycji. Ale że współpracowali tak blisko i tak namiętnie...

Końcówka taśmy klejącej nagle ujawniła informację nad wyraz interesującą — i strategicznie istotną.

— Spodziewałbyś się czegoś takiego?

Franck wyciągnęła rękę po telefon.

— Nigdy. Z drugiej strony to ma sens, prawda?

— Owszem, jeśli się bliżej zastanowić. Oboje dorośli, oboje samotni i oboje pracują dla tej samej wielkiej sprawy. Więc czemu nie? Jak myślicie — powinniśmy dołączyć i ten krótki filmik do naszej przesyłki dla starego hrabiego, żeby sobie zobaczył syna w akcji? Czy lepiej zachować go dla siebie?

— Może on już o tym wie? — zauważył Sonne.

— Yyy. Obstawiam, że nie ma bladego pojęcia. I moim zdaniem nie powinniśmy na tym etapie zdradzać się z tym, że my wiemy. Lepiej zostawmy sobie tego asa w rękawie — potem może nam się przydać — stwierdził Oxen.

Franck się zgodziła.

— Tak też pomyślałam w pierwszym odruchu. Że to będzie wisienka, którą przystroimy tort. Dobra, zatem piszemy ten list do starego?

Rozdział 66.

Hrabina właśnie się zbudziła z popołudniowej drzemki. Spała głęboko przez ponad godzinę i wciąż lekko zaspana stanęła w oknie, by wystawić twarz do słońca.

Odrywała zwiędły liść begonii stojącej na parapecie, kiedy na dziedziniec szybko, o wiele za szybko wjechał żółty samochód dostawczy.

Z szoferki wyskoczył młody człowiek w zielonej koszulce z krótkim rękawem i żółtej czapce z daszkiem. Podbiegł do drzwi i zapukał wielką kołatką. Idąc chwiejnym krokiem do następnego pokoju, słyszała, jak mężczyzna na progu niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę, ponownie podnosi kołatkę i dalej tupie zniecierpliwiony.

W końcu dotarła do holu, przekręciła zamek i pchnęła ciężkie drzwi.

— Dzień dobry. Już myślałem...

— Powiedz mi, młody człowieku, kto cię nauczył prowadzić samochód? To nie tor wyścigowy.

— Okej.

Chłopak wzruszył ramionami. W ręce trzymał dużą, grubą kopertę. Spojrzał na nią i zapytał:

— Erik Grund-Löwenberg. Jest może... w domu?

— To mój mąż. Tak, jest w domu, ale nie chce, aby mu przeszkadzano.

— Jest przesyłka do niego, ale musi pokwitować — odparł chłopak.

— Mogę pokwitować za niego.

— Spoko. Proszę.

Wyciągnął w jej kierunku niewielkie urządzenie.

— W tym dużym pustym polu na dole ekranu — wyjaśnił.

Wzięła plastikowy patyczek i bardzo się starała podpisać prawidłowo i wyraźnie. Już się zdarzyło, że musiała składać podpis na czymś takim, kiedy przyszedł listonosz z paczką, a jej męża nie było w domu. Ale i tak uważała, że to dziwne kreślić elektroniczne kreski plastikowym sztyftem, zamiast normalnie podpisać się na papierze.

— Pięknie dziękuję i życzę miłego dnia — powiedział mężczyzna nadspodziewanie uprzejmie, podając jej kopertę. Nim zdążyła odpowiedzieć, już go nie było. Po chwili zniknął też jego samochód, na dziedzińcu pozostała jedynie chmura pyłu.

Spojrzała na kopertę. Była biała, od środka wyłożona folią bąbelkową. Z przodu napisano: „Hrabia Erik Grund-Löwenberg, zamek Gram”. Na odwrocie nie było adresu nadawcy. To musiało być coś ważnego.

Żeby tylko nie zapomniała mu jej przekazać, kiedy wstanie z drzemki. W zasadzie już powinien wstać, ale dobrze mu zrobi porządny wypoczynek. Jej zdaniem w ostatnim czasie wziął na siebie zbyt wiele obowiązków i co wieczór wydawał się mocno zmęczony.

Gdy tylko się obudził, żona powiedziała, że na komodzie w holu czeka na niego jakaś koperta. Wrócił więc do swojego gabinetu na pierwszym piętrze od strony szczytowej zamku, żeby w spokoju — i z dala od jej ciekawskiego wzroku — obejrzeć, co to takiego.

Powiedziała, że przesyłkę przywiózł kurier. Jakiś młody mężczyzna w żółtej czapce z daszkiem, który prowadził jak szalenię. Nadawcy nie było.

Nawet jeśli fizycznie nie był już w najlepszej formie, to jego umysł i pamięć działały bez zarzutu. Był absolutnie pewien, że nie zamawiał niczego przez internet ani nie zawierał żadnych umów handlowych czy innych, które można by powiązać z tą przesyłką.

Jedynie, czym się w ostatnim czasie zajmował, to organizowanie tych wszystkich tajnych operacji z różnymi ludźmi. Ale z nimi komunikacja wyglądała całkiem inaczej. Przestrzegali najwyższych środków ostrożności. List nadany na jego adres i nazwisko absolutnie nie wchodził w grę. Nigdy w życiu.

Wziął do ręki nożyk do otwierania korespondencji. Zawsze go używał, bo nie lubił rozrywać papieru.

Zajrzał do środka. Pojedyncza kartka i małe pudełko na samym dnie. Wyjął kartkę i odwrócił kopertę do góry dnem. Na biurko spadło małe pudełeczko z przejrzystego plastiku. Znajdował się w nim dysk USB albo *stick*, albo jakkolwiek nazwać to jakże praktyczne urządzenie mieszczące ogromne ilości danych.

Zmienił okulary na te do czytania. List zawierał zaledwie kilka wierszy.

„Od dłuższego czasu bacznie przyglądamy się waszym posunięciom, jak widać na załączonym dysku USB. Są to jedynie krótkie sekwencje z czterech kompletnych pakietów nagrań. Tożsamość wszystkich przedstawionych na nich osób jest nam znana w najdrobniejszych szczegółach. Oryginalny materiał z obserwacji wraz z całą pozostałą dokumentacją kosztuje 20 milionów koron duńskich. Dalsze instrukcje prześlemy w późniejszym czasie”.

Ręce zaczęły mu się trząść i nagle poczuł, jak wali mu serce. Mocno go to zirytowało, ale nie był w stanie zapanować nad reakcją starego ciała.

Wielokrotnie przeczytał krótką wiadomość, zanim zdecydował się włączyć komputer i podłączyć do niego dysk.

Cztery nagrania opatrzone kompletem danych dotyczących czasu, miejsca i występujących osób. Odtworzył je wszystkie po dwa razy. W tym czasie jego puls zwolnił, a ręce nieco się uspokoiły. Lecz były to jedynie zewnętrzne objawy. W

środku wciąż był roztrzęsiony. Ogarnęło go poczucie niemocy, którego w swoim życiu doświadczał nader rzadko.

Boleśnie uderzyła go świadomość, że nie wie, co począć ani jak zareagować. To wszystko nie mieściło mu się w głowie.

Ręce znów zaczęły mu drżeć zdradziecko, kiedy otworzył specjalny program do poczty, który najstarszy syn zainstalował mu na komputerze w gabinecie. Program automatycznie szyfrował całą korespondencję.

Mógł w tej chwili zrobić tylko jedno: niezwłocznie skontaktować się z Villumem i wezwać go do domu.

Rozdział 67.

Słońce przebijało się przez szarą warstwę chmur i przyjemnie grzało w kark, kiedy machając łopata w równym tempie, kopał rów przy asfaltowej drodze. Pora zrobić sobie przerwę, więc przysiadł na trawie z termosem i kanapkami.

Tak się chyba robi, kiedy się kładzie światłowody. Warto zauważyć, że to również praca fizyczna na świeżym powietrzu.

Cieszył się, że przynajmniej nie musi siedzieć w zamknięciu. Gorzej się miał Sonne, który cały dzień spędzi na pace dostawczaka, obsługując sprzęt.

Sonne nocował w samochodzie zaparkowanym kawałek od drogi. Musieli być na miejscu przez całą dobę, bo nie sposób było przewidzieć, kiedy pojawi się Villum. *O ile* w ogóle się pojawi.

Byli natomiast przekonani, że hrabia w ten czy inny sposób skontaktował się z synem, kiedy tylko kurier przekazał mu kopertę. Zatem coś na pewno będzie musiało się stać. I lepiej, żeby stało się wkrótce, zanim ręcznie przekopie pół miasta.

Właśnie wgrzył się w kanapkę z ciemnego chleba, kiedy dotarł do niego charakterystyczny, doskonale mu znany dźwięk. Zamarł i na moment przestał czuć przypiekające słońce. Był to dźwięk ciężkiego, pulsacyjnego łopotu w powietrzu. Dźwięk, który natychmiast stawiał jego ciało w stan gotowości, napinając wszystkie mięśnie i pompując do nich adrenalinę.

Nadlatywał z za pleców...

- „Delta trzynaście, tu Norseman czternaście, schodzimy za dwie minuty na dwustu sześćdziesięciu

stopniach, odpalcie granat dymny, odbiór”.

„Delta trzynaście, wilco, wypatruj niebieskiego dymu”.

„Norseman czternaście, widzę wasz dym, bez odbioru”.



Cała komunikacja powietrze - ziemia odbywała się po angielsku za pośrednictwem kontroli ruchu lotniczego, Forward Air Controller. Granat dymny miał wznieść chmurę barwnego dymu, która wskaże strefę lądowania. Za moment będą mogli wskoczyć na pokład. Za moment będą mogli oprzeć się o metalową ścianę i złapać oddech.

Odwrócił się i przed oczami zobaczył ich, biegnących zakurzoną ścieżką do helikoptera, który ich zawiezie do bazy w prowincji Helmand, gdzie już czeka kawa.

Ale nie, tym razem nie był to *gunslinger* ani *reaper*, jak lubili nazywać swoje helikoptery bojowe Amerykanie z ich zamiłowaniem do slangu i wrodzoną egzaltacją. Była to zwykła cywilna jednostka, w żaden sposób nie zasługująca na krwawą ksywkę typu „rewolwerowiec” czy „żniwiarz”.

Dźwięk siekącego powietrze śmigła nasilał się i przeszedł w piekielny łoskot, gdy helikopter niczym rój wściekłych pszczoł okrążył zamek, by po chwili zmniejszyć wysokość i podejść do lądowania.

Miejscowi musieli przywyknąć, że pan na zamku często zajeżdża do domu drogą powietrzną. Owszem, jeden starszy człowiek na rowerze uniósł głowę i odprowadził helikopter wzrokiem, ale po chwili pojechał dalej, jakby nigdy nic.

Villum za moment stanie na zamkowym dziedzińcu. Dokładnie tak, jak przewidzieli.

Robiąc łuk, natychmiast zauważył furgonetkę stojącą przy wiejskiej drodze na północ od zamku.

Był przekonany, że to właśnie tam ukryli się goście ze słuchawkami, którzy próbują wyciągnąć od niego dwadzieścia milionów. Kimkolwiek byli. I jakkolwiek trafili

na jego trop.

Najwyraźniej byli zawodowcami. Ich groźbę należało potraktować z najwyższą powagą. I tak też zamierzał ją potraktować.

To, co jego przeciwnicy uważali za swoją przewagę, on zamierzał wykorzystać przeciwko nim samym — i uderzyć z zaskoczenia.

Teraz w pełni skupił się na posadzeniu helikoptera na trawniku w tym samym miejscu co zawsze.

Metr po metrze, spokojnie i pewnie. Jest. Doskonale. Wyłączył silnik. Łopaty wirnika traciły prędkość, hałas ustawał powoli, lecz systematycznie.

Ojciec stał na końcu starego, rozwidlającego się mostu nad fosą. Czekał na niego. Pomachał mu ręką na powitanie, wyłączył pozostałe funkcje, odłożył słuchawki, otworzył drzwi i wyskoczył z kokpitu.

Ojciec ruszył mu na spotkanie. Wyglądał o niebo poważniej niż zwykle. Serdeczny uścisk nie zmienił tego wrażenia. Staruszek wydawał się mocno przygnębiony.

— Dobrze cię widzieć, tato. Musimy porozmawiać.

— Tak, wiem. Ale najpierw wypijmy szybką herbatę z mamą. W przeciwnym razie pomyśli, że coś się stało.

— Nie. To nie może czekać. Musimy porozmawiać teraz. Usiądźmy na chwilę na ławce.

Pociągnął ojca za sobą na drugą stronę mostka, w kierunku ławki stojącej pod ścianą szczytową zamku.

— Jest coś, co powinienes zobaczyć — powiedział, wydając z kieszeni telefon. Kilukrotnie wcisnął ekran i podał telefon ojcu. Chwilę potem hrabia podniósł na niego zdumiony wzrok.

— Villum! Co to oznacza? Przecież to tu, w głównym skrzydle!

— Zgadza się. Nagranie pochodzi z przedwczoraj. Jakiś

mężczyzna węszy wokół i rozkłada coś w różnych miejscach w skrzydle głównym. Jestem przekonany, że to minipodsłuchy. Zobacz teraz — to mój gabinet.

— Dobry Boże, ale jak...

— Pamiętasz naszą dawną rozmowę o wadach systemu alarmowego, który mamy na zamku? Obejmuje zaledwie skrawek terenu. Nie powiedziałem ci o tym, ale w zeszłym roku zainstalowałem w skrzydle głównym kilka małych kamer IP. Są w różnych miejscach — w biurze, sypialniach gościnnych, salonie, holu i tak dalej. Działają również w ciemności i są aktywowane czujnikami ruchu. Podłączone do internetu, zostały ustawione tak, by wysyłać powiadomienie na mój telefon za każdym razem, gdy któraś się włączy. Nagrania oglądam w czasie rzeczywistym albo mogę je pobrać na serwer. To, co tu widzisz, stało się przed południem. Mój telefon zawibrował, gdy byłem na spotkaniu. Myślę, że ten człowiek włamał się podczas waszego wypadu na obiad.

— Byliśmy w Ribe... Ale po co?

— To oczywiste. To ci sami ludzie, którzy cię obserwowali. Żądają teraz dwudziestu milionów. Chcą nas podsłuchiwać, żeby być zawsze o krok przed nami. A my im na to pozwolimy. Chcę tylko poczekać, aż się ujawnią.

— O czym ty mówisz? I kim są ci oni? Wiesz?

W oczach ojca widział strach i niepewność. Starzeje się. Może nawet bardziej niż sam lubi o sobie myśleć. Może już pora znaleźć sobie innego zaufanego pomocnika. Albo jeszcze lepiej: połączyć się z Kręgiem Wschodnim i zdobyć pozwolenie na wykorzystanie zaufanego genialnego „oficera” Danehofu Øst — Nielsena.

Mimo że ojciec wciąż miał umysł bystry i przenikliwy, wyraźnie załamała go świadomość, że obserwowano go i filmowano, a on niczego nie zauważył — i tym samym

srowadził na nich to całe nieszczęście.

— Czy to ludzie z PET, od Mossmana? Żądanie pieniędzy nie do końca do nich pasuje, nie sądzisz?

Ojciec spojrział na niego pytająco.

— Te dwadzieścia milionów to *może* być kamuflaż. Ale może być również realnym żądaniem. Wówczas rzeczywiście mało prawdopodobne, by stał za tym Mossman. Zobaczymy. Jak powiedziałem: pozwolimy im myśleć, że są o krok przed nami. Pójdziemy teraz do domu i napijemy się herbaty z mamą. Pamiętaj, że wszędzie mogą być mikrofony. Również w waszym skrzydle. Dlatego ani słowa o niczym istotnym, zwykła pogawędka. Potem wrócimy tutaj, omówimy wszystko, zrobimy notatki, przećwiczymy swoje kwestie i pójdziemy do mojego biura dać im to, na co czekają.

Sonne na chwilę uchylił drzwi, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Helikopter wylądował niemal dziesięć minut temu. Wkrótce coś powinno się wydarzyć.

Właśnie wrócił do łopaty, kiedy Sonne dał sygnał.

— Są, słyszę ich. Siedzą w kuchni — mówił szeptem, jakby bał się, że magicznym sposobem dźwięk przedostanie się również w drugą stronę.

Sam został na zewnątrz i czekał. Sonne słuchał w skupieniu. Widział poszczególne głosy jako podskakujące linie na wyświetlaczu nagrywającym rozmowy.

Po kilku minutach Sonne odsunął jedną słuchawkę, by poinformować go o bieżącej sytuacji:

— Siedzą i piją herbatę. Zwykła gadka szmatka. Hrabina jest z nimi, więc raczej nie od razu przejdą do rzeczy. Mam tylko nadzieję, że nie będziemy musieli czekać do wieczora.

— Spokojnie. Przecież nie przyleciał na pilne spotkanie, żeby tu tkwić w nieskończoność. Wkrótce odbędą swoją naradę.

Sonne potarł zmęczone oczy i znów nałożył słuchawki.

Wyglądał, jakby przydał mu się solidny sen — w łóżku.

On sam wrócił do machania łopata. Do tego stopnia był pewien, że wkrótce odbędzie się arcyważna rozmowa ojca z synem, że zamiast dalej kopać, zaczął już zasypywać swój rów.

Pęknięcie światłowodu zostało zlokalizowane, a szkoda naprawiona. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Nikt też nie zauważy, kiedy wkrótce stąd znikną.

Dochodziło wpół do dwunastej. Godzina, o której postanowili zacząć rozmowę w jego biurze. Wszystko dokładnie omówili na ławce. Ojciec zrobił sobie notatki, on również. Leżały przed nim na biurku.

Przećwiczyli wszystko tylko raz, bo niesłychanie ważne było, aby ich rozmowa nie brzmiała sztucznie. Muszą się zachowywać spokojnie i naturalnie. To on miał mówić przez większość czasu. Usłyszał pukanie.

— Proszę!

Przyłapał się na tym, że krzyczy. Mikrofon był tuż pod blatem, więc wcale nie musiał. Ojciec wszedł i usiadł na fotelu, uśmiechając się szelmowsko. To dobry znak. Zagra doskonale.

— Trzeba to uciąć i to natychmiast. To, co się stało, jest niedopuszczalne. Ale najpierw chciałbym, żebyś mi wszystko opowiedział od początku.

— Właściwie nie ma za wiele do opowiadania. Ja spałem po obiedzie, a mama dopiero co wstała, kiedy kurier z piskiem opon wjechał na dziedziniec z kopertą zaadresowaną do mnie.

Ojciec powoli i spokojnie opowiadał całą historię, tak jak się umówili. Sam parę razy mu przerwał, ale poza tym milczał.

— A list, masz go tu?

— Tak.

Ojciec wyjął list z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał mu. Przeczytał go dwa razy.

— Dwadzieścia milionów... Upadli na głowę, kimkolwiek są. A ten dysk?

— Proszę.

— Zatem dobrze, zobaczmy, co tam mają.

Wsunął dysk w port w swoim komputerze i odtworzył całą zawartość. Pomrukiwał przy tym lekko co jakiś czas.

— I co ty na to, Villum? Myślisz, że to dzieło Mossmana?

— To może być Mossman i spółka — ale równie dobrze może to być ktoś z dalszych kręgów organizacji, komu marzy się łatwa kasa. Nie mam pojęcia. Zwyczajnie nie mam pojęcia.

— Naprawdę myślisz, że to może być ktoś z wewnątrz?

— Przyszło mi to do głowy. Ale jedynymi ludźmi, którzy cokolwiek wiedzą, są ci, którzy wykonali dla nas tę robotę. A nie do pomyslenia byłoby, gdyby to oni zdradzili.

— Mamy takie pieniądze?

— Mogę je zdobyć w ułamek sekundy. Ale całą sprawę trzeba podnieść na forum. I ostateczna decyzja należy do Østu. Moim zdaniem nie powinniśmy płacić ani korony, tylko sami spróbować ich znaleźć — i usunąć.

— Zatem zgromadzenie? W trybie pilnym?

— Tak. Obawiam się, że jestem zmuszony wezwać Nord i Øst.

— Pamiętaj o procedurze awaryjnej.

— Spokojnie, wszystko wiem. Możemy się spotkać tutaj jutro o dziesiątej wieczorem.

— Tak późno? I dlaczego tutaj? Chyba nie mówisz poważnie?

Ojciec grał mistrzowsko.

— Tak, tak późno. To i tak bardzo krótki termin. I nie, oczywiście, że nie dosłownie tutaj. Spotkamy się w majątku,

w archiwum.

Reszta rozmowy była bez znaczenia. Przekazali to, co najistotniejsze. W bardzo przekonujący sposób.

Sidla zastawione.

Rozdział 68.

Scenerię spowijała mgła strachu i śmierci. Najgęstsza zaś była wewnątrz. Tam strach był niemal fizycznym bytem tkwiącym nieruchomo w zaduchu, sączącym się spomiędzy desek ścian i sufitu i ujawniającym jako żywiczny naciek.

Chodził tam i z powrotem. Na zewnątrz, na ciepłe sierpniowe słońce, i z powrotem do środka, w lodowaty cień. Próbował zrozumieć. Zobaczyć to, co niewidoczne.

Po raz czwarty podszedł do salonu i stanął w drzwiach. Rozmieszczenie ciał i rannego szefa PET znał na pamięć. W ręce trzymał gotowy raport z miejsca zdarzenia zawierający wszystkie dane balistyczne — liczbę oddanych strzałów, ich tor i kąt.

Wszystko się zgadzało. Cholernie zgadzało. Nie było... Telefon w kieszeni na piersi zawibrował.

— H.P. Andersen.

Dzwoniła jego córka. Matka kazała jej zapytać go, czy wróci do domu na kolację. Dzwoniła na służbową komórkę, bo prywatna została na parapecie w domu.

— Ach, normalnie nigdy jej nie zapominam... Tak, myszko, będę. Jestem teraz na Tåsinge i stąd pojedę prosto do domu.

Rozłączył się i z powrotem schował telefon do kieszeni. Młoda jest już prawie dorosła, ale dla niego wciąż była „myszką”. Nie był przekonany, czy jej zdaniem to jest funky albo cool, ale tak czy inaczej zносиła to dzielnie. Czasami niemal fizycznie czuł łączącą ich więź. A czasem — i to zdarzało się coraz częściej — siedzieli każde na swojej planecie i bezskutecznie próbowali się nawoływać.

Nie zawsze potrafił zrozumieć świat, w którym żyła. Spojrzeniem omiółł salon domu letniskowego, w którym

oznaczenia pozostawione przez kryminalistyków snuły własną, milczącą opowieść. A ona nie rozumiała świata, w którym żył on...

Znów zaczął się zastanawiać, jakie to musi być uczucie — patrzeć wprost w lufę i wiedzieć, że za ułamek sekundy wypadnie z niej kula i odbierze ci życie. Czy to właśnie czuł inspektor muzeum? A ci dwaj pozostali, dawni koledzy wynajęci przez szefa PET — czy po tylu latach służby mieli świadomość, że oto nadchodzi ona, ta ostatnia kula?

Jakkolwiek by się przed tym wzbraniał, będzie musiał wypuścić Axela Mossmana.

Mogli go zatrzymać na trzy doby i ten czas skończy się jutro przed południem. Oczekiwał, że sąd zasądzi dla szefa PET areszt tymczasowy. Tak się nie stało, ale arogancka góra mięsa będzie musiała poczekać do jutra, by się o tym dowiedzieć.

Nic na niego nie miał. Nic poza tym, że nie chce powiedzieć ani słowa, jak doszło do tego wszystkiego.

To prawda, że Mossman został postrzelony z broni, która tkwiła w ręce inspektora muzeum. Ale tor lotu nie pozostawiał złudzeń. Kula musiałaby zrobić pętle i zmienić kierunek, aby wylądować tam, gdzie ją znaleźli. Mossmana postrzelił ktoś inny, ktoś będący znacznie bliżej i pod innym kątem.

Okazało się również, że Heckler & Koch znaleziony pod wielkim cielskiem Mossmana nie był jego bronią służbową. Bo co do tego szef PET nie kłamał — w ogóle takowej nie posiadał. W każdym razie nie oficjalnie. Dowiedziono za to, że to z tej broni zabito Bulbjerga i drugiego mężczyznę znalezionego w salonie — lecz *nie* tego na tarasie. Poza tym sekcja zwłok Bulbjerga również wprowadziła mnóstwo zamieszania co do kątów, pod jakimi strzelano.

Summa summarum: ktoś chciał wrobić Mossmana w to

bagno. Fizycznie niemożliwe było, aby to on był sprawcą.

Zawodowcy stojący za masakrą w idyllicznym domku na skąpanej w słońcu polanie tym dokładnie byli — zawodowcami, którzy z góry przewidzieli, że każdy śledczy wyciągnie dokładnie taki wniosek. Nasuwa się więc pytanie bez odpowiedzi — po co wobec tego zawracać sobie głowę zacieraniem śladów? Co chcieli osiągnąć? Nadszarpnąć reputację szefa wywiadu? Opluć go i poniżyć — czy coś jeszcze?

Wnioski z raportów balistycznych i od ekipy z Fredericii to jedno. Ale byli jeszcze świadkowie, którzy pojawili się po tym, jak media w rekordowym czasie upubliczniły informacje o skądinąd utajnionym śledztwie. W pierwszej chwili myślał, że go rozerwie z wściekłości. Jednak kiedy emocje opadły, musiał przyznać to, co zresztą wiedział od zawsze — że opinia publiczna często posiada ten klucz, którego szukają.

Godzinę temu spotkał się z kobietą, która zadzwoniła przed południem. Mieszkała w Stjoul. Maleńkiej wiosce złożonej z kilku gospodarstw i paru domów. Otóż w dniu zabójstw poszła na pola szkolić psa.

Ku swojemu zdumieniu zobaczyła, jak kawałek dalej, na samym wybrzeżu, ląduje pięciu spadochroniarzy. Było to na plaży, niedaleko cieśniny Siø. Jakieś trzy kilometry od domu na polanie. Kobieta widziała ich niespełna dwie godziny przed czasem zabójstwa.

Jej obserwację potwierdziło jeszcze dwóch innych świadków — rowerzysta i wędkarz, który widział wszystko ze swojej łódki. Obaj mężczyźni widzieli również helikopter, który wylądował i zaraz poderwał się do lotu. Wszystko to miało miejsce na pierwszym otwartym odcinku pól przylegających do lasu Stenodde Skov, w którym doszło do jatki. Godzina również pasowała do szacowanego czasu

zabójstw.

Wszystko doskonale do siebie pasowało. Przeszły go ciarki na myśl, jak bardzo doskonale. Zabójcy sfrunęli bezszelestnie na spadochronach, a z powrotem zabrał ich helikopter. Przed martwymi nie musieli się skradać.

Wszystko z daleka śmierdziało operacją wojskową. Gdy nałożyć na to bełkot Mossmana o tajemnicy stanu, brzmiało to jak najbardziej logicznie. Tu ścierały się wielkie interesy. Zupełnie spoza repertuaru zbrodni, z jakimi normalnie miewali do czynienia tu, na Fionii.

Ostatni rzut oka. Inaczej niż poprzednimi razy teraz miał bardzo wyraźne przeczucie, że nie ma tu żadnego ukrytego detalu, żadnej nieujawnionej wskazówki, która naprowadziłaby go na nowy trop. Pokój „mówił” do niego całym skumulowanym w sobie przerażeniem, lecz nie zdradzał żadnych informacji.

Korytarzem wyszedł na taras, z którego spojrzał na wysoką trawę.

Niewielki obszar gęstych zarośli został odgradzony taśmą policyjną. To tam znaleziono najbardziej wyraźne odciski butów. Gipsowe odlewy pokazały wszystkie szczegóły. Były to dwie różne pary. Jedna o dwa numery większa od drugiej. Oba buty były ciężkie, a ich podeszwy miały głębokie bieżniki. Również one pasowały do teorii o operacji wojskowej.

Rozejrzał się wokół. Ciszę przerywał tylko pojedynczy świergot. Teraz ich widział. Pięciu mężczyzn. Po krótkim marszu z miejsca lądowania położyli się i z ukrycia obserwowali dom.

Potem, na sygnał, jednocześnie poderwali się i przystąpili do akcji. Jeden z nich zastrzelił strażnika na tarasie. Najprawdopodobniej z wytłumionej broni, by nie spłoszyć tych, którzy byli w domu.

Zakradli się do środka. I rozprawili się z pozostałymi. Szybko i brutalnie. Drzwi do pokoju otworzyli kopniakiem. Wszyscy, którzy w nim przebywali, doznali szoku. Strażnika numer dwa i Bulbjerga zastrzelił ten sam człowiek. Potem któryś z nich — być może lider grupy — wycelował z broni w Axela Mossmana i strzelił mu w brzuch, raniąc go do nieprzytomności. Potem starannie umieścili pistolety w odpowiednich dłoniach, tak aby wszystko wskazywało w jednym kierunku: na szefa PET.

Wierzył, że owe trzy doby będzie mógł wykorzystać na zebranie mocniejszych dowodów przeciwko Mossmanowi, takich, które przekonają sędziego, by przychylił się do wniosku o areszt. Zamiast tego będzie musiał wypuścić go na wolność.

Jednocześnie wyglądało na to, że on i policja okręgu Fionii będą musieli wycofać się z tej sprawy. Doszły go zresztą słuchy, że rozmaici szefowie z jego komendy szykują się na spotkanie z jaśniepanami z Søborga, którego termin już wyznaczono.

Jeśli nie uda się znaleźć szybkiego, dyplomatycznego rozwiązania, to skończy się przepychankami prawników na wyższym szczeblu.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że nikomu nie będzie się chciało angażować środków w to drugie. Dlatego spodziewał się, że w ciągu doby sprawa zniknie z jego biurka.

Ponownie zamknął dom, wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk. Bez problemu zdąży dotrzeć do Kerteminde na kolację.

Ostatnie wydarzenia odbiły się na jego życiu rodzinnym. Często brakowało go przy kuchennym stole. I teraz, gdy zostawiał za sobą cały dramat i wracał na własne podwórko, drażniło go również to, że porażka numer dwa wkrótce

stanie się faktem.

Pierwsze fiasko było nierozdzielnie związane z drugim. Ten sam człowiek umarł dwa razy. I w obu przypadkach to on musiał uderzyć się w piersi.

Ostatecznie jednak, kiedy wjechał na asfaltową drogę, kierując się w stronę mostu do Svendborga, mimo wszystko ucieszył się, że wkrótce odzyska swoje normalne życie.

Rozdział 69.

Pizza była wielka jak koło młyńskie. Margrethe przesunęła ją na środek stołu. Obaj z Sonnem mieli ochotę rzucić się na nią, gdy tylko wieko kartonu niczym most zwodzony uniesie się do góry.

— Pizza rodzinna numer czternaście. Smacznego — powiedziała, otwierając sezam.

To był długi dzień. Byli głodni, a Sonne był wykończony po nocy spędzonej w furgonetce. Wszystko przebiegło zgodnie z planem. Nie było nic więcej do zrobienia. Jutro o dwudziestej drugiej będą mogli przypuścić pierwszy poważny atak na Danehof, jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego.

— Sonne, możesz mi puścić nagranie, kiedy będziemy jedli? — spytała Franck.

Sonne pokiwał głową i na otwartym wieku kartonu z pizzą ustawił cyfrowy odtwarzacz wielkości dyktafonu. Po chwili z głośnika dobiegła poważna rozmowa hrabiego z synem w gabinecie młodego dziedzica w głównym skrzydle zamku.

Gdy nagranie się skończyło, Franck z uznaniem pokiwała głową.

— Dobra robota. Warto zauważyć, że ta rozmowa niezbicie dowodzi niewinności Mossmana, nie sądzisz, Niels?

— To prawda, przyznaję — odparł. — Moje podejrzenia były bezpodstawne, co nie zmienia faktu, że to kawał drania.

Na te słowa Sonne zastygł na moment z pełnymi ustami, ale powstrzymał się od komentarza.

Nie wiedzieli wprawdzie, co dokładnie powinni zrobić następnego dnia wieczorem, ale o ile gorący seks Villuma z Kajsą był szczęśliwym bonusem, o tyle rozmowa właściciela

zamku z ojcem otwarła przed nimi prawdziwy skarbiec informacji.

Poznali lokalizację archiwum. Mieściło się w „majątku”, zatem mogło chodzić jedynie o Gramgård przylegający do dawnych zabudowań gospodarskich.

Mieli się więc spotkać gdzieś na terenie gospodarstwa. I tam też znajdowało się archiwum. Do tego poznają tożsamość lidera Danehofu Øst, bo ich list wywołał tak wielkie poruszenie, że wszyscy trzej przywódcy muszą się zebrać na naradę wojenną.

Sonne przeżuł i spojrzał na nich.

— Słuchajcie. Jeśli jutro wszystko pójdzie zgodnie z planem, to będziemy mieli przełom w śledztwie, nie? Będziemy mieli lidera Kręgu Wschodniego, najsilniejszego z całej trójki. I będziemy mieli archiwum. Ale co dokładnie zrobimy jutro wieczorem? W ogóle o tym nie pomyśleliśmy. Uważam — z całym szacunkiem — że musimy się skonsultować z moim wujkiem. To on polował na nich przez te wszystkie lata. I to on jest strategicznym mózgiem całej akcji.

On osobiście najchętniej ograniczyłby udział Mossmana do niezbędnego minimum. Co było dziwne, bo nagranie rozmowy na zamku rzeczywiście oczyszczało szefa PET z podejrzeń i powinno uciszyć jego wątpliwości.

— Moim zdaniem to oczywiste, co powinniśmy zrobić. Musimy być niewidzialni i bacznie wszystko obserwować. Tylko tyle i aż tyle — powiedział.

— Może inaczej — zaproponowała Franck. — Myślicie, że to mogłoby się stać już teraz? Że teraz PET mogłoby przeprowadzić swoją wielką akcję? Zatrzymać całą trójkę i skonfiskować archiwum? A potem w ekspresowym tempie przekopać wszystko i poszukać przeciwko nim dowodów?

— Ale zatrzymać w związku z czym?

— Na przykład w związku z zabójstwem. Tych akurat jest do wyboru, do koloru.

— Tylko że tych ludzi nie da się powiązać z żadnym z nich. Nie mamy na nich nic, co pozwoliłoby ich zatrzymać choćby na trzy godziny.

— Wobec tego prawnicy będą musieli coś wymyślić. Chodzi tylko o to, żeby zyskać na czasie, byśmy mogli przetrzepać archiwum.

— Franck, zapomnij... to się nie uda. Poza tym w ten sposób ujawnisz wszystko, co wiesz. Nie mamy dowodów, że Kajsa to Nord i że ta trzecia osoba to Øst. Każdemu wolno się spotkać w Gramgård o dziesiątej wieczorem. Ani policja ani PET tego nie kupią. Zresztą przekonanie ich, z czym mamy do czynienia, trwałoby miesiące albo i lata. Danehof? Sól ziemi, elita władzy w Danii, organizacja o korzeniach sięgających średniowiecza. A Consilium? Poważany, społecznie zaangażowany think tank miałby być przykrywką dla działalności zbrodniczej? W to nawet moja matka z demencją nie uwierzy.

Franck w zamyśleniu przygryzła dolną wargę.

— Okej, okej. Powiedziałam to tylko tak, na próbę.

Rozłożył ręce. Ich rozmowa raz jeszcze przypomniła mu o jego własnym rozpaczliwym położeniu. Za murami tego domu wciąż trwa polowanie na jego głowę, bo podobno zasztyletował starszego człowieka.

— Nikt ci nie uwierzy, zanim nie pokażesz im całego pakietu naraz: wszystkich trzech archiwów, trzech przywódców, trzech kręgów z piętnastoma reprezentantami, czterdziestu pięciu wpływowych osób i do tego całej listy zbrodni — nowych i starych, karteli, nepotyzmu, korupcji. Nazwiska, miejsca, daty. A także — a może w szczególności — nazwiska wojaków, których wynajęli, żeby mnie złapać albo zabić, tak jak to zrobili z ministrem i Rybakiem, który

był moim przyjacielem. Cały, kurwa, pakiet. Jeśli czegokolwiek zabraknie, to wszystko na nic. To musi być absolutnie pewne, bez słabych punktów, idealnie zapakowane i podane. Dopiero wtedy ci uwierzą.

— Okej, powiedziałam już, że rozumiem. Masz rację, masz całkowitą rację...

Uśmiechnął się. Tak, ona wiedziała. Jeśli ktokolwiek wiedział, jak wielka czeka ich praca, to właśnie ona. Podobnie jak Sonne, miała niewyjaśniony, nabożny niemal respekt dla inteligencji Mossmana i czuła się pewniej, jeśli mogła się z nim skonsultować. Ten respekt akurat potrafił zrozumieć.

— A jeśli nie dostarczysz im na biurko gotowego pakietu, to bez trudu znajdą dla ciebie jakiś oddział zamknięty — wypalił na dokładkę.

— Może nawet ten sam, w którym umieszczą ciebie. Jesteś mordercą. I czubkiem. Albo psychopatą, skąd w sumie mam wiedzieć?

Sonne najwyraźniej czuł się nieswojo, stojąc na linii ognia. Zbyt słabo ich znał, by wiedzieć, że tylko się droczą.

— Mimo wszystko nalegałbym, żebyśmy porozmawiali z wujkiem. Nic więcej. Tylko rozmowa. Żeby się upewnić — wtrącił nieśmiało.

— Franck, jeszcze jedno, by już zakończyć tę dyskusję — ciągnął niezrażony Oxen. — Dlaczego akurat teraz Mossman pokierował własną, całkowicie utajnioną operacją, wciągając do niej swojego siostrzeńca i dawnych kolegów? Otóż dlatego, że nie ufa swoim ludziom z PET. Zatem oficjalne działania ze strony PET nie wchodzą w grę. Ale okej, Sonne, nie ma sprawy, poradzimy się twojego wujka.

Franck z zadowoleniem pokiwała głową:

— Zakładam, że wciąż leży w Svendborgu, mimo że został zatrzymany. Jutro rano ma stanąć przed sądem. Pojadę od

razu. Mnie na pewno pozwolą go odwiedzić.

Sonne odłożył filiżankę z kawą na stojący między nimi stolik. Przez kilka minut siedzieli w owej ciszy, która nastąpiła, gdy wyłączył telewizor.

Obejrzelili najnowsze wydanie wiadomości. Tym razem został zredukowany do krótkiej wzmianki, że nie ma nowych informacji. Wspomnieli też o Mossmanie i napięciu, z jakim oczekuje się jutrzejszej decyzji sądu.

W małym pokoju było niemal całkiem ciemno. Tylko latarnia za oknem rzucała odrobinę światła na tył głowy Sonnego, zmieniając go w czarny kontur.

— Jak... — Sonne odchrząknął. — Jak to jest widzieć się w telewizji, i w ogóle?

— Dziwnie. Bardzo dziwnie. I obco. I absurdalnie.

— Siedzisz po szyję w gównie, co? Tak mówi mój wujek.

— Twój wujek ma rację. To, co oglądasz w telewizji, to właśnie rzeczywistość, mimo że nie sposób jej pojąć. Jeśli teraz wyjdę na ulicę i powiem, kim jestem, w ciągu pięciu minut będę za kratkami.

— Poza historią o twoim psie i twoimi odznaczeniach nic z tego, co o tobie słyszałem, nie trzyma się kupy. Jak to się stało, że wpadłeś w takie bagno?

Nie mógł posądzać Christiana Sonnego o wścibstwo. Przez te wszystkie godziny, które spędzili razem w furgonecie, niespecjalnie się dopytywał. Ale gdyby miał teraz odpowiedzieć na jego pytanie, byłaby to potwornie długa historia. Nie był pewien, czy ma dość siły.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

Postać naprzeciwko niego pokiwała głową.

— Inaczej bym nie pytał.

— Okej... Jak to się wszystko zaczęło? Hm. Zaczęło się chyba pierwszego maja zeszłego roku. Pojechałem pociągiem z Kopenhagi do Skørping w Himmerland i

poszedłem do Rold Skov razem z moim psem, by tam rozbić obóz. Gdybym tego nie zrobił, nie byłoby mnie tu teraz. Po jakimś czasie, późnym wieczorem poszedłem lasem do zamku Nørlund leżącego na jego skraju. Poszedłem tam ze zwykłej ciekawości. Zobaczyłem jakichś mężczyzn w garniturach wyglądających na ochroniarzy, a gdy przechodziłem przez ogród, dostrzegłem, że coś dynda na drzewie. To był pies... został powieszony. Nie minęło kilka dni, a policjanci wczesnym rankiem otoczyli moje obozowisko i zawlekli mnie na komendę w Aalborgu jako podejrzanego o zabójstwo właściciela zamku, dawnego ambasadora, Corfitzena.

— Czyli ojca nowej szefowej Nordu, Karin „Kajsy” Corfitzen?

— Tak. Siedział martwy w fotelu w swoim gabinecie, przed śmiercią został ciężko pobity.

— Ale czemu ty?

— Jakiś kierowca widział mnie tamtego wieczora w pobliżu zamku, a w ogrodzie znaleziono ślady moje i mojego psa.

— Ale stąd do podejrzenia o zabójstwo...

— To był dopiero początek. Sytuacja eskalowała błyskawicznie. Problemy się nawarstwiały i pogrążały mnie coraz bardziej.

Słuchał własnego głosu, cicho i spokojnie opowiadającego Sonnemu historię wieszanych psów, której ten właściwie nie znał. W pewnym momencie poczuł, że w jakiś sposób cieszy go, że niespodziewanie może uporządkować tamtą sprawę, ułożyć ją sobie w porządku chronologicznym i zaprezentować w zrozumiałym sposób komuś innemu. Franck i Mossman znali szczegóły. Z Sonnem było inaczej. On był niewtajemniczony, więc teraz słuchał uważnie i ani razu mu nie przerwał.

Stracił poczucie czasu, nie wiedział, ile mu zajęło

przedstawienie całej historii z wszystkimi wątkami pobocznymi i zwrotami akcji. Zakończył opowieścią o tym, jak zrobiło mu się niedobrze podczas uroczystości na komendzie w Aalborgu, gdzie komendant okręgu Bøjlesen zachwalał współpracę z PET i ogłosił, że sprawa została w pełni rozwiązana, po czym wzbijając się na szczyty obłudy, zaprosił go na scenę, żeby mu wręczyć jakąś głupią skrzynkę win w podziękę za jego wkład.

Dlatego rzucił się do wyjścia, zbiegał ze schodów na łeb na szyję. Wrócił do Rold Storkro, spakował swoje rzeczy i nie zważając na to, że byli z Margrethe umówieni na kolację, poszedł w siną dal. Po prostu. Wędrował bez celu wiejskimi drogami. Aż w sylwestrową noc obudził się w stercie siana u starego hodowcy ryb, Johannesesa Ottesena, nad rzeką Skjern.

Serdecznego, ciepłego, mocno już zmęczonego życiem i pracą staruszką, który chciał, żeby na niego mówić Rybak, i za którego zamordowanie jest obecnie poszukiwany, gdyż na miejscu znaleziono jego nóż myśliwski marki Bowie.

— No tak, teraz parę rzeczy rozumiem znacznie lepiej — stwierdził Sonne, gdy po dłuższej chwili przerwał milczenie. — Mam nadzieję, że jutro zrobimy pierwszy krok na drodze do prawdy. I mam nadzieję, że któregoś dnia tobie też zaczniesz się układać.

— W tych archiwach jest wszystko. Osobiście strzegą tego, co może ich zniszczyć. Gdzieś — w Danehofie Nord, Syd albo Øst — znajduje się dowód, że to nie byłem ja. Jutro *musi* nam się udać.

Rozdział 70.

Nielsen wszedł do pokoju hotelowego; jak zawsze, cała jego postać wyrażała autorytet i władzę. Im częściej go widział, tym bardziej był przekonany, że pierwsze wrażenie go nie myliło: ów dojrzały mężczyzna był w którymś momencie swojego życia szefem i odpowiadał za innych ludzi.

— *Hello, Mr Smith.*

— *Hallo and welcome, Mr Nielsen.*

Podali sobie ręce. Oficjalny, krótki i mocny uścisk. Następnie usiedli przy małym stoliku.

Jak na Nielsena, pora była dość wczesna. Była zaledwie dwudziesta trzecia. Właśnie przeprowadził się do trzeciego hotelu od ich przyjazdu do duńskiej stolicy, Kopenhagi. Jego ludzie, zakwaterowani w trzech innych hotelach, również przenosili się według tej samej zasady. Nie więcej niż dwa dni w jednym miejscu. Była to jego złota zasada. Ptaka w locie schwytać jest najtrudniej.

Nielsen położył na stole teczkę.

— Wszystkie ważne informacje. Zdjęcia, mapy, rozmieszczenie budynków i charakterystyka terenu.

Otworzył teczkę i w milczeniu studiował jej zawartość. Nie śpieszył się. Roztrzasał każdą najdrobniejszą informację. Mając otwarty dostęp do całego materiału, od razu testował w głowie rozmaite scenariusze. Co będzie najlepsze? Co będzie najwłaściwsze?

Po jakichś dziesięciu minutach odłożył dokumenty.

— Wygląda całkiem do rzeczy — stwierdził.

— Będziecie na zamku jutro od trzynastej. To da wam mnóstwo czasu, aby dokładnie się rozejrzeć w świetle dnia.

— To będzie dla Oxena totalne zaskoczenie. Tym razem się nie wywinie. Dokąd mamy go odstawić?

— Na zamek. To tylko kilkaset metrów, ale wrzucicie go do bagażnika i przywieźcie. Nie chcemy przypadkowych świadków. Tuż obok biegnie droga asfaltowa.

— Tak, zauważyłem. W porządku. Podjedziemy na dziedziniec i tam go wyładujemy. A co z pozostałą dwójką?

— To samo.

— Pan również będzie na miejscu?

— Nie.

— Nasz odwrót?

— Na następny dzień przed południem macie zarezerwowane miejsca w trzech samolotach z Billund — do Paryża, Amsterdamu i Frankfurtu. Stamtąd odpowiednio do Heathrow, Gatwick i Stansted. Zgodnie z życzeniem.

— Znakomicie. Wreszcie zbliżamy się do finału — z pewnym opóźnieniem, za które raz jeszcze przepraszam.

— Jest jedna zmiana, jedyna odnośnie do warunków realizacji zadania.

Spojrzał pytająco na Nielsena, który wyjaśnił:

— Zmiana dotyczy Nielsa Oxena. I *tylko* jego... Jeśli okaże się to niezbędne w celu powstrzymania go przed ucieczką, zgodnie z najnowszymi wytycznymi macie pozwolenie na otwarcie ognia.

— Z jakim zamiarem?

— W razie konieczności — zabicia.

To kill... Przez moment zastanawiał się nad ową radykalną zmianą celu misji. Gdyby tylko od początku dostali taką swobodę działania, to w parę sekund zrównałby z ziemią rudę w lesie, zanim Oxen zdążyłby się schować do swojej lisiej nory.

— Rozumiem. Można wiedzieć, skąd ta zmiana?

— Każde zabójstwo odsłania nas i naraża na ryzyko.

Pozostałych nie musimy zabijać. Ich możemy skruszyć innymi sposobami. Ale nie będziemy w stanie złamać człowieka, który już stracił wszystko. Nie ma sensu przedłużać polowania. I tak trwało zbyt długo. Oxen pod żadnym pozorem *nie może* nam się ponownie wymknąć. Już lepiej, jeśli zginie na miejscu.

Rozdział 71.

Furgonetkę zostawili na polnej drodze kawałek dalej, za żywoplotem. W miarę zbliżania się do Gram byli coraz mniej rozmowni. Od zjazdu z autostrady nie zamienili ani słowa.

Sonne prowadził. Był blady. Oxen — spokojny i skupiony. Ona sama czuła się całkiem dobrze. Napięcie koncentrowało się w okolicy żołądka. Było niezbędne, by móc trzeźwo oceniać sytuację i błyskawicznie reagować.

Wieczne słońce zrobiło się złote. Dochodziło wpół do dziewiątej. Mieli półtorej godziny.

Dzień dłużył im się niemiłosiernie. Do mieszkania przyszła z samego rana, żeby opowiedzieć o swojej wizycie u Mossmana w szpitalu w Svendborgu. Szef PET powiedział, że zgadza się z Oxenem.

Muszą jedynie obserwować i jest to zadanie wyłącznie dla ich trójki. Włączanie kogokolwiek z zewnątrz na tym etapie będzie jedynie dodatkowym obciążeniem dla operacji.

Słowo Mossmana miało wielką wagę. Jego jasne stanowisko ucięło dalsze dyskusje.

Przed południem spędziła kilka godzin na kompletowaniu dla nich sprzętu. Trzy czarne kombinezony, trzy pary czarnych rękawiczek, trzy czarne kominiarki i puszka czernidła do twarzy. Wszystko kupiła w małym sklepiku w Odense z artykułami dla fanów paintballa.

Kiedy w tym samym sklepie wzięła do ręki wierną kopię AK47, myśląc, że dobrze byłoby mieć takie cacko na wieczorną akcję — gdyby oczywiście potrafiło miotać prawdziwym ołowiem — zadzwonił Christian Sonne. Mossman właśnie mu przekazał dobre wieści — prowadzący śledztwo z fiońskiej komendy odpuścił. Ostatecznie nie

zdecydował się nawet stawiać Mossmana przed sędzią. Szef PET jest wolny i może robić, co chce.

Chociaż nie do końca, bo na komendzie w Odense zwołano pilne spotkanie, podczas którego miały się odbyć negocjacje na najwyższym szczeblu. Komendant z Fionii i jego sekundanci kontra wierchuszka z Søborga. Gunhild Rask była zastępczynią Mossmana i szefową działu prawnego PET. To na nią rzucają się Fiończycy. Do tego szef administracji Bo Filmer, który będzie występował w charakterze dyplomaty, oraz główny komendant policji i szef operacyjny Martin Rytter, który odegra swoją rolę oscarowo, tak jak się tego nauczył od samego Mossmana.

Sprawa masakry w domku na Tåsinge zostanie przekazana PET. Nie może być inaczej, skoro niektóre jej aspekty mają związek z bezpieczeństwem narodowym. Słyszała niemal, jak to mówią.

Mossmana oczywiście uratują — wyciągną go na brzeg jak ciężko rannego lwa morskiego. Inna sprawa, że wielu z nich po cichu już zaciera ręce, bo cała afera jest gwoździem do jego trumny. Bo gdy już dojdzie do odsuniętej w czasie poważnej rozmowy z nową minister sprawiedliwości, szef PET będzie musiał ratować się sam.

Po spotkaniu Mossman nie zadzwonił powiedzieć, jak poszło. Obstawiała, że uwinęli się w dwie godziny i obie strony zachowały twarz. Policja okręgu Fionii znajdzie zapewne sposób na rozsądne wykorzystanie zasobów ludzkich, które niniejszym odzyska.

— Wysiadamy.

Na rozkaz Oxena wysiedli z samochodu. Otworzyła tylne drzwi i podała każdemu zawinięte w rulon i przewiązane sznurkiem ubrania. Mieli się przebrać dopiero po zajęciu pozycji w terenie. Byłoby źle, gdyby ktoś ich zobaczył w strojach operacyjnych. Ktoś taki mógłby zgłosić na policję

atak ninja na zamek Gram.

Położyła Sonnemu rękę na ramieniu.

— Sonne, dobrze się czujesz?

— Tak, w porządku.

— Tylko spokojnie, okej? Musimy jedynie postarać się być niewidzialni, a wtedy wszystko się uda. Wrócimy do domu na późną wieczorną kawę.

— Broń — sprawdzona i naładowana? — Oxen wszedł w tryb operacyjny. W nim najwyraźniej czuł się najlepiej. Czy on kiedykolwiek jeszcze będzie umiał żyć normalnie? Czy będzie go można wysłać do *Brugsena* po ziemniaki, mleko i chleb? I z czym wróci? O ile wróci?

— Czy wszyscy dokładnie wiedzą, jakie zająć pozycje, czy mamy to sobie powtórzyć ostatni raz?

Oxen w swoim żywiole. Z Sonnem spojrzeli po sobie i oboje pokręcili głowami.

— Nie trzeba — odparła.

— Sonne — twój interkom?

— Sprawdzony i sprawdzony ponownie.

— Broń?

Oboje przytaknęli. Oxen popatrzył na nich, unosząc brwi. Szedł na wojnę — z dwójką żółtodziobów pod opieką. Najwyraźniej zapomniał, że ona potrafi się sobą zaopiekować.

— Wolno wam strzelać tylko, jeśli będziecie jedną nogą w grobie, jasne?

Sonne pokiwał głową i zbladł jeszcze bardziej, o ile to możliwe.

— Zatem ruszamy. Rozdzielimy się przy drodze. W razie gdyby zaszło coś nieprzewidywanego, spotykamy się tutaj, przy samochodzie — powiedział Oxen.

Każde z nich wzięło pod pachę swój czarny tobołek i ruszyli. Szli polną drogą, testując słuchawki i mikrofony.

Wszystko działało bez zarzutu.

Rozdzielili się na poboczu przy starym zamkniętym młynie. Sonne i Oxen przeszli na drugą stronę i zniknęli za żywopłotem otaczającym teren gospodarstwa rolnego należącego do Gram. Ona zaś szła przed siebie, mijając po prawej stajnie i maszynownię, aby zająć pozycję przy drodze, obok drogowskazów.

— Tu Oxen. Sonne, zgłoś się, podaj status, dzięki.

Leżał płasko na brzuchu na skraju lasu. Ze swojego miejsca miał wolny widok na trawnik przed domem, ale widział też drogę do miasta i na zamek. Jeszcze widział, bo zmrok zapadał niepostrzeżenie.

Gdy usłyszał w uchu spokojny głos Oxena, przez moment zastanawiał się, w co się, u licha, wplątał. I to tylko dlatego, że potrzebował gotówki, bo rozwód doprowadził go na skraj bankructwa. Miał dwójkę dzieci. Dwie kochane dziewczynki, sześć- i ośmioletnią. Czy one nie były ważniejsze niż cała kasa tego świata? Chuj z domem, chuj z samochodem.

Tu stawką było życie... Tego nie da się kupić. I nie można zmienić zdania. Gdy raz wypuścisz je z rąk, przepadło na zawsze. Poczuł ucisk głęboko w żołądku. Poczuł... strach.

— Sonne, zgłoś się.

— Tu Sonne. Nic do zameldowania. Wkrótce przestanę widzieć drogę.

— Przyjąłem, bez odbioru.

Oxen brzmiał, jakby siedział przy stole w kuchni i zajadał się pizzą. Absolutnie spokojny. Gość był tak obwieszony medalami, że chyba nie byłby w stanie stać prosto, gdyby je założył wszystkie na raz. Przywykł do czołgania się po nocy z talibami wokół. Nie może się z nim porównywać. Byłby niepoważny, gdyby wymagał od siebie podobnego opanowania.

— Tu Oxen. Franck, zgłoś się, podaj status.

— Tu Franck, nic do zameldowania. Widzę dziedziniec zamkowy, ale niewiele poza tym.

— Tutaj też nic. Bez odbioru.

Podczołgała się metr bliżej w krzakach, które sięgały niemal szczytowej ściany dużego budynku zwróconego ku drodze. Według materiałów zebranych przez Sonnego była to Den Holstenske Lade (Stodoła Holsztyńska).

Wciąż wszystko doskonale widziała. Również po drugiej stronie drogi, gdzie znajdował się wjazd na duży, otwarty dziedziniec gospodarstwa Gramgård.

Czuła napięcie w całym ciele. I pełną koncentrację. Za pół godziny się zacznie, ale w którym miejscu? W samym domu czy w którymś z niezliczonych zabudowań?

Za nic nie wolno im spuścić ich z oczu, kiedy zapadnie mrok.

Zwykła obserwacja. Muszą pozostać niewidoczni. Nie mogli wiedzieć, czy trzej przywódcy Danehofu przyjadą z ochroną. Wszystko jednak wskazywało na to, że nie. To trzej cywile, którzy umówili się późnym wieczorem na terenie zamku Gram, aby omówić istotny problem.

Tylko tyle. A jednak po głosie poznał, że Sonne się boi. Franck za to była zimna jak skała. Dokładnie taka, jaką ją znał.

On sam był spokojny, choć minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz wezwał kogoś z pozostałych do podania statusu. Gdy to sobie uświadomił, przed oczami stanęły mu najrozmaitsze niepokojące obrazy, które jednak siłą woli od siebie odpędził.

Leżał na brzuchu pod żywopłotem oddzielającym teren gospodarstwa od otwartych pól. Miał stąd wolny widok na całe duże podwórko.

Wkrótce, gdy całkiem się ściemni, podczołga się kawałek bliżej i spróbuje dotrzeć do placu zabaw urządzonego

niedaleko domu. Znajdzie się wtedy również tuż obok Sonnego, co być może byłoby wskazane.

Była dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć, kiedy szeptem zgłosiła się przez interkom.

— Tu Franck. Na dziedzińcu zamkowym ruszył silnik samochodu. Stoi tam tylko rover hrabiego. Chwila, nadjeżdża w moim kierunku. Mija mnie. Kierowca wygląda jak Villum. Skręca w prawo, do majątku. Bez odbioru.

Sonne potwierdził, że i on ze swojej pozycji widział światła mijania. Oxen również.

Gdy otworzono drzwi samochodu, w środku zapaliło się światło. To był Villum. Znów się zgłosiła:

— Tu Franck. Przyjechał Villum. Wchodzi do środka.

Chwilę później zapaliły się latarnie otaczające parking przy domu.

— Włącza światła i przygotowuje się. Brakuje pozostałej dwójki. Mogą się zjawić w każdej chwili. Bez odbioru — wyszeptała.

W tej samej chwili poczuła, jak obleczone w rękawiczkę dłoń zaciska się mocno na jej ustach. Jednocześnie ktoś przystawił lufę pistoletu do jej szyi.

— *Quiet or you're dead* — wyszeptał jej prosto do ucha męski głos, a sprawne palce drugiej ręki przemknęły po jej ciele, znalazły broń przy pasie i wyjęły ją z kabury.

Mężczyzna wciąż zasłaniał jej usta ręką, a jednocześnie całym ciężarem ciała dociskał ją do ziemi.

— Tu Sonne. Zapaliło się światło w szczytowej ścianie domu. Nie bardzo umiem...

Odwrócił się, bo usłyszał za plecami cichy szelest. Zdażył dostrzec tylko czarny cień, zanim padł silny cios. Ból eksplodował w jego głowie i wszystko zalała czerń.

— Tu Oxen. Sonne, możesz powtórzyć? Sonne, powtórz.

Zero odzewu. Dziwne. Sonne przerwał połączenie.

Spróbował po raz trzeci. Wciąż cisza.

— Tu Oxen, Franck, zgłoś się. Podaj status. Franck? Zgłoś się. Powtarzam...

Podniósł się i uklęknął. Wydawało się, że sprzęt działa jak należy. Coś było cholernie nie tak.

Usłyszał za sobą głośny trzask gałęzi. I w tej samej chwili krzyk:

— Na ziemię! Ale już!

Głos krzyczał po angielsku. To oni, ci ludzie... przyjechali dokończyć robotę. Ale jak? Oczywiście — czekali na nich. To była zasadzka. Tym razem naprawdę wszystko skończone.

— Powiedziałem: na ziemię!

Dostał mocno w plecy kolbą i padł na twarz.

— Alfa do wszystkich. Cel główny pod moją kontrolą. Bravo, Charlie, Delta, do mnie. Bez odbioru.

Słyszał trzask gałęzi zarówno z lewej, jak i prawej.

— Smith?

Wołanie dobiegło z lewej. Mężczyzna za nim odpowiedział „tutaj”. Czyli to on był Alfą-Smithem, przywódcą grupy. Oczekiwano ich tu dziś — jego, Sonnego i Franck. Nakryto do stołu, jak na przybycie gości. Jak do tego doszło?

— Załóż ręce na plecy!

Za chwilę ręce będzie miał związane plastikowymi paskami. I będzie za późno. Jeśli pozwoli, by plastikowe opaski zacisnęły mu się wokół nadgarstków, wykona pierwszy krok w kierunku własnej śmierci.

To musi być teraz. Ani sekundy za wcześniej. Ani sekundy za późno. Dokładnie w chwili, gdy poczuje na skórze dotyk plastiku. W chwili, gdy przeciwnik będzie musiał podzielić swoją uwagę. Zaraz... teraz...

Mięśnie całego ciała napięły się i eksplodowały potężnym szarpnięciem, które pozwoliło mu przewrócić się na plecy, mimo że Anglik siedział na jego nogach. Mięśnie brzucha

były jak sprężyny. Lewym przedramieniem wytrącił pistolet na bok i grad kul rozsypał się w ciemności. Wszystkie siły włożył w cios kantem prawej dłoni wymierzony precyzyjnie w szyję mężczyzny. Cios ogłuszył go i mężczyzna stracił równowagę, dzięki czemu mógł go zepchnąć ze swoich nóg i wstać.

Nadbiegali z obu stron. Znów zobaczył broń maszynową wycelowaną w swoją stronę, mimo że Anglik wciąż był ogłuszony. Kopniakiem ponownie wytrącił mu broń z ręki, zerwał mu z czoła noktowizor i roztrzaskał mu go na twarzy.

Ten, który był najbliżej, otworzył ogień. Szybka seria strzałów.

Poczuł szarpnięcie w lewym barku. Nie zdążył dobrać swojej broni. Prawa dłoń automatycznie powędrowała w stronę karku. Jednym płynnym, szybkim jak mgnienie oka ruchem wyjął z pochwy nóż i rzucił go w napierającą na niego postać. Mężczyzna zatrzymał się gwałtownie, zrobił kilka chwiejnych kroków w bok, potem jeszcze kilka w przód. W końcu upadł, zaledwie dwa metry od niego.

Teraz wyjął swoją broń i zaczął strzelać w drugą stronę. Szybkie strzały na oślep. Wyłącznie po to, by ich zatrzymać — i zyskać na czasie.

Kątem oka widział ognie wystrzałów przeciwnika i o milimetry umknął przed nową serią, rzuciwszy się głową w przód w żywopłot. Przetoczywszy się kilka razy, rzucił się biegiem przez pole.

Biegł. Biegł najszybciej jak mógł. Po prostu — biegł. Coraz dalej w ciemność. Wiedząc jednocześnie, że nie powinien zbyt długo poruszać się w otwartej przestrzeni. Za chwilę rzucą się w pogoń wszystkim, co tylko mają. Pieszo i samochodami. A może i helikopterem.

Po lewej widział światła samochodu jadącego w stronę miasta. Zmienił kierunek i zaczął piec w stronę żywopłotu

rosnącego po obu stronach drogi. Po drugiej stronie stały duże zabudowania ze stajniami i maszynowniami, które mijali, idąc tu po tym, jak ukryli samochód. Samochód? Nie, niemożliwe. Sonne ma kluczyki.

Zatrzymał się, gdy dotarł do drzew. Pochylił się w przód i próbował złapać oddech. Pod powiekami mignęły obrazy zakrwawionej Margrethe, od których zacisnął mu się żołądek. Tyle krwi, płynącej po jej delikatnej, białej skórze. Otwarte oczy, wykrzywiona z bólu twarz.

Czy ona żyje? Jeśli nie, to wyrwie im serca z piersi i wrzuci w ogień.

— Niels, jesteś tam?

Jej głos zakradł się do jego mózgu. W kilka sekund ze świata umarłych do świata żywych.

Usłyszał go ponownie — niski szept w słuchawce.

— Jesteś tam? Jeśli mnie słyszysz: oboje żyjemy. Uciekaj. Nic nie możesz zrobić. Uciekaj, słyszysz?

Nim spod bluzy wyjął kabel z mikrofonem, już jej nie było. Usłyszał głucho uderzenie i jęk bólu. Ktoś ją uderzył. O ile dotąd zapomnieli wyrwać jej interkom, to teraz w każdym razie było po sprawie.

Już ją widział martwą, a jednak do niego wróciła. Oboje żyją, ona i Sonne. Operacyjna część jego mózgu przejęła kontrolę nad ciałem. To było jak mantra. Wyuczona, przećwiczona tysiące razy. Racjonalna konstatacja, że nie ocali się nikogo, narażając samego siebie na niepotrzebne ryzyko. Przeciwnie. Odbiera się wówczas i im, i sobie szansę na ratunek.

Musiał uciekać. Sposób, w jaki jego nieznani przeciwnicy podeszli do sprawy, aż nazbyt dobitnie ujawniał ich cel: tym razem najwyraźniej pozwolono im go zabić.

Dla Sonnego i Franck zapewne znajdzie się jakieś rozwiązanie później. Może zechcą się targować? On wciąż

miął ich archiwalia. Może więc wymiana?

Na końcu drogi zobaczył światła mijania. Chwilę potem dobiegł go odgłos przyspieszania. Jechali po niego. przebiegł przez drogę i wbiegł między budynki. Teraz musi się skupić wyłącznie na tym, jak dotrzeć do następnego rogu.

Będą się musieli trochę pomęczyć, jeśli chcą go dorwać.

Rozdział 72.

Samochód minął budynki i pojechał dalej wiejską drogą, ze znaczną szybkością. Chwilę potem nadjechał kolejny. Kawalek wyżej na drodze widział światła postojowe i wiązki silnych reflektorów, którymi omiatali otwartą przestrzeń na polach.

Na starą sztuczkę z powrotem po łuku w to samo miejsce raczej już się nie nabiorą, ale po prawej, przy drodze stał szereg zabudowań. Trochę im zajmie przeszukanie całego terenu.

Szczegóły pamiętał oczywiście z mapy. Kawalek wyżej po obu stronach drogi rozciągał się duży obszar leśny, ale zdecydowanie większa część lasu ciągnęła się na zachód.

Możliwych kryjówek było mnóstwo i ich poszukiwania mogą się okazać nad wyraz trudne. Jeśli to ta sama grupa, która go ściga od gospodarstwa Rybaka, to liczy siedem, może osiem osób — minus ten, którego trafił nożem.

Zdecydował. W tej chwili najważniejsze to oddalić się stąd, i to jak najszybciej, aby go nie osaczyli, gdy nastanie świt.

Był bowiem przekonany, że będzie tak jak ostatnio: lokalna policja otrzyma anonimowe zgłoszenie o tym, gdzie go widziano, zaalarmują posiłki i pościg za nim ponownie ruszy z wzmożoną siłą.

Od strony drogi dobiegły go głośne kroki w ciężkich butach i zobaczył światło latarki. Jakiś mężczyzna szedł podjazdem w stronę zabudowań. Latarka na moment omiotła pistolet maszynowy, który mężczyzna miał zawieszony na szyi.

Musiał uciekać. Zaczął się zakradać wzdłuż budynku i pchnął pierwsze napotkane drzwi. Znalazł się w oborze. Pod sufitem w szeregu wisiały słabe lampy wypełniające

pomieszczenie ciepłym światłem.

Obora była spora. Czarno-białe krowy nie stały przywiązane sznurami każda w swoim boksie, jak to zapamiętał z letnich wakacji przymusowo spędzanych u wujostwa w Jutlandii Zachodniej. Słabo się znał na rolnictwie, ale to, co tu zastał, nazywało się swobodny wypas. Tyle akurat wiedział.

Spojrzał na swoje lewe ramię. Jeszcze tam, w ciemności wymacał, że kurtka jest zakrwawiona i rozdarta. Teraz w tym słabym świetle mógł dokładniej obejrzeć ranę. Kula przeszła na wylot. Czy była powierzchowna, czy też przebiła mięsień — tego nie widział. W każdym razie nie bolało. Jeszcze nie.

Przez krótką chwilę stał, rozważając swoje opcje. Obora to ślepy zaułek. Musi iść dalej. Tyle że nie wiedział, gdzie się znajduje przeciwnik.

Dokładnie w chwili, gdy miał złapać za klamkę i uciec, dostrzegł na ziemi światło latarki. Ostrożnie wycofał się pomiędzy krowy, które zdawały się kompletnie nie dostrzegać spóźnionego gościa. Niektóre stały, inne leżały.

Chwilę potem otworzyły się drzwi stajni. Mężczyzna wszedł do środka i stojąc w miejscu, bacznie się rozglądał. Podobnie jak pozostali, miał noktowizor, w tej chwili odsunięty na czoło. Jedną rękę opierał na pistolecie. Poświecił latarką w podłogę i ponownie podniósł wzrok.

Dostrzegł ślady na betonowej podłodze? Krople krwi albo coś innego, co zdradzało jego obecność?

Jego przeciwnik, ubrany w czarny strój bojowy i uzbrojony dodatkowo w broń nieautomatyczną schowaną w kaburze przy pasku, najwyraźniej zastanawiał się nad kolejnym krokiem. Potem wszedł między krowy i wolno zbliżał się do środka obory, jednocześnie rozglądając się wokół. Co jakiś czas zamierał w bezruchu. Teraz obie ręce trzymał na broni.

Za chwilę zostanie dostrzeżony. Chyba że wycofa się i ukryje lepiej w skupisku krów pod tylną ścianą. Uklęknął, a potem podparł się rękoma. Ostrożnie ruszył na czworaka przed siebie, tarzając się w łajnie i wyściółce. Metr po metrze. Okrążył upatrzone skupisko krów i ukrył się pod ich brzuchami.

Jedna nagle poruszyła się nerwowo i niemal go stratowała. Jeśli przeciwnik to dostrzegł, ten sygnał mógł go zdradzić.

Poczołgał się jeszcze kawałek dalej i podniósł się dopiero, gdy znalazł się przy krowach z tyłu stajni. Stanął za jedną z nich i ostrożnie wyjrzał zza jej zadu.

Mężczyzna za chwilę dotrze do ściany. Jeśli potem pójdzie w lewo, staną ze sobą twarzą w twarz. Mężczyzna skreślił w... lewo.

Błyskawicznie się schylił i znów padł na kolana. Jeśli zachowanie krów rzeczywiście wydało się jego przeciwnikowi podejrzane, to może się z nim w ten sposób bawić tak długo, aż któraś z krów na niego nastąpi albo poderwie się nerwowo.

Ale jeśli gość nie jest do końca pewien, to pójdzie teraz wzdłuż tylnej ściany z powrotem do wyjścia i uzna, że budynek jest czysty.

Z najwyższą ostrożnością wczołgał się pod dwie stojące obok siebie krowy. Znajdował się teraz za plecami swojego przeciwnika. Trzy długie kroki i miałby kontakt. Spróbować?

Decyzję podjął w ułamku sekundy. Mężczyzna mógł mieć coś, co jemu mogłoby się przydać. Wysunął swój pistolet z kabury, ostrożnie podniósł się do przysiadu podpartego i na czworaka zbliżył się do niego o jakieś dwa kroki. Potem wykonał owe trzy długie susy.

Mężczyzna zdążył tylko odwrócić głowę, nim Oxen z całej siły uderzył go w skroń lufą pistoletu. Dwie krowy odskoczyły przestraszone. Przeciwnik stracił przytomność.

Przyklęknął obok niego, przewrócił go na plecy i pośpiesznie przeszukał.

Znalazł to, czego potrzebował — w kieszeni na piersi wojskowej kurtki. Telefon. Zabrał również portfel i paszport mężczyzny, które znalazł w tej samej kieszeni. Brytyjczyk, podobnie jak pozostali. Mark Johnson. Zapewne fałszywe nazwisko.

Pod wpływem impulsu poszukał w telefonie aparatu. Starł brud i słomę z twarzy mężczyzny i zrobił mu zdjęcie. Coś mu mówiło, że to im się może przydać i że nie powinien zmarnować takiej okazji.

Zabrał też jego latarkę i wraz z pozostałymi rzeczami schował sobie do kieszeni. Następnie wstał i spokojnie, przeciskając się między krowami, zmierzał do wyjścia. Trzeba uciekać, nim wrócą pozostali najemnicy.

Chwilę potem skradał się między budynkami, by dotrzeć do dużego hangaru. Drzwi w jednej ze ścian szczytowych były otwarte. Zakradł się do środka. Dopiero ukryty za jakąś ogromną maszyną rolniczą odważył się włączyć latarkę. W pomieszczeniu stały dwa ciągniki, kombajn, było jeszcze kilka innych maszyn rolniczych. Ale najważniejsze, że pod ścianą stała toyota pick-up.

Poświecił na przyczepę — załadowana słupami ogrodzeniowymi i zwojami drutu. Poświecił do szoferki. Kluczyk w stacyjce. Oczywiście. Nie był przecież „u siebie” w północno-zachodniej Kopenhadze.

Usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk. Silnik natychmiast zaskoczył. Pół baku. Wrzucił bieg i wyjechał z hangaru. Na drodze skręcił w prawo. Nie mógł wyjechać z miasta, bo wówczas ryzykował spotkanie ze swoimi prześladowcami. Musiał wybrać nielogiczną drogę okrężną, minąć zamek, przejechać przez miasto i wyjechać na duże rondo, skąd mógł pojechać na zachód, do Ribe, albo na

wschód, do Haderslev.

W tej chwili nie wiedział, który kierunek wybierze. Światła zostawił wyłączone i spokojnym tempem wykonał łagodny łuk, zgodnie z kierunkiem drogi. Dopiero gdy minął stary zajazd zamkowy, włączył światła mijania.

Pojedzie do Ribe, a stamtąd na północ. Wschód, a zwłaszcza południowy wschód, dałby mu znacznie mniej możliwości manewru, a już na pewno nie mógł się dać zepchnąć do granicy z Niemcami, gdy wkrótce ruszy nagonka.

Teraz musi jak najszybciej zostawić za sobą jak najwięcej kilometrów — i stale zmieniać samochód.

Rozdział 73.

Z rozciętej wargi przestała lecieć krew. Mężczyzna, który jej pilnował, uderzył z całej siły, gdy zauważył, że komunikuje się z Oxenem.

Cios powalił ją na podłogę. Mężczyzna bezceremonialnie złapał ją po prostu za dekolt i powłókł za sobą. Po chwili przyszedł drugi, ciągnął Sonnego, ciężko pobitego. Rozcięta brew wciąż mocno krwawiła.

Zostali wrzuceni do małego pomieszczenia na terenie majątku. Jeden z mężczyzn został przy drzwiach z ręką na karabinie. Tylko raz spróbowali ze sobą porozmawiać. Próba wywołała kopniak ciężkim wojskowym butem prosto w brzuch Sonnego.

Nie pojmowała, co poszło nie tak. Zostali zdjęci jedno po drugim. Czekali na nich i zaatakowali z zapadnięciem zmroku. Ale skąd wiedzieli...?

Drzwi się otwarły. Stał w nich Villum Grund-Löwenberg i ręką kazał, aby wstali.

— Proszę za mną — powiedział.

Ruszyli za nim do salonu, gdzie wskazał im kanapę i kazał usiąść. Strażnik dyskretnie trzymał się na uboczu. Villum usiadł w fotelu naprzeciwko nich.

— Kawa czy herbata?

Pan na zamku mówił głosem ścisłym i uprzejmym. Oboje pokręcili głowami.

— Margrethe Franck... i Christian Sonne... I co my mamy z wami począć?

Villum bacznie im się przyglądał. Margrethe hardo patrzyła mu prosto w oczy. Żałosny gnojek myślał może, że ich zakuje w dyby jak jego przodkowie pańszczyźnianych

chłopów w dawnych wiekach? Tego nie mógł zrobić. Ale mógł niestety zrobić wiele innych rzeczy. Mógł ich zlikwidować i pozbyć się kłopotu tu i teraz.

Pomyślała o Oxenie. I o swoich rodzicach. *Per aspera ad astra*. Przynajmniej zginie z zegarkiem na ręku. Villum milczał rozparty w fotelu.

— Oczekujesz odpowiedzi? — syknęła.

— Uważasz, że to za wiele, zważywszy na okoliczności? — Villum wzruszył ramionami i się zamyślił. — Może więc pozwolicie, że będę się głośno zastanawiał — powiedział po chwili. — Na początek chciałbym zwrócić wam uwagę, że bezczelnie wtargnęliście na mój teren i się na nim ukrywaliście. To nielegalne. Myślę, że powinienem zadzwonić na policję i to zgłosić. Tak, być może powinienem...

Zrobił przerwę na zastanowienie. Nie wyglądał, jakby ta sytuacja go bawiła albo sprawiała mu przyjemność. Patrzył to na niego, to na nią. Po czym mówił dalej:

— Z drugiej strony policja nie poświęca zbyt wielkiej uwagi takim zgłoszeniom, co zrozumiałe. Bo i po co? To przecież nie musi wcale was zniechęcić do złożenia mi kolejnej wizyty. Mógłbym również wybrać rozwiązanie ostateczne. Ale nie jestem barbarzyńcą. My nie jesteśmy barbarzyńcami. Staramy się możliwie najlepiej wywiązać z ogromnej odpowiedzialności, jaka na nas spoczywa. Zatem myślę, że to będzie wszystko na dziś... Możecie iść. Jesteście kompletnie *nieważni*. Zdążycie dojść do waszego samochodu i pewnie będziecie już w drodze do domu, kiedy zadzwonię na policję, by ich powiadomić, że wasz podejrzany o zabójstwo przyjaciela był widziany w tej okolicy.

W pierwszej chwili pomyślała, że to pułapka. Że chce tylko, aby się stąd oddalili w jakieś bardziej odpowiednie miejsce, w którym któryś z nich dwoma strzałami w tył głowy wykona

brudną robotę.

Villum spojrział na nią.

— Margrethe Franck, myślisz, że blefuję. Ale nie. Naprawdę możecie iść. Jeśli chcecie. Możecie zresztą opowiedzieć policji, co wam się tu przytrafiło. Choć myślę, że to może być wam trochę nie na rękę. Możecie też nie mówić nikomu, jest mi to obojętne. Możecie już wstać i iść. Jedno tylko mogę wam obiecać: zapłacicie za to, że się wam upiekło. Zniszczę was. To moja cena.

Villum Grund-Löwenberg wstał z fotela, pożegnał się skinieniem, powiedział coś strażnikowi i wyszedł z pokoju.

Strażnik machnął karabinem w stronę otwartych drzwi i powiedział:

— *Go now, out!*

Rozdział 74.

Ciemne gałęzie schowały niewielkiego opła corsę i uczyniły niewidocznym z drogi i z powietrza. Musiał zrobić sobie przerwę. Zastanowić się. Opatrzyć ranę. Zamknąć oczy, na góra dziesięć minut.

Właśnie miał przekręcić kluczyk w stacyjce, gdy usłyszał dzingiel i głos zapowiadający „wiadomości radiowe o siódmej”. Zaczął słuchać. Informację podali jako pierwszą:

„Dziś nad ranem ogromne siły policyjne włączono w pościg za podejrzanym o zabójstwo weteranem Nielsem Oxenem, który ukrywa się od jedenastu dni, odkąd, według policji, zamordował siedemdziesięcioletniego mężczyznę niedaleko Brande na Jutlandii. Policja otrzymała zgłoszenie, że wczoraj wieczorem widziano Oxena w Gram w Jutlandii Południowej, gdzie ukradł samochód. Pojazd znaleziono nocą porzucony w Ribe. W tej samej miejscowości zbieg najprawdopodobniej ukradł nowy samochód, a ślad, według informacji Duńskiego Radia, prowadzi dalej, do Esbjerg. Przed chwilą rozmawialiśmy z policją okręgu Jutlandii Południowej, która na razie nie komentuje sprawy. Naszym reporterom udało się ustalić, że policja ustawiła blokady na licznych drogach południowo-zachodniej Jutlandii i obserwuje szereg węzłów komunikacyjnych. Czterdziestoczteroletni Niels Oxen jest podejrzanym o zabicie właściciela stawów hodowlanych, u którego pracował. Oxen jest byłym komandosem. Weteranem wojennym i najwyższym odznaczonym duńskim żołnierzem w historii, jedynym, jak dotąd, wyróżnionym Krzyżem Waleczności. Uczestniczył w wielu misjach międzynarodowych. Uważa się, że cierpi na silny stres

pourazowy i może być skrajnie niebezpieczny. Niels Oxent to...”

Wyłączył radio. Informacje o jego ucieczce były bardziej szczegółowe niż dwie godziny temu. Wysiadł i się przeciągnął. Dopiero teraz bark na dobre zaczął boleć.

Było zupełnie cicho, poza porannym krakaniem samotnej wrony nie rozlegały się żadne dźwięki. Nie wiedział, gdzie dokładnie się znajduje, ale wiedział, że jest na jakiejś plantacji na południe od Herning.

Corsa była jego czwartym samochodem od ucieczki z Gram. Ukradł ją z małego wiejskiego domu na obrzeżach Tarm, stłukłszy szybę garażu, w którym samochód stał z kluczykami w stacyjce. Przy okazji zdjął z wieszaka starą koszulę i kurtkę roboczą, które rzucił na tylne siedzenie.

Przez stałe zmienianie samochodu miał nadzieję utrudnić robotę policji i zatrzeć ślady. Następny przystanek: Herning. Duże miasto z drogami dojazdowymi we wszystkich kierunkach. Esbjerg było koniecznym odstępstwem, bo zasadniczo zamierzał trzymać się środka kraju. To dawało mu więcej możliwości wyboru i przysparzało więcej trudności policji, niż gdyby dał się osaczyć.

Przyświecała mu tylko ta jedna myśl — reszta była improwizacją. Nie wiedział, jaki powinien być jego następny krok. Wiedział tylko, że policja szuka go wszędzie. A tuż za policją ścigają go ludzie wynajęci przez Danehof. Albo zostanie skazany za zabójstwo, albo zabity — właściwie żadna różnica.

W bagażniku znalazł apteczkę, którą ludzie często wozili w samochodzie. Musiał się teraz na poważnie zająć raną. Wciąż krwawiła — niezbyt mocno, ale wystarczająco, by stanowić zagrożenie. Wysypał zawartość pudełka na dno bagażnika.

Wiele godzin mu zajęło dotarcie aż tutaj. Kradzież

samochodu wcale nie była kwestią zbitcia bocznej szyby i połączenia dwóch kabelków, jak to pokazują w filmach. W Ribe ukradł samochód należący do ośrodka opieki. Stał na podjeździe z kluczykiem w środku obok czegoś, co wyglądało jak dom spokojnej starości. Wiedział, że natychmiast zgłoszą kradzież, dlatego porzucił wóz już w Esbjerg.

Telefon najemnika też wyrzucił — dosłownie. Mógł mieć włączony GPS, a nawet jeśli nie miał, to z odpowiednim sprzętem każdy telefon mógł zdradzić położenie. W ciągu pierwszej godziny ucieczki wykonał z aparatu dwa połączenia.

Zadzwoił do L.T. Fritsena — nie do warsztatu, tylko do domu, który też mieścił się na Amager. Telefon Fritsena teoretycznie mógł być na podsłuchu, dlatego powiedział jedynie hasło „Black Horizon”, by uruchomić procedurę awaryjną, którą uzgodnili już dawno. Fritsen pobiegł do swojej siostry, również mieszkającej na Amager, i tam zczekał przy jej telefonie stacjonarnym.

Pokrótkce wprowadził go w sytuację. Umówili się, że on wyśle z telefonu Anglika e-mail na adres siostry Fritsena, załączy wszystkie kontakty i skrzynkę mailową. Dodał też zdjęcia, które zrobił nieprzytomnemu najemnikowi w stajni.

W tej chwili na nic mu się to nie mogło przydać. Był ścigany i miał niewiele czasu. Ale kto wie, może któregoś dnia te informacje okażą się przydatne?

Na koniec poinstruował Fritsena, jak ma się zalogować na serwer w Singapurze, i kazał wstawić trzy krzyżyki. W przeciwnym razie nagranie z Rosborgiem zostałyby upublicznione w ciągu doby. Teraz, kiedy bydlak nie żył, wydało mu się bezcelowe przydawać cierpienia jego żonie i dzieciom.

Jego myśli stale krążyły wokół Margrethe Franck. Co się

mogło stać z nią i Sonnem? Czy nadal żyli? A może widział ją ostatni raz? Ostatni raz słyszał jej głos, gdy przez interkom szeptem wzywała go do ucieczki?

Najbardziej prawdopodobne było, że... że nie żyła. Że została zastrzelona i zakopana gdzieś na terenach należących do zamku, dokładnie tak jak w swoim czasie na zamku Nørlund zniknęła bez śladu pewna Litwinka. Na myśl o tym zrobiło mu się niedobrze.

Ostrożnie zdjął przez głowę zakrwawioną koszulkę. Właściwie nie był już w stanie unieść lewej ręki. Wacikami wytarł krew i po raz pierwszy przyjrzał się ranie.

Kula trafiła zewnętrzną część ramienia, tuż poniżej stawu. Weszła gładko do środka i gładko wyszła — najwyraźniej. Ale musiała po drodze przebić albo rozerwać duży mięsień naramienny, deltoid. Taki uraz może mieć poważne konsekwencje.

Posmarował ranę środkiem dezynfekującym, przytknął wacik i zakleił gazą, by utrzymać go na miejscu.

Na koniec ciasno owinął bandażem bark i ramię, co powinno zatrzymać krwawienie. Włożył ukradzioną z garażu bluzę. Na rękawach miała plamy z oleju i śmierdziała stuletnim potem — ale nie było na niej śladów krwi.

Był zmęczony. I głodny. I cholernie chciało mu się pić, ale wszystko to tylko fizjologia. Został wytrenowany, by radzić sobie z takimi rzeczami. Położył się na obu przednich siedzeniach i zamknął oczy. Krótka regeneracyjna drzemka może zdziałać cuda.

Gdy ponownie otworzył oczy, spotkał czyjś zdumiony wzrok. Patrzył prosto w pomarszczoną twarz starszego człowieka z worami pod oczami i krzaczastymi brwiami. Mężczyzna był ubrany w zieloną kurtkę, na głowie miał kaszkiet w tym samym kolorze.

Wyjął pistolet z kabury i wycelował w mężczyznę, który

teraz otworzył usta i z trudem łapał powietrze. Na jego twarzy malowało się czyste przerażenie. Wyglądał jak sparaliżowany.

Wysiadł z samochodu. Mężczyzna, który mógł mieć jakieś osiemdziesiąt lat, był w stroju myśliwskim i gumiakach. W ręce trzymał grubą smycz, ale nigdzie nie było widać psa.

— Gdzie twój pies?

Staremu drgał podbródek.

— Ja... ja go tylko... wypuściłem — wyjąkał.

— Przywołaj go.

Z powrotem schował broń do kabury. Starzec drżącą ręką wyjął z kieszeni gwizdek i po chwili przybiegł do nich szorstkowłosa wyżeł niemiecki. Wyglądał jak wariat, z rozbieganymi oczami i splątanym wąsem.

Uklęknął i przesunął dłonią po głowie i uszach psa. Dotykał psa po raz pierwszy od czasów Mr. White'a.

— Dobry pies. Jak się wabi?

— Boris.

— Boris, koleżko, jak tam? Nabroiłeś coś?

Znow pogałaskał psa i poklepał go po grzbiecie. Zwierzak, zachwycony, skakał wokół niego. Jego właściciel za to wciąż stał zesztywniały i ani drgnął.

— Poluje pan?

Stary przytaknął.

— Teraz to raczej... tak tylko, dla odprężenia. Już... już dawno... nie strzelałem.

— Więc Boris to pies gończy?

— Nie. To bardziej towarzysz...

Stary zerkał na zakrwawioną koszulę rzuconą pod przednią szybę.

— Czy to *pan*? Słyszałem... w radiu. Weteran... ten od tych wszystkich orderów?

Pokiwał głową.

— Tak. To ja.

— Wydawało mi się, że mówili o Esbjerg.

Staruszek powoli dochodził do siebie.

— Stamtąd przyjechałem.

— Zabije mnie pan?

— Nie, dlaczego?

— Bo... bo pana widziałem.

Pokręcił tylko głową.

— Więc pozwoli mi pan po prostu odejść?

Znów nie odpowiedział, tylko potwierdził skinieniem.

— Zrobił pan to? Zabił pan tamtego człowieka?

— Nie. Ale nikt w to nie wierzy.

— Mój starszy syn był na Bałkanach — ciągnął stary. — On też bardzo długo się z tym męczył, kiedy wrócił do domu.

— Bałkany. Tak, też tam byłem. Ma pan przy sobie telefon?

Mężczyzna zawahał się na moment, ale w końcu skinął głową.

— Obawiam się, że będę musiał go zatrzymać. — Wyciągnął rękę, a staruszek wyłowił z wewnętrznej kieszeni kurtki aparat i mu podał. Oxen pogrzebał w kieszeni i wysupłał z niej plik banknotów. Podał mężczyźnie jeden z nich.

— Proszę. Tysiąc koron. Nie wiem, ile coś takiego kosztuje.

— Dziękuję — powiedział mężczyzna wyraźnie zaskoczony.

— Jak daleko jest stąd do Herning?

— Kwadrans.

— Ma pan samochód gdzieś w pobliżu czy...

— Nie. Razem z Borisem co rano robimy sobie długi spacer. Mieszkam w małym gospodarstwie kawałek stąd.

Przez chwilę się zastanawiał, co zrobić. Przeklinał się w duchu. Gdyby nie uległ zmęczeniu i się nie zdrzemnął, nie byłoby tego całego problemu. A tak jednym potknięciem stracił całą przewagę. Cóż. Stało się i teraz nie było innego

wyjścia.

— Jak długo zajmie panu dotarcie do domu?

Staruszek przez chwilę milczał, obracając między palcami banknot.

— Trzy kwadranse, jeśli będę się śpieszył powoli — odparł wreszcie.

— I zrobi pan to dla mnie?

— Tak. Proszę się nie obawiać. Mógł mnie pan po prostu zastrzelić, więc... My z Borisem będziemy w domu nie wcześniej niż za czterdzieści pięć minut.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. Chodź, Boris.

Staruszek przywołał do siebie psa i ruszyli razem po śladach opon w głąb plantacji.

Rzucił w krzaki zakrwawioną koszulę, usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Musi jak najszybciej dotrzeć do Herning. Teraz liczyła się każda minuta.

Rozdział 75.

Jeśli ten telefon ma mu się na coś przydać, to musi go użyć teraz, zanim policja dostanie od staruszka jego numer. Podjechał więc pod galerię Herningcentret stojącą we wschodniej części miasta przy Silkeborgvej, wyjął telefon z kieszeni i przez chwilę tylko na niego patrzył. Po czym go odłożył. Nagle nie był w stanie się zdecydować. Może to zmęczenie dawało o sobie znać?

Stał na ogromnym parkingu przed wejściem B. Odwrócił się na siedzeniu, by się rozejrzeć. Cała okolica była usiana sieciówkami, sklepy stały dosłownie jeden przy drugim, a jednak przestrzenią niepodzielnie władał wielopiętrowy budynek centrum handlowego — ogromny poligon konsumpcji.

Mimo wczesnej pory na parkingu już stało mnóstwo samochodów, choć to pewnie nic w porównaniu z inwazją, jaka się rozpocznie, gdy centrum otworzy wszystkie swoje drzwi.

Miał wątpliwości. Zarówno co do telefonu, jak i tego miejsca. Czy było odpowiednie na zmianę strategii? Kawałek dalej mógł dostrzec duże tablice przy kolejnych skrzyżowaniach na Silkeborgvej. Tam czekała autostrada. W kilka minut mógł wybrać północ albo południe, albo autostradą Herning pojechać na wschód, do Silkeborga.

Zerknął na telefon, potem na drogowskazy i znów na telefon. W końcu wziął go do ręki. Ugiął się pod ciężarem ogromnej, obezwładniającej i niedającej spokoju niepewności. Był zmuszony skorzystać z opcji, która z góry wydawała się stracona. Jeśli jest gdzieś więziona, ma związane ręce i nogi albo — co gorsza — leży zakopana

gdzieś w lesie, to siłą rzeczy nie będzie mogła złagodzić jego męki. Ale może uda mu się choć usłyszeć jej głos na sekretarce...

Wybrał numer Margrethe Franck. Chwilę potem usłyszał:

— Franck, słucham.

Zamarł. Czy to naprawdę ona — a nie jakaś kobieta, która odebrała jej telefon? I której głos brzmiał całkiem jak głos Margrethe?

— Halo, kto mówi?

Otrząsnął się.

— To ja.

— Oxen!

— Myślałem...

— Nic ci nie jest? Gdzie jesteś?

— Nie mogę ci nic powiedzieć. Mogą nas słyszeć, mogą namierzyć naszą rozmowę.

— Jasne. Ale nic ci nie jest?

— Nie, jestem cały.

— Razem z Sonnem oglądamy na bieżąco wiadomości.

— A gdzie jesteście? I co się tam stało?

— Wypuścili nas.

Szybko streściła mu wynik rozmowy z Villumem w salonie na majątku.

— Że was zniszczy? Jak zamierza was zniszczyć?

— Nie wiem. Tak się wyraził. Powiedział, że to cena, jaką zapłacimy.

— Gdzie teraz jesteście?

— Jesteśmy w mieszkaniu w Nyborgu. Ja wracam do Søborga, z powrotem do pracy. Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić? Cokolwiek? Zrobię wszystko, wystarczy, że mi powiesz.

— Odezwę się, gdy wszystko przycichnie. Możliwe, że trochę to potrwa. Nic nie możesz zrobić. Śledzą każdy twój

krok. Tego możesz być pewna. Chociaż nie... jest jedna rzecz. W moim małym plecaku w mieszkaniu jest spora suma pieniędzy. I zdjęcie mojego syna. Możesz zabrać ten plecak i go dla mnie przechować?

— Jasne.

— A jak Mossman?

— Wie, jak się przedstawia sytuacja. Ale nic nie może zrobić. Ma spore kłopoty, by w ogóle utrzymać stanowisko.

— Powinniśmy kończyć. Wkrótce policja zacznie szukać telefonu, z którego dzwonię. Do zobaczenia.

— Niels, ja...

Franck urwała w pół słowa. Po czym dokończyła:

— Obiecuj mi jedno: że będziesz na siebie uważał, dobra?

— Obiecuję. Trzymaj się, Margrethe.

Rozłączył się i wrzucił telefon do schowka. Był już bezużyteczny. Ulżyło mu. Franck była bezpieczna. Ubyło jedno źródło niepokoju. Niecierpliwie bębnił palcami w kierownicę. Musi wyjechać z miasta. Ale w którą stronę? Za jakieś dwadzieścia pięć minut zacznie się prawdziwa nagonka — o ile oczywiście staruszek dotrzymał słowa i śpieszył się powoli.

Nie. Autostrada nie wchodzi w grę. Corsa też odpada. To zbyt ryzykowne. Absolutnie niepewny swojej ostatecznej decyzji wrzucił bieg i wolno ruszył przed siebie. Postanowił objechać całą galerię i w tym czasie spróbować poszukać odpowiedzi.

Kawałek dalej, na tyłach galerii, gwałtownie zahamował. Na dużej szarej tablicy przy wjeździe widniał napis: „P-Wschód”. Droga wiodła najwyraźniej do podziemnego parkingu, ale wewnątrz po prawej, za wysokim ogrodzeniem znajdował się plac rozładunkowy supermarketu Kvickly. Brama była otwarta.

Przy rampie stał samochód dostawczy. Na plandece

wielkimi literami napisane było „Świat na zielono”, a poniżej, mniejszą czcionką „Wszystko, co zielone. Hurt”.

Kierowca wysunął z przyczepy stojak na kółkach z mnóstwem jasnozielonych roślin doniczkowych i skierował się w stronę drzwi. Powinien spróbować? Korzyści? Wady? Na szybko ocenił swoje szanse. Po czym zjechał na parking i wyłączył silnik. Wysiadł z samochodu, rozejrzał się wokół, wbiegł na plac rozładunkowy i otworzył drzwi szoferki od strony pasażera.

Leżała na nim plastikowa tacka, a na niej stos papierów. Wyglądały na listy przewozowe. Omiótł dokumenty wzrokiem. „Świat na zielono” miał siedzibę w Silkeborgu. Zgodnie z kolejnością listów przewozowych kolejna dostawa była w Herning, potem trzy dostawy w Viborgu i na koniec dwie w Hobro, przed powrotem do Silkeborga.

Wycofał się z szoferki i przeszedł na pakę. Kwickly najwyraźniej ma dostać coś jeszcze. Winda hydrauliczna była wciąż opuszczona. Przyczepa była szczelnie zapełniona stojakami. Wyglądało tam jak w dżungli. Wszedł na przyczepę i bokiem przecisnął się na sam koniec.

Jednej rzeczy nie robił nigdy: nie zajmował pozycji, która definitywnie odcinała mu odwrót. Dokładnie tak, jak przygotowywał swój leśny tunel w domu u Rybaka — trzeba być jak lis, bo lis zawsze wygrywa.

Przyjrzał się plandece przymocowanej do metalowej konstrukcji gumowymi paskami i linami. Czołowa burta przyczepy była wyższa niż boczne. U góry można było na całej szerokości przyczepy odwinąć plandekę i utworzyć wąski otwór wentylacyjny. Poluzował lekko liny z jednej strony.

Uspokojony zasiadł na stercie worków z torfem. Często spoglądał na zegarek. Pozostało czekać. I trzymać kciuki.

Następne miejsce rozładunku w Herning było zaledwie

kilka kilometrów dalej. Jeśli sądzić po otoczeniu, to również był supermarket.

Kierowca trzykrotnie musiał wjeżdżać i zjeżdżać windą ze stojakami dla klienta. Winda akurat wjechała z powrotem na swoje miejsce na przyczepie, gdy usłyszał pierwsze ogłuszające syreny policyjne przejeżdżającego pobliską ulicą radiowozu.

Spojrzał na zegarek. Wszystko było mniej więcej tak, jak szacował. Policja w Herning nie działała błyskawicznie, ale też się nie ościągała. Dla niego rozpoczął się etap krytyczny.

Kierowca uruchomił silnik i włączył się do ruchu. Z początku jechał powoli, często hamował, skręcał i zatrzymywał się na światłach. Potem, w miarę jak oddalali się od centrum miasta, poruszali się szybciej. Jeszcze trzy razy słyszał syreny — całkiem blisko i w oddali. Aparat policyjny pracował na pełnych obrotach. Będą szukali srebrnej corsy i szybko ją znajdą. W pierwszej kolejności odetną drogi wyjazdowe, by zamknąć uciekiniera w obrębie miasta. Potem zaczną się przeczesywanie terenu.

Ciężarówka jechała już całkiem równym tempem, gdy nagle kierowca przyhamował. Na koniec już tylko się toczyli, aż całkiem się zatrzymali.

Uchylił plandekę. Kawalek dalej dostrzegł niebieskie migotanie. Więc jednak się nie udało...

Samochód co jakiś czas przesuwiał się o kilka metrów i znów stawał. W duńskich realiach zatrzymanie całego ruchu wyjazdowego z miasta było sytuacją rzadko spotykaną — ale zważywszy na powagę sytuacji, było posunięciem jak najbardziej logicznym. Miał tylko nadzieję na nieco dłuższy czas reakcji. Tymczasem wyglądało na to, że spóźnił się o głupie dwieście metrów.

Powinien zostać tu, gdzie jest? Czy lepiej wysiąść i wrócić do miasta dokładnie tak, jak tego oczekują? Jazda na gapę

mu pasowała. Kryjówka na przyczepie była doskonała, nie do wykrycia.

Stanął na workach z torfem, podciągnął się na zdrowej ręce, aż dał radę zarzucić nogę na przednią burtę i wyczołgać się na zewnątrz. Lewe ramię piekielnie bolało i marny był z niego pożytek, ale musiał się jakoś przytrzymać górnej krawędzi plandeki i podciągnąć w górę, nogami zapierając się o jedną z metalowych obręczy.

Z wielkim trudem zdołał się wciągnąć na dach i następnie przesunął się w tył przyczepy, aż dotarł do miejsca, gdzie krzyżowały się elementy stelażu podtrzymującego plandekę. Tam się położył, ręce i nogi rozłożył dokładnie na metalowych obręczach, by nie obciążać plandeki, na wypadek gdyby ktoś ze środka przyczepy zechciał spojrzeć w górę.

W nieskończoność ruszali i zatrzymywali się co parę metrów, aż z odgłosów wywnioskował, że dotarli do blokady. Słyszał, jak policjant każe kierowcy wysiąść z szoferki i otworzyć przyczepę.

Jeśli znaleźli corsę i *jeśli* policjant zapyta kierowcę o miejsca rozładunku, będzie to bardzo niefortunny zbieg okoliczności. Ale tak się nie stało. Wyraźnie słyszał zapewnienia kierowcy, że nie widział niczego podejrzanego, ale słyszał w radiu o pościgu za groźnym mordercą.

Słyszał, jak kierowca rozkłada i opuszcza windę, a potem usłyszał i poczuł, że policjant wszedł na przyczepę. Podeszwy ciężkich butów głośno dudniły na metalowej podłodze. Jeden fałszywy ruch mógł go teraz zdemaskować. Leżał jak kłoda, wstrzymał oddech.

— *Można by sądzić, że cholerna Green Zone będzie się roić od talibów, nie, Oxen?*

— *Nie sądzą, żeby TB przyjechali tu jeść warzywa...*

— *Idziemy do środka?*

— *Nie-e. Czekamy na wsparcie.*

► „Lima szesnaście, tu Kilo dwanaście. Tango-Bravo w drodze przez pole kukurydzy. Ośmiu bojowników. Uzbrojenie: kałasznikowy. Jeśli nie zmienią kursu, miną was całkiem bardzo blisko. Utrzymajcie pozycje. Potwierdź, odbiór”.

„Lima szesnaście. Zrozumiałem. Bez odbioru”. ◀

Policjant przykładał się do swojej pracy. Odgłos kroków na przyczepie ucichł. Musiał stanąć w miejscu. Może coś przykuło jego uwagę? Może zostawił jakiś ślad? Kroplę krwi? W końcu policjant znów się poruszył. Niemal krzyżąc, zapytał:

— Mówi pan, że jedzie pan z Silkeborga. A teraz dokąd pan jedzie?

— Do Viborga i Hobro — a potem do domu.

Dudniące buty przesunęły się z powrotem w stronę windy.

— Daje pan czasem żonie kwiaty?

— Hm. Nie... znaczy się nie mam...żony — odparł kierowca lekko zmieszany i z powrotem obniżył windę, by postawić policjanta na asfalcie.

— Dziękuję i szerokiej drogi — pożegnał się policjant.

Kierowca podniósł windę, wsiadł za kierownicę i wolno minął blokadę.

Więc jednak się udało. Teraz musiał tylko wrócić do środka przyczepy — i nie złamać sobie karku.

Gdy chwilę później wsunął się z powrotem do środka i usiadł na workach z torfem, poczuł, że rana na ramieniu znów krwawi, pewnie z wysiłku.

Wreszcie mógł odetchnąć. Cała uwaga skupiła się obecnie na Herning. W Viborgu nie będzie żadnych blokad, a w Hobro będzie musiał jedynie szybko czmychnąć z samochodu, gdy kierowca wygramoli się z przyczepy z pierwszą partią kwiatów.

O tym, co dalej, pomyśli potem.

Było po dziewiątej i słońce już zaszło, gdy wysiadł z autokaru na dworcu autobusowym w Frederikshavn. W ciągu chaotycznej doby udało mu się za pomocą najróżniejszych środków transportu przenieść z południowej części Jutlandii na samą jej północ. Należało utrzymać to tempo.

Dworzec autobusowy leżał na terenie portu ciągnącego się aż do dworca autobusowego. Zrobił rozeznanie terenu na dużym planie wiszącym w poczekalni i zjadł w tym czasie oba hot dogi z pobliskiego 7-Eleven. Gdy skończył, nasunął na oczy nową czapkę z daszkiem, przerzucił przez ramię równie nowy plecak wycieczkowy i obrał kurs na terminal promowy.

Ostatni długi odcinek jego ucieczki z Herning do Frederikshavn był równie spokojny, jak burzliwy był jej odcinek pierwszy.

Bez przeszkód udało mu się wyjść z przyczepy z kwiatkami pod sklepem na deptaku w Hobro. Pochodził trochę po mieście, w sklepie sportowym kupił sobie parę potrzebnych drobiazgów.

Czarną czapkę z daszkiem, cienki polar, by móc zdjąć z siebie cuchnącą bluzę, którą ukradł. Do tego kurtkę ortalionową i czarny plecak. Oraz — co ważne — mały nóż myśliwski. Nędzny, lecz konieczny substytut wysłużonego sztyletu, który rzucił w napierającego wroga w krzakach w Gram.

Ostatnich zakupów dokonał w księgarni, gdzie nabył rzecz tak podstawową jak notes i długopis.

Zostało mu jeszcze trochę pieniędzy, choć mały zwitek banknotów, w sumie pięć tysięcy koron, znacznie się skurczył. Jeden banknot posłużył do zapłaty za telefon, który zabrał starszemu panu. Drugi poszedł na zakupy i bilety

autobusowe. Teraz miał w kieszeni dokładnie dwa tysiące pięćset pięćdziesiąt osiem koron i pięćdziesiąt øre.

Niezbyt imponujący budżet, gdy pomyślał o ponad czterdziestu tysiącach w plecaku w Nyborgu i pięćdziesięciu tysiącach zakopanych w lesie niedaleko domku w gospodarstwie Rybaka, i kolejnych stu tysiącach, które włożył do walizki zakopanej nieopodal miejsca pochówku Mr. White'a w dolinie rzeki Lindenberg Å. Wszystkie pieniądze dostał od Mossmana. Była to zapłata za jego wkład w sprawę wieszanych psów. Pieniądze, których nie będzie mógł tknąć przez wiele najbliższych tygodni. Miesiące? A może lat?

Bezskutecznie szukał budki telefonicznej. Najwyraźniej były na wymarciu, jak płyty gramofonowe. Miasteczko Hobro wznosiło się na dwóch stromych wzgórzach. Na samym dole znalazł dworzec autobusowy. Z niego również chciał skorzystać. Nazwać to dworcem to duża przesada. Był to maleńki, niski ceglany budynek, który równie dobrze mógł mieścić budkę z kebabem albo kiosk z gazetami. Po drugiej stronie była pizzeria. Zagadnął chłopaka, który właśnie wynosił kartony z pizzą. Czy może pożyczyć jego telefon? Wahanie szybko przeszło w energiczne potaknięcie, gdy z kieszeni wyjął dwustukoronowy banknot.

Było mu głupio, ale nie miał wyjścia — musiał raz jeszcze poprosić Fritsena o pomoc za pośrednictwem jego siostry.

Chciał szczegółowo poznać swoje możliwości ucieczki wraz z całą logistyką i topografią. Jedno bowiem uświadomił sobie z całą brutalnością po wielogodzinnych rozmyślaniach na workach z torfem: musi się wydostać z kraju. Tylko za granicą ma szansę znaleźć schronienie, zaopiekować się swoim barkiem, zebrać siły i obmyślić kontrofensywę.

Tu zaś jedyną drogą była droga morska.

Fritsen sprzed komputera siostry zaprezentował mu pełny

obraz, dyktując informacje, które Oxen zapisał w notesie kupionym specjalnie w tym celu.

Sprawa wydawała się całkiem prosta: Grenå odpada, południe — też. Zostaje Hirtshals i Frederikshavn. Stamtąd odchodzą promy w czterech kierunkach: na Wyspy Owcze, Islandię, do Szwecji i Norwegii.

Pierwsze dwa kierunki były zbyt odległe, a poza tym były jak dobrowolne zapędzenie się w ślepy zaułek. Szwecja była mimo wszystko bliżej niż Norwegia. Kraj ogromny i pełen wielkich pustkowi. Tam będzie mógł zniknąć.

Czyli Szwecja. Wybrał trasę Frederikshavn — Göteborg. Była to trasa najkrótsza, jakieś trzy godziny na morzu. Do tego często uczęszczana, więc kursów było sporo i ludzi też.

Dlatego właśnie szedł teraz chodnikiem w stronę portu w Frederikshavn. Za moment, gdy będzie bliżej portu, na własne oczy się przekona, jakie ma opcje.

Prom Stena Line odchodził o dwudziestej drugiej trzydzieści. Jeśli tylko nadarzy się okazja, skorzysta bez wahania. W plecaku miał wodę i chleb kupione w całodobowym sklepie w Aalborgu. Jeśli nie wypatrzy żadnej możliwości, będzie musiał się gdzieś ukryć i poczekać do rana.

Jeszcze w Hobro podziękował Fritsenowi z telefonu dostawcy pizzy. Wierny druh kolejny raz pokazał, że można na niego liczyć. Potem podziękował chłopakowi za użyczenie i wrócił tych kilka metrów do terminalu autobusowego.

Mógłby co prawda pojechać bezpośrednim pociągiem, ale wolał nie ryzykować. W pociągu za bardzo rzucałby się w oczy. Tam ludzie siedzą naprzeciwko siebie i przyglądają się współpasażerom, bo nie mają nic innego do roboty. Autobus dawał większą anonimowość. Żadnych ciekawskich spojrzeń, wszyscy siedzą zwrócenieni w tym samym kierunku, jest mnóstwo przystanków po drodze, zwykły codzienny

kołowrotek.

Pierwszy autobus zawiózł go z Hobro do Arden, a następny do Støvring. Stamtąd przeszedł przez Rold Skov po własnych starych śladach.

Gdzie byłby dziś, gdyby wtedy, dawno temu, *nie pojechał* pociągiem z Kopenhagi do Skørping? Czy razem z Mr. White'em dalej mieszkaliby w piwnicy i wyjadaliby ze śmietników? Czy dalej kursowałyby na swoich stałych trasach, zbierając puszki?

Pytania narzucały się równie szybko, jak szybko je od siebie odsuwał. Tak dotarł do Aalborga, skąd kolejnym autobusem dojechał do Frederikshavn. Pasażerów było niewielu. Myśli mnóstwo. Oderwanych i tych bardziej spójnych. Próżno było szukać jakiegokolwiek innego podsumowania jego aktualnej sytuacji życiowej niż to, że był poszukiwany za zabójstwo i musiał zniknąć.

Po drugiej stronie drogi minął wizytówkę Frederikshavn — okrągły biały budynek prochowni. Miasto najwyraźniej wciąż przechowywało swój proch strzelniczy w bezpiecznych warunkach. Wysokie żurawie stoczni Orskov wyciągały szyje zza palisady morskiego parku biznesowego. Sporo pojazdów gotowych do przeglądu, a poniżej jasno oświetlony stał terminal Steny Line.

Przeszedł przez ulicę i podążył za kierunkowskazami. Nagle stanął w pół kroku. Światła dwóch radiowozów przecinały ciemność niebieskimi błyskawicami. Przeliczył się.

Samochody stały po obu stronach wjazdu na pierwszy odcinek otwartego terenu nabrzeża. Gdzieś widział policjantów przeprowadzających wyrywkową kontrolę, gdy pozostałe pojazdy musiały cierpliwie czekać. O tak późnej godzinie ruch nie był wielki. Na wjazd na prom oczekiwały głównie ciężarówki.

Schował się w cieniu i obserwował. Spodziewał się wzmożonej kontroli przy przeprawie promowej, ale nie aż tak wzmożonej.

Większość ciężarówek miała przyczepy chłodnie, kontenery albo była zamkniętymi samochodami dostawczymi. Pozostałe były szczególnie dokładnie sprawdzane przez policjantów. Za to samochody osobowe przepuszczali od razu, zaglądali tylko przez okna.

Dopiero dalej stała właściwa blokada całego ogromnego terenu portu. Stena Line miała sześć bramek płatniczych i kontrolnych, przez które musiały przejechać wszystkie pojazdy, by stanąć w kolejce do wjazdu na prom.

To była wyjątkowo ryzykowna operacja. Jeśli uda mu się znaleźć ciężarówkę i zakraść na przyczepę na przykład na jakiejś stacji benzynowej albo parkingu, powinien przejechać przez blokadę policyjną, ukryty na dachu. Ale jeśli miałby się wspiąć na dach przyczepy już na terenie terminalu, istniało duże prawdopodobieństwo, że zostanie dostrzeżony przy pokonywaniu wszystkich przeszkód.

Trzecia opcja nie wchodziła w grę: zakraść się od razu na pokład. Zbyt wiele personelu na nabrzeżu. A jeszcze ciężiej będzie po zadokowaniu i otwarciu pokładu samochodowego.

W ciemności na morzu dostrzegł feerię świateł. To musiała być Stena Danica wracająca do portu z Göteborga. Nie było warunków do podjęcia jakichkolwiek działań. Dziś nie dotrze do Szwecji. Może jutro rano złagodzą kontrolę? Albo całkiem ją odwołają?

Po rozczarowaniu nagle ze wzmożoną mocą poczuł zmęczenie. Nie miał więcej pomysłów. Nie miał więcej rozwiązań. Nie miał więcej sił. Od dwudziestu czterech godzin uciekał i się ukrywał. To go wykończyło. Musiał odpocząć. Wrócił na ulicę biegnącą wzdłuż portu, a z niej skręcił w lewo, w stronę miasta.

Chodził bez celu, wypatrując miejsca na nocleg. Wszędzie same domy jednorodzinne, bliźniaki i małe posiadłości z ogródkami. Musi poszukać gdzie indziej, w innej części miasta.

W pewnym momencie, gdy przechodził obok stojących w rzędzie ławek, zauważył dużą tablicę umieszczoną tu przez miejscowe biuro podróży. Obok planu miasta była mniejsza mapka okolicy.

Przestudiował plan miasta. Wciąż nie wiedział, dokąd pójść. Trzeba po prostu chodzić i się rozglądać. Prędzej czy później będzie musiał się natknąć na jakieś możliwe lokum.

Potem bezwiednie przesunął wzrok na mapkę okolicy. Jakies cztery, pięć kilometrów w górę wzdłuż morza leżało małe miasteczko, Strandby. Na mapie zaznaczono w nim port. A jeszcze kawałek dalej, na skraju mapy kolejne miasteczko — Ålbæk. Tam też powinien być port. Dzieliło go od niego jakieś dwadzieścia kilometrów.

Zatem istniały inne opcje poza portami i kierunkami, które podyktował mu do notesu Fritsen. Poszedł dalej, skręcił w boczną drogę wiodącą w dół i szedł przez miasto, licząc, że pech się od niego odwróci.

Kilka ulic dalej przystanął na chodniku. Po drugiej stronie drogi wznosił się duży — w lokalnej skali — narożny budynek z czerwonej cegły. Miał cztery piętra plus poddasze. Na fasadzie dużymi białymi literami napisane było „Bakkegården”.

Przeszedł po skosie przez ulicę, która adekwatnie nazywała się Vinkelvej, i powoli wszedł do bramy. Światło było rozproszone. Budynek zakręcał pod kątem prostym, a teren na jego tyłach przypominał raczej park z trawnikami, żywopłotami, placem zabaw i małym boiskiem niż zwykłe podwórko przy kamienicy.

Na podwórku było zejście do piwnicy, a w nim drzwi do

każdej klatki. Ruszył w lewo i zaczął od końca. Za każdym razem porażka. Miał nadzieję, że ktoś niedokładnie zamknął drzwi i uda mu się dostać do piwnicy, ale mieszkańcy Bakkegården byli najwyraźniej bardzo ostrożni. Po wypróbowaniu wszystkich musiał stwierdzić, że budynek jest niedostępny.

Już miał opuścić podwórko, gdy zobaczył światło. Schował się za kontenerem na śmieci, gdy obok przeszła kobieta z rowerem. Prowadziła go do wejścia do piwnicy. Pośpieszył za nią, zeskoczył ze schodów i w ostatniej chwili wsunął palce w szparę, nim drzwi się zamknęły.

Gdzieś w głębi piwnicy kobieta szamotała się z rowerem i blokadą. Ostrożnie otworzył drzwi szerzej i zakradł się do środka. W pierwszym otwartym pomieszczeniu w rzędzie, na stojaku stały rowery, a w rogu leżał stos pustych kartonów. Przykłęknął za kartonami i czekał. Kobieta już nie wyszła. Usłyszał jednak trzask innych drzwi. Zatem z piwnicy można było wejść na samą klatkę schodową.

Wyprostował się i przeszedł do następnego pomieszczenia, również przeznaczonego na rowery. Potem zaczynał się długi korytarz z małymi boksami po obu stronach. Boksy były z mocnej siatki. Na drzwiach każdego wisiała mała tabliczka z numerem mieszkania. To tu mieszkańcy trzymali swoje ziemskie dobra — te, które uznali za niepotrzebne, ale jednak nie dość, by je wyrzucić.

Światło zgasło. Znalazł kontakt z dużym przyciskiem i ponownie je zapalił. Światło wyłączało się zatem samo po mniej więcej pięciu minutach.

Na niektórych boksach wisiały kłódki, inne były zamknięte sznurkiem albo drutem. Niektóre wypełnione po sufit, inne prawie puste.

Rozplątał drut pod numerem trzy i wszedł do środka. Na kilku metrach kwadratowych leżały siedziska foteli rzucone

na ustawione jedno na drugim plastikowe krzesła ogrodowe. Był też blat stołu ułożony bokiem, ponadto zmieściły się dwa zwinięte dywany, dwa stosy kartonów, stary kredens i zardzewiały męski rower.

Pomieszczenia po obu stronach były zapełnione, więc z boku nikt nie mógł zajrzeć do trójki. Był całkowicie usatysfakcjonowany. Oto znalazł nocleg na tę noc, w hotelu Bakkegården.

Ramię było całkowicie bezwładne, a ból był teraz ciągły. Usiadł. Zdjął bluzę, rozwinął bandaż, odkleił gazę i zdjął waciki. Krew przesiąkała przez opatrunek. Rzucił krwawe strzępy w kąt, szybko wyszedł z powrotem na korytarz, żeby włączyć światło, i wrócił, aby dokładnie obejrzeć ranę.

Rana znów się zasklepiła. Choć oczywiście każde nadwreżenie mogło ją ponownie otworzyć. Dlatego też od czasu podróży na dachu ciężarówki z kwiatami starał się tą ręką nie ruszać. Posmarował ranę świeżą warstwą maści, obłożył dwoma czystymi wacikami i z ostatniego metra bandaża elastycznego wykonał ciasny opatrunek.

Znów włożył bluzę. Następnie ustawił blat stołu pod drzwiami, a ostatnie prześwity zasłonił kartonami. Na koniec ułożył siedziska na podłodze, w dwóch warstwach, i dodał warstwę na górną część ciała.

Wreszcie się położył. Zamknął oczy i zastanawiał się, czy Herning wciąż jest hermetycznie zamknięte, czy też policja wpadła na inny pomysł.

Niemal sobie wyobrażał, jak przywódcy Danehofu pociągają za niewidzialne sznurki, by na bieżąco monitorować przebieg pościgu i mieć stały dostęp do informacji z okręgów policyjnych Jutlandii.

Przeczysywali całe dno morskie, szukając jednej tylko ryby. I nie, nie będą mieli satysfakcji wyciągnięcia jej na brzeg...

Po kilku minutach chaos w jego głowie ucichł i Oxen

zapadł w głęboki sen.

Rozdział 76.

Mała uliczka, zaczynająca się przy stacji, dochodziła do drogi krajowej na Skagen. Po prawej widział zarys stacji benzynowej, tuż przy tablicy oznaczającej wjazd do miasta. Gdyby skręcił w lewo, za dwadzieścia kilometrów znalazłby się w najbardziej na północ wysuniętym punkcie kraju.

Przedpołudniowe słońce przebijało się spomiędzy wielkich poszarpanych chmur i kładło ciepły kompres na twarz. Przystanął na chodniku. Kilka metrów przed nim były dwa sklepy spożywcze i mięsny. A po drugiej stronie, na rogu, mała knajpa. Przy stolikach nie było nikogo. W roboczy dzień pod koniec sierpnia raczej nie można się już było spodziewać dzikich tłumów. Lato w położonym nad samym morzem Ålbæk, dokładnie w połowie drogi między Frederikshavn a Skagen, kończyło się szybko.

Przyjechał tu lokalnym pociągiem w niecałe dwadzieścia minut. Były dwa proste powody, dla których wysiadł w Ålbæk.

Z piwnicy wyszedł wczesnym rankiem. Ostatecznie udało mu się zaliczyć kilka godzin dobrego snu na podłodze, nim obudził go silny ból w barku. Ruszył prosto do portu, żeby sprawdzić, czy sytuacja na terminalu Steny poprawiła się od wczoraj. Nie poprawiła się.

Nadal roiło się tam od funkcjonariuszy kontrolujących wszystkie pojazdy wjeżdżające na teren portu. W dzień jego pomysł wydawał się jeszcze bardziej ryzykowny niż nocą. Nie było najmniejszych szans, aby wskoczyć do którejś z ciężarówek — nim zdążyłby to zrobić, musiałby się najpierw całkowicie odsłonić.

Po lewej stał wielopiętrowy budynek mieszczący biura

kontroli celnej. Każde z niezliczonych okien oznaczało potencjalne ryzyko wykrycia. Po prawej z kolei stały szare budynki portu marynarki wojennej, stanowiące szczelną barierę, przez którą nie sposób byłoby się przecisnąć.

Postanowił dać sobie spokój i skupić się na dwóch mniejszych miastach, które wypatrzył na tablicy informacyjnej: Strandby i Ålbæk.

Z biura informacji turystycznej, które znalazł przy szerokiej ulicy będącej główną arterią portu, wziął broszurę. Strandby, leżące zaledwie kilka kilometrów od Frederikshavn, choć małe, było mimo wszystko nieco większe od Ålbæk. Tamtejszy port również był większy.

Dla niego im mniejszy port, tym lepszy. Szukał miejsca możliwie najmniej ruchliwego. Dlatego wybrał Ålbæk.

Nie było się nad czym zastanawiać. Ulica przed nim nazywała się Sdr. Havnevej. Ruszył wolnym krokiem w stronę dzielnicy willowej. Po przejściu kilkuset metrów minął ostatnie ogródki. Dalej ciągnęła się ziemia niczyja, porośnięta chaszczami, wysoką trawą, brzoźami karłowatymi, oddzielająca ulicę od portu.

Po prawej, w głębi lądu, w kilku rzędach stały jachty zostawione tu na przechowanie. Po lewej ciągnęły się magazyny. Przed nim, po prawej stronie stała budka, coś na kształt bramki kontrolnej portu Ålbæk.

Zabudowania po lewej okazały się być niewielką stoczną, której hala i główny budynek stanowiły główne zabudowania portu. Brama była szeroko otwarta. Wewnątrz jacyś ludzie, słabo widoczni w mroku, naprawiali mały kuter.

Dokładnie na wprost jedna przy drugiej stały budki do przechowywania sieci i innych sprzętów. Dwie inne budki wyglądały na pomieszczenia socjalne. Przed nimi parkował skuter ze skrzynką mleka z tyłu, stały też dwa rowery. Drzwi do jednej z budek były otwarte i słyszał dochodzące stamtąd

głosy.

Powoli minął obie budki i skierował się w stronę większego drewnianego budynku, dalej, przy nabrzeżu. Mieściła się tam giełda rybacka. Jego uwagę przykuła mała, biała tabliczka. „Port jest objęty monitoringiem”, ostrzegała.

Odwrócił się i przez chwilę rozglądał się po małym porcie z kilkoma zaledwie pomostami. Wszystkie budynki były drewniane i pomalowane na jednakowy, ciemnoczerwony kolor, a okna, belki okapowe, listwy ozdobne i balustrady były białe. Jednakowe kolory, jak na szwedzkiej prowincji. Uroczy mały port.

Cumowało tu kilka niewielkich kutrów, reszta łódek to były jachty rekreacyjne różnych rozmiarów i w różnej kondycji. Za moment skupi się właśnie na nich.

W sumie zdziwiłby się, gdyby monitoringu nie było. Przez cały czas się rozglądał, wypatrując właśnie tych małych kamerek, ale nigdzie żadnej nie zauważył. Gdzieś jednak są, lecz w chwili, gdy ujawnią jego obecność, i tak będzie za późno, by cokolwiek zrobić.

Policzył też latarnie. Nie było ich wiele, ot gdzieniegdzie wyrastały z ziemi. Port Ålbæk był najwyraźniej oświetlany przez całą noc. Oświetlany w stopniu umożliwiającym normalne funkcjonowanie, ale również — ujawnienie.

Poza mężczyznami w stoczni i trójką siedzącą w małej budce w miniaturowym porcie nie było wielkiego ruchu.

W najbardziej odległym rogu jakiś mężczyzna szarpał się ze swoją łódką, a jednym z pomostów spacerowała starsza para z małym psem na smyczy.

Usiadł na najbliższej ławce, żeby przeanalizować swoje obserwacje. Szukał łodzi motorowej — nie za małej, nie za dużej, choć w jego sytuacji nie mógł sobie pozwolić na wybrzydzenie.

Znał się na łódkach. Komandos musiał wiedzieć co nieco o

wszystkich żywiołach i powinien umieć się poruszać również na wodzie. Wśród zacumowanych jednostek dostrzegł kilka kandydatek. Wybrał cztery, które postanowił obejrzeć z bliska. Wstał i wolnym krokiem ruszył dalej wzdłuż nabrzeża.

Zatrzymał się przy najbliższej łodzi. Chodziło przede wszystkim o moc silnika względem rozmiaru łódki i jej zdatności do żeglugi.

Musi wypłynąć w Kattegat i pokonać ponad sto kilometrów do szwedzkiego wybrzeża stosunkowo niewielką łódką, która będzie się musiała nieźle namęczyć, walcząc z falami i prądami, i być może w tej walce polegnie.

Pierwsza łódka się nie nadawała. Była zbyt mała, miała za słaby silnik. Podobnie następna. Zatrzymał się przed trzecią. Wyglądała na ponad pięć metrów, całkiem przyzwoicie. Silnik miał sześćdziesiąt koni. Ta mogła się nadać. Przeszedł jednak jeszcze do łodzi numer cztery na końcu pomostu.

Cumowała jako ostatnia. Była zasłonięta niebieską plandeką, kołysała się lekko i szybko się zorientował, że to jego najlepsza opcja. Była nieco większa od pozostałych, długa na jakieś sześć metrów, Uttern D62, jak napisano na białej burcie. Silnik był prawdziwym cackiem — duży, czarny Mercury OptiMax o mocy stu dwudziestu pięciu koni. Łódka wyglądała na porządną motorówkę do pełnych przygód rejsów na wodach śródlądowych, ale przy w miarę dobrej pogodzie, takiej jak teraz, bez wahania zaryzykowałby wyjście nią w otwarte morze, chociaż wiatr mógłby trochę przycichnąć.

Przyklęknął, udając, że wiąże sznurówkę. W tej pozycji mógł zajrzeć przez boczną szybę. Instrumentarium w kokpicie stanowiło standardowy zestaw: licznik obrotów, prędkościomierz, wskaźnik poziomu paliwa, wskaźnik trymu pokazujący kąt przegłębienia wielkiego Mercury'ego,

woltomierz i kompas. W miejscu, gdzie podczas rejsu najprawdopodobniej znajdował się GPS z ploterem do map, zionęła pustka. Skupił się na zapłonie. Łódkę jest znacznie łatwiej ukraść niż samochód. Był niemal pewien, że płaski śrubokręt wbity w zamek wykona tę samą robotę co kluczyk.

Łódka Uttern była całkiem niezłym biletem na drugą stronę... Wracał na ląd, próbując wykonać w głowie proste równanie. Z tego silnika powinien wydusić jakieś trzydzieści cztery, może trzydzieści siedem węzłów, ale to będzie maksimum jego możliwości. Na tak długim dystansie nie da rady pracować na takich obrotach. Zajedzie silnik, a do tego radykalnie zwiększy zużycie paliwa. Umiarkowane tempo około dwudziestu pięciu węzłów wydawało się bardziej realne.

Odległość między Frederikshavn a Göteborgiem szacował na jakieś sto kilometrów albo dobre pięćdziesiąt mil morskich. Jeśli z Ålbæk popłynie prosto na zachód, do szwedzkiego wybrzeża dotrze nieco poniżej Göteborga. Wolałby jednak przybić do brzegu na północ od miasta. O ile dobrze pamiętał, wybrzeże zmienia się tam w archipelag niezliczonych większych i mniejszych wysp, półwyspów i mierzei. Teren będzie o niebo bardziej odludny niż częściej uczęszczane trasy w okolicy drugiego największego miasta Szwecji.

Odległość będzie mniej więcej taka sama, bo linia brzegowa zagina się nieco w cieśninie Kattegat. Lekko licząc, jakieś dwie godziny żeglugi. Doświadczenie mu podpowiadało, że powinno się udać przy spalaniu nie większym niż litr na milę morską. Czyli pięćdziesiąt litrów paliwa. Ale skąd ma wiedzieć, ile jest w baku? Może być pusty — albo pełny.

Bał się wejść na pokład i sprawdzić teraz, w biały dzień. Zresztą z tylko jedną sprawną ręką i tak nie dałby rady

przywlec tu z portu Bóg wie jakich ilości benzyny. Musi jednak znaleźć sposób, żeby przetransportować na łódź dwa kanistry po dwadzieścia pięć litrów — bez tego ani rusz.

Kanistry musi znaleźć w mieście — oraz śrubokręt, jakieś środki opatrunkowe, coś przeciwbólowego i jakiś prowiant.

Dopiero co minęło południe, gdy wrócił do dzielnicy willowej. Pozostało tylko czekać. Przywykł do czekania na noc i spokój, który ona niesie. Do dzieła przystąpi dopiero koło północy. To oznaczało, że musiał sobie zagospodarować pół doby. Gdy tylko zrobi zakupy i zatankuje, powinien najszybciej jak się da zniknąć z ulic tego miasteczka.

Postanowił ukryć się w zaroślach przy samym porcie. Doskonałe miejsce, by nabrać sił w ukryciu przed światem. Będzie mógł odpocząć, zjeść coś i zmienić opatrunek. A gdy uzna, że pora przystąpić do działania, od portu będą go dzielić metry.

Rozdział 77.

Czuł się, jakby płukał złoto w rwącym górskim potoku. Musiał zachować maksymalne skupienie, by nie przeoczyć najmniejszej połyskującej drobinki. Ale miał sześćdziesiąt jeden lat i może był już za stary, aby pracować dwie doby z rzędu ze zbyt krótką przerwą na sen?

Zdjął okulary, odchylił się w wysokim fotelu biurowym, stłumił ziewnięcie i przeciągnął się, by rozprostować ciało. Sześćdziesiąt jeden? Bez przesady, to żaden wiek. Musiał tyle pracować i tak bardzo się skupić, bo tego, co miał do zrobienia, nie mógł powierzyć nikomu innemu.

Siedział przed trzema dużymi ekranami, w których zamknął się jego świat, odkąd dostał informację, że dawny komandos Niels Oxen wymknął się Johnowi Smithowi i jego skądinąd doskonale wyszkolonym ludziom. Wymknął się, mimo że wpadł w zasadzkę na zamku Gram. Wymknął się po raz trzeci.

To oznaczało, że Smith nie wchodzi w grę, jeśli kiedykolwiek będzie trzeba przeprowadzić podobną operację.

Porównanie z płukaniem złota narzucało się samo, zdobył bowiem coś, co w jego branży nazywa się „dostępem wahadłowym” do policyjnej ewidencji zgłaszanych zdarzeń POLSAS. Mógł w dowolnym momencie zajrzeć do dobowych raportów wszystkich dwunastu policyjnych okręgów kraju i w czasie rzeczywistym monitorować każde nowo wprowadzone zgłoszenie.

Grudka, na którą jeszcze się nie natknął, była tą samą grudką, której przy użyciu wzmożonych środków szukała policja: najmniejszy, najbardziej niepozorny sygnał, który

pozwoлиłyby przypuszczać, że poszukiwany Niels Oxen znajdował się w danej okolicy.

Mogły to być skradzione samochody, motocykle, skutery, nawet rower, w odpowiednich okolicznościach. Mogło to być również drobne włamanie, szybki napad na sklep całodobowy albo kradzież na stacji benzynowej. Innymi słowy, każdy możliwy ślad, jaki mógł zostawić po sobie przyciśnięty do muru człowiek czujący na karku pościg.

Zważywszy, że w Danii kradnie się średnio około piętnastu samochodów dziennie, a drobne przestępstwa są odnotowywane we wszystkich okręgach przez całą dobę w nieprzebranych wręcz ilościach, znalezienie grudki wymaga dużej sprawności, intuicji i doświadczenia.

Nadal skupiał się głównie na Herning, gdzie pod galerią handlową znaleziono corsę z odciskami palców Oxena.

Były komandos musiałyby myśleć i działać błyskawicznie szybko, aby wydostać się z położonego w środkowej Jutlandii miasta, które niemal od razu zostało całkowicie odgródzone przez policję.

Raport dobowy okręgu Jutlandii Środkowej i Zachodniej znał prawie na pamięć. W tej chwili, gdyby ktoś w Herning spróbował ukraść frytkę w McDonalddie, cały okręg stanąłby w gotowości.

Ale wszystko było możliwe. Oxen był wybitnym żołnierzem wybitnej jednostki i mimo że nie jest do końca zdrowy, już zdążył się pokazać jako godny przeciwnik.

Nieważne, czy dzwoniło z Faxe Ladeplads na Zelandii, Rønne na Bornholmie, czy z Padborga przy samej granicy — każde zgłoszenie niosące śladowe informacje o naruszeniu prawa zasługiwało przynajmniej na notatkę w raporcie dobowym. Notatka była pokwitowaniem zgłoszenia i sposobem na wykorzystanie zasobów ludzkich, ale również zostawiała w systemie elektroniczny ślad. Później mogło się

okazać, że uzupełnia go szereg innych śladów, może więc pośrednio pomóc w wyjaśnieniu określonej sprawy.

Gdy tylko dostrzegł błysk, natychmiast sprawdzał znalezisko. Bez względu na lokalizację. No, może z pominięciem Bornholmu, kawał drogi na Bałtyku.

Dlatego już od dawna wiedział, że to *nie* Oxen włamał się do altany w ogródku działkowym w Skanderborgu, by tam przenocować. Potwierdził, że to *nie* Oxen opróżnił kasę w przydrożnym barze w Ebeltoft. Oraz że to *nie* Oxen ukradł starszej pani pięć tysięcy trzysta koron, napadłszy ją w jej własnym pokoju w domu spokojnej starości w Randers.

W tym momencie sprawdzał dwa zgłoszenia.

Pierwsze: mężczyzna o rysopisie zbliżonym do Oxena najpierw ukradł parę rzeczy z supermarketu SuperBest w Kruså, a potem skuter. Widziano, jak wyjeżdżał z miasta w kierunku południowym. Dwie godziny później skuter znaleziono w rowie po niemieckiej stronie.

I drugie: mężczyzna, którego znany jest tylko bardzo ogólny rysopis, był widziany, jak około siódmej trzydzieści opuszczał pomieszczenie na rowery w kamienicy we Frederikshavn. Jeden z mieszkańców opowiedział o tym woźnemu, który zgłosił zajście dopiero po sprawdzeniu piwnicy i znalezieniu w przechowalni zakrwawionych bandaży. Prawdopodobieństwo, że był to narkoman albo inny nieszczęśnik, było spore. Ale Oxen był ranny. Wynikało to wyraźnie z relacji starszego mężczyzny, który spotkał go na plantacji na południe od Herning.

Jego ludzie mieli ze sobą laptopa. Nie musieli się nawet włamywać do policyjnej bazy. Mieli własne odciski palców Oxena i przepuszczenie ich przez program, sprawdzenie zgodności oraz wysłanie odpowiedzi przez program szyfrujący zajmie im mniej niż minutę.

Spojrzał na zegarek. Pora złożyć krótki meldunek. Wybrał

numer na swojej komórce.

— Tu Nielsen. Zgodnie z obietnicą składam meldunek.

Szybko i precyzyjnie opisał wydarzenia z ostatnich pięciu godzin, tak jak go o to poprosił pracodawca.

Potem się rozłączył. Za pięć godzin będzie musiał się zgłosić ponownie.

Do tego czasu wypije ocean kawy, będzie sprawdzał wszystko, co błysnie — i skupi się na Herning.

Rozdział 78.

Wiatr na szczęście nie przybrał na sile. Przeciwnie — wyglądało na to, że pod wieczór odrobinę ustał, co zresztą było typowe.

Minęła północ, kiedy przytaszczył na pomost dwa pełne kanistry. Jeden trzymał w ręce, a drugi przewiesił sobie na pasku przez zdrowe ramię. Postawił je obok łódki.

W małym porcie nie było żywej duszy. Miał rację co do oświetlenia — senne latarnie rzucały słabe światło na cały obszar portu.

Odpiął pokrowiec łódki i odsunął na bok. Potem wrzucił na pokład kanistry i plecak. Ostatni raz ocenił sytuację, po czym odwiązał cumę i odepchnął się bosakiem.

Powinien to zrobić bezdźwięcznie, ale to niełatwe z tylko jedną zdrową ręką. Mimo wszystko łódź odbiła od pomostu. Zmobilizował wszystkie siły i przepchnął ją przez wejście do portu, korzystając z pomocy tej odrobiny wiatru, która wciąż poruszała powietrzem. Port Ålbæk nie był portem naturalnym. Zbudowano go przy szerokiej plaży osłoniętej ogromnymi kamiennymi blokami. Na samym końcu ustawiono ochronny krąg z kamieni tuż przy samym wejściu, tworząc rodzaj przedsionka, który miał temperować siłę morskiego żywiołu.

Łódź nieskończenie wolno sunęła po spokojnej wodzie, nim w końcu dotarła do niewielkiego otworu pozwalającego wyjść w morze. I na wolność.

Mógł teraz wykonać krok następny. Wbił śrubokręt głęboko w zamek. Wstrzymał oddech — i ostrożnie przekręcił. Zapłon zaskoczył, instrumentarium ożyło.

Bak był w połowie pełny. Uttern D62 był całkiem sporą

łodzią o dość żarłocznym silniku, więc oszacował, że pełny bak miałby około stu pięćdziesięciu litrów. Zatem teraz miał w nim siedemdziesiąt pięć litrów. Cała mordęga z kanistrami była niepotrzebna. Mimo wszystko odkręcił nakrętkę i wlał do baku zawartość jednego z nich. Mógł teraz zrobić wielki objazd, a i tak zdoła dotrzeć do Szwecji.

Dokończył obrót śrubokręta w zamku, tak jak to się robi z kluczykiem w samochodzie. Zza pleców usłyszał głębokie, przeciągłe charczenie, po czym Mercury odpalił. Usiadł za sterem i czekał, aż silnik się zagrzeje.

Spojrzał w górę. Niebo było usiane gwiazdami. Gwiazdy mu sprzyjały. Nieraz już pomogły mu wyjść z tarapatów pod obcymi firmamentami.

Pchnął drążek kawałek w przód, żeby wrzucić bieg, i jeszcze trochę, żeby zwiększyć obroty silnika. Skręcił ster i naprowadził motorówkę na właściwy kurs. Żegnał się z Danią. Obejrzał się za siebie. Co to było?

Z portu prosto w oczy świeciły mu długie światła samochodu. Dziwne. O tej porze? Czy ktoś go rozpoznał? Gdy jechał pociągiem? Gdy robił zakupy? Albo na stacji benzynowej? A może ten samochód nie ma z nim żadnego związku?

Przyśpieszył. Uttern posłuchał i w kilka sekund ruszył z kopyta, uniósłszy dziób. Pięknie ciął wodę. Odrobinę zwolnił do wyliczonej stałej prędkości dwudziestu pięciu węzłów.

Nie włączył świateł. Zlał się w jedno z ciemnością i migoczącymi towarzyszkami powyżej. Odfruwał i zrywał łańcuchy.

Za dwie godziny dotrze do poszarpanego wybrzeża Szwecji.

Raz jeszcze spojrzał na zegarek. Płynął godzinę i czterdzieści pięć minut. Miał wrażenie, że gdyby wyciągnął rękę w ciemność, dotknąłby szorstkich klifów Szwecji.

I wtedy to. Tuż za nim. Złowieszczy terkot przeciął ciemność i spłoszył gwiazdy.

Światła helikoptera zobaczył, gdy maszyna przeleciała mu nad głową, zawróciła łagodnym łukiem i zmniejszyła wysokość, by wykonać kolejny przelot. Włączono reflektor, który był jak świetlna kolumna w ciemności.

Instynktownie odbił sterem i próbował poruszać się zygzakiem. Reflektor nadciągał prosto na niego. Dwukrotnie go omiótł, próbował się na nim zatrzymać, ale musiał się przesunąć. Z ogłuszającym hałasem przeleciał obok niego i szykował się, by zawrócić ponownie.

Został zidentyfikowany. Wiedział, co się teraz wydarzy. Wyjął broń, odbezpieczył i przygotował się do strzału.

Gdy silny słup światła reflektora na krótką chwilę przygwoździł Oxena, poczuł coś, czego nie znał. Jakieś ciepło. Ulgę z glazurą słodkiej zemsty.

Udało mu się — choć w ostatniej chwili. Dostał wiadomość i mógł się wzbić w powietrze. Nigdy się nie dowiedzą, jak udało się Oxenowi wydostać z Herning i dotrzeć aż tu, do Frederikshavn.

Podobnie jak już tyle razy wcześniej, tym, co ostatecznie naprowadziło ich na właściwy trop, było połączenie przypadku i ciężkiej pracy. Ale od zakrwawionych bandaży i odcisków palców w piwnicy całą mrówczą robotę wykonali Duńczycy. I dopiero później, o wiele za późno, przyszła kolej na małe miasteczko z małym portem spory kawałek na północ od Frederikshavn: Oxen napełniający dwa kanistry benzyną. Krótka scena z monitoringu stacji benzynowej podkręciła tempo do prędkości światła.

Podobno człowiek Nielsena wbiegł na pomost, ale zobaczył już tylko, jak ciemność zamyka się wokół dużej białej motorówki.

Sukces od porażki często dzieli bardzo cienka linia. Jeszcze

pół godziny, a Oxen by ich ograł.

Dawny komandos z duńskiego Korpusu Łowców nadepnął mu na odcisk. Możliwe, że był chory, możliwe, że został ranny, ale wciąż był piekielnie sprawny i zdolny do działania w stopniu, który o mały włos pograżyłby całą operację.

Ale przecież zawsze można wezwać Johna Smitha. Nie jest tani, ale wywiązuje się z kontraktów co do joty. Tak było od jedenastu lat. I tak pozostanie jeszcze przez kilka następnych.

Oxen był bliski obrócenia tych wszystkich lat wniwecz. Oxen go pokonał, upokorzył na oczach jego ludzi w sytuacji, w której wszystko miało pójść jak z płatka, gdy zastawili pułapkę w Gram.

Trzy razy. Trzy cholerne razy duński stojak na ordery uciekł mu sprzed nosa. Ale teraz koniec.

Takie uczucia i myśli wypełniały jego głowę, gdy wiązka światła przyłgnęła do twarzy Oxena. I oczywiście z tego powodu czuł ową nieznaną wcześniej słodycz. Zemsta nie była czymś, co zajmowało jego uwagę. Zemsta nie istniała. Była nieracjonalna i jako taka nie mieściła się w granicach jego działalności.

Jednak to właśnie ona buzowała przyjemnie w jego żyłach, kiedy rozkazał pilotowi nawrócić raz jeszcze i przelecieć obok motorówki.

Widział ogień wystrzału poniżej, ale nic sobie z niego nie robił. Nikt, nawet Oxen, nie jest w stanie z ręcznej broni strzelić celnie z takiej odległości z rozpędzonej motorówki.

Raz jeszcze sprawdził, czy jest dobrze przypięty pasem. Potem odsunął drzwi i położył sobie na prawym ramieniu granatnik.

Nie śpieszył się. Cel zostanie unicestwiony i pośpiech nie jest tu konieczny. Wyrzutnia RPG-7 była wyposażona w lornetkę na podczerwień. Czerwona plama przesuwiała się w

przód i tył w białym kadłubie w samym środku wizjera.

Dwukrotnie zaginał palec wskazujący... Dopiero za trzecim razem oddał strzał.

Nic innego, jak tylko czysty instynkt kazał mu wstać z fotela i wysunąć się za reling.

W słabym świetle kokpitu helikoptera widział, że drzwi się odsunęły, a pilot ustawił maszynę na prawym boku jakieś sto metrów od niego.

I wiedział, co to oznacza.

Ale to, że właśnie teraz, a nie dziesiątą część sekundy później opuścił się w otchłań, zawdzięczał wyłącznie instynktowi.

Potem była eksplozja, ogień i woda. Zimna, czarna woda, która się nad nim zamknęła.

Rozdział 79.

Szef departamentu miał kamienną twarz, w dłoni trzymał filiżankę kawy. Biała szyja minister sprawiedliwości usiana była tymi dziwnymi, rozpalonymi plamami, które u wielu kobiet niweczyły wszelkie próby ukrycia wewnętrznego wrzenia.

— Witaj, Mossman. Usiądź, proszę — powiedziała Helene Kiss Hassing.

Jej głos był szorstki. Oszczędzała słowa. Usiadł. Stało się coś bardzo, ale to bardzo złego. Nowa minister płonęła i cała się trzęsała. Wydawało mu się, że zawarli rozejm. Że załatwili sprawę polubownie. Gdy mu wręczono wezwanie, nawet się uśmiechnął. Czy mimo wszystko mieli zaczynać kolejną rundę, zanim jeszcze pokój na dobre się umocnił?

— Mossman, co to do cholery ma być?

Minister, której jedynymi widocznymi kompetencjami były uroda i wynikające z niej uwielbienie stacji telewizyjnych, odwróciła w jego stronę laptop, by pokazać mu monitor. Gdy trzęsącymi się palcami stuknęła w klawisze, próbował się otrząsnąć po tym brutalnym wstępie. A potem skierował uwagę na komputer.

Początek nagrania. Znał je aż za dobrze.

Przedstawiało zmarłego ministra sprawiedliwości Ulrika Rosborga. Nagiego i klęczącego za kobietą, w klęku podpartym...

Odchylił się w fotelu i założył nogę na nogę. Był zaskoczony, ale nie wstrząśnięty. Zagrali więc swoją ostatnią kartą. Wbili w niego nóż. Głębokie pchnięcie prosto w serce.

Ani szef departamentu, ani minister nie odezwali się ani

słowem. Czekali przy akompaniamencie jęków z odtwarzanego nagrania. Aż do tragicznego końca. On sam przez większość czasu wyglądał przez duże okno za plecami minister.

— Zaledwie kilka dni temu z wielkim trudem udało nam się uratować ci tyłek. I teraz to! Co ty sobie, u licha, wyobrażasz, Mossman, co? Możesz mi powiedzieć?

Minister płonęła z wściekłości. On zaś milcząco pokręcił głową i wzruszył ramionami. Potrafił rozpoznać porażkę, gdy na taką trafił. Po prostu w ciągu jego kariery porażki nie trafiały mu się zbyt często. Ta zaś była największa — i ostatnia.

— Skąd to macie? — zapytał tylko.

Minister spojrzała pytająco na szefa departamentu.

— Ktoś nam to dostarczył. Z informacją, że identyczne nagranie znajdowało się na płycie w komputerze Rosborga w jego letnim domu. I że w porozumieniu z komendantem policji okręgu Zelandii Północnej zabrałeś nagranie z miejsca zdarzenia, zamiast się nim zająć.

— *Well...* — tylko tyle zdążył powiedzieć, bo szef departamentu niewzruszony ciągnął dalej:

— I że od ponad roku wiedziałeś o zbrodni popełnionej przez zmarłego ministra sprawiedliwości. Oraz o istnieniu tego nagrania. I o tym, że zbrodni dokonano na zamku Nørlund w Himmerland. Dokładnie tam, gdzie w zeszłym roku rozegrała się wasza wielka sprawa z wieszanymi psami i gdzie zabito emerytowanego ambasadora Corfitzena.

Szef departamentu wziął łyk kawy, spokojnie odstawił filiżankę i mówił dalej:

— Przemilczenie jest przemilczeniem. Oraz próbą ukrycia brutalnej zbrodni na tle seksualnym popełnionej przez wysoko postawionego polityka. Mossman, muszę przyznać, że jestem wstrząśnięty. Po tylu latach...

Mimo to mężczyzna będący prawą ręką minister nie wyglądał na ani trochę poruszonego. Oboje natomiast wbili w niego pytające spojrzenia.

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, kto to wszystko zainscenizował. Czy nie to właśnie próbowałem wam uświadomić przez te wszystkie ostatnie dni? Że PET powinno rozwikłać tę sprawę? To oni, Danehof. To oni podrzucili nagranie i informacje. W jednym prostym celu: żeby się mnie pozbyć.

— Mossman, bądźmy poważni... Jestem może nowa na tym stanowisku, ale nie w polityce. Myślisz, że łyknę — łyknjemy — każdą brednię, którą spróbujesz nam wcisnąć? Że pozwolimy ci w nieskończoność przekręcać fakty tak, by pasowały do twojej wizji świata? Obudź się. Nie chcę słyszeć ani jednej cholernej wzmianki o Danehofie i Consilium! Nie chcę w ogóle słyszeć nic więcej o tej sprawie. Posunąłeś się za daleko. Tym razem to koniec. Absolutny i nieodwołalny koniec.

Minister sprawiedliwości znów zaczęła się trząść, mimo że podczas odtwarzania odrobinę się uspokoiła. Pałeczkę przejął szef departamentu:

— Mossman. My po prostu nie jesteśmy w stanie dłużej cię chronić. Dlatego... postarajmy się znaleźć jakieś rozwiązanie... Niedługo i tak przechodzisz na emeryturę. Co powiesz na natychmiastową rezygnację z powodów zdrowotnych? Dostarczoną na piśmie, powiedzmy, za godzinę od teraz?

Wypowiedział to głosem, jakby proponował umowę handlową. Bo to też robił. To był czysty handel.

On sam siedział oparty w fotelu, jakby się zastanawiał, a myślami wybiegł za to duże okno, w górę, ku szaremu przedpołudniowemu niebu. W końcu odparł:

— *Well*. Wygląda na to, że nasza wspólna podróż dobiegła

końca, prawda? W ciągu godziny moja rezygnacja trafi na odpowiednie biurko.

Rozdział 80.

Szef operacyjny Martin Rytter został szefem Policyjnej Służby Wywiadowczej. Jego nominacja była jednak tylko jedną z bomb, które wybuchły w południe.

Axel Mossman, którego postać utożsamiano z PET i który dla wielu był ucieleśnieniem wszystkiego, czym są służby wywiadowcze, człowiek, który przeszedł transformację i potrafił dostosować siebie i kierowaną przez siebie organizację do nowych czasów, *Big Mossman*, postanowił przedterminowo ustąpić ze stanowiska. Słabe zdrowie zmusiło go do złożenia rezygnacji.

W komunikacie prasowym jego bezpośrednia szefowa, nowa minister sprawiedliwości Helene Kiss Hassing, z żalem poinformowała o odejściu wielkiej postaci i wychwalała pod niebiosa jego kilkudziesięcioletnią, wybitną pracę w służbie narodu.

Wszystko to było oczywiście gównem zawiniętym w sreberko. Ale w tym konkretnym momencie wiedziała tylko tyle, co wszyscy. I nieco się zdziwiła, że Rytter rozpoczął urzędowanie od wezwania jej na dywanik.

— Franck, do diabła! Co to ma być?

Rytter z impetem trzasnął o biurko stosem kolorowych zdjęć. Podniosła je, wciąż stojąc.

Pierwsze zdjęcia pokazywały Nielsa Oxena, jak siedzi na fotelu w jej mieszkaniu. Ona sama stoi w tle. To było tamtej nocy, kiedy Oxen zaskoczył ją i Andersa, gdy wrócili późno do domu.

Jedyną osobą, która mogła je zrobić, był Anders. Pewnie telefonem. Były ziarniste i miały żółtawą poświatę. Następna seria zdjęć była za to idealnej jakości. Zdjęcia przedstawiały

Sonnego, Oxena i ją, gdy stali przy drodze w Gram. Zdjęcia zrobiono tuż przed tym, jak się rozeszli, by zająć ustalone pozycje przed nieudaną akcją.

Rzuciła zdjęcia z powrotem na biurko.

— Aha. No i? — zapytała.

— Franckie. Nie chcesz chyba powiedzieć, że współpracowałaś z mężczyzną podejrzanym o zabójstwo i ściganym przez siły policyjne całego kraju? Przez wszystkich twoich kolegów. Chyba nie chcesz mi tego powiedzieć, prawda?

Rytter z wściekłością walnął pięścią w stół.

— Skąd masz te zdjęcia? Między innymi od Andersa Beckera, prawda?

— To nieistotne, skąd je mam. Czy ty rozumiałaś cokolwiek z tego, co powiedziałem?

— Sam wiesz, jaką rolę odegrał Oxen w sprawie wieszanych psów. Wiesz, że istnieją powiązania z Mossmanem — a tym samym ze mną.

— Gównu wiem! I właśnie w tym rzecz! Kompletnie odleciałaś! Od początku wiedziałaś, gdzie jest Oxen, ale uznałaś, że jesteś ponad nami wszystkimi. Wypięłaś się na mnie, na nas, na całą policję.

— Za tym stoi Danehof i Consilium. Ukartowali to. Sami zapowiedzieli, że mnie zniszczą...

— Danehof to średniowiecze, a ja mam dość teorii spiskowych. Jesteś skończona, słyszysz? Dopiero co dostałem nominację. Nie mogę zacząć urzędowania od patrzenia przez palce na coś takiego. Popełniłaś przestępstwo, a ja nie mogę tego zataić. Mógłbym jednak rozdmuchać sprawę. Pójść z tym do sądu. Ale poprzestanę na wydaleniu cię ze służby. Poszłaś za daleko. O wiele za daleko. Zwalniam cię. Żegnam.

— Martin... Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. Ale

okazuje się, że ty jesteś tylko małym, żalonym gówniarzem.

Trzasnęła głośno drzwiami mini coopera. Gdy opróżniała swoje biurko, zadzwonił Sonne. Chciał tylko powiedzieć, że pokazano mu parę zdjęć, na których był razem z nią i Oxenem.

Po czym został wyrzucony z biura swojego szefa z radą, aby po urlopie już nie wracał do pracy.

Włożyła kluczyk do stacyjki. Villum Grund-Löwenberg postawił na swoim. Zniszczył ich oboje. A raczej wszystkich troje. Bo przecież nie było wątpliwości, że to interwencja Danehofu sprowokowała Mossmana do złożenia rezygnacji.

Przekręciła kluczyk i mini cooper zaskoczył. Jednocześnie włączyło się radio. Głos kobiety brzmiał, jakby mówiła przez zaciśnięte zęby:

„Zaczynamy od najważniejszego wydarzenia dnia. Nurkowie z dowództwa operacyjnego duńskiej floty przeczesują wody w pobliżu szwedzkiego wybrzeża, na północ od Göteborga, w poszukiwaniu ciała weterana wojennego i dawnego komandosa Nielsa Oxena. Był ścigany przez policję w całym kraju w związku z podejrzeniem o to, że z premedytacją śmiertelnie pchnął nożem siedemdziesięcioletniego właściciela stawów hodowlanych w Jutlandii Środkowej. Monitoring uchwycił podejrzanego zeszłej nocy, gdy ten wypływał w morze łodzią motorową skradzioną w porcie Ålbæk na północ od Frederikshavn. Naoczni świadkowie widzieli w nocy wybuch na morzu. Mówi się, że Oxen mógł mieć przy sobie materiały wybuchowe podczas swojej dramatycznej ucieczki. Według informacji uzyskanych przez naszych reporterów istnieje inne nagranie, z wczoraj, pokazujące Oxena na stacji benzynowej w Ålbæk nalewającego benzynę do kanistrów. Prawdopodobnie zamierzał użyć paliwa podczas ucieczki do Szwecji. W okolicy wybuchu znaleziono resztki wraku

motorówki. Zdaniem eksperta, który rozmawiał z naszym reporterem na miejscu, ślady wskazują, że na pokładzie motorówki doszło do rozległej eksplozji. Niels Oxen był jak dotąd najwyższym odznaczonym duńskim żołnierzem. Jako jedyny otrzymał kilka lat temu Krzyż Waleczności. Czterdziestoczteroletni były komandos był...”

Wyłączyła radio i oparła czoło o kierownicę.

Chwilę później w absolutnej ciszy zaczęły kapać łzy.

Rozdział 81.

Może to złudzenie, ale wydawało mu się, że siedem płomieni na dużym siedmioramiennym świeczniku stoi całkiem nieruchomo. Dziwne, że pamiętał taki szczegół, ale ostatnim razem widział, jak tańczyły nerwowo.

Spotkanie dobiegało końca. Omówili już wszystko i przedyskutowali ostatni kryzys, z którego szczęśliwie udało im się wyjść.

Południe zadziało sprawnie i skutecznie. Doskonała robota — od relacji z mediami aż po działania operacyjne.

Wszyscy troje mogli sobie pogratulować trafnych decyzji. Teraz pora zająć się przyszłością i perspektywami dalszej pracy. To znacznie ciekawsze niż konieczność działania pod presją i gaszenia kolejnych pożarów.

W historii ich organizacji zdarzały się długie okresy, gdy nie zachodziła potrzeba uruchamiania ostatecznych rozwiązań, lecz w ciągu ostatnich dwóch lat byli zmuszeni uciekać się do tego radykalnego kroku niepokojąco często.

Tym bardziej go cieszyło, że ostatni kryzys przynajmniej po części udało się rozwiązać bez korzystania z tej opcji.

Axel Mossman, wieloletni szef Policyjnej Służby Wywiadowczej, został unieszkodliwiony i pozbawiony możliwości podjęcia jakichkolwiek działań. Do tego dochodził jego wiek. Mossman w życiu nie zdoła zmobilizować wystarczających sił, aby im zagrozić. Nikt nie będzie poważnie traktował starszego pana na emeryturze. Za kilka lat nikt również nie będzie o nim pamiętał.

Zagrożenie ze strony jego dawnych współpracowników — tej kobiety i siostrzeńca — również zostało zlikwidowane, i też bez rozlewu krwi.

Pozostawał żołnierz Oxen. Osobiście ubolewał, że bohater narodowy, jeden z najwspanialszych synów tej ziemi, musiał zostać unicestwiony — i to przez ludzi, którzy chcieli dla owej ziemi jak najlepiej.

Ale nie było wyjścia. W końcu, po tylu latach, ostatecznie zamknęli ten rozdział.

Śmierć Oxena oznaczała jednocześnie, że mogli otworzyć nowy rozdział. Mogli wreszcie umieścić swojego kandydata na ważnym stanowisku nowego dowódcy sił zbrojnych, które będzie do obsadzenia już za pół roku, gdy obecnemu skończy się kadencja.

Swoimi zaciętymi, uporczywymi atakami Oxen mógłby ponownie wystawić ich kandydata na krytykę. Swego czasu sam jeden zdołał wyrzucić tak silną presję na rządzącym wówczas układzie, że powołano komisję śledczą. I choć ta całkowicie uwolniła ich człowieka od zarzutów, oskarżenia Oxena stanowiły potencjalne zagrożenie. Gdy coś się tli, łatwo może się przerodzić w pożar...

Teraz, kiedy raz na zawsze uciszyli dzielnego, acz awanturniczego wojaka, drzwi do gabinetu dowództwa armii stoją przed nimi otworem.

Jednomyślnie uznali za to, że nie ma sensu poświęcać środków na pozyskanie nowej minister sprawiedliwości, mimo że ta konkretna teka zawsze była dla nich strategicznie kluczowa.

Powinni inwestować w polityków mierzących wysoko i obdarzonych wyjątkowym talentem. Taki właśnie był Rosborg. Niestety, miał przy tym szereg wad, których nie dostrzegli w porę.

Helene Kiss Hassing to krótkotrwały powiew świeżości. Bardzo zresztą przyjemny. Dobrze wypada w telewizji. Zarówno dzięki urodzie, jak i prostym wypowiedziom. To ostatnie wynika jednak stąd, że ta kobieta po prostu nie jest

w stanie pojąć całej złożoności omawianych przez siebie spraw.

Na szczęście istniały inne dojścia do stanowiska ministra sprawiedliwości. Zawęzili listę kandydatów do czterech nazwisk.

— Czy zatem możemy w końcu liczyć na kilka spokojnych lat, w których będziemy mogli się skupić na polityce i zapewnianiu dobrobytu mieszkańcom tego kraju? Bo czekają nas na tym polu spore wyzwania, czyż nie? Co aktualnie szykuje dla nas Consilium?

Ośrodek był głównie domeną Północy. Dziełem życia przekazany następnemu pokoleniu, można by rzec.

— Najważniejsze zagadnienia tej jesieni będą związane z krajowym rynkiem nieruchomości, co jest dość nietypowym dla nas tematem. Pomimo niezbyt udanych prób ze strony polityków i żarliwych zapewnień przedstawicieli branży próbujących zawyżyć liczby faktem jest, że rynek nieruchomości poza Kopenhagą i innymi większymi miastami praktycznie zamarł. Sytuacja nie zmienia się od kryzysu w 2008 roku. Na prowincji sytuacja mieszkaniowa jest wręcz dramatyczna. Banki odmawiają jakichkolwiek kredytów wszystkim zainteresowanym nabyciem tam nieruchomości... Z punktu widzenia społeczeństwa rodzi to szereg bardzo niebezpiecznych zjawisk. Pesymizm, ograniczenie wydatków na konsumpcję, wzmożone oszczędzanie, stagnacja społeczna, wyludnienie obszarów wiejskich... i wiele innych. Stworzyliśmy szereg forów z myślą o dialogu. Jesteśmy w trakcie organizowania aż sześciu odrębnych wydarzeń i konferencji na ten temat. Myślę, że wszystko to zostanie ujęte w memorandum.

Pokiwał głową. Rynek mieszkaniowy — dobra myśl. Temat nośny. Aż się prosi, by na nim oprzeć porządek dzisiejszych obrad. Po śmierci ambasadora Corfitzena w Consilium

najwyraźniej tchnięto nowe życie.

Przedstawicielce Północy przyszło do głowy coś jeszcze:

— Pod koniec roku przyjrzymy się — ponownie — szkołom ludowym. Istnieje pilna potrzeba zrewidowania ich reformy. Już teraz jednak widać wyraźnie, że konieczne będą pewne poprawki. Na początku nowego roku natomiast podejmiemy odkładaną od dawna dyskusję na temat pracowników tymczasowych. Jeśli mamy naprawdę wspierać duńską produkcję, to musi się stać konkurencyjna nie tylko w uroczystych przemówieniach polityków. Od tego zależy być albo nie być rodzimej produkcji. I na wprowadzenie tego zagadnienia do naszego porządku obrad czekam z najwyższą niecierpliwością.

Znów pokiwał głową. Pracownicy tymczasowi? Tak, to rzeczywiście odwieczny problem. Miał właśnie przejść do podsumowania, gdy następczyni Corfitzena z uśmiechem dorzuciła:

— I nie zapominajmy o działalności piarowskiej. Szefowa amerykańskiego banku centralnego Janet Yellen przyleci w grudniu z wykładem do hotelu d'Angleterre. Wydarzenie już jest wielkim sukcesem. W tym samym miejscu wiosną wystąpi założyciel Facebooka Mark Zuckerberg, będzie mówił o innowacji, a po nim sam Bill Gates z wykładem zatytułowanym *Biznes a odpowiedzialność społeczna*. Wejściówki rozeszły się jak świeże bułeczki.

— Znakomicie. Jestem pod ogromnym wrażeniem. Nie przypominam sobie, aby Consilium kiedykolwiek mogło się poszczycić tak ambitną listą inicjatyw politycznych i pojedynczych wydarzeń. Dziękuję.

Przyjemnie było obserwować zapal nowych sił w organizacji. Nowa Nord i nowy Syd byli zastrzykiem nowej energii dla swoich okręgów. Zapowiadało się, że Północ i Południe czeka pod ich wodzą dynamiczny rozwój. A i on

sam nie będzie przecież żył wiecznie... Dobrze wiedzieć, że organizacja ma się dobrze.

— Myślę, że od dziś możemy twierdzić, że wracamy do *modus vivendi* skierowanego na przyszłość kraju i organizacji. Spotkanie uznaję za zakończone.

Rozdział 82.

Żyłaste, umięśnione ciało było owinięte bandażami, ale niektóre z mniejszych ran wolała zostawić otwarte, by oddychały i mogły się uformować strupy. Rany lśniły ciemnoczerwono, a cała jego postać robiła potworne wrażenie.

Mężczyznę leżącego na łóżku w niewielkim pokoju można było uznać za cud wcielony. Takie rany, tyle czasu pod wodą — a wciąż żyje... Nieskończone są możliwości Najwyższego.

Uchyliła okno i pochyliła się nad ciałem, by zmienić opatrunek na prawym udzie, tam gdzie wyjęła z rany kawałek metalu. Widziała oczywiście również stare, zabliznione rany, świadczące o dramatycznej przeszłości tego człowieka.

Ale to nie jej sprawa pytać, kiedy przyjdzie czas. I to nie jej rola osądzać. Przed wieloma laty ślubowała, że będzie *uzdrawiać*. I to właśnie robi — ni mniej, ni więcej.

Za resztę ten człowiek odpowie sam, kiedy któregoś dnia stanie przed swoim Bogiem.

Odsunęła się o krok i raz jeszcze mu się przyjrzała. Słońce stało wysoko nad morzem i świeciło mocnym światłem. Przecinało ostrym pasem twarz mężczyzny. Miał zabandażowane czoło, rozcięty nos, policzek i podbródek.

Światło, światło, światło... Skądś się do niego przeciskało. I dawało ciepło. Nie czuł dokładnie gdzie, ale czuł, że coś go ogrzewa.

I coś go omiata, niemal łaskocze.

Świadomość jakby odrobinę się wyostrzyła. Światło... Co mogło świecić? Silny halogen. Ogień. Albo słońce, które grzało go w twarz. A to drugie to mogła być łagodna bryza,

która na niego dmuchała.

Wziął głęboki wdech, wypuścił powietrze do samego końca i zaciągnął się nim ponownie, jeszcze głębiej. Ktoś wypełnił jego wnętrze bólem. Ale było coś jeszcze. Coś znanego i przyjemnego, co nie sprawiało bólu. Zapach wodorostów i soli. I piskliwe wrzaski. Mewy?

Usłyszał teraz łagodny, niemal śpiewny głos. Najpierw bardzo daleko, potem coraz bliżej. Na koniec był w stanie ów głos zrozumieć, mimo że brzmiał inaczej, niż przywykł.

Ciepły głos pytał, czy go słyszy. Czy jest przytomny. Czy go boli. Co się stało. Kim jest. Czy ma jakieś imię.

Trwało to jakiś czas. Potem usłyszał własny szept. Spomiędzy spierzchniętych ust zdołał precyzyjnie przeliczyć kilka zaledwie słów.

— *My... name... is... Dragos...*

Posłowie

Jestem z wykształcenia dziennikarzem. Mam zamiłowanie do faktów — i od dwudziestu lat również do fikcji. Lubię dociekać, czy te dwa światy się spotykają — i gdzie. Dla tych, którzy również lubią wiedzieć:

Danehof naprawdę istniał na zamku w Nyborgu. Zamek wciąż stoi i pełni funkcję muzeum. Starłem się możliwie najkrócej opisać historię Danehofu jako fascynującego ośrodka władzy w średniowiecznej Danii. Mimo roli, jaką odgrywał, w historii Danii poświęca mu się niewiele miejsca.

Krzyż Waleczności, którym odznaczony został mój główny bohater Niels Oxen, również istnieje. Jest to najmłodsze i najwyższe duńskie odznaczenie wojskowe. W rzeczywistości z rąk królowej Małgorzaty II otrzymał je jak dotąd tylko sierżant Casper Westphalen Mathiesen w 2011 roku.

Zamek w Gram też istnieje. Jego historia jest taka, jak pokrótce nakreśliłem. Nigdy natomiast nie był w rękach rodu Grund-Löwenbergów, który jest wytworem mojej wyobraźni. Zamek należy do małżeństwa Sanne i Svenda Brodersenów. Działa jako gospodarstwo rolne, a także hotel wraz z centrum konferencyjnym.

Sposób, w jaki zginął przyjaciel Nielsa Oxena, Bo „Bosse” Hansen, odpowiada historii śmierci sierżanta Clausa Gamborga, który 4 sierpnia 1995 roku zginął podczas wielkiej chorwackiej kontrofensywy. Gamborg był pierwszym duńskim żołnierzem sił ONZ, który poległ w otwartej walce.

To, że okoliczności jego śmierci badała komisja śledcza, jest wytworem wyobraźni autora.

Jens Henrik Jensen